

CZARNA LEGENDA – CZĘŚĆ I

ARCHANIOL

NOVAE RES

A n n a B u r z y ń s k a



Anna Burzyńska

CZARNA LEGENDA



Spis treści

CZARNA LEGENDA – CZĘŚĆ I – ARCHANIÓŁ

PODZIĘKOWANIA

30 maja anno Domini 1478. Segowia

2 czerwca. Santa Cruz

4 czerwca

7 czerwca. Nad ranem

Później. Przed noną

Później. Po komplecie

9 czerwca. Rankiem

10 czerwca. Przed jutrznią

12 czerwca. Po komplecie

15 czerwca

17 czerwca. Po nieszporze

W nocy. Skryptorium

19 czerwca

Wieczorem

21 czerwca. Skrytorium. Wieczór

22 czerwca. Po jutrzni

Później

Wieczorem

23 czerwca

Później

Wieczorem

24 czerwca

Później. Przed noną

Wieczorem. Po nieszpórach

25 czerwca. Trzeci dzień głodówki

Później. Przed modlitwą na Anioł Pański

27 czerwca

Wieczorem

29 czerwca

Wieczorem

2 lipca

Później

4 lipca

6 lipca

Później. Po nonie

Późno w nocy. Skryptorium

7 lipca. Po tercji

Później. Przed nieszporem

Wieczorem

8 lipca. Na Anioł Pański

Później

Późno w nocy

10 lipca

12 lipca

13 lipca

Wieczorem

14 lipca. Przed modlitwą na Anioł Pański

15 lipca. Silentium

16 lipca. Po komplecie

19 lipca. Po nonie

25 lipca

28 lipca

Później

1 sierpnia. Po jutrzni

2 sierpnia. Rankiem

4 sierpnia. Po nonie

6 sierpnia. Rankiem, tuż przed jutrznią

Późno w nocy

8 sierpnia

Później. Po nieszporach

13 sierpnia

14 sierpnia. Wieczorem

20 sierpnia

25 sierpnia. Późnym wieczorem

26 sierpnia

Później

28 sierpnia. Przed południem

29 sierpnia

1 września

Później

4 września. Dziewięć dni do procesu

Później. Po nonie

6 września

Późno w nocy

9 września

Później. Po nieszpórach

11 września

Późno w nocy

12 września. Przed komplecą

Później. Silentium

Później

13 września. Początek procesu

16 września. Wieczorem

18 września. Po komplecie

20 września

Później

22 września. Po tercji

23 września

24 września

Później. Przed nieszporem

Później. Po nieszporach

25 września. Rankiem

30 września. Segowia

25 marca anno Domini 1483

PRZYPISY

*Każdy wiek swój martwy sen posiada.
Każdy wiek ma sen, który jeszcze się narodzi*
Arthur O'Shaughnessy

*Każdy z nas nosi w sobie coś, czego
nie da się nazwać, a co stanowi
prawdę o nas samych*
José Saramago

CZARNA LEGENDA
– CZĘŚĆ I –

ARCHANIOŁ

mojej wspaniałej Mamie

Najwybitniejsi diabli powstają z upadłych aniołów
Marian Kaczmarczyk

*W pewnych okolicznościach nieśmiałe pragnienia
nabierają mocy, mnożąc się w nieskończoność*
José Saramago

*Nie ma rozkoszniejszego oszołomienia nad to, które daje
nieograniczona władza*
Aleksiej Nikołajewicz Tołstoj

*Czasem zdarza się upór, którego ani siłą, ani po dobroci
nie da się złamać*
José Saramago

*Nic nie jest tak szybkie, jak kalumnia:
niczego łatwiej nie można rzucić,
łatwiej zaakceptować i szybciej rozprowadzić*
Marcus Tullius Cicero

*Kamienie mają głęboki sen. Wystarczy przejść się
po polu, by się o tym przekonać. Leżą nieruchomo w ziemi,
czekając nie wiadomo na co*
José Saramago

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej wspaniałej Mamie – za wszelkie wsparcie i pomoc, na które zawsze mogłam liczyć, a bez których byłoby mi bardzo trudno; za olbrzymią cierpliwość do artysty, bo do artysty trzeba mieć naprawdę niezwykłą cierpliwość; za wielką i nieustanną wiarę w moje marzenia oraz za entuzjizm, jakim obdarza mój świat zamknięty na kartach tej i każdej następnej powieści.

Dziękuję serdecznie pani profesor Zofii Siciarz, która uczyła mnie nie tylko języka polskiego, ale przede wszystkim miłości do literatury – za wszystkie krytyczne uwagi, wszelkie rady udzielone mi dawno temu, które zaowocowały dziś tą publikacją, ale przede wszystkim za wiarę we mnie i w moje pierwsze, nieśmiałe jeszcze wówczas, utwory.

Dziękuję Maciejowi Pawłowskiemu – za zrozumienie mojej pokręconej duszy, za cierpliwość i tolerancję na każdym kroku, za wsparcie w trudnych chwilach, za entuzjastyczną wiarę w powodzenie moich artystycznych marzeń i za bratnią duszę, która jest dla mnie bezcenna.

Dziękuję wszystkim moim Pierwszym Czytelnikom – za wszelkie krytyczne uwagi, słowa uznania, sugestie, ale nade wszystko za wielką radość, z jaką przyjęli Armanda i jego świat.

Dziękuję Każdemu, kto właśnie sięga po tę książkę. Wierzę, że przed Tobą wspaniała przygoda.

Autorka

30 maja anno Domini 1478. Segowia

Na wydarzenia dzisiejszego dnia szykowano mnie już od kołyski. Dziś skończyłem czternaście lat i zgodnie z wolą ojca mam wstąpić w szeregi mnichów – dominikanów z tutejszego klasztoru. Od rana w domu panował rwetes, wszyscy się gdzieś spieszyli, mama przypominała sobie o stu rzeczach naraz, ojciec udzielał mi upomnień po raz nie wiem który, a służba krzątała się bez opamiętania wśród kilku, dosłownie!, moich bagaży, jakby ich było znacznie więcej.

Obie moje siostry – Maria i Luiza – płakały, chociaż ojciec ostro za to na nie nakrzyczał, bo, jak powtarzał, powinny się cieszyć, że ich brat będzie służył Bogu. Ale one wiedziały swoje. Niestety ja również...

W końcu moje bagaże znalazły się w powozie, podobnie jak trzy potężne skrzynie mego posagu: skromnego daru mego głęboko wierzącego ojca dla miejscowych dominikanów. Pożegnałem się z siostrami i dwoma braćmi – Silvio i Federigo – którzy usiłowali ukryć przed ojcem i przede mną wzruszenie, podziękowałem służbie za dotychczasową dobrą i lojalną pracę, ogarnąłem ostatni raz wzrokiem nasz przepiękny, duży dom otoczony gigantycznym ogrodem i wraz z rodzicami wsiadłem do powozu.

Szloch dławił mnie w gardle tak bardzo, że ledwie mogłem oddychać, ale zaciskałem zęby z całych sił, aby się nie rozplakać. Za nic nie chciałem sprawić ojcu zawodu swoim zachowaniem, okazując mu, że po stokroć wolałbym zostać w domu, niż zamykać się za klasztornym murem. Winienem mu posłuszeństwo i lojalność i to nie podlegało żadnej dyskusji. Za to matka płakała całą drogę, a uciszanie jej przez ojca przynosiło efekt odwrotny. Ojciec, widząc to, przestał się w ogóle odzywać i większość drogi pokonaliśmy w milczeniu. Tylko kopyta koni wesoło stukały po bruku, piach chrzęścił pod kołami powozu, od czasu do czasu bat zaświszczał w powietrzu, przechodnie rozmawiali na ulicy, a wiatr unosił ten gwar beztroski prosto w otwarte, choć zasłonięte firankami okna naszego powozu.

Jakże zazdrościłem tym wolnym ludziom na ulicy! Każdemu z nich

– od uśmiechniętego szlachcica spacerującego po porannej mszy po żebraka nurzającego się w rynsztoku, wyciągającego brudne, kościste dłonie po okruch chleba. Każdemu zazdrościłem. Tego, że może decydować sam o sobie, że może iść, dokąd zechce, robić, co zechce, bez konieczności tłumaczenia się z każdego kroku wszystkim dookoła. Mnie zakuto w kajdany jeszcze przed moim urodzeniem. Żyłem z nimi na rękach i nogach czternaście lat, a dziś wieziono mnie złotym powozem do więzienia, w którym miałem pozostać już po wsze czasy, związany jeszcze cięższym i poważniejszym brzemieniem...

Urodziłem się jako najmłodszy z pięciorga rodzeństwa w bogatej rodzinie szlacheckiej. Moja matka omal nie umarła, wydając mnie na świat. Były jakieś komplikacje przy porodzie i lekarze wezwali mojego ojca, aby pożegnał się z nią, bo ich zdaniem, jeśli urodziłbym się żywy i jeśli matka w ogóle przeżyłaby ten poród, to chyba tylko cudem. Ale ojciec zdenerwował się na lekarzy, kazał im nas oboje ratować za wszelką cenę, a sam pobiegł do domowej kaplicy i modlił się całą noc. To właśnie wówczas obiecał Bogu, że jeśli moja matka i ja przeżyjemy, dziecko, bez względu na płeć, zostanie oddane służbie Bogu i w dzień czternastej rocznicy narodzin wstąpi do klasztoru. Nie wiem, czy to Bóg wysłuchał modlitw ojca, czy lekarze się mylili w swoich diagnozach, czy też tak po prostu miało być, w każdym razie urodziłem się całkiem zdrow, a matka, choć osłabiona porodem, także czuła się dobrze. Tym samym los mój, jeszcze w łonie matki, został przesądzony...

Od najmłodszych lat powtarzano mi, że będę mnichem i że nie dla mnie uciechy tego świata. Ja mam spłacić dług, który ojciec zaciągnął u Boga w noc moich narodzin. Nie pozwalano mi się bawić, ale uczono modlitwy i rozwagi. Nie brałem udziału w życiu towarzyskim jako nastolatek, nie wolno mi było wychodzić z mojego pokoju podczas hucznych przyjęć i bali organizowanych często w naszym domu. Miałem zapomnieć o życiu doczesnym. Na zawsze.

Rzecz jasna mnie nikt o zdanie nie zapytał! A prawda jest taka, że nigdy nie czułem ani nie czuję w tej chwili szczególnego powołania do służby Bogu. Chociaż wierzę w Niego całym moim czternastoletnim sercem, to zawsze marzyłem o świeckim życiu. Ileż ja dałbym za jeden bal! Za beztróską zabawę! Za swobodny wybór lektur! Za wolność...

Odebrałem klasyczne wykształcenie, jak moje rodzeństwo. Ojciec wyjątkowo skrupulatnie o to zadbał. Ale że miałem wstąpić w szeregi odczytanych i wykształconych dominikanów, oprócz zwykłych przedmiotów dwóch nauczycieli uczyło mnie dodatkowo teologii i historii Kościoła Katolickiego. I muszę przyznać, że zwłaszcza ten drugi przedmiot był nawet ciekawy. Tyle że ja nie umiałem nigdy skupić się na nauce! Gdy nauczyciel czytał mi fragmenty Pisma Świętego, moje myśli, miast kierować się ku Bogu, podążały w zupełnie innym kierunku: ku zabawie, przyjaciom, których nie wolno mi było mieć, ku wolnemu światu. Ciągłe więc musieliśmy powtarzać lekcje, trzeba mi było tłumaczyć coś od początku, bo bez przerwy gubiłem się w zawiłych wątkach dysput teologicznych. Ojciec karmił mnie, będąc przekonany, że surowe kary i napomnienia wybiją mi z głowy głupoty. Ale chociaż cierpiałem to, że go zawiodłem, że ciągle zawodziłem go w jego wobec mnie oczekiwaniach na każdym niemal kroku, chociaż ciężko bolały mnie zarządzane przez niego kary cielesne, nijak nie mogłem zmusić mojej głowy do głębokich przemyśleń o wieczności i naturze Stwórcy. A teraz jechałem na spotkanie swego losu, który mój ojciec zaplanował, a ja musiałem wypełnić.

Przekroczyliśmy mury miejskie i za niedługą chwilę powóz nasz zatrzymał się przed główną furtą klasztorną. Po plecach przebiegł mi lodowaty, nieprzyjemny dreszcz...

Pierwszy wysiadł z powozu ojciec, a potem pomógł wysiąść matce. Na końcu ja, ociągając się, jakby mnie mieli prowadzić na tortury, postawiłem swoje stopy na wyłożonym chochlakami chodniku przed furtą Convento de Santa Cruz la Real w Segowii. Czy istotnie będzie to miejsce mego duchowego rozwoju, przemiany, w którym wreszcie zrozumie, że droga wyznaczona mi przez ojca wiele lat temu była jedyną właściwą i słuszną? Moje serce pełne było obaw, a mój wewnętrzny głos krzyczał z całych sił, bym uciekał spod tych murów, jak najdalej i jak najszybciej, co przejmowało mnie zgrozą. Ale czyż miałem jakiś wybór?...

Służący zdjęli z powozu moje bagaże i skrzynie posagu wypełnione po brzegi złotem. Matka uścisnęła mnie mocno, cała we łzach. Ona też nie miała nic do powiedzenia. Czuję całym sobą, że

chciałaby, abym pozostał w rodzinnym domu, kiedyś nawet słyszałem, jak spierała się o to z ojcem. Ale on rządził w naszej rodzinie twardą ręką i nie znosił, gdy mu się sprzeciwiano. Poza tym złożył obietnicę Bogu, a taka obietnica to niepisana umowa na całe życie. Bóg słowa dotrzymał, żyłem i moja matka także żyła. Teraz ojciec musiał dotrzymać swojego. Ja zaś byłem w tej umowie jedynie towarem handlowym. Jeśli słowa te są bluźniercze, wybac mi, Boże, moją pychę. Jednak prawdą jest, że stojąc na nierównym chodniku dwa metry od bram klatki, w której miałem dać się za chwilę zamknąć, właśnie tak myślałem.

Ojciec polecił przynieść sługom skrzynie pod samą furtę, a mnie uściskał po męsku: krótko i szorstko. Żegnałem się z nim na całe jego i moje życie, ale nawet w takiej chwili nie potrafił wykrzesać z siebie ani krzty czułości. Jak zawsze.

Podeszliśmy do furty. Była okazała, kuta z żelaza, dwuskrzydłowa. Otaczał ją niedawno wykuty w murach, ufundowany przez parę królewską: Królową Izabelę i króla Ferdynanda, portal o tak bogatej ornamentyce, że można byłoby i miesiąc mu się przyglądać, z każdym dniem odnajdując na nim szczególnie niezauważony wczoraj. Na środku widniał ukrzyżowany Chrystus, jak żywy, przed którym klęczeli inkwizytorzy. Jednym z nich był święty Dominik Guzman, założyciel zakonu dominikanów. Inkwizytorzy trzymali krzyż z dwóch stron, za nimi zaś znajdowały się tablice herbowe: Królowej, pochodzącej z Kastylii, i Króla, który wywodzi się z Aragonii. Miało to, jak mniemałem, oznaczać, że para królewska strzeże świętej wiary katolickiej. Nie do końca rozumiałem, dlaczego na płaskorzeźbach widnieją inkwizytorzy, ponieważ w Kastylii nie ma Inkwizycji, ale widać miało to jakieś znaczenie symboliczne. Poniżej pod krzyżem wykuto psy walczące z kotami. A wszystko okalały wielokrotnie motywy łądyg i liści wyginających się w esy-floresy, figury świętych, kwiatów, wstęgi, szarfy, czyjeś dłonie, winorośle, twarze aniołów, kwiaty lilii. Zaniemówiłem z zachwytu, podziwiając to absolutne piękno i nieprzebrane bogactwo form i kształtów, i na chwilę całkiem zapomniałem, gdzie jestem.

Portal skończono wykuwać zeszłej jesieni, a pracowało nad nim

kilku rzeźbiarzy ponad trzy lata. W mieście mówiło się, że Królowa Izabela ufundowała ten portal z sympatii do przeora klasztoru, ojca Tomása de Torquemady. Kiedy cztery lata temu uciekała z oblężonego przez jej przeciwników politycznych Villareal, kiedy nie była jeszcze Królową, a jedynie pretendentką do tronu Królestwa Kastylii, znalazła schronienie właśnie w Segowii, w starym arabskim zamku warownym. To *padre*[1] Torquemada przekonał władze miasta, że należy ją chronić, bo będzie kiedyś wielką Królową i zjednoczy kraj rozbity po niedawnej i nie do końca przeprowadzonej rekonkwiescencji. Trwała wówczas wojna domowa o tron, a skąd przeor klasztoru miał takie informacje o księżniczce Izabeli, nie mam pojęcia. Fakt jest faktem, że Segowia udzieliła jej schronienia. Tego samego roku Izabela Kastylijska została Królową, a rok później dokonała zjednoczenia Kastylii z Aragonią, wychodząc za mąż za dziedzica tronu Królestwa Aragonii – króla Ferdynanda. Z wdzięczności za okazaną jej pomoc Królowa do dziś opiekuje się Segowią, a zwłaszcza opactwem Santa Cruz. W noc ucieczki Izabeli Torquemada przybył ponoć do zamku i długo rozmawiał z księżniczką. Za dwa miesiące koronowano ją na Królową, a ceremonia ta odbyła się na Plaza Mayor w Segowii. W ramach podziękowania Izabela ufundowała renowację klasztornej kościoła. Odtąd klasztor Santa Cruz, czyli Świętego Krzyża, ma w nazwie słowo „la Real”, co oznacza Królewski Święty Krzyż.

Zdecydowane szarpnięcie przez mego ojca sznurem wiszącym przy furcie i dźwięk dzwonka, który rozbrzmiał po drugiej stronie, boleśnie i gwałtownie wyrwały mnie z tych wspomnień. Za jakąś minutę, może nieco dłużej, bo w tamtej chwili czas biegł dla mnie inaczej niż zazwyczaj, jedno skrzydło furty otworzyło się i pojawił się w nim brat furtian. Był to młody, bardzo przystojny, wysoki dominikanin, który powiódł oczami po naszej trójce. Twarz miał tak spokojną i łagodną, że może mi się wydawało, a może naprawdę obawy i strach zaczęły mnie opuszczać.

Brat furtian uklonił się przed nami, pochylając głowę, i przedstawił się:

– Jestem brat José Mavineo de Alvarez. W czym mogę pomóc? – zapytał z nieudawaną uprzejmością i grzecznością w głosie.

Mój ojciec przedstawił nas, a potem powiedział, że jestem nowym nowicjuszem, że rozmawiał już w tej kwestii z czcigodnym ojcem przeorem. Brat José uśmiechnął się, jakby naraz przypomniał sobie, że istotnie miał się dziś zjawić przyszły nowicjusz. Poprosił, aby słudzy wnieśli skrzynie posagu i moje bagaże za mury, i w tym celu otworzył drugie skrzydło furty.

Kiedy skrzynie sprawnie zniknęły z chodnika za murem klasztoru, jeszcze raz ucałowałem matkę, która uczyniła mi na czole znak krzyża. Podziękowałem także ojcu i matce za całe moje dotychczasowe życie. Brat furtian szerokim gestem zaprosił mnie do środka. Biorąc głęboki wdech i zaciskając ze strachu powieki, wbrew sobie przekroczyłem wolno i niepewnie klasztorne podwoje. Brat José pożegnał się jeszcze z moimi rodzicami, dziękując im za ten wielki dar dla klasztoru, a mnie zastanawiało, czy ma na myśli mój nowicjat czy posag, a następnie zamknął oba skrzydła żelaznej furty.

Nie ma odwrotu! – pomyślałem.

Zbierałem się, aby nieść moje bagaże, ale brat José powstrzymał mnie:

– Zostaw to tutaj, Antonio. – Uśmiechnął się. – Później się tym zajmiemy. Teraz muszę przedstawić cię przeorowi, ojcu Tomásowi de Torquemadzie. Jest w tej chwili co prawda zajęty, ale może cię przyjmie. – To mówiąc, ruszył przed siebie alejką wyłożoną białymi i czarnymi, wypłukanymi przez wodę otoczkami ułożonymi na sztorc w przeróżne wzory.

Ruszyłem za nim i cieszyłem się cudnymi widokami, jakie co krok ukazywały się moim oczom. Od furty prowadziła nas kamienista alejka o długości jakichś pięciu lub sześciu metrów. U jej kresu, przed nami w oddali, widziałem dziedziniec, fontannę a za nią kościół. Po obu stronach alejki witały mnie dwa rzędy kolumn zwieńczonych blokami piaskowca, z których nad alejką zwieszały się na kształt sklepienia poplątane gałęzie i pędy kwitnących, ciemnoróżowych róż o pełnych, ale drobnych kwiatach. Słodki i ciężki ich zapach przywitał mnie jeszcze za furtą po tamtej stronie murów. Tutaj zaś przesycił on powietrze, nie pozostawiając miejsca na żadną inną woń.

Kiedy znaleźliśmy się na końcu alejki, a przed nami otworzył się

dziedziniec z szemrzącą coś cicho fontanną, ujrzałem zbudowane z ciepłego piaskowca miejsce: jasne, wypełnione zielenią i wesołym słońcem, które pachniało różami, kwiatami drzewek pomarańczowych i cytrynowych rosnących w różnych miejscach dziedzińca, o tej porze roku z wolna już przekwitających, miejsce ciche, sielankowe, domowe ognisko samego Boga Ojca...

I stałem tak z otwartymi ustami, płacząc nad pięknem tego miejsca, karcąc się w myślach za wszelkie obawy związane z moim tutaj przybyciem.

– Robi wrażenie, prawda? – Brat furtian przystanął obok mnie. – Kiedy pierwszy raz to zobaczyłem, stanąłem zachwycony w tym samym miejscu co ty i nie mogłem się ruszyć. – Uśmiechnął się z rozmarzeniem na wspomnienie tego dnia, które musiało być dla niego przyjemne. – A teraz chodźmy, Antonio. Będziesz miał mnóstwo czasu na podziwianie piękna naszego opactwa. – To mówiąc, skręcił w prawo w bliźniaczą, acz o połowę węższą alejkę, także okoloną kolumnadą.

Nad nami zwieszały się róże, niektóre kolumny były nimi oplecione jak bluszczem. Zerkąłem spomiędzy nich na zalany słońcem kościół, który zapierał dech w piersiach. Szliśmy w przyjemnym cieniu, po prawej stronie mijając drewniane drzwi.

– To dormitorium – brat José uprzedził moje pytanie. – Ma dwa poziomy i składa się z segmentów. Cele mnichów znajdują się na pierwszym piętrze, nowicjuszy – na parterze. W większości. Z wyjątkiem brata Alvaro, który mieszka na dolnym poziomie, i celi przeznaczonej dla nowicjusza brata Armanda, która znajduje się na pierwszym piętrze.

Rozejrzałem się po dormitorium. Rzeczywiście, przy każdym z segmentów ustawionych ciasno obok siebie biegły kamienne schodki na górę i mała galeryjka na pierwszym piętrze, czy też balkon, cokolwiek to było. Zastanawiałem się, dlaczego ów brat Armand musi mieć swojego ucznia na tym samym piętrze i kim on jest, że przeor zgadza się na takie łamanie reguł.

– A kim jest brat Armand, że przeor traktuje go tak wyjątkowo? – zapytałem.

Brat José spojrział na mnie poważnie i powiedział krótko:

– Dowiesz się.

Alejka poprowadziła nas dalej w lewo, wciąż wzdłuż dormitorium. Brat José zatrzymał się za drugimi, licząc od zakrętu, ciemnobrązowymi drzwiami z litego drewna zwieńczonymi ostrołukiem. Obok, w ościeżach grubych murów, umieszczone były dwa wąskie okna, także zakończone w górze ostrymi łukami. I, co najbardziej mnie zdziwiło, ozdabiały je witraże. Zważywszy, jak misterną, precyzyjną i czasochłonną, a przez to drogą robotą są witraże, nic dziwnego, że widuje się je tylko w kościołach. Po raz pierwszy w życiu widziałem je w oknach tak zwyczajnego budynku, jakim jest dormitorium! Klasztor ten naprawdę musiał być bogaty i nie ulegało wątpliwości, że Królowa rzeczywiście bardzo ceni ojca Torquemadę!

Brat furtian otworzył drewniane drzwi i weszliśmy do niewielkiego pomieszczenia oświetlonego jedynie światłem przechodzącym przez jeden z owych kolorowych witraży, które widziałem na zewnątrz. Było tu chłodno i cicho. Po prawej stronie znajdowały się zamknięte na głucho okazałe dwuskrzydłowe drzwi drewniane ozdobione ornamentami, którym jednak z racji półmroku panującego w holu nie bardzo mogłem się przyjrzeć.

– To gabinet przeora – szepnął brat José, wskazując na owe ozdobne drzwi.

Kiwnąłem w odpowiedzi głową. Tymczasem brat furtian podszedł do uchylonych do połowy, niewielkich w porównaniu z gabinetem przeora, drzwi znajdujących się naprzeciwko wejścia do holu. Uszedłem za nim parę kroków i mogłem się przekonać, że i te drzwi zdobiły ornamenty: płatanina liści i kwiatów, które bardziej przypominały haftowaną koronkę niż płaskorzeźbę drewnianą. W szparze pomiędzy uchylonym krańcem drzwi a futryną mogłem zobaczyć siedzącego za olbrzymim biurkiem drobnego, starszego mnicha, całkowicie pochłoniętego lekturą opasłej księgi.

– Witaj, bracie Pedro – pozdrowił go brat José, wchodząc do środka pokoju starszego człowieka.

Brat Pedro uniósł wzrok znad starej i zakurzonej na krawędziach księgi i uśmiechnął się. Wstał zza biurka i wolno podszedł do nas. Był niewysoki, ale mimo swego wieku wciąż elegancki. Jego oczy pozostały

poważne, mimo że twarz rozjaśniał uśmiech.

Brat José położył mi dłoń na ramieniu:

– To jest Antonio z rodziny de Garcia, nasz nowy nowicjusz – przedstawił mnie starszemu mnichowi. – Brat Pedro de la Fuente jest sekretarzem i skarbnikiem klasztoru, a także księgowym, gdyż prowadzi wszelkie nasze księgi rachunkowe – dodał.

Skłoniłem się nisko przed bratem Pedro, a potem ciekawie rozejrzałem się po jego gabinecie. Pod wszystkimi ścianami stały regały, a na nich księgi: duże, grube tomiska, stare i zakurzone, niektóre tak bardzo, że nie było już widać koloru skóry na ich okładkach. Kilka z nich oprawionych było w drewno. Domyślałem się, że są to księgi rachunkowe, ustawione na półkach według jakiegoś klucza. Mniejsze tomy leżały na stole ustawionym w głębi pokoju i gdzieś dość bezładnie w stertach na podłodze. Pod oknem stało owo duże biurko z rozłożoną okazałą księgą, świecznik, przybory do pisania i stos zapisanych kartek, niepokładanych i miejscami podniszczonych. Być może były to rachunki klasztoru, które ojciec Pedro wpisywał do księgi, a może coś zupełnie innego.

Gdy tak oglądałem to wszystko, dolatywały do mnie strzępki rozmowy brata José z sekretarzem klasztoru.

– Muszę przedstawić mu Antonia. – Brat furtian ściszył głos. – Trzeba mu przecież przydzielić celę, a bez patrona tego nie zrobię.

– Tak, przeor jest u siebie. – Ojciec Pedro pokiwał głową bezsilnie, ale z całkowitym zrozumieniem. – Od trzech godzin siedzą z bratem Armandem nad jakimiś mapami. Zamknęli się zaraz po śniadaniu. – Może mi się wydawało, ale słyszałem w głosie brata Pedra zniecierpliwienie i trochę złość. – Spróbuję tam wejść. Ale nie spodziewaj się, że was przyjmie od razu. Wiesz przecież, że jak przeor pracuje z Armandem, świat wokół przestaje istnieć.

Brat José pokiwał ze zrozumieniem głową. Zaciekawily mnie owe mapy, nad którymi pracował przeor, i ów tajemniczy brat Armand, którego jeszcze nie widziałem, a już tak wiele zdążyłem się o nim nasłuchać.

Ojciec Pedro wyszedł do holu, ja i brat furtian także.

– Może przeor powinien przydzielić Armandowi nowicjusza? –

zażartował brat José. – Wtedy zająłby się czymś pożytecznym.

Sekretarz zatrzymał się na te słowa w pół kroku, pochylił się w naszą stronę i ścisząc głos do szeptu, powiedział ze śmiertelną powagą:

– Mam wrażenie, drogi bracie, że święci się tu coś poważnego. Obaj z przeorem zdają się zaabsorbowani coraz bardziej sprawą, nad którą pracują. Nie mam pojęcia, o co chodzi, ale to coś wielkiego. Wczoraj przyszedł list od Królowej, prywatny, do Torquemady. Nie był adresowany do przeora Santa Cruz, ale do mnicha. Rzecz jasna nie znam jego treści, ale brat Tomás siedział z Armandem w gabinecie całą noc. – Brat Pedro westchnął. – Dlatego nie przypuszczam, żeby przeor przydzielił bratu Armandowi ucznia. A jeśli już, to tylko takiego, jak on. Wiesz, bracie, o czym mówię. – Spojrzał na furtianą porozumiewawczo. – Ten nowy chłopak, Ricardo de Deza, był tu wczoraj, już trzeci raz prosić, aby jego patronem był Armand, ale Torquemada odesłał go z kwitkiem. Patronuje mu brat Constantino – sekretarz zakończył swój wywód i podszedł do drzwi gabinetu przeora.

Zastukał w nie cicho, a potem wszedł do środka. Serce biło mi głośno z wrażenia, że zaraz poznam tak sławnego człowieka, jakim był w Segowii *padre* Torquemada. Po kilku chwilach sekretarz wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

– Tak jak myślałem, przeor jest zajęty – brat Pedro powiedział to cicho, ale z przekąsem. – Teraz Antonia nie przyjmie, ale kazał mu tutaj poczekać. Pytał o posag, czy przywieziony.

– Tak. – Brat José skinął głową.

– Przeor polecił przynieść go tutaj. Mam przeliczyć jego wartość. – Brat Pedro stanął w progu swojego gabinetu.

Chciałem iść z bratem José po skrzynie, ale kazał mi czekać na wezwanie czcigodnego przeora. Sam zaś wyszedł z dormitorium.

Zostałem sam na sam z moimi na nowo odradzającymi się obawami, bo brat Pedro pograżył się na powrót w swoich księgach, a ja nie chciałem przeszkadzać mu w pracy. Ale to, co usłyszałem przed chwilą o ojcu przeorze i coraz bardziej tajemniczym bracie Armandzie, który jawił się w mej wyobraźni równie niedostępny, co zimny w relacjach międzyludzkich, napawało mnie lękiem. Bo i cóż mogłem

sobie pomyśleć o mnichu, który przez przeora traktowany jest w sposób szczególny, który odebrał celę mieszkalną innemu mnichowi, by umieścić tam swego nowicjusza, którego koniec końców mieć nie zechciał; o mnichu, którego wiązała jakaś tajemnicza sprawa, którą dniami i nocami omawiał z przeorem, a w którą zamieszana była nawet Królowa Izabela, sprawa, przez którą nawet jego bracia z klasztoru nieszczególnie za nim przepadali – na ile zdążyłem się zorientować – i któremu na tej sympatii najwyraźniej nie zależało? Ów tajemniczy brat mnie przerażał... Bałem się go bardziej niż spotkania z przeorem. Jeszcze to imię: Armand. Dumne. Chłodne. Trochę aroganckie. Ono samo już budziło grozę. Próbowałem sobie wyobrazić, jak on wygląda, ale do głowy przychodziły mi same potworne obrazy, więc porzuciłem te myśli. Jedno mnie w tamtej chwili pocieszało: że nie będzie on moim patronem, bo nie chce mieć nowicjuszy. Myśl, że mógłbym być jego uczniem, przeraziła mnie tak bardzo, że zacząłem dygotać. Nagle zapragnąłem znaleźć się na zewnątrz, albo za murami, albo w ogóle jak najdalej stąd.

I wtedy drzwi gabinetu przeora ktoś otworzył od środka i pozostawił uchylone. Dla mnie, jak się domyślałem. Spojrzałem pytająco na sekretarza siedzącego w głębi swojego pokoju za szerokim biurkiem, ale księgi pochłaniały całkowicie jego uwagę. Ostrożnie podszedłem do uchylonych drzwi gabinetu przeora.

– Wejdz, Antonio – ze środka dał się słyszeć miły i uprzejmy głos.

Przestępując próg, zastanawiałem się, do kogo należy. Gabinet przeora był doprawdy olbrzymi! Pod trzema ścianami, poczynając od tej po mojej lewej stronie, a także pod ścianą naprzeciw drzwi wejściowych i po mojej prawej stronie, stały regały zavalone książkami, rulonami papierów, pudełkami, niedopalonymi świecami, stosami kartek, czystych i zapisanych, i całą masą innych szpargałów, Bóg jeden raczy wiedzieć, do czego służących. W jednej ze ścian na prawo wykute było smukłe okno z witrażem, którego kolorowe szybki pogrążały pomieszczenie w półmroku przeplatany barwnymi plamami światła, które kładły się na ścianach, sprzętach, posadzce z ułożonej różnobarwnej mozaiki, a nawet na naszych ubraniach. Na ścianie na lewo nad regałem wisiał duży drewniany krzyż, a na nim żelazna figura konającego Chrystusa.

Na środku pomieszczenia stał duży stół, a pod oknem biurko z przyborami do pisania. We wszystkich zaś rogach gabinetu, na biurku, na stole, na regałach, dosłownie niemal wszędzie stały świeczniki, a migotliwe światło wielu świec sprawiało, że wewnątrz wydawało się ciepłe i jeszcze bardziej tajemnicze.

Na masywnym, ciężkim, drewnianym stole rozłożone były arkusze papieru: duży, kwadratowy, gruby arkusz, który, gdy podszedłem bliżej, okazał się mapą Kastylii, Andaluzji, Aragonii, a nawet Grenady!, oraz inne, mniejsze mapy, zapisane kartki papieru, otwarte listy ze złamanymi pieczęciami i różne tym podobne rzeczy. Nad stołem zwisał z sufitu na metalowym łańcuchu wielki żyrandol w kształcie żelaznej obręczy, na górze której zatknięte były świece różnej wielkości i w różnym stopniu wypalenia. Długie, żółtawe sople wosku zwieszały się złowieszczo nad rozłożonymi mapami. To właśnie przy tym stole stali przeor Tomás de Torquemada i ów drugi mnich, brat Armand.

Pochyliłem się grzecznie przed starszym z mnichów, który, jak się domyślałem, był przeorem, i przedstawiłem się.

– Witaj, Antonio! – odpowiedział brat Torquemada i podszedł do mnie bliżej, wystawiając do ucałowania pierścień na jego prawej dłoni.

Była chuda i koścista, o nad wyraz długich palcach. Pokornie ucałowałem tę oznakę władzy w opactwie. Brat Armand w tym czasie pochylony nad stołem w ogóle nie interesował się moim przybyciem.

Przeor tymczasem zmierzył mnie uważnym, nieco smutnym, a nieco zaciekawionym spojrzeniem, w którym było coś hipnotyzującego. Miał poważne, skupione, ciemne oczy, które się nie uśmiechały. Zdradzały zaś przenikliwy i bystry umysł o wielkiej inteligencji. Przeor był ode mnie wyższy o głowę i niesamowicie chudy. Jego dominikańska kuta dosłownie na nim wisiała. Być może umartwiał się głodówkami, a to świadczyło, że traktuje ascezę i umartwianie się w imię Boga bardzo poważnie. Twarz także miał poważną i tak samo chudą, a jej skóra zdawała się ciasno przylegać do czoła i wystających kości policzkowych. Usta zaś były cienkie i sprawiały wrażenie zaciśniętych, a brak zmarszczek wokół nich mógł oznaczać, że brat Torquemada rzadko się uśmiechał.

Zastanawiałem się, ile może mieć lat, zwłaszcza że krótko ścięte

włosy przetykała już siwizna, a i dłonie przeora nie były dłońmi młodego człowieka. Jedynie w oczach tlił się ogień. Ogromny, stale obecny, wszechogarniający ogień, który od razu zobaczyłem, gdy przeor pierwszy raz na mnie spojrział. I może mi się zdawało, ale był to ogień niszczący...

– Więc chcesz, mój chłopcze, zostać mnichem – przerwał ciszę brat Torquemada, wreszcie zdejmując ze mnie wzrok i podchodząc do stołu.

Dał mi ręką znak, abym i ja podszedł bliżej.

– Tak, *padre* – zapewniłem go, postąpiwszy w jego stronę parę kroków.

– Zobaczymy. – Przeor pochylił się nad mapami, jakby mnie w ogóle nie było w pokoju, a po chwili zapytał: – Czy wiesz, Antonio, jaki dziś mamy dzień? – Nie odrywał wzroku znad stołu.

– Niedzielę – odpowiedziałem zupełnie zdezorientowany.

– Tak. Ale pytałem o datę – przeor sprecyzował pytanie szorstkim głosem.

– 30 maja, *padre*. – Nie rozumiałem, o co mu chodzi.

– A czy wiesz, Antonio, jak ważna to data? – brat Torquemada kontynuował to przesłuchanie, studiując wielką mapę. – Wiesz, co wydarzyło się 30 maja wiele lat temu? – dodał, zawieszając głos, i bez wątpienia chciał mnie sprawdzić.

Szybko przebiegłem w myśli znane mi ważne wydarzenia historyczne, ale żadne związane z dzisiejszym dniem nie przychodziło mi do głowy.

Brat Torquemada oderwał wzrok od mapy i spojrział wyczekująco w moją stronę. Dostrzegłem w jego oczach rozczarowanie.

– No i cóż? – zapytał chłodno, jakby wiedział, że nie znam odpowiedzi.

– Nic nie przychodzi mi do głowy, ojczy – wyjąkałem ze wstydem.

Przeor podszedł wówczas do mnie i długo patrzył mi w oczy spojrzeniem ciężkim, ojcowskim i zawiedzionym.

– Czterdzieści siedem lat temu, dokładnie dzisiaj, Inkwizycja we Francji spaliła na stosie tę dziwkę, której się wydawało, że Bóg z nią rozmawia – powiedział ze złością, nawet nie starając się ukryć emocji,

a widząc moje zdezorientowanie, dodał: – O Joannie d’Arc mówię! – Przeor odwrócił się i zaczął chodzić po gabinecie.

Przyglądałem się, jak rzucane przez witraże kolorowe światło mieni się na jego białej kucie, ilekroć się poruszył. Przypomniałem sobie lekcje z historii Kościoła, na których istotnie mówiliśmy któregoś razu o Dziewicy Orleańskiej i jej widzeniach.

– O ile wiem, *padre*, została zrehabilitowana – powiedziałem niepewnie, zastanawiając się, czy w ogóle powinienem się odzywać.

Na dźwięk moich słów przeor zatrzymał się w pół kroku i razem z bratem Armandem spojrzeli po sobie. Zgroza była w tych spojrzeniach.

– Została – przeor przyznał poirytowany. – Bo przecież Karol VII nie mógł zawdzięczać tronu heretyczce! A ten przekupny idiota, Kalikst III, co zwał się papieżem, w 1456 roku uniewinnił tę dziwkę i obwołał męczennicą za wiarę![2] – Tym razem w głosie przeora była pogarda i wyrzut. I gniew.

– Ale przecież papież Kalikst III... – zacząłem, ale przeor mi przerwał.

– To była heretyczka, zapamiętaj to, synu. – Podszedł do mnie i po ojcowsku oparł dłonie na moich ramionach. – Dziwka i heretyczka!

– Tak, ojcze – odpowiedziałem pokornie, dochodząc do wniosku, że nie ma sensu się z nim spierać.

Zastanawiałem się jednak, dlaczego przeor nazywa ją dziwką, skoro jej dziewictwo zostało urzędowo poświadczone i co do tego nie ma wątpliwości w historii, ale wolałem się nie odzywać.

Tymczasem brat Torquemada otoczył mnie ramieniem, z pewnością także chudym i kościstym, jak cała reszta jego postaci, ale przez rękaw kuty dominikańskiej nie mogłem tego zobaczyć, i podprowadził jeszcze bliżej do stołu, przy którym stał brat Armand. Ów tajemniczy mnich spojrział na mnie, ale w jego oczach było wiele ciepła i dobroci, więc moje dotychczasowe obawy pierzchły w jednej chwili.

– Dużo pracy przed tobą, Armandzie – zwrócił się doń przeor. – Powierzam ci wychowanie tego chłopca. – Popatrzył na mnie po ojcowsku i w zasadzie ciepło, ale twarz przeora, jak zdążyłem już zauważyć, nigdy się nie uśmiechała.

– Oczywiście. – odpowiedział brat Armand i poznałem ów miły i uprzejmy głos, który zawołał mnie niedawno z holu do gabinetu. – A Ricardo de Deza? – zapytał. – Prosił kilka razy...

– Ricardo to dla ciebie pestka, Armandzie. – Przeor obszedł stół i stanął obok mego świeżo mianowanego patrona. – Jest w ciebie wpatrzony jak w obrazek, chociaż jest u nas dopiero kilka dni. Nie musiałbyś go nawet uczyć. Uczyłby się sam. Zdecydowałem, że Ricardem zajmie się brat Constantino. Jest ostatnimi czasy przygnębiony, nie wiem dlaczego. A towarzystwo nowicjusza, zwłaszcza takiego jak Ricardo, dobrze mu robi.

Brat Armand odpowiedział skinieniem głowy, a przeor przeniósł wzrok na mnie.

– A więc ustalone. Antonio, to jest twój nowy patron, czcigodny ojciec Armand Castellano de Corell. – Przeor wskazał na niego dłonią.

Pokłoniłem się grzecznie na powitanie mojemu mistrzowi. Gdy opuściłem głowę, na chwilę wzrok mój padł na dużą mapę, na której rozrysowane były miasta Hiszpanii z zaznaczonymi obok czarnymi krzyżami i datami przy każdym z nich. Nic mi to nie mówiło, ale udało mi się zapamiętać: Sewilla 1480, Ávila 1483, Cordoba 1482. Szybko uniosłem wzrok znad mapy.

– Jest mi bardzo miło, *padre* – powiedziałem do brata Armanda najgrzeczniej, jak umiałem.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, a był to uśmiech szczery i miły. Mój mistrz był młody, mógł mieć jakieś trzydzieści lat, był wysoki i szczupły, a wzrost dodawał mu powagi i elegancji. Ciemne włosy zaczesywał do tyłu i nie golił czubka głowy, jak mnisi, których tu widziałem. W panującym półmroku i kolorowych światłach nie mogłem z tej odległości dostrzec koloru jego oczu, ale nie były ani tak ciemne, ani tak chłodne jak u przeora. Był przystojny i w niczym nie przypominał potwornych niedawnych moich rojeń. Był także uprzejmy. Zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie przyjaźń ojca Torquemady i zwykła o nią zazdrość nie są przyczyną niechęci dla mego nowego mistrza ze strony brata José i brata Pedro.

– Ojczy, jeśli to wszystko, pozwolisz, że oddalę się z Antoniem? – zapytał przeora brat Armand, przerywając niezręczną ciszę. – Mamy

wiele spraw do omówienia, a zaraz Anioł Pański.

– Naturalnie, Armandzie. – Przeor pochylił się nad mapami i dał nam ręką znak, że możemy odejść.

Mój patron ukłonił się ojcu Torquemadzie, który, zajęty swoją zabawką, nawet nie zwrócił na to uwagi. Ja także się ukłoniłem. Wyszliśmy z mistrzem do holu.

Przez ten czas, kiedy przebywałem w gabinecie przeora, skrzynie z moim posagiem, skromnym darem dla klasztoru, zostały już wniesione. Ich wieka otworzono, a brat Pedro z okrągłą, miedzianą tacą krzątał się pomiędzy kufkami wypełnionymi złotymi monetami. Nie miałem pojęcia, ile tego było, bo ojciec mój tego ze mną nie omawiał. Ustalił wszystko bezpośrednio z przeorem. Ale musiało być tego sporo, bo zakon dominikanów nie przyjmuje w swoje szeregi dzieci z biednych rodzin. Domagają się wysokiego posagu.

Brat Armand przeszedł przez hol, nie zwróciwszy uwagi na otwarte skrzynie. Pospieszyłem za nim.

Na zewnątrz uderzyło mnie rozgrzane powietrze i gęsty, namacalny niemal zapach kwitnących wokół nas róż. Szliśmy z bratem Armandem tą samą, co poprzednio z bratem José, alejką wśród kolumn zwieńczonych pnączami kwiatów. Minęliśmy aleję prowadzącą do furty, skąd zabrałem swój bagaż. Brat Armand szedł dalej prosto, wzdłuż lewego skrzydła dormitorium, jak nas prowadziła kolejna alejka wyłożona białymi i czarnymi chochlakami i zwieńczona kwiatami róż. Kiedy spojrzałem pomiędzy kolumnami w stronę dziedzińca, zobaczyłem, że takie same rzędy kolumn opasane różami biegną wzdłuż całego dormitorium mającego kształt podkowy, od północy zaś obiegają apsydę kościoła i biegną jeszcze dalej, ale bryła kościoła zasłaniała dalszy widok.

W milczeniu, które z wolna zaczynało mi ciążyć, doszliśmy do miejsca, gdzie aleja zakręcała w prawo. Brat Armand wszedł na pierwsze piętro segmentu po niewysokich schodach i zawołał mnie, abym zrobił to samo.

– Jesteśmy na miejscu. – Mistrz przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi szeroko, wpuszczając do wąskiego korytarza światło dnia, a następnie wszedł do środka. – To moja cela. – Wskazał mi ręką

drzwi po prawej stronie. – Tutaj twoja. – Brat Armand uszedł dwa kroki w głąb korytarza i pchnął drzwi do niedużego, ale przytulnego pokoju, leżącego dokładnie naprzeciwko jego celi, a potem wszedł ze mną do środka.

Pokój miał kształt kwadratu. Po prawej stronie od wejścia znajdowało się północne okno, pod nim prosty stolik służący za biurko, obok szafa drewniana. Naprzeciwko drzwi zaś stało pojedyncze łóżko, a obok niego wykute było zachodnie okno, pod którym na nocnej szafce stały przybory do mycia. Pod ścianą na lewo od drzwi ustawiony był sporych rozmiarów regał na książki, całkowicie pusty.

– Wiem, że jako syn szlachcica przywykłeś do innych wygód, ale dominikanie żyją skromnie. Jesteśmy zakonem żebrzącym – pouczył mnie mistrz. – Przyzwyczaisz się.

– Tak, ojcze – odpowiedziałem z pokorą, chociaż przyznaję, że ascetyczny i ubogi wystrój wnętrza nie nastrajał mnie optymistycznie, nawet jeśli spodziewałem się surowych warunków.

– Na łóżku leży biała tunika. Załóż ją na resztę dnia – instruował mnie brat Armand. – To nie jest jeszcze kuta nowicjusza, bo ceremonia przyjęcia nowych kandydatów do bractwa Santa Cruz odbędzie się za kilka dni, gdy dotrą do nas pozostali chłopcy. Do wszystkich mnichów w klasztorze będziesz się zwracał „ojcze”. Do mnie możesz mówić także „mistrzu”. Tylko dominikanie po złożeniu ślubów mogą pomiędzy sobą nazywać się „braćmi”. Jak będziesz się zwracał do swoich kolegów nowicjuszy, to już ustalicie między sobą. – Mistrz rozejrzał się po mojej celi. – Rozpakuj się teraz, nie będę ci przeszkadzał. Pójdziemy za chwilę na modlitwę na Anioł Pański. Usłyszysz dzwony. A po nabożeństwie zapoznam cię ze szczegółowym planem dnia obowiązującym w klasztorze. – Uśmiechnął się do mnie i tak samo, jak poprzednio przeor, teraz on położył mi dłonie na ramionach. – Cieszę się, Antonio, że będziesz moim uczniem. Postaram się być dla ciebie nauczycielem i jak najlepiej przygotować się do posługi Bogu. Gdybyś czegoś potrzebował, jestem u siebie. – To powiedziawszy, brat Armand wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Usiadłem na łóżku nieco oszołomiony wrażeniami. Pokój wydawał mi się przygnębiająco smutny, mały i mimowolnie kojarzył mi się

z więzieniem. Otworzyłem szeroko północne, duże okno i długo wpatrywałem się w rozległe gaje oliwne rozciągające się w oddali, aż po horyzont.

Rozpakowałem swoje sprzęty: kilka książek na pustym regale wyglądało komicznie, na szafce nocnej spoczęła Biblia, brewiarz, lekcjonarz i różaniec. Niewielką ilość bielizny położyłem w szafie na jednej z czterech półek, a na dole sandały na zmianę i cieplejsze obuwie. Na biurku rozłożyłem przybory do pisania, pamiętnik, dodatkowy pojemnik inkaustu, zapas piór. Oto cały mój dobytek na resztę życia... Właśnie ta świadomość, że spędzę w tych murach resztę życia, napawała mnie grozą tak wielką, że strach dławiał mi gardło, a w oczach zjawiały się całkiem nieproszone łzy. Bezradnie rozglądałem się po celi, jakbym szukał jakiegoś ratunku z tej sytuacji. Ale przecież wiedziałem, aż nadto dobrze, że żadna siła żadną miarą mnie od klasztoru nie wyratuje...

Przebrałem się w białą, cienką tunikę, długą do samych stóp, którą założyłem na samą bieliznę i przewiązałem ją w pasie sznurem, który obok niej leżał. A teraz kończę pisać te słowa, gdyż biją już dzwony na Anioł Pański i patron mój zapewne czeka na mnie, by wprowadzić mnie w ten nowy, całkiem mi obcy, tajemniczy świat.

2 czerwca. Santa Cruz

Pierwsze moje dni w klasztorze upłynęły mi szybko, prawie w całości w towarzystwie ojca Armanda, którego mądrości i wiedzy nawet nie przeczuwałem. Ale po tym krótkim czasie mogę napisać, że myliłem się w moich pochopnych ocenach, obawiając się go pierwotnie i pozwalając mojej wyobraźni tworzyć fałszywy wizerunek tajemniczego mnicha tylko na podstawie uprzedzeń kolegów z opactwa, co do których zbyt szybko założyłem, że są prawdziwe.

Popołudniem w dzień mojego przyjazdu patron zabrał mnie na spacer po klasztorze, aby zapoznać mnie z topografią i rozmieszczeniem budynków oraz braćmi, z których każdy w opactwie, jak zdążyłem się zorientować, miał wyznaczoną do pełnienia konkretną funkcję.

Zaczęliśmy zwiedzanie od furty głównej, którą przybyłem do

klasztoru. Brat Armand uchylił jedno jej skrzydło i pokazał mi z oddali budynek stojący nieopodal murów po lewej stronie, tuż przy drodze do miasta. Był to jednopiętrowy długi pawilon o ścianach z białego piaskowca i licznych oknach, kryty dachówką.

– To Szpital Świętego Krzyża – poinformował mój mistrz. – Należy do dóbr klasztornych i mnisi z wykształceniem medycznym opiekują się chorymi. Pomagają nam również siostry augustianki z miejscowego zgromadzenia.

– To wśród mnichów są lekarze? – zapytałem ze zdziwieniem, bo trudno było mi sobie wyobrazić, że wykształcony lekarz porzuca praktykę i swoich pacjentów i wstępuje do klasztoru.

Mistrz uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Ach, Antonio, wielu z nas jest lekarzami! Ja również.

– Ale... – chciałem zapytać, jak to możliwe, gdy brat Armand mi przerwał.

– Antonio, nie zapominaj, że dominikanie to zakon kaznodziejski. Naszym posłannictwem jest nauczanie, niesienie światła wiedzy ludziom. Zatem większość naszych braci to ludzie wykształceni, po studiach na uniwersytetach: w Salamance, w Palencji, nawet w Bolonii. Nierzadko są biegli w kilku dziedzinach – tłumaczył mi *padre* Armand. – Kiedy skończy się nowicjat, przeor i dotychczasowy patron decydują o posłaniu młodego mnicha na studia, zaraz po złożeniu przezeń ślubów, na kierunek dopasowany do jego upodobań i możliwości.

Otworzyłem szeroko oczy ze zdziwienia, słuchając mego patrona.

– Czy ja również pojedę na studia? – zapytałem niepewnie.

– Mam taką nadzieję, Antonio – odpowiedział szybko i bardzo poważnie mistrz. – Myślę, że przez czas nowicjatu odkryjesz swoje zainteresowania, jeśli jeszcze ich nie znasz, i za moim pośrednictwem poprosisz przeora o sfinansowanie dalszej nauki. – Brat Armand zamknął furtę i ruszyliśmy alejką w stronę dziedzińca. – Pokładam w tobie duże nadzieje, Antonio. – Mistrz spojrzał na mnie. – Ufam, że się nie zawiodę – dodał.

– Zrobię, co w mojej mocy, *padre*, aby cię nie rozczarować – odpowiedziałem pokornie.

Zrobiło mi się zimno na samą myśl o wielu latach spędzonych na

nauce, do której, biorąc pod uwagę dotychczasowe moje osiągnięcia w tym przedmiocie, chyba nie byłem szczególnie uzdolniony. Ale z drugiej strony wyjazd na studia to także możliwość wyrwania się stąd do wielkiego świata, więc była to zawsze jakaś pociecha, zważywszy, że przyprowadzono mnie tu wbrew mojej woli i o wszystkim dotąd zdecydowano za mnie.

Skręciliśmy w lewo różaną aleją ocienioną dwoma rzędami kolumn i szliśmy wzdłuż dormitorium.

– A ty, mistrzu, długo studiowałeś medycynę? – zapytałem cicho, nie wiedząc, czy patron mój będzie chciał mi to opowiadać.

– Dziewięć lat – odparł. – Zrobiłem doktorat z medycyny i objąłem katedrę anatomii na Uniwersytecie w Bolonii. Wykładałem ją dwa ostatnie lata mojego tam pobytu. Studiowałem najpierw trzy lata w Salamance, potem dalsze sześć w Bolonii. Miałem własną praktykę za każdym razem w uniwersyteckich szpitalach. W Bolonii zostałem dyrektorem szpitala i małego leprozorium[3]. Kochałem medycynę. – Mistrz zamyślił się. – Nadal Kocham. Dlatego założyłem tutaj ten szpital. – Wskazał ruchem głowy na mury klasztoru, za którymi stał pawilon szpitala. – Medycyna i leczenie ludzi to największa pasja i największa radość dla człowieka – dodał, a jego oczy zapłonęły jakimś dziwnym ogniem. – Jeśli będziesz chciał, możesz pomagać mi w szpitalu. Najpierw popatrzysz, jak opatruje się rany, jak dba o chorych, a potem zaczniesz wykonywać proste zabiegi i pomagać pracującym tam mnichom. W szpitalu służy jeden z nowicjuszy, Juan. A nowo przybyły twój kolega, Ricardo, już zgłosił się na ochotnika. Więc jeśli masz taką wolę, po ceremonii przyjęcia w poczet nowicjuszy zabiorę cię do szpitala. – Mistrz spojrzał na mnie wyczekująco.

– Bardzo chętnie, ojczy – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Perspektywa pomocy innym i robienia czegoś praktycznego i pożytecznego była przyjemna.

Szliśmy wolno wzdłuż dormitorium, a ja wyglądałem spomiędzy kolumn na dziedziniec, na którego środku stała okazała fontanna z białego kamienia, której bezustannie płynąca woda szeptała coś w sobie tylko znanym języku. Wokół fontanny rosły cztery, niewiele wyższe ode mnie drzewka cytrusowe, obsypane białymi kwiatami.

Sądząc po liściach, były to drzewa cytrynowe. Fontanna stała na niewielkim okrągłym patio wyłożonym chochlakami w czarnobiałe, leżące na przemian, koncentrycznie ułożone kręgi. Od niej w cztery strony świata rozchodziły się alejki, także wyłożone chochlakami: północna i południowa biegły do skrzydeł dormitorium i łączyły się z alejkami otoczonymi rzędami kolumn i ocienionymi pędami róż. Południowa prowadziła prosto do gabinetu przeora, północna do skrzydła dormitorium, w którym znajdowały się między innymi nasze cele: moja i mistrza. Zachodnia alejka prowadziła do głównej furty wejściowej klasztoru, zaś wschodnia – do bocznej kruchty kościoła, do drewnianej, niewysokiej dzwonnicy stojącej tuż obok oraz zakręcała dalej do głównego wejścia do kościoła. Na dziedzińcu gdzieniegdzie rosły drzewka pomarańczowe, zaś wokół kościoła – mandarynki, migdałowiec i drzewo brzoskwini. A wszystko to zalane było upalnym, jaskrawym słońcem szerokiej Kastylii, którego intensywny blask odbijał się od wykutych z białego piaskowca budynków, rażąc czasem oczy, i odcinał się pięknie na tle zielonej trawy dziedzińca, drzewek cytrusowych i bujnych pnączy róż.

Brat Armand, widząc, że rozglądam się po dziedzińcu, objaśniał dalej:

– Te drzewka to zasługa naszego brata aptekarza, który zajmuje się także zielarstwem i ogrodem, ojca Martina de Tarralby. To on kilka lat temu zasadził te drzewka i opiekuje się nimi jak ojciec. Ogród znajduje się w drugiej części opactwa, podejźmy tam. A dziedziniec, gdzie stoi fontanna, nazywamy tu między sobą „wielkim”. W odróżnieniu od małego, leżącego po drugiej stronie kościoła, który nie jest już tak reprezentacyjny i znajdują się tam również zabudowania gospodarcze.

Kiwnąłem głową. Podeszliśmy do apsydy[4] kościoła, w której znajdowało się prezbiterium. Rzędy kolumn otaczały apsydę łukiem, ale tak, aby każdy, kto tędy przechodził, nie mógł powstrzymać się od przyjrzenia się architekturze kościelnej bryły. Ja także przystanąłem, zachwycony pięknem tego malutkiego, bardziej przypominającego dużą kaplicę, klasztornego kościółka. Zachwycała mnie liczba ostrych smukłych pinakli[5], które rosły w górę, tworząc las prawdziwy w dwóch półkolistych rzędach na przegubach, gdzie łuki przyporowe

wystające z murów prezbiterium biegły ku ziemi przyporami[6] przypominającymi długie, cienkie, złamane w górze pajęczne nogi. Przyglądałem się łukom podwójnym, ażurowym szczytom iglic pinakli i pomyślałem, że ci, co budowali te cuda, musieli mieć chyba skrzydła...

Mój mistrz także się zatrzymał i pozwolił mi do woli nacieszyć się widokiem wykutych z kamienia, oszałamiająco pięknych i lekkich konstrukcji. Pomiedzy gęsto ustawionymi przyporami widziałem rzędy smukłych okien, zajmujących całą wysokość ścian prezbiterium, zdobionych witrażami. Pozostała część kościoła, dużo wyższa od apsydy, prezentowała się tak samo wspaniale. Konstrukcję jednej nawy, także ozdobionej wysokimi oknami, dźwigały potrójne łuki przyporowe i przypory, na przegubach których umieszczono pinakle lub gdzieś tam gargulce. Dach kryty był dachówką w kolorze rdzy, a na skrzyżowaniu nawy głównej i poprzecznej na dachu wysoko w górę sięgała wieża iglica. Z Wielkiego Dziedzińca do kościoła wchodziło się bocznym wejściem przez transept. Główne, jak objaśnił mój mistrz, było zamknięte na stałe.

Kościółek klasztorny budową swą przywodził na myśl wielkie katedry, które teraz się stawia w dużych miastach całej Europy, tyle że był miniaturowy w porównaniu z nimi, skurczony do niewielkich rozmiarów, ale z zachowaniem całego bogactwa architektonicznego, jakie niesie ze sobą styl zwany gotykiem. Patrząc na to cudeńko, zastanawiałem się, czemu ktoś zadał sobie tyle trudu, aby wybudować tak ozdobny kościół w sercu klasztoru, do którego wstęp mają tylko mnisi. Rozumiem katedry, gdzie podziwiać ich piękno i witraże przychodzi cały okoliczny lud, ale tutaj, za zamkniętymi murami, podziwiać te cuda będą tylko tacy jak ja.

– To nowy kościół – przerwał ciszę brat Armand. – Poprzednio stała tu kaplica, nie tak ozdobna, ale w tym samym stylu. Uległa poważnemu zniszczeniu podczas pożaru kilkanaście lat temu. Izabela Kastylijska, ówczesna następczyni tronu, przejeżdżając przez Segowię, ufundowała renowację kaplicy. A ponieważ była hojna, *padre* Torquemada postanowił wybudować mały kościół.

– Jest zachwycający – powiedziałem, nie przestając mu się przyglądać. – *Padre* Tomás ma upodobanie w gotyku? Musiał zatrudnić

najlepszego architekta – dodałem.

– To nie przeor wybrał styl, ale darczyńca. W całym kraju znane jest zamiłowanie Królowej do gotyku. Ona także przysłała sławnego architekta, który dziś jest nadwornym architektem Korony. W tamtym czasie jego mecenasem była matka Izabeli. – Brat Armand postąpił do przodu parę kroków. – Chodźmy, Antonio. Masz całe życie, żeby się napatrzeć – dodał z uśmiechem.

Oglądając się bez przerwy, ruszyłem za moim mistrzem, nie mogąc wyjść z podziwu dla tej misternej, a jednak stabilnej roboty budowniczego, który w mojej wyobraźni miał niewidzialne skrzydła. Talentu. Aleją pośród róż i kolumn obeszliliśmy prezbiterium, skręciliśmy w lewo i dalej szliśmy w kierunku wschodnim wzdłuż długiego i wyższego niż dormitorium budynku.

– To kapitułarz – odezwał się mistrz. – Raz na jakiś czas, w zależności od potrzeby, w tym budynku zbiera się kapituła klasztoru, by radzić się w ważnych sprawach. Tutaj przyjmujemy też przybywających z ważną wizytą gości. To na parterze. – Ojciec Armand wskazał eleganckim ruchem ręki na rząd licznych, jednakowych okien zwieńczonych ostrymi łukami, w które, ku mojemu zdziwieniu, wstawione były witraże. – Na pierwszym piętrze – mistrz wskazał dłonią górne okna, tym razem bez witraży – mieści się parlatorium, czyli rozmównica. Tutaj spotykamy się niekiedy w kilkusobowych grupach, by coś między sobą przedyskutować albo omówić. Tutaj też odbywają się wykłady dla nowicjuszy, które ja prowadzę. Nie ma jakichś konkretnych terminów, zazwyczaj na koniec zajęć podaję termin kolejnego wykładu. Wszyscy nowicjusze mają obowiązek brać udział w zajęciach i dokształcać się samemu także poza wykładami. Najbliższe nasze spotkanie jest 19 czerwca, po ceremonii przyjęcia was oficjalnie w poczet nowicjuszy.

Skinąłem głową na słowa ojca Armanda i rozejrzałem się po fasadzie budynku, na ile pozwalały mi na to bujne pędy róż tworzące nad kolumnami baldachim. Po prawej stronie minęliśmy rozłożysty orzechowiec, rosnący za apsydą kościoła.

Szliśmy w ciszy, tylko podeszwy naszych sandałów stukały o chochlaki, gdzieś gdzieś zachrząścił piasek. Rozglądałem się po

małym dziedzińcu, znajdującym się za kościołem. Nie był on reprezentacyjny, jak mówił mistrz, ale także zadbane i schludny. I także tu rosły pojedyncze drzewka cytrusowe, a za transeptem zobaczyłem duży figowiec. Biegająca od wejścia głównego do kościoła aleja prowadziła dalej do dwóch wolnostojących budynków w głębi dziedzińca. Były niewielkie, ale zadbane, jak wszystko w tym klasztorze. Zastanawiałem się, co tam się mieści, ale wolałem poczekać, aż opowie mi o nich mistrz.

Kolumny prowadziły nas do zakrętu alei, ale brat Armand zatrzymał się przed dużymi drzwiami do budynku stojącego prostopadle do alejki, którą szliśmy.

– To budynek skryptorium – powiedział. – Na pierwszym piętrze mieści się czytelnia, a w podziemiach – dwukondygnacyjna biblioteka. Będiesz wraz z kolegami spędzał tu mnóstwo czasu, więc zapoznam cię z braćmi bibliotekarzami. – To mówiąc, mistrz szykował się do wejścia, ale w tym momencie zza drzwi wyszli na próg dwaj mnisi.

Ukloniłem się im grzecznie.

– Armandzie – odezwał się starszy z nich, około trzydziestoletni brat, którego oczy, twarz i nawet cała sylwetka zdawała się emanować spokojem i pogodnym usposobieniem. – Dobrze, że cię widzę! – Mnich uściskał dłoń mojego mistrza. – Dzisiaj znów przywieźli do szpitala dwóch chorych.

– Tyfus? – mój patron zapytał poważnie.

– Niestety tak – odpowiedział ten pierwszy. – Kazałem izolować. Mistrz skinął głową.

– Bracie Alvaro – odezwał się *padre* Armand – pozwól, że ci przedstawię, to jest Antonio Gabriel de Garcia. Mój nowy uczeń.

Jeszcze raz ukloniłem się przed ojcem Alvaro, a on uśmiechnął się szczerze. Miał opaloną słońcem twarz, która ze wszech miar skora była do uśmiechu. Mistrz mój mówił dalej:

– To jest brat Alvaro de Medina, mój serdeczny przyjaciel od lat, lekarz. Pracuje także w Leprozorium Świętego Krzyża – przedstawił mi dominikanina. – Oraz jego uczeń, Juan Sauli de Carmosa. – Wskazał dłonią na chłopca, który przez cały czas stał z tyłu w milczeniu.

Juan podał mi rękę, a potem serdecznie mnie uściskał. Nie krył

radości z naszego spotkania, jakbym był jego przyjacielem od lat.

– Tak się cieszę! – powiedział do mnie. – Mieszkasz nad moją celą. Będziemy często się spotykać. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi – mówił szybko, z entuzjazmem, ciepłym, wesołym głosem.

Odniosłem wrażenie, jakbym go znał całe życie i o wszystkim mógł z nim porozmawiać. Był nieco wyższy ode mnie i w białych szatach wyglądał dostojnie. W rękę trzymał opasłą księgę, ale wyglądało to tak, jakby nic nie ważyła.

– Juan jest już prawie dwa lata w nowicjacie – wtrącił mój mistrz. – Pracuje ze mną w szpitalu. Antonio – zwrócił się do mnie – możesz i powinieneś korzystać z jego pomocy i doświadczenia.

– Oczywiście, *padre* – przytaknałem.

Ojciec Alvaro i Juan zbierali się do odejścia.

– Bracie Alvaro, będziesz dziś jeszcze w szpitalu? – zapytał mój mistrz.

– Zaraz po nieszporach miałem się wybrać. – Ojciec de Medina odwrócił się w naszą stronę.

– Dobrze. Przyjdę po ciebie. Pójdziemy razem. – *Padre* Armand przekroczył próg skryptorium.

Juan i jego patron odeszli już aleją w stronę dormitorium. Wszedłem za mistrzem prosto ze słońca do ciemnego pomieszczenia i przed sobą widziałem jedynie zarys białej kuty dominikańskiej brata Armanda. Gdy wzrok mój przyzwyczaił się do ciemności, okazało się, że jesteśmy jedynie w nisko sklepionej, niewielkiej sieni. Mistrz mój mocno popchnął znajdujące się przed nim drzwi i obaj weszliśmy do pogrążonego w ciszy skryptorium.

Było to pomieszczenie okazałe, przedzielone na pół przez rząd stojących pośrodku kolumn, które dźwigały liczne żebra sklepienia. Po prawej stronie wzdłuż ściany, w której wykuto mnóstwo okien wychodzących na wschód, ustawione w dwóch rzędach były stoły kopistów. Wiele ich było, co najmniej dwadzieścia parę. Niektóre były puste, widać, że nieużywane od dawna, inne – przeciwnie, zavalone księgami, które kopista jakby porzucił na chwilę w roztargnieniu. Obok każdej ławy stał pojedynczy stołek i kilkuramienny, żelazny, stojący na

podłodze świecznik. Było to dla mnie zrozumiałe, bo prawdopodobnie wielu mnichów pracuje w nocy lub wieczorami. Przy trzech stanowiskach siedzieli mnisi zajęci kopiowaniem, którzy, gdy weszliśmy, unieśli na chwilę wzrok znad ksiąg, by za chwilę wrócić do swej pracy.

Druga strona pomieszczenia służyła do swobodnego poruszania się. Na lewo od wejścia znajdowały się także schody prowadzące do podziemi, w których, jak wspomniał mistrz, znajdowała się biblioteka. Dalej za schodami stała długa ława z mnóstwem leżących na niej nieuporządkowanych ksiąg i papierów. Domyślałem się, że to ława bibliotekarza, ale samego bibliotekarza nigdzie nie zauważyłem.

Z kolei po prawej stronie od wejścia nieco dalej biegły kręcone schody na pierwsze piętro, zabezpieczone piękną, żelazną poręczą z ornamentem wyobrażającym gęsie pióra, litery alfabetu, otwarte księgi i tym podobne. Musiała być zamówiona tylko dla biblioteki, a schody, do których była przytwierdzona, musiały prowadzić do wspomnianej przez mistrza czytelnicy.

Padre Armand rozejrzał się wokół, z pewnością szukając bibliotekarza. Bo też i za chwilę z podziemi wyszedł bardzo szczupły mnich z naręczem książek i nie zwracając w ogóle na nas uwagi, podszedł do swojej długiej ławy, na blat której położył ciężko grube tomiska. W świetle padającym z szerokiego okna umieszczonego tuż za ławą mogłem przez chwilę dostrzec wirujące wokół ksiąg obłoczki leciwego kurzu. I chociaż nie wszystkie książki w przyniesionej stercie były stare, teraz przynajmniej równo obsypane osiadającym z obłoczków kurzem.

Bibliotekarz usiadł za ławą i zaczął spisywać tytuły ksiąg, które przed chwilą przyniósł.

– Chodźmy, Antonio. – Mój mistrz ruszył wzdłuż rzędu kolumn w stronę bibliotekarza.

Uczyniłem to samo. Gdy podeszliśmy bliżej, mogłem się przekonać, że chudy mnich wpisywał tytuły ksiąg do repertorium – największej księgi, jaką w życiu widziałem. Miała na pewno metr szerokości i co najmniej sześćdziesiąt centymetrów na wysokość, a może i więcej. Zastanawiałem się, do czego mogła służyć i dlaczego

bibliotekarz wpisuje do niej tytuły książek.

– Witaj, czcigodny bracie Jorge – z rozważań wyrwał mnie głos mego mistrza.

Bibliotekarz uniósł głowę znad repertorium. Na ile mogłem ocenić, był trochę starszy od mojego patrona. Może o jakieś dziesięć lat. Wyraz jego twarzy zaś wskazywał bardzo dobitnie, że nie ucieszył się na nasz widok.

– Witaj, Armandzie – odparł sucho i szorstko, a w jego głosie i spojrzeniu nie było żadnych emocji. – Co cię sprowadza do skryptorium? – Po tych słowach mogłem się domyślić, że mistrz mój z całą pewnością nie jest kopistą.

– To mój nowy uczeń, Antonio – *padre* Armand przedstawił mnie, ja zaś skłoniłem się grzecznie. – Brat Jorge de Llorente – mówił dalej mój mistrz – opiekuje się skryptorium, biblioteką i czytelnią. Razem z bratem Santiago de Montilla, który, jak mi niemam, jest na dole w bibliotece.

Ojciec Jorge skinął w odpowiedzi głową. Było to zgoła inne powitanie niż poprzednie z ojcem Alvaro i jego uczniem. Zastanawiałem się, jaka jest tego przyczyna, i doszedłem do wniosku, że bibliotekarz chyba nieszczególnie lubił mojego mistrza. Czy była to wzajemna niechęć? Tego nie udało mi się ustalić, bo brat Armand był bardzo uprzejmy dla ojca Jorge i uśmiechał się w rozmowie z nim, więc trudno mi było wyciągnąć jakieś wnioski.

Brat Jorge wstał zza ławy i podszedł do nas. Był szczupły, a w jego ruchach było jakieś zamyślenie, może nostalgia. Uścisnął mi dłoń krótkim, oszczędnym gestem, nie zmieniając ani na chwilę mimiki twarzy. Minę zaś miał poważną, oczy skupione, ale także w nich dostrzegłem smutek i jakby rozczarowanie.

– Ricardo jest na górze – brat bibliotekarz zniżył głos do szeptu i powiedział to bardziej do mojego mistrza niż do mnie, ale w aksamitnej ciszy panującej w skryptorium trudno było go nie usłyszeć. – Siedzi tam od śniadania. Nie wychodził na obiad. Nie był na modlitwie. Że też brat Constantino na to pozwala! – Zmarszczył brwi.

– Brat Constantino jest bardzo zajęty, przecież wiesz – rzucił w odpowiedzi mój patron. – Kościół, praca w szpitalu, organizacja

modlitw, nocne *officia*. A dziś w szpitalu było mnóstwo roboty. Znow są przypadki tyfusu. Coraz więcej – dodał szybko.

Ojciec Jorge machnął ręką od niechcenia.

– Ten wasz szpital! – powiedział z pogardą. – Wydaje się wam, że uleczycie świat? Zanedbujecie obowiązki.

– Zapominasz się, bracie Jorge – *padre* Armand powiedział to chłodnym, upominającym tonem, aż przeszły mnie ciarki. – A szpital jest potrzebny. Leczymy ludzi, korzystając z wiedzy, której oni nie posiadają. Czyż nie jest to wypełnianie nakazu świętego Augustyna, wedle reguły którego żyjemy? – zapytał pokornie. – Nieść światło wiedzy dla żyjących w ciemności.

Ojciec Jorge wpatrywał się zimno w mojego mistrza.

– Owszem – przyznał. – I nie mam nic przeciwko wiedzy i jej pogłębianiu. Ale nadmiar wiedzy prowadzi do arogancji i pychy, a to już grzechy poważne.

Uśmiech i uprzejmość znikły z twarzy brata Armanda. Surowym spojrzeniem mierzył bibliotekarza, jakby coś w jego wypowiedzi go dotknęło.

– To przez ciebie, Armandzie, Ricardo siedzi tam, na górze. – Ojciec Jorge wskazał ręką na piętro znajdujące się nad nami. – Zamiast się modlić, czyta, co mu kazałeś. Chce się przypodobać tobie, a powinien chcieć przypodobać się Bogu – zakończył z goryczą.

Przyznaję, że się pogubiłem, z czyjej winy Ricardo był w czytelni i kto wobec kogo zanedbywał swoje obowiązki. Jedno wydało mi się pewne: pomiędzy moim mistrzem a bratem bibliotekarzem istniała głęboka niechęć, której źródła nie znałem, ale mogłem oglądać jej owoce.

– Twoje zdanie na temat moich metod nauczania nowicjuszy mnie nie interesuje, czcigodny bracie Jorge. – W głosie brata Armanda była wymuszona uprzejmość. – Przyszedłem tylko przedstawić ci Antonia. – Spojrzał na mnie przelotnie. – Antonio szczerze interesuje się życiem i procesem Joanny d’Arc. Dlatego chciałem cię prosić, abyś przygotował mu na dziś wieczór kopie akt jej procesu.

Słuchałem zaskoczony tego, co mówił mistrz, bo wcale proces tej heretyczki, jak kazał mi ją nazywać przeor, nie interesował mnie aż tak

bardzo, a już na pewno nie pragnąłem studiować akt jej procesu. Ale mistrz najwyraźniej sobie tego życzył, a ja winienem być mu posłuszny. Przytaknąłem więc w odpowiedzi na pytający wzrok bibliotekarza.

– Którego procesu? – zapytał ojciec Jorge. – Inkwizycyjnego czy rehabilitacyjnego?

– Obu, rzecz jasna. – Brat Armand uśmiechnął się uprzejmie.

– Dobrze więc. – Brat bibliotekarz westchnął ciężko. – Akta będą przygotowane w czytelnicy po kolacji – zwrócił się do mnie. – Jak skończysz czytać, zamkniesz drzwi główne do skryptorium, a klucz oddasz mi rano przed jutrznią. Ty lub Ricardo, który z was skończy ostatni. – Bibliotekarz spojrział na mnie z jakąś boleścią w oczach i poczułem się nieswojo.

– Tak, ojczy – zapewniłem go.

Po tych słowach brat Armand i ja pożegnaliśmy się grzecznie i wyszliśmy z budynku.

– Znasz łacinę, jak mniemam – zagadnął mistrz, gdy szliśmy dalej aleją różaną wzdłuż ściany skryptorium.

– Tak, ojczy.

– To dobrze, bo kopie akt są po łacinie, jak same oryginały – dodał mój patron.

– Ojczy, jak to się stało, że upubliczniono tajne akta procesu inkwizycyjnego? – zapytałem, bo wydawało mi się dziwne, że mogę swobodnie przeczytać akta procesu prowadzonego przez Świętą Inkwizycję, która pracuje zawsze w absolutnej tajemnicy i nigdy nie upublicznia akt swoich ofiar.

– Papież Kalikst III kazał to zrobić – mistrz powiedział to z pogardą. – Najpierw zarządził rewizję procesu Joanny d'Arc, a gdy naciskani przez niego sędziowie orzekli, że Inkwizycja się pomyliła, papież kazał kopiować akta i rozesłać trybunałom inkwizycyjnym i zakonowi dominikanów w całej chrześcijańskiej Europie ku przestrodze, by więcej nie popełniano takich błędów. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – To było niedopuszczalne! Podważył autorytet inkwizytora, przyznał, że Inkwizycja się myli! I właśnie dlatego Święte Oficjum należy oderwać od Watykanu, jego polityki i nacisków. Gdy inkwizytor nie będzie miał nad sobą przełożonego,

będzie odpowiadał jedynie przed Bogiem i historią, wówczas będzie sędzią niezawisłym – mistrz mówił z zapalem, na koniec popatrzył na mnie, a widząc po mojej minie, że niewiele znam się na tych rzeczach, dodał: – Kiedyś to zrozumiesz, Antonio. I przyznasz mi rację. A teraz chodźmy dalej.

Ruszyliśmy szybciej przed siebie. Pomyślałem, że mój mistrz musi mieć olbrzymią wiedzę w tej materii, skoro mówił z takim przekonaniem.

– *Padre*, jeśli mogę, czy oprócz medycyny znasz się również na prawie? – zapytałem nieśmiało. – Mówisz o takich zawiłych rzeczach...

Ojciec Armand uśmiechnął się.

– Owszem – przyznał – studiowałem prawo rzymskie i prawo kanoniczne. Dziewięć lat. I teologię. Widzisz, Antonio, wiedza otwiera przed tobą drzwi, o jakich nie śniłeś. Ale musisz być dobry w tym, co studiujesz. Najlepszy. Wtedy dojdiesz do naprawdę wielkich rzeczy. – Spojrzał na mnie. – A chciałbyś tego, prawda, Antonio?

Sposób, w jaki mistrz zadał to pytanie, nie pozostawiał wątpliwości, jaką odpowiedź chce usłyszeć. A prawda jest taka, że chociaż podziwiam jego umysł i wiedzę, którą skrywa, to wcale nie chciałbym latami studiować zawiłych kwestii prawnych i teologicznych. Nie mam ambicji, by się doktoryzować, jak on.

– Chciałbym mieć kiedyś taką wiedzę jak ty, mistrzu – odpowiedziałem.

Chyba nawet nie było to kłamstwo, bo wiedzę chciałbym mieć, ale nie lubię się uczyć, co, rzecz jasna, pomiąłem milczeniem.

– Wszystko w swoim czasie, Antonio – odparł dumnie mistrz, ani się domyślając moich prawdziwych pragnień.

Tymczasem doszliśmy spacerkiem do końca fasady skryptorium, gdzie rząd kolumn po naszej lewej stronie kończył się. W tym miejscu wystawały nieco na aleję dwa bliźniacze, piętrowe, ale niewielkie budynki, przytulone do siebie ciasno, że i noża pomiędzy nie nie dałoby się wściubić.

– To tłocznia wina i oliwy. – Brat Armand wskazał na pierwszy z budynków. – Oliwę tłoczemy w klasztorze dwa razy do roku z oliwek przyniesionych nam w darze od mieszkańców Segowii. Zajmuje się tym

brat Bernardo de Rossi, który opiekuje się także pralnią, ale o tym zaraz. Oliwę nasz klasztor sprzedaje, zostawiając sobie jedynie niezbędny jej zapas. – Mistrz zatrzymał się przed budynkiem. – Wino wyrabia natomiast brat José, którego już poznałeś przy furcie klasztornej.

Kiwnąłem potakująco głową.

– Winogrona z tutejszych winnic klasztor także otrzymuje w darze od bogobojnych mieszkańców z okolicy. Wino tłoczmy na nasze własne potrzeby. Nowicjusze, jeśli tego chcą, mogą pomagać w tłoczeniu wina i oliwy, więc jeśli będziesz miał ochotę, możesz nauczyć się tej sztuki – mówił dalej mistrz. – Na pierwszym piętrze jest mała pracownia, gdzie brat José wyrabia nalewki zdrowotne przez cały okres letni i jesienny, aby były dostępne potem jako lekarstwa. Zgłoś się do niego, wiele ci opowie. Wiele z tych nalewek wykorzystujemy w pracy w szpitalu. – Znow ruszyliśmy przed siebie. – Tutaj – mistrz wskazał na następny budynek, przed którym się zatrzymaliśmy – jest królestwo brata Martina de Tarralby, naszego aptekarza. Brat Martin opiekuje się także ogrodem, zajmuje się zielarstwem i sporządza receptury lekarstw. – To mówiąc, mistrz wszedł do budynku i dał mi ręką znak, bym uczynił to samo.

Znaleźliśmy się w dużym pomieszczeniu, którego jedynym wystrojem były olbrzymie regały sięgające sufitu, ustawione pod każdą ścianą. Na półkach stały przeróżne słoje, słoiczki, flakony, pudełka, lniane torebeczki we wszelkich rozmiarach i kształtach, butle i butelki, sterty suchych roślin, teraz całkiem pozbawionych koloru i kształtu, usypane kopce kolorowych, sproszkowanych substancji i inne nieznanne mi przedmioty, których nigdy nie widziałem. Liczba tego wszystkiego była przeogromna, tak że mój umysł z trudem ogarniał te ilości, a cóż dopiero, gdyby miał się pokusić o ich przeliczenie. Po bliższym przyjrzeniu się zauważyłem, że słoje wypełniały przeróżne rzeczy: proszki we wszystkich możliwych kolorach, jakieś grudki, nasiona, suche płatki kwiatów, suszone owoce, oleiste, gęste cieczki, przeróżne płyny, korzenie, pędy roślin, suszone, poskręcane liście, a nawet pączki całych kwiatów oraz wiele, wiele innych rzeczy, które z wyglądu nic mi nie przypominały, abym mógł je nazwać. W powietrzu unosił się ciężki zapach składający się z pomieszanych woni wydzielanych przez

wszystkie te medykamenty. Na środku pomieszczenia, które należałoby chyba nazwać apteką, stały dwa duże, ciężkie stoły. Na jednym w stosach usypane były jakieś nasiona, liście jakichś roślin, długie gałęzie, badyle albo łodygi czegoś tam i czerwony proszek. Na drugim stole stała miedziana waga o okrągłych, płaskich szalkach, oszłamiający zbiór różnorodnych odważników, także miedzianych, kilka moździerzey różnej wielkości, niektóre z resztkami tego, co w nich rozdrabniano, oraz kilka ksiąg oprawionych w ciemną skórę, noszących ślady nazbyt częstego użytkowania. Jedna z nich była otwarta.

Gdy weszliśmy, ojciec Martin odważał precyzyjnie na wadze jakiś brązowy proszek. Obok wagi na stole stał niewielki słoik, do którego wsypywał odmierzoną substancję. Jak mogłem się przekonać, gdy podeszliśmy bliżej, w słoiku tym znajdowały się już dwa inne rodzaje proszku o podobnej do brązowego konsystencji.

Brat Martin mógł być mniej więcej w wieku mojego mistrza lub niewiele odeń starszy. Był za to postawniejszy, tęższy, choć wzrostem obaj byli równi. Miał także przyjemną twarz, z której bił spokój i skupienie. A duże, ciemnobrązowe oczy spoglądały na mnie z cichym, nieco powściągliwym uśmiechem. W jego ruchach, gdy odważał proszek na wadze, była dokładność. Robił to powoli, trochę jakby z namaszczeniem, co świadczyło, że lubi swoją pracę i sprawia mu ona przyjemność.

Brat Armand przedstawił nas sobie. Aptekarz uścisnął mnie serdecznie i zaofiarował swoją pomoc, gdybym jej kiedykolwiek potrzebował.

– Tutaj – wskazał ręką na regały – są lekarstwa na wszelkie dolegliwości. – Ojciec Martin uśmiechnął się. – Nie było cię dziś w szpitalu, bracie Armandzie. – Spojrzał na mojego mistrza. – Szukał cię brat Alvaro, był u mnie.

– Tak. Wiem. – Mój patron rozejrzał się po regałach. – Przeor zajął mi całe przedpołudnie. Podobno znów są przypadki tyfusu plamistego?

– Brat Constantino obawia się epidemii – powiedział aptekarz poważnie. – Całe przedpołudnie zgłaszali się ponoć nowi chorzy. Brat Alvaro boi się, że niebawem zabraknie miejsca.

Słuchałem słów brata Martina z wypiekami na twarzy, bo naraz

zacząłem pojmować grozę sytuacji. Za to mój mistrz stał zamyślony i odniosłem wrażenie, że ledwie co słuchał. Zastanowiło mnie to.

– Bracie Armandzie... – Aptekarz najwidoczniej również to zauważył, bo przestał mówić o epidemii.

Mój mistrz spojrział na mnie, jakby nagle ocknął się ze snu na jawie, i przez ułamek sekundy zauważyłem w tym spojrzeniu smutek, być może na wspomnienie obrazów, które nagle stanęły mu przed oczami przywołane słowami ojca Martina. Potem zaś szybko przeniósł wzrok na brata aptekarza.

– Więc wezmę trochę utartego korzenia imbiru, bracie Martinie – powiedział. – Łagodzi nudności i zapobiega wymiotom.

Aptekarz natychmiast porzucił swoje dotychczasowe zajęcie i podszedł do znajdującego się za naszymi plecami regału. Przyniósł stamtąd lniany, trzykilogramowy worek, z którego do małego, papierowego zawiniątka usypał szufelkę tartego korzenia imbiru. Kiedyś w dzieciństwie kazano mi wypić gorący napar z imbiru i doświadczenia tego ohydneho, piekącego smaku nie zapomnę już chyba do końca życia.

Mój mistrz podziękował za imbir, odbierając zawiniątko, które podał mnie.

– A jak bukszpan, który dałem poprzednio do szpitala? – zapytał brat Martin, gdy już mieliśmy wychodzić. – Podziałał? Jest poprawa?

– Na razie nie widzę żadnej – odpowiedział mistrz. – Ale może jest za wcześnie. Ataki powtarzają się co cztery dni. Pacjent jest już bardzo wyczerpany – opisywał jakiś przypadek ze szpitala. – Ta choroba jest zdradliwa. Nie mamy pojęcia, gdzie mógł o tej porze roku zarazić się malarią, gdy praktycznie nie ma wilgoci. Ale bukszpan to jedyne lekarstwo, jakie znamy – zakończył z rezygnacją.

– We Francji jest pewna roślina. – Brat Martin zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. – Podobno, bo jej nigdy nie widziałem – dodał zaraz. – Rośnie jako drzewo niedaleko miasta Chinon. Ponoć nasiona i fragmenty pnia tej rośliny wyłowiono któregoś razu z morza na południowym wybrzeżu Francji. Nie wiadomo, skąd się tam wzięły ani skąd przyplłynęły. Zasadzono nasiona, ale wyrosła tylko jedna roślina, upalnym latem, i w dodatku okazało się, że trzeba ją trzymać w ciepłe, a na zimę wstawiać donicę z nią do pomieszczeń mieszkalnych, bo

inaczej obumiera. Z kory tej dziwnej rośliny miejscowi robią proszek, który podobno leczy malarię[7]. To bardziej eksperyment niż potwierdzona w medycynie skuteczność, ale stosują ten proszek nawet lekarze w szpitalu.

– Leczy ją całkowicie? – dopytywał mój mistrz, a po wyrazie jego twarzy, zaciekawionym i pełnym entuzjazmu, wywnioskowałem, że jest bardzo zaabsorbowany tym tematem, albo malarią, albo, co bardziej prawdopodobne, medycyną w ogóle.

– Tego nie wiem, bracie Armandzie, ale skoro stosują ten proszek, to pewnie tak. Może można byłoby sprowadzić tę roślinę do nas, albo chociaż korę? – Brat aptekarz także się zapalił.

Jego i tak duże i ciemne oczy zrobiły się jeszcze większe.

– Osobiście porozmawiam o tym z Torquemadą. – Mojemu mistrzowi musiało bardzo zależeć na tej roślinie, skoro chciał fatygować samego przeora. – Sprowadź ją, bracie, do nas. Jeśli jest tak skuteczna, jak mówisz, przyda się na pewno w szpitalu.

– Oczywiście. – Brat Martin skinął głową. – Jeszcze dziś napiszę list do dominikanów we Francji, do klasztoru najbliższego miastu Chinon.

Pomyślałem, że ojciec Armand z pewnością jest bardzo dobrym lekarzem, skoro praca w szpitalu tak go interesuje, skoro przejmuje się losem swych pacjentów i bardzo stara się o nowe leki dla nich i chciałby wszelkimi dostępnymi medycynie środkami ulżyć im w chorobie i cierpieniu, nawet sposobami z tak odległych miejsc jak Chinon we Francji. To bardzo piękne i szlachetne tak pomagać innym, poświęcać im swój wolny czas i całą energię, nie mogąc przecież liczyć na żadną zapłatę, może poza wdzięcznością. Przecież to kwintesencja naszej wiary! Wiedząc to wszystko, czyż można tego nie dostrzegać i nie doceniać? Tym bardziej zastanawiało mnie chłodne zachowanie brata Jorgego oraz brata José i brata Pedra wobec mego mistrza.

Tymczasem pożegnaliśmy się z ojcem Martinem i wyszliśmy na zewnątrz.

– Co to jest ta malaria? – zapytałem.

– To straszna choroba. – Mistrz ruszył alejką przed siebie. – Co trzy lub cztery dni pojawiają się ataki gorączki, bardzo wysokiej,

i zimnych dreszczy. Pacjent trzęsie się z zimna w największym upale. Poci się. W malignie ma omamy. Gdy atak ustępuje, jest jeden lub dwa dni spokoju i znów przychodzi atak. I tak do wyczerpania organizmu, śmierci lub nagłego ozdrowienia. Nie ma na to lekarstwa.

Słuchałem przerażony tej opowieści.

– To zaraźliwe? – zapytałem.

– Owszem. – Mistrz skinął głową. – Ale nie wiemy, w jaki sposób się przenosi. Dotąd sądziliśmy, że jest coś w wilgotnym powietrzu, nad wodą, na bagnistych łąkach. Tam najczęściej notuje się przypadki malarii. Ale ten pacjent, który leży w naszym szpitalu, pochodzi z Segowii. Nigdzie ostatnio nie wyjeżdżał. Zdaje się on przeczyć naszej teorii o wilgotnym powietrzu. Ale może to nietypowy jakiś przebieg choroby. Wiesz, wyjątek od reguły. W końcu w Bolonii w szpitalu uniwersyteckim widziałem chorego na malarię z atakami występującymi co dwa tygodnie! Co zastanawia mnie najbardziej, nikt nie zaraża się od chorego: ani siostry, które się nim opiekują, ani lekarze, ani inni pacjenci. Pocięszające to jest, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę przebieg i skutki tej strasznej choroby – zakończył brat Armand, a widząc moją wystraszoną minę, dodał: – Nie masz się czym przejmować, drogi mój Antonio. Jeśli chcesz pracować w szpitalu, musisz podjąć ryzyko zachorowania. Pamiętaj, że są choroby gorsze od malarii.

Pomyślałem, że wolałbym nie być wystawionym na takie ryzyko. W naszej wędrówce przez opactwo doszliśmy do miejsca, gdzie kolumnada po prawej stronie kończyła się wraz z krańcem fasady budynku apteki i dalej chochlaki poprowadziły nas obok ogródka, którym, według słów mistrza, zajmował się brat Martin, a który mijaliśmy po lewej naszej stronie, zaraz za apteką.

– Wspomniany ogród. – Brat Armand spojrzał na wypielone, równiutkie grządki, porośnięte roślinami, których w większości nie znałem.

Był tam również warzywniak, kilka młodych drzewek owocowych i cała grządka maków, które powoli już przekwitały o tej porze roku. Zastanawiałem się, po co hodowali tutaj tak nietrwałe kwiatki, których płatki opadają od byle podmuchu wiatru, tym bardziej że ich nie ścięli,

aby przyozdobić nimi jakieś wnętrze, ale wszystkie je pozostawili na grzędce. Widocznie było inne wytłumaczenie tej uprawy, z pewnością medycznie uzasadnione, ale nie chciałem już męczyć mojego mistrza tyloma pytaniami, więc tylko patrzyłem.

Po prawej stronie alejka prowadziła do studni stojącej w głębi małego dziedzińca. Była to obszerna, kamienna i zadaszona studnia. Obok niej znajdowały się dwa budynki umieszczone dokładnie naprzeciwko apteki i tłoczni oliwy. Wejścia do nich znajdowały się od strony kościoła i trzeba było obejść studnię, żeby się do nich dostać.

– To umywalnia. – Brat Armand wskazał pierwszy z bliźniaczych budynków. – W klasztorze dbamy nie tylko o czystość duszy, ale i ciała. – Podeszliśmy pod budynek. – Obok jest pralnia i suszarnia. Dostaniesz po dwa komplety odzieży: dwie kuty na lato i dwie na zimę. Brudne odzienie oddajesz do pralni. Nie pierzemy sami. Zajmuje się tym, jak wspomniałem, brat Bernardo de Rossi. Na górze, na poddaszu jest suszarnia. Nie zdziw się, jeśli po upraniu dostaniesz kutę noszoną wcześniej przez innego nowicjusza. Nasza reguła mówi, że wszystko mamy wspólne, także odzież. Bieliznę osobistą możesz prać sobie sam lub przynieść do pralni. To już zależy od ciebie. – Mistrz podszedł na powrót do studni i odchodzącą od niej alejką skręcił w prawo, w stronę refektarza.

Znajdowaliśmy się teraz po południowej stronie klasztoru, po tej samej, gdzie dalej na zachód znajdował się gabinet przeora. Tutaj stały zabudowania gospodarcze, jak stajnia dla zaledwie trzech osiołków, obora dla dwóch kóz i jednej krowy, chlew i kurnik. Ale najpierw refektarz, w którym miałem już okazję być na obiedzie, znajdujący się na pierwszym piętrze budynku będącego lustrzanym tylko dużo mniejszym odbiciem skryptorium, jeśli chodzi o jego usytuowanie wśród zabudowań klasztoru.

– W budynku refektarza na parterze mieści się także kuchnia – kontynuował mój mistrz. – Ustalcie między sobą, mam na myśli nowicjuszy, którego dnia będziecie pomagać braciom w kuchni i służyć do posiłków. Ale to dopiero, jak przyjadą pozostali chłopcy. W podziemiu jest spiżarnia i składnica oliwy i win, które trzymamy dla wyjątkowych gości lub na wyjątkowe okazje.

Oglądałem w milczeniu budynek. Minęliśmy pozostałe zabudowania gospodarcze oraz maleńki budynek toalet, przytulony do muru, za węglem którego wykuto małą furtę. Brat Armand zatrzymał się przy niej.

– Boczne wyjście poza mury klasztoru. – Wskazał ręką na żelazne skrzydło niewysokich drzwiczek. – Nie jest używane i dlatego zamykamy furtę na klucz. Za nią są strome schody kute w litym kamieniu, bo w tym miejscu klasztor stoi na skraju niewysokiej skarpy. W dole biegnie droga.

Uwierzyłem bratu Armandowi na słowo, bo przez żelazną furtę i wysoki na trzy metry mur nie mogłem zobaczyć tego, o czym mówił. Już miałem iść dalej, gdy wzrok mój padł na główne wejście do kościoła. Od bocznej furty w murach wprost do drzwi biegła szeroka aleja, jak wszystkie pozostałe wyłożona chochlakami. Jak wspomniałem, kościółek klasztorny jest niewielki i główne drzwi wejściowe także wielkimi nie były. Ale za to zdobienia portalu nad wejściem zachwycały swym bogactwem i pomysłowością! Portal miał kształt ostrego łuku o pięciu archiwoltach[8] rzeźbionych, których ramiona podtrzymywały postacie świętych wysokie na ponad metr, umieszczone po bokach portalu, jedne za drugimi. Każda kolejna archiwolta była nieco mniejsza od poprzedniej i głębiej osadzona. Ościeże kute z piaskowca podtrzymywał w środku pojedynczy filar, z którego patrzył na wchodzących konający na krzyżu Chrystus, a Jego figura wraz z krzyżem miała jakieś dwa metry wysokości. Nad nim zaś, pod archiwoltami, umieszczony był herb dominikanów z krzyżem ułożonym z kwiatów lilii. Opasywała go wstęga, na której wyrzeźbiono słowa: *LAUDARE, BENEDICERE, PRAEDICARE*, oznaczające: „chwalić, błogosławić, nauczać”. To dewiza zakonu dominikanów. Pierwsze z dwóch słów odnoszą się do Boga, ostatnie – do ludu, którego nauczycielami i kaznodziejami powinni stać się mnisi. Przynajmniej takie były założenia, gdy zakon powstawał. Co z tych postanowień pozostało? – pewnie przekonam się już wkrótce.

Pod herbem i wstęgą na tympanonie stał pies z pochodnią w pysku, twarzą zwrócony do wchodzących. Pochodnia się paliła.

Mistrz pozwolił mi na chwilę nacieszyć oczy widokiem portalu,

a potem ruszyliśmy dalej. Przyglądałem się ojcu Armandowi, jak szedł dostojnie, z elegancją w każdym kroku, wyprostowany. Miał na twarzy wyraz cichego spokoju, jaki miewa człowiek, gdy głowy jego nie zaprzatają żadne problemy.

– Tutaj – nie zatrzymując się, mistrz wskazał ręką na niewielki budynek wciśnięty pomiędzy mur przy bocznej furcie a ścianę południowego skrzydła dormitorium – jest cela odosobnienia. Służy czasem jako kara dla tych z nas, którzy zawinili czymś wobec współbraci. – A widząc mój poważny wzrok, dodał: – W zasadzie jej nie używamy. Żyjemy tu w spokoju i bez konfliktów.

Aleja prowadziła nas znów pomiędzy dwoma rzędami kolumn, oplecionych w górze gałęziami róż. Po naszej lewej stronie było dormitorium, a z prawej dobiegało ciche szemranie wody w fontannie. Tak doszliśmy do gabinetu przeora, przed drzwiami którego brat Armand zatrzymał się.

– Tutaj się rozejdziemy – powiedział. – Przeor wzywa mnie do siebie. Jego cela znajduje się na pierwszym piętrze, tuż nad gabinetem i sekretariatem. Zabierz imbir do naszego segmentu. Później po niego przyjdę.

Pożegnałem się więc z moim mistrzem i alejką wzdłuż dormitorium wróciłem do swojej celi.

Po kolacji zaś, zgodnie z życzeniem brata Armanda, udałem się do czytelnicy, zapoznać się z aktami procesu heretyczki znanej jako Dziewica Orleańska. Słońce już dawno zaszło i nad klasztorem rozsunęła się szarówka wieczoru, w alejach otoczonych kolumnadą było zaś prawie zupełnie ciemno. Mnisi rozchodzili się z refektarza, niosąc w dłoniach małe lampki oliwne, które oświetlały im drogę. Ja też niosłem swoją, którą po niesporach podarował mi brat Armand.

Drzwi skryptorium były otwarte, zaś w środku, ku memu zdziwieniu, zastałem brata Jorge de Llorente, który w blasku jednej świecy siedział za swoją ławą bibliotekarza i z całą pewnością czekał na mnie.

– Jesteś, Antonio! – Wstał zza biurka na mój widok. – To są klucze do skryptorium. – Mówiąc to, wręczył mi dwa duże zawieszane na metalowym, nieco zardzewiałym kółku klucze.

Okazały się ciężkie, gdy wziąłem je do ręki, jakby ciężaru dodawała im odpowiedzialność za dopilnowanie wszystkiego jak należy.

– Biblioteka jest otwarta – mówił dalej ojciec Jorge, wskazując na barierkę okalającą schody do podziemi, a za nimi głębiej, pod powierzchnią podłogi skryptorium, pojedyncze drzwi drewniane. – Klucza do niej nie zabieram, ale nie chciałbym, abyście myszkowali na dole po naszych zbiorach. Gdybyście potrzebowali jakiejś książki, jutro wam ją przygotuję. Nie szukajcie sami, bo i tak nie znajdziecie, nie znając klucza do rozmieszczenia książek – brat bibliotekarz powiedział to upominającym tonem i spojrzał na mnie smutno.

Zastanowił mnie ten smutek w jego oczach.

– My? – zapytałem, rozglądając się po pustym i ciemnym skryptorium.

– Na górze jest Ricardo. I pewnie znów spędzi tu całą noc. Trzecią z rzędu – powiedział brat Jorge z irytacją. – Ten chłopak się wykończy, jak się nie wyśpi. Wcale bym go tu nie wpuszczał, gdyby przeor nie poprosił mnie o to osobiście. Pewnie na prośbę Armanda. A w bibliotece jest Oscar, nowicjusz brata Santiago. Ale on praktycznie mieszka w bibliotece. – Pokręcił z niezadowoleniem głową. – Widzę, że i ty zamierzasz tu przesiadywać. – Popatrzył na mnie z litością, ale zanim zdążyłem mu odpowiedzieć, że to przecież nie zależy ode mnie, dodał: – Ech, wy młodzi! Za moich czasów do obowiązków nowicjusza nie należało przesiadywanie w czytelni po nocach. Armand was do tego zmusza, a nie powinien. Pamiętaj o tym, Antonio. Nie musisz tego robić. – Zajrzał mi w oczy, jakby znał na wylot moje myśli.

Skinąłem głową, ale przecież on i ja doskonale wiedzieliśmy, że patronowi muszę być posłuszny, że z pewnością *padre* Armand chce dla mnie jak najlepiej, nie robi niczego złego, co byłoby sprzeczne z regułą, zatem nie miałem powodu, aby mu się sprzeciwiać. Prawda była też taka, że nie miałem przede wszystkim odwagi, by mu się sprzeciwic.

– W takim razie pójdę już. – Brat Jorge westchnął. – Akta procesu Joanny d'Arc są na górze w czytelni. Czekają na ciebie. Potem połóż je tutaj, na moim biurku. – Wskazał ręką miejsce, gdzie mam zostawić akta. – Dobranoc, Antonio.

Brat Jorge zapalił swoją lampkę oliwną od płomienia pojedynczej

świecy, który następnie zdmuchnął i ruszył w stronę drzwi wyjściowych.

– Dobranoc, *padre!* – odpowiedziałem za nim.

Patrzyłem, jak krąg złotego światła rzucanego od płomienia lampy oddala się ode mnie, aż znikł za drzwiami skryptorium. Ja także ruszyłem do czytelnicy. Chciałem jak najszybciej przeczytać akta, by jeszcze wypaść się choć ze dwie godziny przed jutrznią.

Czytelnia była dużym pomieszczeniem, bliźniaczo podobnym do skryptorium, z rzędami ławek po obu stronach kolumn podtrzymujących sklepienie krzyżowo-żebrowe. Niewiele jednak ponad to mogłem zobaczyć w jej wystroju ze względu na ciemności, które w niewielkim stopniu rozpraszała moja lampa oliwna i kilka świec zapalonych dalej przede mną na pulpicie, przy którym ktoś siedział. Jak mniemałem, był to ten nowicjusz, o którym wspominał brat Jorge. Bibliotekarz położył akta procesu Joanny d'Arc na stoliku tuż obok niego, jakby chciał, żebyśmy się poznali.

Podszedłem do niego i przywitałem się grzecznie, ale on dopiero po dłuższej chwili i z ociąganiem się oderwał wzrok od książki, którą studiował, i spojrzał na mnie dziwnym, rozgorączkowanym wzrokiem. Jego oczy błyszczały w blasku płomieni świec. Miał wypieki na twarzy i przez chwilę wydawało się, że przypomina sobie, gdzie jest.

– Przepraszam, mówiłeś coś? – zapytał po chwili głosem o czystej, ładnej barwie. – Zaczytałem się – dodał, a na jego twarzy pojawił się blady uśmiech.

Był wzrostu mojego mistrza, a w białej tunice, identycznej jak moja, wyglądał dostojnie.

– Jestem Antonio de Garcia – powtórzyłem, zapalając świece na stojącym obok mojej ławki świeczniku. – Będziemy razem pracować dziś w nocy. – Uśmiechnąłem się i wyciągnąłem dłoń na powitanie.

– Ricardo de Deza. – Uścisnął mi dłoń. – Słyszałem o tobie. Twoim patronem jest czcigodny brat Armand Castellano de Corell! – prawie wykrzyknął jego nazwisko. – Wiesz, jaki zaszczyt cię spotkał?! Na pewno wiesz. Na pewno cieszysz się, że to on. – Oczy Ricarda zdawały się błyszczeć jeszcze bardziej.

Pokiwałem głową, chociaż prawdę mówiąc, nie wiedziałem, że być uczniem brata Armanda to aż taki zaszczyt i dlaczego, ale okazując

swoją niewiedzę, nie chciałem wykazać się ignorancją, więc przytaknąłem.

– Twój patron także cię tu przysłał i każe się uczyć? – zagadnąłem.

– Brat Constantino? Nie. – Ricardo uśmiechnął się nieznacznie. –

Ale dał mi wolną rękę, jeśli chcę się uczyć. On nie będzie mi w tym przeszkadzał. Nawet mnie zachęcał. Brat Constantino, gdy był nowicjuszem, także uczył się tu po godzinach.

– Myślałem, że *padre* Torquemada na prośbę mojego mistrza cię tu przysłał... – Zaczynałem się gubić w tym.

– Bo żeby przesiadywać w czytelni i bibliotece po nocach, trzeba mieć zezwolenie przeora – mówił Ricardo. – Dlatego poprosiłem brata Armanda, który będzie miał z nami zajęcia, aby dano mi takie pozwolenie. Przeor się zgodził, widzę, że w twoim przypadku również.

Pomyślałem, że w moim przypadku ja sam się nie prosiłem, żeby tu przesiadywać. Mnie kazano tutaj przyjść. Ale z wolna zaczynałem rozumieć, że Ricardo jest z tych, którzy w imię ambicji, nauki i miłości do książek nigdy mnie nie zrozumieją.

– Pomyśl sobie, Antonio – Ricardo mówił, zapalając się coraz bardziej – cała wiedza współczesnego świata dla nas na wyciągnięcie ręki! Całe to bogactwo, o którym inni mogą tylko marzyć!

Pomyślałem, że faktycznie całe, bo biblioteka jest otwarta, a brat Jorge zostawił nam klucz, ale nic mu nie powiedziałem. Westchnąłem. Po raz pierwszy wówczas przyszło mi do głowy, że to Ricardo, nie ja, powinien być uczniem brata Armanda. Dogadaliby się natychmiast.

Usiadłem w swojej ławce i przyjrzałem się opasłym tomom akt. Zejdzie mi z tym do południa, nie tylko do jutrzni! – pomyślałem ze zgrozą. Jakże wolałbym teraz kłaść się spać w swojej celi, niż przerzucać pożółkłe, pisane blaknącym atramentem strony opatrzone pieczęciami biskupa Cauchona i Trybunału Inkwizycyjnego w Rouen!

– Wybacz mi ciekawość – zagadnął nieśmiało Ricardo, wybijając mnie z rozmyślań – ale gdy brat bibliotekarz przyniósł dla ciebie te księgi, zajrzałem, co to jest. Brat Armand polecił ci przestudiować te akta, czy sam chciałeś? – Znow entuzjazm był w jego oczach.

Sam chciałem! Na Boga, czy mój nocny towarzysz na pewno trwał przy zdrowych zmysłach?! Nabierałem pewności, że Ricardo i ja nigdy

się nie zrozumiemy.

– Mój mistrz życzył sobie, abym zapoznał się z tymi aktami – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Rozmawialiśmy o Joannie d’Arc z przeorem i brat Armand chyba uznał, że powinienem zgłębić tę materię.

– Rozmawiałeś z przeorem o procesie inkwizycyjnym?! – Ricardo znów wykrzyknął te słowa, jakby sam fakt rozmowy z bratem Torquemadą był czymś niezwykłym.

Skinąłem głową.

– Brat Armand musi cię bardzo lubić i cenić, skoro zabiera cię na rozmowy z przeorem. – Oczy Ricarda zrobiły się wielkie i miały dziwny, gorączkowy wyraz. – Musisz być bardzo dobry, Antonio. Z pewnością masz olbrzymią wiedzę i przeor to zauważył. Dlatego zostałeś uczniem samego brata Armanda! Ja prosiłem o to kilka razy, ale przeor mi odmówił. Widocznie muszę się jeszcze wiele uczyć. Także od ciebie, Antonio. Cieszę się, że będziemy razem w nowicjacie. Miałbyś coś przeciwko temu, żebym od czasu do czasu rozmawiał z twoim patronem?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziałem.

Ricardo cały promieniał ze szczęścia. Chciałem mu powiedzieć, że to nie było tak, że brat Armand wcale nie zabiera mnie na rozmowy z przeorem, że nie mam pojęcia, dlaczego *padre* Torquemada powierzył mi opiekę ojca de Corell, i że wcale nie mam tej wiedzy, o której mówił, ale machnąłem ręką. Gorączka w jego oczach, zdradzająca ani chybi objawy uwielbienia dla mojego mistrza, była nie do ugaszenia. Na nic zdałyby się moje zaprzeczenia i sprostowania.

– Myślisz, że czcigodny brat Armand zgodziłby się, abym zapoznał się z aktami procesów Joanny d’Arc, gdybym go o to poprosił? – zapytał Ricardo z nadzieją w oczach. – Oczywiście jak skończysz na nich pracować.

– Myślę, że tak – odpowiedziałem. – Mój mistrz bardzo ceni u innych ambicję i głód wiedzy, więc nie przypuszczam, aby komukolwiek tej wiedzy odmawiał. – Pomyślałem, że brat Armand wolałby u mnie widzieć taki zapał do nauki, jak u Ricarda. – A ty co czytasz? – zagadnąłem go bardziej przez uprzejmość niż z ciekawości.

– *Practica officii*. – Ricardo spojrział przelotnie na otwartą księgę i położył na niej dłoń z jakimś nabożeństwem, a potem uśmiechnął się.

– *Practica officii* – powtórzyłem. – *Sprawowanie urzędu*. Jakiego?

– Inkwizytora – odpowiedział tak poważnym tonem, jakby chodziło o kogoś mu bliskiego. – Nie znasz tego dzieła? – zapytał zdziwiony.

Pokręciłem przecząco głową. Zaczyna się! – pomyślałem.

– To wybitne dzieło wybitnego umysłu. – Ricardo zapalił się. – *Practica officii inquisitionis haereticae pravitatis*. Napisał ją Bernard Gui. Ten człowiek już za życia był legendą. Wielkie dzieło i wielka osobowość. Był niezwykle skutecznym inkwizytorem, a metody śledcze opisał w swojej książce. Można ją nazwać podręcznikiem do nauki dla inkwizytorów: obecnych i przyszłych. Musisz to koniecznie przeczytać!

Przytaknąłem, chociaż, rzecz jasna, wcale nie zamierzałem czytać tej książki, a przynajmniej nie z własnej, nieprzymuszonej woli, ale wspomnianie o tym Ricardo było bez sensu.

– A dlaczego ty ją czytasz? – zapytałem.

– Bo chcę zostać inkwizytorem. – Ricardo wyprostował się na krześle i zrobił poważną minę.

Zaskoczyła mnie ta odpowiedź! Nie przyszłoby mi do głowy, że siedzący obok mnie zapaleniec może mieć tak sprecyzowane dążenia i realizuje je, co widać po doborze lektury, planowo i z determinacją.

Inkwizytor... To słowo budziło we mnie odrazę i zgrozę. Kojarzyło mi się z szaleńczymi wojnami religijnymi we Francji i paleniem na stosach niewinnych ludzi, uznanych arbitralnie za heretyków. Oczywiście dopuszczałem do siebie myśl, że wielu z nich mogło faktycznie być winnymi herezji, ale z pewnością zdarzały się i fałszywe oskarżenia. Inkwizytorzy rządili strachem i ogniem. Na szczęście nie było ich zbyt wielu i nie posiadali omnipotencji. Odpowiadali przed biskupami i przed papieżem i poza wydarzeniami w Prowansji ponad dwieście lat temu ich władza stopniowo malała. A teraz Ricardo marzył, by stać się taki jak oni...

– Ale dlaczego? Dlaczego chcesz zostać inkwizytorem? – Teraz i ja także zapaliłem się do rozmowy.

Ricardo uśmiechnął się z dumą.

– Ponieważ uważam to za zaszczyt – odpowiedział wolno, aby każde słowo wybrzmiało echem w pustej czytelnicy.

Blask świec, który padał na jego twarz, nagle w moich oczach uczynił ją upiorną. Przez chwilę niemal zobaczyłem w jego błyszczącym spojrzeniu płomień. Nie były to jednak mdłe płomyki świec, ale ognie stosów...

– Ricardo – spróbowałem jeszcze raz ostudzić jego zapal – przecież w Kastylii Inkwizycja nie istnieje.

– Jeszcze nie. – Skinął głową. – Ale kto wie, może za parę lat ustanowią jej trybunały i u nas? Przecież w Aragonii już funkcjonują. A małżeństwo Królowej Izabeli z królem Aragonii, Ferdynandem, doprowadziło do zjednoczenia obu królestw. Może niedługo i u nas pojawią się Święte Urzędy? Zanim zostanę mnichem i wykształcę się na teologa i prawnika, minie kilka lat. Do tego czasu wszystko może się zmienić. – Mówił tak, jakby miał poukładany w głowie konkretny plan. – A nawet jeśli nie, to wyjadę do Aragonii i tam będę orzekał.

Pomyślałem, że takiego zapaleńca nic na świecie nie powstrzyma, i zakończyłem rozmowę. Musiałem przecież przeczytać akta Joanny d'Arc, bo jak wytłumaczyłbym się przed moim mistrzem? Zabraliśmy się więc obaj z Ricardem za lekturę. Ku memu zaskoczeniu, akta czytało się bardzo szybko. Protokoły przesłuchań podejrzanej, choć długie, pisano potoczną łaciną, nie prawniczą. W miarę czytania zastanawiałem się, czym zasłużyła sobie ta biedna dziewczyna na taką mękę? Gdzie jej wina? To znów przyznawałem rację sędziom. I tak na zmianę. Gdy dobiegłem do końca procesu rehabilitacyjnego, uznałem, że wbrew temu, co powiedział przeor, papież miał rację, polecając ją uniewinnić. Ja w każdym razie wierzyłem w jej niewinność. Tylko jak miałem powiedzieć o tym mojemu mistrzowi? Bo byłem przekonany, że podziela on stanowisko przeora.

Biły dzwony na jutrznię, gdy skończyłem czytać. I muszę przyznać, że lektura mnie wciągnęła. Ricardo siedział obok mnie całą noc, całkowicie pochłonięty podręcznikiem Bernarda Gui. Zamknąłem akta i wstałem z krzesła. Za oknami świtało, a wschodnie niebo zrobiło się różowawe. Zbliżał się wschód słońca. Zgasilem świece na stojącym obok mojej ławki świeczniku.

– Ricardo, wzywają na jutrznię. – Zbierałem się do wyjścia.
– Idź, idź – powiedział pod nosem i od niechcienia mój nocny towarzysz.

– Ricardo! Jutrznia! – powtórzyłem głośnie.

Ale on tylko machnął ręką. Zostawiłem mu więc klucze do skryptorium, a sam zbiegłem na dół po kręconych schodach. Położyłem akta na biurku ojca Jorgego, jak prosił. Idąc ku wyjściu, zauważyłem, że drzwi do biblioteki są otwarte. Pewnie Oscar cały czas tam przebywał. W ciągu nocy nie słyszałem jednak, aby ktokolwiek chodził na dole po skryptorium, także ja i Ricardo nie ruszaliśmy się ze swoich miejsc. Więc Oscar nie wyszedł z podziemi nawet na chwilę, tak był zaczytany. Kolejny dziwak! – pomyślałem. Nie miałem jednak czasu dłużej się nad tym zastanawiać. Pobiegłem na wezwanie dzwonów.

Na zewnątrz było chłodno, mnisi z wolna zbierali się na dziedzińcu. Biły dzwony: na drewnianej, z wyglądu dość starej dzwonnicy, która stała z boku, niedaleko wejścia do kościoła, oraz sygnaturka na kościelnej wieży.

Odnalazłem brata Jorgego i powiedziałem mu, że Ricardo i Oscar są jeszcze w czytelnicy. Bibliotekarz skrzywił się, gdy to usłyszał, ale nic nie powiedział, tylko skinął głową. Chyba nie miał dziś najlepszego nastroju i uznałem, że najrozsądniej będzie nie wnikać głębiej w tę sprawę. Zastanawiałem się, dlaczego tak się przejmuje mną i Ricardem, czemu tak bulwersuje go fakt, że mistrz mój kazał mi się uczyć. Musiało być jakieś wytłumaczenie jego zachowania.

Brat Armand także zszedł na dziedzińiec i gdy krawędź słońca pojawiła się nad horyzontem, weszliśmy wszyscy do kościoła na modlitwę. Dołączył do nas również Ricardo, chociaż bałem się, że nie przyjdzie. Zdążył w ostatniej chwili. Już przeor miał zaintonować hymn, gdy Ricardo wbiegł do kościoła, z tymi samymi wypiekami na twarzy, które miał nad lekturą i z tym samym rozgorączkowanym spojrzeniem, pełnym entuzjazmu i zapału. Ukłonił się przed przeorem, ale ten, zamiast go skarcić, popatrzył nań ciekawie. Bez wątplenia wiedział, że Ricardo całe noce spędza nad książkami, być może wiedział nad jakimi, i milcząco zaaprobował tym samym taką postawę. Oscar zaś nie pojawił się w ogóle.

Odśpiewaliśmy hymn i zaczęło się nabożeństwo jutrzni. Po tych trzech dniach w klasztorze zdążyłem już polubić je bardziej niż inne. Świat budzi się ze snu, pierzchając ciemności nocy, a z nimi wszelkie nocne widziadła i koszmary, co siały niepokój w duszy. Ławki mojego mistrza i moja są pod wschodnią ścianą nawy głównej i w czasie jutrzni wschodzące słońce powoli zagląda w okna po naszej prawej stronie kościoła i ozdabia przeciwległą ścianę kolorowymi plamami światła, które przechodzi przez szybki witraży. Surowe i zimne wnętrze wypełnia się naraz ciepłym, wielobarwnym blaskiem nowych nadziei rodzącego się dnia. Wesołe światło zdaje się wlewać w nasze dusze i rozjaśniać je kojącym światłem samego Boga, którego chwalimy pieśnią. To najpiękniejszy moment dnia. Bez wątpienia architekt przemyślał pod tym względem usytuowanie kościoła i zrezygnował z dość częstego zorientowania ołtarza na wschód.

– Przeczytałeś akta? – mistrz zapytał mnie, gdy wychodziliśmy z kościoła.

– Tak, *padre*.

– Dobrze. – Skinął głową. – W ciągu dnia będę zajęty.

Porozmawiamy o tym wieczorem, po kolacji. Gdyby mnie ktoś szukał, będę w szpitalu.

– Mógłbym iść z tobą, ojcze? – zapytałem, bo wizyta w szpitalu wydała mi się bardzo ciekawa.

– Zabrałbym cię, Antonio, ale nie jesteś jeszcze nowicjuszem. – W głosie mistrza słyszałem, że naprawdę chciałby to zrobić. – Nie mogę cię narażać. Możesz się przecież rozmyślić i wrócić do domu rodzinnego.

– Ale ja bardzo chcę się narażać – zapewnilem go.

– Bez dyskusji. – Brat Armand podniósł dłoń, abym zamilknął. Jego oblicze stało się chmurne. Zmarszczył czoło.

– Tak, ojcze – odpowiedziałem cicho i z pokorą.

Mistrz mój odszedł w stronę swojej celi, ja zostałem w alejce obok fontanny. Patrzyłem za nim.

– Ja nie mogę się rozmyślić... – powiedziałem do siebie.

4 czerwca

Tak, jak powiedział brat Armand, nie zabrał mnie ze sobą do szpitala. A ponieważ nie bardzo miałem co ze sobą zrobić, w związku z tym włóczyłem się trochę po opactwie, by poznać się z pozostałymi mnichami i nowicjuszami.

Wszystkie dni w klasztorze wyglądają podobnie. Około godziny czwartej trzydzieści rankiem bijące dzwony wzywają wszystkich na jutrznię, która rozpoczyna się równo o wschodzie słońca. Zaraz po niej jest pryma, pierwsze, a w zasadzie drugie nabożeństwo dnia. Po niej, o piątej trzydzieści mniej więcej, rozpoczyna się msza święta i dziękczynienie. Potem odmawiamy tercję. Następnie rozchodzimy się do swoich cel, a bracia odpowiedzialni za przygotowanie posiłków idą do refektarza i kuchni. Za około godzinę jemy śniadanie. Reguła świętego Augustyna nakazuje nam spożywać posiłki w ciszy. Nie wolno nam rozmawiać ze sobą, a jedynie przeor może postanowić, że jeden z nas będzie na głos czytał święte teksty.

Po śniadaniu jest czas na pracę lub naukę lub pomoc innym braciom w ich obowiązkach. Zauważyłem, że każdy z braci w klasztorze ma wyznaczone jakieś zajęcie, czymś się trudni, więc po posiłku każdy rozchodzi się do swoich zajęć. Nowicjusze, Juan i Alejandro, którego jeszcze nie poznałem, pomagali dziś w skryptorium i bibliotece. Tylko ja i Ricardo nie mieliśmy co ze sobą zrobić, to znaczy Ricardo zaraz po śniadaniu pognął prosto do czytelni, zapewne aby dokończyć lekturę *Practica officii*.

W południe bijący dzwon wzywa wszystkich na Anioł Pański, a po nim na nabożeństwo zwane sekstą. Ponieważ obiad jest już przygotowany, z kościoła idziemy prosto do refektarza. Po obiedzie znów jest czas na pracę lub naukę. O osiemnastej idziemy na krótkie nabożeństwo – nonę. Po niej do zachodu słońca jest czas wolny, który każdy spędza, jak chce. O zachodzie słońca zaś biją dzwony na nieszpór, nabożeństwo nieco podobne do jutrzni. Następnie jest kolacja i ostatnia modlitwa dnia, czyli kompleta. Po niej rozpoczyna się *silentium*, czyli cisza nocy, którą Ricardo regularnie spędza w czytelni. Jest to czas na odpoczynek, kontemplację i modlitwę.

Ponieważ brat Armand poszedł do szpitala, zajrzałem do kościoła, by podziwiać tam cuda, jakie wykuto w kamieniu. Usiadłem w swojej ławce w pełnym snopów światła wnętrzu. Przez środek nawy głównej biegnie w stronę ołtarza wąskie przejście pomiędzy ławkami. Nie ma kolumn podpierających sklepienie o wielu żebrach. A ponieważ ściany zdobi mnóstwo okien i galeryjek wysoko w górze, budowniczy zaplanowali las łuków przyporowych na zewnątrz kościoła, które dźwigają ciężar ścian, a nade wszystko sklepienia. Na suficie na skrzyżowaniu żeber znajdują się przepiękne zworniki o przeróżnych kształtach: kul, sopli i stożków, ozdobione wykutymi w kamieniu ornamentami o kształcie liści winorośli, pędów roślinnych, kwiatów, płatków róż, czasem twarzy małych aniołków.

Na ołtarzu stoi krzyż Pański, a cierpiący straszliwe męki Chrystus spogląda na nas łagodnie na krótko przed swą śmiercią. Święty Krzyż. Santa Cruz. Poza figurą krzyża i stołem ofiarnym oraz niewielką amboną zawieszoną u góry po lewej stronie na ołtarzu nie ma żadnych innych ozdób. Poza jedną... Są nią witraże. Prezbiterium tworzą w zasadzie same okna – wąskie, biegnące niemal od podłogi do żeber sklepienia. Jedno przy drugim, oddzielone wąskimi, może dziesięciocentymetrowymi kawałkami ścian, okalają święty krzyż bajecznymi kolorami. Światło, które przez nie wpada, ma oczy tak niezliczoną ilość barw, że ścian prezbiterium w zasadzie w ogóle nie widać. Wszystko powlekają kolorowe plamy, w których święci opowiadają swoje dzieje. Okien apsydy jest trzynaście. Każdy z witraży zaś poświęcono jednemu z apostołów, a trzynasty, umieszczony centralnie, opowiada historie z życia Jezusa. Są przepiękne, cudowne i odbierały mi mowę z zachwytu. To dlatego na zewnątrz prezbiterium tak wiele przypór musi dźwigać ciężar sklepienia, ale za to widok – i to z obu stron – jest oszałamiający!

– To arcydzieło – odezwał się za moimi plecami czyjś głos.

Odwrociłem się. Był to mnich, którego znałem z widzenia z nabożeństw. To on dzwonił co rano na jutrznię i na każdą inną modlitwę. Pochyliłem przed nim głowę i przedstawiłem się.

– Nazywam się Constantino Veliger de Vargas. – Mnich uścisnął mnie życzliwie. – Opiekuję się kościołem, jak może zauważyłeś, daję

znak do modlitwy, organizuję życie sakralne w klasztorze. – Uśmiechnął się.

Był w wieku mojego mistrza, ale włosy ścinał krótko. W niebieskich jego oczach była jakaś tęsknota, niezaspokojona, ale tęsknota pozbawiona złudzeń, która nie czyni już nieszczęśliwym. Zdumiało mnie to.

– Jesteś uczniem czcigodnego brata Armanda? – ojciec Constantino z szacunkiem, dotąd niespotkanym w klasztorze, wymówił imię mego patrona.

– Tak – odpowiedziałem.

Uśmiechnął się. Miał w sobie wiele godności i dumy, ale się nie wywyższał. Przeciwnie, jego twarz jaśniała dobrocią i życzliwością.

– To wspaniały mentor – przerwał milczenie brat Constantino. – Wiele cię nauczy. Korzystaj z tej wiedzy, bo tylko wiedza zaprowadzi cię do wielkich rzeczy, Antonio. A przecież wszyscy chcemy dojść do wielkich rzeczy, prawda? – Spojrzał na mnie dziwnym, tajemniczym wzrokiem i odniosłem wrażenie, że coś kryje się za tymi słowami.

Przypominał mi brata Armanda z tą żądzą wiedzy i wiarą w naukę. Pomyślałem, że świetnie dobrali się z Ricardem, chociaż u tego ostatniego żądza wiedzy przypominała raczej obsesję niż tylko ambicję.

– Tak, *padre* – odpowiedziałem. – Dobrze znasz mego mistrza? – zapytałem, mając nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co wydawało mi się, że ukrywa.

Odniosłem naraz wrażenie, że klasztor ten pełen jest tajemnic, które każdy z braci skrywa głęboko w sobie. Tajemnic, które często dotyczą brata Armanda. Tajemnic, które bardzo chciałbym poznać...

– Znam go od wielu lat. – Brat Constantino odwrócił twarz, tak że nie widziałem jego oczu. – Byłem już nowicjuszem półtora roku, kiedy tu przybył. On i brat Alvaro. Zjawili się prawie jednocześnie i bardzo zaprzyjaźnili. Razem chodziliśmy na zajęcia. Ale nie przyjaźniliśmy się, jak on z Alvarem. Może tak by się stało, ale Armanda w opiekę wziął sam Torquemada. Wówczas twój patron nie miał już czasu na przyjaźnie, choć obaj całe dni nadal spędzaliśmy w bibliotece. Potem Armand wyjechał na studia, ja po nim również. Nasze drogi rozeszły się całkowicie – zakończył z goryczą w głosie, która nie wiedziałem, skąd

się brała.

– Mój mistrz wyjechał na studia pierwszy, *padre*? – Coś mi się nie zgadzało. – Przecież był młodszy od ciebie, później zaczął nowicjat.

Brat Constantino popatrzył na mnie pobłażliwie, a za cieniem spowijającym jego spojrzenie kryła się, i byłem o tym przekonany, jakaś tajemnica. Mroczna i smutna. Taka, o której lepiej jest nie wspominać...

– Tak zdecydował przeor – powiedział sucho brat Constantino. – Zresztą, jakie to miało znaczenie? Po powrocie brata Armanda założyliśmy Szpital Świętego Krzyża i leprozorium, w którym we trzech, z bratem Alvarem, pracujemy. I to cała historia.

– Jesteś, ojcze, lekarzem? – zapytałem, będąc pewny, że nie powiedział mi wszystkiego.

Skinął w odpowiedzi głową.

– Podobno macie w szpitalu epidemię tyfusu? – Spragniony byłem wieści, bo szpital wydawał mi się ciekawym miejscem, o niebo ciekawszym niż te mury.

– Brat Armand nie zabrał cię tam jeszcze? – *Padre Constantino* uśmiechnął się, ale uśmiech zaraz znikł z jego twarzy. – Owszem. Są przypadki tyfusu plamistego i moim zdaniem trzeba powiadomić władze miasta, że grozi nam epidemia – powiedział poważnie. – Brat Armand nie rozumie i upiera się... – Przerwał w pół zdania. – Nie zwracaj sobie tym głowy, Antonio – dodał zaraz. – Pewnie twój mistrz ma rację, a ja się mylę. – Odwrócił wzrok tak samo jak wtedy, gdy mówił o przyjeździe brata Armanda do klasztoru, dawno temu. – Na pewno już ci o tym mówił, skoro pytasz.

– Mistrz niczego nie chciał mi powiedzieć o tyfusie – powiedziałem trochę z wyrzutem, może niepotrzebnym. – I chyba zasmuca go ta epidemia. Widziałem to w jego oczach.

Brat Constantino spojrzał na mnie uważnie.

– Zasmuca go, ale nie ta epidemia – powiedział prawie szeptem, akcentując słowo „ta”.

– A która? – zapytałem z ciekawością.

Brat Constantino nic nie odpowiedział. Patrzył w bok i chyba nad czymś się zastanawiał. Długo. A potem zaczął mówić:

– Twój patron przeżył w przeszłości straszną rzecz. Straszną. Miało

to związek z wielką epidemią tyfusu w Toledo wiele lat temu. I dlatego teraz nie chce zauważyć, że grozi nam nowa epidemia. Nie chce dostrzegać przypadków tyfusu, bo przypomina mu się... – Zawahał się i spojrzął na mnie. – Nie powinienem ci o tym mówić, Antonio. Poczekaj, aż opowie ci to brat Armand.

Słuchałem opowieści brata Constantino z wypiekami na twarzy. Skarciłem się także w duchu za wszelkie złe myśli o moim mistrzu, obiecując sobie solennie poprawę.

– Ty też pochodzisz, ojcze, z Toledo? – Pomyślałem, że może tą drogą dowiem się czegoś o owej strasznej rzeczy, którą przeżył mój mistrz.

– Nie. – Podeszliśmy do wyjścia z kościoła. – Ja przyjechałem z Madrytu. Ale o epidemii w Toledo słyszeliśmy, aż za dobrze. Cały kraj patrzył wtedy na zamknięte bramy stolicy i modlił się o zmiłowanie. Miałem wtedy dziesięć lat i też się modliłem.

Wyszliśmy przed kościół na zalany przedpołudniowym słońcem dziedziniec. Woda w fontannie szemrała coś tajemniczego. Nie jestem nawet w stanie opisać, jak bardzo zaciekawił mnie brat Constantino swoją mocno fragmentaryczną opowieścią! Chciałem mu zadać masę pytań, ale wiedziałem też, że nie wypadało mi go wypytywać o szczegóły z prywatnego życia mojego patrona i w dodatku za jego plecami. To byłby grzech obmowy, a tego chciałem uniknąć.

Ukloniłem się bratu Constantinowi i grzecznie odszedłem w stronę swojej celi. Z zupełnie innym nastawieniem szedłem na spotkanie z moim mistrzem.

Brat Armand nie pojawił się na modlitwie Anioł Pański. Nie było go też na obiedzie. Podobnie jak brata Alvaro. Bez wątpienia zatrzymała ich sytuacja w szpitalu. A i *padre* Constantino – takie odniosłem wrażenie – wrócił do opactwa tylko ze względu na obowiązki w kościele.

Po obiedzie podszedł do mnie Juan, nowicjusz brata Alvaro.

– Witaj – powiedział z uśmiechem, gdy wyszliśmy z refektarza. – Wreszcie mam wolne popołudnie. Mój mistrz jest w szpitalu, nie chciał mojej asysty, brat Armand nie zadał niczego do czytania, więc możemy nareszcie bliżej się poznać.

Uśmiechnąłem się do niego również.

– A często brat Armand zadaje pracę do nauki? – zapytałem z żartem i zastanawiałem się, czy chcę znać odpowiedź.

– Nie. – Juan pokręcił przecząco głową. – Pewnie ciebie będzie trochę bardziej męczył, ale da się przeżyć. Przyzwyczaisz się. Lata nowicjatu szybko zlecą i pewnie wyślą cię na studia. Nie każdy jest taki jak Ricardo i Oscar – dodał z lekką ironią w głosie.

– Oscar – powtórzyłem. – Jeszcze go nie poznałem. – Rozejrzałem się wśród wychodzących z refektarza braci.

– Bo Oscar jest jak cień – roześmiał się Juan. – Błady, chudy, mało je, prawie nie sypia i w zasadzie rzadko kiedy wychodzi na światło dzienne.

– Żartujesz, prawda? – także się roześmiałem.

Nie wydawało mi się możliwe, aby ktoś taki mógł w ogóle funkcjonować w klasztorze.

– Ani trochę. – Juan nadal był rozbawiony. – Oscar Siliceo de Garrido jest nowicjuszem ponad rok u brata Santiago de Montilla, drugiego bibliotekarza. Jeśli Ricardo spędza większość czasu nad książkami, to Oscar spędza nad nimi cały swój czas, dosłownie. Przesiaduje w bibliotece dniami i nocami, czasem zabiera książki do swojej celi i siedzi nad nimi długo w noc. Jeśli się dobrze wychylisz z zachodniego okna, to zobaczysz okno jego celi, niedaleko naszego segmentu. My jesteśmy na rogu, dalej obok nas w stronę furty jest segment, w którym na górze mieszka brat Jorge de Llorente, a na parterze jego nowicjusz, Alejandro, a za nimi segment *padre* Santiago i cela na dole należąca właśnie do Oscara. W ostatnim segmencie na rogu alejki prowadzącej do furty mieszka brat José, ale jego musiałeś już poznać.

Kiwnąłem głową.

– Muszę wstąpić do mojej celi – mówił dalej Juan. – Zabiorę dwie książki i pójdziemy do skryptorium. Tam poznasz Alejandra i Oscara.

Zgodziłem się. Alejką obok kościoła i dzwonnicy poszliśmy do naszego segmentu. Cela Juana jest pod względem umeblowania bardzo podobna do mojej, ale widać, że ktoś mieszka w niej o wiele dłużej niż ja w swojej. Na regałach stoi pełno książek i wystruganych z drewna

figurek. Gdy weszliśmy, na biurku leżały rozrzucone kartki, częściowo zapisane, i pióra gęsie w nieładzie.

Juan zabrał naszykowane na regale dwie książki i wyszliśmy na zewnątrz. Było piękne, upalne popołudnie, bezwietrzne, duszne zapachem róż, błękitne bezchmurnym niebem. Klasztor wydał mi się zamkniętym, oderwanym od rzeczywistości światem, w którym czas zatrzymał się na jedno słoneczne popołudnie.

Szliśmy z Juanem wzdłuż dormitorium.

– To segment *padre* Constantina. – Wskazał na budynek graniczący z celami brata Armanda i brata Alvaro. – Poznałeś go, to brat, który wzywa na modlitwę. Jest bardzo mądry, ale się z tym nie obnosi. Pracuję z nim czasem w szpitalu. Jest zawsze życzliwy i chętny do pomocy – mówił szybko Juan. – Ale trudno się z nim rozmawia o rzeczach poza pracą. Jest strasznie skryty. O sobie nic nie mówi i nie wiem, czy ktokolwiek w klasztorze tak naprawdę go zna. A na dole w celi na parterze mieszka Ricardo. Przyjechał kilka dni przed tobą. Twojego mistrza zauważył już pierwszego dnia i od razu poszedł do brata Torquemady prosić o jego patronat. Ale stało się inaczej. Może brat Armand nie chciał? – Juan wzruszył ramionami. – Podobno nie miał dotąd jeszcze żadnego nowicjusza w opiece – powiedział konspiracyjnie. – Ale nikt nie wie dlaczego. Może przez to, że nas wszystkich uczy i w zasadzie bardzo dużo czasu z nim spędzamy. Pewnie nie miał dotąd kiedy zajmować się uczniem.

Na chwilę zapadła cisza, a ja mimowolnie przypomniałem sobie ową tajemniczą epidemię tyfusu w Toledo, która miała mieć wielki wpływ na brata Armanda, o której opowiadał brat Constantino.

– A tu – Juan wskazał pierwsze piętro segmentu graniczącego z celami Ricarda i *padre* de Vargas – tu mieszka brat Domingo de Vivera. Najstarszy z braci w klasztorze. Ma siedemdziesiąt cztery lata i już nie przydziela się mu nowicjuszy. Cella pod nim na parterze jest pusta. Brat Domingo w swoim życiu aż dwadzieścia razy odbywał pieszo pielgrzymkę do Santiago de Compostela. Jest bardzo pobożny. Zobaczysz go często w kościele pomiędzy modlitwami. Rzadko z kimś rozmawia, bo, jak twierdzi, nie interesują go już sprawy doczesne. Czasem może ci coś doradzić w naprawdę ważnej sprawie. Ale nie

zawracaj mu głowy zbyt często.

Santiago de Compostela. Najsłynniejsze sanktuarium Europy, do którego pielgrzymują co roku tłumy wiernych. Miejsce złożenia doczesnych szczątków świętego Jakuba Większego, apostoła, oraz dwóch jego uczniów. Uważa się, że każdy chrześcijanin powinien choć raz w życiu odbyć pielgrzymkę do Santiago de Compostela. W całej Hiszpanii, a ponoć i w całej Europie, drogi prowadzące do tego sanktuarium oznaczone są symbolem muszli przegrzebka, w które podobno odziany był święty Jakub, kiedy wynurzył się z morza opodal Santiago de Compostela podczas bitwy Hiszpanów z Arabami o dominację nad tą ziemią. Jego pojawienie się przesądziło o zwycięstwie Hiszpanów i w podzięk za ten cud postawiono tuż nad brzegiem niewielkie sanktuarium, w którym następnie złożono szczątki świętego. Kościół potem rozbudowywano i dziś jest to, jak mówią, wielkie sanktuarium. Szlak oznakowany muszlami nosi nazwę Camino de Santiago. Wzdłuż całej takiej drogi są domy, gdzie pielgrzym otrzyma za darmo dach nad głową i posiłek. Znakiem rozpoznawczym pielgrzyma jest muszla przegrzebka. Mój ojciec przed moim przybyciem do Santa Cruz surowo przykazał mi odbycie takiej pielgrzymki, jeśli tylko przeor i moje obowiązki w klasztorze na to pozwolą. Dla ojca była to w moim przypadku sprawa honoru. Nie muszę chyba pisać, że tak jak wstąpienie do klasztoru nie było moim marzeniem, tak wcale wizja odbycia wielomiesięcznej pieszej wędrówki do odległego i całkowicie dla mnie obcego miejsca także nie była szczytem moich marzeń i nie rozpaliała mojej wyobraźni. Liczyłem na to, że mnisi poprzez złożenie ślubów nie muszą już uczestniczyć w tego typu wycieczkach, a tu okazuje się, że nie tylko jest to w dobrym tonie, ale że niektórzy robili to już wiele razy!

W skryptorium panował cień, bo słońce z wolna chyliło się ku zachodowi, zaś wschodnie okna pogrążone były w cieniach późnego popołudnia. Kilku mnichów, kopistów, zajmowało się swoją pracą i wcale nie zainteresowali się, gdy weszliśmy.

Brat Jorge siedział za swoją ławą zawałony stosem różnych książek. Na chwilę podniósł wzrok na dźwięk naszych kroków, ale zaraz powrócił do swojego zajęcia.

– Ricardo jest na górze – rzucił krótko brat bibliotekarz. – Jeśli go szukacie. – Nawet nie oderwał wzroku od ksiąg.

– Nie. Nie szukamy go. – Juan uśmiechnął się. – Jest może Alejandro? – zapytał, odkładając na ławę przyniesione książki.

Brat Jorge zdawał się nie usłyszeć tego pytania, bo spojrzał na mnie uważnie.

– Armand znów zlecił ci jakąś lekturę? – rzucił oschle.

Zauważyłem, że nie poprzedzał imienia mego mistrza słowem „brat” lub „padre”, a nazywał go tylko z imienia, tak, jak się mówi do nowicjuszy. I może mi się wydawało, ale było to cokolwiek niegrzeczne.

– Nie, ojciec – odpowiedziałem. – Mistrz dał mi wolne popołudnie.

Wbrew moim oczekiwaniom brata Jorgego wcale nie usatysfakcjonowała moja odpowiedź. Mruknął pod nosem coś niezrozumiałego, ale pewien byłem, że o bracie Armandzie, i wrócił do swej pracy.

– Alejandro jest w bibliotece na dolnym poziomie – bibliotekarz teraz dopiero odpowiedział na pytanie Juana, kolejny raz nie odrywając wzroku znad ksiąg.

– Chodźmy. – Juan pociągnął mnie za sobą schodami w dół.

Po przejściu kilkunastu kamiennych stopni w dół stanęliśmy na wysokości górnego poziomu biblioteki i przez otwarte szeroko drzwi udało mi się jedynie zerknąć do wnętrza na las stojących w dwóch rzędach wysokich, drewnianych regałów, jeden za drugim, wypełnionych po brzegi książkami. Zeszliśmy z Juanem jedno piętro niżej, na najniższy poziom biblioteki. Pomieszczenie było bliźniaczo podobne do tego na górze, tak samo bogato oświetlone świecami, których niezliczona ilość zatknięta była na wielu świecznikach stojących na podłodze w różnych miejscach tej olbrzymiej sali. Sklepienie dźwigały grube, okrągłe w przekroju kolumny, stojące pomiędzy ciężkimi, zrobionymi z ciemnego drewna regałami. Nie mam pojęcia, ile ich było i ile mogło być ksiąg na regałach zgromadzonych, ale nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

– Biblioteka... – powiedział powoli Juan. – Każdy, kto pierwszy raz staje na jej progu, traci oddech z zachwytem. – Uśmiechnął się.

Czułem dokładnie to samo w tamtej chwili. W tej wielkiej sali

byłem maleńkim pyłkiem świata, co narodził się i przeminie dość szybko, ale księgi stojące na regałach, a nade wszystko wiedza, już kilkusetletnia, w nich zamknięta trwać będą długo po mnie. Być może to skłaniało mego mistrza do zdobywania tej wiedzy. Być może to pierwsze wrażenie, którego się nie spodziewałem, odmieni także mnie?...

Ruszyliśmy z Juanem przez bibliotekę wzdłuż głównego przejścia. Zadzieralem wysoko głowę i przyglądałem się z zachwytem księgom spoglądającym na nas z wysokości ostatnich półek. Obok niektórych regałów stały niewysokie drabinki. Zaś pod wszystkimi ścianami sali także ustawiono regały z książkami, jako że pomieszczenia biblioteki nie miały okien i można było zagospodarować także i tę powierzchnię. Powietrze pachniało starym papierem, kurzem, co wirował w drgającym blasku świec, woskiem i skórą, w którą większość ksiąg była oprawiona. Pachniało też starym drewnem i impregnatem, którym trzeba było regały co jakiś czas konserwować.

Przy którymś z nich spotkaliśmy nareszcie nowicjusza brata Jorgego, który zajęty był zdejmowaniem ksiąg z półki i układaniem na niej innych. Bardzo sprawnie poruszał się po jednej z drabinek, aby sięgnąć do górnych półek. Na nasz widok uśmiechnął się szczerze i zszedł na dół.

– Wreszcie mogę cię poznać! – Uścisnął mnie z całych sił. – Cały klasztor o tobie mówi! Nazywam się Alejandro. W całości to brzmi tak: Alejandro Silva de Sarmiento. – Roześmiał się. – Powoli kończę już nowicjat.

Przedstawiłem się mojemu rozmówcy, który nie przestawał się uśmiechać. Mógł być ode mnie starszy o dwa lata, może trzy. Miał ciemniejszą karnację niż ja i Juan i, co mnie najbardziej zdziwiło, nosił dłuższe, kręcone włosy, sięgające mu za ucho. Były czarne jak smoła i otaczały mu twarz burzą niesfornych loków. Był wysoki i szczupły, a przez wzrost wydawał się jeszcze szczuplejszy.

– Dlaczego cały klasztor o mnie mówi? – zapytałem.

– No, jak to: dlaczego?! – Alejandro mówił z entuzjazmem. – Bo jesteś pierwszym uczniem Wielkiego Armanda! – zaakcentował dwa ostatnie słowa. – Jedynym, jakiego miał. Każdy z mnichów miał dotąd jakiegoś ucznia, oprócz Armanda. Przeor go wyróżnia, co wielu z nas się

nie podoba, bo reguła świętego Augustyna mówi, że wszyscy bracia w zakonie, nawet przeor, jesteście sobie równi. – Zauważyłem, że Alejandro wzorem swego patrona nazywa mego mistrza jedynie z imienia.

– Brat Armand nie jest lubiany w klasztorze? – zapytałem nieśmiało.

Alejandro i Juan spojrzeli po sobie tajemniczo.

– Cóż... – zaczął Juan. – Nie to, że nie jest lubiany...

– Nie wszyscy go lubią – dokończył pewnie Alejandro. – Jest wyniosły i bardzo pewny siebie. Torquemada darzy go czymś więcej niż tylko przyjaźnią. On go podziwia. Kombinują coś we dwóch. Ciągłe ich widzę, jak spacerują wieczorami po dziedzińcu i o czymś rozmawiają półgłosem. W sekrecie. Przeor Armandowi pozwala na wszystko! – wykrzyknął. – Najpierw szpital, potem leprozorium. Co dalej?

– Przecież szpital jest dobrodziejstwem! – broniłem brata Armanda, bo wydawało mi się, że to, o czym mówił Alejandro, to zwykłe uprzedzenia.

– Oczywiście, że tak – zaczął Juan. – Ale gdyby z takim pomysłem zgłosił się do przeora którykolwiek z mnichów poza twoim patronem, *padre* Torquemada nigdy by się nie zgodził. A bratu Armandowi pozwolił. Antonio, nasza reguła zezwala nam na opuszczanie murów klasztornych tylko w wyjątkowych sytuacjach i zawsze w towarzystwie innych mnichów. A Armand nie dość, że swobodnie opuszcza klasztor, kiedy chce, to jeszcze wychodzi bez asysty. – Juan mówił o wiele ciszej, może przez to, żeby go nikt nie usłyszał, bo w końcu jego patron jest serdecznym przyjacielem mego mistrza. – Ja nic nie mam do pracy w szpitalu. Uważam, że jest potrzebna. W końcu brat Alvaro i ja także tam pracujemy, ale my przynajmniej staramy się przestrzegać nakazu asysty.

– Chodzi o to – podjął temat Alejandro – że Armand lekceważy prawa i zasady naszego zakonu. Nie wszystkie, ale jednak. Normalnie każdy inny mnich byłby przez Torquemadę ukarany, ale nie Armand. To rodzi konflikty i niechęć do niego. Bo właściwie dlaczego przeor go wyróżnia?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam pojęcia – powiedziałem. – Nawet nie wiem, że go wyróżnia.

– To nie słyszałeś jeszcze tej historii?! – Alejandro prawie krzyknął. – Jak to możliwe, że nikt ci jej jeszcze nie powiedział? Nawet nie wiesz, z kim będziesz przez najbliższe lata spędzał mnóstwo czasu!

Zastanowiłem się, czy na pewno chcę poznać tę historię. I drażnił mnie sposób, w jaki Alejandro wyrażał się o moim mistrzu. Bez względu na to, czy go lubił czy nie, nie powinien tak o nim mówić.

– Nie chcę tego słuchać. – Zamierzałem wrócić do swojej celi, ale Juan chwycił mnie za ramię, zatrzymując na miejscu.

– Powinieneś to usłyszeć. – Przestał się uśmiechać. – Bo nie wiesz, z kim masz do czynienia. I nikt inny w klasztorze ci tego nie opowie, bo nikt nie przejmuje się twoim losem. Będą tylko patrzeć.

Zrobiło mi się zimno. Juan mówił tak, jakby moim patronem był sam Lucyfer, nie człowiek.

Usiedliśmy na podłodze pomiędzy regałami i Alejandro zaczął swoją opowieść o niebo bardziej stonowanym głosem, ku mej pociesze:

– Armand był ostatnim i jedynym dziedzicem największego majątku Kastylii. Większego niż skarbiec królewski. Wniósł go cały w posagu do dóbr klasztornych Santa Cruz. Kiedy tu przybył, miał, zdaje się, szesnaście lat i przeor, którym wtedy również był Tomás de Torquemada, oddał go pod patronat mojego mistrza, brata Jorgego. I na początku wszystko układało się dobrze. Aż Armand zaczął przepadać na całe dnie w bibliotece. Spędzał nad książkami każdą wolną chwilę. Przestał przebywać z patronem. Nawet opuszczał nabożeństwa. Brat Jorge zwracał mu uwagę, karmił, chciał nawet ukarać, ale przeor mu zabronił. Armand stawał się coraz bardziej arogancki i zuchwały, kłócił się z patronem, aż w końcu doszło do otwartego konfliktu zaledwie w trzecim miesiącu jego nowicjatu! Brat Jorge któregoś dnia zwrócił się do przeora, aby upomniał Armanda. Ale przeor wezwał do siebie Armanda i pochwalił go za ambicję i żądzę wiedzy, jaką wykazuje, studiując księgi. Obiecał mu studia w Bolonii. W niecały miesiąc później, na specjalne życzenie Torquemady, Armand złożył śluby zakonne. Cztery miesiące po wstąpieniu w nowicjat! A za chwilę wyjechał na studia, najpierw do Salamanki, potem do Bolonii. Nie było

go w Santa Cruz dziewięć lat i nikomu jeszcze Torquemada nie pozwolił wyjechać na tak długo. Nikomu nie opłacił nauki na tyłu kierunkach i na dwóch uniwersytetach. I nadal traktuje go wyjątkowo. Jakby coś wobec niego zamierzał... Armand z bratem Jorge w zasadzie nie rozmawiają i wiem, że mój mistrz nieszczególnie lubi twojego patrona. Ja na początku byłem zafascynowany nim, jego wiedzą, ale dość szybko zmieniłem zdanie. – Alejandro przerwał na chwilę swoją opowieść, której słuchałem trochę nie dowierzając, chociaż intuicja mówiła mi, że może być prawdziwa.

– A co się dzieje na wykładach? – zapytałem.

– Na wykładach? Nic – Alejandro powiedział to cicho. – Nic takiego. Trzeba przyznać, że Armand bardzo dobrze wyklada. Tyle że dużo wymaga. Często musimy siedzieć w bibliotece i czytelni. A że mamy też swoich patronów i swoje obowiązki, wolny czas na naukę musimy wygospodarować kosztem snu. Armand nie uznaje, że ktoś czegoś nie zrobił, czegoś się nie nauczył. Uważa, że wszyscy są tak samo ambitni i żądni wiedzy jak on, i tylko takich ludzi szanuje. Mierzy każdego swoją miarą i biada ci, Antonio, jeśli nie będziesz mu posłuszny. – Alejandro spojrział na mnie ze smutkiem.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Wstałem z podłogi. – Każdy jest inny, brat Armand nie może mnie zmusić do nauki! Nie jestem taki jak on.

– I dlatego będzie ci ciężko. – Juan stanął obok i objął mnie ramieniem, chcąc chyba dodać mi otuchy. – Ale masz nas. – Uśmiechnął się. – Zawsze możesz na nas liczyć.

– Jeśli to wszystko, co mówicie, jest prawdą, to Ricardo powinien być uczniem brata Armanda, nie ja – dodałem z rezygnacją.

Alejandro wstał z podłogi.

– Nie mam pojęcia, dlaczego przeor nie zgodził się na prośbę Ricarda. To młodsza wersja Wielkiego Armanda. Dogadaliby się bez trudu. – Alejandro uśmiechnął się złośliwie.

– Albo pozabijaliby się, kłócąc, który z nich jest mądrzejszy – dodał Juan i obaj z Alejandrem wybuchnęli śmiechem.

Nie było mi wcale do żartów. Chciałem jak najszybciej wrócić do mojej celi, zwłaszcza że zbliżał się nieszpór. Cała ta opowieść zaczynała

mi ciążyć i doszedłem do wniosku, że niepotrzebnie jej wysłuchałem. Mistrzowi należał się szacunek, bezwarunkowy. Jakaś straszna tragedia, o której mówił brat Constantino, miała na mego patrona z pewnością wpływ, o czym, jak sądziłem, Juan i Alejandro nie wiedzieli. Ale osądzili go bardzo łatwo.

– Dlaczego nazywacie brata Armanda „Wielkim”? – przekrzyczałem ich śmiech.

– Bo taki jest – rzucił Alejandro. – Uważa się za ważniaka. Za lepszego od innych – mówił z pogardą. – Tak między nami, Antonio, wśród nowicjuszy wołamy na Armanda „Archanioł”. Tak żartobliwie. Bo jest *primus inter pares*[9]! – Znow roześmieli się z Juanem.

– Muszę już iść – rzuciłem i skierowałem się do schodów.

Juan ruszył za mną.

– Do zobaczenia! – krzyknął za nami Alejandro, ale nawet się nie odwróciłem.

– Antonio, zaczekaj! – Juan dogonił mnie. – Nie gniewaj się na Alejandra. Taki już jest, że zawsze mówi prawdę w oczy. – Wchodziliśmy po schodach. – Chcieliśmy cię tylko ostrzec. Żebyś na każdym kroku i z każdym wypowiedzianym słowem uważał na brata Armanda.

Kiedy wyszliśmy ze skryptorium, zatrzymałem się na alejce wśród kolumn. Róże nad nami pachniały mocniej niż zwykle.

– Nie gniewam się. – Uśmiechnąłem się do Juana. – Doceniam waszą troskę. Mam nadzieję, że mylicie się co do mojego mistrza. Jak dotąd nie okazał mi pogardy.

– Oczywiście, Antonio. – Juan powiedział to przeproszającym tonem.

W milczeniu dotarliśmy do naszego segmentu i poszedłem prosto do swojej celi. Wyjrzałem przez okno na zachodzące słońce, potem na Segowię.

Archanioł. Byłem skołowany i przytłoczony tą opowieścią. Alejandro pewnie nasłuchał się od brata Jorgego. Musiał przecież być powód owej niechęci brata bibliotekarza do mojego mistrza. Z drugiej strony brat Armand nie wydawał mi się tak apodyktyczny, tak arogancki i tak wyniosły, jak mówili. Przeciwnie. Dla mnie, jak dotąd, był bardzo

miły. Ale ja jestem w klasztorze zaledwie kilka dni i jakąż mogę mieć wiedzę w tym przedmiocie? Alejandro i Juan są tutaj ponad półtora roku i z pewnością mieli więcej okazji do kontaktów z bratem Armandem niż ja. Musieli mieć zatem rację, a jeśli tak, czeka mnie tu piekło na ziemi, bo w niczym nie przypominam mego mistrza. Nie mam wielkich ambicji, nauka przychodzi mi z trudem, nie mam jakichś sprecyzowanych planów na przyszłość, zwłaszcza w kwestii mojego wykształcenia, nie jestem także pobożny, jak mnich być powinien, słowem: ze wszech miar tu nie pasuję. Pech chciał, że nie mogłem się urodzić, i ojciec obiecał mnie Bogu. Pech, że wybrał akurat klasztor dominikanów, gdzie obowiązkiem każdego mnicha jest uczyć się i jeszcze raz uczyć. I pech wreszcie, że oddano mnie pod opiekę brata Armanda, który pod względem wykształcenia kompromisów nie uznaje. Pech od początku do końca. Aż bałem się pomyśleć, co jeszcze miało mnie czekać w tym owianym dziwną atmosferą opactwie Santa Cruz la Real w Segowii.

Dzwon bijący na nieszpór wyrwał mnie z rozmyślań. Na korytarzu spotkałem mego mistrza, który wracał ze szpitala. Szkaplerz miał poplamiony krwią, dość obficie. Musiał to być pracowity dzień, skoro dopiero teraz udało mu się wyrwać na modlitwę. Poleciał mi iść samemu na nabożeństwo, a on za chwilę dołączy. Zbiegłem więc na dziedziniec, gdzie spotkałem Juana i brata Alvaro. *Padre* de Medina był zmęczony i ledwie uśmiechnął się na mój widok.

– Sądny dzień w szpitalu, Antonio – powiedział ojciec Alvaro, gdy podszedłem do nich bliżej. – Amputowaliśmy nogę młodemu chłopakowi, który pracował przy renowacji muru alkazaru. Przygniotły go kamienie.

Wzdrygnąłem się na samą myśl o obcięciu nogi żywcem, choćby nie wiem w jak dobrym szpitalu.

– To straszne... – Wykrzywiłem się.

– Brat Armand to świetny lekarz – mówił dalej brat Alvaro, nie zwracając uwagi na moją minę. – Gdyby nie on, chłopak by się wykrwawił. Potrzeba nam takich ludzi w szpitalu. O niesamowitej intuicji medycznej i szybkości w podejmowaniu decyzji.

– Mój mistrz amputował nogę temu chłopcu?! – zapytałem

z niedowierzaniem, że własnymi rękami, wśród krzyku i bólu, i nie zważając na to ani trochę, tak zwyczajnie obciął mu nogę.

– Tak – odpowiedział szybko brat Alvaro. – Antonio, praca w szpitalu to nie tylko diagnoza i podanie leków. To także opatrywanie ran, łamanie i składanie kości, czasem amputacja. Ja bym nie wytrzymał nerwowo, żeby obciąć człowiekowi kończynę – przyznał. – Ale to wcale nie czyni mnie dobrym człowiekiem. Wiedziałem, jako lekarz, że tylko w ten sposób można ocalić tego chłopca. A brat Armand zachował zimną krew i zdrowy rozsądek. To świadczy o jego wielkości.

Na tym nasza rozmowa się zakończyła. Mnie było niedobrze na samą myśl o wszystkim, co mówił brat Alvaro. Wiedziałem też, że nie byłbym zdolny do czegoś takiego, nawet by ratować czyjeś życie. Wchodziłem do kościoła z mieszanymi uczuciami, u boku mego mistrza, który zdążył przebrać się i dołączył do nas, jak obiecał.

Ale nie mogłem się skupić na modlitwie i cały czas myślałem o tym chłopcu, co też musiał dziś przeżyć, jak potworny był to ból i że od tego nie zwariował! Przeżył, to prawda, ale będzie kaleką już do końca, a brat Alvaro powiedział, że był młody.

Przeor rozpoczął modlitwę:

– *Deus in adiutorium meum intende.*

Domine, ad adiuvandum me festina.

Gloria Patri, et Filio, et Spiritui Sancto.

Sicut erat in principio, et nunc, et semper, et in saecula saeculorum[10].

– Amen. Alleluja! – odpowiedzieliśmy chórem.

Brat Constantino zaintonował hymn uroczyście. Przyglądałem się, jak ostatnie promienie słońca zaglądają w witraże na zachodniej ścianie kościoła. I nie wiem, czy zachód był dziś tak mocno czerwony, czy też myśli moje zmacone były zasłyszana dopiero co historią, dość, że światło zalewające kościół zdało mi się poświatą krwawą, pomną przelanej dziś krwi, młodej i tak cierpiącej z bólu. Nie mogłem przestać o tym myśleć.

– Antonio, skup się na modlitwie – szepnął do mnie mój mistrz, składając dłonie do pacierza.

Spojrzałem na jego długie, eleganckie palce, co splatały się

pobożnie, na jasne, umyte z niedawnej krwi dłonie wystające zza mankietów śnieżnobiałej kuty dominikańskiej i mimowolnie przed oczami stawał mi obraz tych samych dłoni odrąbujących toporem lub innym narzędziem nogę temu biednemu chłopcu, dłoni obryzanych krwią z otwartej rany, zaciskających się na kikucie, by obandażować go i zatrzymać krwawienie. Oszaleję! – pomyślałem.

– Antonio! – upomniał mnie mistrz. – Co się z tobą dzieje?!

Spojrzałem mu w oczy. Były ciemnoniebieskie, jak niebo przed nadejściem ciemności nocy. Nieco zmęczone, bo cienie pokładły się pod jego powiekami, pełnymi wrażeń dzisiejszego dnia, jak sobie wyobrażałem. Przerazał mnie mój mistrz. Przerazała ta wola i determinacja, która nie pozwoliła mu cofnąć ręki przed odcięciem nogi chłopcu. Czy i mnie zrobiłby to samo, gdyby zaszła taka konieczność? Mimowolnie wyobraziłem sobie tę scenę: jak bierze zamach toporem nad odsłoniętą moją nogą i... Zacząłem dygotać. Trząsałem się ze strachu lub nadmiaru wrażeń podsycanych dodatkowo przez mą wyobraźnię.

Brat Constantino zaczął śpiewać *Magnificat* na cześć Najświętszej Maryi Panny i wszyscy wstaliśmy z ławek, aby doń dołączyć. Odwróciłem wzrok od mojego mistrza, ale kątem oka widziałem, że co jakiś czas zerkał na mnie uważnie.

Słońce zaszło już zupełnie i cienie poczęły się zbierać w kościele, jakby zwiastowały jakieś nieszczęście. W tamtej chwili tak byłem rozdygotany, że bez trudu przychodziły mi do głowy najczarniejsze wizje. Wreszcie nabożeństwo się skończyło i wyszliśmy na dziedziniec. Chciałem przed kolacją pójść do swojej celi, by nieco ochłonać, ale brat Armand zatrzymał mnie.

– Antonio, co się stało w kościele? – zapytał zaskoczony.

Rozejrzałem się wokół siebie, unikając wzroku mego mistrza. Mnisi rozchodzili się w swoje strony. Dygotałem.

– Antonio! – Brat Armand położył mi dłonie na ramionach i lekko mną potrząsnął.

Te same dłonie, którymi... Zamknąłem oczy, aby nań nie patrzeć, i wymamrotałem:

– Tamten chłopiec... On żyje, prawda? Ten chłopiec... Bo jeśli umarł... To na nic!... On musi żyć...

– Antonio, spójrz na mnie – usłyszałem łagodny głos mojego mistrza.

Otworzyłem oczy. Uśmiechał się, ale twarz miał zakłopotaną.

– Jaki chłopiec? – westchnął z cierpliwością.

Wzięłem głęboki wdech.

– No, ten z odrąbaną nogą... – Ledwie słyszałem własny, drżący głos.

W głowie mi się kręciło. Brat Armand zaś roześmiał się pobłaźliwie.

– I to cię tak wystraszyło? – zapytał, jakby rzeczywiście nie było to nic ważnego.

Nie byłem w stanie nic powiedzieć, więc tylko kiwnąłem głową.

– Gdybym tego nie zrobił, on umarłby na pewno – powiedział po chwili mój mistrz, tym razem już poważnie. – Kamienie zmiażdżyły mu kolano. Prędzej czy później wdałoby się zakażenie i zrobiłaby się gangrena. Tak czy inaczej trzeba byłoby mu tę nogę obciąć. Taka jest praca lekarza.

– Ale to musiało strasznie boleć! Musiało być okropne! – broniłem się.

– Musiało – przyznał mistrz. – Ale co mogliśmy na to poradzić? Podaliśmy mu opium, aby go odurzyć. Opium działa też przeciwbólowo, ale i tak pewnie czuł go dość mocno. Ból kostny jest najgorszym odczuwalnym przez człowieka fizycznym bólem. Za to teraz będzie już lepiej. Przeżyje.

Powoli przestawałem dygotać i pozwalałem słowom brata Armanda docierać do mojej wyobraźni i przemawiać do mego rozsądku. Ale mimo wszystko ciągle nie mogłem uwierzyć, że mój mistrz, ostoja spokoju i wychowania, wykształcenia, elegancji i godności, mógł tak po prostu z zimną krwią urządzić komuś taką jatkę. Zaczynałem wierzyć w każde słowo Alejandra, a nawet zdawało mi się, że i tak słowa te były dla brata Armanda łaskawe.

Ruszyliśmy w stronę refektarza.

– Muszę cię jak najszybciej zabrać do szpitala – podsumował sytuację mój patron. – Powinieneś się przyzwyczajać do takich widoków. Zobojętnieć. Skoro masz zostać lekarzem, nie wolno ci się

wahać w takich sytuacjach.

Wątpiłem, abym mógł kiedykolwiek zobojętnieć na takie widoki.

– Nie wiem, ojcze, czy chcę zostać lekarzem – powiedziałem niepewnie.

– Zostaniesz lekarzem, Antonio – usłyszałem w głosie brata Armanda nacisk. – Na pewno o tym marzysz, ale dziś jesteś trochę wystraszony. Przygotuję cię do studiów. Będiesz najlepszy. – Mistrz mówił z taką pewnością siebie i przekonaniem, że tak będzie, iż czułem, że kiedy przyjdzie czas, nie będę miał nic do powiedzenia.

Nie będę miał wyjścia...

Po komplecie mistrz poprosił mnie do swojej celi. Trochę uspokojony wszedłem do jego nieco większego niż mój pokoju. Obszedłem celę za milczącym pozwoleniem brata Armanda. Była podobnie, dość skromnie umeblowana, z tą różnicą, że regały dosłownie uginały się pod ciężarem książek i ksiąg w przeróżnej oprawie i wielkości. Od wejścia po lewej stronie oraz na ścianie naprzeciwko okna wychodzącego na dziedziniec wzdłuż całej długości obu ścian od podłogi aż do sufitu książki wypełniały dosłownie całą przestrzeń. Na wprost drzwi było łóżko, dość dziwnie ustawione, nogami w stronę wejścia. Obok łóżka na nocnej szafce leżała Biblia, dwie inne książki i mały modlitewnik oprawiony w czarną skórę z nabitym na przedniej okładce żelaznym, płaskim krzyżem.

Po prawej stronie od drzwi było okno, które, jak wspomniałem, wychodziło na Wielki Dziedziniec i słychać było przez nie szemranie wody w fontannie. Pod oknem zaś stało biurko i krzesło. Na blacie leżały jakieś papiery, pisma, przybory do pisania oraz rozłożona mapa Kastylii i Aragonii, na której na czarno zaznaczono krzyże obok różnych miejscowości. Obok krzyży widniały daty. Niektóre były przekreślone i wpisano nowy rok. Ale wszystkie te daty łączyło jedno: dotyczyły lat przyszłych, po 1480 roku. Wydawało mi się, że mapa ta jest mniejszą kopią tej dużej, którą widziałem pierwszego dnia w gabinecie przeora, ale nie miałem za wiele czasu, by lepiej się jej przyglądać, i nie chciałem, aby mój mistrz zauważył, że zbyt interesuję się tą materią.

– Olbrzymi księgozbiór, *padre* – przyznałem cicho.

Brat Armand zapalił świece na świeczniku stojącym w rogu celi

pomiędzy łóżkiem a biurkiem.

– W większości z Bolonii i z Salamanki – odpowiedział. – Jak wrócisz ze studiów na kilku kierunkach, przywieziesz taki sam lub podobny.

Przytaknąłem, chociaż wątpiłem, aby tak się stało.

– Przeczytałeś akta procesu Joanny d’Arc – nawiązał mistrz do celu mojej u niego wizyty. – I? Co możesz powiedzieć na ten temat? – zapytał z ciekawością, a ja przypomniałem sobie moje nocne posiedzenie w czytelni z rozentuzjasmowanym Ricardem.

Bąłem się tego pytania. Cóż ja, czternastoletni chłopak, mogłem myśleć o procesie nad heretyczką? Brat Armand usiadł przy biurku, a mnie wskazał, abym usiadł na łóżku, co uczyniłem.

– Nie rozumiem, dlaczego przewodniczył sądowi biskup Cauchon. Nie był przecież inkwizytorem, a to był proces o herezję – powiedziałem niepewnie.

– Masz rację, Antonio. – Mistrz uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony z mojej odpowiedzi. – Pierre Cauchon nie miał najmniejszych kompetencji do prowadzenia jej procesu. Nie dość, że nie był inkwizytorem, to w dodatku został opłacony przez Anglików, którym zależało na uznaniu Joanny d’Arc za heretyczkę, aby podważyć dokonaną za jej pomocą koronację Karola VII na króla Francji. Co prawda był w składzie orzekającym inkwizytor, ale także przekupiony, za co powinien zostać ukarany. Pamiętaj, Antonio, że na tym świecie jeden jest tylko niezależny urząd władny rozpatrywać sprawy herezji i wydawać wyroki na heretyków: Święta Inkwizycja.

Skinąłem w odpowiedzi głową.

– Oskarżona nie miała obrońcy, *padre* – powiedziałem. – A przecież należało wysłuchać i jej racji. A poza tym wśród sędziów nie było nikogo ze strony francuskiej, sami poplecznicy Anglików.

– To akurat jest najmniej istotne – rzucił mistrz krótko. – Inkwizytorzy także by jej nie sprzyjali. Byliby niezależni. – Wstał zza biurka i zaczął chodzić po celi.

– Ale nie miała obrońcy – upierałem się.

– A kto przy zdrowych zmysłach podjąłby się jej obrony? – brat Armand zapytał z niedowierzaniem.

– Jak to? Przecież oskarżony ma prawo do obrony.

– Prawo ma – przyznał mistrz. – Ale to martwe prawo. Może bronić się sam, a poza tym sędzia jest jego obrońcą. Ma obowiązek przeprowadzić zarówno dowody przemawiające za skazaniem, jak i dowody, które przeczą winie oskarżonego. Po cóż tu jeszcze obrońca?

– Ale skoro jest prokurator... – zacząłem. – Co z równością stron?

– Antonio, w procesie inkwizycyjnym nie ma równości stron! – Mistrz mój dziwił się coraz bardziej moim słowom, jakbym ja sam zaczął opowiadać herezje. – Poza tym nie bierzesz pod uwagę jednej, bardzo istotnej rzeczy: ten, kto ośmiela się stanąć w obronie oskarżonego, sam może być uznany za heretyka. Sam za chwilę może stać się oskarżonym i spłonąć na stosie. Czy uważasz, że ktoś o zdrowych zmysłach odważy się wziąć w obronę osobę posądzoną o herezję?

– *Padre*, czy to prawo jest przestrzegane? – zapytałem, zastanawiając się. – Bo mój nauczyciel historii Kościoła opowiadał mi, że w procesie inkwizycyjnym są obrońcy i nikt nie posądza ich o herezję. – Byłem zdezorientowany.

– Twój nauczyciel dobrze ci powiedział. – Brat Armand znów się uśmiechnął. – Prawo, o którym ci wspomniałem przed chwilą, oficjalnie jeszcze nie istnieje i oskarżony nadal ma prawo do obrońcy. Ale można je wywieść z innych zasad rządzących procesem. Choćby tylko z tego faktu, że inkwizytor decyduje, czy ktoś zostanie oskarżony o herezję czy nie. To on sporządza akt oskarżenia. Ma omnipotencję. Poza tym takie prawo zostanie ustanowione. Już niedługo. – Mistrz ostatnie słowa powiedział tajemniczo, a mnie zrobiło się zimno.

Skąd brat Armand może wiedzieć takie rzeczy? I kto właściwie miałby takie prawo ustanowić? Chyba tylko papież, bo przecież on stoi na czele sieci trybunałów Inkwizycji we wszystkich krajach. Ale mistrz mówił tak, jakby o czymś wiedział... Był jednak tylko zwykłym mnichem. Nie przebywał w Watykanie, więc skąd?...

– Ale trzeba mieć dowody, *padre* – powiedziałem. – Zeznania świadków. Czterech. Pełnoletnich.

– Tak, tak – brat Armand nie dawał za wygraną. – Stara teoria dowodowa, którą należy zmienić. Powinno wystarczyć zeznanie jednego

świadka. Ale nawet i teraz do wszczęcia procesu wystarcza samooskarżenie.

– Ale Joanna d’Arc nie doniosła sama na siebie – broniłem, jak umiałem swojego stanowiska. – Nikt nie złożył przeciwko niej zeznań obciążających. Nie było podstaw do wszczęcia procesu!

– Nie? – zapytał zaczepnie brat Armand.

Odniosłem wrażenie, że rozmowa ze mną go bawi. Całe szczęście!
– pomyślałem.

– Czyż Joanna d’Arc nie rozповідаła wszem i wobec, że słyszy głosy świętego Michała Archanioła, świętej Małgorzaty i świętej Katarzyny? – zapytał.

– No, tak – odpowiedziałem. – Ale nie rozumiem...

– To było właśnie samooskarżenie – przerwał mi brat Armand. – Jakie mamy podstawy, by wierzyć, że Bóg wybrał ją akurat, wiejską dziewczynę, by doprowadzić Karola VII do koronacji? Czy uważasz, Antonio, że Bóg zajmuje się tak przyziemnymi sprawami? I w dodatku miałby posłać do dwunastolatki aż troje świętych? Nie, Antonio. Ta teoria jest szyta grubymi nićmi – skwitował mistrz.

W miarę słuchania jego słów przytaczane przezeń argumenty wydały mi się logiczne. Czytając akta procesu tej biednej dziewczyny, sam powątpiewałem, czy to, co mówiła, było prawdą. Jeśli zaś było kłamstwem, to bardzo dobrze utkanym.

– Czy zatem, twoim zdaniem, rewizja procesu Joanny była konieczna? – zapytał mistrz, nie przestając chodzić po celi.

– Właściwie nie – odpowiedziałem. – Ale przecież biskup Cauchon nie miał prawa orzekać.

– Nie powinno być tej rewizji! – Brat Armand podniósł głos, jakby zły był na papieża. – Przede wszystkim dlatego, że pomimo błędów proceduralnych wyrok skazujący był słuszny, a dusza tej dziewczyny znalazła wreszcie spokój. A po wtóre dlatego, że pod wyrokiem podpisał się również inkwizytor. A papież, wszczynając proces rewizyjny i orzekając, że Joanna została niewinnie spalona, podważył nieomylny osąd inkwizytora, podkopał zaufanie do Świętej Inkwizycji, co jest niedopuszczalne. Ale Kalikst III był słabym papieżem, zależnym od króla Francji, który zmusił go do rehabilitacji Joanny d’Arc, aby nie być

posądzonym o to, że zawdzięcza tron heretyczce! W takiej sytuacji każdy mógłby wypowiedzieć mu posłuszeństwo i pozbawić tronu. Wówczas Francja przeszłaby pod berło Anglii. Trwała wojna stuletnia. Król Francji nie miał wyboru, ale papież miał! – Mistrz był wzburzony i chodził nerwowo po pokoju.

Nie za bardzo rozumiałem, dlaczego tak się zachowywał i dlaczego tak bardzo przejmuje się procesem sprzed prawie pięćdziesięciu lat. Już miałem go o to zapytać, gdy odezwał się pierwszy:

– Dlatego Inkwizycję należy oderwać od Watykanu. Aby nie ulegała niczym naciskom. Wtedy będzie niezależna. Inkwizytor jest sędzią duszy i tylko on decyduje swobodnie, czy dusza złądziła, czy też nie. Musi mieć zagwarantowaną niezależność i niezawisłość orzekania. Nie powinno być żadnych obrońców. Prokuratorzy także są niepotrzebni. Tylko sędziowie i oskarżony. I żadnej apelacji, rewizji wyroku, wznowienia procesu i zastanawiania się. Jeśli inkwizytor nakazuje spalić, to tak ma być. Nikt na świecie nie może mieć władzy, by taki wyrok uchylić. Ani król. Ani papież. Inkwizytor jest sługą pierwszym po Bogu. A kara jest wykonywana natychmiast, bez zbędnych ceregieli. A jeśli nawet zdarzy się pomyłka, to, jak mawiał święty Tomasz z Akwinu: „lepiej, żeby zmarło stu sprawiedliwych, niż gdyby jeden grzesznik uniknął kary”. – Brat Armand zamilkł, a w jego oczach tlił się dziwny, złowieszczy żar.

Cierpła mi skóra, gdy tego słuchałem. Nie sądziłem, że mistrz mój miał tak radykalne poglądy. Przerazały mnie, muszę przyznać.

– Ojczy, taka organizacja nie istnieje... – powiedziałem ze zdziwieniem, bo znana mi z lekcji historii Kościoła Inkwizycja była zupełnie odmienna od tej, którą przed chwilą opisał.

Brat Armand uśmiechnął się.

– Masz rację, Antonio. Nie istnieje – powiedział tajemniczo. – Jeszcze nie.

Znów zrobiło mi się zimno, bo w ostatnich słowach mistrza słyhać było złowrogie prorocstwo. Cóż zamyśla ten człowiek?

– Co masz na myśli, *padre*? – zapytałem, zanim zdążyłem pomyśleć, że pytać nie powinienem.

– Zobaczysz – powiedział cicho brat Armand, a potem dodał: –

Zrobiło się późno, Antonio. Jest po północy. Idź już do swojej celi.

Wstałem z łóżka, ukloniłem się i życzyłem mistrzowi dobrej nocy. Sam zastanawiałem się, czy po wrażeniach, tak licznych, dzisiejszego dnia dane mi będzie spać.

– Antonio, jeszcze jedna rzecz – zatrzymał mnie w drzwiach brat Armand. – Ricardo czytał ostatnio książkę Bernarda Gui. Wydaje mi się, że już skończył. Pójdiesz jutro do biblioteki i zaczniesz ją również czytać. Masz przed sobą mnóstwo książek i tylko dwa lata nowicjatu.

– Ale, ojciec... – zacząłem. – Dlaczego mam czytać *Practica officii*?

– Widzę, że rozmawiałeś z Ricardem – ucieszył się mistrz i podszedł do mnie. – Ponieważ sobie tego życzę, Antonio – powiedział łagodnie i stanowczo. – Ty także sobie tego życzysz, prawda?

Zaniemówiłem. Chciałem powiedzieć mistrzowi, że wcale tak nie jest. Nadarzała się po temu okazja, ale głos uwiązał mi w gardle. Bałem się brata Armanda i jego na moje słowa reakcji.

– Bierz przykład z Ricarda – mówił dalej mistrz. – Odkąd tu przyjechał, cały czas spędza w bibliotece. Podobnie jak nowicjusz Oscar. Oni wiedzą, czego chcą. Dążą do celu. Tylko nauka i wiedza, Antonio, doprowadzą cię w życiu do czegoś. Tylko one, pamiętaj. Nie możesz być przeciętny. Nie ty, mój uczeń. Ty przyćmisz Oscara i Ricarda! Ale musisz się bardziej postarać. – Upomnienie w głosie brata Armanda mroziło we mnie wszelką odwagę. – Na razie spędzasz czas na poznawaniu opactwa. Wiem to. Ale nie marnuj czasu na niepotrzebne znajomości. I pamiętaj, Antonio, liczę na ciebie. Przeor również.

– Tak, *padre*, będę pamiętał – powiedziałem cicho, nie znajdując w sobie dość odwagi, by sprzeciwić się mistrzowi, który potrafił narzucić swą wolę.

Słyszałem w jego głosie, że nie życzył sobie sprzeciwu. Wyszedłem z celi brata Armanda.

Ach, Alejandro! Powinienem cię przeprosić! – pomyślałem, przechodząc przez ciemny korytarz, w którym paliła się pojedyncza lampka oliwna zatknięta na ścianie po lewej stronie. – Miałeś rację po tysiackroć!

Nie mogłem zasnąć tej nocy. Czulem na dnie serca nieprzyjemne

uczucie rodzącego się wobec brata Armanda oporu i ohydne, karcące, upokarzające przekonanie, że jestem wobec niego bezsilny. A nade wszystko przygniatał mnie ciężar sprostania oczekiwaniom mojego mistrza i przeora, nałożony mi na barki przez brata Armanda.

7 czerwca. Nad ranem

Wróciłem z czytelnicy z nocnej warty nad książką. Tak, jak życzył sobie mistrz, przekopuję się przez *Practica officii* Bernarda Gui, nie znajdując jednak w tej książce nic ciekawego. Ot, procedura postępowania przed sądem inkwizycyjnym w sprawach o wszystkie znane herezje tego świata, nic więcej. Całymi dniami chodzę niewyspany, jak cień. A w nocy, miast odpoczywać, spędzam godziny nad lekturą, która mnie usypia. Litery płaczą się, wyrazy skaczą przed oczami, zdania zlewają ze sobą w niezrozumiałe formy, a głowa myśli tylko o jednym – aby zasnąć. Wszystko jedno, gdzie i na czym, wszystko jedno, jaka jest pora, byle teraz, zaraz, już.

Nie jestem w stanie zrozumieć, jak znosi to Ricardo, bo on ze mną pełni tę nocną straż w czytelnicy dzień w dzień, noc w noc, z wypiekami na twarzy wczytuje się w coraz to nowe książki, które poleca mu brat Armand. A ponieważ nie jest on jego patronem, Ricardo nie musi tego robić, a mimo to sam, dobrowolnie dopomina się o książki! Cóż płynie w jego żyłach, że potrzebuje tak niewiele snu? Jakaż to tajemnicza siła napędza go do pracy, pcha go coraz dalej i dalej?

Ricardo, rzecz jasna, podręcznikiem Bernarda Gui był zachwycony! Kiedy przekazywał mi tę książkę do czytania, mówił o niej bez przerwy, zachwycał się pomysłami inkwizytora, cytując z pamięci obszerne fragmenty procedury śledczej. Przyglądałem się temu w milczeniu, zdając sobie sprawę, że ja bym tak nie potrafił. A bez wątplenia postawy, jaką prezentuje Ricardo, oczekuje ode mnie mój mistrz. Więc ślęczę nad tą przeklętą książką nocami, skrycie marząc, by stało się coś, co odmieni mój przesądzony, jak widzę, los. Nawet zastanawiałem się któregoś wieczoru, czy nie pójść do przeora i nie poprosić grzecznie o zmianę patrona. Ale doszedłem do wniosku, że

z uwagi na łączącą *padre* Torquemadę i brata Armanda przyjaźń rozmowa ta więcej szkody przyniesie mi niż pożytku. Przeor na pewno opowiedziałby o wszystkim memu mistrzowi, a ten mógłby poczuć się urażony. To zły pomysł i nie chcę psuć moich z patronem relacji, zwłaszcza że w Santa Cruz mam spędzić resztę życia. Zagryzam więc zęby i robię, co mi każą. Nowicjat przecież nie będzie trwał wiecznie! Tyle tylko, że ja już, w tej chwili, mam wątpliwości, a nowicjatu jeszcze oficjalnie nie rozpocząłem...

Później. Przed noną

Do klasztoru przybyli dwaj kolejni kandydaci na nowicjuszy: Jesus de Villar i Mateo Perez. Pełniłem posługę, pomagając ojcu José przy furcie. Wraz ze mną pomagał też Alejandro, bo brat Jorge dał mu całe wolne popołudnie, a że nie bardzo miał co ze sobą zrobić, jak twierdził, więc przyszedł do nas, bo tu na pewno coś się będzie działo.

Pierwszy przyjechał Jesus de Villar, powozem, jak ja. Ale był o niebo bardziej zorientowany i pewny siebie, gdy przekraczał te mury, niż gdy ja to czyniłem. Przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Był uśmiechnięty i chodził wyprostowany, ale nie dumny. Jak tradycja nakazuje, brat furtian i ja z Alejandrem odprowadziliśmy go do gabinetu przeora. Po drodze dowiedzieliśmy się, że Jesus jest z Segowii i od dawna marzył, aby zostać mnichem.

Ma szesnaście lat i jest bardzo dojrzały jak na swój wiek. Jest też grzeczny. I do brata José, i do nas odnosił się z szacunkiem. Przeor przyjął go od razu, bo nie zajmowały go owe tajemnicze sprawy, które omawia z moim mistrzem. Brat Armand znów spędził cały dzień w szpitalu i wcale go nie widziałem od jutrzni. Jesus trafił pod opiekę ojca Pedro de la Fuente, sekretarza klasztoru. Brat Pedro bardzo ucieszył się z pomocy, jaką będzie w nim miał. Mam nadzieję, że się dogadają lepiej niż ja i brat Armand do tej pory.

Około godzinę później przyjechał Mateo Perez, mój rówieśnik, syn bogatych mieszczan. Jest drugą osobą w klasztorze, która nie ma szlacheckiego pochodzenia. Pierwszą jest nowicjusz Camilo Herrera,

którego jeszcze nie miałem okazji bliżej poznać, a którego patronem zaś jest ojciec Celestino de Coro, z którym także jeszcze nie rozmawiałem.

Przywitaliśmy Mateo serdecznie, bo wydawał się przestraszony, przekraczając progi pięknego Santa Cruz. Pewnie i ja miałem podobny wyraz twarzy, gdy tu przyjechałem. Mateo jest strasznie chudy i do tego niewielkiej postury, dlatego wcale nie wygląda na swój wiek. Ma też bladą cerę, przez co wydaje się węższy i jakby chorowity. Nie uśmiechnął się ani razu, gdy odprowadzaliśmy go do gabinetu przeora. Brat José go zagadywał, Alejandro starał się zbagatelizować sytuację, opowiadając o różnych śmiesznych wydarzeniach w klasztorze, ale Mateo, choć słuchał cierpliwie, raczej nie zwracał na to uwagi. Odniosłem wrażenie, a może chciałem je odnieść, że narastał w nim bunt, jakby nie przyjechał do nas z własnej woli. Ale może doszukiwałem się w nim tych emocji, bo sam je odczuwałem?

Przeor kazał Mateo nieco poczekać, bo omawiał z bratem Pedro jakieś sprawy klasztoru. Ostatecznie Mateo został uczniem brata aptekarza, ojca Martina de Tarralby.

I w ten sposób wszyscy tegoroczni kandydaci na nowicjuszy zjechali do Santa Cruz. Brat Constantino wezwał nas do parlatorium i omawiał z nami szczegóły ceremonii przyjęcia w poczet nowicjuszy, która ma się odbyć pojutrze. Jutro spędzimy cały dzień na modlitwie, potem się wyspowiadamy – u swoich patronów, co mnie akurat przejęło lękiem. Czekają nas również całodniowy post i nocne czuwanie przed krzyżem. A wieczorem następnego dnia odbierzemy habity i oficjalnie staniemy się nowicjuszami, a tym samym częścią Santa Cruz.

Brat Constantino, gdy wszystkie te rzeczy opowiadał, był uśmiechnięty i zadowolony. Mówił z radością i entuzjazmem, jakby on sam miał wziąć udział w tej ceremonii, jako przyszły nowicjusz. Wydał mi się bardzo pogodną i beztroską osobą i całkiem inne odniosłem o nim wrażenie z tego spotkania w porównaniu z naszą poprzednią rozmową. Ciekawy to człowiek. Trudno go jednoznacznie określić i zastanawiam się, czy w ogóle można go do końca poznać.

Rozchodziliśmy się w milczeniu do swoich cel. Mnie przepełniała rozpacz na samą myśl o jutrzejszej spowiedzi. Ponieważ trawią mnie wątpliwości, czy śluby zakonne to naprawdę właściwa droga, czyż nie

powiniennem tego wyznać? Albo tego, że oszukuję brata Armanda, udając, że w równym stopniu co jemu zależy mi na nauce i że jestem ambitny, jak on tego oczekuje. Ale przecież nie mogę mu tego powiedzieć! A jeśli na spowiedzi tego nie wyznam, czyż będzie to szczerą spowiedź? Staram się o tym nie myśleć, ale nadchodzące cienie nocy sprzyjają takim myślom.

Później. Po komplecie

Mistrz pozwolił mi na pozostanie na noc w mojej celi, abym jutrzejszą mógł spędzić na modlitwie. Z przyjemnością przyjąłem tę łaskę i błogosławieństwo snu. Kiedy wracałem z umywalni, minąwszy apsydę kościoła, zobaczyłem, jak *padre* Torquemada i brat Armand spacerują po dziedzińcu i rozmawiają o czymś z wielkim zaangażowaniem. Szedłem wzdłuż dormitorium, ukryty w mroku za kolumnadą i przyglądałem się im. Z tej odległości nijak nie mogłem usłyszeć, o czym rozmawiali, ale musiało to być coś ważnego, bo miny obaj mieli skupione, a brat Armand słuchał z zainteresowaniem. Byli tak zajęci rozmową, że z pewnością nie zauważali świata wokół nich i gdyby nie zmęczenie po nieprzespanych trzech nocach z rzędu, podszedłbym bliżej, by ich posłuchać. Obiecałem też sobie, że następnym razem to zrobię i dowiem się wreszcie tej bodaj największej tajemnicy opactwa Santa Cruz.

9 czerwca. Rankiem

Za kilka godzin odbędzie się ceremonia. Wróciłem właśnie z nocnego czuwania. Może uda mi się przespać chociaż trochę, ale najpierw dziennik.

Cały wczorajszy dzień spędziliśmy we czterech na modlitwie w kościele. Choć starałem się skupić, ciągle myślałem o czekającym mnie wyznaniu grzechów przed bratem Armandem. Najgorliwiej i chyba najszczerzej modlił się Jesus de Villar. Splótł ręce, oparł na nich czoło,

pochylił głowę, przymknął oczy i pogрузzył się całkowicie w swojej prywatnej rozmowie z Bogiem. Ricardo modlił się czas jakiś, a potem wyjął zza poły tuniki niewielką książkę i w najlepsze ją czytał, udając na kolanach, że się modli. I wcale, ale to wcale nie zwracał uwagi na to, że przecież każdy z nas patrzy. Czy aż tak nam ufał, czy też czuł się bezkarny, bo wiedział, że brat Armand pochwali taką postawę? Mateo, podobnie jak ja, usiłował się modlić, ale z wyrazu jego twarzy mogłem wyczytać, że nie idzie mu coś ta modlitwa, jakby nie był do niej przekonany.

Tak mijały długie godziny, przerywane jedynie wspólnymi nabożeństwami, których nadejście biciem dzwonu oznajmiał brat Constantino, a które gromadziły w kościele braci zakonników i starszych nowicjuszy. Zaraz potem kościół pustoszał i znów zostawialiśmy sami.

Po południu przyszedł do kościoła ojciec Domingo de Vivera, niewysoki starzec. Poruszał się wolno, z trudem i podpierał sękatym kijem, na którym zaciskał chude i pomarszczone palce prawej ręki. Twarz jego orały liczne bruzdy i zmarszczki, a zmęczone wiekiem i jakimś niewidzialnym ciężarem górne powieki opadały i zaledwie widać było spod nich oczy. A spojrzenie też miał zmęczone i niewidzące, jakby oczy jego nie dostrzegały już świata wokół, tylko wieczność, która była przed nim. *Padre* Domingo usiadł w swojej ławie i modlił się na różańcu po łacinie, mamrocząc pod nosem *Salutatio Angelica*. Przymknął oczy i wcale nie zwracał na nas uwagi. Mnie jego obecność i owo mamrotanie zupełnie rozpraszało i jeszcze trudniej było mi się skupić. Ricardo zaś był tak pochłonięty lekturą, że nawet nie podniósł oczu znad kart książki, kiedy brat Domingo wszedł do kościoła.

Co za zuchwałość! – pomyślałem o postawie Ricarda. My, przyszli nowicjusze, na pewno nie naskarżymy na kolegę, a i brat Domingo nie wyglądał na osobę, która zajmowałaby się tak przyziemnymi sprawami. Ale Bóg widzi wszystko, a to przecież Jego kary powinniśmy się bać najbardziej. Ricardo jednak nic nie robił sobie z tego i w najlepsze czytał książkę, prawie na pewno poleconą mu przez mego mistrza.

Zbliżał się wieczór i brat Constantino przyszedł do nas, aby dzwonić na nonę. To właśnie między noną a nieszporama mieliśmy się wyspowiadać. Ricardo na widok brata Constantina schował książkę

i z miną niewiniątka pogrążył się pobożnie w modlitwie, jakby właśnie w ten sposób spędził ostatnie kilkanaście godzin. Uśmiechnąłem się do siebie w duchu na ten widok...

Brat Armand nie przyszedł na nonę. Dopiero gdy mnisi rozchodzili się z nabożeństwa, zajrzał do kościoła. Ale z wyrazu jego twarzy mogłem się domyślić, że zajęty jest innymi sprawami niż moją spowiedzią. I nie wiedziałem, czy mam się cieszyć z tego powodu czy nie.

– Antonio – powiedział szybko – wybacz, że nie wysłucham twojej spowiedzi, ale mamy w szpitalu nagły przypadek. Muszę tam zaraz wracać razem z bratem Constantinem. Ale poprosiłem brata Alvaro, by cię wyspowiadał. Zaraz przyjdzie – mówił szybko i poważnie, co świadczyło o tym, że naprawdę stało się coś poważnego w szpitalu.

Starąłem się nie dać po sobie poznać, jak bardzo na rękę jest mi ta sytuacja i jak mnie cieszy fakt, że wyznam swoje grzechy komuś, kto w moim pojęciu był bratnią mi duszą.

– Oczywiście, ojcie – odpowiedziałem pokornie.

Po czym brat Armand przeżegnał się i szybko opuścił kościół, udając się do swoich obowiązków. Również brat Constantino wyszedł za nim, zaś aby wysłuchać spowiedzi Ricarda, przyszedł brat Jorge.

Ojciec Alvaro wrócił ze szpitala bez wątpienia zmęczony, ale nie dał tego po sobie poznać. Uśmiechnął się i zawołał mnie do konfesjonału, jednego z dwóch stojących po obu stronach głównego wejścia do kościoła, odkąd tu jestem, zawsze zamkniętego.

Byłem wystraszony i ledwie mogłem mówić, ale brat Alvaro był bardzo serdeczny i jego ciepły, spokojny głos dodawał mi odwagi. Opowiedziałem mu więc, że mam wątpliwości, czy to właściwa droga życia. O tym, że jestem tu z woli mego ojca, który obiecał mnie Bogu i zrobi wszystko, by obietnicy dotrzymać. Powiedziałem, że brat Armand oczekuje, że pójdę w jego ślady, ale ja jakoś nie marzę o takiej karierze, nie lubię się uczyć, ale nie mam odwagi, by powiedzieć o tym patronowi.

Brat Alvaro wysłuchał mnie cierpliwie. Spoglądałem pełen obaw na jego twarz, ale ku mej radości malował się na niej wyraz całkowitego zrozumienia.

– Mój drogi Antonio... – odezwał się, gdy skończyłem. – To, że w tak młodym wieku masz wątpliwości co do tego, jaką wybrać drogę życia, jest normalne. Masz jeszcze cały nowicjat, aby się zdecydować. Po to właśnie zakon daje wam ten czas, abyście poznali nasze życie i podjęli decyzję. Jeśli odejdziesz, nikt nie będzie miał do ciebie pretensji. Twoja wolna wola. Oczywiście gdy złożysz śluby, to już będzie decyzja na całe życie. Nie będzie odwrotu. Jeśli chodzi o twojego ojca, to bardzo pięknie, że złożył Bogu taką wielką ofiarę, ofiarę ze swego syna, ale w zasadzie uczynił już to, co do niego należało. Przygotował cię na mnicha i przywiózł do klasztoru. Ale to twoje życie, Antonio. Ty decydujesz. Nie możesz z obowiązku posłuszeństwa ojcu robić w życiu tego, do czego nie jesteś przekonany. Są inne formy i sposoby służenia Bogu niż śluby zakonne. Ale być może Bóg chce, abyś został dominikaninem, a wówczas odnajdziesz w sobie powołanie. Po to właśnie jest nowicjat, aby Bóg objawił wobec ciebie swą wolę i abyś ty mógł ją w sobie usłyszeć i odkryć. Dlatego, Antonio, zdaj się na Boga. On wie, co robi. – Brat Alvaro uśmiechnął się do mnie, jakby w ten sposób chciał mnie przekonać do swoich słów.

Pomyślałem, że to miłe z jego strony, że oprócz udzielenia mi rozgrzeszenia chciał mnie jeszcze wesprzeć na duchu. Ale brat Alvaro nie zna mego ojca ani jego żelaznej woli, której żadne z nas w domu nigdy się nie sprzeciwiło. Jeśli ojciec coś postanowił, tak musiało być, bez względu na to, czy zgadzaliśmy się z nim czy nie. To ironia losu, że dostałem się pod opiekę mistrza, który, jak twierdzi Alejandro i co ja sam także wyczuwam, również nie uznaje sprzeciwu wobec swoich postanowień.

– Brat Armand jest dobrym człowiekiem – mówił dalej *padre* Alvaro. – Znam go, bo odbywaliśmy razem nowicjat, i wiem, że tak jest. Zdobyta wiedza uczyniła go pewnym siebie i dumnym, ale w głębi duszy jest zupełnie inny. Pomagał ludziom i nadal pomaga. Żebyś widział go w szpitalu! Porozmawiaj z nim o swojej nauce, ale pamiętaj, Antonio, że reguła naszego zakonu wymaga od nas, abyśmy uczyli się i doksztalcali całe życie, bo naszym posłannictwem jest nauczanie mniej świątłych ludzi. Poprzez kaznodziejstwo przekazujemy im światło wiary i światło wiedzy. W ten sposób walczymy z wszelkimi czynami i myślami, które

Święta Inkwizycja uznałaby pewnie za herezję, a ja myślę, że one po prostu wynikają z niewiedzy. Więc od uczenia się, Antonio, w zakonie dominikanów nie uciekniesz. Ale nie masz obowiązku spędzać na nauce całych dni i nocy. Porozmawiaj z bratem Armandem. Taka jest moja rada. Mam nadzieję, że on to zrozumie. Chociaż czasem sprawia wrażenie, jakby wszyscy musieli być tacy jak on, to jednak myślę, że doskonale rozumie, że każdy jest innym człowiekiem i inne ma zalety, czego innego potrzebuje i o czym innym w życiu marzy.

Brat Alvaro umilkł. Udzielił mi rozgrzeszenia. Podziękowałem mu za spowiedź i za słowa otuchy. Wyszliśmy z konfesjonału, bo czekali już w kolejce brat Martin de Tarralba i Mateo.

– Porozmawiałbym z tobą dłużej, Antonio, ale muszę wracać do szpitala. – Brat Alvaro uściśnął mnie serdecznie. – Przywieźli do nas trędowatego ze strasznymi ranami twarzy i dłoni i trzeba mu je opatrzyć, żeby nie wdało się zakażenie. Brat Armand i brat Manuel de Ovieda, który opiekuje się naszym leprozorium, pracują nad tym już całe popołudnie, ale to i tak kropla w morzu! Teraz pomaga im jeszcze brat Constantino. Pewnie patron zabierze cię do szpitala po jutrzejszej ceremonii, to sam zobaczysz zupełnie nowe oblicze brata Armanda. – To mówiąc, ojciec Alvaro przeżegnał się przed ołtarzem i spiesznym, ale wesołym krokiem wyszedł z kościoła.

Cały wieczór i noc spędziliśmy sami we czterech w pustym kościele, wypełnionym ciemnością, której nie rozpraszały nasze cztery nędzne płomyki małych, oliwnych lampek, które zapaliliśmy po niesporze i postawiliśmy obok siebie na ławkach. Na ołtarzu paliły się dwie świece, ale były to jeszcze bardziej mdłe i bezsilne wobec mroku płomyki niż światło naszych lampek i co chwila zdawało mi się, że ciemność zdławi je swym przytłaczającym ciężarem. Taki sam ciężar leżał mi na sercu, powlekając je cieniem pełnym obaw o przyszłość.

Po jutrzni pozwolono nam rozejść się do swoich cel i przygotować się do ceremonii, która rozpocznie się dziś po niesporze. Odkładałem już pióro, aby przespać się chociaż chwilę i móc w pełni sił wejść w ten nowy, jakże przeze mnie niechciany rozdział życia.

10 czerwca. Przed jutrznią

Za mną przepiękna, doprawdy spektakularna ceremonia. Czcigodny przeor postarał się, by uczynić ją dla nas niezapomnianą.

Najpierw przyniesiono mi do celi, to znaczy Juan przyniósł mi prostą, krótką do kolan, białą tunikę, abym założył ją na uroczystość. Przed nieszporem zebraliśmy się wszyscy na dziedzińcu. Brat Constantino wytłumaczył nam, jak to będzie wyglądało, gdzie mamy stać i w jakiej kolejności odbierać będziemy kuty. W kościele obecni byli wszyscy bracia.

Ricardo, ja, Mateo i Jesus staliśmy w rzędzie na środku nawy, twarzami zwrócenii w stronę ołtarza. Obok każdego z nas stał jego patron i trzymał w ręku nową, nigdy jeszcze niepaloną świecę, długą na przeszło metr. Ceremonię poprowadził przeor, była śpiewana i bardzo uroczysta. Migotliwe światło wielu świec tworzyło przyjemny nastrój. Kościół wydawał się dostojny i elegancki, jakby składał nam w sekrecie obietnicę pięknego życia tu, pośród zakonnej braci.

Chociaż cały wczorajszy dzień i całe nocne czuwanie trawiły mnie wątpliwości i obawy, podniosła atmosfera tej ceremonii, poczucie braterstwa z mnichami, życzliwość przeora, jakiej jeszcze u niego nie widziałem, i przyjaźń nie tylko naszych patronów, ale i wszystkich braci, sprawiły, że strach mnie opuścił i w pełni cieszyłem się tą chwilą.

Czułem, że wszystko jeszcze się ułoży, że mój lęk był niepotrzebny, bo wszyscy tu, w klasztorze, chcą naszego dobra. Mój mistrz także cokolwiek czyni, robi to właśnie dlatego, i miast buntować się przeciwko niemu, powinienem być mu wdzięczny. Z radością więc stałem u jego boku, obiecując sobie, że więcej już nie będę marudził. Skoro Bóg zesłał mi taki los, to widocznie ma jakiś plan na to wszystko. Plan, co przekracza ludzkie wyobrażenie, więc nie będę się nad tym głowił.

Przeor w krótkim przemówieniu powitał nas serdecznie w Convento de Santa Cruz la Real w Segowii. Powiedział, że ma nadzieję, że będziemy się tu czuć jak w domu i że te mury z czasem naprawdę staną się naszym domem.

– Przychodźcie do mnie ze wszystkim – dodał *padre* Torquemada.

– Jeśli tylko będę mógł pomóc, możecie zawsze na mnie liczyć. Tak samo zwracajcie się do swoich patronów, którzy od tej chwili są waszymi nauczycielami życia. Oni są po to, aby was przeprowadzić przez trudny czas nowicjatu, aż do złożenia ślubów. Możecie zawsze na nich polegać i o wszystkim im mówić. – To był brat Torquemada, jakiego nie spodziewałem się w nim ujrzeć.

Dotąd wydawał mi się niedostępny, surowy i zajęty jakimiś tajemniczymi sprawami oraz, rzecz jasna, sprawami klasztoru. Wydawał się chłodny i oszczędny w uczuciach. Siedział wiecznie w swoim gabinecie, wśród kolorowych świateł i planów Kastylii, które coś zwiastowały. Dzisiaj zaś zwracał się do nas jak przyjaciel do przyjaciela, jak brat do brata.

– W naszym klasztorze nie ma zawiści – mówił przeor. – Nie ma zazdrości i niechęci pośród mnichów. Miłujemy się wszyscy w Bogu i służymy sobie nawzajem, pomagając, ilekroć któryś z braci nas o to poprosi. Staramy się doskonalić w wykonywanej pracy, studiować Boże dzieła i na każdym kroku dawać świadectwo głębokiej wiary i rozległej wiedzy. Takiej postawy oczekujemy także od was, drodzy młodzi bracia. – Uśmiechnął się. – Witajcie więc wśród nas!

Poczułem jakieś ciepło na dnie duszy, które rozchodziło się w żyłach wraz z krwią. Ciepło, które niosło jakąś radość i pocieszenie. Bracia odśpiewali hymn do Ducha Świętego, trzaskały płomienie świec na ołtarzu oraz duży, strzelisty płomień grubej i niewysokiej świecy stojącej na trzech księgach opasanych różańcem leżących na stole ofiarnym.

Na ołtarz weszli nowicjusze: Juan, Alejandro, Oscar i Camilo, ostatnich dwóch znałem tylko z widzenia, w zasadzie głównie z posiłków i z nabożeństw, na których i tak Oscar pojawiał się bardzo rzadko. Podeszli do nas rzędem i wręczyli nam białe kuty. Juan podszedł do mnie uśmiechnięty i podał mi złożony równo w kostkę biały habit nowicjusza.

– Tak się cieszę, Antonio – szepnął.

Założyliśmy na siebie nowe szaty, a starsi nowicjusze pomogli nam zawiązać je na plecach oraz przepasać je w pasie sznurem cingulum. Potem odeszli. Czułem się wyjątkowo uroczyście w nowym stroju,

którego dolna krawędź przyjemnie łaskotała mnie w palce stóp obute w skórzane sandały. Stałem z moim mistrzem na przedzie w pierwszej parze i, gdy starsi nowicjusze odeszli na bok, brat Armand podszedł do ołtarza i od płomienia grubej świecy stojącej na księgach zapalił świecę, którą trzymał w dłoni przez całą uroczystość. Gdy wrócił na swoje miejsce, od tego płomyka zapalili swoje świece wszyscy pozostali patroni i na znak przeora przekazali nam, uczniom, owo światło. Drżącą dłonią odebrałem ten podarunek od mojego mistrza. Miał pogodną i szczęśliwą twarz, jakiej od jakiegoś czasu u niego nie widziałem. Uśmiechał się. Szczerze. Gdybym go nie znał, nigdy bym nie uwierzył, że jest lekarzem i codziennie patrzy na ludzkie cierpienie i ból. Jego oblicze tchnęło spokojem, jakiego i ja bym sobie życzył, a w oczach widziałem dobroć i życzliwość.

– Oto światło wiary i światło wiedzy! – powiedział przeor, gdy otrzymaliśmy świece od naszych patronów. – Tak jak patroni dziś je wam przekazują w symbolicznej formie, tak będą to światło wciąż rozpalać w waszych sercach i umysłach przez cały czas nowicjatu, aby potem świeciło w was przez całe wasze zakonne życie i abyście wy kiedyś przekazali je swoim uczniom. Od tej chwili jesteście nowicjuszami Santa Cruz. – Jego głos odbił się od sklepienia kościoła donośnym, uroczystym echem.

Po ceremonii, która nie trwała już długo, przeor podszedł do każdego z nas i uściśnął nam dłonie. Inni bracia uczynili za nim to samo. Brat Alvaro, Juan i Alejandro wyściskali mnie z całych sił. Poczułem, że jestem członkiem wielkiej rodziny, gdzie wszyscy mnie kochają, i po raz pierwszy ucieszyłem się, że jestem w zakonie.

Całą noc trwały modlitwy w kościele w intencji naszego pomyślnego i owocnego nowicjatu. Proszono przede wszystkim o dar powołania dla każdego z nas. Nasi patroni oraz przeor zostali z nami do samego końca, na jakąś godzinę przed jutrznią.

Za oknem świta już, gdy piszę te słowa. Mimo dwóch nieprzespanych nocy nie czuję zmęczenia. Zaczynam nowe życie i mam wrażenie, jakbym dopiero w tej chwili przestąpił furtę klasztoru, przekroczył jakąś cienką granicę, za którą nie ma już zwątpienia i trwogi. Bo prawda jest taka, że dotąd nie wiodłem życia młodego

panicza, za którym miałbym tęsknić, więc dlaczego mam być rozdarty? Nie. Chcę wejść w ten świat z czystym sumieniem i otwartym sercem. Jeśli się mylę, czas to pokaże...

12 czerwca. Po komplecie

Jestem wykończony całodzienną pracą w szpitalu. Wstrząśnięty tym, co tam zobaczyłem. A nade wszystko wstrząśnięty leprozorium.

Po śniadaniu mistrz mój zabrał mnie ze sobą do szpitala. Poszli z nami także ojciec Alvaro i Juan, brat Constantino i brat Manuel de Ovieda, młody mnich, który około dziesięć lat temu złożył śluby zakonne i pomaga bratu Armandowi w leprozorium od dnia jego powstania, a wcześniej pracował z nim także w szpitalu. Nie miałem jeszcze okazji go poznać osobiście, widywałem go tylko w klasztorze na modlitwach i posiłkach, a i to nieczęsto. Dziś miałem okazję zobaczyć go w pracy. Bo brat Manuel zajmuje się tylko leprozorium. Od czasu do czasu pełni też dyżury w kuchni, ale ostatnio prawie wcale. Na pracę w leprozorium brat Manuel i mój mistrz otrzymali nie tylko zgodę przeora, ale także specjalne pozwolenie prowincjała zakonu dominikanów właściwego dla Santa Cruz w Segowii.

Pawilon szpitalny z zewnątrz wygląda niepozornie, za to wnętrze zostało tak przemyślanie urządzone, że budynek od środka wydaje się dwa razy większy. W małym korytarzu tuż za drzwiami wejściowymi jest dwoje drzwi. Po prawej – do pomieszczenia zabiegowego, pobielonego oślepiająco białym wapnem i wyposażonego w przeróżne przybory: noże, obcęgi, nożyce, gliniane naczynia, bandaże płócienne, buteleczki szklane różnych wielkości, wypełnione cieczami lub proszkiem i woreczki pochodzące ani chybi z apteki brata Martina. A wszystko to ułożone w niesamowitym porządku na regałach drewnianych, ustawionych pod ścianami jeden obok drugiego. Pod oknami stoją stoły z różnymi przyborami i krzesła. Pomieszczenie jest duże i jasne, bo na zachodniej i południowej ścianie wykuto w sumie cztery duże okna. Bez wątplenia światło jest potrzebne do wykonywanych tu zabiegów medycznych, o których wołałem w tamtej

chwili nie myśleć. Przed oczami wyobraźni pojawił mi się nagle obraz brata Armanda odcinającego nogę tamtemu chłopcu, ale odgoniłem tę wizję.

Zaraz za drzwiami na wieszakach wisi kilka białych, świeżo upranych fartuchów, przygotowanych zapewne do dzisiejszej pracy. Zaś na parapetach ambulatorium stoją świece, mnóstwo świec, w większości nadpalonych oraz co najmniej kilkanaście lamp oliwnych, teraz zgaszonych, używanych zapewne w razie konieczności wykonania jakichś zabiegów po zmroku. Z sufitu ambulatorium zwisają dwa duże żyrandole żelazne w kształcie obręczy z zatkniętymi na nich świecami, podobne do tego, który widziałem w gabinecie przeora, tylko większe. W kącie po prawej stronie stoi niewielki piec z paleniskiem. Palił się w nim ogień, gdy weszliśmy, choć jest przecież środek lata. Obok ustawiono wiadra z wodą ze studni. Prawdopodobnie gotuje się ją do przemywania ran i odświeżania we wrzątku bandaży, które przecież są wielokrotnego użytku.

Mistrz mój oprowadził mnie po szpitalu, gdy pozostali bracia byli zajęci sprawami pacjentów. Obok ambulatorium zobaczyłem małe pomieszczenie bez okien, właściwie komórkę, służącą za skład różnych przedmiotów. Były tam czyste płótna, wyprane fartuchy, bandaże, nosze, stare, nieużywane naczynia gliniane, jakieś kufry.

– Musisz zapamiętać położenie rzeczy w szpitalu i rozkład pomieszczeń, Antonio – powiedział brat Armand. – Wszystko ma tu swoje miejsce i kiedy czegoś używasz, odkładasz tam, skąd wzięłeś. Lekarze i siostry pielęgniarki nie mogą szukać narzędzi. Jeśli coś się stanie, nie ma na to czasu. Chyba że to brudne płótna: zużyte bandaże, ręczniki, fartuchy. To wszystko wrzucamy do tych koszy. – Wskazał ręką dwa wysokie i obszerne kosze plecione z sitowia, stojące w korytarzu. – Siostry piorą i gotują płótna dwa razy w tygodniu.

Pokiwałem w odpowiedzi głową, że zrozumiałem panujące w szpitalu zasady. Przeszliśmy przez sień do drzwi po lewej stronie od wejścia. Za nimi znajduje się długi, wąski korytarz z rzędem zachodnich okien. Po przeciwnej stronie rozmieszczone są sale chorych: niewielkie i niewysokie pomieszczenia, wybielone wapnem, w których na niskich, drewnianych pryczach leżą chorzy. Różnej wielkości są to sale: cztero-

i sześćoosobowe. Wśród pacjentów krzątały się siostry w czarnych habitach, białych fartuchach i białych nakryciach głowy, gdy szedłem z bratem Armandem korytarzem. Skojarzyły mi się z aniołami ostatniej drogi, które pomagają tym chorym przejść spokojnie w zaświaty. Ale głos mego mistrza wyrwał mnie nagle z tych wyobrażeń.

– Dwie pierwsze sale to pacjenci po różnych zabiegach.

Najczęściej po opatrzeniu przeróżnych ran, z oparzeniami, niekiedy po amputacjach. Potem są sale mniej groźnych chorób, jak grypa, zapalenie płuc, gorączka nieznanego pochodzenia – tłumaczył mistrz.

– *Padre*, zapalenie płuc nie jest groźne? – zapytałem, bo według mojej wiedzy było najczęściej śmiertelne.

– Bardzo! – przyznał brat Armand. – Ale my, dominikanie, nauczyliśmy się je zwalczać lekami. Więc nie jest to choroba taka jak malaria, ospa czy tyfus, na które wciąż nie znamy lekarstwa.

Szliśmy korytarzem, a ja zaglądałem ciekawie za otwarte na oścież drzwi do sal chorych. Nie wszystkie łóżka były zajęte.

– Ostatnie dwie sale – mówił dalej mistrz – to najcięższe przypadki. Dzisiaj są to przede wszystkim pacjenci z tyfusem plamistym i jeden człowiek zakażony malarią, chociaż nie mam pojęcia, jakim cudem się nią zaraził w środku suchego lata. Tyfus został już opanowany. – Brat Armand spojrzał na mnie ze spokojem i poklepał mnie po ramieniu, jakby chciał dodać mi otuchy. – Tak jak mówiłem, nie groziła nam nowa epidemia. To pojedyncze przypadki, bez związku ze sobą.

Weszliśmy do ostatniej sali, gdzie leżeli ciężko chorzy pacjenci. Była większa niż poprzednie pomieszczenia i stało w niej więcej łóżek. Kilku chorych leżało także na siennikach na podłodze. W kącie pod przeraźliwie białą ścianą leżał na zniszczonym sienniku człowiek w łachmanach, w gorączce. Był mokry od potu. Na popękanych, spieczonych gorączką wargach widniały strupy zaschniętej krwi. Trząsał się z zimna tak bardzo, jakby za oknem był mróz, nie upał. Spojrzałem pytająco na mego mistrza, bo widok chorego przejął mnie zgrozą.

– To właśnie jest malaria – odpowiedział brat Armand. – Szósty atak. Nie wiem już, co robić. Prawdopodobnie umrze z wycieńczenia. Nie umiem mu pomóc.

Przyjrzałem się jeszcze raz wychudzonemu pacjentowi, którego ręce drżały, a dłonie zaciskały się w pięści aż do białych palców. Cóż za straszna choroba – pomyślałem – co atakuje zniecka i nawet nie wiadomo, skąd przychodzi!

– Przyzwyczajaj się, chłopcze – powiedział poważnie mój mistrz. – Musisz poznać choroby i ich objawy i to, w jaki sposób można pomóc chorym, by wyzdrowieli lub choćby tylko po to, by ulżyć im w cierpieniu.

– Tak, *padre*. – Zmusiłem się, by oderwać wzrok od pacjenta z malarią i popatrzeć na innych chorych.

– Tyfus plamisty nie jest aż tak tajemniczy – mówił dalej brat Armand. – Przynajmniej mamy już podejrzenia, jak się przenosi. Choroba ta najczęściej dotyka ludzi biednych. Wbrew pozorom dość łatwo się nią zarazić, więc na wszelki wypadek zachowaj szczególną ostrożność, Antonio, gdy będziesz pielęgnował chorych na tyfus.

– Oczywiście. – Skinąłem głową.

Wyszliśmy z mistrzem z ostatniej sali chorych i ruszyliśmy korytarzem z powrotem w stronę ambulatorium.

– Zacziesz od prostych rzeczy – tłumaczył mistrz. – Przygotowanie ambulatorium do pracy: cięcie płócien na bandaże, szycie narzędzi. Juan pokaże ci wszystko. Potem dopiero będziesz się opiekował chorymi, jak się trochę poduczysz. Ale każdą rzecz konsultuj ze mną lub innym lekarzem, niczego nie rób samowolnie, bo wyrządzisz więcej szkody niż pożytku. – Brat Armand zatrzymał się i popatrzył na mnie surowo.

– Oczywiście, mistrzu – zapewniłem go natychmiast o swoim posłuszeństwie.

Prawda jest też taka, że nigdy nie przyszłoby mi do głowy decydować samodzielnie o czymkolwiek w szpitalu. Ruszyliśmy znów korytarzem.

– Teraz pokażę ci leprozorium, którym opiekuję się wraz z bratem Manuelem – mówił dalej patron. – Potem wrócimy do szpitala. Jeśli będziesz chciał, możesz zostać w leprozorium.

Wyszliśmy z budynku szpitala i skierowaliśmy się w lewo, wzdłuż okien ambulatorium.

– *Padre* – zagadnąłem – jeśli mogę spytać: czyż nie jest tak, jak głosi Kościół, że trąd jest karą za grzechy? Czy pomagając trędowatym, nie sprzeciwiamy się woli Bożej?

Pamiętałem z lekcji religii, że Pismo Święte uczy, że trąd jest Boską karą, która spaść może na każdego z nas za nasze grzechy. Dlatego, odkąd pamiętam, nikt w Segowii trędowatym nie pomagał. Przeciwnie, księża lżyli ich z ambony, szczuli śmiercią i wyganiaли poza bramy miejskie. Zabraniali katolikom pomagania im pod groźbą nieudzielenia rozgrzeszenia, a nawet ekskomuniki. A teraz brat Armand pomagał im jak każdemu innemu pacjentowi, jakby nie byli to trędowaci, ale chorzy na zwykłe przeziębienie! Ciekawiło mnie to, ale i napawało obawami. O los mego mistrza, gdyby księża z Segowii się o tym dowiedzieli.

– Antonio – mistrz popatrzył na mnie łagodnie i pobłaźliwie, jak mentor, który tłumaczy kolejny już raz jakąś rzecz swojemu niepojętnemu uczniowi – zapomnij o wszystkim, czego się dotąd dowiedziałeś o trądzie. Tu, w moim szpitalu, nie ma żadnych Boskich kar ani nagród. Są choroby. Jeśli potrafimy, leczymy je. I trąd także jest zwyczajną chorobą, najzwyczajniejszą pod słońcem, chociaż jeszcze niepoznaną. I nie wiemy jeszcze, jakie jest na nią lekarstwo. Bo jest. Zapewniam cię, że gdzieś jest na trąd lekarstwo i, mam nadzieję, szybko zostanie odkryte. Szczerze powątpiewam w naukę księży, jakoby trąd zsyłał na nas Bóg jako karę. Gdyby tak było, chorowaliby tylko ludzie dorośli, którzy zdążyli już wystarczająco nagrzeszyć w swoim życiu. Mordercy, gwałciciele, złodzieje. A chorują kilkuletnie dzieci. I jak to wytłumaczysz? – Mistrz zawiesił głos, ale chyba nie oczekiwał odpowiedzi, bo zaraz mówił dalej: – A gdyby miała być to kara, dlaczego zbrodniarze i heretycy nie są chorzy? Bo jest chyba oczywiste, że za ich grzechy należy im się palec Boży... A poza tym, Antonio, zwróć uwagę, że Bóg daje grzesznikom drugą szansę w postaci odpuszczenia win. Gdy wyznają szczerze swe grzechy na spowiedzi i otrzymają rozgrzeszenie, Bóg im winy wybacza, choćby były najgorsze z możliwych. Nie może ich więc za nie karać, skoro im je wybaczył. A wybacza zawsze. I nam, ludziom, także mówi, że mamy wybaczać, ilekroć brat nasz poprosi nas o wybaczenie. Twoja teoria o doczesnej

karze trądu nie ma więc podstaw ani logiki. Nie mówiąc już o tym, że Bóg jest miłością. Nigdy złośliwie nie zsyła na człowieka cierpienia. A trąd jest strasznym cierpieniem, o którym zaraz się przekonasz. Więc nie mów mi o karze Boskiej, Antonio. Nie przystoją takie słowa wykształconemu dominikaninowi, a raczej prostemu księdzu, który o naukach nawet nie marzył – zakończył mistrz, a mnie było głupio za swoją niewiedzę.

Za rogiem ambulatorium skręciliśmy w lewo i znów szliśmy wzdłuż ściany szpitala.

– Dlatego jestem przeciwny tej absurdalnej teorii – mówił dalej brat Armand. – Ale niestety niewykształcony świat jej hołduje i trzeba nam było stoczyć bój prawdziwy o wybudowanie leprozorium. Wszyscy byli przeciwni temu pomysłowi: i księża z miejscowych parafii, i mieszkańcy, a już najbardziej władze miasta. Ale pomogła nam Królowa, która wówczas bawiła w Segowii. Poparła mnie i brata Torquemadę w sporze z proboszczem. To Królowa do dzisiaj łoży na utrzymanie szpitala i leprozorium. Z jej inspiracji także proboszcz, który tak się z nami spierał, został odwołany ze swej funkcji.

Pomyślałem, że Królowa Izabela musi naprawdę lubić przeora, który cieszy się u niej szczególnymi względami. Z pewnością ta przyjaźń sięga o wiele dalej. Nie wydaje mi się możliwe, aby była to jedynie wdzięczność za poparcie jej kandydatury w walce o tron Kastylii. Myślę, że chodzi o coś innego... Coś o wiele ważniejszego. Dla przeora i dla Królowej.

Znów za rogiem skręciliśmy w lewo. Okazało się, że do wschodniej ściany szpitala przytulony jest jeszcze jeden pawilon, dużo mniejszy niż ten szpitalny, ale za to o takich samych przeraźliwie białych ścianach. Niższy jest i przez to wydaje się nieco karłowaty, ale zadbane i schludny.

Weszliśmy z bratem Armandem do środka przez niewielkie, drewniane drzwi. Od progu uderzył mnie nieprzyjemny, dość intensywny, mdły zapach, którego nigdy dotąd nie czułem. Skrzywiłem się i spojrzałem na mistrza pytająco.

– To zapach obumierających tkanek z ran trędowatych – wytłumaczył spokojnie i rzeczowo mistrz. – Dzisiaj nie jest źle.

Przyzwyczajasz się, Antonio.

Westchnąłem.

Leprozorium składa się z jednego dużego pomieszczenia. W kącie za drzwiami po prawej stronie od wejścia zorganizowano niewielkie ambulatorium: jeden stół z przyborami do opatrywania ran, szafa z medykamentami, palenisko.

Jakże mam opisać widok, który ukazał się moim oczom? W całym pomieszczeniu na siennikach na gołej podłodze leżeli trędowaci. Kilkunastu chorych odzianych w łachmany wegetowało na swoich barłogach w poplamionej, choć czystej, bo wypranej pościeli. Tu siostry nie opiekowały się pacjentami. Zostawiono ich jedynie opiece brata Armanda i brata Manuela. Trędowaci, których nigdy dotąd z tak bliska nie widziałem, wyglądali makabrycznie. Niektórzy leżeli z kikutami zamiast dłoni i stóp: nieforemnymi, maczugowatymi bulwami obleczonymi skórą pooraną licznymi bruzdami i bliznami. Inni mieli przewiązane opaską oczy, co pewnie oznaczało, że nie widzą. Ciała jeszcze innych pokrywały liczne guzy i krosty wypełnione ropą, co zielonkawożółta sączyła się powoli z bąbli na ich twarzach i szyjach, ramionach lub z różnych miejsc na całym ciele. Ci chorzy mieli zdeformowane twarze, jakby wykrzywili je w jakimś grymasie i tak już zastygli. Niektórzy nie mieli uszu, nosa, usta częściowo zarastały im nacieki z ropą. I wszyscy oni leżeli apatyczni, w milczącym bezruchu, takim, co odbiera wolę i nadzieję i każe tylko czekać. Czekać na śmierć...

– To miejsce opuszczone przez Boga... – wyszeptałem do siebie, wzdrygając się na ten upiorny widok.

– Przeciwnie, Antonio. – Mój mistrz postąpił na środek sali, zachęcając mnie gestem do tego samego, bo nadal staliśmy tuż za progiem. – Jesteśmy tu z nimi, a przez naszą obecność jest z nimi sam Bóg.

Podszedłem wolno do brata Armanda.

– Trędowaty to też twój brat, Antonio. – Ojciec Manuel de Ovieda spojrzał na mnie ciepło, nie przestając krzątać się pomiędzy chorymi.

– Tak, *padre* – powiedziałem pokornie, wstydzając się swoich uprzedzeń.

– Mamy dwie postacie trądu[11]. – Brat Armand, obejmując mnie ramieniem, doprowadził na siłę nieco bliżej chorych.

Stanęliśmy nad łóżkiem mężczyzny około trzydziestoletniego, wychudzonego tak bardzo, że skóra ciasno oblekała kości jego twarzy, ramion, a zwłaszcza kikuty rąk. Przywitał brata Armanda bardzo ciepło i uśmiechnął się do niego, jeszcze bardziej napinając skórę na policzkach.

– Witaj, Lorenzo. – Mój mistrz pochylił się nad trędowatym. – Jak się dziś czujesz?

Chory kiwnął w odpowiedzi głową na znak, że dobrze.

– To jest tak zwana sucha postać trądu. – Mistrz wyprostował się i zwrócił do mnie, wskazując na leżącego przed nami Lorenzo, który zamknął oczy i wcale nie zwracał na nas uwagi. – Nie ma tu, jak widzisz, owrzodzeń, narośli i nacieków ropnych. Skóra chorych jest gładka. Ale niech cię to nie zmyli, Antonio. Ich choroba gorsza jest od tej drugiej postaci. Zaczyna się niepozornie, bo plamą trądową. Ma ona różny kształt i kolor miedziany, a u osób z karnacją ciemniejszą jest biaława. Nie ma teraz w leprozorium nikogo z taką plamą, a wszyscy tutaj mają o wiele bardziej zaawansowaną postać trądu. Bo plama znika po pewnym czasie. Sama. Pierwsze objawy w postaci zaniku czucia w dłoniach, stopach lub w oczach pojawiają się od kilku tygodni po jej zniknięciu do nawet kilku lat po plamie trądowej. Nie mamy pojęcia, dlaczego tak się dzieje i po co w ogóle pojawia się plama trądowa. Jest jak zwiastun choroby, która może przyjść i za dziesięć lat!

– A brak dłoni? – zapytałem. – Skąd się bierze?

– To wynik utraty czucia – objaśnił mój mistrz. – Najpierw pojawia się w opuszkach palców, potem w całych palcach, w śródreżcu i do nadgarstka. Dalej się już nie posuwa. Przez to, że chorzy nie mają czucia, często uderzają się na przykład w dłonie, mocno. A że nie czują, nie wiedzą nawet, jak mocno się uderzyli, że na przykład złamali sobie palec. Od wielokrotnych, idących w tysiące, takich urazów, złamań, obić, otarć, oparzeń i tym podobnych palce się wykrzywiają, zwłaszcza jeśli krzywo się zrosły, nierzadko wdaje się zakażenie, robi się martwica, palce odpadają, aż zostają takie oto bulwiaste, dalej deformowane od uderzeń kikuty. A przecież taki chory nie pójdzie do lekarza, aby mu

nastawił złamaną kość palca, bo żaden lekarz go nie przyjmie. – Mistrz wziął do ręki coś, co było kiedyś dłonią Lorenza.

Zrobił to bardzo delikatnie, a Lorenzo otworzył oczy.

– Wybacz, że ci przeszkadzam – zwrócił się do chorego brat Armand – ale uczę mojego nowicjusza, jak rozpoznać trąd.

Lorenzo kiwnął głową i znów zamknął powieki, milcząco pozwalając bratu Armandowi dotykać zmian chorobowych na swojej skórze.

– Jest twarda, bo kości się zdeformowały – mówił dalej mistrz, trzymając w ręku kikut. – Dotknij, Antonio – polecił.

Spojrzałem na brata Armanda przerażony. Za nic na świecie nie zamierzałem brać za rękę trędowatego. Skoro nie była to kara Boska, ale zwykła choroba, mogłem się przecież zarazić! Nie mówiąc już o obrzydzeniu, jakie brało mnie na sam ten widok!

Cofnąłem się o krok, co rozzłościło najwyraźniej mojego mistrza, bo spojrzał na mnie lodowato. Znieruchomiałem. Ale zanim zdążyłem się zorientować, brat Armand chwycił mnie za przegub prawej ręki i mocno pociągnął w swoją i trędowatego stronę. A potem włożył w moją dłoń jego okaleczony kikut...

Me ciało przeszedł dreszcz odrazy, chociaż bardzo starałem się nie dać tego po sobie poznać. Na szczęście Lorenzo miał nadal zamknięte oczy.

– Jak chcesz zostać lekarzem, skoro boisz się chorób?! – zagrmiał mój mistrz i spojrzał na mnie wściekły. – Tutaj nie toleruję wywyższania się ponad pacjentów. A zwłaszcza trędowatych. Tutaj – wskazał ręką na leprozorium – jesteś im sługą, a nie panem! Pożałujesz, jeśli zobaczę to u ciebie jeszcze raz – syknął, a potem dodał: – Widzę, że będziesz musiał spędzić w leprozorium więcej czasu, aż się przyzwyczaisz.

Spuściłem głowę.

– Wybacz, ojcze, jeśli cię uraziłem – wyjąkałem. – To się więcej nie powtórzy.

Brat Armand położył mi dłoń na ramieniu i rozchmurzył twarz.

– To nie mnie masz przeprosić – powiedział. – Tylko ich. – Powiódł wzrokiem po leżących w sali trędowatych. – Dlatego, zamiast w szpitalu, resztę dnia spędzisz w leprozorium, pomagając bratu

Manuelowi w ciężkiej pracy.

– Tak, ojciec – odpowiedziałem grzecznie, chociaż perspektywa spędzenia tu całego dnia przyprawiała mnie o mdłości.

Ale wiedziałem, że mistrz mój nie zamierzał tolerować mojego sprzeciwu, więc nie miałem wyjścia. Podeszliśmy do innego chorego, starszego mężczyzny o makabrycznie zdeformowanej guzkowatymi naciekami twarzy, które zarastały mu jedno oko. Z krost tych sączyła się ropa. Spod oblekających go łachmanów, które kiedyś były ubraniem, widać było, że takie same nacieki i owrzodzenia pokrywają jego tułów, ramiona i nogi. Nasiąknięte ropą ubranie oblepiało mu całe ciało. Ale za to palce u rąk i nóg miał wszystkie. Leżał z zamkniętym okiem w kącie pod oknem i oddychał ciężko.

– To jest Roderigo. – Mistrz zniżył głos do szeptu. – Ma drugą postać trądu, naciekową. W tym przypadku choroba nie zaczyna się od plamy. Ta nigdy się nie pojawia. Ale za to pojawia się nieduża opuchlizna: nad łokciami, pod kolanami, czasem ukośnie w postaci zgrubiałej pręgi biegnie na szyi lub na policzku. Trwa kilka dni i znika. To pierwszy symptom, choć nie wiemy dokładnie, dlaczego powstaje. Następnie pojawiają się nacieczenia, jak tu widzisz. – Wskazał palcem policzek Roderigo usiany naciekami. – Są guzkowate, wypełnione ropnym płynem, który także daje ten słodkawy zapach. Nacieki wrzodzieją i bardzo trudno się goją. Trzeba uważać, żeby nie wdało się zakażenie. Opatrujemy te rany, wycieramy ropę, przemywamy nacieki, ale to tylko leczenie objawów. Przyczyny tej choroby nie znamy. W tej postaci, jak widzisz, nie dochodzi do utraty czucia w palcach rąk i stóp.

Przyjrzałem się bliżej Roderigo, jak mistrz kazał, i czułem, że robi mi się coraz bardziej niedobrze. Kręciło mi się w głowie i zimny dreszcz biegł mi po plecach. Zachwiałem się i dłoń moja, szukająca jakiegoś oparcia, zatrzymała się na ramieniu ojca Manuela, który akurat obok nas przechodził.

– Niedobrze mi... – starałem się powiedzieć to głośno, ale nie słyszałem w ogóle swojego głosu.

– Na zewnątrz. Szybko! – krzyknął brat Manuel i wskazał wyciągniętą ręką drzwi wejściowe.

Słaniając się i chwiejąc, dobiegłem do drzwi leprozorium

i potykając się o wysoki próg, wypadłem na dwór. Chwilę stałem przed wejściem, a potem uszedłem do przodu kilka kroków. Zwymiotowałem.

Od razu poczułem się lepiej. Zwłaszcza że świeży wiatr muskał mi twarz i nie czułem wokół siebie ohydneho zapachu ropy sączącej się z ran trędowatych. Wyprostowałem się i chwyciłem głęboki oddech, jakbym zamierzał nabrać tego powietrza na zapas.

Jakże nie chciałem tam wracać! I to wcale nie dlatego, że czułem się lepszy od trędowatych, albo też dlatego, że nie wzbudzali we mnie litości. Przeciwnie. Bardzo im współczułem takiego losu. Ale na widok tych ran i kikutów brało mnie obrzydzenie. I bardzo, bardzo bałem się zakażenia, dając wiarę bratu Armandowi, że trąd to zwykła choroba, jak grypa czy zapalenie płuc.

Mimo wszystko jednak noga za nogą wróciłem do leprozorium, gdzie znów od progu przywitał mnie słodkawy ów smród, prawie namacalny. Brat Manuel poklepał mnie pokrzepiająco po ramieniu. Mistrz mój zaś stał w tym samym, co przed moim wyjściem, miejscu i czekał na mnie. Był zniecierpliwiony.

– Przepraszam, *padre*, ale... – chciałem się usprawiedliwić, mistrz jednak ruchem ręki nakazał mi zmilczeć.

– Nie interesuje mnie to, Antonio – powiedział sucho. – Ty masz tu pomagać i koniec. Radziłbym ci się przyzwyczajać, od zaraz – powiedział karzącym, upominającym tonem i wyraz oczu też miał surowy i chłodny.

Nie miałem pojęcia, dlaczego zignorował zupełnie mój strach. Ale od tamtej chwili wiedziałem już, że z jakiegoś powodu bardziej go obchodzili trędowaci niż ja i o wiele więcej miał dla nich szacunku i zrozumienia. Zrobiło mi się przykro. Nic dla brata Armanda, mojego patrona i opiekuna nowicjatu, nie znaczyłem.

– Będziesz umiał rozpoznać postacie trądu, Antonio? – zapytał mistrz stanowczo.

Kiwnąłem głową.

– Są tak różne, że nie można ich pomylić – mistrz mówił dalej. – Aż trudno uwierzyć, że to ta sama choroba. Chociaż i tej pewności nie mamy. Możemy się tylko domyślać. – Brat Armand podszedł do mężczyzny z obandażowaną twarzą. – Antonio, podejdź tutaj – rozkazał.

– Pomożesz mi zmienić opatrunek.

Podszedłem. W jednej chwili jak spod ziemi wyrósł obok nas brat Manuel z naręczem płóciennych bandaży.

– Przynieś wodę. – Ojciec de Ovieda wskazał dłonią garnek stojący na palenisku.

Posłusznie wykonałem polecenie. Ukląkłem przy chorym, jak obaj bracia. Mój mistrz rozwiązał bandaż i wolno odwijał go z głowy chorego. Robił to ostrożnie i z wyczuciem, jak sądziłem, aby go nie urazić. Każda kolejna warstwa bandaży mocniej nasiąknięta była krwią. A gdy zdjął ostatnią warstwę, wzdrygnąłem się z obrzydzenia na widok rany. Znajdowała się w miejscu policzka. Ciało w ogóle nie było widać, tylko dziurę od nosa aż do ucha i od oka, aż do szyi. Mięso rozwarstwiło się i w dnie ziejącej rany widać było kość. Pomyślałem, że człowiek ten straszne musi cierpieć męki od takiej otwartej rany, ale ku memu zdumieniu brat Manuel mokrym, czystym płótnem zaczął przemywać wnętrze rany, a chory nawet nie skrzywił się z bólu, choć powinien wyc.

– Dlaczego on nie krzyczy? – szepnąłem do brata Armanda.

– Bo nie ma czucia w policzkach – odpowiedział mistrz. – To sucha postać trądu, jak widzisz. Ten chory traci czucie w twarzy, z wolna również wzrok. Gdy go wczoraj przyniesiono do nas, w tej ranie gnieździły się larwy much. Olbrzymie. Setki ich były. Trzeba było je usunąć, bo zjadłyby mu cały policzek. Ale to również świadczy o tym, że tkanki obumierają, bo inaczej larwy by się nie zagnieździły.

Słuchałem słów brata Armanda z coraz większym obrzydzeniem na samą myśl o larwach żywiących się martwym policzkiem człowieka, który spokojnie przede mną leżał. Brat Manuel skończył przemywać ranę, po czym mój mistrz dokładnie ją obejrzał, zbliżając do chorego swoją twarz, chociaż smród gnijącego ciała przyprawiał o zawroty głowy.

– Trzeba będzie wyciąć część policzka – mistrz mój odezwał się do brata Manuela. – Tutaj i tutaj. – Pokazał palcem. – Jutro to zrobimy.

– Tak, *padre*. – Brat Manuel skinął głową i zabierając garnek z wrzątkiem oraz brudne płótna, odszedł w stronę ambulatorium.

Brat Armand zaczął owijać nowym bandażem twarz trędowatego człowieka. Gdy skończył, wstał z kolan.

– Zostawiam z tobą, bracie, mego ucznia – zwrócił się do *padre* Manuela. – W niczym go nie oszczędzaj. Ma się oswoić i przyzwyczaić. Antonio bardzo chce zostać lekarzem. – Mistrz poklepał mnie po ramieniu.

Spróbowałem się uśmiechnąć do brata Manuela, który do nas podszedł, ale chyba tylko się skrzywiłem.

– Spotkamy się na kolacji – rzucił w moją stronę mistrz, po czym pozdrowił brata Manuela i wyszedł z leprozorium.

Zostałem sam na sam z moim nowym mentorem i całą rzeszą cierpiących ludzi, których potworna choroba czy też Boska kara wyrzuciła poza nawias społeczeństwa. Pocieszające było to, że wydawało mi się, że brat Manuel nie jest osobą tak apodyktyczną jak mój mistrz i szybko się zaprzyjaźnimy.

Większą część dnia spędziłem na karmieniu chorych z suchą postacią trądu, którym choroba zaatakowała dłonie i pozostawiła bulwiaste kikuty, przez co nie mieli czym trzymać talerza czy łyżki. Brat Manuel krzątał się po ambulatorium i zmieniał opatrunki. Nie wołał mnie do pomocy, za co byłem mu wdzięczny. Myślę, że widział moje obrzydzenie i czekał cierpliwie, aż minie pierwszy szok. Na samą jednak myśl, że przez wiele kolejnych dni miałbym tu wracać i pracować, robiło mi się niedobrze.

Brat Manuel jest w wieku mniej więcej mojego mistrza, ale dużo drobniejszej postury i przez to wygląda młodziej. Ma w twarzy coś takiego, co sprawia, że cały czas jest uśmiechnięty, nawet jeśli tego nie robi. Jego oczy są łagodne, duże, czarne i sprawiają wrażenie aksamitnych. Kiedy patrzy, odnosi się wrażenie, że gładkość tego aksamitu dotyka twarzy rozmówcy wraz ze spojrzeniem brata Manuela. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Ma również w sobie wiele dobroci i olbrzymie pokłady pogody ducha. Jak inaczej wytłumaczyć jego codzienną posługę w tym strasznym miejscu? Jak wytłumaczyć, że może spokojnie zasypiać po tym, czego się tu przez cały dzień naogląda? I skąd, jeśli nie z owej pogody ducha i głębokiej wiary, czerpie siłę, by co rano wstać i pracować tutaj? Dla mnie to heroizm.

Nie poszedłem na obiad ani na nabożeństwo na Anioł Pański, bo pracy było zbyt dużo. Brat Manuel także został w leprozorium. Po kilku

godzinach, które spędziłem pośród trędowatych, faktycznie smród stał się prawie niewyczuwalny i wydaje mi się, jakbym nieco znieczulił się na tutejsze makabryczne widoki. Odrobinę, dosłownie, ale było to pocieszające.

– Nie miej za złe bratu Armandowi jego zachowania – zagadnął mnie ojciec Manuel, gdy po południu mieliśmy chwilę, żeby usiąść w ambulatorium. – To wielki i wspaniały lekarz. Przekonasz się o tym nie raz podczas pobytu w Santa Cruz. Ma do leczenia niesamowity talent. A dla pacjentów prawdziwą cierpliwość i współczucie. Jego zachowanie czasem może ci się wydać zbyt szorstkie, ale to wpływ brata Torquemady. Kiedyś brat Armand taki nie był.

Uśmiechnąłem się blado do *padre* Manuela, ale nie byłem przekonany co do dobrego charakteru mojego mistrza. Być może, a nawet prawie na pewno jest świetnym lekarzem, ale w kontaktach ze mną bywa dość oschły i bardzo oficjalny. Poza tym zauważyłem, że brat Armand nie ma przyjaciół. Jeśli nawet któryś z mnichów go lubi, to się z nim nie przyjaźni. A i z przeorem stosunki mojego mistrza trudno by nazwać przyjaźnią. Ale może się mylę...

– A dlaczego *padre* Torquemada ma na mojego mistrza zły wpływ? – zapytałem dość nieostrożnie beztrąsko, bo brat Manuel wzbudził moje zaufanie.

Uśmiechnął się tajemniczo.

– Nie wiem, czy zły – odpowiedział. – Ale brat Armand się zmienia. To widzą ci, którzy przedtem go znali. Spytaj ojca Alvaro. On opowie ci najwięcej. Ale prawdą jest, że brat Armand przez ostatnie miesiące spędza z przeorem mnóstwo czasu. Siedzą nad planami jakiejś organizacji czy instytucji. Bóg jeden wie, co to takiego. Przeor, jak się przekonasz, jest osobą bardzo skrytą. Dystansuje się od każdego z nas. No, może oprócz brata Constantino, podobno w przeszłości bardzo go lubił. Ale bardziej jak mistrz ucznia niż przyjaciel przyjaciela. A z twoim patronem naprawdę się zaprzyjaźnił. Jego jednego dopuścił do swoich tajemnic, jego jednego gości w swoim gabinecie, omawiają coś całymi wieczorami. Nie wiem do końca, czy to jest przyjaźń, ale brat Armand zachwycony jest postawą przeora i jego pomysłami.

– A cóż to może być za organizacja? – zapytałem z ciekawością.

Brat Manuel nie odpowiedział od razu.

– Nie mam pojęcia. – Spojrzał na mnie uważnie. – Ale odniosłem wrażenie, że to dla przeora bardzo ważne. A twój patron jest tym bardzo zafascynowany. Jeszcze ich zobaczysz, Antonio, jak wieczorami spacerują po dziedzińcu i długo po komplecie omawiają coś ściszonymi głosami. – Uśmiechnął się do mnie życzliwie. – Nie mam wpływu na zlecane ci przez patrona prace, ale w leprozorium nie będę cię do niczego zmuszał, aż przywykniesz. Jestem w stanie cię zrozumieć, że ten widok – powiódł wzrokiem po sali chorych – może cię odstraszać, a nawet napawać wstrętem.

– Dziękuję, *padre*. – Pochyliłem grzecznie głowę, bo naprawdę wdzięczny byłem bratu Manuelowi i za wyrozumiałość, i za dobre słowo.

– Idź już, Antonio. – Wstał z krzesła. – Sam dokończę. – Spojrzał na okno. – Za godzinę nieszpór. Idź, przygotuj się do modlitwy.

Ucieszyłem się niezmiernie i zerwałem z krzesła. Jeszcze raz podziękowałem bratu Manuelowi i spiesznie wyszedłem na zewnątrz. Jeszcze nigdy nie byłem tak wdzięczny Bogu za możliwość oddychania czystym, świeżym powietrzem! Ucieszyłem się, jakbym nie oddychał przez tydzień, co najmniej! Ale radość moja nie trwała zbyt długo, bo uszedłszy zaledwie kilka kroków, za węglem leprozorium spotkałem mojego mistrza zmierzającego właśnie do trędowatych.

– A! Antonio! – zawołał, gdy mnie zobaczył. – Już skończyłeś pracę?

– Tak... – przyznałem niepewnie. – Ojciec Manuel powiedział...

– Ojciec Manuel za bardzo ci pobłaża – przerwał mi brat Armand i ruchem ręki zawrócił moje kroki do leprozorium.

Brat de Ovieda spojrział na mnie porozumiewawczo, gdy zobaczył nas obu w drzwiach wejściowych.

– Pomyślałem, że skoro mam wolną chwilę, to możemy dziś usunąć martwe tkanki pacjentowi z raną policzka – powiedział od progu mój mistrz i podszedł prosto do chorego.

Znieruchomiałem na te słowa i na samą myśl, że będę brał w tym udział. Tymczasem brat Armand tłumaczył pacjentowi, co będą musieli zrobić, a ojciec Manuel zawołał mnie do ambulatorium do pomocy.

Zaczęliśmy od nastawienia wody na palenisku i bardzo dokładnego umycia rąk, aż do łokci. Potem podarłem płótna na bandaże, a brat Manuel przygotował mały nożyk, igłę i nici. Ułożył je na blasze i zalał gotującą wodą, żeby odkazić. Następnie wylał wodę z tacy, ułożył bandaże obok narzędzi, a także kawałek płótna, w którym wyciął sporą dziurę. Zaniósł to wszystko do chorego.

Brat Armand umył sobie ręce, polał je jakimś przezroczystym płynem o intensywnym, gryzącym zapachu i wręczając mi małą buteleczkę z owym specyfikiem, kazał iść za nim, zabierając ze sobą płyn, który nazwał wodą, chociaż wody z zapachu on wcale nie przypominał.

Tymczasem brat Manuel przygotował już chorego: zdjął mu bandaże, przemył ranę, potem także przetarł ją owym płynem, który przyniosłem. Przyglądałem się zawartości małej buteleczki i zastanawiałem się, cóż takiego może to być.

– *Aqua vitae* – wyjaśnił mój mistrz, co oznaczało, że to „woda życia”.

Łacińska nazwa nadal nic mi nie mówiła, ale się nie odzywałem. Odstawiłem buteleczkę obok tacy.

– Antonio, zatkaj korek, bo wyparuje! – polecił mi brat Armand z wyraźnym zniecierpliwieniem.

Pomyślałem, że woda tak szybko nie paruje, zwłaszcza że otwór butelki był naprawdę malutki, ale wolałem się nie odzywać, żeby nie narazić się na gniew mistrza, który niewiedzy nie tolerował.

Tymczasem choremu nałożono na twarz płótno z wyciętą dziurą. Jej brzegi okalały z zapasem ranę trądową. Wyglądało to strasznie, a mnie ciarki przebiegały już nie tylko po plecach, ale po całym ciele. Zacząłem się modlić w myślach. Ale nie o powodzenie tej operacji, ale o to, bym nie zemdleł tu za chwilę na widok tego, co się będzie działo.

Mój mistrz wziął do ręki mały nóż i zaczął wolno i uważnie odcinać niewielkie fragmenty martwego ciała z policzka chorego, pouczywszy go uprzednio, aby, gdy poczuje ból, nie ruszał się pod żadnym pozorem, ale powiedział, że go boli. Brat Armand robił to z wyczuciem, ale też wprawnie, trzeba przyznać, operował nożem, na którego ostrzu odbijało się gasnące, dzienne światło, a wąskie skrawki

martwego policzka łądowały co chwila na podłodze tuż obok moich kolan. Rana zaczęła obficie krwawić, więc brat Manuel przemywał ją wodą, żeby mój mistrz widział, gdzie ciąć. Chory co jakiś czas jęczał, dając znak, że w danym miejscu ciało jest jeszcze zdrowe, skoro zachowało się czucie, a w każdym razie – nadal żywe. Ja zaś trzymałem pod brodą i uchem chorego płaską miskę, do której ściekała krew.

Było mi niedobrze i starałem się ze wszelkich miar zająć myśli czymś innym. Odwracałem na ile mogłem wzrok w inną stronę, ale to niewiele dawało. Obraz zakrwawionego człowieka z wielką raną zamiast policzka, w której zanurzał ręce mój mistrz, widziałem nawet przez zamknięte powieki.

Trwało to całą wieczność, ale w końcu brat Armand kazał bratu Manuelowi przemyć dokładnie ranę. Sam nawlekł nitkę i zaczął zszywać żywe ciało. Chory znosił to cierpliwie, choć wydawało mi się, że ma ochotę krzyczeć. Jęczał co jakiś czas, trochę krzywił twarz, na co brat Armand się denerwował, bo nie mógł szyć.

Jakoś jednak się udało. Mój mistrz poszedł umyć ręce, a brat Manuel obandażował twarz i głowę pacjenta. Biły dzwony na nieszpór, gdy składałem narzędzia na tacę, a brat de Ovieda uprzątnął odcięte kawałki ciała z podłogi. Umyliśmy się obaj.

Ja i mistrz pożegnaliśmy się z bratem Manuelem, który został w leprozorium, aby nakarmić chorych kolacją, którą zaraz po nieszpórze przyniosą z klasztoru. Przyszedł również Juan i brat Alvaro, aby pomóc.

Poczułem niesamowitą ulgę, gdy nareszcie i ostatecznie na dziś opuściłem mury tego przybytku wszelkich ludzkich nieszczęść. Byłem wykończony, miałem poplamioną kutę, ale szedłem już do klasztoru. Jeszcze nigdy widok tych znajomych murów, które wszak dotąd wydawały mi się więzieniem, nie wywołał we mnie takiej radości. Brat Armand także był zmęczony, co widziałem w jego twarzy. Prawie się nie odzywał i ja też milczałem, ciesząc się jak małe dziecko z przyjemnego chłodu i cudnych kolorów nadciągającego zmierzchu.

15 czerwca

Ostatnie kilka dni spędziłem w bibliotece na lekturze zadanej mi przez brata Armanda. Jakkolwiek dotąd nie za bardzo byłem z tego powodu szczęśliwy, to jednak po stokroć wolę to niż leprozorium. Od wczoraj pomagam też bratu Martinowi w aptece i suszarni ziół.

Mój mistrz w niedzielę wieczorem wezwał wszystkich nowicjuszy do parlatorium, gdzie wręczył nam grafiki dyżurów tygodniowych, które od tej pory będziemy pełnić w różnych częściach opactwa. W godzinach przedpołudniowych i po południu od obiadu, aż do nieszporów.

W większości dyżury te mamy pełnić parami. Brat Armand powiedział, że dotychczas nowicjusze nie mieli zorganizowanego czasu i błakali się bez celu po klasztorze, dlatego razem z przeorem doszli do wniosku, że forma dyżurów będzie najrozsądniejsza. Co tydzień następować będzie zmiana miejsca naszej pracy, więc w ten sposób zapoznamy się dokładnie z klasztorem i tym, co mnisi tu robią. Grafiki są po to, abyśmy nie mylili się, kto z nas w którym tygodniu któremu bratu pomaga. Mój mistrz powiedział również, że wszyscy nasi patroni także dostali takie grafiki, a on jako opiekun nowicjatu przekazuje je nam.

– Każdą zmianę w grafiku – mówił – musicie uzgodnić ze mną i na każdą muszę wyrazić zgodę. Oczywiście dopuszczam sytuację, że wasi patroni będą was potrzebować incydentalnie poza wyznaczonymi godzinami, ale wówczas oni sami mnie o tym poinformują.

Przyglądaliśmy się grafikom skreślonym ręką brata Armanda jak jakimś nadprzyrodzonym przedmiotom.

– *Padre*, a kiedy mamy mieć czas na osobiste nauki i rozmowy z patronami? – zapytał Alejandro beztrąsko, jakby nie zrozumiał, że grafiki nie podlega dyskusji.

Sposób, w jaki brat Armand go zaprezentował, i informacje, które przekazał, świadczyły, że klamka zapadła, a my mamy się jedynie podporządkować. Nasi patroni również, bo brat Armand nie wspomniał, aby było to z nimi konsultowane. Swoją drogą, zastanawiałem się, czy to był pomysł: przeora, czy raczej mojego mistrza?

– Nie interesuje mnie, kiedy rozmawiacie z patronami – brat Armand skomentował chłodno uwagę Alejandra. – Ale po nieszporach macie czas wolny. Po komplecie również cały wieczór możecie rozmawiać ze swoimi patronami. Także niedziele do was należą w całości, nie przewidziałem tam żadnych prac.

– To za mało... – zaczął Alejandro, ale brat Armand nie pozwolił mu dokończyć.

– Nie będziesz ze mną dyskutował, Alejandro – powiedział mój mistrz lodowato. – Jeśli ci się nie podoba, idź do przeora. Albo najlepiej opuść te mury, bo jak widzę, nowicjat posłuszeństwa cię nie nauczył. A na rozmowy z patronem masz jeszcze noce – dokończył z triumfem.

Ricardo obrzucił Alejandra wzrokiem pełnym pogardy, ja spojrzałem nań z przerażeniem, jak na samobójcę. Sam nigdy bym się nie odważył na podobną polemikę z bratem Armandem. Myślę, że pozostali też tak czuli.

– Tak, *padre*. – Alejandro spuścił głowę, ale wydawało mi się, że zamiast pokory w jego oczach była złość.

– Zatem to wszystko – zakończył spotkanie mój mistrz. – A, jeszcze jedna rzecz. Jak wiecie, jedną z form służenia bliźnim jest nasz szpital i leprozorium. Zastrzegam sobie doraźną ingerencję w wasze dyżury i przeniesienie was do pracy w szpitalu, jeśli zajdzie taka konieczność. Mam zwłaszcza na myśli ciebie, Antonio – popatrzył na mnie – Juana i Ricarda. Bo we trzech macie w przyszłości studiować medycynę, a zatem potrzebna wam praktyka.

Przytaknęliśmy we trzech słowom brata Armanda, chociaż ja dostałem gęziej skórki na myśl o leprozorium. Mój mistrz nie powiedział już nic więcej i wyszedł.

My zaś, nowicjusze, zostaliśmy w parlatorium, zaskoczeni tymi zmianami i skonsternowani surową reakcją mojego patrona na słowa Alejandra. Ricardo, rzecz jasna, zachwycił się pomysłem dyżurów i stwierdził, że nareszcie będzie porządek, bo każdy będzie miał zaplanowaną pracę i wiadomo będzie, gdzie go szukać.

Alejandro był zbuntowany i zły na siebie, że nie polemizował bardziej z moim mistrzem. Juan i ja uciszaliśmy go, wiedząc doskonale, że wdawanie się w dyskusję nie jest najlepszą formą oporu przeciwko

bratu Armandowi. Poza tym Alejandro kończy już nowicjat, więc niezbyt długo obejmie go grafik. Oscar nic nie powiedział i prosto z rozmównicy poszedł do biblioteki i swoich ukochanych książek. Wraz z nim wyszedł Ricardo. Do czytelnicy. Mateo ostrożnie wyraził swoje zdanie, że ten grafik nie jest zbyt mądrym posunięciem, zaś Jesus, nie znając brata Armanda, nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Widać było to wahanie w jego twarzy.

I dlatego od wczoraj razem z Mateo pomagam jego patronowi w pracy na rzecz klasztornej apteki. I muszę przyznać, że zajęcie to jest bardzo pouczające. Brat Martin zapoznał mnie najpierw z pracą w aptece, oprowadził cierpliwie po jej zasobach. Starłem się zapamiętać, gdzie co leży, ale wobec tak obfitych pokładów przeróżnych medykamentów zgubiłem się już przy piątej pozycji. Mateo zaś pocieszył mnie, że on i po tygodniu nie wszystko pamięta. Następnie brat aptekarz pokazał mi wielkie księgi receptur, niektóre bardzo stare, w których zawarta była cała dotychczasowa wiedza o chorobach i odpowiednich lekarstwach na nie. Oglądałem je z otwartymi ustami, bo czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Olbrzymie, opasłe tomy, w ciemnych okładkach, różnej wielkości i koloru, z mnóstwem zakładek i zaznaczonych stronic. Użyty do nich papier był cienki, trochę przypominał pergamin, ale nie był prześwitujący, przez co stron było dwa razy tyle, na ile się wydawało. Księgi miały różny wiek, co można było poznać po różnorodnym stopniu zniszczenia okładek, pofałdowania kartek na krańcach i rogach oraz po częstotliwości ich używania. Były spisane ręcznie od stuleci różnymi charakterami pisma, różnymi atramentami, bez żadnego logicznego porządku chorób. A jednak brat Martin świetnie się w nich odnajdywał. Mateo na razie wolał ich nie używać i zadowalał się tylko patrzeniem na nie.

Potem brat aptekarz pokazał mi, jak się przygotowuje lekarstwa, jak odmierzać odpowiednią ilość potrzebnych składników, jak pakować i opieczutowywać buteleczki, a następnie katalogować utworzoną miksturę w odpowiednich księgach, w których zapisywano zasoby apteki. Przyznam, że to nie tylko precyzyjna, ale i żmudna praca, wymagająca wiele uwagi i cierpliwości, a nawet poświęcenia. Za to o wiele przyjemniejsza niż praca w leprozorium albo w szpitalu.

Wieczorem wysprzątaaliśmy z Mateo całą aptekę, aż lśniła. Mateo udał się na spoczynek, ja – do biblioteki.

Od kilku dni spędzam tam całe wieczory i prawie całe noce, ślęcząc nad lekturą, która mnie w ogóle nie interesuje. Ricardo przesiaduje ze mną, z zapałem całkowicie dla mnie niezrozumiałym, ale godnym pozazdroszczenia. Ponieważ ja nie przejawiam takiego zapału, a nawet jego namiastki, aby mu tego nie okazywać, zacząłem uczyć się na dole w skryptorium. Ricardo zaś przesiaduje w czytelni, zawsze w tej samej ławce. Brat Jorge już nawet nie zabiera rano książek z jego stolika, bo i tak wiadomo, że Ricardo każdą wolną chwilę spędzi na nauce, więc nie ma sensu chować tych książek na półkę, a za chwilę znów ich z niej zdejmować i nosić na górę.

Ja natomiast na dole mam więcej swobody. Bardzo często miałem bowiem wrażenie, że Ricardo obserwuje, co czytam. Bez przerwy chciał o tym ze mną rozmawiać i w kółko pytał o brata Armanda. Teraz mamy obaj więcej spokoju.

Ale prawda jest taka, że po dwóch nieprzespanych nocach trzeciego wieczoru po prostu zasypiałem nad książkami. Nie byłem w stanie nad tym zapanować, choć starałem się zwalczać ciężar opadających powiek i wykonać zadaną pracę. Litery zdawały się tańczyć przed moimi oczami, skakać, wyrazy zlewały się w niezrozumiałe zdania, karty książki zaś odpływały gdzieś w otchłań pozbawioną dna i zapadałem w sen na jawie, z otwartymi oczami i z głową wciąż wspartą na dłoniach. Po chwili, nie wiem jak długiej, zrywałem się zdenerwowany z tej cudownie błogiej drzemki i z rozpędzonym sercem rozglądałem się nerwowo wokół, czy przypadkiem ktoś nie zauważył, że śpię, a nie zobaczywszy nikogo w skryptorium, wracałem do lektury. Ale ów powrót był na krótko i znów litery nienaturalnie roztańczone rozplywały mi się przed oczami... Po kilku takich drzemkach i ocknięciach przestałem ze sobą walczyć i wtulając głowę w ramię, zasnąłem na otwartej książce. Obudziły mnie dzwony bijące na jutrznię. Za oknami skryptorium świt malował na wiszących nisko nad horyzontem chmurach czerwone i fioletowe wzory. Zamknąłem księgę, zgasłem świecę i pobiegłem na jutrznię. Ricardo wbiegł do kościoła w ostatniej chwili – jak zwykle – w rozwianych szatach i z wypiekami

na twarzy.

Dzisiejsza noc niestety także zapowiada się dla mnie w skrytorium nad książkami. Drżałem cały dzień, aby brat Armand nie zapytał mnie o wczorajszą lekturę, ale chyba zbyt był zajęty w szpitalu, a potem w gabinecie przeora, aby zwracać na mnie uwagę. W ogóle staram się schodzić mu z oczu na ile to możliwe i nie zagadywać go, nie pytać o nic, nie prosić. Jakby mnie tu nie było. Aby przypadkiem nie zawołał mnie do leprozorium albo, nie daj Boże, nie zapytał o lekturę, która idzie mi wyjątkowo opornie. Niestety obawiam się, że ta sielanka zbyt długo nie potrwa.

17 czerwca. Po niesporze

Całe ostatnie dwa dni przepracowaliśmy z Mateo w ogrodzie i suszarni ziół. *Padre* Martin oprowadził mnie po grządkach obsianych różnymi roślinami i nauczył je rozróżniać. Zbieraliśmy z Mateo krwawnik do dużego kosza, potem wiązaliśmy w pęczki i rozwieszaliśmy je w suszarni nad apteczką do wyschnięcia.

Suszarnia jest dużym pomieszczeniem z niewielkimi oknami tuż pod dachem krytym blachą, przez co panuje w niej permanentny półmrok. Jest to także chyba jedyny budynek w klasztorze kryty blachą. Kiedy tam wszedłem pierwszy raz, zrozumiałem dlaczego. W ostrym, upalnym słońcu blacha nagrzewa się bardzo szybko, rozgrzewając zalegające w suszarni powietrze. Niewielkie okna umieszczone wysoko nad podłogą zapewniają cyrkulację powietrza, ale w niewielkim stopniu, więc powietrze z pomieszczenia nie miesza się z tym na zewnątrz. Dzięki temu w suszarni jest gorąco i sucho jeszcze długo w nocy, jak opowiadał mi Mateo. Wierzę mu na słowo, bo mnie raczej brat Armand nie puści, abym mógł się sam o tym przekonać.

Mateo jest małomówny. Przygląda się raczej i obserwuje sytuację długo, zanim zabierze głos na jakiś temat. Jest w nim niesamowity spokój i całe pokłady przemyśleń, które zdążył już sobie zbierać i poukładać przez całe swoje czternastoletnie życie.

– Dużo rozmawiasz ze swoim patronem? – zapytał mnie dziś

Mateo, gdy w suszarni składaliśmy wyschnięty na wiór mniszek lekarski do kosza, aby go potem zanieść do apteki.

Wzruszyłem ramionami.

– Ostatnio nie – odpowiedziałem. – Jakoś nie szukam z nim rozmowy – dodałem może nieco zbyt spiesźnie.

Mateo skinął głową i przez kilka chwil w milczeniu rozwiązywał ze sznurka bukieciki ziół, rzucając je następnie do wiklinowego kosza. W ciszy tego pomieszczenia szelest upadających pęczków mniszka brzmiał niemal jak dźwięk dzwonu.

– *Padre* Armand mówił, że chcesz zostać lekarzem – powiedział cicho. – Gratuluję ci. Ja jeszcze nie wiem, co zrobię ze swoim życiem.

Uśmiechnąłem się gorzko. Bardziej do siebie niż do Mateo.

– Ja nigdy nie powiedziałem, że chcę być lekarzem – rzuciłem sucho i być może za ostro, bo Mateo przerwał zdejmowanie ziół ze sznurka i spojrzał na mnie skonsternowany. – To brat Armand zdecydował, że pójdę na medycynę – dodałem łagodniej.

– Nie powinieneś pozwalać się tak traktować. – Mateo podszedł do sznurka wiszącego bliżej mnie.

Widziałem w jego oczach współczucie.

– A co mam zrobić? – zdenerwowałem się. – Sprzeciwić się bratu Armandowi? Widziałeś, jak uciszył wczoraj Alejandra. Ja tu nie mam nic do powiedzenia. Nie przyszedłem tu z własnej woli.

Oczy Mateo robiły się coraz większe ze zdumienia, gdy mnie słuchał. Opowiedziałem mu więc pokrótce, jaką obietnicę złożył Bogu mój ojciec w noc moich narodzin, i o tym, jak całe życie szykowano mnie do klasztoru.

– Ja również wstąpiłem do Santa Cruz, bo ojciec sobie tego życzył. – Chyba starał się mnie pocieszyć. – I nawet, gdy tu jechałem, wydawało mi się, że tego chcę. A w każdym razie myślałem tak, zanim tu przyszedłem. Ale gdy widzę, co się dzieje, zaczynam mieć wątpliwości.

– Zniżył głos. – Straszne wątpliwości. I jeszcze niedawne zachowanie brata Armanda, który ma nas uczyć i opiekować się naszym nowicjatem. Ale on wydaje tylko polecenia i wszystkich rozstawia po kątach.

Wszyscy mają postępować tak, jak on sobie tego życzy. Długo przyglądałem się tobie, Antonio, i zastanawiałem się, czy siedzisz

w bibliotece z własnej woli, czy dlatego, że patron ci każe, i czy chcesz być lekarzem, bo czujesz powołanie, czy też powołanie to czuje twój mistrz. Teraz już wiem. – Słyszałem bunt w głosie Mateo, a jego twarz skostniała, gdy to mówił. – Postanowiłem na razie tu zostać i przyjrzeć się bratu Armandowi. Ale ani mi się śni siedzieć nad książkami w bibliotece całe noce.

– Brat Martin nie zmusza cię do nauki? – zapytałem, ale w gruncie rzeczy znałem przecieź odpowiedź.

– Tutaj nikt nikogo do tego nie zmusza, oprócz brata Armanda – powiedział Mateo gorzko. – Ricardo i Oscar przesiadują w bibliotece dobrowolnie. Tylko ty musisz tam być, bo twój patron ma taki kaprys. – Poklepał mnie po ramieniu. – Ale masz we mnie sprzymierzeńca, Antonio. W klasztorze, o czym pewnie nie wiesz, bardzo szeroko komentuje się twoją sytuację i chyba poza Torquemadą i bratem Alvaro nikt Armanda nie lubi. Oczywiście poza Ricardem, rzecz jasna. Nie wiem, jaki stosunek ma do niego Oscar. Zatem możesz liczyć na pomoc wielu braci, jeśli będziesz jej potrzebował w razie konfliktu z patronem.

– Dzięki. – Uśmiechnąłem się. – Ale chyba skazany jestem na brata Armanda – dodałem smutno. – *Padre de Tarralba* też go nie lubi? – zapytałem. – Odniosłem inne wrażenie...

– Lubi czy nie lubi. Grunt to nie okazywać negatywnych emocji, Antonio! – przerwał mi brat Martin, który z uśmiechem wszedł po schodach do suszarni. – Moje drogie dzieci! – Podszedł do nas. – W tym opactwie trzeba uważać na słowa. – Ściszył głos. – Zwłaszcza jeśli rozmawiacie o czcigodnym bracie Torquemadzie i czcigodnym bracie Armandzie. – Aptekarz popatrzył znacząco na mnie i na Mateo. – Z nich dwóch to wcale nie Armand jest najgorszy, ale przeor. To Torquemada steruje Armandem. Przyjechałem do Santa Cruz, kiedy twój patron był w Bolonii. Ale od kiedy wrócił ze studiów, przeor ma na niego olbrzymi wpływ. Wierzcie mi, że Armand zmienił się przez te sześć lat nie do poznania. To chwiejny, despotyczny człowiek. Uważaj na niego, Antonio. Wszyscy uważajcie. – Brat Martin, mówiąc to, miał poważną minę i widziałem, że nie żartował. – A to, że niespecjalnie lubimy się z bratem Armandem, to żadna tajemnica. Armand nie ma tu żadnych przyjaciół. Poza książkami. I przeorem – zakończył.

– Myślałem, że przyjaźni się z bratem Constantino i z bratem Alvaro... – powiedziałem niepewnie.

Padre de Tarralba popatrzył na mnie pobłaźliwie.

– Czy przypadkiem nie mylisz przyjaźni z uprzejmością? – zapytał.
– Przyjrzyj się dokładnie, Antonio. Przyjrzyj się, a zobaczysz, co naprawdę dzieje się w tym opactwie – powiedział to tajemniczo, ścisząc głos do szeptu. – Przypatrz się zwłaszcza bratu Constantino...

Na tym rozmowa się zakończyła. Znieśliśmy suche zioła na dół do apteki, gdzie przez resztę dnia ja i Mateo ucieraliśmy je w moździerzach na proszek, a potem wsypywaliśmy do dużych słoików. A że cały czas żartowaliśmy z *padre* Martinem, dzień upłynął mi szybko i beztrudno. I prawie udało mi się zapomnieć o moim apodyktycznym patronie, którego, aż boję się to napisać, ale chyba nie będzie mi dane polubić.

Przyglądałem się dziś Mateo i jego patronowi. Widać, że obaj się rozumieją, lubią się, chociaż wydawało mi się, że Mateo jest jeszcze nieco nieufny w stosunku do swego mistrza. Ale szanują się wzajemnie, grzecznie się do siebie odnoszą i, co najważniejsze, brat Martin nie narzuca Mateo swojej woli. I choć zazdrość jest ciężkim grzechem, to ja zazdrość Mateo jego patrona. Po dzisiejszym dniu straciłem już nadzieję, że moje stosunki z bratem Armandem będą kiedyś tak właśnie wyglądać.

W nocy. Skryptorium

Znalazłem nowy sposób na spędzanie czasu przeznaczonego na naukę. W ciszy panującej w budynku skryptorium mogę się skupić i spokojnie pisać mój pamiętnik, którego istnienie, ze względu na treść, którą zawiera, zmuszony jestem ukrywać przed moim mistrzem. Biorąc pod uwagę, co jest w nim napisane, nie umiem sobie nawet wyobrazić, jaką karę brat Armand zarządziłby mi, gdyby wszystko to przeczytał. A w szczególności to, co za chwilę tutaj napiszę.

Gdy po komplecie szedłem do biblioteki kolumnadą tuż przy naszym segmencie, zobaczyłem *padre* Torquemadę i brata Armanda, jak rozmawiali, spacerując alejkami wokół fontanny. Było już ciemno, od

dawna trwało *silentium* i tylko świece z okien dormitorium rzucały na dziedziniec długie, żółte snopy światła. Ponieważ do lektury mi się nie spieszyło i bardzo byłem ciekaw, o czym mój mistrz rozmawia z przeorem, postanowiłem ukryty w ciemności za kolumnami podслуchać nieco ich rozmowę.

– Nie daj się zwieść podszeptom diabła – mówił brat Torquemada poważnie. – Zwłaszcza inkwizytorów diabeł stara się oszukać. By go nie odnaleziono w duszy grzesznika. By tej duszy nie spalić i nie wygonić go z niej jak z ciepłego mieszkania.

– Rozumiem, *padre*. – Brat Armand słuchał uważnie słów mentora i widać było, że traktuje ten temat i tę rozmowę ze śmiertelną powagą. – Wiem, jak rozmawiać z heretykiem. Wiem, jak go podejść.

Obaj trzymali w dłoniach niewielkie lampki oliwne, z którymi mnisi zwykli poruszać się po Santa Cruz po zapadnięciu zmroku. Ja swoją zgasilem natychmiast, gdy postanowiłem ukryć się w ciemności za kolumnami różanej alejki.

– To nie wszystko, Armandzie. – Przeor zatrzymał się niecałe dwa metry ode mnie.

Myślałem, że serce ze strachu wyskoczy mi z piersi. Gdyby mój mistrz mnie tu znalazł, wyrzuciłby mnie z klasztoru bez dwóch zdań!

– Inkwizytor jest myśliwym – mówił dalej *padre* Torquemada. – Jego obowiązkiem jest zastawiać pułapki. Umiejętnie i sprytnie. Jego praca zaś to nieustanne polowanie.

Brat Armand spojrział uważnie na przeora. W żółtym świetle oliwnej lampki jego twarz wyglądała surowo.

– Polowanie na ludzi, ojciec – powiedział mój mistrz wolno, akcentując słowo „ludzi”. – Czy to na pewno zgodne z piątym przykazaniem?

Przeor uśmiechnął się nieznacznie i z pobłażaniem.

– Polowanie na heretyków, Armandzie – poprawił go brat Torquemada z przekonaniem. – Na diabła siedzącego im w duszy. A to zawsze jest zgodne z Pismem Świętym i Dekalogiem. Pamiętaj, że nie są to zwyczajne łowy. To polowanie w imię Boga.

Mistrz mój słuchał tego z miną pojętnego ucznia, przytakując skinieniem głowy. Mnie cierpła skóra, gdy myślałem sobie, jakież

szatańskie pomysły ma brat Torquemada, i zastanawiałem się, czy naprawdę zamierza wcielić je w życie. Mówił o inkwizytorach i, jak się domyślałem, o Inkwizycji. Ale w Kastylii Inkwizycji nie ma i nigdy nie było. Chyba że przeor zamierzał ją wprowadzić...! Mówi się o jego tajnych interesach z Królową Izabelą. Brat Armand także jakiś czas temu zasugerował mi w rozmowie o Joannie d'Arc, że Inkwizycja w Kastylii będzie powołana: nowa i lepsza od dotychczasowej, działającej w Europie. Zatem być może realne jest to, o czym przeor i mistrz mój rozmawiali! Boże, miej w opiece lud hiszpański...

– Zapomnij o wszystkim, czego dotąd nauczyłeś się o Inkwizycji – mówił dalej Torquemada. – Inkwizycja papieska jest słaba i powolna, a inkwizytorzy stali się przekupni i wygodni. Bardziej boją się publicznej nagonki niż niechęci do nich, leniwych, samego Boga. Ci inkwizytorzy zasługują na karę, taką samą jak heretycy, a może nawet gorszą. Bo się sprzeniewierzyli idei, bo zaprzędali diabłu swe dusze. – W miarę, jak przeor mówił te słowa, w jego twarzy rozpalał się coraz większy ogień. – Nasza Inkwizycja, nasza Nowa Inkwizycja będzie nieskazitelna i działająca bez zarzutu machiną sądu i kary. Inkwizytorzy będą szczególnie starannie dobrani spośród dominikanów, co do których będę miał absolutną pewność, że nie zbroczą z wytyczonej im drogi. I będą podlegać nieustannej kontroli.

– Kontroli? – zapytał brat Armand.

– Tak. Kontroli – odpowiedział spokojnie *padre* Torquemada. – Będą obserwowani. Sami siebie będą obserwować nawzajem. Taki będą mieć obowiązek. A także przez swoich podwładnych. A najmniejsze przewinienie będzie surowo karane. Ku przestrodze. Aby dać ludowi przykład, że cios Inkwizycji spada wszędzie tam, gdzie istnieje grzech i występki i gdzie szatan ma posłuchanie w człowieku. Także na samych inkwizytorów. Bo sprawowana funkcja nie zwalnia ich od wiary i posłuszeństwa Bogu. Przeciwnie. Właśnie dlatego, że są inkwizytorami, powinni być wzorem do naśladowania, być poza wszelkim podejrzeniem. Powinni być idealni i świecić przykładem. Jak będziesz przewodniczącym świętego trybunału, musisz mieć oczy i uszy wśród inkwizytorów i wśród straży. I nie wolno ci okazać litości dla niesubordynowanych podwładnych. Litość to słabość, Armandzie.

A słaby człowiek jest narzędziem szatana. Wątpliwości to słabość. Inkwizytor musi być ponad to. Musi być twardy i silny, nigdy się nie wahać, nie okazywać litości, nie zastanawiać się, niczego nie żałować. Pamiętaj, Armandzie, że lepiej spalić niewinną duszę, niż wypuścić na wolność grzesznika, skazując go tym samym na potępienie wieczne bez oczyszczających płomieni stosu.

– Dołożę wszelkich starań, ojcze, aby było tak, jak mówisz. – odpowiedział mój mistrz dumnie i z determinacją.

– Wiem. – *Padre* Torquemada położył mu dłoń na ramieniu w ojcowskim geście. – Dlatego cię wybrałem.

Potem przeor i brat Armand przeszli za fontannę i szum płynącej w niej wody skutecznie zagłuszył dalszą część ich rozmowy. Stałem za kolumnami jeszcze czas jakiś, czekając, czy może znów podejda, bym mógł ich usłyszeć, ale tak się nie stało. W tamtej chwili żałowałem, że nie jestem niewidzialny, tak bardzo zaciekała mnie ich rozmowa. Postanowiłem też sobie częściej tu przychodzić i częściej słuchać tego, co mówią. Zaczynam rozumieć nareszcie to, o czym wielu tu, w klasztorze, mówi: że brat Armand i przeor szykują coś w tajemnicy. Po tym, co dziś usłyszałem, boję się, że będzie to coś strasznego i przerażającego. Ale daleki jestem od wieszczenia złego, zaczekam więc, jak czegoś więcej się dowiem.

Teraz odkładam już pióro, by czytać zadaną mi lekturę. Ricardo siedzi na górze w czytelni. Oscar z całą pewnością jest gdzieś w czeluściach podziemnej biblioteki, poruszając się wśród starych, masywnych półek bezszelestnie, jak duch. I bezcieleśnie niemal, bo prawie nie widuję go w opactwie.

Ale moja lektura pewnie zda się na nic, bo gdy emocje związane z rozmową brata Armanda z *padre* Torquemadą już opadną, i tak zasną nad książkami. Płomienie świec palą się strzeliście w ciszy skryptorium. Opactwo śpi pogrążone w ciężkich, pełnych obaw snach, w których pojawia się złowieszczo przeor wraz ze swym uczniem, Armandem...

19 czerwca

Po porannych modlitwach mój patron zgromadził nas wszystkich, czyli nowicjuszy, w parlatorium na zajęciach. Pierwszy raz uczestniczyłem w tych naukach, a brat Armand prowadzi je, odkąd wrócił ze studiów w Bolonii. Zebraliśmy się więc w rozmównicy, by w ciszy i skupieniu wysłuchać kilkogodzinnego wykładu. Starsi koledzy doradzili mi zabrać ze sobą kajet, bo zajęcia są zawsze bardzo ciekawe, a Archanioł lubi, gdy notuje się jego słowa.

Siedzieliśmy w ośmiu, czekając na mentora, i rozmawialiśmy półgłosem. Alejandro z właściwą sobie kpina opowiadał, jak dotąd wyglądały te wykłady oraz, przerysowując cechy charakteru mojego mistrza, żartował z niego otwarcie, asekurując się jedynie tym, że zamiast jego imienia używał przezwiska. W ogóle zauważyłem, że starsi nowicjusze nie przepadają za bratem Armandem i bez przerwy wypowiadają się o nim z pogardą, złośliwie przezywając go Archaniołem Torquemady. Jedynie Oscar Siliceo de Garrido, który, niczym książkowy mol, rzadko kiedy wychodzi na powietrze, by zobaczyć światło słońca, nie zabierał głosu na temat brata Armanda. Nie oznacza to, że go lubi, ale odniosłem wrażenie, że jego stosunek do mojego mistrza jest ambiwalentny. Oscar kocha wiedzę i kocha książki, ale dla nich samych. Nie biega za moim patronem i mu się nie podlizuje. Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałem go, aby rozmawiał z bratem Armandem. Tylko Ricardo z nas wszystkich jest zapatrzony w Archanioła. Słuchał naszych rozmów z miną zimną i twardą i momentami bałem się, że o wszystkim opowie bratu Armandowi. Tymczasem Alejandro nic a nic nie robił sobie z obecności Ricarda, ignorując go przy każdym zdaniu.

Usłyszeliśmy kroki za drzwiami i szybko wyciszyliśmy nasze rozmowy, które były co najmniej niestosowne. W chwilę potem do parlatorium wszedł dumnie brat Armand i rzuciwszy nam wszystkim surowe, niemal upominające spojrzenie, podszedł do katedry, gdzie rozłożył kartki i jakąś księgę, którą ze sobą przyniósł. Zastanawiałem się z drżącym sercem, czy mógł słyszeć, o czym rozmawialiśmy, i czy nie zechce wyciągnąć wobec nas konsekwencji za słowa Alejandro.

– *Lumen Ecclesiae!* – powiedział głośno brat Armand, a w dużym i pustym niemal pomieszczeniu jego głos odbił się echem od sufitu

i ścian. – Czy ktoś wie, co to znaczy? – zapytał.

– Światło Kościoła – wyrwał się Ricardo szybko, jakby bał się, aby nikt nie ubiegł go z odpowiedzią, i zaraz dodał: – Tak nazywamy Świętego Dominika.

Mój mistrz uśmiechnął się nieznacznie.

– Bardzo dobrze – powiedział brat Armand. – Właśnie o nim będziemy dziś mówić. Cały zeszły rok studiowaliśmy prawo rzymskie i kanoniczne. Przynajmniej część z was. – Rozejrzył się po sali. – W tym roku zajmiemy się tym, co dla nas, dominikanów, najważniejsze.

Rozłożyliśmy nasze kajety.

– Wyobraźcie sobie, że jest rok 1170 – mówił dalej mój mistrz. – W małym miasteczku Caleruega w Hiszpanii brzemienna Joanna Garcés z rodu Aza miała sen, że urodzi psa w biało-czarne łaty, który w pysku będzie trzymał płonącą żagiew. Od jej płomienia zapali się cały świat. Przypniecie, że to dość niecodzienny sen, więc nazajutrz wezwano tłumacza snów, który oznajmił Joannie, że sen zwiastuje, że urodzi ona syna, który rozpali swą żarliwą wiarą serca ludzi na świecie. Jeszcze tego samego dnia Joanna urodziła dziecko płci męskiej, któremu nadano imię Domingo. Był to sam Domingo de Guzmán, przyszły święty i założyciel naszego zakonu. Dlatego też w ikonografii świętemu Dominikowi często towarzyszy pies z pochodnią w pysku. Pochodnia oznacza żarliwą wiarę, którą nasz patron niósł po całej Europie, głosząc wśród ciemnoty ludu słowo Boże, wiedzę i ascezę. Od biało-czarnych łat psa ze snu Joanny wzięły kolor stroje dominikanów: biała kuta i czarny płaszcz dla tych, którzy sprawują urząd inkwizytora. I chociaż nazwa naszego zakonu bierze się od imienia jego założyciela, to, jak może wiecie, po łacinie czasem nazywa się nas *Domini canes*, czyli „psy Pana”, które pilnują Jego wiary i Jego wiernych przed herezją.

Głos mojego mistrza był dźwięczny i ładny, a coś w nim sprawiało, że słuchałem go z przyjemnością i zaciekawieniem. Bo też mówił ciekawe rzeczy i zupełnie inaczej niż wszyscy dostojnicy Kościoła, których dotąd przyszło mi w życiu słuchać.

– Według innej legendy – mówił dalej brat Armand – podczas chrztu małego Dominika jego matka chrzestna miała widzenie. Zobaczyła bowiem jasno świecącą gwiazdę nad głową dziecka. Światło

rozpromieniało jego twarz i twarze wszystkich zgromadzonych. Niosło także ze sobą niesamowity spokój. Tak oto Bóg zapowiedział wszystkim, że Dominik będzie światłem wiedzy dla nieoświeconego ludu, że będzie Światłem Kościoła. Do dziś malowane są portrety świętego Dominika ze świecącą nad jego głową gwiazdą. To tyle o legendach. – Brat Armand uśmiechnął się znacząco. – Teraz porozmawiamy o historii. – Mistrz mój odszedł od katedry i zaczął wolnym krokiem chodzić po sali, nie przestając opowiadać. – Wątpię, aby Domingo de Guzmán wiedział i czuł od początku swe posłannictwo do tego, aby zostać świętym i założyć zakon. Wstąpił do zakonu kanoników regularnych, studiował dziesięć lat w Palencji. Był świetnym retorem, ale gdyby nie wyprawa do Francji, nie przypuszczam, aby zakon dominikanów w ogóle powstał. – Brat Armand zrobił przerwę w swoim wywodzie, a ja musiałem sam przed sobą przyznać, że mnie zaciekał. – Otóż, we Francji – kontynuował mój mistrz – jeszcze przed narodzinami świętego Dominika rozpoczęła się szerzyć herezja katarów, zwanych też albigensami, od nazwy miasta Albi w południowej Francji, gdzie między innymi zamieszkiwali. Słowo „kathar” oznacza czystych lub także doskonałych duchowo ludzi, w odróżnieniu od katolików, którzy w pojęciu katarów nie tylko czyści nie byli, ale wprost zepsuci, obłudni i zgnuśniali. Herezja katarów głosiła, że Boga poznaje się bezpośrednio, przez bezpośrednią percepcję i obcowanie z Nim, zatem niepotrzebni byli księża i Watykan, zaś papieństwo katarzy uważali za „wszetecznicę babilońską”, o której wspomina Biblia. Katarzy dążyli do doskonałości ducha poprzez ubóstwo, ascezę, modlitwę i post, odrzucali zaś wszystko, co cielesne, a tym samym grzeszne. Wierzyli też w dualizm wszechrzeczy: wszystko, co doczesne, było według nich dziełem szatana, zaś wszystko, co wieczne, dziełem Boga. Zaprzeczali tym samym naszej wierze, bo zgodnie z nią rzeczy doczesne, a nawet sam świat stworzył przecież Bóg. Jakby tego było mało, wierzyli w reinkarnację, czyli wędrówkę dusz i ponowne narodziny w nowym ciele. Herezja katarów, choć niebezpieczna, była początkowo jedynie lokalną fanaberią miejscowej szlachty. Ale stopniowo zaczęła się rozprzestrzeniać, przenosząc się jak grypa, w zastraszającym tempie.

– A czy nie wynikało to z tego, że Kościół w tamtym okresie był

zepsuty i przez to słaby? – Alejandro przerwał wywód mego mistrza.

Spodziewałem się, że ten zaraz go zgromi, ale nie.

– Tak, masz rację, Alejandro – odpowiedział brat Armand spokojnie. – Zepsucie w szeregach niższego kleru sięgnęło dna. Księża byli niewykształceni, folgowali swoim żądom cielesnym, utrzymywali konkubiny i ściągali opłaty od poddanych. Były kościoły, w których latami nie odprawiano nabożeństw, a handel odpustami rozwijał się w najlepsze. Jeszcze lepiej wiodło się biskupom i arcybiskupom, których bogactwa i pałace stały się legendarne, utrzymywali własne dwory i konkubiny zupełnie jawnie, a swoje dzieci obsadzali na stanowiskach kościelnych, nie mówiąc już o tym, że na tronie biskupim nierzadko przez wiele lat zasiadały kolejne pokolenia z tej samej rodziny! Tak, to ciemna i gnuśna karta w historii Kościoła, której Kościół winien się wstydzić. I właśnie taka postawa Kościoła dała szansę rozwoju herezji. Gdyby Kościół był silny wiarą i przykładem, gdyby był stabilną opoką dla człowieka grzesznego z natury, herezje, ani katarska, ani żadna inna, nie miałyby posłuchu, bo nie byłyby tak atrakcyjne. Pamiętajcie, że szatan uderza zawsze w słabych, bo łatwiej ich zwyciężyć – dodał.

Przyglądałem się moim kolegom w trakcie wykładu brata Armanda. Podobnie jak ja, wszyscy byli zasłuchani, a na ich twarzach malowało się zainteresowanie tematem. Nawet Alejandro, sceptyk i oportunista wobec mego mistrza, nawet on dał się wciągnąć w wir tej opowieści. Ricardo zaś miał minę, jakby był żywcem wniebowzięty, i spijał słowa z ust naszego mentora. Oscar z miną gorliwego studenta notował naprędce wszystko, co mówił brat Armand. Mateo zaś miał twarz kamienną, nie zdradzającą żadnych emocji, ale na ile zdążyłem go już poznać, za tą obojętną na pozór miną skrywał własne zdanie na tematy, które były przedmiotem wykładu. I nie zdziwiłbym się wcale, gdyby było to zdanie odmienne od głoszonych tu dziś poglądów.

– W roku 1203 i 1206 Dominik de Guzmán wizytował południową Francję wraz z biskupem Osmy, gdzie obaj zetknęli się z herezją katarów, a przede wszystkim z bezsilnością kleru wobec niej.

Postanowili coś z tym zrobić. – Brat Armand chodził po parlatorium, gdy opowiadał. – W tym czasie, jak, mam nadzieję, wiecie, w Europie i na Bliskim Wschodzie trwa gorączka krucjat. Wyruszyły już cztery,

będą jeszcze trzy, oczywiście z tych do Ziemi Świętej. I wówczas papież Innocenty III posyła nową krucjatę. Przeciwno katarom. Do Francji. Prawda jest taka, moi drodzy, że katolicyzmowi naprawdę groziło tam wyparcie przez herezję katarską i papież postanowił bronić nielicznych już wtedy katolików na tym terytorium, którzy nadal tam zamieszkiwali. Zatem w 1209 roku armia krzyżowców z Bogiem na ustach i krzyżami na sztandarach ruszyła z północy Europy ku Prowansji i Langwedocji. Było ich około dwudziestu tysięcy, a przewodził im legat papieski Arnaud Amaury i szlachcic Szymon de Montfort. Na miejscu armia krucjaty spotkała się z Dominikiem Guzmánem, który po śmierci biskupa Osmy sam realizował ich wspólną przysięgę przywrócenia wiary katolickiej najstarszej córce Kościoła, Francji. Krzyżowcy rozprawiali się zbrojnie z heretykami, zaś Dominik zebrał grupę wędrownych mnichów kaznodziejów i chciał w dyskusjach przekonać katarów o tym, że ich twierdzenia są nieprawdziwe. Tyle że jego działalność, choć zaczęła odnosić sukcesy, a chętnych do kaznodziejstwa mnichów przybywało, była jedynie kroplą w morzu potrzeb. Katarów były rzesze, setki tysięcy. Dlatego, mimo potrzeby nauczania, konieczny okazał się także i miecz. Święty Dominik, widząc to, przyłączył się do krzyżowców. Chwytyanych w walce katarów stawiano przed sąd, któremu Dominik przewodniczył. Karą za herezję było spalenie na stosie.

– Ojciec – wtrącił się Alejandro – czy to było ludobójstwo?
– Nie – odpowiedział brat Armand. – Papież uświęcił cel krucjaty.
– Krucjaty tak – Alejandro nie dawał za wygraną, nie bacząc na ewentualne konsekwencje. – Wolno było krzyżowcom bezkarnie zabijać heretyków, katarów. A co z katolikami? Przecież także ginęli. Znana jest historia, gdy podczas plądrowania i palenia jednego z miast ktoś zapytał Amaury'ego, jak odróżnić katarów od katolików, miał on ponoć odpowiedzieć, aby zabijać i jednych, i drugich, a Bóg już swoich rozpozna. Czy to było dobre i właściwe? – Alejandro minę miał zaczepną i pewną swego, a jednocześnie w cudowny, właściwy dzieciom sposób nie spodziewał się żadnej kary.

Ja zdrętwiałem. Podobne słowa nigdy nie przeszłyby mi przez gardło.

– Było i słuszne, i właściwe. – Mój mistrz spojrzał surowo na

Alejandra.

– Przecież już święty Tomasz z Akwinu wspominał, że lepiej, by zmarło stu niewinnych, niż aby jeden winny uniknął kary – do sporu wtrącił się Ricardo. – Słowa legata papieskiego były więc powtórzeniem słów świętego, jednego z doktorów Kościoła. Nie mogły być zatem niewłaściwe!

– Ricardo ma rację – skwitował brat Armand. – Umrzeć za wiarę, to największe szczęście w życiu człowieka.

– A dla mnie to było ludobójstwo – upierał się Alejandro, a ja zastanawiałem się, co go opętało. – Krucjata była zaplanowanym, zorganizowanym i systematycznym ludobójstwem. Tyle że w imię wiary. A Bóg powiedział do Mojżesza: „nie zabijaj”...

Naraz przypomniała mi się rozmowa mojego mistrza z przeorem na dziedzińcu, którą podsłuchałem, ta sama, w której padły słowa o polowaniach na ludzi w imię Boga. Przeszedł mnie dreszcz...

– Alejandro, czy mam rozumieć, że podważasz legalność krucjaty przeciwko katarom? – Brat Armand powiedział te słowa spokojnie, ale za nimi kryła się groźba, od której cierpła mi skóra.

– Ja tylko chciałem powiedzieć, że zabijanie jest grzechem... – Alejandro rozejrzał się niepewnie po sali, jakby liczył, że ktoś z nas go poprze, ale nikt się nie odezwał.

– Do tej krucjaty powołał Ojciec Święty, następca Chrystusa na Ziemi. Uświęcił ją. Nie powinieneś mieć co do tego wątpliwości, Alejandro. Nikt inny, poza tobą, ich nie ma. – Brat Armand wskazał gestem dłoni nas wszystkich. – Ale dobrze się stało, że mówisz te słowa. Heretyckie one są i godzą w autorytet papieża. I w autorytet Świętej Inkwizycji. Będę musiał porozmawiać z przeorem na ten temat. Trzeba sprawdzić, jak głęboko siedzi w tobie ta herezja, Alejandro, i czy przypadkiem twoimi ustami nie przemawia szatan. – Upomnienie i już jawna, nie ukryta, groźba była w głosie brata Armanda.

– *Padre*, ja... – zaczął Alejandro, chcąc się zapewne usprawiedliwić.

– Milcz! – przerwał mu mój mistrz. – Pójdiesz teraz do swojej celi i przemyślisz swoje postępowanie i swój pogląd. Po drodze poinformujesz swojego patrona, czcigodnego brata Jorge, o herezji, którą

głosisz. Od tej chwili masz zakaz opuszczania murów opactwa. Do odwołania. Po dzisiejszych wykładach porozmawiam z przeorem, co zrobić dalej w twojej sprawie. A teraz wyjdź.

Alejandro spakował kajet i choć bez wątpienia targały nim obawy, opuszczał parlatorium wyprostowany, z podniesioną głową i niepokorną miną, zamykając za sobą drzwi cokolwiek za głośno. Brat Armand odprowadził go wzrokiem surowym i zimnym. I z przerażeniem odkryłem, że także katowskie było jego spojrzenie...

– Wracając do tematu... – zaczął na powrót mój mistrz, ale Mateo uniósł rękę na znak, że chce coś powiedzieć.

Doszedłem do wniosku, że akcja z Alejandrem nie zrobiła na nim wielkiego wrażenia. Ale poznałem już nieco Mateo i wiedziałem, że opór, który w nim tkwi, jest bardziej wyważony i cichy w przeciwieństwie do tego, który okazywał Alejandro – zawsze pełnego pogardy dla brata Armanda. Skoro ja widziałem tę pogardę, z pewnością osoba o umyśle tak błyskotliwym i z taką inteligencją, jak mój mistrz, także ją widziała.

– Ojczy, jeśli wolno spytać – Mateo wstał, zwracając się do naszego wykładowcy – dlaczego była to kara spalania na stosie? Dlaczego nie inna?

– O karze spalania na stosie będziemy jeszcze rozmawiać – odpowiedział brat Armand, dając Mateo ręką znak, aby usiadł. – Będzie ona przedmiotem odrębnego wykładu. Dziś wam tu tylko zasygnalizuję, że to Jezus ustanowił spalanie jako karę za herezję w przypowieści o winorośli. Odsyłam was do lektury. Idea spalania była taka – mistrz zaczął znów chodzić po rozmównicy – że ogień ma moc oczyszczającą, w płomieniach wypala się wszystko, także grzechy, także zatem herezja. Poczytajcie sobie Pismo Święte, doktorów Kościoła. – Popatrzył na nas. – A wracając do tematu, jak wiecie, herezja katarów została opanowana, a Francję ustrzeżono przed pewnym potępieniem wiecznym. Dominik zaś, zauważając, jak bardzo potrzebni są wędrowni kaznodzieje, postanowił założyć własny zakon i z tym pomysłem, w otoczeniu kilkunastu pobratymców ruszył do Rzymu. W tym czasie, jak także powinniście wiedzieć, na Wzgórzu Laterańskim obradował IV sobór, w którym Dominik wziął udział. Papież Innocenty III wcale nie był

przekonany, że potrzebny jest nowy zakon, w dodatku żebraczy i to zaraz po ustanowieniu zakonu franciszkanów. Za nic na świecie nie dawał się przekonać, bo obradujący sobór dopiero co zakazał tworzenia nowych zgromadzeń zakonnych. Tej samej nocy papież miał sen, że wali się gmach Bazyliki Laterańskiej, a Dominik podtrzymuje go i chroni przed zawaleniem. Papież uznał to za znak Opatrzności, która widocznie chciała utworzenia nowego zakonu i wyznaczyła temu zakonowi ważną misję w dziejach Kościoła. Nazajutrz Innocenty III wydał zgodę na utworzenie nowego zgromadzenia zakonnego, ale nakazał, aby Dominik wybrał sobie jedną z obowiązujących już reguł zakonnych, aby można było tym samym obejść zakaz uchwalony przez sobór. Zanim jednak doszło do wydania stosownej bulli, papież Innocenty III zmarł nagle, zaś jego dzieła dokończył papież Honoriusz III. Dominik przyjął regułę świętego Augustyna, która do dziś, jak wiecie, obowiązuje w naszym zakonie. – Brat Armand przerwał na chwilę i ogarnął wzrokiem całą salę.

Przez uchylone drzwi, które najwyraźniej nie zamknęły się za Alejandrem, zobaczyłem twarz brata Jorgego, który, jak mi się zdawało, czekał na mego mistrza, aż ten skończy wykład. W sprawie Alejandra, jak łatwo było się domyślić.

– Na następnych zajęciach – mówił dalej brat Armand – w przyszły czwartek powiemy sobie o Świętej Inkwizycji i roli dominikanów w orzekaniu w jej trybunałach. Do zajęć zapoznacie się z bullą papieża Grzegorza XI z 10 kwietnia 1234 roku powierzającą dominikanom misję wykorzenia herezji oraz z bullą z 12 kwietnia 1234 roku powołującą do istnienia Świętą Inkwizycję. Obie bulle znajdziecie w zbiorach naszej biblioteki. Juan – brat Armand spojrzał nań uważnie – przekażesz Alejandro, co należy przygotować na następne zajęcia.

– Tak, ojczec. – Juan skłonił pokornie głowę.

Składaliśmy nasze kajety i z wolna opuszczaliśmy parlatorium. Brat Armand także składał swoje materiały szkoleniowe. Do sali wszedł brat Jorge, ale czekał, aż wszyscy wyjdziemy.

– *Padre* – zapytałem mojego mistrza – jeśli nie miałbyś nic przeciwko temu, chciałbym pomóc bratu Alvaro i Juanowi w kuchni dla najuboższych. – Stałem wyczekująco obok katedry, niepewny co mi

odpowie.

Brat Armand popatrzył na mnie z rozbawieniem, jak ojciec na niesforne dziecko.

– Antonio, Antonio! – westchnął. – Idź, jeśli tak ci zależy. Ale wieczorem...

– Tak, *padre*, biblioteka – dokończyłem pokornie, robiąc minę obowiązkowego ucznia.

– Biblioteka. – Mistrz skinął głową. – Dobrze zatem, idź pomagać.

Ukloniłem się grzecznie i wyszedłem szybko z parlatorium, minawszy po drodze brata Jorgego.

W niewielkim holu przed parlatorium zatrzymał mnie Juan, stojący w cieniu tuż za drzwiami. Chwycił mnie za ramię i pociągnął za sobą do cienia, przykładając palec do ust, abym był cicho. Nasłuchiwałem przez niedomknięte drzwi rozmowy mojego mistrza i brata Jorgego. Pomyślałem sobie, że brat Armand chyba by mnie zabił, gdyby mnie teraz zobaczył. Ganiłem Alejandra za nieostrożność, a sam nie byłem mądrzejszy.

– Wiesz, że to nie jest herezja. – Brat Jorge był nieco rozgniewany. – Alejandro to świetny nowicjusz. Będzie dobrym dominikaninem.

– Może tak. Może nie. – Brat Armand składał notatki, bo papier szeleścił. – Zobaczymy, czy zostanie mnichem. Przeor to oceni. A skoro nie jest to herezja, jak mówisz, czcigodny bracie Jorge, to Alejandro nie ma się czego bać, prawda?

– Armandzie! – W głosie brata Jorgego było upomnienie. – Zniszczysz mu życie. Zastanów się! Alejandro jest może trochę za bardzo wygadany, nie zastanowi się, nim coś powie, ale to dobry uczeń. – Ton głosu brata bibliotekarza przeszedł w prośbę.

– Brak mu pokory – rzucił oschle mój mistrz. – Nikogo nie słucha. Uważa, że jest mądrzejszy. Polemizuje ze słowami papieża! Mam wymieniać dalej?

– Douczy się, obiecuję – brat Jorge mówił ciepło i spokojnie. – Spokorniej i publicznie cię przeprosi.

– Bracie Jorge, to nie mnie powinien przeprosić, bo nie mnie obraził – powiedział spokojnie i chłodno brat Armand. – Boga obraził. – Byłem pewien, że w tym momencie mój mistrz uśmiecha się złośliwie. –

A uczyć się jeszcze musi. Dużo. Zastanawiam się, co z niego za nowicjusz, skoro mając takie zbiory wiedzy pod ręką, nie korzysta z nich. Zamiast dowiedzieć się czegoś, woli wyśmiewać swoich przełożonych!

Zrobiło mi się zimno. A zatem brat Armand słyszał naszą rozmowę w parlatorium przed zajęciami. Stąd ta kara... Pytanie Alejandra było więc jedynie pretekstem...

Usłyszeliśmy kroki zbliżające się do drzwi. Chciałem biec do wyjścia co sił w nogach, ale Juan zatrzymał mnie za rękę.

– Nie zdążymy – szepnął. – Schowamy się w cieniu. Może nas nie zauważy...

– Dlaczego to robisz, Armandzie? – spytał brat Jorge z wyrzutem, a jego głos był tuż za drzwiami.

Kroki ucichły.

– Bo mnie to bawi – odpowiedział mój mistrz i słychać było rozbawienie i jednocześnie pogardę w jego głosie.

Włosy zjeżyły mi się na głowie. W tym momencie drzwi zostały z całej siły otwarte na oścież, zakrywając swym skrzydłem mnie i Juana stojących tuż obok futryny. Serce ze strachu zamarło mi w piersi i na chwilę przestałem oddychać. Boże, ocal nas! – pomyślałem.

Brat Armand wyszedł przez drzwi do holu dumnie, z podniesioną głową, z naręczem kartek i ową księgą i zaczął schodzić po schodach na parter. Kiedy jego kroki ucichły, odetchnąłem z ulgą.

Brat Jorge także wyszedł z parlatorium, ale w holu odwrócił się i spojrzął za drzwi. Ukłoniliśmy mu się z Juanem prawie jednocześnie, zawstydzeni. Brat Jorge pokręcił głową i westchnął. A potem także zaczął schodzić ze schodów.

Wyszliśmy z Juanem zza drzwi, nieco jeszcze wystraszeni. Musieliśmy odczekać chwilę, aby brat Armand wystarczająco oddalił się od parlatorium, aby nas nie zobaczyć.

– Biedny Alejandro – szepnął Juan, gdy wyszliśmy na zewnątrz. – I pomyśleć, że Archanioł robi to złośliwie.

– Juan, błagam, nie mów tak o moim patronie. – Serce ze strachu podchodziło mi do gardła na myśl, że brat Armand stoi gdzieś w pobliżu i słucha naszej rozmowy. – Zobacz, co spotkało Alejandra.

– Przez nas go to spotkało – rzucił Juan. – Nikt z nas go nie poparł, każdy schował uszy po sobie. W jedności siła, Antonio. Jednostka nic nie wskóra przeciwko Armandowi, ale razem możemy wiele. – Juan zapalał się do tego, co mówił.

Szliśmy alejką róż w stronę naszego segmentu.

– To znaczy, co konkretnie masz na myśli? – zapytałem poważnie, przerażało mnie bowiem to, co mówił mój rozmówca.

– Nie wiem. Jeszcze. – odpowiedział. – Ale jeśli w końcu nie zrobimy czegoś, Archanioł będzie się tu panoszył bezkarnie i dojdzie do jakiejś tragedii. Zobacysz, że w końcu coś się stanie.

Juan wieszczył straszne rzeczy. Pomyślałem, że może mieć rację, w końcu jest tu dłużej, lepiej zna mojego mistrza. Nie mogło mi się pomieścić w głowie, że brat Armand złośliwie chce zniszczyć Alejandra, że pod przykrywką tropienia i badania w nim herezji mogą z przeorem zrobić mu prawdziwą krzywdę. Co miałyby to być, wołałem nawet nie przewidywać. Liczyłem po cichu, że mój mistrz tylko nas wszystkich postraszył, a naprawdę puści Alejandra wolno. Musiałem trzymać się tej myśli. Bo przerażeniem napawało mnie to, że spędzę z tym człowiekiem kolejne dwa lata mojego życia...

– Patrz! – Juan wskazał ruchem głowy, abym spojrzał w lewo.

Wychyliłem się zza filaru i popatrzyłem na Wielki Dziedziniec. Tuż przy fontannie stał brat Armand i Ricardo i rozmawiali o czymś zapamiętałe. Plusk i szmer wody skutecznie ich zagłuszały, ale widziałem, że Ricardo gestykulował i opowiadał coś memu mistrzowi z wielkim zaangażowaniem, a brat Armand przytakiwał. Wydawał się zadowolony z tego, co słyszał, i widać było, że rozmowa z Ricardem pochłania go całkowicie. Twarz miał pogodną, jasną, a oczy mu błyszczały. Pomyślałem nawet, że może zapomni o Alejandrze. Zaś Ricardo był w swoim żywiole: rozwiane włosy, wypieki na twarzy, oczy szeroko otwarte, zdradzające, w moim przekonaniu, objawy szaleństwa. Nie mogłem pojąć, jak rozmowa z okrutnym i złośliwym człowiekiem, jakim jest przecież brat Armand, może ekscytować go do tego stopnia i sprawiać przyjemność!?

– Jak chcesz podnieść bunt przeciwko Archaniołowi, mając w grupie nowicjuszy takiego Ricarda? – zapytałem Juana, nie oczekując

wcale odpowiedzi.

Bo też i odpowiedzi nie było. Wyjście zaś dla nas istniało tylko jedno: zacisnąć zęby i się podporządkować. Dotarliśmy do naszego segmentu.

Wieczorem

Po południu wyszedłem z Juanem i ojcem Alvaro za mury klasztorne, aby rozdać jedzenie najuboższym. W każdą środę i sobotę *padre* Gregorio de Mendoza, który opiekuje się kuchnią i refektarzem, wydaje polecenie ugotowania dodatkowego kotła posiłku, który następnie brat Alvaro i Juan, a dziś także i ja, rozdają biednym. Stoły i palenisko, a na nim kocioł ustawiane są tuż pod murami klasztoru za schodami prowadzącymi przez skarpę do bocznej furty opactwa, tej samej, o której mój mistrz opowiadał mi, że jest zamknięta.

Głodni ludzie już na nas czekali, a przybyli tak tłumnie, że od razu było wiadomo, że posiłku dla wszystkich nie wystarczy. *Padre* Alvaro posłał więc Juana, aby uprosił ojca Gregorio o dodatkowy kocioł.

– Przeor nie będzie zły? – zapytałem.

– Będzie – odparł brat Alvaro, nic sobie z tego nie robiąc. – Ale nie może nas ganić za to, że w duchu Chrystusa niesiemy pomoc bliźnim, którzy jej potrzebują. – Uśmiechnął się do mnie. – Ma związane ręce. Zgodził się na tę kuchnię dawno temu przez wzgląd na brata Armanda. Teraz milcząco ją toleruje.

– Przez wzgląd na brata Armanda? – Nie do końca wiedziałem, o czym mówił brat Alvaro.

– To był pomysł twojego patrona, ta pomoc. – Mnich popatrzył na mnie łagodnie, robiąc przerwę w nalewaniu gulaszu do naczyń, które biedacy ze sobą przynieśli. – Brat Armand nie zawsze był takim, jakiego go znasz.

Podąłem bratu Alvaro kolejne naczynie.

– *Padre*, opowiesz mi o tym? – zapytałem z ciekawością i nadzieją.

Ojciec de Medina tylko się uśmiechnął, napełniając po brzegi blaszany kubek, i podał go obdartemu człowiekowi, który wyciągnął po

niego niecierpliwe ręce.

– Jeśli chcesz... – Brat Alvaro zamyślił się na chwilę, a potem zaczął mówić, nie przestając nalewać gulasz do naczyń. – Ta kuchnia powstała wyłącznie dzięki bratu Armandowi. Kiedy przybył do Santa Cruz, byłem tu od kilku tygodni. Młody Armand nie mógł sobie znaleźć miejsca, ciągle gdzieś go gnało, ciągle chciał coś robić. Oprócz biblioteki, w której przesiadywał, chciał robić coś pożytecznego namacalnie, coś, co miałoby skutek już, teraz, natychmiast. Mówił, że jego matka nauczyła go pracy na rzecz najuboższych, a klasztor pod tym względem, miast świecić przykładem, nie robił nic. Więc Armand wymyślił tę kuchnię. Namówił mnie i kucharzy. A potem przekonał przeora, jakimś cudem, choć ja byłem pewien, że Torquemada mu odmówi. I tak zaczęliśmy w niej pracę, dwóch nowicjuszy i mnóstwo dobrych chęci. Patron Armanda się nie wtrącał, a przeor milcząco akceptował. Trwało to kilka tygodni. Z czasem jednak Armand coraz więcej czasu spędzał nad książkami, a coraz mniej interesował się naszą kuchnią, coraz częściej wykręcał się od pracy w niej. Aż nagle przeor zdecydował, że Armand jest gotów do złożenia ślubów, wyświęcił go i wysłał na studia. Kiedy Armand wrócił z Bolonii i z Salamanki po dziewięciu latach, nigdy już ze mną w kuchni nie pracował. – Brat Alvaro zamyślił się.

Wrócił Juan, a za nim przyszli Camilo i Mateo, dźwigający kocioł z zupą. Postawili go na palenisku, a zabrali pusty po gulaszu. Juan został na dole z nami.

– Ale myślę, że duch niesienia pomocy, ta wewnętrzna potrzeba nigdy w nim nie ustała – dodał brat Alvaro. – Założył przecież Szpital Świętego Krzyża i leprozorium – zakończył swoją opowieść, która tylko odrobinę zaspokoila moją ciekawość.

– Rozmawiacie o bracie Armandzie? – podchwycił temat Juan, pomagając swemu patronowi nalewać zupę do naczyń. – Byłem po obiedzie u Alejandra. Choć nie daje tego po sobie poznać i stara się być hardy i beztroski jak zawsze, to jednak jest przerażony. Brat Armand siedzi od dwóch godzin w gabinecie Torquemady i bez wątpienia ważą teraz losy Alejandra. Nie musimy jednak nic robić, bo z całą pewnością potrzeba niesienia pomocy u brata Armanda nie umarła – dokończył

z pewną złośliwością pod adresem swego patrona.

Brat Alvaro spojrział uważnie na Juana, potem na mnie. Ale miał łagodne oczy. Za podobną uwagę mistrz mój co najmniej by się wściekł.

– Nic nie możecie zrobić – powiedział cicho. – Zostawcie tę sprawę, bo jej odłamki i was pokaleczą. Alejandro już przepadł – wyszeptał ostatnie zdanie.

– Jak to, przepadł? – zapytałem wystraszony.

– Rozzłościł Armanda. Wygadywał głupoty, które tamten uznał za herezję. Kara go nie ominie – brat Alvaro mówił szybko, nie przestając nalewać zupę. – Jeśli wam skóra własna miła, nie wtrącajcie się w to. Nic nie poradzicie.

– A co mogą mu zrobić Armand z Torquemadą? – Juan ledwie mówił ze strachu, a mnie na myśl o czekającej Alejandra jakiejś karze zrobiło się zimno aż do kości.

– Armand nic mu nie może zrobić, bo nie ma tu oficjalnie władzy – rzucił oschle brat Alvaro. – To przeor będzie decydował. W najgorszym wypadku relegują go z zakonu. Jeśli nie, pewnie skończy się na karze cielesnej, areszcie domowym. Nie wiem. Armand i Torquemada są pomysłowi i niebezpieczni. Zwłaszcza Armand, którego Torquemada traktuje jak syna. Ufa mu i wierzy we wszystkim. Dlatego powtarzam wam: nie lekceważcie Armanda, nie zadzierajcie z nim, nie wchodźcie mu w drogę. Nic nie ugracie, a możecie wiele stracić. Nie obalicie Armanda, nie podważycie jego autorytetu, a przede wszystkim nie odbierzecie mu sympatii Torquemady.

Juan zastanowił się chwilę.

– Ale przecież od badania herezji jest Święta Inkwizycja, nie brat Armand. A w Kastylii nie ma Inkwizycji. Zatem przeor nie może ukarać Alejandra za herezję. – Juan dumny był z siebie i uśmiechał się przy tym, co mówił.

Wydawało mi się to logiczne i obaj podchwyciliśmy temat, albo raczej nasze umysły uczepiły się tej myśli jak ostatniej deski ratunku.

– Ale może go ukarać za nieposłuszeństwo. – Jednym tym zdaniem brat Alvaro ukrocił nasze nadzieje. – A do wyboru ma szeroki wachlarz kar. Poza tym, jeśli przeor dojdzie do wniosku, że Alejandro jest heretykiem, może go oddać pod sąd biskupi. A wierzcie mi, chłopcy,

powołanie Inkwizycji w Kastylii może być sprawą kilku miesięcy. Może mniej... – zakończył tajemniczo *padre* Alvaro, a widząc nasze zdumione miny, dodał: – A jak myślicie, nad czym tak ważnym pracują całymi dniami, a nawet po nocach, przeor z Armandem? Torquemada chce Inkwizycji. Zawsze jej chciał.

– W takim razie... – zaczął Juan, ale brat Alvaro mu przerwał.

– Zostawcie tę sprawę, jeszcze raz wam mówię. Nie zadawajcie pytań. Moja dobra rada. – Położył nam dłonie na ramionach. – Rada przyjaciela i starszego brata.

– Tak, ojciec – odpowiedziałem grzecznie.

Juan skinął głową. Więcej nie rozmawialiśmy już o bracie Armandzie, ale mnie bez przerwy tłukły się po głowie słowa ojca Alvaro. Rozdaliśmy resztę zupy biednym, którzy obdartym korowodem chudych, wynędzniałych istot okutanych w łachmany, bosych, a nade wszystko głodnych, przesunęli się przed naszymi oczami. Tak wielu ich było! Przygarbionych, niepewnych, pokornych dusz, co wystawiały chude ręce po łyżkę zupy w żebrzącym geście z błagalnym spojrzeniem, któremu nie sposób było odmówić. Dziękowałem w duszy Bogu, że są z nami brat Alvaro i Juan, którzy niosą tę pomoc, tak niewielką, a jednak nieocenioną i potrzebną jak żadna inna. I mój mistrz kiedyś tak pomagał. Pomyślałem, że wcale go nie znam i może nie powinienem oceniać. Ale złość była we mnie silniejsza...

Biły dzwony na nieszpór, gdy kończyliśmy pracę. Na modlitwie siedziałem w ławce jak zwykle obok brata Armanda, nie mogąc ani na chwilę oprzeć się wrażeniu, że siedzę obok przyszłego kata Alejandra! Drżałem ze strachu o niego i o samego siebie, wiedząc, że nim mój nowicjat dobiegnie końca, wiele złego mogę jeszcze doświadczyć z ręki brata Armanda Castellano de Corell...

21 czerwca. Skrytorium. Wieczór

Cały dzień spędziłem w bibliotece i pewnie noc całą także przyjdzie mi tu spędzić. Po porannych modlitwach brat Armand zagadnął mnie o materiał, który zadał mi do nauczenia się kilka dni

temu, a ja niezbyt byłem w nim zorientowany, bo przecież większą część czasu spędzonego nad książkami przesyłałem.

Mistrz, słysząc moje nieskładne odpowiedzi, wpadł w gniew, a oczy jego zrobiły się lodowate. Nazwał mnie nieposłusznym, tępym uczniem, który zamiast garściami korzystać z dostępnej wiedzy, woli trwonić czas na zbędnych pogaduszkach z kolegami. Kazał mi natychmiast iść do biblioteki i nie wychodzić stamtąd, dopóki nie przeczytam całego materiału, jaki mi zadał. Nie krzyczał. Nie. Ale wyraz twarzy miał kamienny, zimny, surowy. A to, co już zrobił z Alejandrem i co zamierza z nim zrobić, dodawały mu w moich oczach okrucieństwa, a twarzy surowości, i sprawiały, że jeszcze bardziej mnie przerażał. Zwolnił mnie dziś ze wszystkich nabożeństw i z pracy w kuchni i refektarzu, w którym od dziś zacząłem dyżur z Juanem, i wysłał bez śniadania do biblioteki.

Wystraszony gniewem brata Armanda pogałem co sił w nogach do ojca de Llorente i poprosiłem o te same co do tej pory lektury. Brat bibliotekarz spojrział na mnie z litością w oczach, a potem przyniósł mi stos znajomych z wyglądu książek. Chciałem zapytać go o Alejandra, bo nie pozwolono nam, nowicjuszom, bez wyraźnego powodu i bez zezwolenia kontaktować się z nim, ale bałem się. Nie wiem, czego bardziej: gniewu brata Armanda czy tego, co usłyszałbym od brata Jorgego. Bo Alejandro od dwóch dni jest w areszcie domowym w swej celi. Kontaktuje się z nim tylko patron, brat Armand, przeor i ktoś z kuchni. Teraz będę to ja lub Juan. Mam nadzieję. Wczoraj całe popołudnie przesłuchiwał Alejandra *padre* Torquemada wraz z bratem Armandem. Nie mam pojęcia, czy coś ustalili w sprawie rzekomej herezji, czy zapadły jakieś decyzje, ale z oczywistych względów mojego mistrza zapytać o to nie mogę.

Zabrałem więc książki i usiadłem w najdalszym kącie skryptorium, tuż pod ścianą, która graniczy z tłoczną win i oliwy, zaraz pod oknem. Cały dzień studiowałem księgi. To niesamowite, jak strach potrafi człowieka zmobilizować do nauki i jak szybko pracuje wówczas nasza pamięć i wyobraźnia!

Jest już po komplecie i w klasztorze ogarniętym ciemnością trwa *silentium*. Jeszcze dwie dusze, oprócz mojej, błakają się po bibliotece.

Ricardo właśnie przyszedł do skryptorium, zabrał naszykowane mu przez brata Jorgego książki i poszedł do czytelnicy na górę. Zaś w podziemiu słyszę od czasu do czasu stłumione kroki Oscara chodzącego pomiędzy regałami, w swoim królestwie. Nie przestaję ich obu podziwiać: ich zapału i determinacji. Odkładam już pióro, bo przede mną sporo nauki, a do jutrzni pozostało zaledwie kilka godzin.

22 czerwca. Po jutrzni

Po nocy spędzonej nad książkami omal nie spóźniłem się na poranne nabożeństwo. Modlitwę poprowadził *padre* Torquemada, a brat Constantino mu asystował. Na moim miejscu obok brata Armanda zasiadł wyjątkowo brat Jorge, który pewnie chciał w dogodnym momencie porozmawiać z nim o Alejandro. Ja zatem usiadłem w ławce brata bibliotekarza, dwie osoby dalej od mojego mistrza. Było to o tyle istotne, że zauważyłem dziś, jak kilka razy w ciągu całego nabożeństwa jutrzni i mszy brat Constantino dziwnie i długo przyglądał się ojcu Armandowi. Niepokoił mnie wyraz jego twarzy, rozżalony i smutny, a w oczach, co wprowadziło mnie w osłupienie, była złość i nienawiść. Myślałem dotąd, że brat Constantino lubi mojego patrona, tak dobrze się o nim wypowiadał, pracują razem w szpitalu. Ale te dzisiejsze spojrzenia, o których zapewne myślał, że nikt ich nie widzi, w tych spojrzeniach kryła się zawiść, kryła się pogarda i, o mój Boże!, także groźba... Było mi nieswojo, gdy na to patrzyłem. I przypomniały mi się słowa brata Martina, że bym przyjrzał się zwłaszcza bratu Constantino i jego stosunkowi do mego mistrza. Czy brat aptekarz miał na myśli tę nienawiść, którą dziś zobaczyłem?

Opactwo to pełne jest tajemnic, dziwnych gestów i wzajemnych niechęci, urazów, o których się nie mówi i których na pierwszy rzut oka nie widać. Zastanawiające, dziwne, niezrozumiałe dla mnie i złowrogie było zachowanie brata Constantino. Zastanawiałem się również, czy mistrz mój także je zauważył i co o tym wszystkim sądzi. Ale potem pomyślałem, że może brat Constantino zły był na brata Armanda za to, jak potraktował Alejandro, jednak szybko odrzuciłem tę myśl. Tutaj nikt

za nikim się nie wstawiał, nikt nikogo nie popierał, a sprawy pomiędzy mnichami i nowicjuszami zostawiane były do rozstrzygnięcia przeorowi. Reszta udawała, że tego nie widzi. A jednak nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że twarz brata Constantino wyrażała więcej, niż on sam chciałby ujawnić. I coś kryło się za tym spojrzeniem... Postanowiłem dowiedzieć się co.

Później

Dyżur w kuchni i refektarzu zaczął się dla mnie tak naprawdę dopiero dzisiaj. Poznałem lepiej ojca Gregorio de Mendoza, który zarządza kuchnią, spiżarnią i refektarzem oraz ustala jadłospis, bacząc, aby wszystkie przepisowe posty były przestrzegane. Jest to wysoki, tęgi mnich o niskim, grubym głosie, donośnym i często rozkazującym. Ale nie jest złośliwy czy surowy. Nic z tych rzeczy. Musi jednak utrzymać w kuchni dyscyplinę i porządek i dlatego sprawia wrażenie niedostępnego. Twarz brata Gregorio jest pogodna, ale spojrzenie zawsze skupione i uważne, gdy przechadza się po kuchni, patrząc nam na ręce.

Ponieważ dziś była moja pierwsza posługa w kuchni, pozwolono mi jedynie myć naczynia. Juan pomagał bratu kucharzowi, Francisco de Garredos, przygotowywać posiłki. Przyszedł też brat Alvaro, sam z siebie. Zakasał rękawy i także nam pomagał. Potem ja i Juan przygotowaliśmy refektarz do obiadu i nakryliśmy stoły. *Padre* Gregorio pilnował porządku z właściwą sobie, niesamowitą dokładnością.

Wszystko musiało być idealnie ustawione i posprzątane. Zastanawiałem się, kto większą do tego przywiązywał wagę – przeor czy brat Gregorio?

W czasie posiłku ja i Juan służyliśmy braciom i dopiero gdy refektarz opustoszał i posprzątaliśmy go w stopniu zadowalającym *padre* Gregorio, pozwolono nam w kuchni zjeść posiłek.

Wszystkie posiłki jadamy w ciszy, czasem przeor pozwala, aby jeden z mnichów czytał w tym czasie na głos Pismo Święte. Brat Torquemada zmawia modlitwę dziękczynną, podczas której wszyscy stoją, dopiero potem można usiąść. Przeor daje także znak do

rozpoczęcia konsumpcji i do jej zakończenia.

Obok Torquemady przy stole po prawej jego stronie zasiada zawsze brat Armand, po lewej – *padre* Domingo. Dalej obok niego brat Pedro, a przy moim mistrzu brat Constantino. Za nim brat Jorge i brat Alvaro, a obok ojca Pedra siedzi brat Celestino de Coro, nasz kronikarz i archiwista, oraz brat Santiago de Montilla. Obok brata Alvaro siedzi zwykle brat Manuel, bo bardzo się przyjaźnią, i dalej brat Martin, a obok jeszcze brat furtian, ojciec José. Obok zaś brata Santiago siedzi *padre* Gregorio, brat Francisco, brat Christobal de Gaffarro, który zajmuje się trzodą, i jeszcze brat Bernardo de Rossi, pracujący w pralni. Dalej zasiadają nowicjusze po czterech z każdej strony, w kolejności losowej, oprócz tych, którzy aktualnie pracują w kuchni. Dziś nie było wśród nas także Alejandra.

Liczyłem, że brat Gregorio, który, jak zdążyłem się zorientować, cieszy się w klasztorze powszechnym szacunkiem, pośle mnie z posiłkiem do Alejandra, ale poszedł doń brat Alvaro. Widziałem po minie Juana, że także był zawiedziony, ale nic nie mogliśmy poradzić.

Wieczorem

Po nonie wracałem do swojej celi. W kuchni wszystko już było przygotowane, aby po nieszporze podać kolację, i brat Gregorio zwolnił mnie i Juana z obowiązków. Mieliśmy wolne jakieś półtorej godziny i chciałem iść pod celę ojca Jorgego w nadziei, że dowiem się czegoś o Alejandro. Juana zawołał do siebie brat Alvaro, mieli o czymś rozmawiać. Mój mistrz rzadko kiedy spędza ze mną czas wolny pomiędzy noną a nieszporem i tak też było i dzisiaj. Prawdę mówiąc, wcale mi to nie przeszkadzało.

Szedłem więc do swojej celi pięknym wieczorem, cichym, naokoło, wzdłuż zabudowań gospodarczych, obok zamkniętej zazwyczaj furty prowadzącej do schodów ze skarpy i wzdłuż segmentów dormitorium. Minąłem celę ojca Christobala i celę ojca Bernarda. Przekroczyłem szeroką alejkę prowadzącą do fontanny na Wielkim Dziedzińcu i zatrzymałem się przy drzwiach segmentu przeora.

Bezwiednie, przysięgam, moje stopy zatrzymały się tuż obok okna gabinetu brata Torquemady i stałem tam chwilę, zanim do końca zdałem sobie sprawę, gdzie jestem. I pewnie przeszedłbym dalej obok utkanej witrażami szyby, teraz uchylonej, gdyby nie to, że usłyszałem dobiegający z wnętrza gabinetu głos mojego mistrza:

– To będzie musiała być bardzo dobrze działająca machina, ojcze.

Brat Armand z całą pewnością rozmawiał z przeorem, bo któżby inny przebywał w gabinecie *padre* Torquemady? W jednej chwili podjąłem ryzykowną decyzję, by pozostać w alejce i podsłuchać, o czym obaj rozmawiają. Oparłem się plecami o ścianę tuż obok uchylonego okna i starałem się być płaski i niemal wtopić się w mur. Gdyby ktoś przechodził i zapytał, co tu robię, zamierzałem powiedzieć, że czekam na mojego patrona. Wszyscy, którzy znają brata Armanda, wiedzą, że to do niego podobne kazać mi tu nań wyczekiwać i nie dopytywaliby o więcej szczegółów.

– Świat jeszcze takiej nie widział. – Oczami wyobraźni mogłem niemal zobaczyć dumny uśmiech na twarzy ojca Torquemady. – To, co tu stworzymy, będzie natchnieniem dla przyszłych pokoleń. Wprawi ich w zachwyt, kiedy już zobaczą całe dzieło. – Zrobił krótką przerwę, być może znów na uśmiech, a potem mówił dalej: – Przede wszystkim trzeba już ostatecznie ustalić sieć trybunałów sądowych, *santas casas*, świętych trybunałów i pokryć nimi cały kraj. Tak jak na tej mapie na początek wystarczy. – Bez wątpienia obaj teraz pochylali się nad mapą, o której mówił przeor, a którą rozłożoną widziałem w jego gabinecie w dniu mojego przyjazdu do Santa Cruz. – Piętnaście trybunałów. Z czasem powstaną nowe. Najważniejsze będą te w Toledo, Cordobie, Madrycie, Valladolid, Ávili, w Salamance. Centrala będzie w Sewilli. Na południowym brzegu Gwadalkiwiru, w starej dzielnicy Triana, stoi zrujnowany nieco alkazar Almohadów. Ten zamek ochrzczimy imieniem świętego Jerzego, poświęcimy jego pogańską ziemię i pogańskie lochy i w nim osiadzie najważniejszy trybunał Inkwizycji w kraju.

– Dlaczego nie w Toledo, ojcze? Dlaczego nie w stolicy? – zapytał cicho mój mistrz.

– Bo Królowa nie będzie patrzeć mi na ręce! – rzucił szybko *padre* Torquemada. – Zaraz chciałyby się do wszystkiego wtrącać.

Kwestionowałyby moje decyzje. A ja chcę mieć swobodę.

– Myślisz, ojcze, że naprawdę uda się nam oderwać trybunały inkwizycyjne od papieżstwa? – wtrącił brat Armand.

Ja też w to wątpiłem. Papież na to nie pójdzie. Obwoła ich heretykami i nałoży ekskomunikę! Niezależnie jednak od reakcji papieża nie ulegało już wątpliwości, nad czym potajemnie pracowali mój mistrz i przeor w zaciszu jego gabinetu. Tak jak wspominał brat Alvaro, chcieli powołać w Kastylii Świętą Inkwizycję.

– Trzeba oderwać trybunały hiszpańskie od Watykanu. Za wszelką cenę – przeor powiedział to z naciskiem i żelazną determinacją. – To warunek powodzenia całego dzieła. Wtedy nie będzie potrzeby zwracać się ze wszystkim do papieża. A papież nie będzie się wtrącał w nominacje inkwizytorów ani w to, co robię w Trianie. Głowa Inkwizycji musi być świecka. Trybunały podporządkuje się Koronie i powoła urząd Inkwizytora Generalnego Królestwa, który stanie na czele. Na papierze rządzić będzie Izabela, w praktyce – ja. Trzeba ten pomysł umiejętnie przestawić Królowej. Mądrze. Zgodzi się. Izabela pragnie władzy i wie równie dobrze jak my, że nie ma silniejszej na świecie władzy nad ludźmi jak władza poprzez strach. Jak władza Inkwizycji. – Brat Torquemada przerwał na chwilę.

Usłyszałem, że chodził po gabinecie – on lub brat Armand. Jeszcze mocniej przytuliłem się do ściany i starałem się nie oddychać w obawie, by któryś z nich przypadkiem nie wyjrzał przez okno. Przeor tymczasem mówił dalej:

– Skarb jest pusty. Izabela o tym wie, ale nie ma pomysłu, jak go zapłacić. A potrzebuje pieniędzy na wojnę z arabską Grenadą. W dodatku jest zadłużona u bogatych Żydów. Nie ma jak ich spłacić.

– Ale powołanie Inkwizycji tylko przysporzy jej wydatków, ojcze – wtrącił mój mistrz. – W dodatku władza Inkwizycji nie sięgnie Żydów, bo nie są wyznawcami katolicyzmu i nie podlegają sądownictwu kościelnemu.

– Nie podlegają – przyznał brat Torquemada. – Ale Żydzi, o czym wiesz, już są obiektem nagonki ze strony katolików. Z byle powodów dochodzi do pogromów, rabowania żydowskiego mienia, a nawet do zabójstw. Dlatego Żydzi w olbrzymiej liczbie przechodzą na katolicyzm,

który zakazuje im lichwy, uważając ją za grzech ciężki, i w ten sposób zabrania ściągać od Królowej pożyczone jej kiedyś pieniądze. – Roześmiał się. – Ale to jest kropla w morzu potrzeb! Żydzi, przechodząc na katolicyzm, przechodzą też pod jurysdykcję kościelnych instytucji sądowych, także Inkwizycji. Inkwizycja zbada więc, czy nowo ochrzczeni są prawdziwymi chrześcijanami, czy tylko udają katolików, a w rzeczywistości wyznają nadal poprzednią religię. Armandzie, właśnie tacy fałszywi katolicy, judaizanci, wystąpili kilka lat temu przeciwko Królowej podczas jej podróży do Sewilli. Od wielu lat w Hiszpanii toczą się spory, czy konwertyci mają równe co katolicy prawa do urzędów i stanowisk tak świeckich, jak i kościelnych. Wielu odmawia im tego prawa, a Królowa chce, by sprawą zajęły się trybunały Inkwizycji. Przypomnij sobie prawo z 1449 roku z Toledo[12]. – Przeor spojrział na mego mistrza tajemniczo.

– Ustawę-wyrok? – zapytał brat Armand. – Papież Mikołaj V potępił zarówno inicjatorów zamieszek antyżydowskich w Toledo, jak i tę ustawę.

– To prawda – przyznał przeor tajemniczo. – Trzeba to zmienić, Armandzie. *Limpieza de sangre*, czystość krwi chrześcijańskiej do czwartego pokolenia wstecz będzie decydować, czy nawrócony Żyd jest katolikiem, czy judaizantem. Trybunały sprawdzą żarliwość wiary katolika swoimi metodami. Już w końcu święty Augustyn mawiał, że przechodzenie na nową wiarę to proces długi i bolesny, a „Bóg, śmiejąc się, zadaje męki”. Nie można tylko się ochrzcić i obwołać katolikiem, aby mieć dostęp do wszystkich beneficjów, z których dotąd korzystali jedynie prawdziwi chrześcijanie. Królowa obawia się, że dziś wiarą katolicką się szafuje, że konwertyci powołują się na Chrystusa dla partykularnych i płytkich interesów, że obrażają Boga i Kościół. I ja się z nią zgadzam. Nasze trybunały Inkwizycji, oprócz tępienia herezji, rozstrzygną ostatecznie, kto jest prawdziwym katolikiem i zasługuje na szacunek i urzędy, a kto ochrzcił się tylko dla pozoru, a w sercu wciąż nosi starą religię. Dlatego z błogosławieństwem Królowej, o którym ona jeszcze dziś nie mówi, reaktywujemy ustawę-wyrok z 1449 roku, ale dopasujemy ją do naszych potrzeb. I odtąd nosić będzie nazwę: „Prawo czystości krwi” – zakończył z dumą, ale byłem pewien, że się nie

uśmiechał.

W jego głosie było jednak zadowolenie.

– Tutaj chodzi jeszcze o coś innego, Armandzie – dodał przeor. – Obiecałem Królowej, że za każdym aresztowaniem, nie skazaniem, ale za samym już aresztowaniem będzie każdorazowo dokonywana konfiskata mienia podejrzanego. Oczywiście na rzecz Królewskiego Skarbu. Oczywiście Inkwizycja odliczy sobie swoje wydatki poniesione na proces i utrzymanie więźnia w celi więziennej przez czas do egzekucji lub uniewinnienia. W ten sposób skarb się zapełni. Królowa dostanie pieniądze na wojnę z Grenadą, a my – spokój i wolną rękę w działaniu.

– Ale mówisz, ojcze, o katolikach. O przechrztach. Konwertytach – odezwał się brat Armand. – A co z tymi, którzy nie przejdą na naszą wiarę? Nie będzie podstawy, aby ich więzić i konfiskować ich mienie.

– Będą musieli przyjąć chrzest – powiedział przeor z przekonaniem. – Izabela chce zjednoczenia. Zjednoczymy więc Hiszpanię pod jedną, królewską i katolicką władzą. Władzą Świętej Inkwizycji. Królowa rozumie, że nie da się panować nad ludem, w którym każdy wyznaje inną religię i modli się co wieczór do innego boga. Hiszpania musi mieć jedną, wielką i czystą od innowierców i herezji wiarę. Katolicką wiarę, Armandzie. Królowa chce, aby jej kraj był katolicki, tak jak ona. Arcykatolicki, jeśli rozumiesz, o czym mówię. Tylko ta wiara jest przecież jedyną słuszną. I nie będzie już w Hiszpanii miejsca na odmienne poglądy i inne wyznania. Albo innowiercy przejdą na katolicyzm, albo zostaną zmuszeni, aby opuścili ten kraj. Rozmawiałem o tym długo z Królową i rozumie ona, że trzeba będzie ponieść niezbędne ofiary w ludziach. Niestety jest to nieuniknione. Ale zaakceptowała mój pomysł. Bo tak jak ja, myśli strategicznie. Patrzy już w przyszłość, bez sentymentów. Dlatego się rozumiemy. Zostanie przygotowany specjalny edykt, w którym nakaże się wszystkim osobom innego niż katolickie wyznania, by przyjęły chrzest lub opuściły Hiszpanię.

Słuchałem z wypiekami na twarzy tego, o czym rozmawiali, i włosy jeżyły mi się na głowie na myśl, jakie piekło chce nam wszystkim zgotować *padre* Torquemada i jak daleko zaszły już

rozmowy z Królową w tej kwestii! A Hiszpania nic nie wie. Rozpalona letnim, sennym nieco słońcem, roześmiana i niebaczna zła, które już podnosi na nią rękę, trzymając w dłoni wielki, skuteczny miecz... Boże, miej nas wszystkich w opiece!

– Najważniejsza jest informacja, Armandzie – głos przeora przerwał moje rozmyślenia. – Od niej zaczniemy. W każdym trybunale najważniejszym i pierwszym wydziałem, jaki zostanie utworzony, będzie archiwum. Na dział sądowy i dział postępowań przyjdzie czas. Praca musi się zacząć od archiwum. Bracia archiwisci, dominikanie, za pomocą zakonspirowanej siatki szpiegów: tak świeckich, jak i duchowych, będą gromadzić wszelkie informacje o każdym człowieku poddanym jurysdykcji danego trybunału. Mam na myśli wszelkie informacje, nawet te z pozoru nieistotne, z których trudno czynić komuś zarzut. Chcę mieć w papierach wszystko: w co się ubiera, ile razy dziennie je i co, kiedy zmienia ubranie, kiedy się kąpie, jak długo się modli i ile razy w tygodniu obcuje z własną żoną. Wszystko musi być w archiwum, nie mówiąc już o przewinieniach, grzechach i sekretach. Przed oczami Inkwizycji nic się nie ukryje i ludzie muszą o tym wiedzieć. Tylko mając pewność, że inkwizytorzy dowiedzą się o wszystkim, będą się bać. I ten strach da nam nad nimi największą władzę. Żeby to wszystko usprawnić, mam na myśli działanie archiwum, powołamy świecką, tajną służbę, domowników Świętego Oficjum, familiarów, którzy będą szpiegować każdego i o wszystkim donosić. Dodatkowo wprowadzi się prawny obowiązek denuncjacji, nałożony na każdego człowieka w tym kraju. Każdy będzie miał obowiązek szpiegować każdego, bez wyjątku, nawet własną rodzinę, przyjaciół i sąsiadów, a o wszystkim, czego się dowie, będzie musiał opowiedzieć sędziom inkwizytorom. O wszystkim – podkreślił. – Nawet jeśli nie wyda mu się to podejrzane. To my zdecydujemy. Oczywiście niewypełnianie tego obowiązku jak należy będzie rodzić konsekwencje. I o tym także będą ludzie wiedzieć. Albo doniosą, albo pójdą do więzień. A ludzie muszą wiedzieć, że są obserwowani cały czas, że nigdy nie wiadomo, kto i kiedy patrzy, co robi, o czym doniesie. Ludzie nie mogą być pewni nawet własnych rodziców i dzieci, współmałżonków i najbliższych przyjaciół. Musimy rozerwać te więzi, a wówczas, gdy

ludzie poczują, że są sami, kiedy będą chodzić w strachu, zasypiać ze strachem pod powiekami, żyć ze strachem w sercach, wtedy będą wystarczająco słabi i podatni i będzie można nimi rządzić, jak tego zapagniemy. Nie ma silniejszej władzy jak ta poprzez strach.

W tym momencie rozdzwoniły się dzwony naszej dzwonnicy, a ja cały podskoczyłem! Myślałem, że serce zatrzyma mi się z przerażenia. Chmara gołębi zleciała z dachu dzwonnicy i przez chwilę słychać było łopot ich skrzydeł w powietrzu. Nieszpór. Pomyślałem, że zbyt długo zamarudziłem przed oknem przeora i że powinienem jak najszybciej się oddalić. Schyliłem więc głowę, aby mistrz i przeor nie zobaczyli mnie w oknie, i co sił pogałem w kierunku mojej celi, aby stamtąd jakby nigdy nic wyruszyć spokojnie na nabożeństwo.

Ale serce moje długo jeszcze nie chciało się uspokoić! Zwłaszcza na nieszpórze, gdy siedziałem w jednej ławie obok brata Armanda, przyszłego hiszpańskiego kata i architekta potwornego systemu panowania nad ludźmi poprzez strach. Ów strach, jeszcze irracjonalny, udzielił się także i mnie, bo blokował mi oddech, ściskając gardło. Zerkałem na mojego mistrza kątem oka, nieświadomego, że wszystko, o czym z przeorem rozmawiał, słyszałem, i straszne, pełne lęku i sprzeczności uczucia targały boleśnie moim sercem. Zaczynałem rozumieć, że zachowanie brata Armanda wobec Alejandra nie było przypadkowe i że nie bez powodu przeor tak mego mistrza ceni i hołubi.

Szedłem do biblioteki z ciężkim sercem. Ricardo już tam był. Zastanawiałem się, czy zdaje sobie sprawę, w czym chce uczestniczyć. Czy zachwycą się bratem Armandem, jego wykształceniem, osiągnięciami i przyjaźnią przeora, Inkwizycją samą w sobie, jaką powołał papież, czy też wie coś o planach jej reorganizacji przez ojca Torquemadę i mojego patrona? Może w tej kwestii ma też własne ambicje? Ten klasztor, jego atmosfera, tajemnice i mroczne aspiracje mnichów zaczynają mnie mierzić, do tego stopnia, że życie w Santa Cruz z uciążliwego staje się dla mnie udręką...

23 czerwca

Koszmarna noc spędzona nad książkami i na walce z samym sobą, aby nie zasnąć. Przegranej walce, co muszę dodać, i to podwójnie!

Było już dobrze po drugiej w nocy, a przynajmniej tak sygnalizowała klepsydra i stopień wypalenia świec na moim pulpicie, gdy dosłownie na chwilę przymknąłem opadające powieki, pozwalając sobie na odrobinę wytchnienia, zważywszy, że była to już moja druga nieprzespana noc z rzędu, a w zanadrzu miałem takie kolejne. Nie wiem, jak długo spałem, ale obudził mnie nagły, głośny huk, a mały stolik w skryptorium, przy którym siedziałem, cały zadrżał. Zerwałem się na równe nogi i zobaczyłem mojego mistrza, który stał obok, a prawa jego dłoń spoczywała jeszcze na blacie, w który zapewne nią uderzył, aby mnie zbudzić.

Twarz miał zaciśniętą z wściekłości, skostniałą i zaciętą, a w oczach płonął ogień. Ogień zemsty. Zadrżałem, patrząc w te oczy. Było jeszcze ciemno, nawet na wschodnim niebie, czyli mogłem spać najwyżej kilka minut.

Zacząłem się tłumaczyć, wystraszony, że tylko chwilę tak zmrużyłem oczy, że dotąd pilnie czytałem, i tak dalej, ale moje tłumaczenia coraz bardziej były nieskładne, więc umilkłem zawstydzony, z sercem na ramieniu. Brat Armand wysłuchał moich tłumaczeń, nie przerywając mi, co nie wróżyło nic dobrego.

A potem powiedział:

– Jesteś nikiem, Antonio. Nikim. – Głos miał lodowaty, ale nie krzyczał, zaś w oczach był wyrzut. – Do niczego nie dojdiesz i niczego sobą nie reprezentujesz. Taki tępy, jak tu przyszedłeś, tak samo tępy stąd wyjdiesz, aby wieść życie mnicha w beznadziei, rutynie i apatii.

Gorzkie były jego słowa, aż się zarumieniłem. Poza tym przez echo panujące w skryptorium Ricardo siedzący na górze w czytelnicy na pewno je słyszał. Tym bardziej było mi głupio.

– Ale brat Torquemada powierzył cię mnie – mówił dalej mistrz – i oczekuje rezultatów. Ja zaś zbyt dużo czasu poświęciłem już na twoją edukację, aby machnąć na ciebie ręką. Dlatego, Antonio, nadal będziesz się tu uczył, teraz co noc, skoro poprzedni, swobodniejszy system ci nie odpowiada. Będę cię także częściej tutaj kontrolował, bo widzę, że mnie oszukujesz. I biada ci, Antonio, jeśli jeszcze raz przyłapię cię na spaniu!

– Zamilkł na chwilę, a cisza skryptorium dzwoniła mi w uszach.

– Ojczy, jeśli mogę... – wyjąkałem, ledwie mówiąc ze strachu, byłem bowiem pewien, że kara mnie nie minie i to wyjątkowo wymyślna. – Ja chcę się uczyć. Naprawdę. Ale muszę kiedyś spać...

– Nic mnie to nie interesuje. – Brat Armand zgromił mnie spojrzeniem. – Gdyby nauka cię ciekawiła, Antonio, nie odczuwałbyś potrzeby snu. Spójrz na Ricarda. – Wskazał ręką na czytelnię znajdującą się nad nami. – Siedzi nad książkami noc w noc i wiem, że czyta, bo z nim rozmawiam. Więc nie obchodzi mnie, jak będziesz odsypiał zarwane noce, ale będziesz się uczył. Czy ci się to podoba czy nie. Obiecuję ci to, Antonio – ostatnie zdanie wypowiedział z naciskiem, jakby chciał mi dać gwarancję, że tak właśnie będzie, że on, Wielki Archanioł, tego dopilnuje.

Czułem dlań pogardę i niechęć. I oczywiście strach.

– Na początek za karę będziesz miał trzy dni głodówki. – Mistrz spojrzał na mnie z wyższością. – Przeor i *padre* Gregorio będą o tym poinformowani. Spróbuj wziąć do ust cokolwiek z jedzenia, a zarządzę taką chłostę, że przez dwa tygodnie nie wstaniesz z łóżka. Możesz pić tylko wodę. Nic więcej. Rozumiemy się?

Serce uderzało mi głośno w miarę, jak słuchałem słów brata Armanda, a biorąc pod uwagę, co mówił, dziękowałem w duszy Bogu, że los mój nie jest jeszcze najgorszy. Gdy skończył, skinąłem szybko głową, aby wiedział, że dobrze się zrozumieliśmy. Bardzo dobrze.

– Tak, *padre* – odpowiedziałem.

– Antonio – brat Armand pochylił się w moją stronę – jeśli będziesz nieposłuszny, zatłukę cię jak psa. Przysięgam ci, że to zrobię! – Spojrzał na mnie lodowato, nie pozostawiając mi żadnych co do tego wątpliwości i mroząc we mnie ciepło krwi.

Wiedziałem, zwłaszcza po tym, co dziś omawiali z przeorem, że zrobiłby to, gdyby zaszła taka potrzeba.

Po tych słowach brat Armand odwrócił się i powoli, nie oglądając się za siebie, wyszedł ze skryptorium. Drzwi ciężko się za nim zamknęły, a ja długo jeszcze po jego wyjściu stałem przy swoim stoliku rozdygotany, upokorzony i zawstydzony przed Ricardem, bezsilny i zły na los i siebie, że tu jestem! Po tysiącokroć przeklinałem los, który mnie

tu przywłókl, i lekarzy, którzy uratowali mnie od śmierci w noc moich narodzin! Wyrzucałem sobie, że przez całe moje życie nie potrafiłem przeciwstawić się ojcu, i nawet złościłem się na Boga, czemu mnie oddał Archaniołowi Armandowi w opiekę. W tak zwaną opiekę. Nie minął nawet miesiąc, odkąd jestem w Santa Cruz, a już tak wiele wydarzyło się w opactwie, tak wiele złego pomiędzy mną a patronem, że choćbym i chciał, cofnąć tego nie było już sposobu.

Usiadłem odrętwiały nad książkami i z wolna opadał we mnie strach. Wizja zarządzanej głodówki nie przerażała mnie w tym momencie aż tak bardzo jak okrucieństwo mego mistrza, z którym wcale się nie krył. Wyobraziłem sobie chłostę, jak stoję w kałuży krwi, a brat Armand patrzy na to zimno. Jakim musi być człowiekiem, żeby robić takie rzeczy?! Zaiste, świetny będzie z niego inkwizytor. Przeor ma słuszość, tak oceniając go pod tym względem.

Westchnąłem ciężko, aż płomienie świec się zmierzwiły i przez chwilę na ścianach skryptorium tańczyły rozdygotane cienie. Zacząłem na powrót czytać, jak przykazał mistrz. Nie trwało to długo, bo po chwili usłyszałem, jak Ricardo idzie przez całą czytelnię. Zaraz potem zszedł na dół i podszedł do mnie. Zły byłem na niego, że mnie zawstydzą jeszcze bardziej swoją obecnością i że przeszkadza mi w nauce. Ale on nic sobie z tego nie robił.

– Antonio, czy ty nie masz za grosz oleju w głowie?! – zwrócił się do mnie z bezgranicznym zdziwieniem malującym mu się na przystojnej twarzy. – Po co denerwujesz brata Armanda? Chcesz skończyć jak Alejandro?

Zdenerwowałem się, że go wspomina, jakby przez to, że trzyma sztamę z moim mistrzem, nie miał do tego prawa.

– Alejandro jeszcze nie skończył – rzuciłem oschle.

– Wiesz, o czym mówię. – Ricardo nieco spuścił z tonu. – Jesteś uczniem brata Armanda. Ty lepiej niż kto inny na świecie powinienes wiedzieć, jakim jest człowiekiem, że nie chce dla nas źle, ale gdy się zdenerwuje, stosuje okrutne kary. Poza tym, Antonio, zastanów się. Jeśli nie książki, nie wiedza w nich zgromadzona, nie studia, to co? Co innego będziesz robił?

– Nie wiem... – wyjąkałem, a rozpalający się w oczach Ricarda

entuzjizm, skądinąd dobrze mi znany, zaczynał mnie irytować. – Nie zastanawiałem się nad tym.

– Pomyśl, jakie masz szczęście, przebywać na co dzień z bratem Armandem! – Ricardo zdawał się w ogóle mnie nie słuchać. – Możesz całymi dniami czerpać z jego nauk, a nie tak jak my, tylko na wykładach i czasem, gdy uda się nam poprosić go o rozmowę. Ty masz to wszystko na wyciągnięcie ręki, a jednak to odpychasz! Nie jestem w stanie tego zrozumieć. – Ricardo zmarszczył twarz z niedowierzaniem.

– Wierz mi, że bycie uczniem brata Armanda nie jest takim szczęściem, jak ci się wydaje. – Nie chciało mi się z nim kłócić. – Chociaż myślę, że ty byś się z nim świetnie dogadywał. A i on pewnie marzyłby o takim uczniu. A teraz wybacz mi, Ricardo, ale przed jutrznią muszę to jeszcze przeczytać. – Położyłem dłoń na rozłożonej na stoliku przede mną książce.

Ricardo skinął głową i chociaż wydawało mi się, że chciał jeszcze coś powiedzieć, wrócił do czytelnicy. Ja zaś spojrzałem na szarzejące na wschodzie niebo zwiastujące nadchodzący nieubłagany ranek i zrobiło mi się przykro. Poczułem się tu, w opactwie, bezgranicznie samotny i całkowicie niezrozumiany, w dodatku bez przerwy poganiany przez czas i karzącą dłoń mego mistrza uniesioną nad moją głowę ku przestrodze. Doszedłszy do wniosku, że do jutrzni i tak nic rozsądnego nie uda mi się już zrobić, zamknąłem księgi i podziękowałem w ciszy Bogu w porannej modlitwie, że zatarg z moim patronem skończył się dla mnie tylko głodówką.

Później

Okazało się, że praca w kuchni wcale mi nie ułatwia odbywania kary! Juan i wszyscy mnisi ze mną pracujący bardzo mi współczują. Ja zaś, starając się przewyciężyć potrzeby ciała, myślę przede wszystkim o Alejandro, którego przeor wezwał dziś na kolejne przesłuchanie. Bóg raczy wiedzieć po co. A znając brata Armanda, który także będzie obecny przy tym przesłuchaniu, i przeora, obaj obejdą się z nim wyjątkowo surowo i oschle. Tak bardzo mi go żal!

Patrzę na jedzenie, które przygotowujemy, i w środku mnie skręca. Ale pamiętam dobrze, co powiedział mój mistrz i czym mi groził, jeśli wezmę cokolwiek do ust, więc się powstrzymuję. Tak sobie myślę, że zarządzenie przez brata Armanda głodówki akurat teraz, gdy przypadł mi dyżur w kuchni i refektarzu, było z jego strony okrutne, a jednocześnie bardzo do niego podobne.

Wieczorem

Po komplecie ku mej radości *padre* Gregorio posłał mnie i Juana z kolacją do Alejandra! Siedział w swojej celi nad książką, gdy weszliśmy. Wyraźnie się ucieszył, że nas widzi, i serdecznie nas uściskał. Byłem zaskoczony, w jak dobrym jest stanie psychicznym, spodziewałem się, że zastanę go załamane go i przygnębitego. Tymczasem, dzięki Bogu!, wrodzony optymizm go nie opuszczał.

Zagadaliśmy go z Juanem, co się dzieje w jego sprawie, bo nam nic nie chcą powiedzieć, a ponoć jest przesłuchiwany przez ojca Torquemadę.

– Owszem. – przyznał Alejandro, szybko zjadając przyniesioną kolację. – Przesłuchują mnie we dwóch z Archaniołem, ale chyba nic nie mogą we mnie heretyckiego znaleźć, bo nadal tu jestem, a nie w więzieniu sądu biskupiego. Wydaje mi się, że im mnie nie oddadzą. Chcą sami wymierzyć mi karę – Alejandro mówił to wszystko spokojnie.

– Karę? – jęknąłem.

– Pewnie zarządzą chłostę lub coś w tym rodzaju. Albo miesiąc o chlebie i wodzie w celi więziennej, tej obok bocznej furty. – Wskazał ruchem głowy na południowy wschód.

– Chodzą słuchy, że oddadzą cię w ręce Świętej Inkwizycji – powiedział poważnie Juan.

W jego głosie słyhać było prawdziwy strach, a mnie ciarki przeszły po plecach. Alejandro zaś tylko się uśmiechnął.

– Nie mogą mnie oddać w ręce inkwizytorów – powiedział. – W Kastylji nie ma Inkwizycji. A ta, która działa w sąsiedniej Aragonii, nie obejmuje Segowii swą jurysdykcją.

– A jeśli wyślą cię do Aragonii? – zapytałem wystraszony.
Znając brata Armanda, to mogło się zdarzyć.

– Tylko się zbłaźnią – Alejandro powiedział to cokolwiek za głośno i Juan uciszył go, zerkając na otwarte okno. – Ale oni tego nie zrobią – dodał Alejandro dużo ciszej. – Podważyłem autorytet Archanioła i uraziłem jego dumę. Cały ten areszt domowy i przesłuchania są pod publikę. Dla was, żebyście się bali. Armandowi niepotrzebna jest Święta Inkwizycja, bo on sam zachowuje się w opactwie jak inkwizytor. Wysłanie mnie do Aragonii albo oddanie w ręce sądu biskupiego tu, na miejscu, pozbawiłoby Archanioła satysfakcji wymierzenia mi kary osobiście, możliwości wzięcia na mnie odwetu moralnego i przywrócenia swej dumie dawnej chwały. Armand musi mieć publiczność, której miał nie będzie, jeśli odda mnie sądowi biskupiemu. A poza tym ponoć biskup wcale się nie kwapi w sądzie heretyków i chodzą słuchy, że ma z Armandem jakiś dawny zatarg, o coś się strasznie pokłócili. Ponoć Torquemada interweniował u Królowej i biskup został zmuszony do wykonania woli Archanioła, ale nie znam bliższych szczegółów. Od tamtej pory biskup nie znosi Armanda i sądzę, że wypuściłby mnie tylko dlatego, żeby Archaniołowi zrobić na złość, o czym i przeor, i Armand dobrze wiedzą.

Słuchałem Alejandra z coraz większym podziwem dla jego wewnętrznej siły i optymizmu, dla twardego charakteru i przekonań, których słuszności potrafił bronić nawet w obliczu czekającej go kary. Ja na jego miejscu już dawno błagałbym przeora o litość. I domyślałem się, że właśnie takiej postawy brat Torquemada i mój mistrz oczekiwali. Pokory. Ale Alejandro też miał swoją dumę i ani myślał się korzyć.

– Nie boisz się, że relegują cię z zakonu za nieposłuszeństwo? – zapytał Juan prawie szeptem.

– Za co? – oburzył się Alejandro. – Bo miałem odmienne zdanie niż inny dominikanin? Posłuszeństwo nie oznacza służalczości! Myślałem, że dysputy na tematy teologiczne są jedną z zasad naszego zakonu. A tutaj jedna osoba chce zakneblować wszystkim usta i narzucić innym swoją wolę.

– Ale Torquemada... – Chciałem powiedzieć, że to on będzie decydował.

– Nad Torquemadą jest jeszcze prowincjał i generał zakonu – przerwał mi Alejandro. – Zresztą, niech mnie relegują. Czy biorąc pod uwagę to, co dzieje się w Santa Cruz, te układy i układziki, te wzajemne niechęci i skrywaną nienawiść, tę obłudę i niesprawiedliwość, czyż miałbym czego żałować? Jeśli nie otrzymam święceń, wrócę do Sewilli, skąd pochodzę, do cudnego słońca Andaluzji i leniwego, słodkiego życia nad brzegami Gwadalkiwiru. Sewilla to najpiękniejsze miasto na ziemi! Miasto białych domków, wielobarwnych azulejos[13], wąskich uliczek zalanych słońcem i zapachem kwiatów zwieszających się z balkonów, miasto beztroskich Cyganów i tancerzy flamenco, stolica korridy i uśmiechniętych, szczęśliwych ludzi, którzy wiodą spokojne, leniwe życie, odmierzane rytmem fiest i zabaw. – Na twarzy Alejandra pojawiło się rozmarzenie, jakby to wszystko, o czym mówił, stanęło mu nagle przed jego oczami i wokół nas.

– To się może niedługo zmienić – rzuciłem szybko, zanim zastanowiłem się nad tym, co mówię.

– Co masz na myśli? – Juan natychmiast podchwycił temat.

Opowiedziałem więc przyjacielom pokrótce, co udało mi się podслуchać z rozmów mojego mistrza i przeora o Świętej Inkwizycji, którą planuje się wprowadzić w Kastylii, oraz o systemie strachu, którego stolicą ma stać się Sewilla. Alejandro oburzył się na samą myśl o zrujnowaniu andaluzyjskiej sielanki.

– Czy rzeczywiście nad brzegiem Gwadalkiwiru stoi alkazar? – zapytałem.

– Stoi – przyznał Alejandro. – Okazały. Ogromny. Dziesięć wysokich wieżyc sięga nieba i przypomina sewilczykom o dawnej okupacji Andaluzji przez Arabów.

– To w nim przeor chce umieścić władze Inkwizycji w Kastylii. Urządzić tam centrum, skąd władał będzie całą Hiszpanią. Główny Trybunał – wyjaśniłem.

– A czyją zamek jest własnością? – zapytał Juan. – Bo jeśli miasta, *padre* Torquemada będzie musiał go odkupić albo wydzierżawić, a na to dominikanie nie dadzą mu pieniędzy.

– Kupi go Królowa – rzuciłem.

– Skarb podobno jest pusty – Juan myślał głośno.

– Alkazar należy do Królowej – zakończył smutno nasze rozważania Alejandro. – Pewnie Torquemada wcześniej upewnił się co do tego i idę o zakład, że rozmawiał już o tym z Królową. Być może Izabela uczyni darowiznę dla nowej Inkwizycji, albo też Inkwizycja, skoro ma być narzędziem władzy świeckiej, zostanie wyposażona w dobra ziemskie w akcie jej ustanowienia lub oderwania od papieża. Moim zdaniem Torquemada już to sobie dokładnie przemyślał. Ten człowiek nie rzuca słów na wiatr.

Posiedzieliśmy jeszcze chwilę, ale musieliśmy z Juanem wracać do kuchni. Nasza zbyt długa nieobecność mogłaby wydać się podejrzana. Alejandro podziękował nam za odwiedziny i prosił, abym dalej nadstawiał uszu na rozmowy przeora i mojego mistrza, żebyśmy mogli dowiedzieć się czegoś więcej o ich planach.

Gdy wyszliśmy, odetchnąłem z ulgą, że Alejandro jest w tak dobrym samopoczuciu. Doszedłem nawet do wniosku, że to mnie bardziej przydałyby się słowa otuchy, niż jemu. Przeraziła mnie myśl, że kładę głowę na poduszce tuż obok drzwi przyszłego sędziego inkwizytora, chociaż ostatnio mało mam po temu okazji, większość nocy przesiadując w skrytorioium. I coraz bardziej cieszy mnie to, że brat Armand tak mało poświęca mi czasu.

24 czerwca

Drugi dzień kary zarządzanej przez mojego mistrza. Żołądek skręca mi się w supeł boleśnie na samą myśl o jedzeniu. Chociaż staram się dużo pić, jestem osłabiony. Ale trzymam się dzielnie, nie dając bratu Armandowi pretekstu do gniewu i, nie daj Boże!, przedłużenia zarządzanej kary.

Później. Przed noną

Zajęcia z bratem Armandem odbyły się bez Alejandra, ale za to mistrz mój ogłosił nam, że po południu odbędzie się chłosta Alejandra,

publiczna chłosta, którą wszyscy musimy oglądać. Jak stwierdził, śledztwo przeprowadzone przez przeora na szczęście nie wykryło u nowicjusza herezji, zatem otrzyma on jedynie karę za nieposłuszeństwo.

Jakkolwiek myśl o chłości czekającej Alejandra mnie mierzyła, to w duchu cieszyłem się, że areszt domowy wreszcie się skończy i Alejandro do nas wróci. Pomyślałem też, że sprawdziło się to, o czym wczoraj we trzech rozmawialiśmy po kolacji – przeor i brat Armand nie wydali Alejandra w ręce biskupa ani Świętej Inkwizycji, ale zarządzili chłostę, by urażona duma mego mistrza znów poczuła się dobrze.

– Dziś będziemy mówić o utworzeniu świętych urzędów do badania nieprawomyślności w Kościele, czyli o Świętej Inkwizycji – zaczął wykład brat Armand.

W parlatorium rozległ się szelest pospiesznie otwieranych kajetów i wertowanych kartek.

– Jak wiecie z lektury dwóch dokumentów, które poleciłem wam przeczytać na dzisiejsze zajęcia – mówił dalej mój mistrz – papież widział olbrzymią potrzebę utworzenia stałych sądów do rozstrzygania, czy podejrzany jest heretykiem, czy też nie. Jakkolwiek do czasu ruchu katarów herezje już się pojawiały, to były to jednak pojedyncze przypadki, którymi bez wysiłku zajmowały się sądy biskupie. Jednakże krucjata przeciwko katarom przyniosła konieczność zorganizowania setek, tysięcy procesów w sprawach podejrzeń o herezję. Sądy biskupie, których w owym czasie było jak na lekarstwo, sędziłyby te sprawy zapewne i do dnia dzisiejszego, gdyby nie to, że święty Dominik i bracia kaznodzieje niejako spontanicznie i samozwańczo zaczęli tworzyć trzyosobowe trybunały, które rozpoznawały sprawy heretyków. Pamiętajcie, że w tamtym czasie Inkwizycja, jako instytucja, nie istnieje i nikomu się jeszcze o niej nie śni. I chociaż biskupi z początku bardzo się buntowali przeciwko praktykom świętego Dominika, to jednak szybko się okazało, że z racji swego wykształcenia i wiedzy teologicznej i prawniczej bracia kaznodzieje dużo lepiej, szybciej i skuteczniej rozpoznają sprawy o herezję. Bardzo szybko dostrzegł to także papież, nowy papież, Grzegorz IX, który już po śmierci świętego Dominika wydał w dniu 10 kwietnia 1234 roku bullę, powierzając w niej

utworzonemu już zakonowi dominikanów misję wykorzenia herezji z chrześcijańskiej Europy, rozstrzygając tym samym zatarg biskupów z zakonnikami o jurysdykcję w tym przedmiocie. Misję tę dominikanie pełnią po dziś dzień. W bulli papież wezwał biskupów do okazywania sędziom-dominikanom szacunku i wszelkiej pomocy oraz umożliwienia wypełniania ich misji. Nie muszę wam chyba mówić, jak bardzo ta bulla rozwścieczyła biskupów. Ale papież Grzegorz IX był bardzo mądrym papieżem i przewidział, że biskupi będą walczyć z sądami dominikanów, które wszak nie były zinstytucjonalizowane, o hegemonię, o to, który sąd jest ważniejszy i który mógłby być apelacją dla pierwszego:

dominikański czy biskupi. Dlatego też, aby zapobiec tym sporom, dwa dni po pierwszej bulli, w dniu 12 kwietnia 1234 roku, i jest to data historycznie bardzo ważna, papież Grzegorz IX, skądinąd przyjaciel świętego Dominika, wydał kolejną bullę, w której powołał do życia instytucję Świętej Inkwizycji, czyli Święty Urząd, *Sanctum Officium*. Pełna nazwa nowej instytucji Kościoła Katolickiego brzmi: *Inquisitio Haereticae Pravitatis Sanctum Officium*, czyli Święty Urząd do spraw Badania Heretyckiej Nieprawości. W koncepcji papieża trybunały inkwizycyjne miały być stałe, a nie jak dotychczas doraźne, podczas gdy sądy biskupie dotąd zbierały się tylko w razie pojawienia się podejrzenia o herezję. Inkwizycja, jej trybunały odtąd mają wyznaczone siedziby w większych miastach, a obsadzeni w roli sędziów dominikanie swój urząd sprawują permanentnie. Co więcej, papież postawił trybunały inkwizycyjne ponad sądami biskupimi, czyniąc kler podległy jurysdykcji inkwizytorów. Co w praktyce oznacza, że wszyscy księża, proboszczowie, biskupi i arcybiskupi a nawet wyżsi dostojnicy kościelni podlegają sędziom inkwizytorom i jeśli dopuściliby się herezji, będą sądzeni tak, jak każdy inny człowiek. Papież postanowił również, że od wyroków Inkwizycji nie będzie apelacji do kleru ani nawet do papieża. Inkwizytorzy, jeśli chcieli i taka była potrzeba, mogli zwrócić się po pomoc do sądownictwa świeckiego: w kwestiach prawnych do uniwersyteckich wydziałów prawa, w kwestiach wykonania wyroków do osób wykonujących zawód kata zatrudnionych przy sądach miejskich. Jeśli chodzi o ten ostatni rodzaj pomocy, katów tych nazywa się świeckim ramieniem Świętej Inkwizycji. Uczestniczą oni również

w przesłuchaniach, o czym powiemy sobie na kolejnych zajęciach, gdy będziemy mówić o procedurze postępowania przed trybunałem Inkwizycji. – Brat Armand przerwał na chwilę.

Przez cały czas swojego wykładu mistrz mój chodził po sali, a raczej po części parlatorium przeznaczonej na katedrę. Jeśli przystawał przy mównicy, kładł obie dłonie na relingu, który z trzech stron wieńczył jej blat, na którym rozłożone były notatki. Czasem gestykulował. Często zmieniał tempo mówienia, patrzył na nas, uśmiechał się, a nawet żartował sobie pod nosem. Przemawianie przychodziło mu z łatwością, jakby było cechą wrodzoną, nie wyuczoną, a to, o czym mówił i jak swobodnie traktował temat, zdradzało horrendalne pokłady wiedzy, jakie brat Armand skrywał w swym umyśle. Zazdrościłem mu tej wiedzy i po raz pierwszy poczułem szacunek dla pracy, jaką musiał wykonać, aby tę wiedzę zdobyć, nawet jeśli przychodziła mu ona lekko.

– Tylko wspomnieć wypada – zaczął znów brat Armand – że Inkwizycja rozpoczęła działalność dopiero rok później, a pierwszy trybunał ustanowiono w Tuluzie. Ale ponieważ nie jest to wykład z historii Kościoła, przejdę do innych kwestii. – Spojrzał na nas z uśmiechem. – Zachęcam do lektury tej historii, a brat Santiago i Oscar z pewnością pomogą wam w doborze odpowiednich pozycji książkowych z tego zakresu. Teraz chciałbym z wami porozmawiać o Inkwizycji jako organizacji. Aspirujecie do złożenia ślubów wieczystych w zakonie dominikanów i całkiem możliwe, że niektórzy z was będą w przyszłości sprawować urząd sędziów inkwizytorów. Ważne jest więc, abyście zrozumieli, jak działa Inkwizycja, dlaczego tak działa i co jest w niej złego, co można i co powinno się zmienić, poprawić, usprawnić.

Wtedy Mateo podniósł rękę i po udzieleniu mu głosu przez brata Armanda zapytał:

– *Padre*, wszyscy wiemy, że w Kastylii nie działają trybunały Inkwizycji. Czy zatem należy się spodziewać ich powołania u nas?

Myślę, że wszystkim nam, zgromadzonym w parlatorium nowicjuszom, chodziło po głowie to pytanie, ale jeden Mateo odważył się je zadać. Możliwe też, że Ricardo znał na nie odpowiedź. Znałem ją także i ja i ciekaw byłem, co powie nam brat Armand.

– Moi drodzy! – Mój mistrz uśmiechnął się z pobłażaniem. – Musicie zrozumieć, że nie jest kwestią, czy Inkwizycja w Hiszpanii zostanie powołana, ale kiedy to nastąpi. A raczej: jak szybko. Święte Urzędy funkcjonują już w większości katolickich krajów. Hiszpania zaś nie jest wolna od herezji i dusz, które należy przebadać, osądzić, nawrócić i oczyścić. Grzech i herezja się rozpleniły, a ludzie bez bata nad sobą czują się zbyt swobodni i na zbyt wiele sobie pozwalają. Trzeba to ukrócić. A tylko w jeden sposób można sobie z tym poradzić: wzywając na pomoc Świętą Inkwizycję.

Ostatnie słowa brat Armand wypowiedział z przekonaniem i dumą, jakby ciesząc się w duchu, że bierze w tym udział, stając się architektem tego systemu w Kastylii. Ale tylko ja i Juan spośród obecnych w parlatorium nowicjuszy wiedzieliśmy, że nasza Inkwizycja, nowa, kastylijska Inkwizycja, będzie zupełnie inna od tej, która funkcjonuje w Europie i która była założeniem papieża Grzegorza IX. Po raz kolejny, Boże, błagam Cię, miej nas w opiece...

– Przejdźmy teraz do konkretów. – Brat Armand znów zaczął chodzić po sali wykładowej, a my powróciliśmy do notowania. – Jak się zakłada Inkwizycję w państwie? – zapytał. – Wbrew pozorom to wcale nie jest takie proste. Decyzję o powołaniu urzędu Inkwizycji w danym kraju podejmuje zawsze papież i robi to zawsze na prośbę panującego władcy. Taki władca, król najczęściej, po konsultacji z dostojnikami Kościoła występuje do papieża z oficjalną, pisemną prośbą o wyrażenie zgody na utworzenie trybunałów Inkwizycji, wyznaczenie ich siedzib i obszarów jurysdykcji oraz o mianowanie pierwszych inkwizytorów. Papież po rozważeniu argumentów władcy i po wysłuchaniu jego emisariuszy, bo za listem zazwyczaj do Watykanu jedzie od kilku do kilkunastu negocjatorów, posłów i ambasadorów, otóż po ich wysłuchaniu papież łaskawie takiej zgody udziela, wydając stosowną bullę. Głowa Kościoła zawsze z niepokojem wysłuchuje wieści o herezji w katolickim kraju, a następnie teatralnie i z ubolewaniem nad taką sytuacją wyraża zgodę, bo jednak dobro dusz jest mu przede wszystkim i szczególnie drogie. Prawdę mówiąc, jeszcze się tak w historii nie zdarzyło, aby papież zgody odmówił, bo, nie oszukujmy się, Inkwizycja jest jego oczami i uszami w każdym kraju, jego długim ramieniem,

którym po cichu sprawuje rządy. Zatem ustanowienie jej jest mu na rękę. A poza tym, gdyby papież odmówił wyrażenia zgody, mogłoby to oznaczać, że nie dba o swój katolicki lud śmiertelnie wszak zagrożony przez herezje tego świata. Kiedy już więc oficjalnie ogłosi swą zgodę, następnie zgodnie z wnioskiem wyznacza miasta-siedziby trybunałów oraz określa ich terytorialną jurysdykcję. Siedziby trybunałów i właściwość miejscowa najczęściej są już wskazane we wniosku, opracowane przez miejscowych dostojników Kościoła, a papież tylko potwierdza je w swej bulli. Potem mianuje inkwizytorów, których kandydatury są także najczęściej we wniosku już wskazane. Posłańcy i ambasadorzy wracają do swego kraju z radosną nowiną, która następnie jest rozgłaszana wszem i wobec. I dalej wszystko odbywa się tak, jak we wniosku: tworzone są fizycznie trybunały, czyli w praktyce władca nadaje Inkwizycji dobra ziemskie na siedziby trybunałów, najczęściej daruje im zamek lub pałac w mieście, do trybunałów przydzielani są inkwizytorzy, mnisi oraz świeccy słudzy. Inkwizytorzy są informowani, jakie terytorium znajduje się pod jurysdykcją kierowanego przez nich trybunału, a są to najczęściej bardzo duże terytoria, które inkwizytorzy muszą objechać, przynajmniej raz na dwa lata. Bardzo często taka podróż trwa przeszło rok, w trakcie którego trybunał w mieście-siedzibie nie pracuje lub pracuje w mocno okrojonym składzie. To jest jeden z podstawowych błędów władców, że wnioskuje o ustanowienie trzech–czterech trybunałów, stałych trybunałów, na cały kraj i dosłownie powołuje się dwóch–trzech inkwizytorów w każdym sądzie. Inkwizytorzy wówczas nie są w stanie sprawnie i skutecznie działać. Ani w siedzibie trybunału, ani w terenie. Ponieważ składy orzekające w każdej sprawie są trzyosobowe, inkwizytorzy często muszą sobie dobierać do pomocy osoby spoza Inkwizycji i dominikanów, najczęściej spośród miejscowego kleru, co jest kolejnym błędem, bo księża najczęściej są o niebo gorzej wykształceni od inkwizytorów i całkowicie niekompetentni i nieprzygotowani do orzekania. Sądzić powinni tylko inkwizytorzy, tym bardziej, że przecież miejscowy kler podlega pod ich jurysdykcję, a tak zasiadają obok siebie! To jest niedopuszczalne! A gdyby tak trybunałów w danym kraju było około dwudziestu, a w każdym z nich od kilku do kilkunastu inkwizytorów, w zależności

od liczby podsądnych, wyobraźcie sobie, o ileż sprawniej wyglądałoby sądzenie! I jeszcze jedna rzecz powinna się zmienić, moi drodzy – to, aby inkwizytorów mogli mianować panujący, a nie papież. Ta procedura za długo trwa, papież najczęściej ma własnych kandydatów, a to przecież władcy najlepiej znają potrzeby swojego kraju pod tym względem. A jeśliby jeszcze taką Inkwizycję oderwać od Watykanu i uczynić instytucją państwową, wszystkie darowane jej ziemie byłyby znów w posiadaniu skarbu królewskiego, nie mówiąc już o tym, że skonfiskowane heretykom mienie przechodziłoby na własność Korony, a nie stawałoby się, jak dotąd, mieniem papieżstwa. Oczywiście, moi drodzy, żeby było jasne, jak na razie żaden władca się o to nie pokusił. Wszyscy, niestety!, boją się ekskomuniki i władzy papieża. Ale papież Sykstus IV jest dość słaby i za jego pontyfikatu nadarza się szansa, aby Inkwizycja przestała być w gestii jego omnipotencji. Ale są to bardziej pobożne życzenia i raczej nie spodziewajcie się, że któryś z władców zdecyduje się na tak radykalny krok. – Brat Armand przerwał na chwilę swój wywód i rozejrzał się po sali.

Nowicjusze zamarli, słuchając mojego patrona, może z wyjątkiem Ricarda, którego oczy błyszczały z podziwu. Na twarzach pozostałych malowało się zdziwienie dla teorii, które brat Armand tu wygłosił. A to przecież kropla w morzu tego, co zamierzają obaj z *padre* Torquemadą zrobić w Kastylii. Patrząc na rozentuzjasmowaną twarz Ricardo i porozumiewawcze spojrzenie brata Armanda, którym go obdarzył, spojrzenie pełne dumy mistrza z pojętnego ucznia, nabrałem pewności, że mój patron przekazuje mu ustalenia poczynione z przeorem, a w najgorszym wypadku uczy go na przyszłego inkwizytora, tak samo zaciętego i oddanego sprawie, jak sam brat Armand. Ciarki przeszły mi po plecach, a żołądek zacisnął się w bolesnym skurczu – nie wiem, z głodu bardziej, czy ze zgrozy...

– Macie już zatem niejaki obraz Inkwizycji – podjął na nowo temat *padre* Armand. – Musicie zrozumieć i zapamiętać, że ta instytucja jest już przestarzała i wymaga zmian. Gruntownych zmian. Co było dobre w 1234 roku, nie musi już wystarczać dwieście pięćdziesiąt lat później. Herezje się zmieniły i zmienił się człowiek. I szatan też inaczej dziś kusi i sprytniej chowa się w ludzkiej duszy. – Podszedł do katedry. – Na

następnych zajęciach porozmawiamy sobie o postępowaniu przed trybunałem inkwizycyjnym: od doniesienia po karę spalenia na stosie. Dlatego też proszę, abyście do tego czasu zapoznali się z podręcznikiem inkwizytora Bernarda Gui, czyli ze słynnym dziełem *Practica officii inquisitionis haereticae pravitatis*. Jest to jedyne kompleksowe dzieło na ten temat, nadal aktualne. Swego czasu było przełomowe. W naszej bibliotece są dwa jego egzemplarze. Od was zależy, jak się nimi podzielicie. Antonio i Ricardo już czytali podręcznik, więc macie dwie książki do podziału na sześć osób. Przekażcie moje uwagi Alejandro. Z mojej strony na dzisiaj to wszystko. Dziękuję za uwagę – zakończył chłodno i bardzo oficjalnie.

Na jego twarzy pozbawionej emocji nie wykwitł nawet cień uśmiechu. Pakowaliśmy nasze kajety z szelestem, mój mistrz składał materiały i notatki.

– Ricardo, zostań, proszę, po zajęciach – brat Armand zatrzymał naszego kolegę, gdy wychodziliśmy z parlatorium.

Ricardo z uśmiechem podszedł do mojego patrona. Rozpierała go duma, że Archanioł chce z nim osobiście rozmawiać. Ja zaś czułem niewymowną ulgę, że to nie mnie zawołał.

Wieczorem. Po niesporach

Zanim wybiją dzwony na kompletę, siadam jeszcze do pisania, by drżącą ręką nakreślić wydarzenia dzisiejszego popołudnia. Podczas obiadu przemówił do nas przeor, który ogłosił, że po nonie wszyscy bracia mają się zebrać przy dzwonnicy, gdyż będzie wykonana kara porządkowa chłosty, którą za nieposłuszeństwo otrzyma nowicjusz Alejandro Silva de Sarmiento. Służąc do posiłku w ramach dyżuru, mogłem zauważyć, że niektórzy mnisi szemrali między sobą o tym zarządzeniu... Nie wszystkim się ono podobało. Co sprytniejsi starali się nie dawać niczego po sobie poznać. Nowicjusze zaś, poza Ricardem rzecz jasna, byli przerażeni i ukradkiem zerkali spokorniałym wzrokiem na brata Armanda, który niewątpliwie był *spiritus movens*[14] całej tej kary. Ja nie ośmieliłem się nań patrzeć. Przynajmniej nie podczas

przemówienia przeora. Za to dziś znów zauważyłem dziwne i pełne nienawiści spojrzenie, jakim brat Constantino obdarzył mego mistrza podczas posiłku. Długie to spojrzenie pałających jakimś dziwnym ogniem oczu zaczęło mnie zastanawiać. Skąd ta skrywana niechęć u brata Constantino? I czy za nią nie kryje się przypadkiem jakiś uraz z przeszłości? Jakaś stara złość niewyjaśniona i pielęgnowana przez lata? I gdy tak zastanawiałem się w myślach, obserwując przez dłuższą chwilę brata Constantino, ten spojrzał na mnie i uśmiechnął się sztywno. I może mi się wydawało, ale cokolwiek złośliwego było w jego spojrzeniu i uśmiechał się przy tym z triumfem. Zmieszałem się i odszedłem do swych obowiązków czym prędzej.

Po nonie zebraliśmy się wszyscy na placyku pomiędzy kościołem a starą, drewnianą dzwonnica. Do jej północnej fasady, tuż obok drzwi wejściowych, brat Constantino przybił grube dwa żelazne haki w odległości około metra od siebie i na wysokości jakichś dwóch metrów nad ziemią. Od początku nabożeństwa nony brat Armand życzył sobie, abym mu towarzyszył, więc to z nim wyszedłem z kościoła na egzekucję.

– Zapamiętaj tę lekcję, Antonio. – Mistrz spojrzał na mnie chłodno i upominająco. – Abyś nie musiał przerabiać jej na własnej skórze. – Groźba, i to zupełnie jawna, była w jego głosie, choć mówił to spokojnie.

Czułem się nieswojo, idąc obok niego na miejsce kaźni, a potem stojąc przy nim w pierwszym szeregu, czego także sobie życzył. Byliśmy jednymi z pierwszych osób przybyłych na miejsce. Niebawem dołączył do nas przeor. Z wolna schodzili się mnisi i nowicjusze. Widziałem współczujące spojrzenia Juana kierowane w moją stronę i blady, bez wyrazu wzrok ojca Alvaro.

– Jak to dobrze, Antonio, że jesteś posłuszny swemu patronowi – odezwał się do mnie przeor. – Słyszałem, że pilnie się uczysz. Bardzo mnie to cieszy, mój synu. – W tym momencie już wiedziałem, że brat Armand opowiedział mu o naszej kłótni w skryptorium. – Słuchaj swego patrona, synu, bo to wielki człowiek. Winienesz mu okazywać szacunek, przyjaźń i posłuszeństwo we wszystkim. I mogę ci obiecać, Antonio, że otrzymasz wszystko, o co dla ciebie brat Armand mnie poprosi. – *Padre*

Torquemada spojrział na mnie wymownie swoimi ciemnymi oczami, które zdawały się głębokie niczym studnie, i tak jak woda ze studni, tak i one były zimne.

Przeor sprytnie to ujął, mając zapewne na myśli zarówno nagrody, jak i kary zawnioskowane przez mego mistrza. Zwłaszcza w te ostatnie nie wątpiłem.

– Tak, ojcze. – Pochyliłem pokornie głowę w jego stronę na znak, że świetnie się zrozumieliśmy.

Wiedziałem jednak, że przy moich napiętych stosunkach z bratem Armandem, o których z pewnością wiedział, jego wobec mnie oczekiwaniach i mojej dlań niechęci, której starałem się nie okazywać, zarządzenie kary chłosty dla mnie za nieposłuszeństwo, czy też z jakiegokolwiek innego powodu, to tylko kwestia czasu.

Tymczasem przyszedł ojciec Jorge z Alejandrem, który – co jest rzadkim widokiem – minę miał skruszoną, a ramiona zapadnięte. Biorąc pod uwagę naszą ostatnią z nim rozmowę i jego ówczesną postawę, zastanawiałem się, na ile jest to poza, a na ile naprawdę się podłamał. Alejandro spojrział na mnie tylko raz, oczami pełnymi strachu. Potem spuścił wzrok w ziemię. Mnie zrobiło się gorąco...

Zaś do mego mistrza podszedł brat Jorge.

– Możesz to przerwać, Armandzie – powiedział bibliotekarz z naciskiem. – Opuść mu, to jeszcze dzieciak.

– Zawinił. I musi ponieść karę – odparł twardo mój mistrz.

– Dzisiaj tak trzymasz się zasad – zauważył brat Jorge. – Jesteś taki ułożony i zasadniczy. A pamiętasz, kim byłeś wczoraj? Pamiętasz, co było w nowicjacie? – Wyrzut był w głosie brata bibliotekarza.

– Nie pouczaj mnie, co mam robić, bracie Jorge – brat Armand powiedział to wolno, akcentując każde słowo.

Była w jego głosie duma, pogarda i nienawiść dla swego rozmówcy. Ja ją słyszałem wyraźnie. Musiał ją słyszeć i brat Jorge.

– Drodzy bracia – wtrącił się przeor – pamiętajcie, że mamy się wzajemnie miłować w Chrystusie Panu. Zaniechajcie więc urazów i darujcie sobie wzajemne niechęci.

Obłudne były słowa przeora, który wszak wybaczyć nie potrafił i zarządził chłostę. Brat Jorge zaś obrzucił mego mistrza lodowatym

spojrzeniem i odszedł w stronę Alejandra. Powiedział coś do niego na ucho, a ten skinął głową.

W tym momencie dołączył do nas, zgromadzonych pod dzwonnica, brat furtian, prowadząc świeckiego człowieka odzianego w czarną opończę, rosłego i dobrze zbudowanego. Kiedy się do nas zbliżał, założył na głowę czarny kaptur, zakrywający mu także twarz. W materiale wycięte były jedynie otwory na oczy. Jego obecność w naszym opactwie była dość postępową jak na brata Torquemadę. Ale skoro sprowadzili kata do wykonania tej chłosty, znaczyło, że przywiązują do dzisiejszej ceremonii wielką wagę.

Kat podszedł prosto do przeora, więc musiał go znać, przyklęknął przed nim i ucałował pierścień na jego prawej dłoni. Brat Torquemada uczynił mu nad głową znak krzyża i kazał wstać.

Wówczas stało się coś, co mnie zaskoczyło. Alejandro podszedł do mojego mistrza i oficjalnie, na głos, aby wszyscy go słyszeli, powiedział:

– Czcigodny ojcze, jeśli moim słowem lub gestem w czymkolwiek cię uraziłem, wybac mi to, bo nie miałem takiego zamiaru. – Ukłonił się przed nim pokornie i czekał ze spuszczoną głową na odpowiedź.

Zastanawiałem się, czy Alejandro liczył, że tymi słowami uniknie kary, i czy rzeczywiście tak się stanie. Brat Armand uśmiechnął się do niego.

– Wybaczam ci, synu, z całego serca – powiedział, kładąc mu dłoń na ramionach. – Cokolwiek się stanie, wiedz, że nie mam do ciebie żalu – dodał, rujnując moją i chyba wszystkich zgromadzonych pod dzwonnica nadzieję, że odwoła tę chłostę.

– Czyń swoją powinność – przeor dał katu znak, by rozpoczął.

Wymieniłem jeszcze spojrzenia z Alejandrem, który ledwie widocznie drżał na całym ciełe. Kat doprowadził go do ściany dzwonnicy i plecami w naszą stronę przywiązał mu ręce sznurem do haków. Wówczas wystąpił przed wszystkich *padre* Torquemada i odezwał się głośno, abyśmy go słyszeli:

– Drodzy bracia! Jesteście dziś świadkami wykonania kary chłosty na jednym z nas, nowicjuszu Alejandro. Pierwszy raz w życiu wydałem takie zarządzenie i o ile mi wiadomo, jest to pierwsza kara chłosty, jaka będzie wykonana wśród murów tego opactwa. Musicie wiedzieć, że ta

decyzja nie przyszła nam łatwo, ale z bólem serca, bo Alejandra kochamy jak syna. Ale właśnie dlatego, właśnie z tej ojcowskiej miłości podnosimy dziś na niego karzącą rękę, aby go upomnieć i przywołać do porządku. Póki nie jest za późno. Nowicjusz ma być posłuszny nie tylko swemu patronowi, ale wszystkim braciom zakonnym, którzy zawsze chcą wyłącznie jego dobra. Alejandro okazał, że ma niepokorną i pełną pychy duszę. Zbliży się dzień jego święceń, zatem upominamy go tu dziś wszyscy, aby poniechał takiej postawy, jeśli chce zostać mnichem – brat Torquemada mówił te słowa ze spokojem, jakby codziennie uczestniczył w takich ceremoniach. – Doszły mnie także słuchy, że niektórym nowicjuszom nie podobają się metody, jakie podczas szkoleń stosuje czcigodny brat Armand Castellano de Corell. Wstyďte się waszej niewiedzy i zatwardziałości w głupocie. Macie niepowtarzalną okazję czerpać z nauk brata Armanda garściami i do woli. To wielki człowiek i wielki uczony. Nie wam, młodzi, decydować o sposobie nauczania was. Powiadam wam, nowicjusze, od dzisiaj każdy, kto będzie się sprzeciwiał bratu Armandowi w czymkolwiek, skończy jak Alejandro. Przypatrzcie się, aby ta kara była dla was przestrożą – zakończył tymi słowami przemówienie, dając nam do zrozumienia, że jesteśmy skazani na brata Armanda i jego metody.

Już mówi jak Wielki Inkwizytor – pomyślałem z goryczą. Kat tymczasem podniósł z ziemi bat rzemienny, który ze sobą przyniósł, i jednym silnym ruchem rozdarł kutę nowicjusza na plecach Alejandra. Przeszył mnie dreszcz zgrozy...

– Ile razy mam uderzać? – zapytał kat przeora.

Ale przeor nie odpowiedział, tylko spojrzął na mojego mistrza.

– Na początek trzydzieści razy – powiedział twardo brat Armand, a wśród zgromadzonych mnichów przeszedł szmer oburzenia.

Nowicjusze nie śmieli zareagować. Ja zaś zadrzałem na te słowa!... Widziałem, że Alejandro, gdy to usłyszał, szarpnął się przywiązany sznurami do haków i odwrócił głowę w stronę brata Armanda, jakby chciał nań spojrzeć. Ale mój mistrz stał poza zasięgiem jego wzroku.

Trzydzieści batów zarządzane przez Archanioła było okrutne. Nawet jak na niego. Zazwyczaj orzeka się dziesięć, góra piętnaście

razów. To miało być upomnienie, a nie tortura. A tu od razu trzydzieści uderzeń i to za ledwie na początek! Zaczynałem rozumieć, że to wcale nie była kara porządkowa... Tylko czysty odwet. Zemsta.

Do tej chwili, gdy ma ręka kreśli te słowa, drzę ze zgrozy na wspomnienie tego, co nastąpiło później. Kat rozpoczął wykonywanie kary, chłostząc plecy Alejandra raz za razem. Świst bata co chwila rozdzierał ciszę, siekąc powietrze z olbrzymią siłą. Alejandro z początku nie krzyczał, tylko wyprężał ciało za każdym uderzeniem rzemienia, ale w końcu nie wytrzymał bólu. Na jego plecach pojawiły się pęknięcia, które zaczęły obficie broczyć krwią. Nie mogłem i nie chciałem na to patrzeć, ale gdy tylko odwróciłem wzrok, mój mistrz od razu mnie upomniał, że skoro żal mi Alejandra, to pewnie tę karę uważam za niesłuszną, a tym samym sprzeciwiam się jego i przeora woli, po czym dał mi delikatnie do zrozumienia, że jeśli nie będę na to patrzył, jutro wszyscy będą obserwować moją egzekucję. Chcąc nie chcąc, musiałem więc na to spoglądać.

Muskularna, ogorzała od słońca ręka kata co chwila unosiła się, rzemień świszczwał w powietrzu i lądował z całą mocą na plecach Alejandra, który krzyczał. Pękała skóra na jego ciele w coraz to nowych miejscach, krew ściekała po białej, rozdartej kucie, po stopach i kapiała na chodnik z chochlaków. Alejandro krzyczał. Strasznie krzyczał. Serce pękało mi z żalu nad losem przyjaciela, a skóra cierpła z trwogi, gdy widziałem, do czego jest zdolny brat Armand. Jeśli miałem co do tego jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, wszystkie one rozwiały się dzisiejszego popołudnia. W tym krzyku była skarga, bo Alejandro niczym nie zasłużył sobie na taką mękę. Był też wyrzut i nienawiść. Było cierpienie, wstyd i żal. Rozczarowanie, smutek i bezsilność. Ciągłe słyszę ten krzyk w uszach, choć egzekucja dawno się skończyła.

Widziałem, jak Alejandro się męczył, jak opadał z sił, jak drżały mu kolana, a dłonie zaciskały się w pięści mocno, do białości. Kiedy kat wymierzył trzydzieści razy, odwrócił się w stronę mego mistrza i stał wyprostowany i niewzruszony tym, co zrobił, czekając na dalsze zarządzenia.

Alejandro oddychał ciężko, cały we krwi, która rozbryzgiwała się naokoło pod uderzeniami rzemienia. Także drewniane deski fasady

dzwonnicy usiane były jej małymi kroplami, co schły szybko na gorącym, czerwcowym powietrzu. Oparł głowę o ścianę i milczał. Milczeliśmy wszyscy.

– Jeszcze dwadzieścia uderzeń – polecił katu brat Armand.

Ścisnęło się we mnie serce, bo wystraszyłem się, że mój mistrz chce zamęczyć Alejandra na śmierć. Wielu mnichów spojrzało wyczekująco na *padre* Torquemadę, czy przerwie tę jatkę, ale on milczał i z cichą aprobatą przyzwalał bratu Armandowi na to wszystko.

Ale zanim kat zadał kolejny cios, spośród mnichów wyłonił się ojciec Domingo de Vivera i obrzuciwszy brata Armanda pogardliwym spojrzeniem, bez słowa odszedł wolno w stronę swojej celi, wspierając się na kij. Jeden z nas miał odwagę sprzeciwić się przeorowi. Ale *padre* Domingo jest tu z nas najstarszy i prawdopodobnie brat Torquemada niewiele może mu zrobić.

Kilku mnichów, w tym brat Jorge i brat Alvaro, podeszło do mego mistrza, prosić o zmianę decyzji. Był wśród nich także brat Manuel i brat Martin de Tarralba. Ale o ile wszyscy oni prosili brata Armanda o litość dla Alejandra, o tyle brat Jorge otwarcie go krytykował. Wywiązała się dyskusja, do której przyłączali się inni mnisi, ale mój mistrz był nieugięty. Ja zaś stałem w samym centrum tego szaleństwa i nawet zapomniałem o głodzie. Dyskusję przerwał *padre* Torquemada, który dał katu znak, by rozpoczynał. Krzyk Alejandra uciął wszystkie rozmowy.

Nie mogłem na to patrzeć. Coś ohydneho przewracało mi się w trzewiach i szarpało moim ciałem. Krzyk Alejandra rozdzierał mi duszę, grzmiał ogłuszająco w mojej głowie, tak iż bałem się, że za chwilę postradam zmysły!

A Archanioł stał tuż obok mnie i patrzył na wszystko, co się działo, i nawet nie drgnął. Na ile mogłem z boku ocenić, spojrzenie miał chłodne, a twarz kamienną. Nie mogłem pojąć, jak może nie odczuwać współczucia na widok zakrwawionego Alejandra, którego krzyk z wolna stawał się coraz słabszy i przechodził w skowyt. Jak mogło mu tak łatwo przyjść poniżenie drugiego człowieka na oczach wszystkich, upodlenie i skatowanie go do wszelkich granic rozsądku i okrucieństwa!? Zaiste, on będzie genialnym inkwizytorem!

W pewnym momencie Alejandro przestał krzyczeć. Jego głowa

opadła bezwładnie w przód, a ciało zawisło w sznurach oplatających mu nadgarstki. Dłonie rozluźniły się. Z bólu stracił przytomność. Modliłem się do Boga gorąco, aby było to tylko omdlenie, aby nie zabierał nam jeszcze tej duszy, zbyt młodej na śmierć i w dodatku w taki sposób. Myślałem, że brat Armand, widząc, co się stało, przerwie tę mękę, ale on z zimnym spokojem kazał katu dokończyć.

Gdy było już po wszystkim i brat José poszedł odprowadzić kata do furty klasztoru, wręczając mu uprzednio sakiewkę, którą dostarczył sekretarz, ojciec Pedro, z wynagrodzeniem za usługę, brat Constantino i brat Jorge podeszli do nadal nieprzytomnego Alejandra, by go rozwiązać. Pozostali mnisi rozchodzili się spiesźnie w swoje strony. Na placu został tylko brat Armand, przeor, brat Alvaro i brat Manuel oraz nowicjusze, bo nikt nas nie zwolnił, a sami baliśmy się zaryzykować i odejść, zwłaszcza po tym, co zobaczyliśmy.

Brat Constantino i brat Jorge położyli Alejandra na kamieniach chodnika, na boku, plecami do nas. Z jego porozcinanej w wielu miejscach skóry broczyła świeża krew. Brat Constantino przyłożył palce do szyi Alejandra i przez chwilę słuchał, czy bije mu tętno.

– Żyje – powiedział.

Odetchnąłem. Bogu niech będą dzięki! – pomyślałem. I wtedy niespodziewanie, chyba dla wszystkich, brat Armand przyklęknął obok Alejandra i obejrzał uważnie jego plecy.

– Trzeba opatrzyć rany, żeby nie wdało się zakażenie. Chyba konieczne będzie szycie – rzucił z dystansem mistrz, jakby leżał przed nim obcy człowiek, po czym dodał: – Juan, biegnij do szpitala i przynieś igłę, nici i dużo bandaży na opatrunki. Weź też *aqua vitae*.

Juan skinął głową i już miał ruszać, ale zatrzymał się w pół kroku:

– A asysta, ojcze? – zapytał.

– Biegnij, chłopcze! – ponaglił przeor. – Nie ma czasu na asystę!

Brat Manuel zgłosił się jednak, że pójdzie razem z nim, bo i tak wybierał się do leprozorium. Pobiegli obaj w stronę furty co sił w nogach.

– Bracie Alvaro – mój mistrz podniósł się z kolan – poproszę cię o opatrzenie ran Alejandra. Sam muszę iść do szpitala na wieczorny obchód.

– Oczywiście. – Brat Alvaro miał w sobie tyle pokory, ile ja raczej nigdy w sobie nie znajdę.

– Antonio! – mistrz zawołał mnie do siebie.

Podszedłem natychmiast, bo ton jego głosu, a nade wszystko sytuacja, były zbyt poważne, by się ociągać.

– Idź do kuchni i przynieś do celi Alejandra gorącą wodę – polecił brat Armand. – Niech ojciec Gregorio nastawi jej dużo. Potem pomożesz bratu Alvaro opatrywać rany. Chcesz być lekarzem, więc będziesz się uczył. Jesus i Mateo pójdą z tobą. A Camilo z Oscarem zmyją ślady krwi z chodnika i desek dzwonnicy.

– Tak, *padre*. – Wraz ze wskazanymi nowicjuszami ruszyliśmy w stronę kuchni, a Camilo i Oscar – do umywalni po wodę i szmaty do mycia.

Niełatwo będzie zmyć krew z głębokich szpar pomiędzy chochlakami chodnika. Za plecami usłyszałem jeszcze, jak brat Armand woła Ricarda, by poszedł z nim do szpitala do pomocy. Poprosił też brata Constantino, aby przyszedł na wieczorny obchód, gdy zanieś z bratem Jorge nieprzytomnego Alejandra do jego celi. Tym samym rozdzielił pracę, a sam umył ręce od odpowiedzialności za dalszy los skatowanego nowicjusza.

Pobiegliśmy do kuchni co sił w nogach i przekazaliśmy braciom kucharzom prośbę o gorącą wodę. Czas, kiedy woda grzała się w kotle na palenisku, wydawał mi się całą wiecznością! Nie rozmawialiśmy między sobą o tym, co się stało. Tak było najbezpieczniej i najrozsądniej. Wymienialiśmy tylko ciężkie spojrzenia, pełne grozy, w których ja, Mateo i Jesus rozumieliśmy się bez słów. Widziałem też, że brat Gregorio był zły. Nie na nas, rzecz jasna, tylko na mojego mistrza, jak sądziłem. Co chwila też patrzył w okna kuchni wychodzące na dziedziniec, ale widok placu przed dzwonnicy zasłaniał fragment kościoła, w którym znajdował się portal główny i główne wejście, w ogóle nieużywane.

W drodze do celi Alejandra minęliśmy Camilo i Oscara szorujących chochlaki chodnika i deski fasady dzwonnicy. Gdy przyszedliśmy na miejsce, brat Alvaro i Juan już na nas czekali. Niecierpliwie. Zostałem do pomocy, jak kazał brat Armand, zaś Mateo

i Jesus poszli pomóc w kuchni i refektarzu, bo brat Gregorio przez polecenie mego mistrza został bez pomocy.

Alejandro leżał na łóżku na brzuchu i nie ruszał się. Nadal był nieprzytomny i uznałem, że to dobrze, bo przynajmniej nie będzie czuł bólu zszywanych ran. Przemyślałem razem z Juanem plecy przyjaciela ze świeżej i zaschniętej krwi. Obraz był makabryczny – plecy usiane były bezmiarem poprzecznych rozcięć, z których broczyła krew, zamazując co chwila cały obraz, tak iż w kółko musieliśmy obmywać plecy Alejandra, aby brat Alvaro mógł się zorientować, które rany wymagają szycia, a które nie. W dniu niektórych rozcięć widać było kości żeber i tymi ranami najpierw zajął się brat Alvaro. Juan mu asystował, ja się tylko przyglądałem, bo zbyt mało jeszcze umiem, abym mógł cokolwiek robić sam.

Trwało to strasznie długo, a w międzyczasie zastały nas dzwony bijące na nieszpór, ale nikt z nas nie wybierał się na nabożeństwo. Liczyłem, że brat Armand odpuści mi ten obowiązek dzisiaj, zważywszy na okoliczności.

Niektóre rany były jedynie powierzchowne i miały szansę zagoić się same, bez szycia. Nie chciałem nawet myśleć, jaką gehennę w najbliższych dniach przejdzie Alejandro, zanim rany się zagoją lub choćby zasklepią. Blizny po tej chłoście zostaną mu jednak na zawsze. Także, a może przede wszystkim, te na duszy...

Pod koniec szycia Alejandro odzyskał przytomność i zajął się z bólu.

– Alejandro, nie ruszaj się. Nawet głową. – Klęczący przy łóżku brat Alvaro odchylił się na bok, aby Alejandro mógł go zobaczyć. – Już po wszystkim. Zszywam rany na twoich plecach, więc będzie bolało. Ale musisz wytrzymać. Obok mnie stoi Juan, który mi pomaga.

– A... Czy jest tu... – zapytał cicho Alejandro, ale zawiesił głos, możliwe, że z ostrożności.

– Nie ma z nami brata Armanda – dodał szybko brat Alvaro. – Możesz być spokojny.

Alejandro spojrzał na mnie smutno, a potem zacisnął oczy i wbił twarz w poduszkę, gdy brat Alvaro powrócił do szycia. Krzyczał z bólu, chociaż starał się to ukryć, ale stłumiony przez poduszkę jego głos

brzmiał w mojej głowie jak dzwon bijący na larum.

Na koniec brat Alvaro przemył plecy Alejandra *aqua vitae*, o czym go uprzedził. Trzymałem go za ramiona, aby nagle się nie szarpnął i nie pozrywał szwów. Jego krzyk słyhać było chyba w całym opactwie. Miałem nadzieję, że słyszy go również brat Armand i że brzmi on dlań niczym głos sumienia. Zabandażowaliśmy potem całe plecy Alejandra i ułożyliśmy go wygodniej na łóżku, nadal na brzuchu. Wiele nocy spędzi w tej pozycji, nim dojdzie do siebie.

Juan i brat Alvaro umyli ręce w pozostałej resztkę wody, którą przyniosłem z Mateo i Jesusem, i usiedliśmy obok Alejandra. Tak bardzo chciałem dodać mu otuchy, ale żadne właściwe słowa nie przychodziły mi do głowy.

– Ojciec – zapytałem – dlaczego wszyscy pozwolili na to bratu Armandowi? Dlaczego nikt się nie sprzeciwił? Nowicjuszom nie wolno było, ale przecież mnisi dominikanie są wobec mojego mistrza równi. Mogli to przerwać – dodałem z żalem.

Alejandro przymknął oczy, ale nie spał.

– Nic nie było do zrobienia, Antonio – brat Alvaro odezwał się po dłuższej chwili. – To nie Armand zdecydował o chłości, ale przeor, i miał do tego prawo. Powód był również uzasadniony, znajdujący oparcie w regule naszego zakonu. W dodatku ani przeor, ani żaden inny mnich osobiście tej kary nie wykonał, więc krwi nie przelał. Zrobił to świecki człowiek. Prawnie nie było się do czego przyczepić, Antonio. A to, że twój patron zrobił z tej kary męczarnię, to już zupełnie inna historia. Wielu się z tym nie zgadzało, ale to nie oni mieli prawo zwracać Armandowi uwagę. To Torquemada powinien zareagować. Ale wielu też widzi, jak Torquemada traktuje Armanda i co święci się w Santa Cruz. Wielu rozumie, że tak naprawdę sprzeciwić się woli Armanda to sprzeciwić się woli Torquemady. A nikt nie zaryzykuje swojego spokoju dla nowicjusza! I możesz być pewien, że jeśli sytuacja się powtórzy, stanie się dokładnie tak samo, i tak samo jak tym razem nikt się temu nie przeciwstawi. Dlatego, jeszcze raz wam powtarzam, nie drażnijcie Armanda! – zakończył brat Alvaro z przestrogą w głosie.

– Brat Jorge zaprotestował – wtrącił się Juan.

– Jorge de Llorente to zupełnie inna historia – rzucił tajemniczo

brat Alvaro. – Brat Jorge ma powód, by tak wobec Armanda się zachowywać. I przede wszystkim się Armanda nie boi. Ani przeora. Ale sami widzieliście, ile dały jego protesty – dodał.

– Musi być jakiś sposób! – Krew się we mnie gotowała, bo czułem się bezradny.

– Zostaw to, Antonio, jeszcze raz ci mówię. – Spokój był w głosie brata Alvaro, jakby ta cała sytuacja go nie obchodziła. – Zostaw, jeśli ci skóra własna miła.

Na tym skończyliśmy rozmowę, bo Alejandro zasnął. Brat Alvaro poszedł do szpitala po nalewkę z opium, aby Alejandra odurzyć i znieczulić na kilkanaście następnych godzin, które będą dla niego krytyczne. Oczywiście wszystko w tajemnicy przed bratem Armandem, który był w tym samym czasie w refektarzu na kolacji, o czym się z Juanem wcześniej upewniliśmy. Ja również poszedłem do refektarza, aby pokazać się patronowi na oczy, a niebawem, po nabożeństwie komplety, muszę udać się do skryptorium na nocną wartę nad książkami.

Gdy opadły emocje, poczułem głód i osłabienie, które przyszły z niesamowitą mocą. Przede mną noc długa i ciemna, pełna makabrycznych obrazów skatowanego Alejandra i przyglądającego się temu z zimną krwią brata Armanda.

25 czerwca. Trzeci dzień głodówki

W skryptorium poza mną i Ricardo, który stał się już stałym elementem czytelnicy, noc na nauce spędzili także Mateo i Camilo, czytając zadany przez mego patrona podręcznik Bernarda Gui. Głęboko w podziemiach biblioteki był jeszcze Oscar, który wyszedł do nas na chwilę ze swoich czeluści podziemnego świata. Przyszedł też Jesus, ale on posiedział z nami jakieś dwie godziny i wrócił do celi. Juan z bratem Alvaro czuwali przy Alejandrze.

Przed jutrznią poszedłem się zdrzemnąć jakieś dwie, może dwie i pół godziny, bo ze zmęczenia przestałem rozumieć, co czytam. Ale zasnąć nie mogłem, a jeśli zapadałem w płytki sen, to był on gorączkowy, pełen obrazów krwi i strachu, z którego budziłem się nagle

zlany potem.

Przed modlitwą poszedłem się obmyć do studni. Zaniósłem też moją kutę do pralni, bo poplamiona była krwią Alejandra, która podczas egzekucji rozbryzgiwała się wokół. Dopiero w skryptorium je zauważyłem. Opactwo jeszcze spało, gdy szedłem przez dziedziniec, a na wschodnim niebie wolno się rozwidniało. Po drodze spotkałem brata Constantino, który stał oparty o drzwi dzwonnicy i wpatrywał się w okna dormitorium. W okno celi mojego mistrza...

Nie był to wzrok nienawistny, ale pełen mrocznych cieni, co kładły mu się na źrenicach. Wzdrygnąłem się na ten widok. Chyba wołałem, jak patrzył z nienawiścią. A ten wzrok zwiastował coś złego... Coś kryło się za tym spojrzeniem. Coś o wiele gorszego niż nienawiść czy pogarda. Pozdrowiłem brata Constantino, ale on, odpowiadając mi, nadal wpatrywał się w okno celi brata Armanda. Jak zahipnotyzowany.

Idąc do umywalni, zastanawiałem się, cóż chodzi mu po głowie i co z tego wyniknie. Dla mojego mistrza. Dla mnie. Dla opactwa.

Później. Przed modlitwą na Anioł Pański

Umysł mój mąci się z głodu i braku sił. Pewnie także z upału. Czuję, że słabnę, ale nim to się stanie, z obowiązku kronikarskiego muszę opisać wypadek, który wydarzył się dziś w kuchni zaraz po śniadaniu.

Pomagałem z Juanem obierać warzywa na obiad, a brat Francisco gotował w kotle wrzątek na zupę. Upał dawał się nam wszystkim we znaki, a dodatkowo para osiadała na ścianach i podłodze kuchni, tworząc na posadzce z kafli mokrą, śliską powłokę. Kręciło mi się w głowie z głodu, a Juan krzyczał na mnie, że piję za mało wody i że jak tak dalej pójdzie, wykończę się, nim minie kara.

Naraz brat Francisco, który niósł nam kolejną porcję warzyw do obrania, pośliznął się na mokrej posadzce i chroniąc się przed upadkiem, niebacznie chwycił brzeg kotła stojącego na palenisku, który pod jego ciężarem przewrócił się i wrząca woda wylała się na posadzkę i leżącego na niej brata Francisco.

Podbiegliśmy do niego. Miał poparzoną prawą rękę i ramię, prawą stronę twarzy i prawe biodro, klatkę piersiową i trochę pleców z tej strony, z której chlusnęła woda. W okamgnieniu na odsłoniętych częściach ciała na zaczerwienionej skórze pojawiały się pęcherze różnej wielkości, wypełnione żółtawym, przezroczystym płynem. Brat Francisco krzyknął, a potem tylko jęczał, gdy staraliśmy się zdjąć z niego mokrą kutę, która oblepiała gorącym okładem jego ciało.

– Szybko, biegnij po brata Armanda! – krzyknął do mnie *padre* Gregorio.

– Po brata Armanda? – dopytałem z niedowierzaniem.

– Jeśli ktoś mu pomoże – brat Gregorio spojrzał na leżącego na posadzce ojca Francisco – to tylko twój patron. Biegnij!

Wypadłem z kuchni i na ile sił w nogach starczyło pobiegłem do gabinetu przeora, mając nadzieję, że znajdę tam mego mistrza. *Padre* Torquemada zasmucił się wiadomością o wypadku brata Francisco i kazał szukać brata Armanda w szpitalu. Nie zwracając uwagi na brak asysty, wybiegłem za mury opactwa i wpadłem do szpitala, gdzie w ambulatorium mistrz mój i ojciec Constantino zakładali właśnie opatrunek na nodze jakiegoś mężczyzny.

Jakkolwiek by źle nie mówić o bracie Armandzie za chłostę Alejandra, to jednak mistrz, gdy usłyszał, co się stało, rzucił wszystko, polecając bratu Constantino dokończyć, a sam chwycił garść bandaży i jakąś maść, co stała na regale obok drzwi ambulatorium, i w te pędy pobiegł ze mną do klasztornej kuchni.

– Antonio! Woda ze studni! Szybko! – krzyknął brat Armand na widok rozległych oparzeń ojca Francisco. – Juan, pomóż mu. Przynajmniej dwa wiadra! – usłyszeliśmy jego głos, gdy byliśmy już w sieni.

Kiedy wróciliśmy z kubłami zimnej wody, mistrz mój rozciął właśnie kutę brata Francisco, a następnie, czerpiąc blaszanym garnkiem wodę z wiadra, polewał nią obficie poparzone miejsca na ciele brata kucharza. Poszliśmy po jeszcze dwa wiadra wody, a ja przez to wszystko zapomniałem o głodzie i osłabieniu i skądś brały się we mnie siły do noszenia wody ze studni.

Brat Francisco jęczał pod zabiegami brata Armanda, ale widziałem,

że lodowata woda przynosi mu ulgę. Nie mogłem kompletnie zrozumieć, dlaczego tak się działo. Ale to mistrz mój jest lekarzem, on wiedział lepiej.

Gdy już całą wodę wylaliśmy na oparzenia, zalewając nią przy okazji także posadzkę kuchni ku rozpaczy *padre* Gregorio, brat Armand poczekał, aż oparzenia wyschną, i zaczął smarować je maścią, którą z sobą przyniósł. Robił to z ogromnym wyczuciem i tak delikatnie, że ledwie muskał skórę brata Francisco, ale nawet to sprawiało mu ból.

– Juan, pomożesz mi! – mistrz rzucił szybko, nawet nie patrząc na mego przyjaciela. – Antonio! – Nadal nie podniósł wzroku znad oparzeń. – Zamierzasz zostać lekarzem, czy też stać całe życie i przyglądać się? Umyjcie ręce, żeby nie zakazić ran – dodał.

Zrobiliśmy, co nam kazał brat Armand, i uklękliśmy obok niego. Podał nam maść.

– Smarujcie najdelikatniej, jak umiecie – polecił. – I uważajcie, żeby pęcherze nie popękały.

– Tak, *padre*. – Juan zabrał się do pracy, nakładając powoli maść na oparzenia twarzy brata Francisco.

Ja smarowałem jego klatkę piersiową, choć ręce mi drżały, tak bardzo bałem się go urazić.

– Antonio, ucz się – zwrócił się do mnie brat Armand. – W przypadku oparzeń najpierw trzeba schłodzić oparzone miejsce. Skóra bardzo szybko wysycha i kurczy się. Robi się cienka i krucha, więc łatwo pęka, otwierając drogę do zakażenia. Dlatego trzeba ją naoliwić, żeby utrzymała elastyczność – mówił to wszystko, nie przestając zajmować się bratem Francisco. – Dlatego oparzenia smarujemy maścią. To jest maść gojąca, z rumianku, gotowanych ziemniaków i mleka koziego. Brat Martin ją przygotowuje. Jest bardzo dobra.

– Tak, *padre*. – Skinąłem głową, aby wiedział, że go słucham.

Kiedy skończyliśmy smarować oparzenia, mój patron i ja pomogliśmy wstać bratu Francisco. Następnie obandażowaliśmy mu we trzech prawą rękę, tors, plecy, szyję i twarz, pozostawiając wąski pasek wolny od bandaża na oczy.

– Bracie Francisco – mistrz zwrócił się do kucharza. – Masz rozległe oparzenia. Zrobiły się pęcherze, więc to już nie są żarty.

Powinieneś dużo odpoczywać, żeby pęcherze nie popękały, bo wtedy może wdać się zakażenie. Za jakąś godzinę dostaniesz gorączki i dreszczy. To normalne przy takich oparzeniach. Przyjdę do ciebie do celi. A teraz odprowadzę cię. – To mówiąc, podtrzymywał słaniającego się i ostrożnie stawiającego kroki brata Francisco, gdy wychodzili z kuchni.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu, które przypominało teren po zalaniu rzeką. Nie mówiąc już o tym, że zbliżał się czas modlitwy na Anioł Pański, a my z obiadem byliśmy w lesie. Zabrałem się szybko do sprzątnięcia posadzki, a przynajmniej zebrania szmatami stojącej wody. Zaraz też przyszedł brat Alvaro, aby nam pomóc, gdyż zobaczył na zewnątrz poparzonego ojca Francisco.

Myślałem o moim mistrzu, który tak szybko i skutecznie pomógł poparzonemu bratu, i o tym, że ma olbrzymią wiedzę medyczną. Że chętnie i bez ociągania się niesie pomoc drugiemu człowiekowi. Że jeśli chce, potrafi wznieść się ponad swoją dumę i pozę i stać się bliźnim, o jakim mówi Pismo Święte. Ale robi też straszne rzeczy, ohydne i wstrętne, które swym okrucieństwem oślepiają nas wszystkich, czyniąc niewidomymi na dobre cechy charakteru brata Armanda, które – jestem o tym przekonany – w sobie nosi. I gdy tak rozmyślałem o tym, co dziś się zdarzyło, i o tym, co było wczoraj, umysł mój z wolna mącił się coraz bardziej, aż musiałem usiąść, bo bałem się, że się przewrócę.

– Antonio, głowa między kolana! Już! – rzucił szybko brat Alvaro, widząc, co się ze mną dzieje.

Przycisnął mi kark nisko do ziemi i stał nade mną chwilę. Powoli umysł mój odzyskiwał jasność myślenia.

– Lepiej? – Brat Alvaro pochylił się nade mną, uwalniając mój kark.

Skinąłem w odpowiedzi głową i wolno się wyprostowałem. Juan podał mi kubek z wodą.

– Co się stało, Antonio? – zapytał brat Alvaro. – To z emocji?

– Z głodu – wtrącił szorstko *padre* Gregorio. – Armand zarządził mu głodówkę.

– Za co? – Brat Alvaro spojrzał na mnie.

– Bo za mało się uczył – odpowiedział Juan.

- Który to dzień? – Brat Alvaro westchnął.
- Trzeci – wydusiłem. – Ostatni.
- Antonio, idź do swojej celi. – Brat Alvaro pomógł mi wstać. –

Nic tu po tobie, skoro nie masz siły ustać na nogach. My sobie poradzimy.

Padre Gregorio temu przytaknął, więc pożegnałem się i wyszedłem z kuchni, modląc się, by po drodze nie spotkać brata Armanda. Teraz zaś biją dzwony na Anioł Pański i muszę odłożyć pisanie i udać się na modlitwę. Ale dziwne i rozdygotane wydarzeniami ostatnich dni jest moje serce, pełne obaw i złych przeczuc.

27 czerwca

Dopiero dziś podejmuję przerwany wątek pamiętnika. Trzeciego dnia głodówki po południu leżałem w swojej celi, nie mając siły chodzić. Brat Armand przyszedł po mnie, gdy biły dzwony na nieszpór, i kazał mi natychmiast wstać.

Kiedy mu tłumaczyłem, że nie mam siły utrzymać się na nogach, podszedł do łóżka, na którym leżałem, i siłą ciągnąc za ramiona, postawił na nogi. Przeraził mnie swym gwałtownym zachowaniem, ale zbyt byłem osłabiony, aby się nad tym zastanawiać. A potem mistrz mój chwycił mnie za ramię i dosłownie ciągnąc na siłę za sobą, zawlókł mnie na nieszpory do kościoła. A że weszliśmy do środka jako jedni z ostatnich, zrobiliśmy ponoć niezłe wrażenie. Ponoć, bo wiem to z opowieści, gdyż strasznie kręciło mi się wówczas w głowie i wydawało mi się, że słyszę wszystko jak zza jakiejś zasłony, a twarze mnichów stojących obok mnie na nabożeństwie zlewały mi się przed oczami. Czulem, że się chwieję. Modlitewnik wypadł mi z rąk i upadł pod nogi. Doleciał do mnie stłumiony odgłos jego upadku na posadzkę. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Po omacku jeszcze chwyciłem się oparcia ławy. Aż przestałem odczuwać cokolwiek.

Ocknąłem się przed kościołem i zobaczyłem, jak Juan i Ricardo pochylają się nade mną. Ponoć brat Armand kazał im wynieść mnie nieprzytomnego z kościoła i ocucić. A potem na powrót przyprowadzić

na nabożeństwo, co też zrobiliśmy. Nie ośmieliłbym się sprzeciwić mistrzowi.

Widziałem, że brat Jorge skrzywił się w stronę mojego patrona, gdy mnie zobaczył ponownie na nieszpórach. Ale nikt inny nie zareagował, dając Archaniołowi milczącą aprobatę...

Resztę wieczoru przeleżałem w łóżku. Na komplecie już nie poszedłem, ale też brat Armand mnie nie zmuszał, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że jego zagranie w związku z nieszpórami, zawleczenie mnie tam siłą, a potem cucenie i powrót do kościoła były jedynie demonstracją siły i władzy, jaką z racji sprawowanego patronatu nade mną ma. Oto kolejny raz pogroził mi palcem, tym razem w mało subtelny i wyszukany sposób, ale wszystko to razem sprawia, że mistrz mój coraz bardziej mnie przeraża. Na wskroś. Do łędźwi. Do żywej duszy, która coraz częściej zamiera na jego widok.

Wieczorem, w ostatnią noc głodówki przyszedł Juan, żeby mnie odwiedzić, ale Archanioł nie wpuścił go do mojej celi. Słyszałem, jak rozmawiali w korytarzu pod drzwiami i jak brat Armand go odprawił. Krótko. Zdecydowanie. Ze spokojem. I zimno. Ale najbardziej cieszyłem się z tego, że nie muszę iść do biblioteki, i że tę noc, pierwszą od dawna, będę mógł całą przespać.

I muszę też powiedzieć, że brat Armand po komplecie zajrzał do mnie, zobaczyć, jak się czuję. Zbadał mi puls i przyniósł wodę. Kazał mi jej dużo wypić. Ale poza tym był chłodny i oszczędny w emocjach. Wyczuwałem daleki dystans. Potem wyszedł.

Zasypiałem, myśląc o poparzonym bracie Francisco, który musiał strasznie cierpieć, i o poharatanym Alejandro z nadzieją, że brat Alvaro nadal, w tajemnicy przed moim mistrzem, uśmierza mu ból, odurzając go opium. Myślałem o bracie Constantino, który nosi w sobie przyszłe nieszczęście, i o przeorze, który zapewne do późna w nocy siedział nad planami swojej wielkiej, nowej Inkwizycji. Jeśli uda mu się ten plan zrealizować i trybunały w zmodyfikowanym przezeń i przez brata Armanda kształcie zaczną w Kastylii działać, czy ktokolwiek będzie wiedział, że Inkwizycja, którą poznają, jest Inkwizycją Torquemady i że narodziła się w zaciszu jego gabinetu i cichych, ocienionych kolumnami alejkach Santa Cruz, wśród których zawsze unosi się słodki zapach

róż?...

Wieczorem

Po południu poszliśmy z Juanem odwiedzić Alejandra, który próbuje już siadać. Juan zmienił mu opatrunek na plecach. Widać, że rany się zasklepiły. Brat Alvaro zaprzestał podawania Alejandrowi opium, gdyż od tego specyfiku łatwo można się ponoć uzależnić.

Alejandro był małomówny, a dawna beztroska znikła z jego twarzy, ustępując miejsca przygnębieniu i apatii. Pytał o brata Armanda, czy ten coś o nim wspominał, ale odpowiedzieliśmy, że nie, poza tym jedynie, że przysłał nas dzisiaj do zmiany opatrunków, a mnie kazał pilnie się uczyć od Juana. Alejandro był zawiedziony. Być może liczył, że brat Armand go odwiedzi lub będzie o nim rozmawiał, ale tak się nie stało.

Potem poszliśmy z Juanem jeszcze do ojca Francisco, jak polecił mój mistrz, nasmarować oparzenia i założyć czyste bandaże. Płyn w pęcherzach z przezroczystego zrobił się mętny, białawy. Gdzieniegdzie pęcherze popękały i zamieniły się w rany, z których cały czas sączy się półprzezroczysty, żółtawy płyn. Miejsca te są tak wrażliwe, że nawet podmuch powietrza uraża brata Francisco i nie ma mowy o nałożeniu tam opatrunku.

Wróciliśmy więc do szpitala, gdzie w dużym koszu w korytarzu zostawiliśmy brudne bandaże. Odłożyliśmy maść na miejsce w ambulatorium i zdaliśmy bratu Armandowi relację, jak wyglądają oparzenia. Zaniepokoiła go nasza opowieść. Podziękował nam i zwolnił z dyżuru, dając nam obu wolne popołudnie, z tym że ja po komplecie – i o tym mi przypomniał – miałem zameldować się w bibliotece.

Resztę popołudnia przesiedzieliśmy więc w celi Alejandra, rozmawiając o mojej głodówce, gdy przyszedł brat Alvaro, zobaczyć, jak miewa się nasz skatowany przyjaciel. Zajrzał pod bandaże i obejrzał gojące się rany.

– Jest dobrze – powiedział cicho i uśmiechnął się. – Antonio – zwrócił się do mnie – jak się czujesz po głodówce? – W jego głosie była

uprzejmość, a w oczach niekłamana życzliwość.

– Dziękuję, już znacznie lepiej, *padre* – odpowiedziałem oględnie.

– Ojciec – odezwał się Juan – czy patronowi wolno zachowywać się tak wobec swego ucznia?

– To znaczy karać go za byle przewinienie? – dopytał brat Alvaro.

– Na przykład. – Juan znów miał minę bojową.

Brat Alvaro westchnął.

– Nie powinien się tak zachowywać – powiedział ciężko. – Ale jest to zgodne z prawem i regułą. Mnie nie przyszłoby do głowy nikogo głodzić. Ale Torquemada mu na to pozwala. Z jakiegoś powodu. Milcząco pozwolił mu także na zawleczenie cię, Antonio, siłą do kościoła dwa dni temu. – Spojrzał na mnie. – Wprowadzają więc nową praktykę wychowywania młodych ludzi: najpierw dyżury w opactwie, potem karanie głodówką za brak ambicji i wreszcie chłostą za dyskusję. Nie mam pojęcia, co będzie dalej, ale wiem jedno: dalej może być już tylko gorzej.

– Ja naprawdę nie chciałem być nieposłuszny – powiedziałem z żalem. – Ale to była już któraś noc z rzędu nad książkami. Zasnąłem na chwilę. Każdemu mogło się zdarzyć.

– To prawda, Antonio – przytaknął brat Alvaro. – Ale też patron nie powinien za wszelką cenę zmuszać cię do nauki. Masz obowiązek się uczyć, ale nie przesiadywać w bibliotece nocami. To, że Ricardo nie potrzebuje snu, a Oscar praktycznie zamieszkał w podziemiach biblioteki, nie oznacza, że wszyscy muszą tak postępować. Patron powinien cię do nauki zachęcić i przekazywać ci swoją wiedzę.

– On ze mną nie rozmawia – dodałem z wyrzutem. – Nie spędzamy razem czasu i nie jest mi mentorem. A jeśli już, to i tak bardzo rzadko i tylko wówczas, gdy chodzi o medycynę. Bez przerwy mi rozkazuje, poucza, czasem nawet grozi, sugerując mi, że jak nie będę się uczył, spotka mnie to samo, co Alejandra. Ja mogę się uczyć, ale nie aż tyle, a poza tym muszę spać. Powinien to zrozumieć.

– Armand powinien wiele rzeczy zrozumieć. – Alejandro poruszył się na łóżku niespokojnie. – Ale on woli katować, niż słuchać. – Uśmiechnął się gorzko.

– Wiele waszych problemów kiedyś dotyczyło Armanda, więc

powinien was rozumieć – powiedział brat Alvaro tajemniczo. – Ale zapomniał już, jak sam był nowicjuszem. Jak był młody. A snu, możecie mi wierzyć, Armand potrzebuje bardzo niewiele. Czasem miałem wrażenie, że ten człowiek nie sypia. Pod wieloma względami Ricardo jest do niego podobny. – Brat Alvaro zamyślił się na chwilę. – Ale cokolwiek złego byśmy nie mówili o Armandzie, trzeba też powiedzieć, że niesprawiedliwa byłaby taka jednostronna, negatywna ocena. Powinniśmy mieć także, a może przede wszystkim na uwadze dobro, które czyni na każdym kroku dla chorych i trędowatych. Nie zawsze był takim, jakiego go znacie – dodał z tajemniczym uśmiechem.

– Ale teraz jest taki, jak widać na moich plecach – roześmiał się z ironią Alejandro.

– Opowiesz nam o tym, ojczy? – Juan zapalił się i zrobił błagalną minę, a ja za nim.

Brat Alvaro uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Opowiem – powiedział. – Antonio, nie chwal się tym jednak przed swoim patronem. – Spojrzał na mnie porozumiewawczo.

– Oczywiście, *padre* – zapewniłem go. – On ze mną i tak nie rozmawia. – Uśmiechnąłem się gorzko.

Przez całą tę rozmowę patrzyłem, może z odrobiną zazdrości, jak swobodnie czuje się Juan przy swoim patronie, jak swobodnie i beztrąsko z nim rozmawia, nie zastanawiając się nad każdym wypowiedzianym zdaniem. Jakże więc trudne i pokręcone muszą być moje relacje z bratem Armandem i jak bardzo musiałem już do nich przywyknąć, skoro na co dzień nie widzę ich absurdalności!

Przysunęliśmy się wszyscy trzej bliżej brata Alvaro, który usiadł na skraju łóżka Alejandra. Byłem ciekaw. Bardzo ciekaw tej opowieści. Miałem nadzieję, że pozwoli mi ona choć trochę zrozumieć mego mistrza.

– Zanim brat Armand wstąpił do Santa Cruz, wierzcie mi, życie go nie rozpieszczęło – zaczął swoją opowieść brat Alvaro. – Urodził się 25 marca 1447 roku w rodzinie de Corellów, jako jedyne dziecko wielkiego granda Kastylii, Fernanda de Corell. Matka Armanda, Alejandra de Castellano, pochodziła z drugiego co do wielkości majątku rodu Kastylii. Byli bogatsi niż król, ale nie mieszczyli się do polityki. Siedziba rodu

znajdowała się w Toledo i pamiętam, że jako dziecko tu, w Segowii, skąd pochodzę, słyszałem o rodzinie Castellano de Corell. Armand był jedynym spadkobiercą nazwiska i fortuny połączonych rodów i na chrzcie otrzymał iście królewskie imiona: Armand Felipe Juan Fernando. Kiedy miał zaledwie rok, rodzice zaręczyli go z nowo narodzoną wówczas dziedziczką rodu Ruizów, Angeliną. Był to również stary i bogaty ród Kastylii, z tradycjami i świetną reputacją. Obie rodziny bardzo się przyjaźniły, bywały na przyjęciach, a kilkuletni Armand bawił się z małą Angeliną w ogrodzie pod czujnym okiem gromadki piastunek i guwernantek. Ojciec Armanda kochał naukę, otaczał się wykształconymi ludźmi i posiadał przepiękną, bogatą bibliotekę, zresztą sam także był wykształcony. Był mecenasem dla zdolnych ludzi z całego kraju, słał ich na studia i łożył na ich kształcenie. Wpajał Armandowi od najmłodszych lat miłość do wiedzy, ciekawość świata i ambicję. A może ambicję tę miał Armand od urodzenia? Nie wiem. W każdym razie to dzięki ojcu Armand nabrał przekonania, że tylko wiedzą i umysłem można w życiu do czegoś dojść, że majątki upadają, uroda przemija, ale wiedza zostaje w głowie na całe życie, z każdym rokiem większa i bogatsza. Matka Armanda zaś poświęciła się pracy charytatywnej: założyła dwie szkoły dla najuboższych dzieci z Toledo i z wiosek leżących wokół Toledo. Ufundowała budynki i opłacała nauczycieli, kupowała pomoce naukowe dla dzieci, nawet zorganizowała stołówki, bo część dzieci cierpiała głód. Poza tym pomagała znaleźć pracę ludziom bezdomnym lub takim, co nie mieli w ręku żadnego fachu. Załatwiała im praktyki w różnych warsztatach, terminowanie u mistrzów, nawet wpis do cechu. Armand zapamiętał ją jako osobę dobrą i ciepłą. Ponoć nigdy się nie denerwowała, nigdy nie krzyczała i miała olbrzymie pokłady cierpliwości. Ale największe dzieło jej życia to była opieka medyczna, którą zorganizowała w Toledo i w małych wioskach pod Toledo. Ufundowała kilka szpitali, chyba pięć, jeśli się nie mylę. Dwa w samym Toledo, reszta na wsiach, gdzie dotąd często nawet lekarza nie było. Sprowadziła więc lekarzy, opłacała ich kilkuletnie pensje, zatrudniła dziewczęta do pomocy jako pielęgniarki. Pomagały jej także siostry zakonne z kilku różnych zgromadzeń. Miała dwóch osobistych lekarzy, ale w razie potrzeby posyłała ich do chorych. Musicie wiedzieć, że to

były szpitale dla biednych, dla ludzi, którzy z braku środków często zostawali bez pomocy, gdy zachorowali lub coś im się przytrafiło. Alejandra de Castellano płaciła za wszystko i o wszystko dbała. Poza tym interesowała się medycyną. Podobno kazała sobie opowiadać wszystkie poważniejsze lub ciekawsze przypadki chorób w założonych przez nią szpitalach. Sama także pracowała w tych placówkach. Wkładała fartuch i pracowała jako pielęgniarka. Zabierała małego Armanda ze sobą do szpitali, gdzie słuchał diagnoz stawianych przez lekarzy i ich opowieści. Jako dziewięciolatek wykazywał się już podstawową wiedzą medyczną, robił opatrunki, znał się na ranach, umiał rozpoznać podstawowe choroby, znał niektóre lekarstwa. To niezwykle, prawda? – Brat Alvaro uśmiechnął się. – Nic dziwnego, że dziś Armand kocha medycynę ponad wszystko inne na świecie. Wykazywał niesamowite predyspozycje i niespotykane zdolności w tym przedmiocie od najmłodszych lat. A matka umiejętnie zaszczepiła w nim zamiłowanie. Potrzebę niesienia pomocy tym, którzy sami jej sobie nie udzielą, i tym, którym nikt inny jej nie udzieli. Jest w Armandzie dobro jego matki, ale wy go nie widzicie. Armand rósł sobie spokojnie aż do lata roku Pańskiego 1456, kiedy miał skończone dziewięć lat. W Toledo wybuchła wtedy epidemia tyfusu plamistego. To była straszna epidemia i mówiła o niej cała Hiszpania. Miasto i okolicę otoczono kordonem sanitarnym i zarządzono kwarantannę. Starano się zrobić wszystko, aby choroba, w tym przypadku jakaś wyjątkowo zjadliwa jej odmiana, nie rozprzestrzeniła się na resztę kraju. Ponieważ tyfus plamisty roznoszą wszy, najbardziej ucierpieli ludzie najbiedniejsi, bezdomni. Rodzina de Corellów, jako dobrze sytuowana, była raczej spokojna i bezpieczna. Któregoś dnia matka Armanda została pilnie wezwana do bardzo ciężkiego porodu do jednego ze swoich szpitali w Toledo. Mimo nalegań męża pojechała pomóc lekarzowi, bo położna chorowała na tyfus. Był koniec września 1456 roku i wydawało się, że epidemia powoli się cofa. Niestety tego dnia Alejandra zaraziła się tyfusem plamistym. Po całym szpitalu biegały zakażone wszy. Obeszły i ją, gdy odbierała poród. A ten się przedłużał ponad kilkanaście godzin. Ostatecznie i matka, i dziecko zmarli. Alejandra wróciła do domu i od razu wzięła kąpiel, a suknię kazała spalić. Na nic się to jednak zdało. Wszy zagnieździły się we

włosach i dość łatwo i szybko przeszły na męża i małego Armanda. Jeszcze tego samego dnia wieczorem Alejandra ścięła włosy, ale było już za późno. Wszy zdążyły się wkląć w skórę głowy. Objawy najpierw wystąpiły u niej, później u męża. Na końcu u Armanda. Wszyscy troje przechodzili tyfus strasznie ciężko. Alejandra zmarła 31 października, Fernando dwa dni później. Mały Armand był wtedy nieprzytomny, leżał z wysoką gorączką i lekarze nie dawali mu większych szans na przeżycie. Wieść o śmierci Alejandry i Fernanda de Corellów i o chorobie małego dziedzica szybko się rozeszła. W Toledo ogłoszono żałobę i modlono się o zdrowie dla Armanda, ale mijały dni, a chłopiec był nieprzytomny. Wezwano więc biskupa Toledo, bo lekarze zawyrokowali, że to już kwestia kilku godzin. Biskup udzielił Armandowi sakramentu ostatniego namaszczenia. W całym Toledo odprawiano wciąż msze za jego wyzdrowienie, dosłownie każdy mieszkaniec miasta i okolic modlił się o życie dla tego dziecka. I stał się cud. Bóg wysłuchał gorących modlitw ludzi i w drugiej połowie listopada gorączka nagle spadła, a Armand odzyskał przytomność. Szybko dochodził do zdrowia, ale dopiero, gdy niebezpieczeństwo minęło całkowicie, powiedziano mu o śmierci rodziców. Mały dziedzic na olbrzymich włościach został całkowicie sam, po ciężkiej chorobie. To zostawiło w nim straszny ślad! Wy o tym nie wiecie, ale mnie, gdy jeszcze byliśmy w nowicjacie, opowiadał o tym. Z jednej strony miał wszystko, czego dusza zapagnie, w tym największy majątek w Hiszpanii, ale jednocześnie nie miał najcenniejszej rzeczy: miłości. Służba uwielbiała go i rozpieszczała na każdym kroku, ale to byli tylko służący. Nie matka i ojciec. I chociaż jego rodzice mieli szerokie kontakty, to żadna przyjaźń ani życzliwość i uprzejmość przyjaciół nie zastąpią miłości matki i ojca do dziecka. A do tego wszystkiego Armand był spadkobiercą fortuny, miał konkretne zadania do wykonania, obowiązki, wszyscy tego odeń oczekiwali. Z uwagi na młody wiek Armanda wykonawcą testamentu został ojciec Alejandry, Antonio de Castellano. Zresztą jedyny żyjący krewny dziewięcioletniego Armanda. Przyjechał on do Toledo, by zatroszczyć się o majątek i wychowanie wnuka. – Brat Alvaro westchnął i popatrzył na nas.

A siedzieliśmy wszyscy trzej zasłuchani, z wypiekami na twarzy

i ze wszech miar przypominaliśmy Ricarda siedzącego nad lekturą w czytelni. W tamtej chwili żądny byłem tej opowieści jak niczego innego na świecie.

– Antonio de Castellano był żołnierzem i wieloletnim dowódcą wojsk króla Henryka VI, walczył także w jego wojnie o sukcesję – brat Alvaro mówił dalej. – Kochał wojsko, musztrę i walkę. Mawiał, że większość życia spędził w siodle z mieczem w dłoni. Cóż mógł zatem wiedzieć o wychowaniu dzieci, skoro nawet dwóch swoich córek nie wychowywał, powierzając te obowiązki w całości swojej żonie? Antonio zajął się więc wychowaniem wnuka w jedyny sposób, jaki znał i jaki przyszedł mu do głowy: ucząc go na żołnierza, chociaż wiadomo było, że Armand nim nigdy nie zostanie. Zaczął uczyć go walki mieczem, musztry i samodyscypliny. Armand był jeszcze dzieckiem, w dodatku jedynakiem nieco rozpieszczonym, więc często się nie słuchał dziadkowych rozkazów. Antonio karał go biciem za byle co. Bił go szpicrutą a nawet batem. Był wobec niego apodyktyczny, zabraniał prawie wszystkiego, a przede wszystkim nie pozwalał Armandowi poświęcać czasu ukochanym książkom i ukochanej medycynie. Armand miał nauczycieli w domu, ale dziadek zabraniał mu się uczyć. Gdy zastał go nad książką, karał chłostą lub zamykał pod kluczem na strychu albo w piwnicy. Dyscyplinował go na każdym kroku, ćwiczył i testował. Dosłownie. Uczyl Armanda, jak być twardym i zaciętym, jak nie okazywać emocji, że trzeba samemu sobie dawać radę i nigdy nie prosić o pomoc. Uczyl wytrzymałości na ból, uczyl, jak znosić ból bez krzyku. Hartował jego ducha i wolę. Wpoil Armandowi obsesję doskonałości, obsesję dążenia do perfekcji we wszystkim. I samodyscyplinę. Armand go nie znosił. Za bicie. Za brak miłości. Za dni głodówki, które mu zarządzał, za dni aresztu na strychu i w piwnicy, w najlepszym przypadku w jego pokoju. Za to, że go poniżał i upokarzał na każdym kroku i przed służbą. Lata, kiedy dziadek zajmował się Armandem, a było tego długie pięć lat, były dlań gehenną. Zresztą starego Antonia nikt w Toledo nie lubił. Okropnie traktował służbę. Ponoć chciał nawet zamknąć szkoły ufundowane przez Alejandrę i szpitale poza Toledo. Nie zdążył tego zrobić przed swoją śmiercią w 1461 roku. Armand miał wtedy czternaście lat i był już bardzo osamotniony i rozgoryczony złem,

które go w życiu ze strony dziadka spotkało. Przejął zarząd własnym wielkim majątkiem, ale ciągle nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Chciał się uczyć, uczyć jak najwięcej. Marzył o studiach medycznych i pracy lekarza, o własnej praktyce. Chciał rozwijać szpitale matki, pomagać ludziom. Ale był dziedzicem fortuny i w dodatku zaręczonym z Angeliną de Ruiz. Jego obowiązkiem było wziąć z nią ślub i spłodzić męskiego potomka. Zresztą spotykali się często. Armand bardzo lubił swoją narzeczoną. Angelina była w nim zakochana. Wszyscy oczekiwali jego oficjalnych oświadczeń, ale Armand się wahał. Miotał po życiu. Miał wiele marzeń, które musiałby porzucić, żeniąc się z Angeliną. Poza tym nie było do pomyślenia, aby tak szlachetnie urodzony panicz pracował w szpitalu jako zwykły lekarz! Nie było czasu, aby szedł na studia. A zakazy kształcenia stosowane przez dziadka tylko bardziej rozpały w Armandzie żądzę wiedzy. Męczył się z własnym przeznaczeniem, obowiązkiem z jednej strony, a marzeniami z drugiej. Mniej więcej w tym czasie Armand zajął się spisaniem swego majątku i rozporządzeniami ojca, których ten dokonał jeszcze przed śmiercią, oraz treścią testamentu. Znalazł w nim i w księgach rachunkowych ciekawe zapisy: w testamencie Fernando de Corell uczynił wzmiankę, aby każdego roku w styczniu przekazywać do rąk Izabeli Queroll pewną sumę pieniędzy. Na cel charytatywny, bez informacji, o jaki cel chodziło konkretnie. Izabela Queroll zamieszkiwała w jednej z wsi pod Toledo i w księgach rachunkowych widniało, że co roku posłaniec z pałacu przekazywał jej pieniądze, poczynając od 1445 roku. Wołą Fernanda de Corell wyrażoną w testamencie było, aby suma ta była jej przekazywana aż do 1462 roku, a więc przez siedemnaście lat. Armand nie znał osoby o imieniu Izabela Queroll, nie pochodziła ona ze szlacheckiego rodu. Wypytywał służbę, ale nikt z młodych jej nie kojarzył. Sprawa wydawała się dość dziwna i Armand zamierzał pojechać na wieś, aby odwiedzić tę kobietę. Ale któregoś dnia stara kucharka przypomniała sobie, że faktycznie w pałacu pracowała dziewczyna imieniem Izabela. Chyba Queroll. Była pokojówką. Bardzo młodą. Nagle porzuciła służbę i wyjechała. Ponoć jej rodzice ciężko zachorowali. Ojciec Armanda był tak łaskaw, że pomagał jej przez wiele lat. Podobno poruszyła go jej historia, ale tylko jemu ją opowiedziała. Nikt ze służby jej nie znał.

Nawet Alejandra nie wiedziała, co się stało i że mąż pomagał tej biednej dziewczynie. Armand, usłyszawszy wyjaśnienia kucharki, porzucił tę sprawę jako mało zajmującą. Przypuszczam, że do dziś jej nie rozwiązał i może nawet o niej nie pamięta, ale moim zdaniem sprawa była poważniejsza niż tylko jałmużna dla biednych. Z kilku powodów: bo takimi sprawami ojciec Armanda się po prostu nie zajmował, robiła to matka, a poza tym nigdy wcześniej ani nigdy później Fernando de Corell nie ustanowił takiej jałmużny czy też zapomogi. Przynajmniej Armand na nic takiego w księgach rachunkowych nie natrafił. Ale najważniejsze jest to, że gdyby sprawa była tak błaha jak choroba rodziców jednej z dziewcząt ze służby, która w dodatku pracowała u nich bardzo krótko, Fernando de Corell, sporządzając na łożu śmierci testament, z pewnością nie myślałby o jakiejś wieśniaczce. Musiała zatem to być bardzo ważna jałmużna, o ile w ogóle była to jałmużna, skoro zawarł zapis ostatniej swej woli osobno jej poświęcony. I ciekawy jest dla mnie okres czasu trwania tej jałmużny: siedemnaście lat. Jakaż to choroba tyle lat trwa, dokładnie tyle i ani dnia dłużej? Przypuszczam, ale są to tylko moje domysły, że Fernanda coś łączyło z Izabelą Queroll. Może była jego kochanką? Może szantażowała go i płacił za jej milczenie? A może jako pokojówka, która swobodnie poruszała się po pałacu, Izabela przypadkiem poznała jakiś wstydlivy sekret rodziny albo samego Fernanda i zagroziła, że go rozpowie wszem i wobec, więc Fernando znów płacił za milczenie i swój spokój? Co ciekawe, suma przekazywana rokrocznie dla Izabeli z punktu widzenia majątku de Corellów była śmieszna, ale dla niej samej, była to roczna pensja, gwarancja utrzymania i życia w dostatku. Ja na miejscu Armanda sprawdziłbym ten trop, spróbowałbym ją odszukać albo przycisnąłbym starą kucharkę, bo idę o zakład, że znała całą prawdę. – Brat Alvaro przerwał na chwilę i popatrzył na nas, zasłuchanych w jego opowieść.

Chłonałem każde słowo z ust brata de Medina, Juan i Alejandro także. Za wcześnie było, abym mógł wyrobić sobie jakieś zdanie o losach mego mistrza i o nim samym, ale była to naprawdę niesamowita historia.

– Ciekawi was opowieść? Czy też zmienimy temat? – Brat Alvaro roześmiał się, ale zaraz spoważniał i powiedział: – Oprócz mnie

i Armanda jesteście jedynymi osobami, które słyszą tę historię. Może zna ją jeszcze Torquemada, a może nie. Za Armandem nie trafisz. Ale on niechętnie opowiada o sobie. I ta historia też nie jest z tych, co się nimi człowiek koniecznie chce pochwalić. Ja usłyszałem te rzeczy, kiedy jeszcze przyjaźniłem się z Armandem, teraz z pewnością by mi tego nie powiedział. Ale wracając do losów Armanda... Bo rozumiem, że mam mówić dalej? – zapytał, przyglądając się nam z rozbawieniem.

Wszyscy trzej przytaknęliśmy. Nie wiem jak pozostali, ale ja, słuchając brata Alvaro, zapomniałem na chwilę o tym opactwie, zatargach z patronem i czasie teraźniejszym, dając się całkowicie wciągnąć w czasy młodości mego mistrza, tak ciekawe, bo tajemnicze i zakazane.

– Kiedy Armand miał piętnaście lat – mówił dalej brat Alvaro – i nadal nie wiedział, co zrobić ze swoim życiem i z samym sobą, włóczył się jako młody panicz po Toledo i okolicy. Któregoś dnia spotkał pod katedrą dominikanina z miejscowego klasztoru, ojca Lorenzo. Zagubiona dusza, która stoi na rozdrożu, potrzebuje przewodnika. I takim przewodnikiem dla Armanda stał się brat Lorenzo. Dużo ze sobą rozmawiali, Armand często bywał w klasztorze, co, jak wiecie, jest prawie nie do pomyślenia, ale tu przeor zrobił wyjątek, bo rodzina de Corellów od zawsze łożyła na klasztor i bracia dominikanie byli zaprzyjaźnieni z ojcem Armanda. On sam poznał inne życie, a przede wszystkim zobaczył, że dominikanie do woli kształcą się na najlepszych uniwersytetach Europy, że nauka jest nie ich prawem, ale obowiązkiem, że mnisi mają szeroki dostęp do wszelkich dzieł, jakie stworzył ludzki umysł. Że nie mają pod tym względem żadnych ograniczeń, ani finansowych, ani teologicznych, ani terytorialnych. Jedynym ograniczeniem jest pojemność ich umysłów. A Armand pragnął nauki i studiów medycznych. Chciał wyjechać i studiować całe lata, założyć praktykę lekarską, leczyć ludzi i nieść pomoc. Tymczasem zbliżał się czas oficjalnych zaręczyn i ślubu z Angeliną. Rodzice Armanda zobowiązali się przed laty, że najpóźniej przed dniem swoich szesnastych urodzin Armand oświadczy się Angelinie i w ciągu miesiąca młodzi wezmą ślub. Angelina miałaby wówczas piętnaście lat, a więc byłaby w wieku, w którym dziewczęta w całej Hiszpanii szykują się do

zamałpójścia.

Minęła jesień 1462 roku. Zbliżał się dzień szesnastych urodzin Armanda. On sam bardzo często spotykał się z Angeliną, bardzo się przyjaźnili, utrzymywał także kontakt z jej rodziną, która zresztą traktowała go już jak syna. Ale on się nie oświadczał. Aż któregoś zimowego dnia 1463 roku po długich przemyśleniach Armand zdecydował, że wstąpi do klasztoru dominikanów. Wybrał Convento de Santa Cruz la Real w Segowii, gdzie nikt go nie znał, z dala od Toledo, aby odciąć się od tamtego świata i plotek raz na zawsze. Pojechał więc do Angeliny i szczerze z nią porozmawiał w cztery oczy. Płakała. Wyznała mu, że od dawna go kocha, ale nie miała do niego żalu o taką decyzję. Armand bardzo ją przeprosił, a potem rozmawiał z jej rodzicami, którzy już niestety tak wielkoduszni nie byli. Urządzili mu straszną awanturę. Armand jednak decyzji swej nie zmienił. Wyplacił Angelinie zawrotną wprost sumę, tytułem odszkodowania za niedotrzymaną obietnicę, zwolnił ją z jej przyrzeczenia i wyjechał. – Brat Alvaro podszedł do okna i wyjrzał przez nie, jakby chciał sprawdzić, czy nikt przypadkiem obok nie przechodzi i nie usłyszy, o czym rozmawiamy. – Oczywiście zanim wyjechał, w międzyczasie rozmawiał z przeorem Santa Cruz, którym już wówczas był Tomás de Torquemada, starał się o jego zgodę na przyjęcie w poczet nowicjuszy klasztoru. A gdy ją uzyskał, wyjechał do Santa Cruz na zawsze, wnosząc do opactwa cały wielki majątek dwóch bogatych rodów: de Castellano i de Corell. Chyba nikt jeszcze nie złożył takiej ofiary na klasztor ani nie wniósł takiego posagu. Pamiętam dzień, w którym przyjechał, bo akurat spacerowałem po dziedzińcu, gdy brat furtian otworzył drzwi i w mury opactwa wszedł szesnastoletni Armand Castellano de Corell. Był 14 maja, przedpołudnie. A on był trochę onieśmielony i ciekawy, co tu zastanie. Wyobrażacie sobie? Armand onieśmielony! Miał wtedy bardzo pogodną twarz i bił z niej optymizm i jakiś zapał. Przyjechał w tak bogatym i pięknym stroju, że jakkolwiek nie wiedziałem, że to dziedzic rodu de Corell, to widać po nim było, że pochodzi z naprawdę oszałamiająco bogatej rodziny. Jego posagiem był akt darowizny na rzecz Santa Cruz całego majątku, który złożył na ręce przeora. Zaś w trzech wielkich i ciężkich kufrach, które Armand z sobą przywiózł,

były książki. Książki z biblioteki jego ojca oraz księgi medyczne, które należały do jego matki. Do dziś nie wiem, jak przekonał przeora, aby pozwolił mu je zostawić. Nasza reguła zabrania posiadania czegokolwiek na własność, jesteśmy zakonem żebraczym. Powinien więc się tymi książkami podzielić z braćmi albo przekazać je do biblioteki. Ale on zostawił je w swojej celi, zresztą stoją tam do dziś. Było to pierwsze odstępstwo, które dla Armanda uczynił Torquemada. A ponieważ bardzo szybko Armand zrobił na przeorze dobre wrażenie i obaj się polubili, po klasztorze krążyły plotki o wielkim wrażeniu, jakie swoją erudycją, inteligencją, ambicją i charyzmą zrobił Armand podczas pierwszej rozmowy z Torquemadą. Myślę, że sporo w tych plotkach było prawdy, bo przeor zawsze wyróżniał Armanda. Patronat nad nim objął brat Jorge de Llorente, który już wówczas zajmował się biblioteką, co dla Armanda stanowiło raj. Myślę, że w tym wypadku wybór patrona nie był przypadkowy. Poznaliśmy się jeszcze tego samego dnia i bardzo się polubiliśmy. Armand był wesoły i otwarty. Wszystkim okazywał uprzejmość i miał nienaganne maniery. Potrafił zachować się w każdej sytuacji i, choć to dla was pewnie nie do pomyślenia, często się śmiał i żartował. Wykazywał niesamowitą ciekawość świata, jakiej nikt jeszcze tu, w Santa Cruz, nie widział. W kółko o coś pytał, coś chciał poznawać, nad czymś się zastanawiał. Szybko się zaprzyjaźniliśmy i dużo, dużo ze sobą rozmawialiśmy. Opowiadał mi o swojej matce i o potrzebie zostawienia po sobie czegoś w postaci uczynionego innym dobra, o potrzebie niesienia pomocy słabszym i najsłabszym, o potrzebie robienia czegoś dla świata. I o medycynie. Mógł godzinami mówić o tym, co jako dziecko robił w szpitalu. Marzył o medycynie. Myślał o medycynie. On już wtedy był lekarzem. Miał to we krwi. To z inicjatywy Armanda zorganizowaliśmy kuchnię dla najuboższych. Torquemada się zgodził, ale brat Jorge był temu przeciwny, bo uważał, że nowicjusz ma studiować Biblię i modlić się. Moim patronem był *padre* Gregorio, który zaoferował nam obu swoją pomoc. I tak w jeden dzień wszystko ustaliliśmy i z miejsca rozpoczęliśmy wydawanie posiłków. Początkowo raz w tygodniu, potem w środy i soboty. Gdybyście widzieli wówczas Armanda! Sam wszystko załatwiał u ojca Pedra, zdobywał fundusze, nawet ustalał jadłospis z moim patronem!

Całe miasto chwaliło klasztor za te posiłki. – Brat Alvaro zamyślił się i przypuszczam, że przypominał sobie tamte dni, o których opowiadał. – Armand bardzo się angażował w życie opactwa. Niekoniecznie w życie religijne, bo Armand nigdy przesadnie religijny nie był. To znaczy brał udział w nabożeństwach, ale nie we wszystkich, za co brat Jorge go ścigał, a poza tym nie zaprzętał sobie głowy głębokimi rozważaniami teologicznymi. Dla niego liczyła się tylko medycyna. Za to udzielał się intensywnie we wszelkich obrzędach religijnych, miał mnóstwo pomysłów, jeśli chodzi o ceremoniał, zresztą wiele z jego pomysłów przeor kazał zastosować. Mistrzem ceremonii był wówczas brat Domingo de Vivera, który nie miał szczególnego polotu do wymyślania pięknej oprawy dla różnych uroczystości. Za to Armand miał po temu pokłady pomysłów wprost niewyczerpane. Ma on tę szczególną cechę, że czegokolwiek się dotknie, doprowadza to do perfekcji. I tak było już w nowicjacie. A zapału do różnych zajęć miał za czterech! Mniej więcej po miesiącu od przyjęcia w poczet nowicjuszy Armand zaczął znikać na całe noce w bibliotece. Przeor zezwolił, aby brat Jorge dawał mu klucz. Buszował więc w naszych zbiorach od komplety po samą jutrznię, a coraz częściej zdarzało mu się przegapić poranne nabożeństwo, tak był pochłonięty lekturą. Wbiegał potem do kościoła na mszę z wypiekami na twarzy, z błyszczącymi z zadowolenia oczyma, cały poruszony tym, co akurat czytał. W ciągu dnia spał po dwie lub trzy godziny, a potem w nocy znów biegł do biblioteki. Coraz mniej czasu spędzał z patronem, a coraz więcej siedział w czytelni lub w podziemiach biblioteki. Coraz rzadziej rozmawialiśmy. Przyjaźniliśmy się nadal, ale Armanda z wolna przestawało interesować cokolwiek innego niż książki. Tylko w naszej kuchni dla najuboższych nadal się udzielał, ale sporo musiałem już sam załatwiać. Zaczął spóźniać się na nabożeństwa albo wcale na nie nie przychodził. Stawał się skryty i poważny. Coraz rzadziej się uśmiechał, nie żartował tak jak dawniej, ale jego entuzjazm nie umarł w nim tak po prostu. Przerodził się w zapał do nauki, której ostatecznie Armand poświęcał każdą wolną chwilę, zarzucając nawet naszą kuchnię dla biednych. Zamykał się we własnym świecie, odseparował od rówieśników, nikogo do swoich książek nie wpuszczał. Poróżnił się o coś z bratem Jorge, do dziś nie wiem o co, ale skończyło się

interwencją przeora. Tyle że ku zdumieniu wszystkich braci w klasztorze Torquemada stanął po stronie Armanda. To było coś niebywałego, aby nowicjusz miał większe wpływy w klasztorze niż starszy stażem mnich! Gdy dziś na to patrzę, myślę, że Torquemada już wtedy dostrzegł w Armandzie cechy, których nikt tu, w Santa Cruz, nie posiadał, a przynajmniej nie w takich rozmiarach: olbrzymią inteligencją, równie olbrzymią ambicją, genialny i niesamowicie chłonny umysł, samodyscyplinę i miłość do wiedzy, perfekcjonizm, systematyczność i twardy, charyzmatyczny charakter. I myślę, że już wtedy przeor miał co do Armanda konkretne plany, które postanowił zrealizować, poczynając od jego wykształcenia. Nie wiem, czy Torquemada myślał już wówczas o Inkwizycji, ale biorąc pod uwagę dobór przedmiotów na studiach Armanda, nie jest to wykluczone. W każdym razie razem z Constantinem, który kończył wówczas drugi rok nowicjatu, śluby zakonne złożył młody Armand po zaledwie niecałych czterech miesiącach od przyjazdu do Santa Cruz! To było nie do pomyślenia! Jeszcze tego samego roku pod koniec września Torquemada wysłał Armanda na studia na Uniwersytet w Salamance. Osobiście prosił Jego Magnificencję, rektora, aby przyjął na studia tak młodą osobę i to od razu na trzy kierunki: na prawo, medycynę i teologię. Wiem, że rektor zgodził się, bo przyjaźnił się z przeorem. Torquemada postawił Armandowi warunek, że musi wszystkie te trzy kierunki, ukończyć w ciągu trzech lat, a nie pięciu, jak normalnie. Było to spowodowane tym, że przeor załatwił Armandowi kontynuację nauki na Uniwersytecie w Bolonii za trzy lata. Wiem o tym, bo Armand mówił mi, gdy żegnaliśmy się w dniu jego wyjazdu, że nie będzie go bardzo długo, bo potem jedzie do Bolonii. Myślę też, że dla Armanda takie przyspieszenie nauki nie było czymś trudnym. Zrobiłby ten materiał i w dwa lata, gdyby była taka potrzeba. Umiał odciąć się od świata i poświęcić tylko obranemu celowi i do niego dążyć.

Po wyjeździe Armanda nasze kontakty się urwały. Nie pisał, nie przyjeżdżał. Od czasu do czasu przeor informował nas, jaki jest dumny z niego i z jego osiągnięć. Armand zapisał się na trzy dziedziny prawa: rzymskie, kanoniczne i kryminalne, chociaż Torquemada wymagał tylko jednej z nich: prawa kanonicznego. Pracował też w szpitalu

uniwersyteckim w Salamance, gdzie od pierwszych swoich dni na uczelni praktykował pod okiem lekarzy. Oczywiście nie muszę wam chyba mówić, że Armand bez najmniejszego wysiłku skończył pięć lat nauki w sześć semestrów. Rektor, który dostrzegł niebywały talent Armanda do medycyny, chciał go zatrzymać w Salamance na stałe. Bo musicie wiedzieć, że gdy Armand wyjeżdżał z Salamanki, miał już dyplom lekarza i uprawnienia do wykonywania zawodu. Nie wrócił do Santa Cruz, ale pojechał prosto do Bolonii. Tam kontynuował naukę medycyny i wszystkich dziedzin prawa oraz teologii. Szybko uzyskał tytuły doktora nauk medycznych, doktora nauk prawnych i doktora teologii. Ale jemu to nie wystarczało. Zaczął studiować filozofię, retorykę, astronomię i arytmetykę oraz uczył się greki i hebrajskiego. Do tego pracował w miejscowym szpitalu, miał tam własną praktykę, a niebawem został jego dyrektorem. Objął także katedrę anatomii na uniwersytecie. Tak był dobry. Zresztą jest to chyba jeden z najlepszych, jeśli nie najlepszy lekarz w Kastylii! Do tego doktor prawa i teologii. Pomyślcie, jak niesamowity musi mieć umysł, który potrafi zgromadzić tak rozległą wiedzę w tak wielu dziedzinach, jak wielką musi mieć ambicję, by sięgać w tej wiedzy coraz wyżej i wyżej i ciągle się doksztalać, i jakże żelazną ma wolę i samodyscyplinę, aby nie zboczyć nawet o milimetr z raz obranej drogi do celu! To godne podziwu i wielkiego szacunku. – Brat Alvaro popatrzył na nas z dumą, jakby mówił o kimś sobie bardzo bliskim i cieszył się z jego sukcesów. – Armanda uwielbiali studenci. Wykładał w taki sposób, że na jego wykłady przychodziły rzesze uczniów. Najlepszych zabierał na praktyki do szpitala. I kochał tę pracę. Wiecie już teraz, dlaczego Armand tak wielką wagę przykładają do wykształcenia nowicjuszy. Po prostu wie, jak wielkim błogosławieństwem jest wiedza, i chce wam to błogosławieństwo przekazać. Nie zawsze robi to właściwie, ale wierzę, że intencje Armanda, przynajmniej jeśli chodzi o szkolenie nowicjuszy, są czyste. Armand studiował, wykładał i praktykował w Bolonii całe sześć lat, po czym Torquemada zaważwał go z powrotem do Santa Cruz. Przyjechał w lecie, bardzo poważny. I znów przywiózł ze sobą kilka kufków książek. Prawie z nikim nie rozmawiał i ogólnie stronił od wszystkich, oprócz przeora. Widać było po nim, że nie może sobie

znaleźć miejsca, jakby te mury były dlań za ciasne w porównaniu z przestrzeniami campusu uniwersyteckiego w Bolonii. Zbiory naszej biblioteki też musiały mu się wydać maleńkie w porównaniu z wielką biblioteką Bolonii. Myślę, że tęsknił. Strasznie. A najbardziej za swoją praktyką, szpitalem i pacjentami. Armand stał się małomówny, ważył słowa, gdy już z kimś rozmawiał. Sprawiał wrażenie nieobecnego, jakby bez przerwy o czymś rozmyślał, o czymś zupełnie innym niż życie mnicha. O swoich pacjentach. O szpitalu. O studentach anatomii. Bardzo się zmienił przez te dziewięć lat nieobecności. Zdobyta wiedza i wykształcenie uczyniły go pewnym siebie i dumnym, co dawał nam wszystkim odczuć niemal na każdym kroku. Myślę, że i wewnętrznie czuł się od nas lepszy. I bez przerwy przesiadywał w gabinecie Torquemady albo spacerował z nim po klasztornym dziedzińcu. Stali się nierozłączni. Nie wiem, o czym rozmawiali, ale im bardziej Armand zaprzyjaźniał się z Torquemadą, tym bardziej odsuwał się od nas. Nie muszę wam chyba mówić, że po powrocie z Bolonii kuchnią dla biednych, która wszak wciąż działała, Armand się już nie interesował. Nawet mnie o nią nie zapytał! W kuchni pomagał mi brat Constantino, ale krótko, potem brat Manuel, brat Gregorio, czasem brat Santiago i nowicjusze, którzy akurat przygotowywali się do posługi zakonnej. Przeor, widząc, że Armand nie może się odnaleźć bez klimatu uniwersyteckiego, zlecił mu prowadzenie wykładów dla nowicjuszy, zwalniając z tej funkcji brata Domingo, który i tak chciał oddać to zajęcie komuś młodszemu. Po uzgodnieniach z proboszczem miejscowej parafii Armand otrzymał także pozwolenie na głoszenie kazań w kościele w co drugą niedzielę na sumie. Trochę więc zajął się Armand czymś, wypełniając sobie czas, aby nie myśleć i nie wspominać pięknych lat Salamanki i Bolonii. Tyle że jedyną prawdziwą miłością Armanda była medycyna i mimo starań nie przestawał o niej myśleć. Bez wątpienia nadal czuł wielkie powołanie do niesienia pomocy innym. Bez tego żaden byłby z niego lekarz. Myślał o swoich pacjentach, o nowych lekach, o szpitalu. Zapoznał się szczegółowo z asortymentem naszej małej apteki i zaczął ją wzbogacać o nowe zioła i preparaty. Przywiózł ze sobą receptury leków, które wraz z bratem Martinem zaczęli wyrabiać. Sprowadzał nasiona różnych roślin, których w Santa

Cruz nigdy nie było, aby je potem hodować, suszyć, proskować i łączyć w leki. W ciągu pół roku nasza apteka stała się najlepiej zaopatrzonym takim punktem w całym regionie. Prawie połowę receptur, które są w naszej aptece, przywiózł Armand ze szpitali, w których pracował. Wszyscy się temu przyglądaliśmy z ironią, po co to robi, skoro mnisi chorują raz na jakiś czas i raczej na mało skomplikowane choroby, a przecież apteka ta była tylko na nasze własne potrzeby. Ale Torquemada mu na to pozwalał, akceptując bez zastrzeżeń wszystkie jego zamówienia i wydatki, o czym wiedzieliśmy od brata Pedro, bo w końcu przez jego ręce przechodziły i nadal przechodzą wszelkie sprawy finansowe opactwa. Myślę, że Armand już wtedy myślał o swoim szpitalu, przyklasztornym szpitalu, który chciał poprowadzić i w którym zastosowałby lekarstwa z naszej apteki. Być może już wtedy przeor po cichu wydał mu zgodę. Zapewne tak było, skoro pozwalał na rozwój apteki. Pod koniec 1473 roku rozpoczęły się prace remontowe w starym pawilonie stojącym za murami opactwa, należącym do dóbr klasztornych, który stał nieużywany i zrujnowany. Mniej więcej właśnie w tym czasie przeor ogłosił, że w pawilonie tym zostanie założony z inicjatywy Armanda szpital dla biednej ludności Segowii i okolic, w którym pomoc lekarska będzie udzielana za darmo. Informacja ta została publicznie ogłoszona z ambon miejscowej i lokalnych parafii. Szpital otwarto na początku 1474 roku, a jego dyrektorem został oczywiście Armand. Ponieważ i ja, i brat Constantino mieliśmy już wtedy wykształcenie medyczne, zgłosiliśmy się do pracy. Swoją pomoc w opiece pielęgniarskiej nad chorymi zaofiarowały także siostry augustianki. Krótco po otwarciu szpitala do Segowii przyjechała wraz ze swoją matką księżniczka Izabela de Castellano, chroniąc się w tutejszym zamku przed swymi przeciwnikami politycznymi, a zwolennikami osadzenia na tronie jej przyrodniej siostry, Joanny. Segowia udzieliła schronienia Izabeli, uznając, że jako prawowita córka zmarłego króla Henryka VI, bo Joanna ponoć z prawego łoża nie była, Izabela ma większe prawa do korony niż jej siostra. Wtedy księżniczka Izabela poznała Torquemadę, gdy odwiedziła wraz z matką klasztor i Szpital Świętego Krzyża. Sam pomysł jego utworzenia zachwycił je obie i przekazały sporą sumę pieniędzy na rzecz szpitala i jego rozbudowę

oraz na klasztor, rzecz jasna. Izabela obiecała także dalszą opiekę nad Santa Cruz i powiedziała, że nie zapomni naszej uprzejmości, gdy zostanie koronowana na Królową. Słowa dotrzymała. Za pieniądze z pierwszej darowizny dobudowano dwie ostatnie sale chorych i rozpoczęto budowę małego pawilonu z tyłu za szpitalem. Początkowo miało tam się mieścić dodatkowe ambulatorium, ale Armand postanowił pomóc tym, którym nikt nigdy ręki nie poda, tym najuboższym z ubogich. Trędowatym. Chciał założyć i prowadzić w nowym pawilonie małe leprozorium oraz ambulatoryjnie udzielać pomocy tym, którzy nie zechcą zostać w leprozorium, a będą potrzebować doraźnej opieki medycznej. Armand pracował w leprozorium w Salamance. Wiedział, jak je należy urządzić, jak ono ma funkcjonować. Torquemada początkowo się krzywił, ale widząc wolę i zapał Armanda, ustąpił. Było to dla nas niebywale, bo, jak się pewnie zdążyliście zorientować, przeor nie jest osobą, która ustępuje komuś albo chodzi na kompromisy. A już na pewno nie dla osoby niżej od niego postawionej w hierarchii zakonu! Wtedy było już wiadome, że Torquemada musi mieć co do Armanda wielkie plany, skoro pozwala mu na to wszystko. – Brat Alvaro uśmiechnął się do siebie i popatrzył na nas z pobłażaniem. – Oczywiście gdy Armand na którymś ze swoich niedzielnych kazań ogłosił, że trędowaty to też nasz brat w Chrystusie Panu i tak, jak każdego brata, również trędowatego należy miłować, pomagać mu, nakarmić i przyodziać oraz pocieszać w tej strasznej chorobie, która właśnie tylko chorobą jest, a nie Boską karą, po tych słowach rozpętało się piekło. Huczła cała Segowia, a proboszcz oświadczył, że na leprozorium zgody nie da i nadal będzie utrzymywał religijny rytuał wykluczania chorych poza miasto i nawias społeczeństwa, urządzał im symboliczny pochówek wizerunku chorego i nadal będzie odprawiał msze za ich dusze tak, jakby byli martwi. Proboszcz zagroził, że napisze do kurii, że Armand herezje opowiada, i odda go pod osąd Świętej Inkwizycji. Na co Armand mu pisemnie odpowiedział, że czynem przeciwko Boskim przykazaniom i przykazaniu miłości, czynem niegodnym chrześcijanina jest odmawiać pomocy cierpiącej duszy i że gdyby Armand był inkwizytorem, pierwszego na stosie spaliłby proboszcza. Wyobrażacie sobie taki list od zwykłego dominikanina?! Armand wykazał się przy tym niesamowitą

odwagą i pewnością siebie oraz przekonaniem o słuszności tego, co mówi. Zresztą uważam, że miał rację. Proboszcz wściekły interweniował u przeora. Rzucił mu listem Armanda w twarz! Na co Torquemada z flegmatycznym spokojem, niespotykanym u niego, odpowiedział proboszczowi, że jeśli Armand twierdzi, że trąd jest chorobą, to widocznie tak jest. Wyliczył wykształcenie Armanda i dotychczasową praktykę medyczną, po czym dodał, że jeśli proboszcz wykaże równe jemu wykształcenie i praktykę, będzie miał prawo spierać się naukowo z Armandem na tym polu! Spierać się, tylko tyle. Nie powiedział, że wówczas proboszcz będzie miał rację. Byłem świadkiem tej rozmowy, jak proboszcz wtargnął wzburzony do gabinetu przeora, a wychodził stamtąd prawie w amoku! Niesamowite było patrzeć, jak Torquemada ufał i popierał Armanda we wszystkim. Zresztą tak jest do dzisiaj. Z wzajemnością. Oczywiście nie muszę wam chyba mówić, że proboszcz nie dał za wygraną i metodą spalonej ziemi chciał postawić na swoim. Nie przewidział jednak, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia. Którejś niedzieli przed południem, a była to niedziela, w którą Armand miał mieć kazanie, proboszcz, jak zwykł często to robić, rozpoczął rytuał wykluczenia trędowatego, którego życzliwi sąsiedzi zawlekli przed jego oblicze. Jednak pomysł utworzenia leprozorium spodobał się części ludności Segowii, która miała wrażliwsze serca, i wysłali oni posłańca do klasztoru, by dać znać Armandowi, co zamierza proboszcz. Ten rytuał religijny zaczyna się mszą pogrzebową, po której ksiądz wyprowadza chorego wraz z orszakami żałobnym poza mury miasta. Tam do specjalnie wykopanego grobu wkłada się portret trędowatego i usypuje mogiłę, a ksiądz odmawia modlitwy przeznaczone na pogrzeb. Następnie choremu wręczana jest nowa odzież, którą ma się wyróżniać spośród zdrowych, przedmioty osobistego użytku, jak miska, łyżka, kubek, Biblia i różaniec, by modlił się o cudowne uzdrowienie, oraz kołatka, przy pomocy której, podchodząc do skupiska ludzi, ma dawać głośno znak, że zbliża się trądowaty. Nie wolno mu więcej zbliżać się do miasta, z którego został wyrzucony, a o jedzenie może tylko żebrać. Żona chorego od tej chwili staje się wdową i może ponownie wziąć kościelny ślub, a jego dzieci stają się półsierotami. Odprawiane będą także msze za duszę trędowatego, jakby był zmarłym. – Brat Alvaro

mówił spokojnie o tych przerażających praktykach. – W naszej opowieści zaalarmowany przez posłańca Armand wtargnął do kościoła w chwili, gdy proboszcz prowadził orszak pogrzebowy do wyjścia. Bez słowa powitania, dumny i pewny swego, Armand podszedł do chorego i za rękę wyprowadził go z tłumu ludzi przed oblicze proboszcza, a następnie zaapelował do zgromadzonych, aby się rozeszli, gdyż zabawa skończona, zaś proboszczowi nakazał zakończyć ten idiotyczny ceremoniał. Ale proboszcz tylko się rozjuszył. Więc Armand zaproponował, aby chory poszedł razem z nim, a dostanie jedzenie i dach nad głową oraz opiekę medyczną. Odeszli we dwóch kilka kroków w stronę wyjścia, ale proboszcz zagroził im drogę, bał się jednak dotknąć trędowatego. Wtedy Armand powiedział do proboszcza: „Jeśli masz rację i trąd jest Boską karą za grzechy, wierz mi, za rok o tej porze będziesz już trędowaty”. Proboszcz zaniemówił i odstąpił na bok. Potem Armand zwrócił się do tłumu: „Jeśli ktokolwiek z was podniesie rękę na tego człowieka lub jakiegokolwiek innego chorego na trąd, zostanie aresztowany za przestępstwo, czego dopilnuję osobiście, oraz zostanie pozbawiony opieki medycznej dominikańskiego szpitala, a to jedyny szpital w okolicy”. Do żony chorego zaś powiedział: „Błagaj Boga, aby wybaczył ci ciężki grzech, że porzuciłaś swego męża w chorobie. Jeśli jednak wyjdiesz powtórnie za mąż i popełnisz bigamię, osobiście zawiadomię o tym Świętą Inkwizycję”. Kobieta ponoć zalała się łzami i upadła Armandowi do stóp, błagając, by jej wybaczył, i zapewniając, że ona kocha męża. Ale Armand stał spokojny i niewzruszony, patrząc na nią, i powiedział: „Nie mnie powinnaś przeproszać, ale swojego męża, a przede wszystkim Boga Ojca. Pamiętaj, córko, że Bóg za dobro wynagradza, a za zło karze. Módl się więc, może ci przebaczy”. Po tych słowach Armand i trędowaty, który miał na imię Xavi, odeszli w spokoju. Wiem, że padły dokładnie takie słowa, jak wam powiedziałem, bo z bratem Armandem był brat Manuel, nie wchodził on jednak do kościoła, tylko czekał na schodach. Obaj bracia przyprowadzili Xaviego do leprozorium, które jeszcze nie było do końca urządzone, ale można było w nim zorganizować jedno posłanie. I tak, przed czasem, leprozorium rozpoczęło swoją działalność. Oczywiście Armand doskonale wiedział, że w Kastylii nie było wówczas

Inkwizycji, ale zawsze mógł wysłać tę kobietę przed trybunał w Aragonii. Musicie też przyznać, że podczas tego sporu Armand ujawnił pewne zdolności, które przydałyby mu się, gdyby inkwizytorem miał w przyszłości zostać. – Brat Alvaro spoważniał, ale jego oczy się uśmiechały.

Ja zaś pomyślałem, że mistrz mój wręcz urodził się, by zostać inkwizytorem. A przeor genialnie rozpoznał w nim ten talent.

– Chorych na trąd szybko przybywało – mówił dalej brat Alvaro. – Od samego początku opiekę nad nimi przejął brat Armand i brat Manuel, który także studiował medycynę, ale to od Armanda uczył się praktyki. Nie był to jednak koniec kłopotów leprozorium, bo proboszcz nie odpuszczał i zawiadomił kurię o poczynaniach Armanda i głoszonych przez niego poglądach, co Torquemada miał świadomie tolerować. Biskup zażądał wyjaśnień, ale przeor go zignorował, uważając, zresztą słusznie, że nie ma on władzy nad przeorem dominikanów i nie może żądać od niego wyjaśnień. Biskup poskarżył się do arcybiskupa, arcybiskup do kardynała, a ten do nuncjusza papieskiego akredytowanego przy dworze w Toledo. Nuncjusz zaś interweniował u Królowej, Izabeli Kastylijskiej, nie wiedząc jednak o sympatii, jaką darzy ona Torquemadę. Izabela obiecała nuncjuszowi zająć się tą sprawą, po czym osobiście przyjechała do Santa Cruz, zobaczyć, o co tyle szumu. Ale gdy zobaczyła leprozorium, jego wyposażenie, zadbanych chorych i Armanda, który się nimi zajmował, gdy zobaczyła rozbudowany szpital i to, jak był prowadzony, była zdziwiona, że proboszcz chciał zamknięcia ośrodka, który jest czystym dobrem. Pogratulowała Armandowi idei i dobroci serca, pogratulowała Torquemadzie Armanda, po czym wraz z przeorem udała się do proboszcza, na którym za ten spór nie zostawiła suchej nitki, nakazując mu się wstydzić. A za to, że sprawił tyle kłopotów i donosił do stolicy na Armanda, wypisując bzdury, za to, że przez niego musiała się tu osobiście pofatygować bez powodu, obiecała zwrócić na takie postępowanie proboszcza uwagę przewodniczącego Świętego Trybunału Inkwizycji w Saragossie. Proboszcz nic nie odpowiedział. Następnie Królowa wymogła na biskupie, aby zdjął proboszcza z urzędu, gdyż najwidoczniej do jego sprawowania się nie nadaje. Zagroziła, że jeśli

biskup tego nie robi, jego głowa także spadnie i również nim zainteresuje się Święta Inkwizycja. Po tym wszystkim Królowa wróciła do Santa Cruz i długo rozmawiała o czymś z Torquemadą i Armandem. Siedzieli we troje kilka godzin w gabinecie przeora, a na koniec zostawiła pokaźną sumę pieniędzy jako ofiarę na klasztor i wyjechała. Jeszcze tego samego dnia proboszcz został zdjęty przez biskupa ze swego urzędu. I tak zakończył się spór o leprozorium, które działa i ma się świetnie po dziś dzień. A powiem wam w tajemnicy, i jest to najciekawsze w tej historii, że rok po tych wydarzeniach, tak jak przepowiedział Armand, proboszcz zachorował na trąd... – zakończył brat Alvaro i popatrzył na nas uważnie.

Zapadła cisza. Ostatnie słowa brzmiały złowrogo. Ja i Juan popatrzyliśmy na siebie zdezorientowani. Musiałem przyznać, wysłuchawszy tej historii, że mistrz mój jest niezwykłym człowiekiem i zrobił w swoim życiu wiele dobrego. Potrafi żyć według swoich zasad i poglądów, odważnie je głosić i bronić swego, nie bojąc się konsekwencji. To sprawia, że gdy się z nim przebywa, odnosi się wrażenie, że jest dokładnie tak, jak mówi, że wie, że sprawdził i właśnie tak jest. Ludziom, którzy się z nim zgadzają w jego dążeniach i poglądach, jego pewność siebie daje spokój. Tak musi się czuć przy nim Ricardo i z pewnością także dlatego tak bardzo ceni brata Armanda. Ale kij ten ma i drugi koniec – dla tych, którzy nie podzielają jego poglądu na życie, konieczność przebywania w jego towarzystwie jest torturą.

– Więc jak to jest, ojcze, trąd jest w końcu Boską karą czy nie? – zapytałem. – Bo wydaje mi się, że proboszcz faktycznie został ukarany za grzechy.

– To mógł być zbieg okoliczności, Antonio – odpowiedział brat Alvaro poważnie. – Nie mam pojęcia, jak jest naprawdę. Ale moja wiedza medyczna, obserwacje chorych w naszym leprozorium, a przede wszystkim argumentacja Armanda i zaufanie do jego wiedzy i praktyki, każą mi przypuszczać, że trąd jest taką samą zwyczajną chorobą jak katar czy grypa. Tyle że straszniejszą w skutkach. Jest też chorobą tak starą jak ludzkość, wspomina o nim Biblia, która jednak nie wyjaśnia natury trądu. Zapytaj swego mistrza, Antonio. Jeśli ktokolwiek będzie

w stanie udzielić ci informacji, to tylko Armand. – Brat Alvaro uśmiechnął się. – A wracając do mojej opowieści, która powoli dobiega już końca: kiedy Szpital Świętego Krzyża zaczął działać, Armand odżył. Rzucił się w wir pracy, zapominając o całym świecie. Nie można powiedzieć, że zaniedbał Boga, ale całymi dniami przesiadywał w szpitalu, a potem także i w leprozorium. Tłumy ciągnęły po różną pomoc, a on przyjmował i przyjmuje wszystkich, do ostatniej osoby. Kiedy się go widzi przy leczeniu, odnosi się wrażenie, że się nie męczy. I chociaż sądząc po doborze kierunków studiów, którego dokonał dlań Torquemada, oraz po wypowiedziach Armanda do proboszcza i jego obecnym zachowaniu i rozmowach z przeorem, Torquemada hodował go przede wszystkim na teologa i prawnika, a potem, śmiem twierdzić, świętego inkwizytora, to jednak jestem pewien, że medycyna jest największą pasją Armanda, jego religią, posłannictwem, powołaniem i iskrą Bożą. Od otwarcia leprozorium Armand nadal z nikim, prócz przeora, się nie przyjaźni. Nadal jest skryty, zamknięty we własnym świecie, który razem z Torquemadą chcą stworzyć, dumny, a teraz także i okrutny. To pierwszy zwiastun jego nowego sposobu zachowania się. Po tym, co Armand zrobił z tobą, Alejandro, trzeba powiedzieć, że Torquemada dobrze go wyszkolił. Wykrzywił go tak, jak chciał, umiejętnie rozdmuchując jego ambicję i miłość do wiedzy i książek. Do czegoś Torquemadzie jest potrzebny Armand takim, jakim go ukształtował.

– Do Inkwizycji – wtrącił Alejandro. – Do czegoż innego? Przeor musiał o Inkwizycji myśleć już wiele, wiele lat temu, skoro zaczął hodować sobie popleczników już w 1463 roku. A może i wcześniej...

Brat Alvaro westchnął, ale nie odpowiedział na uwagę Alejandra. Dla mnie była ona trafna.

– A co się dalej stało z proboszczem? – zapytał Juan. – Czy Królowa rzeczywiście doniosła o jego zachowaniu trybunałowi Świętej Inkwizycji w Saragossie?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział brat de Medina. – Wydaje mi się, że chciała tylko proboszcza nastraszyć. Gdy zachorował na trąd, opuścił on Segowię i nikt nie wie, co się z nim dalej działo i czy wciąż żyje.

– Ciekawe, czy żałował swego zatargu z Armandem i tego, że nie mógł przez to skorzystać z opieki leprozorium? – zastanawiał się Alejandro głośno.

– Proboszcz był na to za dumny – dodał patron Juana. – Nigdy nie przyznałby się do błędu, a już na pewno nie przed Armandem. Wątpliwe więc, by przyszedł do leprozorium przezeń prowadzonego, by szukać pomocy. Ale wszyscy ponosimy konsekwencje swoich czynów.

Zapadło milczenie. Ciężkie. Niewygodne.

– Uważaj na Armanda, Antonio. – Brat Alvaro popatrzył na mnie poważnie i smutno. – On ma na nazwisko de Castellano. Jak Królowa. Bacz, z kim chcesz zadrzeć. Prawdopodobnie jest skoligacony z rodem królewskim, chociaż nigdy o tym nie mówi. To człowiek, który jeśli zechce, może cię zniszczyć jednym skinieniem. Ba! Z takim nazwiskiem mógłby zniszczyć nawet Torquemadę. Przeor, zdaje się, dobrze o tym wie. Jest pochlebny wobec Armanda. Bóg jeden wie, co siedzi w głowie tego człowieka! Uważaj więc na słowa i niebaczne gesty. Uważaj na nich obu! Wszyscy uważajcie. Oni coś planują. Coś wisi w powietrzu. Te ich wieczorne rozmowy na dziedzińcu i w gabinecie Torquemady. Coraz częstsze wyjazdy przeora na dwór w Toledo i do Sewilli. Coś się dzieje, chłopcy. Jeśli Torquemada szykuje coś w porozumieniu z Królową, a wszystko na to wskazuje, boję się, że coś wstrząśnie Hiszpanią. Nieoczekiwanie... – zakończył.

Znów zapadła cisza, ale taka, w której po długiej opowieści czuje się niedosyt i wciąż chciałoby się słuchać. I nadal tłukły mi się po głowie pytania, na które zaczynam rozumieć, że być może nie ma odpowiedzi. Brat Alvaro podszedł do okna wychodzącego poza mury opactwa i wyjrzał przez nie. Prawą stronę jego twarzy i kutę oświetlała czerwona poświata. Wieczór się zbliżał.

– Czy brat Constantino jest na mojego mistrza obrażony? – zapytałem, zbierając się na wielką odwagę, chociaż w uszach słyszałem uderzenia galopującego ze strachu serca.

– Nie. Nie są pogniewani. – Brat Alvaro był zdziwiony. – Powiedziałbym, że się lubią, na ile Armand może kogoś lubić. Kiedyś, w nowicjacie, nawet się przyjaźnili. Byli do siebie podobni z charakteru, obaj ambitni, choć Armand dużo bardziej, obaj korzystali z biblioteki.

Constantino był mało mówny i skryty już wówczas, ale przyjaźniliśmy się we trzech przez te pierwsze miesiące. Constantino cieszył się uznaniem Torquemady. Przeor go wyróżniał i stawiał za wzór do naśladowania. Zanim przyjechał Armand. Nawet chodziły słuchy, że Constantino wyjedzie na studia do Bolonii. Ale na krótko przed złożeniem ślubów, jakieś półtora miesiąca po przyjeździe Armanda, Constantino pokłócił się strasznie z Torquemadą. Nie wiedzieliśmy o co, ale ich niewyraźne krzyki słychać było na dziedzińcu. Od tamtej pory Torquemada przestał Constantina traktować szczególnie, ale wysłał go na studia. Oczywiście, żeby było jasne, Torquemada nie uwielbiał Constantina tak, jak potem Armanda, ani go tak nie wyróżniał. Po prostu lubił go bardziej niż innych, to wszystko. Po złożeniu ślubów zakonnych Constantino pojechał na studia do Salamanki, gdzie spotkał się już z Armandem. Constantino studiował teologię, medycynę, prawo kanoniczne, filozofię i grekę. Przez cztery lata. Praktykował w szpitalu, w którym leczył Armand, i z tego, co wiem, na studiach także się przyjaźnili, przynajmniej dopóki był tam Armand. Constantino wiele się uczył od Armanda. Po powrocie z Salamanki zajął się ceremoniałem liturgicznym, a potem zaczął pracować w Szpitalu Świętego Krzyża, gdy ten został założony. Nic mi nie wiadomo, aby obaj kiedykolwiek się pokłócili. – Brat Alvaro wlepił we mnie uważne spojrzenie. –

A dlaczego pytasz?

– Pewnie mi się wydawało... – Machnąłem ręką, chociaż opowieść brata Alvaro i jego zapewnienia wcale mnie nie przekonały.

– Constantino jest tajemniczy i rzadko się uśmiecha – dodał Alejandro.

– Owszem – przyznał brat Alvaro. – Ale to jeszcze nie oznacza, że kogoś nie lubi. A poza tym Armanda, takim jaki jest dzisiaj, trudno lubić. – Uśmiechnął się.

Usłyszeliśmy bicie dzwonów. Brat Constantino wzywał na nieszpór.

– Chodźmy, Antonio. – Juan wstał i podszedł do drzwi celi. – Twój patron będzie cię szukał. Lepiej nie dawać mu pretekstu do gniewu.

Pożegnaliśmy Alejandra i we trzech z bratem Alvaro wyszliśmy na zewnątrz. Sprzeczne uczucia targały mną na nabożeństwie. Brat Armand

nie pojawił się na nim. Ponoć pilny przypadek zatrzymał go w szpitalu.

Kiedy po komplecie szedłem ze swojej celi do biblioteki, zobaczyłem pomiędzy filarami alejki brata Constantino, wpatrującego się w okno celi mego mistrza. Brat Armand był u siebie. Światło świec rzucało na twarz ojca Constantino upiorną poświatę. Ale twarz ta, wbrew zapewnieniom patrona Juana, wcale nie była twarzą przyjaciela. Wyrażała nienawiść i pragnienie zemsty. Jego oczy błyszczały, jakby miał gorączkę. Jak zwykle, gdy mnie zobaczył, nic sobie z tego nie zrobił, ale uśmiechnął się tajemniczo, ani na milimetr nie ruszając się z miejsca.

– Antonio! – usłyszałem nad sobą w górze głos mego mistrza. Odwróciłem się. Wychylał się z okna swojej celi.

– Tak, ojcze?

Wiedziałem, że za mną pomiędzy filarami alejki stoi *padre* Constantino. Mistrz mój musiał go widzieć.

– Rozumiem, że idziesz do biblioteki? – zapytał brat Armand.

– Tak, *padre*. – Skłoniłem się grzecznie głową.

– W takim razie już nic. Idź się uczyć. – Brat Armand odszedł od okna.

Natychmiast odwróciłem się do brata Constantino, ale w miejscu, gdzie przed chwilą stał, zobaczyłem jedynie powietrze, w którym snopem żółtawego światła rzucał się blask z okna mego mistrza. Popatrzyłem jeszcze w okno celi brata Constantino, ale było ciemne. Potem wyrzalem spomiędzy filarów na dziedziniec pogrążony w mroku, ale brat Constantino jakby rozplynał się w ciemności. Wydało mi się to dziwne i zagadkowe. Obawiając się jednak, by brat Armand nie zobaczył, że marnuję czas przeznaczony na naukę, stojąc bez celu w alejce w ciemną noc, ruszyłem spieszenie do biblioteki. I może mi się wydawało, a może naprawdę widziałem pomiędzy przyporami prezbiterium klasztornego kościoła cień sylwetki brata Constantino...

29 czerwca

Od wczoraj pełnię wraz z Oscarem dyżur w bibliotece, skryptorium

i czytelnicy, pomagając bratu Santiago de Montilla oraz bratu Jorge w ich pracy.

Wraz z braćmi bibliotekarzami przychodzimy do pracy bardzo wcześnie, bo zaraz po tercji albo nawet jeszcze przed jutrznią. Oscar zazwyczaj w bibliotece już jest, bo albo spędza w niej noc, albo przychodzi przed pierwszym nabożeństwem odnieść książki, które czytał przez noc w swojej celi. No i oczywiście jest w czytelnicy Ricardo, który rzadko i niechętnie robi sobie przerwy w nauce na obowiązkowe modlitwy. Najczęściej w skrytorium jestem również ja, bo muszę uczyć się, ile brat Armand przykazał.

Wczoraj brat Santiago oprowadził mnie po obu poziomach podziemnej biblioteki i pokazał katalog alfabetyczny zbiorów, który sam stworzył. Nauczył mnie też klucza, według którego księgi są przechowywane na regałach.

Brat Santiago jest przykładem prawdziwego zakonnika, takiego, jakiego zawsze sobie wyobrażałem, myśląc o mnichach. Jest bardzo wobec siebie surowy i wie, że życie niemal ascetyczne. Pości, dużo się modli, a swoją mniszą kutę nosi na gołe ciało. Mało mówi i jest dość powściągliwy w swoich uwagach i ocenach na jakiś temat. Chuda jego sylwetka i siatka zmarszczek na ogorzalej twarzy dodają mu wieku, choć metrykalnie jest jedynie o rok młodszy od brata Jorgego. Zresztą razem odbywali nowicjat. Brat Santiago jest kopistą i gdy rozda już księgi mnichom do pracy, sam zasiada do stołu w skrytorium, by w spokoju tu panującym przepisywać teksty. Sam także ozdabia skopiowane przez siebie dzieła pięknymi rysunkami, które noszą nazwę iluminacji. Iluminatorzy są dziś szczególnie cenieni, zwłaszcza że niedawno wynaleziono druk i dziś produkuje się księgi na dużą skalę, tyle że nikt nie ozdabia ich ornamentami. Nikt nie podołałby temu w tak krótkim czasie.

– Kopiowanie jednej księgi ręcznie trwa miesiącami – wyjaśnił mi pierwszego dnia dyżuru brat Santiago. – Jeszcze dłużej wykonuje się iluminacje. A maszyna Gutenberga drukuje książkę w kilka dni, może krócej. Nikt nie wykona iluminacji w tydzień.

– Jest ojciec przeciwny wynalezieniu druku? – zapytałem.

Brat Santiago uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie. Nigdy – odpowiedział. – Jestem przeciwny temu, aby teraz umniejszać pracę człowieka. Wszyscy dziś zachwycają się drukiem i każdy chce mieć w domu drukowane książki. Ale zapominają już, jak do niedawna cenili przepisywane ręcznie, iluminowane egzemplarze, które zamawiało się w klasztorze i czekało na ich wykonanie przeszło rok i więcej czasu. W zależności od książki. Powiem ci, Antonio – zerknął na mnie – że te ręcznie wykonane księgi miały swojego ducha, miały urok, jakiego nie uświadczysz w księgach powielanych na maszynie Gutenberga. I chociaż wiem, że postępu się nie powstrzyma, że dzięki ruchomym, wymiennym czcionkom koszt wykonania pojedynczej kopii znacznie zmaleje i przez to może więcej ludzi będzie mogło pozwolić sobie na ten luksus, jakim jest zakup książki, to jednak żywię nadzieję, że nasze rękodzieła pozostaną eleganckimi i gustownymi przedmiotami, które bogatsi wciąż będą cenić i zamawiać, bo dla nich nadal będą one towarem luksusowym, elitarnym.

Z wyrazu twarzy brata Santiago – nieco rozmarzonego i stęsknionego za tym, co było stare i dobre – mogłem wyczytać, jak wielką miłością darzy swoją pracę kopisty i iluminatora a także powielane ręcznie księgi, uważając każdą z nich za arcydzieło. Wstyd mi się zrobiło, że na to dotąd nie zwracałem uwagi i nie otaczałem pracy kopistów należytyym szacunkiem.

Kiedy szliśmy dziś rano przez dolny poziom biblioteki i przyjrzałem się jej bliżej, doszedłem do wniosku, że musi ona zajmować przestrzeń pod całym opactwem, sięgając zachodniej furty w murach. Dziwne, że wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, pochłonięty sprawami związanymi z moim mistrzem.

Brat Santiago zabierał z półek pojedyncze książki i układał mi na rękach lub na swoim przedramieniu. Spoczywający na księgach kurz, który wzbijał się w górę, ilekroć jakiś tom lądował na szczycie sterty, wiercił mnie w nosie. Ale mimo to panujący w bibliotece chłód, zapach starego papieru i wosku, a nade wszystko kurzu, tworzył tę niepowtarzalną atmosferę, którą tak kochają uczeni i która była przyjemna i przytulna. Nawet dla kogoś takiego jak ja.

W pewnym momencie brat Santiago położył mi na naręczu arabski traktat matematyczny. Był przepięknie oprawiony, a na przedniej

okładce wytłoczone były wizerunki słońca i księżyca, które spoglądając na siebie, obejmowały się nawzajem: słońce promieniami, a księżyc rąbkami sierpa.

– Ależ ładnie wydana! – wykrzyknąłem. – U nas była kopiowana?

– Nie. To oryginalny, arabski egzemplarz – odpowiedział brat Santiago. – Chyba pochodzi z południa. Z Malagi, jeśli się nie mylę.

– Słyszałem, że dzieła matematyczne i astronomiczne Arabów są bardzo dobre. – Przyjrzałem się jeszcze raz pięknej książce. – Był ojciec w Maladze? – zapytałem.

– Tak. – Brat Santiago zamyślił się na chwilę. – Dawno temu. Pochodzę z małego majątku pod Malagą. Prawie nad samym morzem. Kiedyś, gdy Hiszpania była arabska, a przynajmniej gdy arabska była Andaluzja, nauka Arabów stała na bardzo wysokim poziomie. O niebo wyżej niż nasza, chrześcijańska.

Wydawało mi się, że z jakiegoś powodu ta rozmowa sprawia mi przykrość. Zastanawiałem się dlaczego.

– A dziś tak nie jest? – dopytywałem, bo ciekawiła mnie ta odległa część Hiszpanii, której stolicą była Sewilla, przyszła centrala Świętej Inkwizycji Wielkiego Torquemady i Wielkiego Armanda.

Długo trwało, nim brat Santiago mi odpowiedział:

– Dzisiaj cieszę się, że Bóg dał nam Królową Izabelę, i modłę się, by wystarczyło jej pieniędzy i sił, aby wyzwolić Grenadę z rąk Muzułmanów. Tam, skąd pochodzę, na pograniczu Andaluzji i Grenady, zawsze toczyły się walki. Hiszpanie najpierw wyparli Arabów do Grenady, więc oni starali się wskrzesić lokalne konflikty, aby przywrócić swoje panowanie, choćby nad pograniczem. Mój ojciec walczył w tych potyczkach. Któregoś razu pojechałem z nim bronić naszego majątku i kilku okolicznych miasteczek, gdy Arabowie nas najechali. Byłem bardzo młody i nic o wojnie nie wiedziałem. To, co tam zobaczyłem, tę rzeź i potoki krwi, do dziś widzę przed oczami przed zaśnięciem. Mam w głowie tę masakrę. Mój ojciec zginął tamtego dnia z ręki Maura, który z całą pewnością zabiłby również i mnie, gdyby wiedział, że jestem szlachcicem, ale wziął mnie za giermka i oszczędził, abym mógł zawieźć ciało swego pana do dworu ku przestrodze. Nie czekając na wynik bitwy, zaprzestałem walki, zabrałem ciało ojca na koń

i wróciłem do domu. Wiem, że zwyciężyliśmy w tej potyczce, bo to była zwykła, lokalna potyczka na ziemiach pogranicza. Ale zwycięstwo to nie miało już dla mnie żadnego znaczenia. Tamtego dnia postanowiłem, że zostanę zakonnikiem. Wyjechałem w przeciagu miesiąca, zostawiając cały majątek w ręku matki i młodszego o rok brata. Wybrałem Santa Cruz w Segowii, aby być jak najdalej od Grenady i Maurów, bo wiedziałem, że gdyby nadarzyła się okazja, ręczyć za siebie nie mógłbym. Dlatego nie ma we mnie szacunku dla niczego co arabskie i popieram z całej duszy Królową w jej chęci zjednoczenia Hiszpanii pod jednym berłem należącym do niej.

Gorycz była w głosie brata Santiago i żal, zresztą całkowicie uzasadnione i zrozumiałe. Zazwyczaj poważna jego twarz powlekała się dodatkowo smutkiem, a oczy wyrażały żal tak wielką, jakby to wszystko wczoraj się wydarzyło, nie wiele lat temu.

– Wiem, że jako chrześcijanin powinienem wybaczyć – dodał. – Jako zakonnik dać dobry przykład. Ale nie potrafię. Choć minęły już dwadzieścia trzy lata. Nie wiem, czy kiedykolwiek wybaczę i czy zmyję z siebie ten grzech. – Brat Santiago zamilkł, a ja spuściłem głowę.

Nie bardzo wiedziałem, co teraz powinienem powiedzieć. Brat bibliotekarz także więcej się nie odzywał. Zabraliśmy resztę książek i roznieśliśmy je czekającym na nie braciom kopistom. Tuż obok nas, prawie niezauważalnie, od drzwi skryptorium do schodów prowadzących do podziemi przemknął Oscar, nawet na nas nie patrząc. Niósł pod pachą dwie księgi, a jego twarz i oczy aż nadto wskazywały, że myślami znajduje się zupełnie gdzie indziej. Brat Santiago popatrzył za nim i zmarszczył brwi. A kiedy się odwracał, by wrócić do swoich zajęć, pokręcił bezradnie głową.

– Nie mam już siły do tego chłopaka – przyznał bibliotekarz, zdejmując kolejno książki z moich rąk i kładąc je na stoły w skryptorium.

Przy niektórych stanowiskach nikogo jeszcze nie było, ale widać brat Santiago wiedział na pamięć, gdzie kto siedzi i czym aktualnie się zajmuje.

– Boję się, że wyrośnie z niego drugi brat Armand – bibliotekarz kontynuował wątek Oscara. – Bez przerwy coś czyta, czegoś szuka

w książkach, pyta o różne rzeczy, zastanawia. Mówi tylko o studiach w Salamance, jakby nic innego już się nie liczyło.

– Nie zauważyłem, aby Oscar rozmawiał z moim mistrzem – wtrąciłem. – Nie jest taki jak Ricardo.

Brat Santiago spojrział na sklepienie skryptorium, nad którym znajdowała się czytelnia, i milcząco wskazał palcem, że wspomniany przeze mnie Ricardo już tam siedzi.

– Nie. Nie jest – przyznał. – Oscar nie tyle fascynuje się bratem Armandem co wiedzą i właśnie dla niej rzucił wszystko inne. A to Boga powinien miłować ponad wszystko, nie książki. Zresztą sam zobaczysz, jak poznasz go lepiej. Nie chciałbym, żeby stał się taki jak brat Armand – dodał smutno *padre* Santiago, ale zanim zdążyłem dopytać go dlaczego, dodał: – Bo Armand, choć bardzo mądry, jest nieprzewidywalny. Nigdy nie wiesz, co robi, gdy mu się coś nie spodoba. To furiat. Geniusz. Ale furiat. A *padre* Torquemada, zamiast go poskramiać, jeszcze go zachęca. Dlatego, Antonio, szanuj swego mistrza, bo szacunek mu się należy, ale przykładu z niego nie bierz.

Uśmiechnąłem się z goryczą do brata Santiago. Spuściłem wzrok, bo czułem, że za chwilę rozplacę się na myśl, że przede mną tyle dni spędzonych z bratem Armandem! Bibliotekarz uścisnął mnie serdecznie.

– Cierpliwości i odwagi, mój chłopcze – powiedział ciepło. – Nowicjat nie będzie trwał wiecznie.

Z wolna zaczęli schodzić się bracia kopiści, przyszli również Juan, Mateo i Camilo oraz Jesus zapoznać się z ostatnimi rozdziałami *Practica officii*. Przyniosłem im dwa egzemplarze z górnego poziomu biblioteki. Jeden z nich trzeba będzie dziś zanieść na noc do Alejandra, bo brat Armand z pewnością nie odpuści mu lektury ze względu na rany po chłóście. Zresztą podobno był wczoraj u niego i zapowiedział, że chce go widzieć na najbliższych zajęciach. Koszmar.

Wieczorem

W drodze do biblioteki znów zobaczyłem, że mistrz mój i przeor spacerują po dziedzińcu i rozprawiają o czymś. Noc była już ciemna,

jeszcze tylko zachodnie niebo pokrywał popielato-czerwonawy blask słońca, które dawno już schowało się za miastem. Nowicjusze zbierali się na alejkach, aby iść do czytelnicy, pracować nad podręcznikiem Bernarda Gui, ja także wybierałem się z nimi, choć książkę tę przeczytałem już jakiś czas temu.

Postanowiłem schowany w ciemności w alejce róż za kurtyną filarów zostać i posłuchać, o czym mówią tym razem przeor i brat Armand. Wyczekałem odpowiedni moment, aż nowicjusze z lampkami oliwnymi odejdą za apsydę kościoła, przyczałem się i nasłuchiwałem...

– Myślałem nad tym, *padre* – mówił mój mistrz. – Trzeba byłoby zmienić całą procedurę. Od złożenia doniesienia do samej kary. Przede wszystkim zrezygnowałbym z edyktu łaski. Jest niepotrzebny, bo nie będzie trybunałów objazdowych. Tylko stałe. Zamiast edyktu ogłaszanego raz na dwa lata trzeba wprowadzić permanentną inwigilację poddanych przez familiarów. I konieczny jest prawny obowiązek donosu. W ten sposób ludzie szpiegowaliby siebie nawzajem cały czas. Składaliby chętnie doniesienia, w obawie, by na nich ktoś czegoś nie doniósł. I trzeba byłoby wprowadzić system jakichś nagród za doniesienie. Na przykład otrzymywaliby od trybunału pochwałę. W ten sposób wywoływalibyśmy u nich wrażenie, oczywiście całkowicie mylne, że po złożeniu doniesienia mają chwilowy spokój, a wzrok trybunału się od nich odwraca, bo są dobrymi chrześcijanami. Rzecz jasna familiarzy śledziliby ich nadal, dyskretnie. W ten sposób, gdyby nam się udało rozkręcić spiralę strachu, gdzie każdy każdego by się obawiał, nawet samego siebie, gdyby nam się udało stworzyć przeświadczenie wśród poddanych, że trybunał wie wszystko i nic, absolutnie nic się przed nami nie ukryje, byłoby mnóstwo donosów. Jedne nakręcałyby drugie. W zasadzie trybunał nie musiałby nawet pracować z urzędu. – Mistrz mój mówił z przekonaniem i pewnością siebie.

Był zadowolony, a w jego oczach znów tlił się ów dziwny, wszechpochlaniający ogień. Widziałem, że Torquemada słuchał z zainteresowaniem tego, o czym mówił brat Armand, i przytakiwał mu głową w milczeniu.

– W procedurze także dokonałbym zmian. – Przeszli nieopodal

miejsca, w którym stałem, a mnie serce uwięzło w gardle. – Przede wszystkim nikt nie wiedziałby, o co jest podejrzany, ale zanim następowaloby aresztowanie, można byłoby zostawić go na wolności, informując go jednocześnie, że trybunał mu się przygląda. A wszystko to po to, aby przemyślał swoje zachowanie i przestał grzeszyć. Dzięki temu przez parę tygodni do czasu aresztowania, które byłoby nieuniknione, nerwy zrobiłyby z niego wrak człowieka. A potem przyszlibyśmy my. Chciałbym również, aby inkwizytorzy lub słudzy świeccy trybunału przychodzili z nakazem aresztowania po taką osobę. Teraz różnie się to praktykuje, a najczęściej delikwent dostaje wezwanie do stawienia się we własnym zakresie przed oblicze sędziów. I z tym stawiennictwem też różnie bywa. A gdyby tak przychodzić osobiście po podejrzanego? I w ten sposób zapewnić sobie jego stawiennictwo w siedzibie trybunału. A widok inkwizytora z orszakiem, prowadzącego więźnia do *santa casa* Inkwizycji, oddziaływały z pewnością na wyobraźnię tych, którzy pozostali na wolności i może także spodziewali się aresztowania. A do tego nikt nigdy nie znałby godziny, kiedy po niego przyjdą. Myślę, że ta niepewność byłaby najstraszniejsza... – Brat Armand uśmiechnął się z satysfakcją.

Mnie cierpła skóra, gdy opowiadał o swoich udoskonaleniach procedury inkwizycyjnej, jego to bawiło, a Torquemada był zachwycony. Podeszli blisko filarów, za którymi stałem, i musiałem mocniej wtulić się w ciemność, aby mnie nie zobaczyli.

– Wyrzuciłbym z procesu obrońcę – mówił dalej brat Armand. – Jest niepotrzebny i tylko przeszkadza. Teraz jeszcze czasami można spotkać obrońcę w procesie. Ja bym formalnie dopuścił taką funkcję, ale jednocześnie każdy, kto podjąłby się obrony heretyka, byłby natychmiast stawiany w podejrzeniu trybunału, bo skoro broni grzesznika, sam może mieć coś na sumieniu. W ten sposób nikt nie podjąłby się takiej roli w obawie o swoje życie. I funkcja obrońcy umarłaby śmiercią naturalną. My zaś mielibyśmy czyste ręce, bo formalnie umożliwialibyśmy oskarżonym prawo do posiadania obrońcy.

– Sprytnie, mój synu! – Przeor uśmiechnął się złośliwie.

Brat Armand mówił dalej:

– Jeśli w procesie nie brałby udziału obrońca, umieściłbym przepis

w procedurze, że sędzia inkwizytor w takiej sytuacji miałby obowiązek rozważyć także okoliczności przemawiające na korzyść oskarżonego i przeprowadzić właściwe po temu dowody. Czyli byłby także obrońcą. To byłoby logiczne, bo w nowej procedurze tylko sędzia znał będzie akta sprawy. Ani obrońca, ani prokurator, nie mówiąc już o podejrzanym, nie zostaną nigdy do nich dopuszczeni. Nawiasem mówiąc, prokuratora z procedury także bym wyrzucił, a jego rolę, czyli zbieranie dowodów i sporządzanie aktu oskarżenia, przerzuciłbym na sędziego inkwizytora, przewodniczącego składu orzekającego. Dzisiaj w większości trybunałów papieskich występuje prokurator, ale aktu oskarżenia się nie sporządza. W sensie dokumentu. Moim zdaniem to błąd. Pisemne oskarżenie powinno znajdować się w aktach. To, czy będzie ono ogłoszone oskarżonemu i kiedy, to już zupełnie inna sprawa, ale w aktach powinien być porządek. I każdy sędzia w trybunale musi być prawnikiem i teologiem. Inaczej nie będzie skuteczny. Wprowadziłbym trzy przesłuchania wstępne w celu wybadania podejrzanego. Byłyby one także szansą dla niego, aby dobrowolnie wyjawiał swe przewinienia i grzechy w zamian za bezkarność albo upomnienie czy też karę hańbiącą, w zależności od ciężkości przewinienia. Ale wówczas oszczędziłby życie. W praktyce te przesłuchania wstępne służyłyby całkowitej dezorientacji oskarżonego, bo stawałby przed sędziami, już byłby przesłuchiwany, jeszcze łagodnie, bez tortur, ale jeszcze nie znałby zarzutu, czyli przyczyny aresztowania. Mógłby się go jedynie domyślać, a w ten sposób, będąc przekonany, że o to właśnie nam chodzi, opowiedzieć przed trybunałem o tym, czego sędziowie jeszcze nie wiedzą. Po trzech wstępnych przesłuchaniach przewodniczący sporządzałby pisemne formalne oskarżenie, które byłoby więźniowi odczytywane. I chciałbym, aby wszystko w procesie, ale to absolutnie wszystko, było protokołowane. Pełna pisemność procesu. Wszystkie przesłuchania słowo w słowo, każdy gest oskarżonego, każda mina, każdy płacz, nawet każdy jego oddech. Potem, gdy sędzia będzie czytał akta przed wyrokowaniem, wszystko będzie zapisane w protokołach. Minuta po minucie cały proces. Dzięki temu zawsze, nawet już po wykonaniu kary, będzie można bez problemu odtworzyćczyjeś zeznanie, na przykład na potrzeby innego procesu, który akurat się toczy.

Bo przecież często postępowania będą się zazębiać. To nieuniknione. Teraz panuje w tej kwestii taki bałagan, a akta są niekompletne w takim stopniu, że należałoby inkwizytorów karać za brak porządku i dokładności! – zakończył mistrz pełen oburzenia.

– Wiedziałem, Armandzie, że jak nikt nadajesz się na inkwizytora i twórcę Nowej Inkwizycji – powiedział przeor z uznaniem i popatrzył na mego mistrza prawie z ojcowską dumą. – Będziemy potrzebować takich ludzi jak ty. Będiesz najlepszym inkwizytorem, jakiego ta ziemia nosiła. Musimy się jeszcze zająć torturami. Trzeba je udoskonalić, wymyślić nowe narzędzia, sformalizować te przesłuchania. Zajmę się tym. Matka Boska, Dziewica Maryja podsunęła mi już nawet pierwsze pomysły. – Przeor uśmiechnął się tajemniczo, a w blasku lampki oliwnej, którą niósł przed sobą, jego oczy błyszczały szatańskim ogniem. – Podobają mi się, Armandzie, twoje udoskonalenia. Są bardzo praktyczne i sensowne. A system strachu, który chcesz nakreślić, genialny jest, mój synu. – Torquemada położył mu dłoń na ramieniu jak dumny ojciec.

– Dziękuję, *padre*. – Brat Armand pochylił pokornie głowę. – To dopiero początek moich zmian. Opracowuję kolejne.

– Już niedługo, mój synu – dodał przeor bardzo tajemniczo, złowrogo i cicho, tak że musiałem wyteńczyć słuch, aby go usłyszeć. – Już niedługo...

Po tych słowach brat Armand skłonił się nisko ojcu Torquemadzie i ruszył przez dziedziniec do naszego segmentu. Schowałem się za filarem z drugiej strony i czekałem, aż wejdzie po schodach do swojej celi. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, pobiegłem co sił w nogach w stronę apsydy kościoła. Modliłem się, abym zdążył ją obejść, nim brat Armand wejdzie do swojej celi i wyjrzy przez okno, co często robi. Gdyby zobaczył mnie w alejce, z samego tylko faktu, że nie jestem w bibliotece, jutro wychłostałby mnie chyba osobiście. A nie chcę sobie nawet wyobrażać, co byłoby, gdyby domyślił się, że podsłuchiwałem jego z przeorem rozmowę, a domyśliłby się na pewno. Relegowałiby mnie z klasztoru, a mój ojciec wyrzuciłby mnie z domu. Umarłbym z głodu na ulicy, zaraziwszy się w pierw trądem...

Biegnąc do biblioteki, zobaczyłem pomiędzy przyporami apsydy

brata Constantino, opierającego się o jeden z filarów. Popatrzył na mnie i uśmiechnął się złośliwie, dając mi do zrozumienia, że widział, jak podsłuchuję przeora i brata Armanda, co oznaczało, że on także im się przyglądał, albo tylko mojemu mistrzowi. Z tej odległości nie mógł jednak słyszeć, o czym rozmawiali. Na jego widok serce omal nie wyskoczyło mi z piersi! Teraz jesteśmy tą tajemnicą związani obaj: ja znam jego, on moją. Pytanie, który z nas pierwszy powie bratu Armandowi...

Ukłoniłem mu się grzecznie, on skinął głową i pobiegłem dalej co sił w nogach do skryptorium, obiecując sobie w duchu stanowczo zaniechać podsłuchiwania rozmów mego mistrza, bo to grzech, i skupić się na modlitwie, nauce i służeniu braciom miłością i pomocą.

2 lipca

Kilka ostatnich nocy spędziliśmy wszyscy nowicjusze razem w skryptorium, przygotowując się do zajęć z bratem Armandem. Ostatniego wieczoru przyszedł do nas nawet Alejandro, mocno jeszcze obolały, za to znów uśmiechnięty. Ale ja i Juan wiemy, że ten uśmiech jest tylko dla innych, na pokaz, że tak naprawdę zarządzona przez przeora, a w zasadzie przez brata Armanda, ale to właściwie jedno i to samo, chłosta zostawiła na jego zawsze uśmiechniętej, pogodnej i optymistycznej duszy niezatarty ślad. Piętno. Alejandro nigdy już nie będzie tym samym beztróskim Alejandrem, z którym miesiąc temu siedziałem na posadzce biblioteki, wysłuchując opowieści o moim patronie, w którą nie chciałem uwierzyć. Ta chłosta złamała w Alejandrze hardość i odwagę, pozostawiając w tym miejscu ostrożność. Dużo mówi o zemście, ale ja wiem, że nie jest do niej zdolny. Wygaduje straszne rzeczy, gdy jesteśmy we trzech z Juanem, ale to gorycz i złość na brata Armanda przez niego przemawia. I ślad dawnego braku pokory. Wiem, że mu przejdzie.

W bibliotece zaś – jak zawsze w grupie – było nam wesoło. Więcej się śmialiśmy i wygłupialiśmy, nawet Ricardo, niż zajmowaliśmy się lekturą. Każdy opowiadał coś o sobie i swoim patronie i przez to lepiej

się poznawaliśmy. W skryptorium panował przyjemny półmrok, a wesołe ogniki wielu świec igrały na żebrach sklepienia ciepłym, przyjemnym blaskiem. Opactwo spało, a my – chyba po raz pierwszy – poczuliśmy się wspólnotą. Wspólnotą nowicjuszy.

Ja jednak, słuchając opowieści kolegów o ich patronach i relacjach, jakie z nimi mają, jak swobodnie się przy nich czują i jak beztrzesko, zazdrościłem każdemu z nich ich ze wszech miar lepszemu od mojego losu! Niechaj miłosierny Bóg wybaczy mi wielki grzech, ale tak, byłem zazdrosny. Zazdrosny i rozżalony, że mnie spotkało coś gorszego. Niezasłużenie. Nie chcąc jednak okazywać kolegom, jak bardzo boli mnie ich radość, także się uśmiechałem. Dla pozorów. I tylko po smutnym wzroku Alejandra i porozumiewawczych spojrzeniach Juana wiedziałem, że oni dwaj, jako jedyni, rozumieją potrząsk, w jakim się znalazłem.

Przy rozmowach i swawolach – bo wszak w mrokach skryptorium, podwojach biblioteki i samotności czytelnicy byliśmy całkiem sami – zastał nas świt i bijące na jutrznię dzwony. Pobiegliśmy więc na nabożeństwo, niewyspani, ale za to uśmiechnięci i nawet przez drogę żartowaliśmy z naszego wobec brata Armanda położenia. I z niego samego także, rzecz jasna, chociaż Ricardo nie włączał się do tych dowcipów. Moja ręka drży ze strachu i nie ośmieli się napisać tu żartów, jakie moi koledzy stroili sobie z Archanioła. Wolę o tym nie wspominać. Także ze względu na bezpieczeństwo mych przyjaciół i współuczestników tej dziwnej, nocnej warty w skryptorium.

Później

Po śniadaniu wróciłem z Oscarem do budynku biblioteki, aby posprzątać z pulpitów książki pozostawione przez nas w nocy. Zebraliśmy ich naręczą i zeszliśmy na pierwszy poziom biblioteki. Oscar praktycznie się nie odzywał, ale on w ogóle bardzo mało mówi. Za to słucha uważnie każdego słowa. Ma bystre, przenikliwe spojrzenie, trochę podobne do spojrzenia Torquemady. Nie jest ono jednak tak zimne.

Oscar jest samotnikiem i z nikim, nawet ze swoim patronem nie szuka kontaktu. Całe jego królestwo i cały świat stanowią książki i ta biblioteka. Ale nie ma rozdmuchanych ambicji jak Ricardo. Nie wywyższa się i nie obnosi ze swoją wiedzą. A przede wszystkim nie uważa się dzięki tej wiedzy za lepszego od innych, jak czyni to brat Armand. Oscar kocha książki tak bardzo, że kiedy się nań patrzy, odnosi się wrażenie, że są one wszystkim, czego potrzeba mu do życia.

Chodziliśmy we dwóch pomiędzy regałami i odkładaliśmy książki na półki, a właściwie Oscar bez zastanowienia i bezbłędnie prowadził nas do odpowiednich półek, według klucza rozmieszczenia książek w bibliotece, który z pewnością znał już na pamięć, podobnie jak topografię biblioteki. Nic nie mówił. Patrzyłem, jak swoją chudą i przeraźliwie bladą dłonią brał ode mnie każdą książkę, spoglądał przelotnie na okładkę, a czasem na sam grzbiet tylko i od razu ruszał w odpowiednim kierunku. Bo w tym miejscu trzeba od razu powiedzieć, że Oscar jest przeraźliwie chudy i blady, jakby nie oglądał w ogóle słońca i jedzenia. Odkąd jestem w Santa Cruz, mam wrażenie, że jeszcze schudł i zbladł. Ktoś, kto zobaczyłby go po raz pierwszy, mógłby pomyśleć, że człowiek ten głodował. A że rzadko się uśmiecha i mało mówi, wydaje się niedostępny. Ale prawda jest taka, że Oscar żyje zamknięty w swoim świecie, do którego wstęp mają tylko książki.

Oscar zaprowadził mnie do swojej samotni, którą urządził sobie na pierwszym poziomie biblioteki, w najdalszym od schodów i drzwi wejściowych jej krańcu. Dalej od ludzi już chyba się nie dało. Samotnię

tę tworzą trzy regały: dwa stoją pod dwiema ścianami w rogu, prostopadle do siebie, trzeci regał stoi na wolnej przestrzeni, stykając się prostopadle z drugim i tworzy coś na kształt trzeciej ścianki małego, powstałego w ten sposób pomieszczenia. Na jego środku stoi spory stół i krzesło, które przyniesiono ani chybi z czytelnicy, i mały lichterzyk na pięć świec, które służą Oscarowi za całe światło. Stolik zavalony jest przeróżnymi księgami, które leżą też w stertach na podłodze, w dość sporym nieładzie. Niektóre otwarte, widać, że niedawno wertowane, na innych porozkładane odręczne notatki, sądząc po charakterze pisma, robione naprędce, choć nie tyle z braku czasu, ile raczej w ferworze pracy i zapamiętaniu. Gdzieniegdzie pojedyncze rulony zwiniętych map walają się pod nogami. Typowa pracownia mola książkowego jak na moje oko.

– Wybacz nieporządek – przeprosił Oscar nieco speszony. – Nie mogę tracić czasu na sprzątanie. Zresztą i tak nic by to nie dało.

Uśmiechnąłem się.

– Nie przeszkadza ci taki bałagan? – zapytałem, bo ja chyba nie umiałbym pracować w taki sposób.

– O, nie! – roześmiał się. – Odnajduję się w nim. Bardzo dobrze wiem, gdzie co leży, wiem, gdzie czego szukać. Nie muszę marnować czasu na zamykanie książek, a potem ponowne ich otwieranie.

Przychodzę tu i od razu siadam do czytania.

Rozejrzałem się po półkach z książkami. Panował na nich podobny nieład jak na biurku i podłodze.

– Brat Jorge i brat Santiago wiedzą, że urządziłeś sobie tu drugą celę? – W zasadzie znałem odpowiedź na to pytanie.

Oscar skinął głową.

– Tak – westchnął. – Choć na początku nie było łatwo. Nie zapytałem ich o zgodę, tylko tutaj przesiadywałem. Najpierw zwyczajnie na podłodze między regałami i to gdzie popadnie. Zdarzało mi się tutaj zasnąć i brat Santiago albo brat Jorge znajdowali mnie tu rano po porannych modlitwach. Trochę mi się za to dostawało. Ale z czasem zorganizowałem sobie mały kącik w najodleglejszej części biblioteki, żeby nikt mi nie przeszkadzał. Przyniosłem sobie klepsydrę, żeby odmierzać czas i nie spóźniać się na jutrznię. Pod ziemią nie zobaczę

przecież porannych zorzy, a i dźwięk dzwonów tutaj nie dolatuje.

– A dużo czasu tu spędzasz?

Oscar spojrzał na mnie zmieszany.

– W zasadzie cały czas – odpowiedział. – Wychodzę stąd tylko na posiłki i modlitwy. W większości przypadków nawet tutaj śpię.

– A dyżury, które brat Armand ustanowił? – Nie wydawało mi się prawdopodobne, aby mistrz mój godził się na nieposłuszeństwo.

– Rozmawiałem z bratem Santiago, który te dyżury uważa za niedorzeczne. – Oscar się ożywił. – Więc jego zgody nie musiałem się dopraszać. Mój patron rozmawiał także z ojcem Castellano de Corell, który zgodził się na to, abym zaniechał dyżurów, jeśli w tym czasie miałbym się uczyć.

Zaniemówiłem ze zdziwienia. Alejandro dostał cięgi za to, że ośmielił się na wykładach mieć inne zdanie niż mój mistrz, a Oscar zwyczajnie lekceważy polecenia brata Armanda i Archanioł jeszcze temu przyklaskuje!

– Trudno mi w to uwierzyć – powiedziałem może nieco zbyt szorstko.

Oscar popatrzył na mnie smutno i może mi się wydawało, a może naprawdę zobaczyłem w jego spojrzeniu współczucie. Dla mnie, jak się domyślałem. Zrobiło mi się przykro.

– Antonio, jesteś uczniem brata Armanda, a jeszcze nie zauważyłeś, że chęcią do nauki, pilnością, wiedzą i ambicją można u niego wszystko załatwić? – powiedział te słowa z goryczą i rozczarowaniem, ale była to święta prawda.

– Zauważyłem. – Pokiwałem głową i przeszedłem się po samotni Oscara, lawirując pomiędzy stosami książek na podłodze. – Problem w tym, że ja nie mam takiego zapału do nauki jak ty i Ricardo.

– Ricardo to pozer i pochlebca – skwitował Oscar. – Nie wzoruj się na nim, chociaż brat Armand go lubi. Udawaj zatem, Antonio. Udawaj, że ci zależy. Na studiach. Na książkach. Wtedy będziesz miał w klasztorze złote życie.

– Ja nie potrafię udawać. – Spojrzałem zimno na Oscara.

– Antonio, nowicjat to szmat czasu! Nie urządzaj sobie tu piekła! Ja kocham książki. Ale zobacz, co spotyka tych, którzy ich nie kochają.

Przypomnij sobie chłostę Alejandra – ostatnie zdanie Oscar wyszeptał.
Wiedziałem, że ma rację.

– Nie mogę tak żyć – rzuciłem do niego, chyba zbyt ostro. – Ty podziwiasz mojego mistrza. Przesiadujesz tu dniami i nocami. Chcesz tak przesiedzieć całe życie? Po co to robisz?

Oscar usiadł za swoim biurkiem i przysunął do siebie otwartą wcześniej książkę.

– Nie zamierzam spędzić tu reszty życia, jeśli o to pytasz – odpowiedział po chwili ciszy i słyszałem w jego głosie żal. – Będę studiował. I nie fascynuję się bratem Armandem, raczej podziwiam jego wiedzę. Ale masz rację, wszystko ma swój cel. Moje działania także. Nie chcę żyć i umrzeć w beznadziei, nie poznawszy nawet odrobiny tego pięknego świata i jego historii zapisanej w książkach. Chcę tej wiedzy dla niej samej. Aby żyć pełnią życia. Nie chcę się wywyższać ani z nią obnosić. Chcę tę wiedzę po prostu mieć. Może mi się kiedyś przyda. *Padre* Torquemada planuje powołać w Kastylii Świętą Inkwizycję. Zamierzam zostać inkwizytorem. W dalekiej przyszłości, rzecz jasna. I dołączyć do tego wąskiego grona świątłych tego świata.

Zadrzałem na dźwięk słów Oscara, w których deklarował chęć orzekania w przyszłych świętych trybunałach.

– Nie wierzę własnym uszom! – prawie wykrzyknąłem. – Inkwizytorem?

– A dlaczego nie? – Oscar obruszył się. – To całkiem dobre zajęcie. Poza tym potrzebują wykształconych ludzi i masz możliwość wśród takich ludzi się obracać. Śledztwa są coraz bardziej skomplikowane, a herezje coraz bardziej wyszukane i ukryte.

– Torquemada zamierza zreorganizować Inkwizycję – powiedziałem z wyrzutem. – Zmienić ją w straszny, niewyobrażalnie straszny morderczy system terroru! W tym chcesz wziąć udział?!

Oscar uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nie przesadzaj, Antonio. Inkwizycja to Inkwizycja. Powołał ją papież w takim, a nie innym kształcie i przeor nie ma tu nic do gadania. Nie może tak po prostu zmieniać sobie wedle uznania instytucji, która ma dwieście pięćdziesiąt lat. Pleciesz bzdury i widzę, że i tobie udzieliła się psychoza, która z wolna ogarnia całe opactwo. Psychoza spisku

przeora i brata Armanda.

– Oscar, nawet nie wiesz, co oni knują! Razem chcą... – Popatrzyłem nań, ale napotkałem jego niedowierzający, nieco ironiczny wzrok. – Zresztą nieważne. – Machnąłem ręką. – Rób, co uznasz za stosowne. To nie moja sprawa. – Obszedłem biurko i skierowałem się do wyjścia.

– Antonio... – głos Oscara zatrzymał mnie w pół kroku. – Bardzo mi ciebie żal...

Chociaż stałem tyłem, oczami wyobraźni widziałem jego bladą twarz i malujące się na niej dla mnie współczucie, które bolało jak dopiero co wymierzony policzek. Odwróciłem się w jego stronę.

– Nie – powiedziałem. – To mnie żal jest ciebie.

Po tych słowach szybkim krokiem ruszyłem przez bibliotekę, a potem przez skryptorium. Minąłem brata Santiago, który ze zdumieniem popatrzył, jak wychodzę wzburzony. Krzyknął coś za mną, ale nie słuchałem. Zły byłem na siebie za mą słabość, zły, że Oscar tak szybko przejrzał mnie i moje uczucia. Ale najbardziej bolało mnie, że litował się nad moim losem, co prawda bardzo oględnie, ale jednak. Według niego i być może innych braci i nowicjuszy potrzebowałem współczucia.

Wybiegłem przed budynek, gdzie na chwilę oślepił mnie jasny blask przedpołudniowego słońca. Upały o tej porze roku bywają niemiłosierne i taki właśnie upał lał się z czystego nieba nad Santa Cruz. W porównaniu z przyjemnym, nieco wilgotnym chłodem skryptorium i biblioteki duszne powietrze na zewnątrz paliło mi gardło. Stałem tak kilka chwil z przymkniętymi oczami, oparty o filar alejki i oddychałem ciężko. Znalazłem się w sytuacji, w której każde wyjście było złe. I nie wiedziałem, co robić.

– Tu jesteś, Antonio! – Aż podskoczyłem, gdy usłyszałem głos brata Armanda.

Otworzyłem oczy. Szedł w moim kierunku od strony refektarza.

– Coś się stało? – zapytał mistrz, widząc, że stoję pod filarem i się nie ruszam. – Źle się czujesz?

– Nie, *padre*. – Pokręciłem przecząco głową. – Byłem w bibliotece. Mam teraz z Oscarem dyżur.

Brat Armand machnął ręką.

– Daj spokój z dyżurem – powiedział. – Jesteś mi potrzebny w szpitalu. Pomożesz mi szyć rany darte. Chodź, prędeż!

Ruszyliśmy szybko na skos przez trawnik obok budynku pralni i kościoła w stronę głównej furty klasztoru.

– Dwóch robotników zwijało drut kolczasty, ktoś trzeci zań pociągnął i tamci mają całe przedramiona i ramiona poharatane. Juan nie mógł przyjść, brat Constantino wrócił do kościoła na Anioł Pański, który zaraz odprawi. Ja i Alvaro sami sobie nie poradzimy. Później wytłumaczę cię przed bratem Jorge.

Wbiegliśmy do szpitala. W ambulatorium na podłodze leżeli dwaj około trzydziestokilkuletni robotnicy, cali we krwi. Obok jednego klęczał brat Alvaro i szył jedną z licznych ran, które rozdzierały mu, dosłownie rozdzierały, skórę na całych rękach, aż po pachy. Obok drugiego robotnika uwijały się siostry, starając się zatamować krwawienie.

Brat Armand w okamgnieniu znalazł się przy szerokiej, blaszanej misie, podwinął rękawy kuty i zaczął myć dokładnie ręce, aż do samych łokci.

– Antonio! – zawołał na mnie upominająco mistrz. – Nie stój tak! Do mycia! – ponaglił.

Podszedłem do misy, do której siostry nalały świeżej wody, zakasałem rękawy i zmusiłem się do mycia rąk. Zmusiłem, bo perspektywa szycia ran robotnika na żywca i w potokach krwi przyprawiała mnie o mdłości.

– Antonio – głos brata Armanda wyrwał mnie z rozmyślań – umyj ręce jak najdokładniej. Do łokci. – Mistrz odszedł kilka kroków od misy z uniesionymi rękami, pozwalając im samym wyschnąć.

Szorowałem się dokładnie, gdy tymczasem jedna z siostr poliała dłonie mego mistrza jakimś przezroczystym płynem. Po jego intensywnym zapachu poznałem, że to ten sam, którym brat Alvaro przemywał rany Alejandra po chłóście, i ten sam, którego mój mistrz używał do przemycia rany twarzy trędowatemu człowiekowi. *Aqua vitae*.

Kiedy skończyłem się myć, na moje dłonie także wylano ów płyn.

Piekła mnie skóra i trzymałem dłonie wciąż w górze. Siostry tymczasem przyoblekły brata Armanda i mnie w czyste, nakrochmalone świeżo, sztywne fartuchy.

– Ojcie... – zacząłem niepewnie. – Ja nie wiem, czy się przydam... Jeśli coś źle zrobię... Albo...

– Antonio – mistrz uśmiechnął się do mnie, co ostatnio stanowi rzadkość – wszystko ci pokażę. Dasz radę. To nic skomplikowanego. Przecież chcesz być lekarzem.

Pokiwałem głową, ale serce waliło mi jak młotem na myśl, że za chwilę będę szył żywego człowieka.

Uklękliśmy z bratem Armandem po dwóch stronach leżącego mężczyzny. Siostry odsłoniły jego ramiona i zabrały opatrunki uciskające. Krew chlusnęła świeżymi strumieniami i od razu, bez zastanowienia ucisnąłem świeżym płótnem rany, które miałem zszywać. Patrzyłem, co robi brat Armand. On zaś obejrzał dokładnie rany. Kilkakrotnie zmoczył płótno i przecierał broczącą krew, żeby nie zasłaniała mu widoku. Potem poprosił o igłę i nici.

– Antonio, przypatrz się, jak ja to robię – powiedział do mnie. – A potem zacznij szyć. Tylko nie zwlekaj zbyt długo. Nie możesz się guzdrać, bo człowiek się wykrwawi.

– Tak, *padre* – odpowiedziałem, coraz bardziej przerażony.

– Zacznij od tych ran, które najbardziej krwawią. – Brat Armand uchwycił palcami dwa brzegi skóry i przebił przez nie igłę.

Robotnik skrzywił się, ale leżał nieruchomo. Patrzyłem, jak mój patron wprawnie macha igłą i zszywa raz za razem coraz dalej jedną z większych ran. Zachowywał przy tym skupienie i uwagę i odniosłem wrażenie, że nie było takiej rzeczy na świecie, która mogłaby go teraz rozproszyć. Nawet Święta Inkwizycja nie miała szans z pacjentem. To było to, o czym opowiadał mi niedawno brat Alvaro. Dla mojego mistrza najważniejsza była medycyna. Tylko to się liczyło. Reszta była potem. Dalej. Po medycynie. Naprawdę przyjemnie było patrzeć, jak szyje tę ranę sprawnie, skutecznie, z łatwością. Zaiste, brat Armand jest świetnym lekarzem!

– Antonio, szyj! – ponaglił mnie mój mistrz, nie przerywając swojej roboty.

Wziąłem głęboki wdech i wolno odkryłem rany na ramieniu robotnika, które miałem szyc. Śladem brata Armanda umoczyłem płótno w wodzie i przemyłem kilka razy ramię pacjenta, żeby się zorientować w sytuacji. Jedna z sióstr pochyliła się nade mną i podała mi igłę z nawleczoną na nią nicią. Igła była jeszcze gorąca od płomienia świecy, nad którym została odkażona.

– Zaczynij od tej głębokiej rany. – Brat Armand wskazał mi palcem obficie krwawiącą niewielką na zewnątrz ranę w okolicy zgięcia łokcia. – Ta jest najniebezpieczniejsza, bo biegnie obok dużego naczynia krwionośnego – dodał. – Unoś skórę przy szyciu, żebyś nie rozciął naczyń.

– Tak, *padre*. – Jeszcze raz przemyłem tę ranę.

W jej dnie faktycznie biegło błękitnawe naczynie wypełnione jasnoczerwoną krwią. Drżącą ręką ująłem skórę z obu stron rany i przyłożyłem do niej ostrze igły.

Boże, pomóż mi! – pomyślałem. Zamknąłem oczy i wbiłem igłę na wylot. Przeszła ładnie. Ale gdy chwyciłem ją, żeby przewlec nitkę, widziałem na tle sylwetki klęczącego po drugiej stronie rannego pacjenta brata Armanda, jak dłoń moja dygotała ze strachu, z emocji, z wrażenia. Tak wyglądało moje pierwsze w życiu szycie rany! Dalej poszło mi już o wiele łatwiej, choć nie mówię, że bez wrażeń.

Mistrz mój skończył przede mną i poszedł pomagać bratu Alvaro. Obejrzał przedtem moje szycie, a zdołałem zszyć dopiero trzy rozcięcia.

– Dobrze, Antonio. – Uśmiechnął się. – Masz dar, tylko brak ci wiary w siebie. – Poklepał mnie po ramieniu.

Zrobiło mi się przyjemnie, zwłaszcza że ostatnio nasze stosunki z bratem Armandem nie układały się najlepiej.

Pieczołowicie, odnalazłszy w tym pasję, dokładnie i z należytą uwagą nowicjusza ukończyłem szycie dziewięciu ran na ręce robotnika, który z doprawdy anielskim spokojem poddawał się tym zabiegom. Gdy odłożyłem igłę, byłem mokry od potu i jednocześnie szczęśliwy, że mi się udało. Nie sądziłem, abym kiedykolwiek wykonywał takie czynności, a tu nie dość, że je wykonywałem, to jeszcze odnalazłem się w tym i w dodatku nie czułem zmęczenia, ale rozpieszczała mnie radość.

Zdejmowaliśmy fartuchy z bratem Armandem, a ojciec Alvaro mył

ręce z zaschniętej i świeżej krwi, gdy do ambulatorium wbiegł brat Constantino po nabożeństwie na Anioł Pański. A widząc, że wszystko już zrobione, odetchnął z ulgą.

– Bałem się, że sobie nie poradzicie, a ja nie zdążę – powiedział brat Constantino, przekraczając próg ambulatorium.

– Antonio nam pomógł. – Brat Armand objął mnie ramieniem i uścisnął z serdecznością, jakiej bym się po nim nie spodziewał. – Ten chłopak ma w rękach dar.

– Nie, jak tylko... – Chciałem powiedzieć, że jedna jaskółka wiosny nie czyni, ale mistrz przerwał mi.

– Robiłeś to pierwszy raz w życiu, ale poradziłeś sobie jak stary wyga. Zachowałeś przytomny umysł i zimną krew. – Położył mi dłonie na ramionach. – Rzadko mówię to uczniom, ale dziś byłem z ciebie dumny, Antonio. – Brat Armand znów się uśmiechnął. – A nerwy z czasem miną i będziesz robił wszystko bardziej wprawnie. Praktyka, Antonio. Potrzebna jest praktyka.

Wydawało mi się, że brat Armand chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tym momencie w drzwiach ambulatorium stanął zdyszany świecki człowiek, który łapiąc chciwie powietrze, mówił urwanymi zdaniami:

– *Padre...* – Ukłonił się nisko przed bratem Armandem. – Niosą chorego... Ma gorączkę... Wysoką... Gorączkę... Majaczy...

– Wynieście stąd rannych! – mistrz mój wydał polecenie. – Szybko!

Ja, brat Alvaro i brat Constantino pomogliśmy siostronom postawić na nogi dwóch robotników i ostrożnie, żeby nie pozrywać szwów, odprowadziliśmy ich na pierwszą zaraz za drzwiami korytarza salę chorych. Mieli na niej pozostać do jutra po południu, aby była pewność, że do zszytych ran nie wda się zakażenie i nie wystąpi gorączka.

Potem wyszliśmy z bratem Armandem przed szpital, gdzie czterech mężczyzn przyniosło w kocu nieprzytomnego, starszego człowieka. Krople potu obficie zraszały jego czoło, twarz miał czerwoną i obrzękniętą. Brat Armand podniósł jedną z zamkniętych powiek chorego i obejrzał oko, które było przekrwione. Potem przyłożył dłoń do jego czoła i zmierzył puls.

– Za wolny – powiedział i natychmiast rozdarł szaty chorego na

brzuchu. – O Boże... – szepnął, a potem wziął głęboki wdech.

Brzuch nieprzytomnego mężczyzny usiany był licznymi, niewielkimi, bordowymi plamami. Patrzyłem na to zszokowany.

– Tyfus plamisty – powiedział mój mistrz, wstając z kolan.

Na dźwięk tych słów ludzie, którzy przynieśli chorego, natychmiast cofnęli się o krok od koca.

– Bardzo mi przykro – brat Armand zwrócił się do czterech wystraszonych mężczyzn. – Zatrzymuję was w szpitalu na kwarantannę. Dobrze znacie chorego?

– To nasz ojciec – odpowiedział jeden.

Brat Armand pokiwał głową w skupieniu.

– Antonio, wiesz, co należy teraz zrobić? – Mistrz spojrział na mnie stojącego nieco z boku.

– Wygotować odzież... – powiedziałem niepewnie, pamiętając, jak brat Alvaro mówił, że tyfus plamisty przenoszą wszy.

– Dobrze! – Brat Armand uśmiechnął się. – A dlaczego?

– Żeby zabić wszy, które roznoszą chorobę – odpowiedziałem.

– Brawo! – wykrzyknął mistrz. – Widzisz, Antonio, do czegoś jednak przydają ci się noce spędzone na nauce.

Chciałem dodać, że to nie z książek wiem to wszystko, ale brat Alvaro za plecami ojca Armanda przyłożył palec do swych ust, nakazując mi milczenie.

– Trzeba też chorych ogolić do gołej skóry – powiedział mój mistrz. – Należy zgolić całe owłosienie na ciele. Wszystkim. A potem kąpiel. Siostry się tym zajmą.

Obejrzałem się, ale wszyscy i bez słów brata Armanda wiedzieli, co mają robić.

– Bracie Constantino – mistrz mój zwrócił się do ojca Veliger de Vargas – przygotuj, proszę, ostatnią salę dla chorych. Leży w niej tylko jeden człowiek. Ten z malarią. Trzeba go przenieść do przedostatniej sali. Musimy urządzić kwarantannę.

Brat Constantino skłonił się i bez słowa odszedł w stronę szpitala.

– Teraz jest się czym martwić – powiedział do mnie brat Armand, nawiązując, jak sądziłem, do poprzednich przypadków zachorowań i obaw brata Constantino. – Teraz naprawdę grozi nam epidemia[15] –

dodał poważnie.

Zadrzałem na dźwięk jego słów i odruchowo także cofnąłem się od leżącego w kocu chorego mężczyzny i jego czterech synów. Brat Constantino znikł w ciemnej sieni szpitala. W niedługi czas przyszły siostry z kotłami na odzież, a brat Alvaro przyniósł brzytwę do golenia. Założył na siebie płócienny kombinezon z rękawicami.

– Bracie Armandzie, ja się tym zajmę – powiedział i uklęknął przy chorym.

Ukloniliśmy się z moim mistrzem i wróciliśmy do szpitala, gdzie jeszcze raz się obmyśliśmy. Potem wróciliśmy za mury klasztoru.

– Powiedz mi, Antonio, skąd naprawdę wiedziałeś, jakie są drogi zakażenia tyfusem plamistym? – zapytał brat Armand w drodze powrotnej. – W książkach, które zleciłem ci do czytania, nie ma o tym ani słowa. A innych z pewnością nie czytałeś. Skąd zatem ta wiedza?

Spuściłem głowę. Cóż miałem mu odpowiedzieć? Ale coś powiedzieć musiałem.

– *Padre*... Ja... – Starłem się zyskać na czasie i coś wymyślić, ale nic nie przychodziło mi do głowy. – Nie pamiętam... Chyba...

Brat Armand popatrzył na mnie podejrzliwie, ale zdawało mi się, że nie był zły. Ale mogło mi się tylko zdawać.

– Antonio, do mnie mówi się tylko prawdę – upomniał mnie jak inkwizytor. – Ktoś opowiedział ci o mojej rodzinie, prawda?

Spojrzałem nań wystraszony.

– O mojej matce, która zaraziła się tyfusem w szpitalu, gdy obeszły ją wszy. I o mnie, że cudem ocalałem, czy tak? – zapytał z naciskiem.

Skinąłem w odpowiedzi głową.

– Nie wiem, co powiedzieć, *padre*. – Naraz zrobiło mi się wstyd, że za plecami mistrza wysłuchuję opowieści o nim.

Brat Armand uśmiechnął się pobłaźliwie, chociaż byłem pewien, że urządzi mi awanturę. Ten człowiek naprawdę jest nieprzewidywalny!

– Spodziewałem się, że prędzej czy później usłyszysz tę historię. – Popatrzył na mnie uważnie. – Nie interesuje mnie, skąd czerpiesz wiedzę medyczną, jeśli robisz to skutecznie. Co prawda wolałbym, abyś nie rozmawiał o mnie za moimi plecami ze współbraćmi, ale obawiam się, że to niemożliwe. Z pewnością dyskutowaliście także przypadek

Alejandra i zarządzoną dla niego karę. Twoja głodówka także, jak sędzę, była powodem do plotek. Dochodziły mnie słuchy. – Brat Armand zatrzymał się przed furta opactwa. – Antonio, nie marnuj czasu na błahe rzeczy. Ucz się. Korzystaj z błogosławieństwa dostępu do wiedzy. Wielu ludzi nie ma tej możliwości, choć jej pragnie. Ty masz to na wyciągnięcie ręki, ale gardzisz tą wiedzą. Opamiętaj się. Dobrze ci radzę. Kiedy stracisz wiarę w to, co robisz, przypomnij sobie, jak dziś się czuleś, pomagając mi szyć rany. Albo gdy stawialiśmy diagnozę o tyfusie i wiedziałeś, co należy robić. Przypomnij sobie tę dumę i radość.

– Tak, *padre* – odparłem. – Postaram się bardziej.

Weszliśmy w bramę Santa Cruz. Mistrz mój poszedł prosto do gabinetu przeora, ja zaś pobiegłem do kuchni, zobaczyć, czy nie zostały jakieś resztki z obiadu.

4 lipca

Brat Armand użyczył mi swoje księgi medyczne i ostatnie dni spędziłem na pilnym ich studiowaniu. Tym samym zwolnił mnie z reszty dyżuru w bibliotece i skryptorium. Ale nauki mam za to dwa razy tyle, bo wieczorami i tak uczę się prawa i przygotowujemy się z pozostałymi nowicjuszami do zajęć z moim mistrzem.

Po południu do brata Armanda przyszedł Ricardo, bo miał jakiś problem prawny, a nie znalazł rozwiązania w żadnym z kanonów. Akurat omawiałem z mistrzem kolejne przypadki tyfusu plamistego, bo wszyscy czterej synowie starszego człowieka przyniesionego w kocu dwa dni temu do szpitala także zachorowali. Wyszędłem, aby nie przeszkadzać Ricardo w rozmowie z jego autorytetem. A tak naprawdę szukałem pretekstu, aby wyjść na powietrze. Zanim jednak przestąpiłem próg celi brata Armanda, mistrz przykazał mi, abym wykorzystał wolny czas na naukę w bibliotece.

Wyszędłem na dziedziniec i przeciągnąłem się leniwie. Przy fontannie spotkałem Juana i jeszcze nieco obolałego Alejandra. Wypytywali, co się dzieje w szpitalu, bo chodzą słuchy, że jest epidemia.

Rozmawialiśmy dobre pół godziny, rozkoszując się błogą ciszą popołudnia, gdy naraz rozległo się dudnienie do furty klasztornej. Odwróciliśmy się w tamtą stronę, a brat José pospieszył otworzyć. W chwilę później na teren opactwa wjechał na koniu świecki, bogato ubrany człowiek, który od furty wołał:

– Królowa! Królowa przybędzie do Segowii! – Zsiadł z konia.

Spojrzałem na nasz segment. W oknie ukazała się sylwetka mego mistrza, a następnie zbiegł on po schodach i ruszył w naszą stronę. Brat José pospieszył po przeora. W chwilę później brat Torquemada zjawił się na dziedzińcu przed furcą, brat Armand także.

Świecki człowiek okazał się posłańcem. Uklęknął przed przeorem i ucałował pierścień na jego prawej dłoni.

– Czcigodny ojcze, Jej Wysokość Królowa Izabela wkrótce przyjeżdża do Segowii – powiedział, nadal klęcząc. – Jej życzeniem jest odwiedzić Convento de Santa Cruz. Oto list Jej Królewskiej Mości do ojca przeora. – Posłaniec wyjął z przewieszanej przez ramię torby elegancko złożony list, opieczetowany dużą, okrągłą pieczęcią. Bez wątplenia były na niej herby Kastylii i Aragonii, ale z tej odległości nie mogłem tego zobaczyć.

Przeor odebrał list i polecił posłańcowi wstać z kolan. Złamał pieczęć, rozłożył papier i przeczytał uważnie, a następnie podał list bratu Armandowi. Na dziedzińcu zbiegło się kilku mnichów, zaniepokojonych głośnym zajściem, którzy teraz w skupieniu i ciszy oczekiwali, co oznajmi przeor.

– Bracie – *padre* Torquemada zwrócił się do gońca – przekaz Królowej, że będzie dla nas największym honorem i zaszczytem gościć Jej Królewską Mość w naszych skromnych progach.

Posłaniec uklonił się i ruszył do furty, prowadząc za uzdę konia, który tymczasem zaczął obgryzać kwiaty róż zwieszające się z filarów pobliskiej alejki. Brat José odprowadził gońca do wyjścia. Wszyscy czekaliśmy na nowiny.

– Słyszeliście, bracia! – odezwał się w końcu przeor. – Królowa Izabela nas odwiedzi. Zapowiedziała swą wizytę na dzień piętnasty lipca, czyli za jedenaście dni. Trzeba poczynić przygotowania, a czasu jest mało. Na jutrzejszy ranek zwołuję zebranie wszystkich w kapitułarzu

– zakończył tajemniczo.

Mnisi na dziedzińcu szeptali między sobą i z wolna zaczęli się rozchodzić.

– Bracie Armandzie, pozwól do mojego gabinetu. – *Padre* Torquemada wskazał zapraszającym gestem alejkę prowadzącą do jego segmentu. – Musimy omówić wiele spraw.

Brat Armand ruszył z przeorem, rzucając mi po drodze rozczarowane i gniewne spojrzenie, które zmroziło we mnie całe ciepło. Z pewnością wyrzucał mi w nim, że nie poszedłem do biblioteki, jak kazał, ale stałem z Juanem i Alejandro, tracąc czas na rozmowę, która z jego punktu widzenia była bez sensu. Zmieszałem się i spuściłem wzrok.

Czasem myślę, że sam proszę się o cięgi, bo zamiast posłuchać mistrza, zostałem na dziedzińcu. Alejandro rzucił kilka ostrych uwag pod adresem tajnego sprzysiężenia Torquemady, Królowej i Archaniola i stwierdził, że idzie do swej celi odpocząć. Rany jeszcze są świeże. Boi się, że cienka skóra na zrostach popęka i znów trzeba będzie zszywać.

Zostaliśmy z Juanem sami. Brat Armand i przeor zniknęli w przedsionku gabinetu *padre* Torquemady. Wybierałem się do biblioteki.

– Ciekawe, po co przyjeżdża? – zastanawiał się głośno Juan, a widząc moje zaskoczone spojrzenie, dodał: – Królowa. To nie przypadek, że chce się widzieć z przeorem.

– Muszę już iść, Juan. – Spojrzałem wyczekująco na apsydę Kościoła i alejkę prowadzącą do biblioteki. – Po cokolwiek przyjeżdża, to nie nasza sprawa.

– Jak to: nie nasza?! – Juan wyraźnie się ożywił. – Jak najbardziej nasza! A gdybyśmy tak podeszli pod okno, posłuchać?... Co o tym myślisz?... – Juan uszedł parę kroków w stronę dormitorium.

– Co?! – zapytałem zdezorientowany, a widząc, że Juan najwyraźniej zamierza podsłuchiwać rozmowę brata Armanda i *padre* Torquemady, zeszytniałem ze strachu. – Oszalałeś? Ja idę do biblioteki.

Odwrociłem się, ale Juan złapał mnie za rękaw kuty i pociągnął za sobą pod segment przeora. Bogato zdobione witrażowe okno było

uchylone.

– Tylko na chwilę, Antonio... – Juan przyłożył palec do ust i oparł się plecami o elewację gabinetu.

Ja także przytuliłem się do muru po drugiej stronie okna.

– Brat Armand zabije mnie, jak nas tu zastanie – wyszeptałem. – Zobaczysz.

Ale Juan tylko machnął ręką. Dygotałem ze strachu, ale skłamałbym, gdybym napisał, że i mnie nie trawiła ciekawość, co zawierał list od Królowej, bo bez wątpienia o nim zamierzali obaj z przeorem rozmawiać. Wziąłem głęboki wdech...

– Królowa zaaprobowała nasz pomysł, Armandzie – z wnętrza gabinetu dobiegł nas głos brata Torquemady. – Naszą Nową Inkwizycję. To list wyrażający zgodę Jej Królewskiej Mości. Gdy przyjedzie, przywiezie ze sobą oficjalną zgodę w postaci edyktu. Na piśmie. – Przeor był wyraźnie uradowany i słycać było podniecenie w jego głosie.

– Czyli wszystko zgodnie z planem i twoją wolą, ojcze. – Głos brata Armanda również był rozentuzjasmowany.

– Spodziewam się, że Królowa przywiezie ze sobą listy intencyjne do papieża – mówił dalej przeor. – Chciałbym jak najszybciej wyruszyć do Watykanu, aby prosić papieża w imieniu Królowej o wyrażenie zgody na powołanie w Kastylii Świętej Inkwizycji – mówił gorączkowym, pełnym radości i satysfakcji głosem, jakby obaj planowali utworzenie instytucji charytatywnej, a nie zbrodniczej.

Juan spojrzał na mnie ze zgrozą.

– Papież połknie haczyk, wiedziony chęcią rozciągnięcia swej władzy na terytoriach Hiszpanii – odezwał się brat Armand. – Może wyda bullę jeszcze w tym roku.

– Może? – Prawie widziałem, jak przeor chodzi po swym gabinecie. – Musi ją wydać jeszcze przed jesienią. Już moja w tym głowa. Nie ma na co czekać, Armandzie. Samo budowanie zrębów nowej Inkwizycji, oderwanie jej od papieża i zebranie podstawowych informacji dla archiwów trybunałów to praca przynajmniej na dwa lata. Królowa o tym wie. Na ten czas będę musiał wyjechać na dwór do Toledo, żeby wszystkiego dopilnować. – Zatrzymał swe kroki gdzieś

w okolicach okna. – Wszystko musi pójść tak, jak tego chcemy. My, Torquemada.

– Tak, *padre* – przytaknął mój mistrz.

Najciszej jak umieliśmy odeszliśmy z Juanem spod okna i szybkim, acz nie wzbudzającym podejrzeń krokiem ruszyliśmy w stronę biblioteki.

– To już wiesz, po co przyjeżdża Królowa – skomentowałem. – Zresztą to było do przewidzenia. Mówiłem ci, pamiętasz?

Juan był zszokowany, a na jego twarzy malowało się bezgraniczne zaskoczenie.

– Trzeba coś zrobić... – wymamrotał. – Trzeba ich powstrzymać.

Teraz ja stanąłem jak wryty, nie dowierzając własnym uszom.

– Ja umyvam ręce – powiedziałem. – Tu i tak nie ma już nic do zrobienia. Nie dasz rady porozumieniu Torquemady i Królowej. Brat Alvaro nas ostrzegął, pamiętasz? Ja nie chcę skończyć przywiązany do desek dzwonnicy pod razami rzemienia bata. – Uszedłem kilka kroków.

Juan został w tyle. Chciałem jeszcze do niego wrócić, ale musiałem czym prędzej znaleźć się w bibliotece. Nie mam pojęcia, skąd w Juanie brał się ów bunt. Zresztą, może od zawsze gdzieś w nim tkwił. Ale skąd miał odwagę, aby zadzierać z osobami pokroju ojca Torquemady lub brata Armanda? Ja wolałem schować się w cień. Przeczekać. Moja interwencja byłaby mała i cichutka i raczej rozbawiłaby przeora, niż udaremniła jego plan. Poza tym, skoro tego chce Królowa, muszę uwierzyć, że jest to najlepsze dla ludu, że właśnie tego potrzebuje teraz Hiszpania. Ale wiara ta nie przychodzi mi lekko. Odrzucam jednak złe myśli.

Przekroczyłem próg skryptorium...

6 lipca

Wczoraj wczesnym rankiem przeor zwołał wszystkich do kapituły na naradę. Sala zgromadzeń kapituły klasztoru jest bliźniaczym w wyglądzie i rozmiarze pomieszczeniem do parlatorium, w którym mamy zajęcia i które znajduje się dokładnie nad nią. Przeor

obwieścił nam oficjalnie, że Królowa przybywa do Santa Cruz, chociaż od wczorajszego popołudnia plotki i spekulacje na temat jej przyjazdu obiegły już cały klasztor i trudno byłoby znaleźć kogoś, kto dowiedziałby się o jej przyjeździe dopiero dziś rano. Przeor zakomunikował, że Królowa za dziewięć dni przybywa do Segowii, a nasze opactwo odwiedzi niejako przy okazji, ponieważ chce przekazać darowiznę na rzecz Świętego Krzyża. Wysłuchałem cierpliwie tego kłamstwa, którym brat Torquemada nakarmił zgromadzonych, natomiast Juana wprowadziło ono w osłupienie. Po minie Alejandro widziałem, że także nie dowierzał słowom przeora. Brat Armand zaś kiwał głową, przytakując wieściom przekazywanym przez *padre* Torquemadę, nie zdradzając ani jednym nieopatrznym grymasem czy gestem, że prawda i cel przyjazdu Królowej są zupełnie inne.

Życzeniem przeora było poczynić przygotowania do jej wizyty. Ponieważ z okazji przyjazdu Królowej odbędzie się msza święta, brat Constantino dostał polecenie ustalenia ceremoniału nabożeństwa i całej uroczystości. Zaś brat Pedro de la Fuente został wezwany do gabinetu przeora na dzisiejsze popołudnie celem omówienia ewentualnych wydatków związanych z przyjazdem głowy państwa. Nowicjuszom zaś polecono posprzątać kościół i kapitułarz, gdzie Królowa zostanie przyjęta, oraz skryptorium, do którego zawsze zagląda z miłości do literatury i wiedzy. Zaś z racji tego, że w szpitalu trwa kwarantanna, zaniechano ustalania wizyty Królowej w tym miejscu.

Pomyślałem sobie, że w szpitalu panuje tak nienaganny porządek trzymany żelazną ręką mego mistrza, że tam nie trzeba byłoby sprzątać.

Nie mam pojęcia, na ile oświadczenie przeora uspokoiło braci w klasztorze, a na ile ich zaniepokoiło, dając powód do nowych domysłów, ale ani ja, ani Alejandro, ani Juan, ani także Mateo nie mamy wątpliwości, jaki jest prawdziwy cel przyjazdu Królowej. Mateo co prawda nie słyszał wczorajszej rozmowy przeora z bratem Armandem, ale jest świetnym obserwatorem tego, co dzieje się w opactwie. I chociaż nie mówi tego na głos, zdążył już wyrobić sobie własny pogląd na temat przeora, mego mistrza, Królowej i Świętej Inkwizycji.

Później. Po nonie

Z tego wszystkiego zapomniałem wspomnieć, że od wczoraj pomagam Jesusowi de Villar w pracy w sekretariacie przeora. Od przyjazdu do Santa Cruz jest to moja druga styczność z sekretariatem i ojcem Pedro, patronem Jesusa.

Porządkujemy chronologicznie rachunki opactwa, które potem sekretarz wpisuje do ksiąg rachunkowych. Poznaliśmy też, jakie księgi się prowadzi, gdzie wpisuje się przychody opactwa, darowizny od wiernych, a gdzie koszty, które ponosi klasztor. Osobną zupełnie księgę stanowią wydatki na Szpital Świętego Krzyża i Leprozorium Świętego Krzyża. Przejrzałem ją za pozwoleniem brata Pedra i ze zdziwieniem stwierdziłem, że wydatki te są horrendalne: na lekarstwa sprowadzane z Toledo, z Madrytu, a nawet z dalekiej Cordoby czy Sewilli, na bandaże, płótna i fartuchy, których szpital zużywa olbrzymie ilości, na pościel, na nici jedwabne do szycia ran i to te z najlepszego jedwabiu pochodzącego z plantacji jedwabników w Andaluzji, na narzędzia chirurgiczne, a przede wszystkim na jedzenie dla chorych. To oczywiście nie są wszystkie wydatki, jakie obie placówki ponoszą, bo są tam i mniejsze sumy przeznaczane na przykład na oliwę do lamp czy knoty do świec i same świece. Sporo także leków i preparatów ziołowych pochodzi z naszej apteki, od ojca Martina, a nalewkę z opium i *aqua vitae* wyrabia brat José w swej pracowni nad tłocznia oliwy.

– To są największe wydatki klasztoru – powiedział ojciec Pedro, widząc, że wnikliwie przeglądam księgę szpitala i leprozorium. – Straszne sumy. Nie wiem, dlaczego przeor się na to godzi. Chyba tylko, aby zadowolić kaprysy rozpieszczonego Armanda – dodał i uśmiechnął się.

– Ale przecież w szpitalu bracia robią wiele dobrego – wtrąciłem, bo po ostatniej mej posłudze tam widzę, jak szpital jest potrzebny. – Pomagamy potrzebującym. Co w tym złego?

– Nic. – Brat Pedro wzruszył ramionami. – Absolutnie nic. Ale nie w tym rzecz, Antonio. Dominikanie nie zajmują się leczeniem chorych, zakładaniem szpitali i prowadzeniem leprozoriów. My jesteśmy kaznodziejami. Mamy wieść teologiczne dysputy i nawracać

grzeszników na właściwą drogę. A ten szpital to ewenement na całą Kastylię! I wszystko dla jednego człowieka! Pomyśl sobie, jak przeor musi go uwielbiać, skoro mu na to pozwala.

– Albo cenić – wtrącił Jesus, kładąc stos rachunków na biurku ojca Pedra.

– Albo cenić – przyznał brat sekretarz.

– A skąd przeor bierze na to pieniądze? – zapytałem cicho, przypominając sobie, że przecież tylko nieduży hol dzieli nas od gabinetu *padre* Torquemady, w którym on teraz przebywa wraz z bratem Armandem.

A będąc tu niewiele ponad miesiąc, zdążyłem się już nauczyć, że mury tego opactwa miewają uszy... Sam czasem jestem jednymi z nich...

– Większość wydatków idzie z darowizn Królowej. – Brat Pedro zastanowił się chwilę. – Miejskowa parafia także hojnie wspiera szpital i leprozorium. To ostatnie dopiero od kiedy jest nowy proboszcz. Ale wszystko to i tak dzięki Królowej, która ma za dobre i za miękkie serce. Przytakuje Torquemadzie dosłownie we wszystkim. A Torquemada Armandowi. Taka trójca – roześmiał się.

– Myślisz, *padre*, że chodzi tu o coś większego niż darowizny i pobożność Królowej? – Zadając to jakże odważne pytanie, ze strachu ledwie poruszałem ustami.

– Jeśli tak jest, na twoim miejscu, Antonio, nie mówiłbym tego na głos. – Brat Pedro ściszył głos prawie do szeptu i spojrzał na niedomknięte drzwi sekretariatu prowadzące do holu przed gabinetem przeora. – I w ogóle przestałbym się tym interesować. To nie jest twoja sprawa, Antonio. Żadnego z was. – Popatrzył na mnie i Jesusa, a na myśli niewątpliwie miał wszystkich nowicjuszy.

Jesus odwrócił się do ksiąg, które układał na półce regału, i spojrzał na mnie uważnie. Porozumiewawczo.

Więcej nie rozmawialiśmy na temat przyjazdu Królowej. Porządkowaliśmy z Jesusem dwie sterty kajetów z odręcznymi notatkami bieżących wydatków sprzed ostatnich trzech lat i układaliśmy je na najniższej półce regału w porządku chronologicznym. Rozmawialiśmy trochę o luźnych rzeczach.

Jesus pochodzi z bardzo bogatej rodziny szlacheckiej i od wczesnych lat wykazywał głęboką pobożność. Gdy miał dwanaście lat, zdecydował, że wstąpi do klasztoru, a rok potem ostatecznie wybrał dla siebie klasztor dominikanów. Bo marzył i marzy nadal o studiach teologicznych i studiach prawa kanonicznego. Jest bardzo greczny i posłuszny we wszystkim swemu patronowi. Nie zauważyłem na jego twarzy ani cienia buntu, nawet przeciwko bratu Armandowi, gdy jesteśmy z nim na zajęciach. Także w sprawie Alejandra nie zajął jednoznacznego stanowiska. Myślę, że Jesus bardziej skupia się na modlitwie niż na życiu klasztoru. Bo jego wyjątkową pobożność i to pobożność nie na pokaz, ale płynącą z wiary, która również musi być szczerą i głęboką, tę pobożność chyba wszystkim udało się zauważyć. Może właśnie taki, a raczej na pewno taki powinien być nowicjusz: wyciszony, pokorny, pobożny, greczny i posłuszny. Zatem oprócz Jesusa i może także Camilo nikt z nas, pozostałych adeptów do stanu duchownego, taki nie jest. Ale wszyscy zostaniemy mnichami, wnosząc w te mury nasze ambicje, brak pokory, buntowniczą naturę, przekorę, brak dyscypliny, czasem nienawiść i grzechy. Jacy z nas będą więc dominikanie, słudzy Boga?...

Na jakąś godzinę przed noną brat Pedro poprosił przeora o zgodę na wyjście z nami przed furtę klasztoru oraz o asystę. Wynieśliśmy przed mury mały stolik i krzesło dla brata sekretarza, a on przyniósł mały kajet, kałamarz i pióro. Towarzyszył nam brat José oraz *padre* Gregorio. Potem przyszedł również brat Christobal, który zostawił na chwilę bez opieki cały inwentarz żywy klasztoru. Przed murami zaś ustawiła się długa kolejka ludzi z miasta i okolicznych wsi, którzy przynieśli dary dla klasztoru. Były to przede wszystkim daniny w naturze, jak jaja, żywy drób, owce i kozy – żywe, ale zdarzały się i takie, co już były wypatroszone i poćwiartowane, worki ziemniaków, zbóż różnego rodzaju, koszyki warzyw, a nawet skrzynki oliwek z niedawnego, pierwszego w tym roku ich zbioru. Wielu przyniosło pieniądze. Wśród tych ostatnich byli także słudzy bogatych rodów szlacheckich, z pękatymi sakiewkami.

Brat Pedro zapisywał w kajecie dokładnie imię i nazwisko darczyńcy oraz co ofiarował. Za wszystkich ludzi dobrej woli przeor

modli się codziennie, jak stwierdził sekretarz, i zapewniał każdego, że Bóg po wielokroć wynagrodzi im tę ofiarę po śmierci. Jeden raz w miesiącu odprawiamy także mszę za darczyńców. Każdy, kto przyniósł cokolwiek, był o tym informowany.

Zdziwiło mnie, jak wielu ludzi pomaga klasztorowi, ale z drugiej strony pomyślałem sobie, jak mnisi, którzy przecież nie pracują zarobkowo, mieliby się utrzymać i wyżywić? Z tego, co się dowiedziałem od Jesusa, wynika, że ludzie przychodzą tu co wtorek, niektórzy regularnie, inni sporadycznie, ale nie brakuje im hojności i dobrego serca. Jesus powiedział mi także, że wielu przychodzi podziękować w ten sposób bratu Armandowi: za wyleczenie z choroby, zamknięcie ran lub opiekę lekarską nad kimś bliskim. Zatem co prawda szpital pochłania mnóstwo pieniędzy, ale też ludzie tak hojnie obdarowują klasztor właśnie dzięki działalności brata Armanda i szpitala. Gdyby nie ta łaska i dobroć, którą tu dostają, nie odwzajemnialiby tej miłości swoimi datkami na klasztor. Jesus na dowód swych twierdzeń pokazał mi stojącą w tłumie kobietę, która przynosi co tydzień to, co może akurat ofiarować, w podziękowanie za to, że brat Armand przyjął jej chorego na trąd męża do leprozorium. Kobieta była jeszcze dość młoda i ładna, ale bardzo chuda i smutna. Dziś przyniosła dziesięć jaj i przeproszała ojca Pedro, że tak mało, ale naprawdę nie mogła więcej, bo musi w domu wykarmić troje dzieci.

I wtedy wydarzyło się coś niezwykłego! Zza furty wyszedł mój mistrz, zmierzając, jak sądziłem, do szpitala. Chciał minąć tłum za plecami brata Pedra, ale kobieta, która już odchodziła od stolika, zauważyła go i zawołała. Brat Armand poznał ją najwidoczniej, bo uśmiechnął się na jej widok i podszedł kilka kroków w jej stronę. Kobieta padła przed nim na kolana i dziękowała za opiekę nad mężem. Płakała. Ścisnęło się we mnie serce. Mistrz mój podniósł ją z kolan, trzymając za ramię.

– A jak maść, którą ci dałem na oparzenie? – zapytał. – Poskutkowało?

– O tak, ojczy! – Kobieta odgarnęła rękaw zniszczonej i skromnej sukni, odsłaniając przedramię, na którym był wyraźny ślad po poparzeniu jakąś cieczą. Skóra w tym miejscu była świeża i różowa.

– Chodź ze mną, córko. – Brat Armand wskazał jej ścieżkę do szpitala. – Dam ci zioła, żeby nie został brzydki ślad. – Ruszyli oboje w stronę pawilonu szpitalnego. – Zioła trzeba będzie zagotować i ostudzić. A potem robić okłady na oparzone miejsce. Wystarczy raz dziennie. – Słowa mego mistrza cichły, w miarę jak oboje z kobietą oddalali się od nas.

Patrzyłem za nimi.

– Cały brat Armand! – rzucił ojciec Pedro. – Ma dla tych ludzi złote serce. Wszystkie leki by im rozdał, byle tylko uleczyć całą ludzkość. – Ojciec de la Fuente spojrzał na mnie smutno. – On nie powinien być mnichem, ale lekarzem! W stolicy, w wielkim szpitalu. Nie tutaj. Ten człowiek urodził się lekarzem. Zawsze nim jest i zawsze nim będzie w głębi serca i duszy. Los strasznie się pomylił, dając mu ten mniszy habit i wiążąc mu w ten sposób genialny talent.

Zaskoczyły mnie słowa ojca Pedra, ale nie dopytywałem o nic więcej. Jesus także się nie odezwał. Popatrzyłem pełen sprzecznych uczuć na malejącą w oddali sylwetkę brata Armanda, zmierzającego do swego królestwa – Szpitala Świętego Krzyża.

Razem z Jesusem, bratem Christobalem i *padre* Gregorio zanosiliśmy przyniesione dary do kuchni i spiżarni, zaś wszystko, co żyło, odprowadziliśmy do chlewu i kurnika. Poznałem przy tym nieco lepiej ojca Christobala, który nie tylko dba o w miarę stały inwentarz żywy opactwa: czyli jedną krowę, trzy świnie, trzy osły, kury i kaczki, ale także o to, co podarują okoliczni mieszkańcy. On także dokonuje uboju zwierząt przeznaczonych przez *padre* Gregorio do zjedzenia. Brat Christobal wyprawia także skóry po uboju, które klasztor następnie sprzedaje do tutejszej garbarni. Jednym słowem, nic się tu nie marnuje.

Jesus był bardzo gorliwy i uczynny w swej pracy. Im dłużej mu się przyglądam, tym bardziej go szanuję i podziwiam.

Kończyliśmy już sprzątać po przyjęciu darowizn, gdy brat Constantino zadzwonił na nieszpór. Pobiegliśmy z Jesusem na nabożeństwo, dołączył do nas także brat Pedro i pozostali mnisi. Ale brat Armand się nie zjawił. Zapewne zatrzymało go w szpitalu coś ważnego. Bardziej ceni posługę ludziom niż zanoszenie modłów do Nieba. Może faktycznie rację miał dziś brat Pedro, że mistrz mój powinien być

świeckim lekarzem w stolicy i że marnuje tu swój wielki talent... Sam nie wiem... Pełen sprzeczności jest w moich oczach brat Armand, ale wydaje mi się, że nie można być jednocześnie dobrym człowiekiem o złotym sercu i okrutnym mnichem, który znęca się chłostą nad Alejandrem, o mojej głodówce nie wspomnę. Pamiętam, jak brat Armand zażądał dodatkowych razów dla Alejandra, pamiętam, jak kamienną i niewzruszoną miał wówczas twarz i jak zimne było jego spojrzenie. Nie. On nie może być dobrym człowiekiem...

Późno w nocy. Skrytorium

Po komplecie stanąłem chwilę na dziedzińcu z Juanem i Alejandro. Przyszedł do nas także Mateo. Ricardo zaś i Oscar jak zwykle prosto z kościoła poszli do biblioteki, przy czym Oscar robi to niemal niezauważalnie, Ricardo zaś w pośpiechu, jakby mogło mu zabraknąć książek, gdyby zwlekał. Staliśmy tak kilkanaście minut i ja również wybierałem się powoli do biblioteki.

– Antonio! – Brat Armand wychylił się z okna swojej celi. – Pozwól do mnie na chwilę! – powiedział to tonem, który obezwładniał wszelkie wątpliwości co do charakteru, jaki ta rozmowa będzie miała.

Nie wiem, jak długo stał w oknie i przyglądał mi się, jak rozmawiałem w gronie nowicjuszy, ale serce zamierało mi ze strachu i nogi miałem całkiem miękkie, gdy szedłem do jego celi. Wchodząc po schodach, czułem, jak ogarnia mnie wszechpotężny strach... Bałem się, że zarządzi chłostę. Tak strasznie się bałem, że gdy stanąłem pod jego drzwiami, nie byłem w stanie ich otworzyć. Stałem tak dłuższą chwilę, aż brat Armand otworzył je z tamtej strony. A więc wiedział, że za nimi stoję, i czekał, czy się odważę.

Wszedłem do środka. Cella była oświetlona ciepłym blaskiem licznych świec.

– Rozczarowujesz mnie, Antonio. – Mistrz odwrócił się do mnie plecami i przeszedł kilka kroków po swojej celi. – Myślałem, że coś zrozumiałeś ostatnio w szpitalu. Że chłosta Alejandra czegoś cię nauczyła. – Spojrzał na mnie, a w drgających płomieniach świec jego

twarz wyglądała złowieszczo. – Ale ty nadal trwonisz czas na bezsensownych rozmowach. Twój przyjaciele Juan i Alejandro do niczego w życiu nie dojdą. Ty masz przed sobą wielką szansę! – Znów chodził po celi. – Dlaczego nie bierzesz przykładu z Ricarda? Z Oscara? – Podszedł do mnie. – Dlaczego?! – krzyknął. – Wyjaśnij mi to, bo naprawdę tego nie rozumiem!

Zapadła cisza. Byłem przerażony i bałem się powiedzieć cokolwiek.

– Mów! – rozkazał mistrz, a ja zadrżałem.

– Inni patroni nie wysyłają swoich uczniów na całe noce do biblioteki – wymamrotałem, a głos mi drżał i nie mogłem tego powstrzymać.

Spojrzałem niepewnie na brata Armanda, a przez jego twarz przeszedł gniew. Widział, jak bardzo się go boję.

– Nie obchodzą mnie inni, Antonio! – rzucił oschle. – Ty masz się uczyć, bo ja ci kazałem.

– Ale ja nie chcę się tyle uczyć! – powiedziałem szybko i bez zastanowienia, cokolwiek za głośno.

Wtedy brat Armand uderzył mnie z całej siły w twarz, aż się zatoczyłem. Wyprostowałem się jednak zaraz. Policzek piekł mnie ogniem.

– To za nieposłuszeństwo – wyjaśnił spokojnie mój mistrz. – I nie interesuje mnie, czego ty chcesz, Antonio. Ja tak mówię i tak będzie – ostatnie zdanie wypowiedział z naciskiem.

Poczułem się upokorzony i oszukany. Nienawidziłem go z całego serca i nie znajdowałem w sobie ani krzty ciepłych dłoń uczuć. Teraz już byłem pewien, że brat Armand nie jest dobrym człowiekiem. Wrzała we mnie złość, którą podsycaly resztki tłętego się jeszcze we mnie buntu, zaszczipionego przez Juana. Dlatego pod wpływem tych emocji, nieprzemyślanych, powiedziałem coś, na co nigdy bym się normalnie nie odważył:

– Nienawidzę cię! – krzyknąłem. – Nienawidzę!

Wówczas brat Armand uderzył mnie w twarz po raz drugi. Przewróciłem się na podłogę, ale on tylko się uśmiechnął. Złośliwie.

– Nie tym tonem, mój drogi! – powiedział z wyższością. –

Porozmawiam z przeorem na temat twojego zachowania.

Wstałem z podłogi, trzymając się za obolały policzek. Z bezsilności i bólu miałem łzy w oczach. Mimowolnie przed moimi oczami pojawił się nagle, nieproszony i zupełnie w tym momencie niepotrzebny, obraz małego Armanda bitego przez jego dziadka, o tym samym co moje imieniu. Czy to dlatego mistrz mnie uderzył? Bo moje imię przypomina mu tamten okres w jego życiu?...

– A teraz marsz do biblioteki! – rozkazał brat Armand tonem lodowatym, a widząc po chwili, że nadal stoję w jego celi, dodał: – Zejdź mi z oczu, Antonio!

Odwrociłem się i wyszedłem, nie zamykając za sobą drzwi. Wybiegłem na dwór. Pod schodami spotkałem Juana, którego wzrok mówił, że wszystko słyszał. Ruszyłem w stronę biblioteki. Za trzecim lub czwartym filarem zobaczyłem stojącego w ciemności brata Constantino, który bez wątpienia przyglądał się oknu celi mego mistrza i musiał z tej odległości słyszeć jego i moje krzyki. Brat Constantino spojrział na mnie porozumiewawczo i pokręcił przecząco głową, dając mi tym samym znak, że źle robię, kłócąc się z patronem, jakby chciał powiedzieć, że nie tędy droga. Poszedłem dalej, nawet mu się nie kłaniając. Było mi wszystko jedno, tym bardziej że zaczynałem już żałować swojego niewyparzonego języka i obawiałem się kary. Nie trzeba chyba być wielkim myślicielem, żeby rozumieć, że tym razem na głódowce się nie skończy... Brat Armand chce to uzgodnić z przeorem, a zatem prawie na pewno będzie to chłosta.

Zrobiło mi się niedobrze na samą myśl o tym. Przed oczami ujrzałem obraz poharatanych pleców Alejandra, ociekających krwią. Nie wiem, czy to przeżyję...

7 lipca. Po tercji

Resztę wczorajszego wieczoru, zgodnie z życzeniem Archaniola, spędziłem w skryptorium. Ale nie mogłem się skupić na lekturze. Ricardo siedział w czytelni, zaś Oscar, oderwany od świata żywych, jak zwykle był w swej samotni w podziemnej bibliotece. Na jakąś godzinę

przyszli również Mateo, Jesus, Alejandro i Camilo, poczytać cokolwiek przed dzisiejszymi zajęciami z bratem Armandem, ale długo nie zabawili i widać było, że nauką zbytnio się nie przejmują. Znowu zostaliśmy więc we trzech.

Dzisiejszej nocy jednak strach nie pozwolił mi przysypiać nad książkami. Świtało już, gdy do skryptorium wbiegł zdyszany Juan i szybko podszedł do mojego stolika.

– Mój mistrz usłyszał przypadkiem rozmowę brata Armanda i przeora wczoraj wieczorem – Juan wypowiadał słowa pomiędzy krótkimi oddechami. – O tobie.

Zrobiło mi się gorąco.

– O mnie? – wykrztusiłem. – Tak szybko?...

– Brat Armand wspominał Torquemadzie, że jesteś mu nieposłuszny – mówił dalej Juan. – Że nie może cię namówić do nauki, że tłumaczenia nic nie dają, że go wcale nie słuchasz i że jesteś leniwy.

Serce waliło mi jak oszalałe, bo czułem, co za chwilę usłyszę.

– I? – Ledwie mówiłem ze strachu.

– *Padre* Torquemada obiecał bratu Armandowi, że coś z tym zrobi, ale nie powiedział nic konkretnego. Może tylko z tobą porozmawia? – pocieszał mnie Juan. – Może skończy się na upomnieniu...

Pokręciłem głową i wstałem od stolika.

– Tym razem nie skończy się nawet na głodówce. – Zdmuchnąłem świecę, bo na wschodnim horyzoncie strzelały już poranne zorze. – Powiedziałem bratu Armandowi, że go nienawidzę.

– Wiem – przyznał Juan. – Stałem wówczas na alejce przed naszym segmentem.

Odszedłem od stolika i wziąłem głęboki oddech.

– Ja naprawdę tak czuję – powiedziałem cicho, sam zaskoczony własnymi uczuciami. – Nie mówiłem tego pod wpływem chwili. Nienawidzę go. Okrucieństwo, które w sobie nosi, przyćmiewa dobro, które czyni. Czasem myślę, że nawet to dobro czyni, kierując się jakimś egoistycznym interesem. On jest złem, Juanie. Chodzącym złem. I zło mi wyrządzi. Zobaczysz. – Spojrzałem smutno w oczy memu przyjacielowi.

Były pełne współczucia.

– Wydaje mi się, że źle go oceniasz, przypisując mu aż tak złe

rzeczy... Co by o nim nie powiedzieć, uratował wielu ludzi z choroby, od pewnej śmierci, a trędowatych od strasznego losu... – Juan chciał powiedzieć coś więcej, ale rozdzwoniły się dzwony na jutrznię i musieliśmy iść na nabożeństwo.

W kościele zaś zupełnie nie mogłem się skupić na modlitwie i cały czas patrzyłem na *padre* Torquemadę, czy zdradzi swoje wobec mnie zamiary jakimś gestem, spojrzeniem, ale on w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Zerkąłem na brata Armanda, aby sprawdzić, w jakim jest nastroju albo czy zapadła już jakaś decyzja, ale on miał twarz zimną i skostniałą i próżno by szukać na niej choćby bladego cienia jakichkolwiek uczuć, dobrych czy złych. Ciarki przechodziły mnie od stóp do głów, kiedy stałem tuż obok brata Armanda – Archanioła, co panoszył się po opactwie bezkarnie. Obok kata. Kata Alejandra. Za chwilę również mojego, tego byłem pewien. A w niedalekiej przyszłości kata całej Hiszpanii.

Później. Przed nieszporem

Dzisiejsze wykłady brata Armanda były dłuższe niż zazwyczaj i odbyły się po modlitwie na Anioł Pański. Przyszedł na nie Alejandro, bo takie otrzymał polecenie od mego mistrza, ale dziś nie odezwał się przez cały dzień. Ostatnie doświadczenia nauczyły go powściągliwości.

– Tak jak wam obiecałem, zajmiemy się dziś postępowaniem przed urzędem Inkwizycji – powiedział brat Armand, inaugurując wykład. – Poczytaliście sobie *Podręcznik inkwizytora*, wiecie zatem, jak to miało wyglądać. Miało. Bo w większości wszystkie zalecenia Bernarda Gui były tylko pobożnymi życzeniami. On sam je stosował, zresztą bardzo skutecznie, i za to przyłgnęła doń łaska kata Inkwizycji. Chociaż wcale nim nie był. Ale inni inkwizytorzy nie zawsze szli jego śladem. – Brat Armand przerwał na chwilę.

Na sali w parlatorium panowała absolutna cisza. Ricardo poprawił się na stołku, który zaskrzypiał. Mistrz mój chodził po sali, co zazwyczaj robił podczas wykładu, i mówił dalej:

– Wiecie już, że sędziów i trybunałów jest o wiele, wiele, wiele za

mało, aby podołać tak ogromnej pracy i misji, jaką jest wykorzenie herezji z dusz wiernych. Wobec tego inkwizytorzy muszą jeździć ze swą świtą, a nierzadko także z eskortą zbrojną, bo raczej nie są lubiani, po okolicznych miejscowościach, małych wioskach, ale i większych miastach, będących siedzibami biskupstw. Wygląda to w ten sposób, że gdy inkwizytor przybywa, zwoływana jest narada, w której oprócz kleru miejscowej parafii uczestniczą także miejscowi patrycjusze, władze miasta, jeśli takowe są, okoliczni możnowładcy. Wszyscy oni składają przysięgę na krzyż, że wykonają wszelkie polecenia inkwizytora, będą go wspierać i pomagać w wykonywaniu jego trudnych obowiązków. Ta przysięga jest obligatoryjna. Kto nie stawi się na naradę i jej nie złoży, jest podejrzany o herezję i grzech. Następnie kler zwołuje wszystkich parafian na najbliższą niedzielę na uroczystą mszę świętą, podczas której zgromadzonym, a wszyscy muszą być obecni, przedstawia się inkwizytora i cel jego wizyty oraz proklamuje tak zwany edykt łaski. Jest to czas od trzydziestu do sześćdziesięciu dni, w zależności od regionu, podczas którego każdy może dobrowolnie złożyć samooskarżenie, a w zamian za to jego występki, choćby nie wiem jak były straszne, nie zostaną ukarane śmiercią. Rzecz jasna jest to również czas dla tych, którzy chcieliby donieść na kogoś innego. Jednym słowem, wygląda to tak, że inkwizytor siedzi sobie w swoich pokojach, a sztab jego pomocników, notariuszy i doradców, z którymi przyjechał, spisuje zeznania i samooskarżenia, tworząc bazę danych *ad hoc*. Po okresie łaski przystępuje się w pierwszej kolejności do słuchania tych, którzy donieśli sami na siebie, a wbrew pozorom jest ich bardzo wielu. Ludzie wychodzą bowiem z błędnego założenia, że jeśli złożą samooskarżenie o jeden czyn, inne nie zostaną zauważone, a tym samym ukarane, albo w ogóle inkwizytor im je daruje, bo skazał ich już za coś innego. Oczywiście jest to rozumowanie idiotyczne. Tak więc przesłuchuje się winnych i jeśli oprócz oskarżenia, które sami na siebie złożyli, nie wpłynęło na nich żadne inne doniesienie i jeśli szczerze okazali skruchę i chęć poprawy, a tym samym wykazali się chęcią współpracy z inkwizytorem i oskarżyli odpowiednią liczbę osób ze swojego otoczenia, przy czym nigdy nie wiadomo, co oznacza owa odpowiednia liczba, wówczas inkwizytor, wydając wyrok skazujący, orzeka jedynie

karę pokuty. Inkwizycja, pamiętajcie o tym, w takich przypadkach dotrzymuje swojej obietnicy, uznając, że i skazany również jej dotrzymał. Kary śmierci pod żadną postacią się więc nie orzeka. Ale pokuta bywa czasem dotkliwsza od śmierci, zwłaszcza ta w postaci chłosty, którą skazany otrzymuje cyklicznie, co niedzielę na mszy i we wszystkie święta oraz raz w roku długą chłostę podczas procesji ulicami miasta. Rozdziewa się go z szat i biczuje. I tak do końca jego dni, chyba że po jakimś czasie inkwizytor zdejmie zeń tę karę. Ale inkwizytor może być już na drugim końcu prowincji, nie żyć lub, co najbardziej prawdopodobne, zapomnieć o skazanym. Inną karą jest polecenie odbycia pielgrzymki do wielkich sanktuariów Europy albo nawet do Ziemi Świętej. Nie muszę wam chyba tłumaczyć, jak niebezpieczne są wyprawy na Wschód i jak niewielu stamtąd wraca. – Brat Armand stanął przy oknie i przez chwilę patrzył na opactwo albo na wieniec łuków przyporowych okalających apsydę kościoła.

Ricardo notował zachłannie każde słowo mego mistrza, jakby bał się cokolwiek uronić z jego opowieści. Ja myślałem o nieznaney mi jeszcze, ale z całą pewnością mnie czekającej karze.

– Natomiast w przypadku tych, którzy na siebie nie donieśli, ale zostali oskarżeni przez innych, Inkwizycja rozsyła do nich listy z wezwaniem do osobistego stawienia przed oblicze inkwizytora – brat Armand mówił dalej. – Oczywiście nie zawsze to skutkuje, czasem podejrzani uciekają, a wówczas rozgłasza się za nimi pościg we wszystkich parafiach, co i tak nic nie daje. W tej kwestii Inkwizycja jest bezsilna, bo ma za mało ludzi i za mało jest przerażająca. Gdyby trzymała ludzi strachem za gardła, każdy doniósłby, gdzie uciekinier aktualnie przebywa. Ci, którzy stawiają się na wezwanie, są przesłuchiwanymi informacyjnie, w większości pokazuje się im zeznania donosicieli, ale tak, by informatorzy pozostali anonimowi. Jeśli oskarżeni przez innych się nie przyznają, zostają poddani właściwemu przesłuchaniu, bardzo często na torturach. Jak może wiecie, inkwizytorom, jako ludziom Kościoła, nie wolno przelewać krwi, zatem wykluczone jest, aby osobiście, czyli własnoręcznie przeprowadzali tortury. Zatrudniani są do tego kaci, czyli tak zwane świeckie ramię Inkwizycji. Ale także podczas tortur, które zarządza wyłącznie

inkwizytor, nie może pocieknąć krew, więc wykluczone są wszystkie rodzaje mąk narzędziami, które są ostro zakończone. Dopuszczalne są jedynie narzędzia tępe: liny, woda, rozciąganie, miażdżenie stawów, łamanie kości, przypalanie i wszystkie pozostałe, które nie rozlewają krwi. Dość okrojony jest to wybór i do tego bardzo łagodne tortury stosuje Inkwizycja w porównaniu na przykład z sądami świeckimi, które nie mając żadnych ograniczeń, wyprawiają z podsądnymi, co zechcą. Jeśli więc inkwizytor decyduje się poddać oskarżonego torturom, a czyni to zawsze w ostateczności i tylko wówczas, gdy przesłuchiwany trwa w swym uporze i nie chce zeznawać, musi to robić rozważnie i baczyć, aby tortury nie przekroczyły pewnego stopnia napięcia. Jednym słowem, nie wolno mu przesadzić. Ale jeśli przy takich torturach wykonywanych zgodnie ze sztuką poleje się przypadkiem krew, za to inkwizytor już nie odpowiada. Jeśli zaś źle oceniłby wytrzymałość przesłuchiwanego i zmarłby on na torturach, na mocy rozporządzenia papieża Aleksandra IV każdy inny inkwizytor udzieliłby mu rozgrzeszenia za ten wypadek przy pracy. Jest to dyspensa dla wszystkich inkwizytorów na świecie, nakazująca udzielać im sobie nawzajem rozgrzeszeń w takich sytuacjach. Zresztą bardzo mądre jest to prawo, bo na takich przesłuchaniach, wiercie mi, może się zdarzyć wszystko. Jeśli oskarżony przetrzyma tortury, zostaje uwięziony i wszczynane jest śledztwo, czyli inkwizycja. Co ciekawe i co może was zdziwi, akt oskarżenia w formie papierowej nie jest sporządzany. – Brat Armand popatrzył na nas z podwyższenia katedry, a będąc widać zadowolony z wrażenia, jakie wywołały jego słowa, bo się do siebie nieznacznie uśmiechnął, mówił dalej z zapalem, chodząc po parlatorium: – Ale za to oskarżony może mieć obrońcę i dość częste są przypadki, że go ma. Zaczyna się proces, zbiera się trybunał. Inkwizytor dobiera sobie wówczas sędziów, najczęściej spośród kleru, wyjątkowo spośród wyższych dostojników kościelnych, jeśli akurat są pod ręką. Zazwyczaj składy orzekające są trzyosobowe. Uwięzionego się przesłuchuje, często na torturach, aż je przetrzyma lub przyzna się. Przyznanie się na torturach nie kończy procesu, wbrew obiegowej opinii, ale na pewno przerywa tortury. Po około trzech dniach odbiera się od oskarżonego formalne zeznania. Bez żadnego przymusu. Jeśli potwierdzi swą winę,

uważa się, że przyznał się dobrowolnie. Podobna sytuacja jest w przypadku wskazywania przezeń współwinnych. Najpierw prosi się oskarżonego o ich wskazanie, potem w przypadku odmowy poddaje torturom tak długim, aż wskaże nazwiska. Potem znów przesłuchuje się go bez tortur, żeby potwierdził wszystko dobrowolnie. Gdy złoży zeznania obciążające innych i je uzasadni, proces się kończy i zostaje wydany wyrok. I, co ciekawe, rzadko kiedy jest to spalenie na stosie. Ono jest zarezerwowane, choć moim zdaniem całkowicie błędnie, tylko dla zatwardziałych, czyli tych, co przetrzymali tortury i się nie przyznali, albo też dla tych, którzy po namyśle odwołali swoje zeznania, w których najpierw uznali swą winę. Ci idą na stos. Reszta albo dostaje ciężką pokutę, albo karę śmierci wykonywaną poprzez uduszenie lub ścięcie, co jest już zupełnym nieporozumieniem. Podobnie jak i to, że w niektórych regionach Europy dopuszczalna jest apelacja od wyroku inkwizytora! I to do profesorów na uniwersytetach, często ludzi świeckich! – mistrz mój mówił to z niedowierzaniem. – Oczywiście kary wykonuje zawsze świeckie ramię Inkwizycji, a inkwizytor zawsze prosi o litość dla skazanego na śmierć, a nawet o miłosierne darowanie kary, co również jest dziwaczne, bo przecież świeckie ramię nie może wyroku nie wykonać. – Westchnął. – Kiedy już wyroki zostają wykonane, a dzieje się to zazwyczaj jednego dnia i to dnia wolnego od pracy, najczęściej w jakieś święto kościelne, aby jak najwięcej ludzi zgromadzić, przy czym uczestnictwo w tych uroczystościach nie jest obowiązkowe, inkwizytor zamyka wszystkie śledztwa i rusza dalej w swej podróży do kolejnego miasta lub miasteczka. Podróż po wszystkich parafiach podległych dalekiemu trybunałowi będącemu jego siedzibą trwa często nawet dwa lata. Po czym, gdy wraca do swej siedziby, okazuje się, że w mieście zapanował nieład i szerzy się herezja, bo teraz nikt ludzi nie pilnuje i nie trzyma ręki na pulsie, więc pracę musi taki inkwizytor zaczynać od początku. Jest to pozbawiona sensu i logiki praktyka wynikająca częściowo z braku odpowiednich kadr, a w głównej mierze z braku wyobraźni papieża, który siedzi tak wysoko, że nic już chyba stamtąd nie widzi. – Brat Armand stanął za swoją katedrą, oparł dłonie na jej bocznych barierkach i popatrzył na nas, słuchających go z prawdziwym zaciekawieniem. – Inkwizycja, którą wam przedstawiłem,

nie funkcjonuje. Nie tyle jak należy, ale ona w zasadzie w ogóle nie funkcjonuje. Wymaga zmian. Głębokich reform i dostosowania jej do aktualnych potrzeb, do dzisiejszych herezji i do dzisiejszego, jakże krnąbrnego i pozbawionego skrupułów człowieka. – Brat Armand zrobił chwilę przerwy, a potem zwrócił się do nas: – Przeczytaliście podręcznik, wysłuchaliście wykładu. Z pewnością macie swoje przemyślenia, jak można byłoby ulepszyć strukturę Inkwizycji i metody prowadzenia przez nią śledztw. Oczywiście poza koniecznością zwiększenia liczby inkwizytorów i siedzib trybunałów, bo to nie podlega nawet dyskusji. Ale pomyślcie w ten sposób: gdyby trzeba było powołać Inkwizycję w Kastylii, a wy mielibyście zostać jutro inkwizytorami, co zmienilibyście w procedurze, żeby ułatwić sobie pracę i dochodzenie do prawdy? – Zawiesił głos i potoczył wzrokiem po nas, zgromadzonych.

Zrobiło mi się gorąco na dźwięk jego słów, że istniałaby konieczność powołania w Kastylii trybunałów Świętej Inkwizycji... Obawiam się, że istnieje taka konieczność – w umyśle Tomása de Torquemady...

– Słucham propozycji – ponaglił mój mistrz. – Macie rzadką okazję udoskonalic tę świętą instytucję. To nie są tylko czcze mrzonki. Inkwizycja w Kastylii będzie powołana. Prędzej czy później. To tylko kwestia czasu. A dominikanie zasiądą w jej trybunałach. Bardzo prawdopodobne, że będzie to ktoś z was. Zatem, czy chcielibyście pracować i służyć, bo jest to służba i posłannictwo i ciężka praca, w tak źle funkcjonującej instytucji Kościoła?

Szatańskie zaiste brat Armand miał pomysły, skoro chciał nas wciągnąć w swój i przeora plan budowy Nowej Inkwizycji. Ja i Juan spojrzeliśmy po sobie ze smutkiem. Dyskretnie. Alejandro spuścił głowę.

Ponieważ nasłuchałem się rozmów mistrza z *padre* Torquemadą, wiedziałem, jakich odpowiedzi mój patron oczekuje. Ale nie mogłem i nie chciałem zdradzać się z tą wiedzą. Wołałem się nie odzywać, zwłaszcza po naszej ostatniej kłótni. Zwłaszcza że tutaj za swoje poglądy można było tylko oberwać chłostę...

– Zacząłbym od tego, *padre* – odezwał się Ricardo, co było w zasadzie do przewidzenia – że baza danych składająca się z donosów

i samooskarżeń byłaby stała, nie tworzona *ad hoc* na potrzeby jednej wyprawy. Jeśli trybunałów byłoby więcej i byłyby one stałe, nie objazdowe, taką bazę można byłoby w każdym mieście ciągle powiększać i powiększać przy okazji każdego śledztwa. W ten sposób stworzyłbym bogate archiwum szerokiej wiedzy o każdym podwładnym.

– A skąd wzięłbyś donosy bez edyktu łaski? – zapytał brat Armand, sprawdzając, jak sądziłem, Ricarda.

– Strach przed Inkwizycją, skuteczną Inkwizycją, zmusiłby ludzi do składania doniesień – odpowiedział pewnie Ricardo.

Mistrz mój pokręcił przecząco głową.

– Sam strach to za mało – powiedział Archanioł. – Potrzebne byłoby rozwiązanie prawne. Na przykład ustanowienie obowiązku donosu jako prawa. Wtedy każdemu groziłoby nieuniknione więzienie, jeśli mając wiedzę o herezji albo chociaż samo jej podejrzenie, nie złożyłby doniesienia. A zdając sobie sprawę, że obowiązek donosu jest nałożony na wszystkich, także na sąsiadów, przyjaciół i nieprzyjaciół oraz rodzinę i każdy z nich w każdej chwili może pójść do trybunału ze swoimi informacjami, ludzie prześcigaliby się w składaniu donosów. Chociaż, moim zdaniem, to i tak za mało. – Oczy brata Armanda błyszczały dziwnym, niezrozumiałym dla mnie blaskiem, zarem i entuzjazmem. – Trzeba byłoby powołać specjalną służbę donosicieli, ludzi świeckich, zakonspirowanych, pozostających na usługach trybunału i przez trybunał opłacanych. Ale nie pieniędzmi. Te w czasach Inkwizycji i możliwej do zarządzenia w każdej chwili konfiskaty majątku nie będą mieć żadnego znaczenia. Opłacanych wolnością. Wolnością od uwięzienia. Od oskarżenia. Od pozostawania w podejrzeniu. Wreszcie od tego, że święty trybunał interesuje się ich aktami. Tacy szpieczy trybunału, nieznani nikomu z tej funkcji, nawet zakonspirowani między sobą, będą świetną służbą donosicieli. Nikt nie będzie wiedział, że są szpiegami, a z racji pozostawania między ludźmi będą mieć wiedzę o wszystkim, co się wokół dzieje. Będą oczami i uszami trybunału. A wolność od prześladowań, którą za doniesienie kupią, będzie dla nich najlepszym impulsem do działania. Nie będzie w czasach Inkwizycji lepszej motywacji! Rzecz jasna jednym doniesieniem nie kupią sobie wolności na zawsze. Tylko na pewien czas.

Jak długi? Tego się nie dowiedzą. Dlatego nadal będą węszyć i szukać czegoś, co wyda im się podejrzanym i o czym będą mogli poinformować trybunał, który z bólem serca przyjmie wieści o kolejnej zbłąkanej duszy – brat Armand zakończył snucie swej przerażającej wizji ze złośliwym uśmiechem.

Obłuda! – pomyślałem i przełknąłem ślinę. Jedno trzeba przyznać tandemowi przeora i mego mistrza: plan Nowej Inkwizycji mają dopracowany w szczegółach do perfekcji, zwłaszcza od strony psychologicznej. Pomyśleli o wszystkim.

– Coś jeszcze chcielibyście zmienić? – przerwał milczenie brat Armand. – Ricardo?

– Tak, *padre* – odpowiedział nasz kolega. – Zmieniłbym to, aby przed trybunał nie wzywać za pomocą listów. Trzeba mieć pewność, że delikwent się stawia, a wszyscy raczej unikają bólu i cierpienia, z jakimi kojarzą Inkwizycję. Więc może aresztowanie? Zamiast podejrzanego wzywać, lepiej po niego pójść. A w zasadzie wysłać ludzi. Może jakieś służby w tym celu utworzone. Świeckie, rzecz jasna. Wtedy byłaby pewność, że każdy podejrzanym stawia się przed obliczem inkwizytora.

– Dobrze, Ricardo. – Brat Armand uśmiechnął się. – Pod warunkiem, że aresztowanie następuje zniemacka, z zaskoczenia. Bo inaczej taki przysły podsądny wyjedzie z miasta. Albo można zrobić to jeszcze inaczej: zablokować swobodę poruszania się i zmiany miejsca pobytu. Wówczas można byłoby pobawić się z przysłą ofiarą. A mianowicie, dać jej do zrozumienia, że trybunał się jej przygląda, że jest ona w jego podejrzeniu i że w każdej chwili może nastąpić aresztowanie, ale dać tej osobie jeszcze fałszywą nadzieję, że jeśli będzie się dobrze sprawować, to, kto wie, może uniknie zatrzymania i więzień. Strach i niepewność przez kilka tygodni zrobią swoje. Kiedy wreszcie trybunał pošle po tę osobę swych ludzi i podda ją przesłuchaniu, możliwe, że człowiek ów tak będzie wystraszony i rozstrojony, że tortury cielesne w ogóle nie będą konieczne.

To potworne! – pomyślałem i spojrzałem na Alejandra, który mozolnie wpatrywał się w swój kajet. Słuchając ostatnich słów mego mistrza, zacisnął z całej siły powieki, aż stały się białe. Z pewnością zagryzł też wargi, jak ja, aby się nie odezwać.

– Pamiętajcie, że strach to sprzymierzeniec inkwizytora – mówił dalej brat Armand. – A ponieważ ludzie są krnąbrni, a szatan czyni ich pokrętnymi i złymi, inkwizytorzy niestety muszą odwoływać się do metod, które niektórym z was mogą wydawać się okrutne i niegodne ludzi Kościoła. – Spojrzał na mnie zimno, jakby wiedział, co w tej chwili myślałem o nim i jego metodach. – Ale wszystko to przecież dla zbawienia ludzkiej duszy. To z miłości do drugiego człowieka inkwizytorzy podejmują się tych ciężkich zadań. Inkwizytor to pomocna dłoń, Boskie ramię, które podajemy duszy, aby podźwignęła się z upadku i wróciła na łono Boga Ojca – zakończył ze spokojem.

Ricardo kolejny raz zgłosił się do odpowiedzi, a brat Armand udzielił mu głosu. Widziałem w jego oczach, że był dumny ze swego pojętego i, trzeba przyznać, pomysłowego ucznia.

– Powinno się podsądnych traktować równo – powiedział Ricardo. – Dlatego zniósłbym obietnicę nieorzekania kary śmierci w przypadku samooskarżenia. Jeśli ustanowiony zostanie prawny obowiązek donosu i służba donosicieli stale współpracujących z trybunałem, instytucja samooskarżenia straci na znaczeniu. A poza tym nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby być traktowany łagodniej. Herezja jest herezją i trzeba ją z duszy wygonić. Absolucja od kary śmierci dla donoszących na siebie może pozbawić ich dusze zbawienia, zatem inkwizytorowi nie wolno się na to godzić, bo przecież dba on zawsze o duszę człowieka, a nie o ciało.

– Ricardo nawiązuje tu do kary spalenia na stosie – wyjaśnił mój mistrz z uśmiechem. – Będziemy o niej mówić na innych zajęciach i wrócę do tego tematu. Ricardo ma rację z absolucją od kary śmierci. Wytlumaczę wam to na kolejnych wykładach. Dziś musicie wiedzieć, że inkwizytor jest wykonawcą woli Boga na ziemi, ustami inkwizytora przemawia Bóg i Bóg spogląda na ludzkie dusze oczami inkwizytora. A w oczach Boga wszyscy są równi i za te same grzechy powinni ponosić tę samą karę. Nikogo nie wolno faworyzować, ani bogatych, ani wysoko postawionych, ani nawet samych inkwizytorów. Tak, moi drodzy. Inkwizytorzy tak samo powinni podlegać osądowi Inkwizycji jak każdy inny człowiek. Żadnych wyjątków. Ale kara dla nich powinna być gorsza niż spalenie na stosie, uwzględniająca także zdradę, jakiej się dopuścili.

Zapadła cisza, a ja zastanawiałem się, czyż może być na ziemi gorsza kara niż spalenie żywcem na stosie.

– Błędem jest, że nie sporządza się formalnego aktu oskarżenia – odezwał się Oscar z właściwym sobie spokojem i zamyśleniem. – Skoro pokazuje się oskarżonemu zeznania obciążających go świadków, powinien on znać formalne zarzuty, jakie są mu stawiane, bo jak inaczej ma się bronić? A przecież umożliwia mu się obronę, skoro ma prawo posiadać obrońcę. Trochę to nielogiczne.

– Oscar podszedł do problemu od strony prawnej. Technicznej – skomentował z uśmiechem brat Armand. – Ale dobrze. Każde spojrzenie się liczy. Oscar ma rację, akt oskarżenia w formie pisemnej powinien być sporządzany w każdym przypadku i oskarżony powinien móc się z nim zapoznać. A skoro tak, to pokazywanie mu zeznań świadków przy pierwszym przesłuchaniu jest bezsensowne, a nawet szkodliwe. Bo akt oskarżenia można sporządzić dopiero po którymś z kolei przesłuchaniu, a wcześniej słuchać aresztowanego informacyjnie. On sam nie wie wówczas jeszcze, co Inkwizycja mu ostatecznie zarzuci, a wezwany przez inkwizytora do wyznania swych win, może nieopatrznie się z czymś zdradzić, o czym trybunał na przykład jeszcze nie wie. Wtedy akt oskarżenia będzie uwzględniał także i to wyznanie, ale tak, jakby sędziowie już wcześniej o nim wiedzieli. Świadkowie muszą być anonimowi, donosiciele muszą być anonimowi, to zasada bezwzględnie obowiązująca. Nie będzie od niej nigdy wyjątków. Bo tylko przy całkowitej anonimowości szpieczy trybunału i zwykli ludzie będą bez obaw i w szerokim zakresie składać doniesienia. Jeśli pokazywałoby się je potem oskarżonemu, nawet bez wskazywania imion i nazwisk, mógłby on z ich treści wywnioskować, kto złożył doniesienie, bo wiedziałby przecież, kto był obecny przy tym, gdy popełnił grzech. Inkwizycja powinna bardziej chronić swoich sprzymierzeńców i dlatego trzeba uznać, że zasada anonimatu to rzecz święta. Natomiast obrońca jest niepotrzebny. Zresztą zlikwidowałbym także zanikający już urząd prokuratora trybunału. Przewodniczący składu orzekającego będzie jednocześnie oskarżał, bronił i sądził. Inkwizytor powinien mieć omnipotencję, bo jest do tego wykształcony, zna oskarżonego najlepiej. Strony w postaci obrońcy i prokuratora tylko przeszkadzają i sąd musi

ciągle uwzględniać ich życzenia. Poza tym, czyż nie wydaje wam się podejrzanym, że ktoś chciałby bronić heretyka? Czyż samo to nie jest już herezją? Każdego, kto chciałby wziąć oskarżonego w obronę, postawiłbym w stan oskarżenia o herezję. Tym samym urząd obrońcy umrze śmiercią naturalną. I jeszcze jedna rzecz, skoro jesteśmy już przy aspektach technicznych: skład orzekający powinien składać się wyłącznie z inkwizytorów, bo są to ludzie do tego wyszkoleni, przygotowani wiele lat, z olbrzymią wiedzą i doświadczeniem. Nie jest dopuszczalne dobieranie sobie członków składu orzekającego spośród kogokolwiek innego. Dlatego też w trybunałach powinno urzędować znacznie więcej inkwizytorów niż dwóch lub trzech. Dobrze byłoby, gdyby jednocześnie mogły się zebrać trzy, cztery składy. To podniosłoby wydajność Inkwizycji. Bo spraw będzie zatrzesienie, a możliwości jednego inkwizytora do osądzenia oskarżonych w przeciągu jednej doby też są ograniczone. Dlatego tak ważne są kadry – zakończył tę myśl Archanioł i znów powlókł wzrokiem po nowicjuszach.

Uznałem, że trzeba się zgłosić do odpowiedzi, bo brat Armand gotów pomyśleć, że nic nie przeczytałem i niczego się nie nauczyłem, i kolejna kłótnia gotowa. Pamiętając, co mi mówił przy okazji omawiania procesu Joanny d'Arc, powiedziałem:

– Apelacja, ojciec. Od wyroku trybunału inkwizycyjnego nie powinno być odwołań do innych sędziów ani do uniwersytetów, bo to podważa autorytet inkwizytora.

Brat Armand skinął głową.

– Dobrze, Antonio. Widzę, że cokolwiek się jednak uczysz – powiedział. – Inkwizytor jest nieomylny. Kto zatem miałby podważać jego decyzję? Na jakiej podstawie? Nie po to inkwizytorów się szkoli długie lata, by potem byle sędzia uchylał mu wyrok. Żadnej apelacji.

– Ojciec, a Królowa? – zapytał Mateo. – A papież? Zawsze jest przecież droga odwołania do papieża.

– Owszem, ale ta droga sprowadzi Inkwizycję na manowce. – Archanioł spoważniał i znów chodził po sali. – Inkwizycja powinna być od papieża oderwana. Raz na zawsze. Tylko wówczas będzie prawdziwie niezależna. I zniknie wtedy problem odwoływania się od jej

wyroków do papieża, który nie będzie już jej zwierzchnikiem. Inkwizycja powinna być formalnym narzędziem w ręku władcy, jednak władca jest człowiekiem świeckim i nigdy nie będzie mógł decydować w kwestiach orzekania, odwoływania się od wyroków *et cetera*. Zatem w naszym przypadku, odpowiadając na twoje pytanie, Mateo: Królowa nie będzie mogła rozpatrywać apelacji od wyroków Inkwizycji. Nigdy. Poza tym, nie znając sprawy, ryzykowałyby popełnieniem błędu. A biorąc pod uwagę liczbę możliwych apelacji, które ewentualnie byłyby do niej wnoszone, Królowa musiałaby poświęcić im swój cały czas, a tego zrobić przecież nie może. To sparaliżowałoby pracę Korony. I tylko odwlekło wykonanie kary. Tego zrobić się po prostu nie da. Technicznie. Ale dobrze, pytajcie o wszystko. Po to tu jestem, a przy tym wy okazujecie zainteresowanie tematem i to, że myślicie, a nie tylko słuchacie. I jakkolwiek Inkwizycja w tym czy w innym kształcie może wam się wydać okrutna, miejcie jednak na uwadze cel najważniejszy: uratowanie od potępienia heretyckiej duszy. I pamiętajcie, że Inkwizycja w Kastylii będzie powołana. Bo jest potrzebna. Dziś bardziej niż kiedykolwiek.

Na końcu języka miałem pytanie, czy właśnie po to do Santa Cruz przybywa niebawem Królowa, aby knuć te plany w sekrecie, ale z oczywistych względów ugryzłem się w język i zmilczałem.

– *Padre* – odezwał się Mateo – niech mi ojciec wybaczy zuchwałość, ale zastanawia mnie jedna rzecz.

Brat Armand skinął głową i dał mu znak, aby pytał śmiało.

– A co, jeśli niechcący dojdzie do pomyłki? – mówił dalej Mateo. – Ja rozumiem, że Inkwizycja się nie myli, ale przecież inkwizytorzy są tylko ludźmi i może się tak zdarzyć, że coś źle zinterpretują albo ktoś fałszywie zezna, fałszywie się przyzna. Co wówczas?

Zastanawiałem się, czy Mateo jest aby na pewno przy zdrowych zmysłach, że zadaje takie wywrotowe pytania. Chociaż trzeba mu przyznać, że zrobił to bardzo pokornie i grzecznie, zaś na twarzy mego mistrza nie było śladu złości czy gniewu. Ale za podobne pytanie Alejandro otrzymał makabryczną chłostę, więc moim zdaniem pewnych pytań na tych zajęciach nie należało zadawać.

– Nie bardzo rozumiem, Mateo, jak miałyby dojść do pomyłki –

odpowiedział brat Armand. – Ale jeśli już by do niej doszło, to taka skazana na śmierć dusza, którą inkwizytor omyłkowo spali na stosie, i tak dostąpi zbawienia. Więc żadnej szkody nie ma.

– Ale człowiek traci życie. Niezasadnie – upierał się Mateo.

– Zgoda – przyznał Archanioł. – Ale pamiętajcie, że życie na ziemi jest tylko podróżą, przejściowym etapem, a celem jest życie wieczne. Nie powinniśmy żałować tego, co jest na ziemi, ani skupiać się na tym, co jest doczesne, ale obracać twarz ku Bogu i Królestwu Niebieskiemu. Jeśli spojrzycie na pomyłkę inkwizytora, ewentualną i bardzo hipotetyczną pomyłkę, co trzeba dodać, jeśli więc tak na nią spojrzycie, zobaczycie, że jest to nieistotny błąd, który żadnej szkody nie przynosi. Przeciwnie, dusza szybciej łączy się z Bogiem w Niebie.

Pomyślałem, że brat Armand ma rację, że zbyt hołubimy życie i dobra materialne, którymi się otaczamy, a za mało myślimy o wieczności. Ale jakoś tak człowiek jest skonstruowany, że gdy jest młody, skupia się na tym, co jest tu i teraz, i nie patrzy w przyszłość zbyt daleko.

– A na torturach? – Mateo widać nadal czuł się nieprzekonany. – Przecież na mękach, w cierpieniu, które z założenia tortur jest długie i przewlekłe, człowiek przyzna się do wszystkiego. Takie zeznania są nic niewarte!

Spodziewałem się, że brat Armand zagrzmie za chwilę, ale on uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Mateo, musisz się jeszcze wiele nauczyć! – powiedział mistrz. – Wszyscy musicie. Naczelna zasada Kościoła Katolickiego, którą wyinterpretowano wprost z bulli papieża Grzegorza IX, sankcjonującej stosowanie tortur podczas przesłuchań Świętej Inkwizycji, mówi, że człowiek, który jest niewinny tego, co zarzuca mu omyłkowo Inkwizycja, wytrzyma tortury i nie przyzna się do czegoś, czego nie zrobił. Bóg da mu siłę do tego, aby cierpienie go nie złamało. Zaś Bóg wie, kto jest winien, a kto nie zrobił nic złego. Pamiętajcie, że Inkwizycja jest ramieniem Boga na ziemi i działa zawsze w Jego imię. Święte trybunały powołał do istnienia następca Chrystusa na świecie, aby ochronić świętą naszą wiarę przed herezją i grzechem. Zatem, Mateo, odpowiadając na twoje pytanie: nie jest możliwe, aby ktoś

niewinny na torturach przyznał się do niepopelnionych czynów i został niesłusznie skazany na śmierć, a jak rozumiem, taka była intencja twojego pytania. Dlatego nie uważam, aby możliwa była w ogóle pomyłka inkwizytora. Zwróćcie uwagę, że czasem jest odwrotnie, że winni, mimo stosowania wobec nich tortur, trwają w swym uporze i nie chcą się przyznać. I inkwizytor musi szukać innego sposobu na znalezienie dowodów przeciwko nim. Bo tortury, które prawo dopuszcza w tej sytuacji, czyli te możliwe do orzeczenia przez inkwizytora, są, że tak je nazwę, dość „delikatne”. Sądy świeckie stosują tortury o niebo gorsze, bo ich nie obowiązuje zakaz przelewu krwi badanego na mękach. Dla mnie ten zakaz jest pozbawiony sensu i niepotrzebnie ogranicza inkwizytora, który przecież chce tylko dobra dla heretyckiej, grzesznej z natury duszy człowieka. Każe mu się wykryć prawdę, ale zabiera mu się po temu środki. Moim zdaniem należy zreformować prawo dotyczące stosowania tortur. Oprócz zmiany rodzajowej powinna nastąpić również zmiana ilościowa. Niezrozumiałe, bo nielogiczne jest dla mnie ograniczenie czasowe stosowania tortur, na przykład tylko raz albo tylko trzy razy, w zależności od kraju. Inkwizytor powinien móc stosować tortury wedle swego uznania i wedle stanu sprawy, jej charakteru i skomplikowania, tyle razy, ile będzie potrzeba. Należy w tym względzie pokładać w nim zaufanie, że cokolwiek robi, robi dla dobra oskarżonego. I że jest to absolutnie konieczne. Nigdy zaś, i to sobie zapamiętajcie, inkwizytor nie męczy człowieka ponad miarę. Inkwizytor jest człowiekiem Kościoła, a więc brzydzi się takimi nieludzkimi praktykami – Archanioł zakończył, a w sali zapanowała absolutna cisza.

Po tym, co mistrz mój powiedział przed chwilą, nikt już nie ośmielił się o nic zapytać. Dla mnie zaś wszystko stało się jasne: Inkwizycja w Hiszpanii już wkrótce stanie się uciemieniem całego narodu...

– Czy są jeszcze jakieś pytania? – Brat Armand rozejrzał się po parlatorium, a nie słysząc nikogo, powiedział: – Jeszcze tak tylko wspomnę i to na marginesie, bo będziemy o tym mówić kiedy indziej, trybunały Inkwizycji zbyt rzadko dziś karzą spaleniem na stosie, a w dodatku nie ma jakiegóż zinstytucjonalizowanej ceremonii przewidzianej na te uroczystości. W tym względzie panuje duża

swoboda i co trybunał, to inna praktyka. A już kuriozum dla mnie jest brak obowiązku uczestnictwa przez poddanych danego trybunału w tych ceremoniach. Ludzie powinni mieć obowiązek brać udział w uroczystościach Inkwizycji i to pod groźbą stosu. Wtedy będzie to miało jakiś sens. Ale tak, jak wspomniałem, temat kary spalenia na stosie będzie przedmiotem odrębnego wykładu. Nie najbliższego, ale poznacie sens i uzasadnienie tej kary. Natomiast kolejne zajęcia będą praktyczne. Skoro poznaliście już procedurę przed trybunałami Świętej Inkwizycji, przygotowujemy symulowaną rozprawę przed takim trybunałem. A żeby to nie wydało się wam procesem na niby, będziecie pracować na prawdziwych aktach. Przygotujecie rozprawę oskarżonej Joanny d'Arc. Akta znajdziecie w naszej bibliotece. Antonio już je zna. Oczywiście przygotowujecie tylko pierwszy proces. Nie będziemy się zajmować jego rewizją z przyczyn, które wyjaśnię po rozprawie. Musicie się zatem podzielić na role. Proponuję, aby biskupa Cauchona zagrał Ricardo, bo ma z was najlepsze predyspozycje i największą wiedzę. Antonio będzie jednym z sędziów, inkwizytora zagra Oscar, ponieważ w tym procesie był tylko jeden inkwizytor, czego również się dowiecie z akt. Juan będzie Joanną, a Alejandro – prokuratorem. Camilo, Mateo i Jesus będą zeznawać jako świadkowie. Zatem ustalone. Biegnijcie do biblioteki zamówić sobie akta do czytania. I jeszcze jedno. W przyszłym tygodniu przyjeżdża Królowa, zatem zajęcia odbędą się dopiero po jej wizycie w klasztorze. Macie więc dużo czasu na wnikliwą analizę akt i przygotowanie swoich ról procesowych. Na dzisiaj z mojej strony to wszystko. Dziękuję za uwagę. – Brat Armand zaczął składać swoje notatki, my zaś pozamykaliśmy kajety.

Juan, Alejandro i ja w ponurych nastrojach opuszczaliśmy rozmównicę. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że dzisiejszy wykład był zapowiedzią wprowadzenia Świętej Inkwizycji w Kastylii i manifestem jej zreformowania według pomysłów brata Armanda i *padre* Torquemady.

Wieczorem

Za chwilę odkładam już pióro i udaję się na spoczynek. Wbrew życzeniu mego mistrza nie poszedłem dziś do biblioteki. Zmęczenie i niedospanie, nerwy i ciągle napięcie dają o sobie znać. Organizm też domaga się swego. Muszę przespać chociaż jedną noc. Uznałem, że nowicjusze będą czytać akta procesu Joanny d'Arc, które znam, więc dzisiejszą noc mogę sobie odpuścić. Jeśli mój mistrz odkryje, że śpię, będzie się strasznie gniewał. Ale skoro i tak czeka mnie kara za nieposłuszeństwo...

Brat Armand nie pojawił się na nieszporce, bo zaraz po naszym wykładzie poszedł do szpitala. Brat Francisco po ostatnim poparzeniu czuje się już dużo lepiej, a pęcherze przyschły i skóra się goi. Ale to dzięki maści mego patrona i codziennemu smarowaniu. Wiem, że w głównej mierze to Archanioł zaglądał do brata Francisco i opiekował się nim. Ale mimo to nie umiem wykrzesać z siebie żadnego cieplejszego uczucia dla brata Armanda. Zbyt mocno go nienawidzę... I wiem też, że ta nienawiść może mnie słono kosztować...

8 lipca. Na Anioł Pański

Cały ranek spędziliśmy z Jesusem w archiwum opactwa, które znajduje się w południowo-zachodnim narożniku dormitorium, granicząc z jednej strony z segmentem brata Manuela de Ovieda, sąsiadującym z segmentem, w którym znajduje się cela i gabinet przeora, z drugiej z celą ojca Celestino de Coro i celą na parterze zajmowaną przez jego nowicjusza, Camilo Herrera, które z kolei przylegają do segmentu brata Francisco.

Archiwum jest dwupoziomowe, dość przestronne i przechowywane są w nim wszelkie księgi opactwa, w tym przepiękna Kronika Santa Cruz. Archiwum opiekuje się brat Celestino i jest on również kronikarzem klasztoru. Do pomocy zaś ma swego ucznia, Camilo, który dziś pełnił dyżur w refektarzu. W archiwum na górnym poziomie przechowywane są też księgi liturgiczne, ale z oczywistych względów jest ich niewiele.

Za to Kronika jest przepiękna: olbrzymia, metrowej wysokości

księga, oprawiona w ciemnobrązową skórę kozłęcia. Ma piękne, grube stronice. Brat Celestino pisze ją już od pięciu lat. Ręcznie, atramentem sprowadzanym z Toledo, zawsze tym samym. Po napisaniu jakiejś partii tekstu brat kronikarz ozdabia stronę iluminacjami, jakich jeszcze nigdy nie widziałem. Bo trzeba w tym miejscu napisać, że brat Celestino jest także kopistą i iluminatorem. Niesamowicie dobrym i cenionym. Zaś pod jego ręką Kronika wygląda jak majstersztyk! I można ją oglądać w nieskończoność, bez przerwy przerzucając karty i ciągle powracając do stronic, na które patrzenie nie może się znudzić. Ja w każdym razie nie mogłem oderwać od niej oczu i widziałem, że i Jesus także był zachwycony. Oto przez te karty, oprócz starannie wykaligrafowanego, gotyckiego pisma, przetaczał się prawdziwy korowód barw, przedziwnych postaci, najrozmaitszych rzeczy i niesamowitych miejsc, zabawnych sytuacji i przepych złotych ozdób, wieńczących niektóre iluminacje! Jakże to było piękne!

Co prawda ani ja, ani Jesus w niczym bratu Celestino nie pomogliśmy, ale za to obejrzeliliśmy te cudenka, a i brat kronikarz nie zawołał nas chyba do pomocy, ale raczej żeby pokazać nam swoją pracę i samą Kronikę.

Taka Kronika jest prowadzona od początku istnienia opactwa, czyli od XIII wieku i obejmuje już dziesięć ksiąg. Ta, którą prowadzi brat Celestino, jest jedenasta. Zasadą jest również, że gdy wybrany zostaje nowy przeor, zawsze czyni on pierwszy wpis w Kronice, żeby zaznaczyć zmianę na tym stanowisku.

Brat Celestino de Coro jest młodszy od mego mistrza, ale bardzo uczony w Piśmie Świętym. Studiował teologię w Salamance i Palencji przeszło sześć lat i niektórzy w opactwie uważają, że lepiej zna się na naturze Boga i kwestiach teologicznych niż brat Armand, który przecież jest doktorem teologii. Rzecz jasna nikt nie ośmieli się powiedzieć tego głośno, a i ja w tak krótkim czasie jak parę przedpołudniowych godzin nie mogłem się zorientować, czy to prawda. Mogę zaś powiedzieć, że brat Celestino to mnich nad wyraz poważny i skupiony na tym, co robi. Zanim coś powie, wysłuchuje dokładnie tego, co ktoś inny mówi, potem długo się zastanawia, a w odpowiedzi stara się być obiektywny i nikogo nie urazić. Mówi wolno i cicho, ze spokojem. Musi być bardzo

cierpliwym i wyciszonym człowiekiem i ze wszech miar właściwym do pełnienia funkcji kronikarza Santa Cruz.

Jesus powiedział mi w sekrecie, że brat Celestino pisze rozprawy teologiczne i wysyła je na Uniwersytet w Salamance, gdzie uznawane są za szczególnie wnikliwe i mądre. Nie wiem, czy mistrz mój wie o tym i czy byłby zazdrosny. Na pewno przeor musi o tym wiedzieć, a z uwagi na łączące go z bratem Armandem relacje nie ulega wątpliwości, że mu powiedział.

Jesus wspomniał mi również, że brat Celestino dużo pości, a nawet uprawia ascezę. Że jego wiara jest żarliwą, głęboką wiarą, jakiej życzyliby sobie chyba wszyscy tutaj. Kiedy przyglądałem się bratu Celestino, istotnie w jego szczupłej, powiedziałbym nawet, że chudej sylwetce widać ślady ascezy i postów, zaś w jego twarzy, ułożeniu ramion i szyi – głęboką pokorę i pogodę ducha. Pomyślałem sobie nawet, że szkoda, że nie jest on moim patronem... Ale tak myślę prawie o każdym innym mnichu poza bratem Armandem i przeorem.

Później

Po nabożeństwie na Anioł Pański podszedł do mnie brat Constantino i patrząc na mnie smutno, powiedział tajemniczo:

– Pamiętaj, że z tobą jestem, Antonio.

Podziękowałem grzecznie, jak należało, ale nie bardzo wiedziałem, o czym mówi, zaś brat Constantino, widząc chyba moją skonsternowaną minę, dodał:

– *Padre* Torquemada chce cię widzieć. Natychmiast. Nie jest w najlepszym nastroju, więc miej się na baczności. I uważaj na słowa. Bez względu na to, po co cię wzywa.

Nogi się pode mną ugięły. Bardzo dobrze wiedziałem, po co mnie wzywa. W sprawie ostatniej mojej kłótni z bratem Armandem.

Serce uderzało mi niczym dzwon bijący na alarm, ostrzegający przed nadciągającym nieszczęściem, gdy szedłem do gabinetu przeora. Nogi miałem miękkie, a jedyne, co mnie pocieszało, to fakt, że mistrz mój był w tym czasie w szpitalu, nawet nie zjawił się na nabożeństwie,

zatem nie będzie go przy tej zapewne upokarzającej dla mnie rozmowie.

Drzwi do gabinetu przeora były uchylone. Zapukałem w nie cicho mimo to.

– Wejdz, Antonio! – dobiegł mnie głos brata Torquemady z głębi gabinetu.

Wszedłem ostrożnie, jak dzikie zwierzę, które pierwszy raz nieufnie podchodzi do człowieka. Gabinet, jak poprzednio, zalany był ciepłym, drgającym blaskiem licznych świec i kolorowymi plamami światła przechodzącego przez witraż. Wnętrze wydawało się przyjazne i wesołe.

Przeor stał obok okna, twarzą zwrócony ku drzwiom wejściowym, a z jego lodowatego oblicza mogłem wnioskować, że nie zanoszą się na miłą rozmowę.

– Bliżej, synu – polecił *padre* Torquemada. – Nie będę do ciebie krzyczał przez cały pokój.

Postąpiłem parę kroków w jego stronę, mijając stojący na środku pomieszczenia stół. Leżała na nim ta sama duża mapa Hiszpanii, którą widziałem w dniu mojego przybycia do Santa Cruz, z zaznaczonymi czarnymi krzyżami i datami obok nazw miast. Tym razem wiedziałem już, że są to planowane daty utworzenia trybunałów Inkwizycji w poszczególnych miastach kraju. Na rozłożonej mapie leżały jakieś dokumenty: listy ze złamanymi pieczęciami, jakieś notatki i projekt proporca rozrysowany w kilku skalach wielkości i w kilku nieco różniących się wersjach. Na jednym z rysunków w centrum sztandaru stał zielony krzyż, opasywała go złota obręcz, a ponad nią tło było czerwone. Na innym szkicu po obu stronach krzyża znajdowały się gałązka oliwna i miecz. Na jeszcze innym obręcz była podwójna, a pomiędzy złote owale wpisano jakieś słowa, ale nie zdążyłem zauważyć jakie. Wydawało mi się tylko, że było tam napisane „Psalm 73”, ale mogę się mylić. Rysunki te były odręczne, wyglądały jak jakieś wstępne szkice, pomysły, plany. Czym miał być ów proporzec? Dlaczego był w gabinecie przeora? I dlaczego krzyż na nim był zielony?

Zatrzymałem się jakiś metr od *padre* Torquemady. Jego oczy były zimne i wpatrywały się we mnie z wyrzutem. Długo nic nie mówił. Może po to, abym wsłuchał się w ogłuszające uderzenia swego serca.

– Wiesz, dlaczego nasz habit jest biały, Antonio? – przeor przerwał w końcu ciszę.

Zaskoczyło mnie to pytanie, bo spodziewałem się, że dostanę reprimendę i to wyjątkowo ostrą. Pokręciłem przecząco głową.

– Bo oznacza czystość – odpowiedział ojciec Torquemada. – Niewinność dziecka wobec Boga Ojca. A czy wiesz, czym przede wszystkim kieruje się takie Boże dziecko?

– Miłością, *padre* – rzuciłem, bo to najszybciej przyszło mi do głowy.

– Posłuszeństwem, Antonio – poprawił mnie cierpliwie przeor. – Posłuszeństwem wobec woli Bożej. Pokorą i zaufaniem, że cokolwiek czyni Ojciec Niebieski, czyni to dla naszego dobra.

– Tak, *padre* – przytaknąłem.

– Zatem, Antonio, powiedz mi, czemu jesteś nieposłuszny woli Boga Ojca, który tak cię kocha? – zapytał przeor cicho i łagodnie.

Zmieszałem się.

– Ależ, ojcze, ja nigdy... – Chciałem powiedzieć, że nigdy nie ośmieliłbym się okazać Bogu nieposłuszeństwa, ale przeor nakazał mi zamilknąć.

Splótł za sobą ręce, wolnym krokiem obszedł mnie i stanął za mną.

– Jesteś w tym klasztorze z woli Boga, czyż nie? – zapytał.

– Tak, ojcze – przyznałem.

– Zatem wierzysz, mój synu, że to Bóg, nie ja, przydzielił cię w opiekę czcigodnego brata Armanda? – drążył cierpliwie temat przeor.

– Tak... – Zastanowiłem się.

– Czyli Bóg zrobił to w jakimś celu, kierując się jedynie twoim dobrem, czy tak? – Pytania *padre* Torquemady brzmiały z pozoru niewinnie, ale ja czułem się, jakbym stał przed trybunałem Świętej Inkwizycji.

Znów przytaknąłem.

– A czy nie uważasz, mój synu, że Bóg chciał ci przez to powiedzieć, że chciałby, abyś naśladował swego mentora i czerpał z jego nauk? – Przeor stanął tuż przede mną, twarzą w twarz, chłodny i obcy zupełnie.

– Pewnie tak, ojcze – przyznałem mu rację kolejny raz, bo spór

z przyszłym Wielkim Inkwizytorem nie miał najmniejszych szans powodzenia, z mojej strony rzecz jasna.

– A więc powtarzam moje pytanie, Antonio: dlaczego jesteś nieposłuszny Bogu przez to, że nie słuchasz swego patrona, lekceważysz jego polecenia, jesteś leniwy i ośmielasz się z nim kłócić, krzycząc, że go nienawidzisz? Wytlumacz mi to, synu, bo przyznaję, że nie znajduję w głowie po temu żadnego uzasadnienia. – Umilkł, przyglądając mi się wyczekująco.

Wzięłem głęboki oddech. Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że cokolwiek bym nie powiedział, brat Torquemada i tak nie zrozumie. Ale coś odpowiedzieć musiałem.

– *Padre*, jestem pełen podziwu dla wiedzy brata Armanda – zacząłem. – Naprawdę. Ale obawiam się, że ja nie mam takiej głowy do nauki jak on. Nie lubię się uczyć, przyznaję. Nigdy nie lubiłem. A brat Armand wymaga, bym uczył się niemal bez przerwy. Chce, żebym został lekarzem, tak jak on, ale ja nie wiem jeszcze, czy tego właśnie chcę, choć medycyna mnie zaciękała, zwłaszcza ostatnio.

– Widzisz, mój synu – podjął przeor – Bóg dał ci wspaniałego mentora. Niektórzy wiele by dali, aby być na twoim miejscu. – Brat Torquemada miał zapewne na myśli Ricarda albo Oscara. – A ty nie chcesz brać z niego przykładu, chociaż on tylko czeka, aby przekazywać ci swoją rozległą wiedzę. Nieprawda, że nie masz głowy do nauki, Antonio. Ty po prostu jesteś leniwy. Bo jak inaczej nazwać to, że ciekawi cię wprawdzie medycyna, ale nie chcesz się jej uczyć i nie chcesz zostać lekarzem? A to, że mentor wymaga, abyś się uczył, nie jest czymś niezwykłym, zważywszy, że dominikanie w swej regule mają zapisany obowiązek dokształcania się, ustawicznie. Sam święty Dominik kładł na to nacisk, na naukę, po to, aby bracia byli kaznodziejami. Naszym posłannictwem jest nauczać innych, a jak chcesz nauczać ludzi, samemu nic nie umiejąc? Dlaczego nie potrafisz zrozumieć, że brat Armand, jeśli zadaje ci jakąś pracę, robi to, kierując się ojcowską miłością do ciebie, twoim dobrem?

– Nie wiem, *padre*... – wyjąkałem. – Po prostu inni nowicjusze nie muszą się aż tyle uczyć...

Brat Torquemada skrzywił się. Wiedziałem, że moja odpowiedź

nie była zbyt mądra, ale nic innego nie przyszło mi w tej chwili do głowy.

– Antonio, skupiasz się na negatywnych przykładach. Spójrz na inne osoby, na przykład na Ricarda, który, choć nieprzymuszany, uczy się dniami i nocami, albo na Oscara, który w bibliotece urządził sobie pracownię naukową. Dlaczego ich sobie nie bierzesz za przykład, ale akurat tych, którzy się nie uczą? A pomyślałeś o tym, że inni nowicjusze nie mają za patrona osoby tak odczytanej, wykształconej i inteligentnej, a tym samym i wzorca, do którego mieliby dążyć, poziomemu, do którego mieliby równać? Ty zaś masz owo niesamowite szczęście i gardzisz nim. Tego nie jestem w stanie pojąć. – Przeor pokręcił z niedowierzaniem głową.

Zapadła długa cisza, w trakcie której *padre* Torquemada chodził po swym gabinecie z założonymi z tyłu rękami. Ja zaś myślałem o tym, że nie wiem, czy być uczniem Archaniola to takie niesamowite szczęście...

– Jesteś niewdzięczny, Antonio! Krnąbrny i niewdzięczny. A do tego leniwy – podsumował mnie przeor, zatrzymując się przede mną. – A to, co ośmieliłeś się powiedzieć do swego patrona, było bezczelne i przechodzi ludzkie pojęcie! Jak mogłeś do brata Armanda krzyknąć, że go nienawidzisz? Jak możesz w ogóle czuć nienawiść do swego bliźniego, skoro Bóg nakazał ci go miłować?! – Spojrzał mi w oczy z wyrzutem, który szarpał mi sumienie. – Nienawiść jest grzechem, Antonio. Ciężkim, śmiertelnym grzechem. Przemyśl sobie konsekwencje, jakie jego popełnienie z sobą niesie – dodał spokojnie i lodowato.

Nic nie odpowiedziałem, ale zaczynałem dochodzić do wniosku, że istotnie, nie powinienem krzyczeć do swego patrona, a już na pewno nie to, że go nienawidzę.

Zarumieniłem się.

– *Padre*, jeśli mogę coś powiedzieć... – zacząłem niepewnie. – Wiem, że nie powinienem tak mówić do mistrza. Gorąco tego żałuję.

– Czy przeprosiłeś go zatem, synu? – zapytał przeor, zaglądając mi głęboko w duszę swymi przenikliwymi na wskroś oczami.

Pokręciłem przecząco głową.

– Sam widzisz – skwitował *padre* Torquemada, a w jego głosie

było rozczarowanie.

– Przepraszę mego mistrza, ojciec – zapewniłem go szybko, a w moim sercu zatonęła nadzieja, że może ujdzie mi to wszystko na sucho. – Przepraszę go, jak tylko stąd wyjdę.

Brat Torquemada wysłuchał tego cierpliwie.

– Tak. Trzeba przeprosić – powiedział cicho. – Ale obawiam się, mój synu, że niczego nie rozumiałeś. Mówisz to wszystko, bo boisz się kary. A skoro tu dzisiaj rozmawiamy, to znaczy, że sprawa jest poważna. Wierz mi, drobne sprawy patroni wolą rozwiązywać we własnym zakresie, w cztery oczy ze swymi nowicjuszami. Tylko poważne rzeczy docierają do moich uszu. I rzadko się to dzieje, Antonio. A o ile wiem, brat Armand zwracał ci już dotąd kilka razy uwagę, rozmawiał z tobą, tłumaczył i przekonywał. Nawet zarządził karę głodówki, a mimo to niczego nie rozumiałeś, niczego się nie nauczyłeś i nie zmieniłeś swego postępowania. Przeciwnie, stałeś się jeszcze bardziej nieposłuchany. Głęboko nad tym ubolewam, mój synu. – Spojrzał na mnie z wyrzutem, a jego oczy wyrażały troskę, zwłaszcza że ostatecznie zdanie wypowiedział z naciskiem.

Serce uderzało mi z całych sił.

– Nie pozostawiasz mi wyboru, Antonio – zaczął znów przeor. – Posłuszeństwo wobec przełożonych jest w naszym zakonie cechą szczególnie hołubioną. Szczycimy się tym i z tego słynimy. Ale jednocześnie otwarcie sprzeciwiamy się jakimkolwiek przejawom nieposłuszeństwa. Karzemy je wyjątkowo przykładnie, aby wszyscy to rozumieli. Jesteś młody, Antonio, masz prawo popełniać błędy. Ale musisz pamiętać, że w nasze progi skierował cię Bóg i Bóg dał ci brata Armanda jako mentora. I nakazał ci go miłować jak siebie samego, bo to twój brat i nauczyciel. Zatem okazując nienawiść i nieposłuszeństwo nam i patronowi, okazujesz je Bogu. A to już straszny grzech, mój synu. Bóg nakazuje nam wybaczać i ja do ciebie urazy nie chowam. I pewny jestem, że i brat Armand nie gniewa się na ciebie i dawno już ci wybaczył. Ale oprócz nas obraziłeś Boga, Antonio. A tej obrazy ani ja, ani twój patron wybaczyć ci nie możemy. – Jawna groźba była w słowach przeora, a mnie zrobiło się zimno.

Zapadła cisza. Długa i męcząca. Taka, w której człowiek, którego

los wydaje się przesądzony, słucha bicia własnego serca, jakby za chwilę miała wydarzyć się najgorsza rzecz w jego życiu, taka, poza którą nie wybiega się myślą. W tamtym momencie już wiedziałem, że przeor zarządzi chłostę. Albo coś jeszcze gorszego. Ale już nic gorszego poza obrazem zmasakrowanych pleców Alejandra nie przychodziło mi do głowy.

– A zatem – przerwał ciszę brat Torquemada – zostaniesz ukarany, Antonio. A twoją karą będzie chłosta.

Serce prawie mi się zatrzymało na dźwięk tych słów, mimo że przecież właśnie ich się spodziewałem.

– Żeby nie przedłużać – mówił dalej przeor – kara będzie wykonana dziś po nieszporach. Posłałem już po kata. Ale nie będzie ona aż tak surowa jak chłosta dla twojego przyjaciela, Alejandra, chociaż mogę się mylić, bo o ilości razów zdecyduje brat Armand. Antonio – przeor położył mi dłonie na ramionach i wymówił ciepło moje imię – zrozum, że ta kara jest dla twojego dobra. Żebyś się w porę opamiętał i zszedł z obranej ścieżki nienawiści, nieposłuszeństwa i lenistwa. To są ciężkie grzechy, a w porównaniu z karą potępienia, która za nie grozi, chłosta wydaje się dziecinnie łagodna. Rozumiesz, o czym mówię, prawda, synu?

– Tak, *padre*. – Pokiwałem głową. – Zrozumiałem wszystko, co ojciec chciał mi przekazać. Obiecuję, że się poprawię i już nigdy więcej nie okażę Bogu nieposłuszeństwa.

Brat Torquemada uśmiechnął się.

– Bardzo dobrze, Antonio – powiedział. – Cieszę się, że ruszyło cię sumienie.

– Ojciec... – Drżałem ze strachu przed karą i przed tym, co miałem za chwilę powiedzieć. – Czy ta kara jest konieczna? Ja naprawdę wiele zrozumiałem... Ja...

– Antonio – przerwał mi przeor stanowczo – jeśli miałeś odwagę obrazić Boga i patrona, znajdź teraz w sobie odwagę, aby godnie znieść tego konsekwencje – zakończył lodowato.

– Tak, *padre*. – Pochyliłem pokornie głowę.

– To wszystko, mój synu – oznajmił sucho przeor. – Idź i przygotuj się do pokuty.

Ukloniłem się grzecznie i dygocząc na całym ciele, wyszedłem z gabinetu brata Torquemady. Na zewnątrz świeciło upalne, lipcowe słońce, wysoko nad Santa Cruz. Niebo było błękitne, jak zawsze, bezchmurne. Jasna fasada dormitorium, mury kościoła, a nawet fontanna i alejki, wszystko wykute z białego piaskowca, wygrzewało się w wesołych, beztroskich promieniach popołudniowego słońca. Duszny zapach kwitnących róż był słodki i nęcący duszę swym czarem jak zawsze. Sam środek lata. Sama radość. Tylko mnie mroczny, niewidzialny ciężar przygniatał do ziemi, nie pozwalając się z niczego cieszyć.

Przed segmentem, w którym znajduje się gabinet przeora, spotkałem Juana i Alejandra, którzy usłyszawszy od brata Constantino, że wezwał mnie *padre* Torquemada, czekali na mnie przed wejściem. Odeszliśmy spod okna gabinetu i powiedziałem im o chłości, ale obaj słyszeli naszą rozmowę przez uchylone okno. Miny mieli poważne i oburzone. Starali się jakoś mnie pocieszyć i dodać otuchy i odwagi, ale mnie spieszno było do szpitala, zobaczyć się z bratem Armandem. Juan i Alejandro obiecali porozmawiać ze swoimi patronami, aby wstawili się oni za mną u mego mistrza. Wiedziałem, że brat Jorge raczej nic nie wskóra, skoro nic nie działał w sprawie Alejandra, a poza tym brat Armand nieszczególnie za nim przepada. Zresztą z wzajemnością. Zaś ojciec Alvaro, i tego byłem pewien, nie wstawi się za mną, nie porozmawia z mym mistrzem, bo jego zdaniem nic to pewnie nie da, co kilka razy nam już powiedział. Widząc, co dzieje się w klasztorze, trudno było nie przyznać mu racji. Tak więc byłem zdany wyłącznie na siebie.

Pobiegłem co sił w nogach do pawilonu szpitalnego, nie bacząc na brak asysty. Skoro i tak zamierzali mnie ukarać, było mi wszystko jedno. Chciałem naprawdę szczerze przeprosić brata Armanda za to, co powiedziałem, i za nieposłuszeństwo. Ale też chciałem go błagać, by mi odpuścił. Jeszcze tym razem mi darował. Ostatni raz. W mej duszy tliła się niepokorna nadzieja, mimo że rozum mój, mając w pamięci to, co się stało z Alejandrem, zdawał sobie sprawę, że prośby moje raczej spełzną na niczym, niżli zostaną przez brata Armanda spełnione. Ale musiałem spróbować.

Wpadłem do szpitala zdyszany i rozdygotany. Trząsałem się ze strachu przed zbliżającą się kaźnią, ale i z obawy przed rozmową z moim mistrzem. W ambulatorium go nie zastałem, siostry skierowały mnie na sale chorych. Szedłem więc korytarzem od sali do sali z mieszanymi uczuciami, wiedziałem jednak, że jeśli jest jakakolwiek szansa dla mnie, to tylko u brata Armanda.

Znalazłem go dopiero w ostatniej sali, w której leżeli ci chorujący na tyfus plamisty. Dzisiaj byli w o niebo lepszym stanie. Mistrz mój rozmawiał z jednym z chorych. Podeszedłem bliżej i rozejrzałem się po sali.

– Antonio, co ty tu robisz? – zapytał brat Armand ze zdziwieniem. – Nie wzywałem cię. Coś się stało? – Wstał z klęczek i odwrócił się w moją stronę.

– Nie, *padre* – odpowiedziałem. – Nic się nie stało... A właściwie tak. Chciałem porozmawiać... – plątałem się, nie wiedząc, jak zacząć. – Pacjenci wyglądają dużo lepiej. – Wskazałem ruchem głowy na chorych z tyfusem.

– Owszem. – Brat Armand pokiwał głową. – Ale to tylko cisza przed burzą. W tej chorobie po kilku, nawet po kilkunastu dniach następuje znaczna poprawa, spada gorączka, a chorzy czują się lepiej. Ale za dwa dni choroba znów zaatakuje. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje. – Odnosiłem kolejny już raz wrażenie, że gdy mistrz mój mówił o medycynie, zapominał o całym świecie. – Ale chciałeś porozmawiać. Jakoś dziwnie mówisz, Antonio. Nie bardzo wiem, o co chodzi. Wyjdźmy na korytarz i dajmy chorym odpocząć.

Wyszliśmy z sali i stanęliśmy pod jednym z szeroko otwartych okien.

– Słucham cię, Antonio. – Brat Armand był spokojny i liczyłem na to, że cierpliwy i łaskawy.

– Ojczy... Chciałem cię przeprosić. – Głos mi drżał. – Za to, że cię nie słuchałem. Za to, że podniosłem na ciebie głos i że krzyknąłem, że cię nienawidzę. Wcale tak nie myślę i to gniew mną kierował. Wiem, że chcesz tylko mego dobra, ale ja po prostu nie lubię się uczyć. Nauka przychodzi mi z trudem i nigdy nie będę taki jak ty, *padre*. Wybacz mi, jeśli cię obraziłem. – Umilkłem i niepewnie patrzyłem na mistrza.

Ale on się uśmiechnął.

– Przyjmuję przeprosiny, Antonio – powiedział. – Zauważyłem, że nie lubisz się uczyć, ale będziesz musiał to robić. Jeszcze przez wiele lat. Im szybciej to zaakceptujesz, tym będzie ci łatwiej. Oczywiście chciałbym, żebyś mnie lubił, bo wszyscy tu i ja również kochamy cię jak syna, obawiam się jednak, że masz mi za złe nieprzespane noce i ślęczenie nad książkami. Nic na to nie poradzę. Mam też nadzieję, że więcej nie będzie pomiędzy nami nieporozumień i kłótni. I wiem, że jeśli tylko przyłożysz się do nauki, dojdiesz do wielkich rzeczy. Tylko poprzez wiedzę twoje życie będzie miało jakiś sens, będzie coś znaczyło – mówił to z uśmiechem i zupełnie beztrąsko. – A teraz idź do swoich zajęć. Nie chowam urazy – zapewnił mnie.

– *Padre*, wybacz, że zapytam... – zdobyłem się niemal na heroizm. – Dlaczego więc ta kara?

Brat Armand wydawał się zaskoczony.

– Jaka kara? – zapytał.

– Chłosta – odpowiedziałem, ledwie mówiąc ze strachu. – Przeor mi powiedział, że dziś po niesporze zostanę nią ukarany i że ty, ojciec, zdecydujesz o liczbie razów.

– Brat Torquemada zarządził chłostę? – powtórzył za mną mistrz. – Nic mi o tym nie wiadomo. Ale chyba przeor wyjaśnił ci, dlaczego tak postanowił?

Skinąłem w odpowiedzi głową.

– Ojciec, chciałem prosić cię o odwołanie tej kary. – Serce biło mi jak oszalałe. – Proszę. Ja naprawdę zrozumiałem swój błąd. Ja się poprawię, obiecuję.

– Antonio, ja nie mogę odwołać tej kary, bo to nie ja ją zarządziłem – powiedział spokojnie brat Armand. – Powinieneś prosić o to przeora. Ja nawet o niej nie wiedziałem.

– Ojciec, ale przyjaźnisz się z *padre* Torquemadą – błagałem dalej. – Może mógłbyś porozmawiać z nim w moim imieniu? Ja już go prosiłem i nic to nie dało.

Brat Armand przestał się uśmiechać.

– Chyba przeceniasz moją znajomość z przeorem, Antonio – powiedział chłodno. – Skąd ten pomysł, że się z nim przyjaźnię? Wątpię,

aby brat Torquemada zechciał w ogóle mnie wysłuchać w tym przedmiocie. Skoro zarządził taką karę, musiał mieć po temu powód.

Zaniemówiłem, patrząc, jak w okamgnieniu zaszła zmiana w zachowaniu mego mistrza. Dopiero co uśmiechnięty i uprzejmy, nagle zmienił się w chłodnego, oficjalnego, niedostępnego i obcego mi zupełnie człowieka! Ale ja byłem zbyt zdesperowany i przerażony zbliżającą się godziną kaźni, aby przejmować się zmianą w zachowaniu brata Armanda.

– Błagam, ojcze... – mówiłem przez łzy, które naraz napłynęły mi do oczu. – Tylko ty mi możesz pomóc. Błagam! Nie każ mnie torturować!

Mistrz cofnął się o krok. Spojrzałem nań, ale jego twarz była zimna i sztywna. A oczy lodowate.

– Nie zamierzam cię torturować, Antonio! Chłosta to nie tortury – skomentował. – Widać, że nie masz o mnie najlepszego zdania, skoro wygadujesz takie rzeczy – mówił twardo i był oburzony. – Ale powiedz mi, Antonio, czy przyszedłeś tu, aby mnie przeprosić tylko ze strachu przed chłostą? Czy mam rozumieć, że inaczej w ogóle byś mnie nie przeprosił?

– Nie, ojcze, to nie tak!... – płakałem.

– A ja myślę, że mam rację – dokończył z lodem brat Armand. – Miałeś dwa dni na przeprosiny i nie przyszedłeś. Zjawiasz się dzisiaj, nagle, i sądzę, że prosto z rozmowy z przeorem. Obawiam się, Antonio, że niczego nie zrozumiałeś – powiedział zimno, z wyższością. – Rozczarowujesz mnie – dodał z pogardą.

A potem odwrócił się i wszedł do sali chorych, w której zastałem go poprzednio, zostawiając mnie zapłakanego i rozdygotanego na zalanym słońcem korytarzu, całkowicie pokonanego.

Zdruzgotany i roztrzęsiony nową falą strachu, która napłynęła mi do serca, kiedy zgasł wszelki płomień nadziei na pomoc ze strony brata Armanda, przez chwilę stałem tak w pustym korytarzu, nie wiedząc, co dalej robić. Najbardziej pragnąłem, żeby to był sen. Nie tylko chłosta, ale całe to opactwo. Żebym obudził się z niego, daleko od Torquemady, Archaniola i inkwizytora, którym w głębi duszy brat Armand już się stał. Jego dzisiejsze zachowanie, chłodne i wyniosłe, przypominało do

złudzenia mentalność inkwizytorów, o której wszak krążą wśród ludu plotki.

Skruszony i przygnębiony wróciłem za mury opactwa. Poszedłem prosto do mej celi, usiadłem na łóżku i przyglądałem się słońcu, które z wolna chyliło się coraz niżej i niżej, nieubłaganie ku zachodowi. A wraz z zachodem nadchodził nieszpór...

Przyszli Juan i Alejandro, aby dodać mi otuchy. Ich patroni wyrazili ubolewanie z powodu losu, który mnie spotkał. Brat Alvaro obiecał porozmawiać z moim mistrzem, ale kazał nie robić sobie zbyt wielkich nadziei. Zaś brat Jorge nazwał brata Armanda „inkwizytorem” i stwierdził, że tu żadna, nawet osobista Boska interwencja nic nie da. Po mojej dzisiejszej rozmowie z mistrzem wiem, że ojciec Jorge miał rację.

Jakże się bałem! Zbyt dobrze w mej pamięci zachowały się obrazy z męki, którą przeszedł Alejandro, bym mógł spokojnie czekać na kaźń. Bo czymże, jeśli nie kaźnią, była masakra, jaką memu przyjacielowi zgotowali przeor z bratem Armandem? Bałem się nawet pomyśleć, jak bardzo swoim zachowaniem obraziłem mego mistrza i na ile razów oszacuje on swą urazę. Znając go, jak łatwo się obraża o byle co, mogłem się spodziewać co najmniej takiej samej jatki, jaką urządził dla Alejandra. Poza tym jest nieprzewidywalny, chwiejny i nigdy nie wiadomo, czego można się po nim spodziewać. Od takich myśli robiło mi się zimno, krew odpływała mi z twarzy i Juan obawiał się, że za chwilę stracę przytomność.

Już niedługo będę musiał tam iść. Już za chwilę, gdy słońce zacznie zachodzić, wezwą mnie na nieszpór. Gdy wrócę do swej celi, będę już innym człowiekiem. Dosłownie i w przenośni. Boże, dopomóż mi to przetrwać...

Późno w nocy

Kiedy rozdzwoniły się dzwony na nieszpór, aż podskoczyłem na równe nogi! Chłosta... Wyszliśmy z Juanem i Alejandrem z segmentu i wolno ruszyliśmy na modlitwę. Ale z każdym krokiem stawały mi przed oczami obrazy zakrwawionego przyjaciela, którego rany szły brat

Alvaro. Gdy mijaliśmy dzwonnice, spojrzałem na miejsce na fasadzie, do którego zostaną przywiązany – w deskach tkwiły żelazne haki. Nie umiałbym jednak powiedzieć, czy wbito je dzisiaj, czy też wisiały tu od poprzedniej egzekucji.

Zająłem swoje zwykle miejsce w kościele w ławce obok brata Armanda, który także przyszedł ze szpitala na nabożeństwo. Nie odezwał się do mnie ani słowem, zresztą ja do niego także. Stałem tylko obok, ramię w ramię z moim katem i oprawcą. I musiałem być mu posłuszny. Jemu i jego woli. Trząsałem się ze strachu. Drżały mi ręce, gdy czyniłem nimi znak krzyża i splatałem je do modlitwy. Zresztą i samą modlitwę odmawiałem bezrozumnie, a myśli moje wszystkie biegły ku czekającej mnie męce i upokorzeniu.

Zachodziło słońce, a jego czerwona i, jak mi się wydawało, krwawa poświata zaglądała przez zachodnie okna do wnętrza rozmodlonego kościoła, czyniąc moje obawy bardziej realnymi i potęgując mój strach. Miałem wrażenie, że ten czerwony zachód zwiastuje rozlew krwi, mojej krwi, jaki za kilkanaście minut nastąpi.

Strach mnie obezwładniał, odbierał jasność myślenia, a niezawodna nadzieja mamiała me zmysły irracjonalnymi złudami, że brat Armand okaże mi łaskę. Że może po moim wyjściu ze szpitala zastanowił się i zlituje się nad moim losem. Że może gdy ja siedziałem z Juanem i Alejandro w mojej celi, on poszedł jednak do przeora, wstawić się za mną. Że może moje przeprosiny, skądinąd szczere, coś dla mistrza znaczyły. Że może zadrgała w nim jakaś wrażliwsza część sumienia...

Widziałem kątem oka, że brat Armand od czasu do czasu patrzył na mnie podczas nabożeństwa, na mój strach i bezsilność. Ja zaś nie ośmieliłem się spojrzeć mu w oczy. Nie miałem odwagi... Chciałem go jeszcze raz błagać o litość. Paść mu do kolan i prosić, błagać, by mi darował tę karę! Ale nie było już po temu możliwości ani czasu.

Przeor zaintonował kantykt *Magnificat*: nazywaną tak od pierwszego wersu pieśń pochwalną ku czci Boga, czyli *magnificat anima mea Dominum* – „wielbi dusza moja Pana”. Pieśń tę śpiewa się pod koniec nieszporów, po niej następują już tylko prośby i Modlitwa Pańska. Ja w swojej cichej prośbie błagałem Boga o zmiłowanie.

Wiedziałem, że kara mnie nie ominie, ale modliłem się, aby nie była okrutna...

Tak jak dwa tygodnie temu, tak i dzisiaj przeor ogłosił, że po nabożeństwie odbędzie się wykonanie kary porządkowej chłosty na mojej osobie i aby wszyscy zgromadzeni w kościele udali się zaraz na plac przed dzwonnica. Cierpła mi skóra, gdy tego słuchałem, zaś serce uderzało z taką siłą, że miałem wrażenie, że jego tony odbijają się echem od ścian i sklepienia kościoła.

Brat Armand kazał mi wyjść za sobą. Posłuchałem, chociaż nadludzkiej siły wymagało uczynienie pierwszego kroku, a później przestąpienie progu kościoła. Dygotałem ze strachu, idąc krok za krokiem za mym mistrzem i szepcząc w myślach modlitwę, sam nie wiem do kogo kierowaną – do Boga czy do brata Armanda – aby okazał mi litość.

Na zewnątrz słońce już zaszło, ale czerwony blask zachodu jaśniał jeszcze nad dachami dormitorium, a powietrze było nadal duszne i ciężkie. Róże zaś pachniały jak nigdy przedtem. Przy dzwonnicy czekał już kat z nałożoną na twarz opończę, więc nie mogłem stwierdzić, czy był to ten sam człowiek, który dokonał tutaj egzekucji dwa tygodnie temu. Mnisi powoli gromadzili się na małym placu wyłożonym chochlakami. Byli też wszyscy nowicjusze.

Tym razem brat Domingo całkowicie zbojkotował ceremonię i zlekceważył polecenie przeora, gdyż z kościoła poszedł prosto do swojej celi. Co ciekawe, brat Jorge przyszedł na dziedziniec, podszedł do mego mistrza i bez najmniejszych skrupułów zwrócił się doń tak, abym i ja słyszał jego słowa:

– Przyjdzie taki dzień, bracie Armandzie, kiedy będziesz żałował swojej dzisiejszej decyzji. Mam nadzieję, że będę wówczas przy tobie, żeby zobaczyć, jak ten żal rozedrze ci serce i duszę.

Następnie brat Jorge uklonił się nisko przeorowi i ostentacyjnie przeszedł pomiędzy mnichami, a potem przez dziedziniec do swojej celi. Przeor nie zareagował na to zachowanie, zaś brat Armand trochę się zmieszał. Widziałem to zmieszanie przez chwilę, dosłownie ułamek chwili na jego twarzy. Poza tym nikt więcej się nie poruszył i nikt się za mną nie wstawił.

Podobnie jak poprzednim razem, przemówił *padre* Torquemada:
– Drodzy bracia! Z wielkim bólem i głębokim zatroskaniem spotykamy się tu ponownie, w tak krótkim czasie od ostatniego razu, aby wykonać kolejną karę porządkową. Tym razem wobec nowicjusza Antonia, którego również karzemy za nieposłuszeństwo wobec swego patrona, czcigodnego brata Armanda. Muszę przyznać, że po wielu latach spokoju w naszym opactwie jesteśmy świadkami dwóch egzekucji w odstępie dwóch tygodni na osobach młodych i dopiero przygotowujących się do posługi zakonnej. Na nowicjuszach, którzy choć święceń jeszcze nie otrzymali, już czują się pewni siebie i na zbyt wiele sobie pozwalają wobec osób, którym winni szacunek, pokorę i posłuszeństwo. Sytuacja ta napelnia bólem naszą duszę, zaś serce – niepokojem. Z obawą patrzymy dziś na pozostałych nowicjuszy, czy nie pójdą tą samą drogą, co ukarani. Zadajemy sobie pytanie: dlaczego tak się dzieje? Co sprawia, że młodzi odrzucają nasze prawo i naszą regułę, ustanowione przed wiekami, uważając się za mądrzejszych od swych mentorów? Gdzie jest źródło ich zachowania? W czym tkwi przyczyna? Rozważcie to, drodzy nowicjusze, w swych sumieniach. My zaś nie wykluczamy, że jeśli kary chłosty nie poskutkują, na przyszłość będziemy musieli uciec się do poważniejszych kar, nie wyłączając relegowania z zakonu – zakończył przeor, a na jego twarzy malował się ów wyraz ubolewania, o którym przed chwilą mówił.

Akurat chciałem wierzyć, że bolała go moja egzekucja! Przeor zaś dał katu znak, aby rozpoczynał.

Wyszedłem przed szereg, dygocząc na ciele, chociaż chciałem się opanować, by nie okazywać przed wszystkimi, jak bardzo się boję. Samo zarządzenie tej hańbiącej skądinąd kary było upokarzające, tym bardziej że jej egzekwowanie odbywało się na oczach wszystkich. I wcale, ale to wcale nie pomagała mi świadomość, że prawdopodobnie większość zgromadzonych przed dzwonnica osób, jeśli nie wszyscy – oprócz przeora i mego patrona, rzecz jasna – było przeciwnych takim praktykom przykładnego karania nowicjuszy.

Spojrzałem w oczy bratu Armandowi, ale były zimne, puste, kamienne, a woli, która się za nimi kryła, nic na świecie zmienić nie mogło. Jakiegokolwiek tliły się jeszcze we mnie nadzieje, jakiegokolwiek

iluzje roily w mej głowie, wszystkie one umarły w tej jednej chwili, gdy patrzyłem w pozbawione litości oczy mego mistrza, patrona i mentora.

Boże, zmiłuj się nade mną... – pomyślałem.

Kat doprowadził mnie do fasady dzwonnicy, a te kilka kroków wydało mi się niemal milowym dystansem. Drogą do samego piekła, na końcu której wcale nie czekał na mnie szatan, ale brat Armand. A może to to samo?... Wiem, że bluźniercze są te słowa, ale zaczynałem rozumieć, właśnie w tamtej chwili, całe i właściwe znaczenie przezwiska „Archanioł”. Pierwszy wśród równych mu braci, szczególnie przez przeora wyróżniany i hołubiony, o skrzydłach nie z białego puchu, ale z ognistych lędźwi bólu, krwi, strachu i rozpaczy... Anioł karmiony pychą, rozdęty swą dumą, toczony przez robaka – ambicję zbyt wielką i chorą, by można ją leczyć. Anioł, przed którym kroczy wielkie jego ego, którym on upaja się i odurza niczym opium. Anioł, który dawno już spadł z nieba, a który Boga pomylił z Torquemadą... Wielki, upadły Anioł. Archanioł. Lucyfer...

Kat przywiązał mi nadgarstki do haków. Oparłem czoło o deski fasady i czułem zapach starego drewna, kurzu i lnianego sznura. Oddychałem szybko. Tak samo, jak u Alejandra, kat rozdarł moją kutę nowicjusza do pasa, odsłaniając plecy. Naraz uczułem, jak strach gorącą kulą ściska moje serce, jak we mnie pęcznieje i rozchodzi się po ciele wraz z krwią. Miałem wrażenie, że jestem nagi, bezbronny, wystawiony na łaskę człowieka w czerni, którego ręką pokieruje Archanioł...

Widziałem kątem oka, że kat schylił się i podniósł z ziemi bat zakończony cienkim rzemieniem.

– Ile razy mam uderzać? – zapytał.

Serce dudniło mi w skroniach, aż bałem się, że nie usłyszę odpowiedzi. A chwila, kiedy czekałem na słowa brata Armanda, była całą wiecznością dla mojej wystarczająco już umęczonej duszy. Mijały sekundy, a przynajmniej tak mi się wydawało, a brat Armand się nie odzywał. Czy ważył w swej głowie, ile uderzeń warta była zniewaga, której doznał, czy też rozważał w swym sumieniu słowa brata Jorgego? Chociaż może przeceniałem tę ciszę. Archanioł się nie zastanawia. Bo Archanioł już nie czuje...

– Uderzaj dwadzieścia razy – usłyszałem chłodny, twardy głos

mego mistrza aż nadto mówiący, że nie było żadnego wahania w jego duszy.

Dwadzieścia uderzeń! – pomyślałem. Wiele, chociaż w porównaniu do Alejandra mistrz mój naprawdę okazał się łaskawy! Zacisnąłem zęby i powieki i czekałem na ból, jakiego dotąd nie było mi dane poznać. Tym większym napawał mnie lękiem. Nie widziałem, jak kat unosił rękę, ale usłyszałem świst w powietrzu i prawie jednocześnie z nim przyszedł straszny, piekący jak płomień ból od uderzenia na plecach, który wygiął moje ciało w łuk. Ale zanim zdążyłem pomyśleć, jaki to potworny ból i że nic takiego nie byłem sobie w stanie wyobrazić, nadszedł drugi cios, a potem kolejny i kolejny, i kolejny, które naprężyły moje ciało. Razy padały szybko i zdecydowanie, co świadczyło o wprawności kata w jego sztuce. Zacząłem krzyczeć, gdy ból stał się już nie do zniesienia, zaś najgorsze były uderzenia, które spadały w te same co poprzednie miejsca. Oprócz bólu, co przypominał ogień, czułem, jak po plecach płyną mi strużki krwi, a gdy na chwilę udało mi się spojrzeć pod nogi, widziałem, że i chochlaki, i moje stopy są nią ochlapane. Moje palce u rąk drapały deski, a potem zacisnąłem dłonie na hakach tak mocno, na ile tylko miałem sił.

Krzyczałem, wyprężyłem się pod razami i szarpałem. Kręciło mi się w głowie, a ogień bólu rozchodził się po całym moim ciele. Czułem, że słabnę, jakbym się zmęczył wielkim jakimś wysiłkiem.

W końcu kat wymierzył ostatnie uderzenie i zapadła cisza. Podciągnąłem się, trzymając za haki, i przytuliłem policzek do starej, szerniałej deski. Oddychałem szybko, a gorące łzy płynęły mi po policzkach mimowolnie. Płakałem z bólu. Z upokorzenia. Z bezsilności...

Czekałem, co powie mój mistrz, i drżałem, aby nie zarządził kolejnych uderzeń. Nie sądziłem, abym mógł je wytrzymać, bo plecy miałem już potwornie obolałe, więc kat uderzałby w rozognione bólem, otwarte rany. Nie mogłem sobie nawet wyobrazić takiej męki!

– To wszystko – przerwał tę potworną, ciężką ciszę brat Armand, a ja odetchnąłem.

Dopiero teraz poczułem prawdziwe osłabienie, ale myślałem tylko o tym, że to już koniec. Widziałem kątem oka, że brat furtian poszedł

odprowadzić kata do wyjścia, zaś brat Constantino rozwiązał mi więzy i trzymał mnie mocno, gdy chwiejąc się, stawiałem pierwsze kroki po chłóście. Spojrzałem jeszcze na chodnik, na który ciekła krew, i na deski w niewielkim stopniu obryzgane krwią w porównaniu z egzekucją Alejandra. Za to plecy bolały mnie strasznie przy każdym, najmniejszym ruchu.

Brat Constantino trzymał mnie pod ramię. Z drugiej strony podbiegł natychmiast Juan i tak podeszli ze mną do przeora, który stał niewzruszony obok brata Armanda. Inni bracia rozchodzili się do swoich spraw, jakby nic się nie stało.

Spojrzałem w oczy mego mistrza z całym żalem, jaki potrafiłem wyrazić. Poczułem dreszcz na ciele, gdy pomyślałem, jak bardzo nadal jestem odeń uzależniony... Jego oczy były niezmiennie chłodne, a twarz wyrażała determinację. Moje cierpienie nic w niej nie zmieniło.

– Niech ta kara będzie dla ciebie przestrogą, Antonio – powiedział *padre* Torquemada. – W przyszłości okaż wdzięczność swemu patronowi, że otrzymałeś tylko dwadzieścia razów – zaakcentował słowo „tylko”. – Ja nie byłbym dla ciebie taki litościwy. Pamiętaj o tym, gdy rany będą się goić.

– Tak, *padre* – wyszeptałem ze spuszczoną głową.

Brat Armand nic nie powiedział, nawet nie obejrzał moich pleców, tylko odszedł z przeorem w stronę jego gabinetu.

Zmierzchało już. Brat Alvaro kazał Ricardowi uprzątnąć ślady krwi, a Oscarowi i Mateo przynieść z kuchni gorącą wodę do mojej celi. Widziałem, jak bardzo Ricardo był niezadowolony poleceniem czyszczenia chochlaków. Zważywszy jednak, jak w opactwie karze się nowicjuszy za nieposłuszeństwo, nie ośmielił się nic powiedzieć, tylko ruszył do studni po wodę. Alejandro zaś pobiegł wraz z bratem Alvaro do szpitala po bandażę i inne rzeczy potrzebne do opatrzenia ran na moich plecach.

Szczęśliwie obyło się bez szycia, bo rozcięcia skóry, choć krwawiły mocno, nie były głębokie. Brat Alvaro przemył je wodą, potem *aqua vitae*, przy czym myślałem, że podpalił mi rany najprawdziwszym ogniem, a potem je zabandażował. W końcu stwierdził, że moje plecy wyglądają idealnie w porównaniu do tego, co było u Alejandra, ale i tak

najbliższa noc będzie dla mnie męką.

Podziękowałem mu serdecznie za opiekę i za cierpliwość. I za dobroć, którą ma w sobie, w przeciwieństwie do Archanioła.

Leżę teraz na brzuchu, oparty brodą o poduszkę i staram się w miarę możliwości nie wykonywać żadnych ruchów, gdyż wówczas plecy szarpie mi ból nie do zniesienia. Słowa w moim dzienniku kreśli Juan na moją prośbę i pod moje dyktando, gdyż sam nie mógłbym dziś tego zrobić. Chciałbym jednak na świeżo zdać całą relację, aby nie uronić z biegiem czasu żadnych szczegółów. Jest z nami również Alejandro, który słucha, jak dyktuję, i czasem wtrąca coś od siebie.

Zbliża się północ. Wiem, że jakieś trzy godziny temu brat Armand przyszedł do swojej celi. Wiem też, że jeszcze nie śpi, bo słyszę od czasu do czasu, jak chodzi i jak skrzypi podłoga w jego pokoju. Ale do mnie nawet nie zajrzał...

10 lipca

Nienawidzę go. Nienawidzę szczerze i z całego serca! Wiem, że popełniam straszny grzech. Wybacz mi, Boże, ale inaczej już myśleć i czuć nie mogę. Chciałem polubić mego patrona, zrozumieć jego zachowanie, usprawiedliwić postawę wobec mnie, wybaczyć wszelkie zło, patrząc na dobro, które czyni w szpitalu. Chciałem z całych sił, ale nie potrafię. Nie po tym, co mi zrobił. I modlę się, aby to było tylko to, aby już nic gorszego mnie z jego strony nie spotkało... Czy może być coś jeszcze gorszego?

Od dwóch dni liżę rany w swojej celi. Odwiedzają mnie Juan, Alejandro i Mateo. Regularnie. Przyszedł też Jesus i Oscar. Ten ostatni na chwilę, ale to i tak dużo, że wyszedł na powierzchnię świata z czeluści biblioteki i swojej w niej samotni. Nawet odwiedził mnie Ricardo! Brat Alvaro opatruje mi każdego dnia plecy, zmienia bandażę i dziś czuję się o wiele lepiej i mogę nawet usiąść przy biurku i pisać dziennik, co mnie uszczęśliwia. Był brat Constantino, żeby powiedzieć, że jest po mojej stronie, i brat Manuel, zapytać, czy może mógłby jakoś pomóc. Brat Martin zaś przyniósł mi zioła na napar, z którego okładę

łagodzą ból i przyspieszają gojenie. Brat Santiago wypożyczył mi z biblioteki książki do czytania, ale nie naukowe, filozoficzne czy historyczne rozprawy, ale pieśni i romanse, abym zapomniał na chwilę o prawie, medycynie i teologii. Na to będzie jeszcze czas. Jestem mu za nie bardzo wdzięczny. Zjrzał również brat José, zapytać, jak się czuję, a brat Pedro i brat Celestino przysłali pozdrowienia. Zaś brat Gregorio zachowuje dla mnie najlepsze kąski z posiłków i podsyła do mnie z nimi Camilo, który aktualnie pełni dyżur w kuchni i refektarzu. Słowem, wszyscy dodają mi otuchy i pocieszają jak mogą.

Za to brat Armand do dzisiejszego dnia do mnie nie przyszedł, nawet nie zapytał o moje zdrowie. Jeśli nawet los mój w jakikolwiek sposób go interesuje, nie daje tego po sobie poznać. Nie wiem, czy robi to złośliwie, aby uczynić mi przykrość. Dziś już nie spodziewam się po nim niczego dobrego. Jest złem. Może nie czystym, absolutnym złem. Jeszcze nie, bo w końcu czyni dobro w szpitalu i leprozorium i nie mogę udawać, że tego nie widzę. Ale zło bierze nad nim górę, tłamsi owo dobro, którego resztki nadal w sobie nosi, wycisza je i każe mu zamilknąć, gdy ono od czasu do czasu podnosi jeszcze głowę. Nawet przez tak krótki czas od mojego przybycia do Santa Cruz widzę, jak się zmienił. Nie tylko w stosunku do mnie. Widzę, jak robi się coraz bardziej wyniosły i dumny, jak wpada w gniew o byle co, jak się obraża, co skutkuje strasznymi karami. I widzę, jak nowicjusze zaczynają się go bać. Nie było tak, gdy tu przyjechałem. A teraz nikt nie odezwie się głośno, nikt nie powie nic przeciwko bratu Armandowi, nawet bracia mnisi równi jemu pozycją w klasztorze. Równi tylko teoretycznie. Zaiste jest Archaniołem wśród braci aniołów. Archaniołem, co mroczne nosi skrzydła...

Alejandro opowiedział mi, że brat Jorge po wykonaniu na mnie kary chłosty złorzeczył memu mistrzowi w słowach, których nawet mój przyjaciel nie chciał przytoczyć. Wiedziałem, że ojciec Jorge brata Armanda nie lubi, ale teraz grozi to już jawnym konfliktem. Bibliotekarzowi nie podoba się, że mistrz mój tak panoszy się w opactwie i urządza sobie masakry na nowicjuszach, aby zaspokoić swoje żądne widoku krwi oczy. Obawiałem się, aby brat Jorge nie miał nieprzyjemności przez to, że opuścił ceremonię wykonania kary

porządkowej chłosty, ale Alejandro powiedział mi w sekrecie, że jego patron niewiele robi sobie z idiotycznych niekiedy zarządzeń brata Torquemady, a i przeor zbytnio nie naciska na brata Jorgego, którego z jakiegoś powodu albo się boi, albo czuje przed nim respekt. Ma to ponoć związek z przeszłością brata Armanda, ale Alejandro nie wiedział jaki i czy w ogóle ma jakiś związek, bo to może być tylko plotka.

Z kary chłosty jest pewien pożytek: przynajmniej nie muszę przesiadywać w bibliotece po nocach i nareszcie, na ile ból pleców mi pozwala, mogę się wyspać.

12 lipca

Dzisiaj pierwszy raz od czterech dni wyszedłem z mojej celi. Ostrożnie i powoli, wspierając się na ramieniu Alejandra. W klasztorze trwają przygotowania do wizyty Królowej, coraz bardziej gorączkowe, o czym opowiadają mi koledzy. Wielkiego poruszenia jednak nie widać, ale to nowicjusze mają najwięcej pracy, głównie na sprzątanii polegającej. Ja od wczoraj, zgodnie z grafikiem, powinienem pełnić dyżur w kościele razem z Ricardem, ale brat Constantino, gdy mnie dziś zobaczył, zwolnił mnie jeszcze jeden dzień z obowiązków. Kazał przyjść jutro do lżejszych zajęć.

Wyszedłem więc na dziedziniec i oparłem się o fontannę. Alejandro bardzo mnie przeprosił, ale musiał iść do biblioteki. We czterech z Juanem, Mateo i Oscarem sprzątają skryptorium i oba poziomy biblioteki, które Królowa być może odwiedzi. Stałem na dziedzińcu dłuższą chwilę, wsłuchując się w szemranie wody. Było kolejne upalne, bezchmurne popołudnie. Takie samo jak to, kiedy wracałem ze szpitala cztery dni temu, czekając na chłostę. Pomyślałem, że tak się cieszę, że mam ją już za sobą i że jakoś to przeżyłem!

Od fontanny bił przyjemny chłód, maleńkie kropelki rozbryzgującej się wody unosił delikatny wiatr i osadzał je na mojej twarzy, kojąc ją od upału centralnej Hiszpanii, bólu i ostatnich przeżyć. Wydawało mi się, że przez tych kilka dni świat stał się piękniejszy, kolory bardziej nasycone, niebo ciemniejsze, a słońce gorętsze niż

kiedykolwiek. Jakbym odczuwał wszystko intensywniej, mocniej, głębiej. Byłem świadom każdej upływającej minuty i każdą ją odczuwałem, jakby czas przepływał przeze mnie, nie obok mnie. Niesamowite to było wrażenie i rozkoszowałem się nim z twarzą obróconą ku słońcu i z zamkniętymi z zachwytu powiekami. Po raz pierwszy w życiu nikt niczego ode mnie nie chciał i nigdzie się nie spieszyłem, nie nałożono na mnie żadnych obowiązków i nie czułem wyrzutów sumienia, że stojąc tak beczynn timer, ich nie wypełniam. Wydawało mi się, że opactwo jest gdzieś poza mną, wraz z jego problemami, bratem Armandem, przeorem, Inkwizycją i przyjazdem Królowej. Skąd naraz brały się we mnie te myśli i uczucia? I dlaczego teraz? Czy miało to związek z niedawną chłostą i piekłem bólu, przez które przeszedłem?

Nie wiem, jak długo stałem oparty o reling fontanny, ale sędzę, że jakąś godzinę. I tak nie za bardzo miałem co ze sobą zrobić, a wołałem nie snuć się beczynn timer po opactwie, by innym nie przeszkadzać w ich zajęciach i, co oczywiste, za nic na świecie nie chciałem napatoczyć się przed oczy bratu Armandowi lub przeorowi. Nie widziałem ich obu od egzekucji i zaczynałem obawiać się nie tyle samego z nimi spotkania, ile tego, co od nich usłyszę...

Kiedy wracałem wolno do swojej celi, w alejce pod drzwiami brata Alvaro spotkałem *padre* Jorgego, idącego od strony biblioteki.

– Witaj, Antonio! – zawołał, odpowiadając na moje pozdrowienie, ale chociaż po tonie głosu wydawało mi się, że cieszy się, że mnie widzi, nie uśmiechał się. – Jak się czujesz? – Przystanął obok schodów prowadzących do celi brata Armanda i mojej.

– Dziękuję, *padre*. Już lepiej – odpowiedziałem. – Mogę wreszcie chodzić. – Spróbowałem się uśmiechnąć. – I dziękuję, że wstawił się ojciec za mną.

Brat Jorge skinął głową.

– Nic to nie dało, jak widzisz – powiedział smutno.

– Ale nikt inny się nie ośmielił... – szepnąłem.

Brat bibliotekarz rozejrzał się wokół, czy nikt nas nie słucha.

– I nikt się już sprzeciwić nie ośmieli: ani przeorowi, ani Armandowi – podsumował. – Dzisiaj wszyscy się ich boją i nikt nie

zaryzykuje własnego spokoju, bo nie wiadomo do końca, co oni we dwóch kombinują. Nie dla nowicjusza – dokończył z goryczą.

– A ojciec się tego nie obawia? – zapytałem może nazbyt natrętnie.

– Ja wiem, co oni kombinują, Antonio. – Brat Jorge był bardzo poważny. – Tak samo, jak i ty to wiesz. Widziałem, że podsłuchiwałeś ich rozmowy dwa lub trzy razy. A Armanda się nie boję i nigdy nie będę. Dzisiaj jest u szczytu, jutro może być na dnie. A nie pamięta on już, gdzie był wczoraj... Na jego nieszczęście. I to nieszczęście kiedyś go znajdzie, Antonio, bo jest sprawiedliwość na świecie. Czasem trzeba na nią poczekać, bo Bóg się nie spieszy. Ale ona przychodzi. Czasem po wielu latach, ale przychodzi. – Brat Jorge pochylił się w moją stronę i ściszył głos. – Przyjdzie taki dzień, Antonio, że Armand przeprosi cię za to, co złego ci zrobił. Zobaczysz. Obserwuję go od wielu lat i znam go lepiej niż on sam. I wierz mi, przyjdzie do ciebie sam i cię przeprosi.

Brat Jorge mówił bardzo tajemniczo i prawie jak wieszcz. Wiedziałem już, że zapamiętam naszą rozmowę, ale trudno było mi dać wiarę słowom brata bibliotekarza. Ja także znałem mego mistrza. Od najgorszej strony... I wiedziałem, aż nazbyt dobrze, że przeproszenie kogokolwiek nie leży w jego naturze.

– Słyszałem, że byłeś, ojczu, patronem brata Armanda... – powiedziałem cicho i niepewnie.

– Tylko formalnie – poprawił mnie brat Jorge. – Prawdziwym jego patronem i mentorem był i jest nadal Torquemada. Zresztą to długa historia. – Machnął ręką. – Stara, nudna i niewarta, aby o niej mówić. – Zbierał się do odejścia.

Pomyślałem, że oto nadarza się okazja, być może jedyna, abym mógł ją wreszcie usłyszeć.

– Opowiesz mi o tym, ojczu? – zapytałem najgrzeczniej, jak umiałem.

Brat Jorge spojrzał na mnie smutno i chyba z litością. Zastanowił się chwilę.

– Skoro chcesz – rzucił szybko. – Ale nie tutaj. Chodźmy do mojej celi. – Zapraszającym gestem wskazał, abym mu towarzyszył.

Cela brata de Llorente była bliźniaczo podobna do mojej, zresztą z moją sąsiadowała. Tyle że jedno okno wychodziło na zachód, a drugie,

tuż obok drzwi wejściowych, na dziedziniec klasztoru. Umeblowanie było surowe, niemal ascetyczne: proste łóżko, pojedyncze, biurko i krzesło, szafka nocna, regał, na nim kilka książek, świecznik, krzyż na ścianie. Na biurku leżały przybory do pisania i jakaś książka, dość stara i zakurzona, zatem bez wątpienia z biblioteki. Brat Jorge postawił mi krzesło, abym na nim usiadł, sam zaś zajął miejsce na łóżku. Przez zachodnie okno wpadało wesołe, popołudniowe słońce, pełne ciepła i wiary w przyszłość.

Usiadłem powoli na krześle i skrzywiłem się z bólu.

– Zatem chcesz poznać przeszłość swego mistrza... – stwierdził chłodno brat Jorge. – Może ci się ona przydać, tak myślę. A więc zaczynajmy! – westchnął. – Gdy Armand jako szesnastolatek przybył do Santa Cruz, był trochę zdezorientowany. Myślę, że sam nie wiedział do końca, czy chce być zakonikiem. Wiedział natomiast, że chce się kształcić na lekarza. Kiedy przydzielono go pod mój patronat i się poznaliśmy, jego pierwsze zadane mi pytanie było, czy w klasztorze znajduje się biblioteka i gdzie. A następnie zapytał, czy będę miał coś przeciwko, jeśli w wolnych chwilach będzie się uczył. Nie miałem i nie mam nic przeciwko nauce, więc się zgodziłem. Armand mieszkał w celi pod nami, tam, gdzie dziś Alejandro. Ja miałem wówczas dwadzieścia sześć lat i Armand był drugim uczniem, jakim się opiekowałem. Pierwszy zrezygnował po roku nowicjatu, ponieważ utracił powołanie. Tak mówił, nie wiem, czy to prawda. Ale dobry i grzeczny był z niego uczeń. Z Armandem od początku coś było nie tak. Zauważyłeś pewnie, że mistrz twój nie jest przesadnie religijny. I tak samo było w nowicjacie. Chodził na nabożeństwa, nie mogę powiedzieć, że nie, ale tylko na te obowiązkowe. Natomiast nigdy nie widziałem go, przez cały nowicjat ani później, po powrocie z Bolonii, aby sam z siebie modlił się w kościele albo żeby czytał Pismo Święte. Teraz zaś uczestniczy w nabożeństwach w kratkę, zasłaniając się pracą w szpitalu. Nie powinien zapominać, że przede wszystkim jest mnichem. To ku Bogu obracać ma swe oblicze, nie ku ludziom, ich chorobom i leczeniu. Ale Torquemada mu na to pozwala. Na wszystko mu pozwala – zakończył brat Jorge ze złością.

– A jakim był uczniem? – zapytałem. – Zanim wyjechał na studia?

Ojciec de Llorente zamyślił się chwilę.

– Na początku, przez pierwsze dni, obaj się poznawaliśmy. Dużo przebywaliśmy ze sobą, a Armand zadawał setki pytań. Dotyczyły wielu zjawisk, także biologii, prawa i medycyny. Ale nigdy nie pytał o Boga, co także, jak na kandydata na nowicjusza, było dziwne. Ponieważ byłem już wówczas bibliotekarzem, Armand przesiadywał ze mną w bibliotece i skryptorium. Pomagał mi, ale przebierał nogami, byle jak najszybciej skończyć, mieć czas wolny i czytać. Czas wolny jednak miał jedynie po nieszporach i wieczorami po kolacji i komplecie. Zaczął więc korzystać z tego czasu. Początkowo ostrożnie, jakby chciał sprawdzić, na ile może sobie pozwolić. W końcu przesiadywał w bibliotece aż do jutrzni, a potem odsypiał jakąś godzinę przed śniadaniem. Uzyskał od przeora pozwolenie na uczenie się w nocy i przebywanie w bibliotece samemu podczas *silentium*, więc ja nic już nie mogłem zrobić. Zresztą, dopóki Armand godził naukę z pracą i obowiązkami nowicjusza, nie miałem nic przeciwko zarywaniu przezeń nocy w bibliotece.

– Czy już wtedy mistrz mój przyjaźnił się z *padre* Torquemadą? – zapytałem.

– O, nie! – Brat Jorge pokręcił przecząco głową. – Przeor w tamtym czasie miał innego ulubieńca. Constantina. Był on na drugim roku nowicjatu, kiedy Armand wstąpił do Santa Cruz. Torquemada był zafascynowany Constantinem i obiecywał mu karierę. Nie wiem dokładnie jaką, ale nie chodziło tylko o studia. Bo musisz wiedzieć, Antonio, że brat Constantino także był ambitny, inteligentny i odcytany i także wykazywał głód wiedzy, chociaż aż tyle czasu co twój patron w bibliotece nie spędzał. Ale uczył się dużo, bardzo dużo. Często zabierał książki do swojej celi. Pozwalałem mu na to, bo był zawsze chętny, żeby pomagać w skryptorium, przychodził codziennie i razem ze mną rozkładał księgi dla kopistów. Armand zawsze trzeba było prosić. Nigdy nie przyszedł sam z siebie, żeby pomóc. Szczerze mówiąc, bardziej lubiłem Constantina, bo był bardziej otwarty i uprzejmy, pogodniejszy. Armand niewiele mówił, jeśli akurat nie zadawał pytań, w kółko nad czymś rozmyślał, nad czymś się zastanawiał. W miarę, jak coraz więcej się uczył, wiedza dodawała mu pewności siebie, stawał się zamknięty, milczący, a z czasem nawet arogancki. A Constantino – nie,

dlatego jego lubili wszyscy. Wiem, że Torquemada obiecał mu, że wyśle go na studia do Bolonii. Najpierw do Salamanki, a potem do Bolonii. Obiecał mu to na długo, zanim przyjechał Armand. Constantino mówił o tym, cieszył się. Uczył się przed złożeniem ślubów coraz więcej, żeby z jak największą wiedzą pojechać na uniwersytet. A pojechał Armand. Żał mi było potem Constantina, bo miał trudne dzieciństwo i naprawdę zasługiwał na te studia.

– Trudne dzieciństwo? – zapytałem z ciekawością.

– Bardzo – przyznał smutno brat Jorge. – Constantino był najmłodszy z trojga braci. Miał jeszcze młodszą siostrę, ale zmarła w dzieciństwie. Spadła ze schodów i roztrzaskała sobie czaszkę o kant jednego ze stopni. Constantino to widział. Miał wtedy chyba siedem lat. Był dzieckiem. Ale najgorsze było to, że rodzice posądzili go, że popchnął siostrę podczas zabawy i przez niego zmarła. Sprawa się potem wyjaśniła, bo cały wypadek widziała jedna ze służących, która poświadczyła niewinność Constantina. Ale rodzice odsunęli się od chłopca i hołubili tylko dwóch starszych braci. Prawdopodobnie nigdy mu nie uwierzyli i obwiniali go o śmierć siostry. Tak więc Constantino został odrzucony pierwszy raz, gdy jeszcze był dzieckiem. Poznał, co to jest samotność, smutek i zazdrość o starszych braci. Dorastał w przeświadczeniu, że musi sobie zasłużyć na miłość i uznanie rodziców, że musi się czymś przed nimi wykazać, czymś wielkim, aby go znów pokochali. I tak wpadł w pułapkę ambicji. Zaczął się uczyć. Dużo uczyć. Potem zapragnął być inkwizytorem. Wstąpił więc do zakonu dominikanów, także dlatego, aby zerwać więzi z rodziną, kiedy okazało się, że nie ma takiej rzeczy, dzięki której mógłby odzyskać miłość rodziców. Miał nadzieję, że wśród braci znajdzie wreszcie wspólnotę i przyjaźń, której mu brakowało w domu rodzinnym. I znalazł ją na krótko ze strony przeora. Ale ponownie został odrzucony. Myślę, że ten drugi raz bardziej go zabolął i przypominał mu tamte straszne dni po śmierci siostry. Constantino nie radził sobie z tym odrzuceniem z dzieciństwa. Ciągle ono w nim siedziało. Ciągle je rozpamiętywał. Opowiadał mi o rodzicach i o żalu, który do nich miał. Myślę, że to wciąż w nim siedzi, jak niewyjęty z rany cień. I uwiera go.

– Brat Constantino przyjaźnił się z moim mistrzem? – Byłem

ciekaw, zważywszy, jak *padre* Veliger de Vargas patrzy dziś na brata Armanda.

– Na początku owszem. – Brat Jorge zastanowił się. – Armand, Constantino i Alvaro. We trzech byli w nowicjacie, chociaż Constantino kończył już czas próby i w przeciągu kilku tygodni miał składać śluby zakonne. Z czasem, gdy Armand coraz więcej się uczył, wolał otaczać się książkami niż ludźmi. Bolałem nad tym, rozmawiałem z nim, próbowałem wyperswadować, ale gdzie tam! On nawet chodził wszędzie z książką pod ręką, jak gdzieś szedł, po drodze czytał. Nigdy w życiu nie widziałem takiego głodu wiedzy u nikogo! Constantino się uczył i był ambitny, ale Armand bił go na głowę! Przewyższał go pod każdym względem: miał większą wiedzę, był bardziej wytrwały w nauce, lepiej radził sobie z brakiem snu, a ambicję miał niezaspokojoną, gorączkową, chorą. Musiał wszystko poznać i o wszystkim czytać. I robił to wnikliwie, dobrze, rzetelnie. Torquemada bardzo szybko to zauważył, ale z Armandem nie rozmawiał. Widziałem jednak, jako patron, że mu się przyglądał. To było około miesiąc po przyjeździe Armanda do Santa Cruz. Czy już wtedy Torquemada wybrał go na swego ucznia? Nie wiem. Myślę też, że Armand zauważył, że taka jego postawa podoba się przeorowi, bo zaczął opuszczać nabożeństwa. Niektóre. Zastawałem go wtedy w bibliotece. Przeprowadzałem do kościoła, tłumaczyłem, ale on w ogóle mnie nie słuchał. Gdy stało się to zbyt nagminne, zabroniłem mu chodzić do biblioteki, żeby się uczyć, odebrałem klucze. Armand wpadł w furję, krzyczał, że i tak tam pójdzie i będzie się uczył, że nic na świecie go nie powstrzyma. Wierz mi, Antonio, czegoś takiego w naszym opactwie jeszcze nie było! Żeby nowicjusz kłócił się z patronem, sprzeciwiał mu się, krzyczał! Dotąd to było nie do pomyślenia, ale Armand nie rozumiał, co oznacza posłuszeństwo u dominikanów. Powiedziałem o wszystkim przeorowi, a on tradycyjnie wezwał nowicjusza do siebie na rozmowę. Nie znam co prawda jej szczegółów, ale Armand, zamiast pokajany, wyszedł z gabinetu Torquemady zachwycony! I nie otrzymał żadnej innej kary oprócz, jak twierdził, upomnienia. Przeprosił mnie. Od tego czasu chodził na wszystkie nabożeństwa, ale nadal praktycznie ze mną nie rozmawiał i każdą chwilę poświęcał książkom. Nie wiem, czy już podczas tej

rozmowy Torquemada obiecał mu studia w Bolonii, ale myślę, że tak. Musiał także pochwalić jego żądną wiedzy postawę, bo Armand z biblioteki praktycznie nie wychodził. Oczywiście jeśli Torquemada obiecał mu Bolonię, to tę samą, którą wcześniej obiecał Constantinowi. Przeor musiał to powiedzieć swemu dotychczasowemu ulubieńcowi, że pojedzie jedynie do Salamanki, a do Bolonii pojedzie jego przyjaciel. Armand poróżnił się strasznie z Constantinem i od tamtego czasu ich przyjaźń ostygła i prawie się do siebie nie odzywali. Constantino dowiedział się również, że nie wyjedzie w tym roku, ale dopiero za rok lub dwa. To go załamało. Utracił jednocześnie uznanie Torquemady i jego przychylność. Mówiąc wprost, jednego dnia, bez żadnego powodu, Constantino przestał być pupilką przeora, a stał się nim Armand. Zupełnie jawnie. Torquemada odtąd nigdy nie ukrywał, że go wyróżnia. Nie tylko spośród nowicjuszy. A Armand trochę to wykorzystywał, jeśli akurat nie siedział w książkach. Wykorzystywał to na przykład w kontaktach ze mną. Wiedział, że może sobie na wiele pozwolić, że Torquemada mu pobłaża, że go nie ukarze, a raczej pozwoli na wszystko. Jak sądzę, Armand spełnił pokładane w nim przez przeora nadzieje, skoro brat Tomás tak go uwielbia i nadal się przyjaźnią, chociaż dziś na zupełnie innej stopie. Ja zaś umyłem ręce od wychowania Armanda w nowicjacie. Skoro zaczął go tresować sam przeor, nic tam nie było po mnie.

– Czy brat Constantino wyjaśnił to nieporozumienie z moim patronem? – zapytałem, mając przed oczami kilkukrotną sytuację, jak brat Veliger de Vargas przyglądał się Archaniołowi z nienawiścią.

– Nie wiem, Antonio. – Brat Jorge wzruszył ramionami. – Na pewno nie do wyjazdu Armanda na studia. A gdy ten wrócił po dziewięciu latach, Constantino także był już po studiach w Salamance i to na trzech kierunkach. Obaj dorośli, zmądrzeli, obaj zaspokoili swój głód wiedzy. Nie wiem, czy Armand przeprosił Constantina, ale dziś utrzymują bardzo dobre stosunki. Obaj są lekarzami, razem pracują. Nie zauważyłem, aby się nie lubili. Zresztą, Antonio, minęło piętnaście lat od tamtej sytuacji. Nie sądzę, aby Constantino jeszcze w ogóle to pamiętał, a cóż dopiero nadal żywił urazę! Poza tym musisz wiedzieć, że Constantino nigdy nie był mściwy i pod wieloma względami jest dużo

lepszym mnichem z charakteru niż Armand. – Brat Jorge spojrzał na mnie z zaciekawieniem, jakby chciał wiedzieć, dlaczego pytam, ale nic nie powiedział.

Podczas naszej rozmowy przyglądałem się bratu bibliotekarzowi, jego skupionemu bez przerwy obliczu, surowej minie i twarzy, na której niezmiernie rzadko, jeśli w ogóle gości uśmiech. Zastanawiałem się, dlaczego tak jest, ale nie ośmieliłem się spytać. Kiedy mówił, gestykułował dłońmi, niemiłosiernie chudymi, zresztą, jak sam brat Jorge. Jest on wzrostu mego mistrza i nawet podobnej budowy ciała, z tym że, jak wspomniałem, brat Jorge jest niesamowicie chudy. Na co dzień wydaje się nieprzystępny i małomówny, ale gdy się dłużej z nim przebywa, okazuje się miły i rozmowny, szczery, a nawet otwarty. Tylko smutek, nieodgadniony i stale obecny, kładzie się cieniem na jego ciemnych, mądrych oczach, czyniąc je chłodnymi i zamyślonymi.

– Trudno było wytrzymać z moim mistrzem, *padre*? – przerwałem milczenie, które zapadło, aby ubiec ewentualne pytanie brata Jorgego.

– Czasami – potwierdził bibliotekarz. – Może byłoby nam jeszcze trudniej, gdybyśmy częściej i więcej ze sobą rozmawiali. Ale Armand traktował mnie jak zło konieczne, pokazywał się w moim towarzystwie tylko gdy musiał: na nabożeństwach, jakichś uroczystościach, gdy zlecałem mu prace w bibliotece i skryptorium. I prawie się do mnie nie odzywał. Przypuszczam, a nawet jestem tego pewien, że nie miał dla mnie za grosz szacunku. Może także mną gardził.

– Gardził? – wtrąciłem. – Ale za co, *padre*? Byłeś jego patronem, nauczycielem...

Brat Jorge westchnął.

– Ach, Antonio, jeszcze nie zauważyłeś, że Armand gardzi każdym, kto nie przejawia aż takiej miłości do wiedzy jak on sam? Nie zawsze okazuje swą pogardę, bo czasem jest mu to nie na rękę, ale wierz mi, że tak jest. Ja zaś w jego pojęciu byłem kimś gorszym, bo ukończyłem jedynie studia prawnicze i teologiczne oraz łacinę i grekę. A poza tym nie obnosiłem się ze swoją wiedzą, choć uważałem ją za cnotę. Nie to było dla mnie najważniejsze, nie to było moim celem i całym życiem. Myślałem przede wszystkim o Bogu i wieczności, jak każdy mnich myśleć powinien. A Armand nie mógł pojąć, zresztą nadal

nie może, że dla kogoś może być ważne coś innego niż zdobycie wiedzy. Armand uważa takich ludzi za ignorantów, twierdzi, że marnują największy dar, jaki posiadają: umysł. I dlatego nimi gardzi. I dlatego, Antonio, dostałeś cięgi. Bo ośmieliłeś się mieć inne zdanie w tym przedmiocie, bo marnujesz czas na modlitwy, rozmowy z przyjaciółmi i inne nienaukowe rzeczy, bo Armand tobą gardzi, co doskonale czujesz i za to go nienawidzisz. I nie wiem zupełnie, co ci poradzić, poza tym, żebyś był mu posłuszny, nie dyskutował i robił, co ci każe. To człek niebezpieczny, Antonio. Nieprzewidywalny i, jak się okazało, okrutny. Arogancki, dumny i wpływowy. W dodatku zostanie inkwizytorem, więc będzie miał możliwość rozwinąć w końcu swe skrzydła. Wszystko ku temu zmierza. Zresztą myślę, że Torquemada już piętnaście lat temu miał wobec Armanda takie plany. Już wtedy musiał myśleć o Inkwizycji, a zaczął od stworzenia sobie odpowiednich kadr do obsady stanowisk sędziowskich. Słowem, musiał sobie wykształcić ludzi na współpracowników.

– Skąd wiesz to wszystko, *padre*? – Miałem wypieki na twarzy.

– Bo rozmawiałem z Torquemadą wtedy, piętnaście lat temu. Było to po trzech miesiącach nowicjatu Armanda. Przeor wyznaczał datę złożenia ślubów przez Constantina i ogłosił, że w tym dniu śluby złożą także Armand. Po niecałych czterech miesiącach próby! To było coś, co dotąd w Santa Cruz nie miało miejsca! Poszedłem wówczas do przeora i prosiłem, by nie czynił Armanda dominikaninem, bo nie posiada on żadnej z cech, jakie mnich powinien mieć: jest nieposłuszny, brak mu pokory i raczej nagle się jej nie nauczy, jest arogancki i konfliktowy, zarozumiały i przede wszystkim nieprzewidywalny, a do tego mało pobożny. Torquemada wysłuchał mnie z szacunkiem i nie polemizował ze mną. Być może wiedział, że mam rację. A na koniec powiedział ze spokojem, że Armand zostanie mnichem i to już postanowione. Zostanie dominikaninem i jeszcze w tym samym miesiącu wyjedzie na studia. Bardzo dobrze się o nim wypowiadał i ubolewał, że moje stosunki z Armandem nie ułożyły się poprawnie. Może wówczas dostrzegłbym w tym chłopcu wielki talent i olbrzymi potencjał. Torquemada powiedział wtedy, że Armand nie będzie się marnował zamknięty za murami Santa Cruz, ale że ma co do niego inne plany. Mnie, rzecz jasna,

o nich nie powiedział. Czy powiedział Armandowi, nie wiem. Ale nie ulega wątpliwości, że Torquemada myślał już wtedy o Inkwizycji. Bo zwróć uwagę, Antonio, co Armand studiował: teologię, prawo, medycynę, filozofię, retorykę, łacinę, grekę i hebrajski. Astronomia i arytmetyka były tu mniej ważne. Inkwizytor musi być prawnikiem. Aby prowadzić dyskusję z podsądnymi, powinien świetnie znać teologię i filozofię, musi umieć przemawiać i to w kilku językach, więc retoryka będzie jak znalazł. Medycyna także mu się przyda, zwłaszcza do przesłuchań na torturach, do dobierania narzędzi odpowiednich do danego przypadku. Chociaż myślę, że Torquemada posłał Armanda na studia medyczne, bo wiedział, że to jego pasja. Chciał mu zrobić przyjemność, dlatego zgodził się na szpital i leprozorium. Wielu nowicjuszy, którzy po Armandzie wyjeżdżali na studia, Torquemada kierował na prawo, teologię i medycynę. Wybierał dla nich uczelnie i kierunki studiów. Dotąd każdy sam decydował, patrząc na to, w czym jest najlepszy. Od czasów Armanda decydował przeor. I zwróć uwagę, Antonio, że tak jest do dzisiaj. Przeor naprawdę szkoli sobie ludzi, których potem powoła na inkwizytorów. Wspomnisz moje słowa. A Armandowi opłaciła się przyjaźń z Torquemadą. Teraz w ślady twojego patrona idzie Ricardo de Deza. Obserwuję go, co robi w bibliotece, czego się uczy i jak się zachowuje, i mam wrażenie, jakbym widział młodego Armanda. A i Armand zapewne widzi siebie w Ricardo i dlatego tak się obaj lubią. Ani się obejrzysz, jak Ricardo złoży śluby i wyjedzie na studia. Jeszcze w tym roku. I nie zdziwiłbym się, gdyby także i jego Torquemada wysłał na Uniwersytet w Bolonii. A jak dotąd uczył się tam tylko Armand. Na całe rzesze mnichów, którzy przewinęli się przez Santa Cruz, tylko Armandowi sfinansowano studia w Bolonii i to w dodatku sześćoiletnie na kilku kierunkach. Kiedy zaś twój patron wrócił z Bolonii, nie miałem z nim już takiej styczności. Był dominikaninem, doktorem teologii, prawa i nauk medycznych. Nie potrzebował już mentora. Ale do dziś mną pogardza, chociaż tego nie mówi. A ja nieszczególnym darzę go szacunkiem jako człowieka i mnicha. Natomiast lekarzem jest fenomenalnym i to przyzna każdy. – Brat Jorge umilkł. – Ot i cała historia! – zakończył. – Pewnie nie tego się spodziewałeś, ale wbrew pozorom Armand nie przybył do Santa Cruz

jako diabeł z piekła rodem. To szkolenie Torquemady, umiejętne pokierowanie nim, rozdmuchanie jego ambicji i przekonania o własnej wartości, a nade wszystko obietnica powołania na inkwizytora, to wszystko uczyniło z Armanda tego, kim dzisiaj jest. Uważaj, Antonio. Sto razy zastanów się, nim pokłócisz się z Armandem raz jeszcze. Przemyśl każde słowo, które do niego kierujesz, i zastanów się, co lepiej poświęcić: zarwane noce na naukę czy własne życie. Bo jeśli Armand postanowi cię zniszczyć, nikt na świecie ci nie pomoże!

Zapadła cisza, ja zaś skinąłem głową na znak, że dobrze to wszystko rozumiałem. Brat Jorge miał rację od początku do końca. Zdołałem już poznać tę prawdę i władzę mego mistrza na własnej skórze...

– I jeszcze jedno, Antonio – dodał po dłuższej chwili brat Jorge. – Armand stoi teraz na rozstaju dróg swego życia. Tacy jak on dochodzą do rzeczy wielkich albo kończą młodo z zatraconą duszą. Od niego zależy, którą wybierze drogę...

Biły dzwony na nieszpór, gdy wychodziłem z celi brata Jorgego. Na nabożeństwo przyszedł także brat Armand, który obrzucił mnie lodowatym spojrzeniem, być może dlatego, że wspierałem się na ramieniu bibliotekarza. Na szczęście nie mógł wiedzieć, że całe popołudnie z nim rozmawiałem ani o czym. Na pewno by się zdenerwował.

Podczas modlitwy myślałem o tym, co powiedział mi brat Jorge, i nie były to rzeczy pocieszające. Utwierdził mnie w moim przekonaniu, że brat Armand nie jest dobrym człowiekiem, nigdy nie był. Krzywdził ludzi po drodze, byle osiągnąć swój cel. I właściwie jaki jest ten cel? Zdobyć wiedzę dla niej samej. No i jeszcze obietnice Torquemady. Chociaż wątpię, by mój mistrz w wieku lat szesnastu marzył o karierze inkwizytorskiej. A zatem wiedza. I to owa chora, żarłoczna ambicja pcha go coraz dalej i dalej w tej drodze ku nowym dziedzinom, ku temu, czego brat Armand jeszcze nie wie. A osiągając ten cel, znów znajduje nową dziedzinę, ku poznaniu której dąży. Ciągle dalej i wyżej, bez przerwy. Bez końca... Oto pułapka ambicji.

Ukradkiem spojrzełem na brata Armanda, tak przecież przeze mnie znienawidzonego, i przez jedno mgnienie chwili zrobiło mi się go żal.

Jest niewolnikiem swej żądzы wiedzy, a żarłoczny robak, który go toczy, jest nieśmiertelny, zaś gorączka niezaspokojonej nigdy, nieznającej umiaru ambicji jest nie do ugaszenia. Wypali go z czasem od środka, pozostawiając poczerniały kikut duszy, która całkiem zapomni już, kim była i skąd przyszła. Będzie tylko wiedziała, że trzeba iść. Ciągle dalej i dalej...

13 lipca

Zjawiłem się dziś do pomocy w kościele, jak sobie życzył brat Constantino, ale ze względu na ból pleców i mocno ograniczoną możliwość ruchów na niewiele się przydałem. Trwają przygotowania do wizyty Królowej i dziś nowicjusze sprząтали kościół. Ricardo uwijał się pomiędzy nami, a ja nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że tylko czekał, aby iść do biblioteki. Juan i Mateo myli witraże, pomagał im Jesus i Ricardo. Alejandro i Camilo szorowali posadzkę i ławki. Oscar i brat Constantino ścierali kurze z ołtarza i posągów, ja zaś dostałem do wyczyszczenia naczynia liturgiczne. Od czasu do czasu do kościoła zaglądał brat Armand i przekazywał bratu Constantinowi różne uwagi przeora na temat ceremonii. Jutro kościół zostanie przystrojony kwiatami, zatem dziś musieliśmy skończyć sprzątanie.

Wśród nowicjuszy ogólnie panowała atmosfera wesoła. Przychodzili do mnie i pytali, jak się czuję. Usiadłem na ołtarzu z rozłożoną przed sobą płachtą płótna, na której brat Constantino wyłożył chyba wszystkie naczynia liturgiczne, jakie posiada klasztor. Pomyślałem, że żeby je wyczyścić, zejdzie mi chyba do jutra, więc zabrałem się ostro do pracy. Dzisiaj, pięć dni po chłóście, czułem się nawet możliwie.

Na plecach mam już ponoć strupy, tak przynajmniej mówi brat Alvaro, który codziennie opatruje mi rany po chłóście. Mistrz mój przestał w ogóle się mną zajmować, zatem w pewnym sensie jest mi lepiej niż przed chłostą. Nie muszę ślęczeć nad książkami w bibliotece i nie mogę wykonywać prawie żadnych prac, żeby rany się nie otworzyły. Oczywiście spodziewam się, że ten błogi stan nie będzie

trwał wiecznie i że prędzej czy później żelazna, ciężka ręka brata Armanda, teraz nawet rzekłbym: katowska, upomni się o mnie. Ale na chwilę obecną nie przejmuję się tym. Zacząłem doceniać ulotne i rzadkie chwile błęgiego spokoju w Santa Cruz.

Juan przyglądał się witrażom, kiedy je mył, podziwiał każde pojedyncze szkiełko równo obsadzone w ołowianej osnowie. Co chwilę też wykrzykiwał, że to lub tamto jest szczególnie ładne albo że niemożliwe, by ręka ludzka mogła je stworzyć. Przy czym brat Constantino za każdym razem zaręczał Juanowi, że z całą pewnością ludzkie ręce szklarzy – artystów z Sewilli – wykuły każdy witraż i obsadziły w nim każde pojedyncze szkiełko.

Ricardo z właściwym sobie entuzjazmem snuł plany co do przyjazdu Królowej:

– A może będzie chciała rozbudować klasztor? – mówił. – Aby podwoić liczbę mnichów? Przywiezie na to fundusze...

– Ricardo, zastanów się – brat Constantino studził jego zapał – po co Królowej większa liczba mnichów?

Ricardo zmieszał się i spojrzał na mnie porozumiewawczo. Prawdopodobnie chodziło mu, aby zwiększyć liczbę potencjalnych kandydatów na inkwizytorów, ale tego, rzecz jasna, nie mógł powiedzieć.

– Myślicie, że zostawi jakieś fundusze? – Ricardo nie dawał za wygraną.

– A potrzebujesz pieniędzy, Ricardo? – zażartował brat Constantino.

– Miałem na myśli dla klasztoru. Na remont... – Ricardo zmieszał się.

– A co tu jeszcze chcesz remontować? – usłyszałem z wysoka głos Juana stojącego na drabinie przy jednym z okien.

– No... – zastanowił się Ricardo. – Na przykład dzwonnica jest do remontu.

Brat Constantino westchnął.

– Nie przypuszczam, aby Królowa pamiętała, że mamy drewnianą dzwonnice – rzucił z uśmiechem mistrz ceremonii. – A poza tym na jej remont nie potrzeba królewskich pieniędzy. To nie będzie duża

inwestycja, chociaż przeor jakoś o tym nie wspomina. Zresztą taka, jaka jest, stara i drewniana, ma swój urok.

O, tak! – pomyślałem. Poznałem ten jej urok pięć dni temu na plecach. Alejandro szorujący akurat posadzkę przy ołtarzu spojrzał na mnie i obaj się roześmieliśmy.

– No to może ogłosi nam, że szykują się jakieś przemiany w Królestwie? – Ricardo rzucił to zdanie od niechcienia.

Zaś brat Constantino natychmiast spoważniał.

– Myślę, że niepotrzebnie tak was interesuje wizyta Królowej – rzucił. – Dokończcie beze mnie. Idę do szpitala. Musicie uporać się ze sprzątaniami do nieszporów. – Po czym brat Constantino przeszedł przez środek nawy do bocznego wyjścia.

Dopiero wtedy rozgorzała ogólna dyskusja nad celem przyjazdu Królowej. I ja, i Juan, i Alejandro, i bez wątpienia także Ricardo wiedzieliśmy, że prawdopodobnie chce z Torquemadą rozmawiać o Inkwizycji. Może zapadną jakieś decyzje?

Po jakimś czasie, gdy każdy z nas zajął się swoją robotą, usiadł obok mnie Ricardo, od wyjścia swego patrona w zasadzie niezajmujący się niczym konkretnym, i zniżając głos do szeptu, aby nikt poza mną go nie usłyszał, zapytał:

– Ty wiesz, dlaczego przyjeżdża Królowa, prawda? Czy ma to związek z powołaniem Inkwizycji? – Oczy mu błyszczały.

– Dlaczego uważasz, że ja wiem? – przekomarzałem się.

– Bo jesteś uczniem brata Armanda. Chociaż się kłóćcie, na pewno wiele cię uczy i mówi ci o wielu sprawach – Ricardo mówił szybko. – Na pewno powiedział ci o Inkwizycji i przyjeździe Królowej.

Wzięłem głęboki oddech.

– Brat Armand rzadko mi o czymś mówi – szepnąłem z goryczą. – Niczego mnie nie uczy i prawie ze mną nie rozmawia.

– Nie wierzę... – wtrącił Ricardo.

– Ale jeśli chcesz wiedzieć, czy przyjazd Królowej ma związek z Inkwizycją, to odpowiem, że tak. Dobrze się domyślasz. – Doszedłem do wniosku, że przecież nie mam obowiązku tego ukrywać. – Dziwię się jedynie, że brat Armand sam ci tego nie powiedział. W końcu często ze sobą rozmawiacie. I ta informacja jest pewna. – Uśmiechnąłem się

blado.

– A więc ją powołają! – Ricardo znów się zapalił. – Nawet nie wiesz, jakie to ważne, Antonio!

– Przeciwnie – wtrąciłem. – Doskonale wiem, jakie to ważne. Tyle że nie podzielam twojego entuzjazmu dla Inkwizycji.

– Zmienisz zdanie – powiedział cały uradowany. – Zobaczysz. A brat Armand to wspaniały człowiek! – ostatnie zdanie Ricardo wykrzyknął i wszyscy nowicjusze na niego spojrzeli.

– Obejrzyj moje plecy, a zobaczysz, jaki jest wspaniały – powiedziałem bez żalu.

– Antonio, skupiasz się na tym, co negatywne – rzucił szybko Ricardo, a ja pomyślałem, że to samo zdanie słyszałem z ust Torquemady przed wykonaniem kary chłosty. – Pamiętaj o tym, co naprawdę jest ważne – szepnął. – Tworzymy historię. O powołaniu tej Inkwizycji będzie mówił świat przez stulecia! Będą wspominać, że zaczęło się tutaj, w Santa Cruz. Pamięć o tym przetrwa na zawsze, a wraz z nią nazwiska tych, którzy tworzyli Inkwizycję. Dzisiaj tego nie dostrzegasz, ale kiedyś będziesz wdzięczny losowi, że żyłeś w czasach Tomása de Torquemady. To zaszczyt brać w tym udział – zakończył z dumą, chociaż szeptem.

– Nadal chcesz zostać inkwizytorem? – zapytałem od niechcienia i chyba wcale nie chciałem wiedzieć, co mi odpowie.

– Z całego serca! – odpowiedział. – O ile brat Armand i *padre* Torquemada stwierdzą, że się nadaję. Najpierw będę studiował, a dopiero później ubiegał się o ten zaszczyt.

– Nie wiem, czy to taki zaszczyt – skomentowałem. – Czy brat Armand mówił ci już coś na ten temat? Obiecywał coś?

Ricardo pokręcił głową.

– Nie, jeszcze nie. Ale wspominał, że przeor ma co do mnie pewne plany i żebym nadal uczył się tak pilnie, a wysoko zajdę. Mam nadzieję, że mówili o Inkwizycji. – Na twarzy Ricardo wykwitła radość i nadzieja, a oczy znów mu błyszczały, rozgorączkowane.

– Na pewno, Ricardo. Ostatnio przecież o niczym innym nie mówią – przyznałem. – Docenili twój trud i naukę po nocach. Tylko czy jesteś przekonany, że chcesz palić ludzi na stosach? Czy właśnie tego

chcesz, Ricardo? – Spojrzałem w jego rozpalone oczy i wiedziałem już, co mi odpowie.

– Heretyków, Antonio – poprawił mnie. – Grzeszników, którzy bez stosu byliby potępieni. – Ricardo był śmiertelnie poważny, a ja znów usłyszałem w jego słowach głos Torquemady. – Tak, chcę być inkwizytorem. Dlatego wybrałem dominikanów. Odkąd usłyszałem o Inkwizycji w wieku ośmiu lat, wiedziałem już, co będę w życiu robił. Wierzę w Inkwizycję i w to, co chcą w niej ulepszyć przeor i brat Armand, o czym ostatnio opowiadał nam na wykładach. To wielkie dzieło i wiele dobrego może zrobić dla zabłąkanych i pogubionych w grzechu ludzkich dusz. Wtedy moje istnienie będzie ważne, będzie coś znaczyło. Nie chcę tu siedzieć do końca życia, ale chcę współtworzyć historię. Wkrótce i ty tego zapragniesz, Antonio. Mówię ci. Gdy zobaczysz dzieło *padre* Torquemady w całej okazałości, w całej jego pełni. Zachwyci cię ono tak samo jak mnie teraz.

Westchnąłem.

– Może masz rację. – Wiedziałem, że spór z rozgorączkowanym Ricardem nie ma sensu.

Ale wiedziałem też, że nigdy, przenigdy nie zapragnę być inkwizytorem ani też nie zachwyci mnie wspólne dzieło mego mistrza i przeora. I nigdy nie przyłożę do tego ręki.

Naszą szeptaną rozmowę w ogólnie panującym gwarze przerwał brat Armand, który znów zajrzał do kościoła. Ogarnął wzrokiem nas wszystkich i zatrzymał spojrzenie na grupie myjącej okna.

– Juan, pójdiesz ze mną do szpitala – rozkazał mój patron. – Potrzebuję pomocy przy szyciu ran.

– Tak, *padre*. – Juan szybko zszedł z drabiny i biegiem ruszył przez kościół, bo przy otwartych ranach ociąganie się nie było wskazane.

– Ricardo, zastąpisz kolegę – rzucił jeszcze brat Armand i razem z Juanem szybko wyszli z kościoła.

Ricardo gorliwie wykonał polecenie mego mistrza i w okamgnieniu znalazł się na drabinie, gdzie z zapalem przystąpił do mycia witraży, co mnie wprowadziło w osłupienie. Ale polecenie Archanioła jest dla Ricarda święte. Ja wróciłem do czyszczenia naczyń, a w zasadzie do ich polerowania na połysk, bo przecież nie były brudne.

Reszta czasu upłynęła nam na luźnych rozmowach o beztroskich tematach. Dużo się śmialiśmy i na chwilę zapomniałem o prawdziwych problemach opactwa i jego sekretach. Nie mówiliśmy więcej o przyjeździe Królowej i jego celu. Po prostu po raz pierwszy od tygodni byliśmy grupą przyjaciół, którzy nareszcie znaleźli trochę czasu, aby się spotkać i pogadać. Nie dzieliły nas różnice, które odczuwamy na co dzień: uprzedzenia, ambicje, plany i złudzenia, żadne obawy ani negatywne emocje. Dzisiaj byliśmy jednością i mieliśmy jeden głos. Zastanawiałem się, czy w sytuacji zagrożenia z zewnątrz, na przykład ze strony brata Armanda lub przeora, też potrafilibyśmy się tak zjednoczyć, ale doszedłem do wniosku, że to niemożliwe, bo na co dzień paraliżuje nas strach. W obecności mojego mistrza i *padre* Torquemady każdy z nas dosłownie drętwieje ze strachu. Nieruchomieje. No, może oprócz Ricarda, który jako pupilek ich obu nie ma się czego obawiać. Nawet Alejandro, dotąd beztroski lekkoduch, został przez nich złamany. Strasznie. I dzisiaj ostrożnie się wypowiada, uważa na słowa i w obecności brata Armanda rzadko kiedy się uśmiecha. To straszne, jaką przemianę mu zafundowali, bo ośmielił się mieć inne zdanie niż oni. Strach pomyśleć, co we dwóch z przeorem zrobią Hiszpanii, jeśli ta nie podzieli ich wizji świata...

Wieczorem

Kościół lśnił, kiedy brat Constantino dzwonił na nieszpór. Ani Juan, ani mistrz mój nie pojawili się na modlitwie, zatem musieli mieć ciężką robotę w szpitalu. Za to przeor po nabożeństwie wszystkich nas nowicjuszy pochwalił i podziękował nam za pomoc. Przyjazd Królowej już pojutrze. Będę się modlił, aby nie była to wizyta po myśli *padre* Torquemady. Tylko czyż modlitwa ma wystarczającą siłę, by sprzeciwić się tej woli – żelaznej, twardej, rozpalonej ogniem i strachem?...

14 lipca. Przed modlitwą na Anioł Pański

Wczoraj wieczorem dobrze po komplecie do mojej celi przyszedł brat Armand. Zaskoczyła mnie jego wizyta tak bardzo, że prawie zaniemówiłem. Myślałem, że przestał w ogóle się mną zajmować.

Szykowałem się spać, gdy wszedł. Wcześniej zapukał, więc byłem pewien, że to Juan chce mi opowiedzieć, co działo się w szpitalu. Ale w drzwiach pojawił się mój mistrz. Zerwałem się na nogi, niewiele myśląc o strupach na plecach, i dopiero gdy poczułem ból, skrzywiłem się. Byłem pewien, że strupy popękały, ale było już za późno.

Brat Armand wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Nie powinieneś wykonywać takich gwałtownych ruchów, Antonio – powiedział łagodnym głosem, w którym nie było cienia chłodu. – Inaczej popękana skóra nigdy się nie zagoi.

Skinałem głową.

– Tak, *padre* – odpowiedziałem. – Nie spodziewałem się, że to ty, ojczy.

Brat Armand podszedł bliżej.

– Pokaż mi plecy – polecił.

Zawahałem się. Nie chciałem, żeby je oglądał. Nie chciałem z nim nawet rozmawiać.

– Nic mi nie jest, *padre* – powiedziałem. – Rany się goją. Ojciec Alvaro ogląda je codziennie i zmienia opatrunki.

– Wiem, że to robi, bo go o to prosiłem. – Głos mego mistrza brzmiał tak, jak zwraca się do swoich pacjentów: cierpliwie, uprzejmie i z dobrocią.

Ta przemiana była wprost nie do uwierzenia!

– Pokaż plecy – powtórzył.

Niechętnie i wcale tego nie kryjąc, rozsnuowałem kutę i zsunąłem ją z ramion do pasa. Odwróciłem się. Brat Armand ostrożnie zdjął opatrunek.

– Aj, Antonio, zrobiłeś więcej szkody niż pożytku – mistrz skomentował moją nieuwagę. – Skóra gdzieś popękała. Zaczekaj chwilę, pójdę do swojej celi po bandaż i maść. – Brat Armand wyszedł i za moment pojawił się na powrót ze słoikiem maści i pociętymi płótnami. – Usiądź na krześle, tyłem do mnie.

Usiadłem. Pochyliłem się lekko do przodu. Brat Armand, nie

zważając widać na nasze dotychczasowe relacje, uklęknął przy mnie. Najpierw wytarł świeżą krew i ją zatamował, co trochę trwało. Potem posmarował mi skórę wokół strupów i na granicy z nimi ową tłustą maścią, którą z sobą przyniósł.

– To sprawi, że rany szybciej się zagoją – powiedział.

Faktycznie maść działała kojąco i chłodziła piekącą nadal skórę. Potem brat Armand obandażował mi plecy nowym płótnem. Naciągnąłem na ramiona kutę, a mistrz podniósł się z kolan.

Sytuacja była trochę niezręczna i nie bardzo wiedziałem, co mam powiedzieć. Czułem się nieswojo i nieprzyjemnie. Wstałem z krzesła.

– Dziękuję – wykrztusiłem, chociaż przez niego miałem na plecach tę masakrę.

– Antonio, odniosłem wrażenie, że w ostatnich dniach mnie unikasz. – Brat Armand spojrzał na mnie uważnie.

Spuściłem głowę.

– Nie, ojciec... – wymamrotałem. – Wydawało mi się, że to ty nie chcesz widzieć mnie... – ledwie mówiłem ze strachu.

Uśmiechnął się.

– A dlaczegoż ja miałbym unikać ciebie? – zapytał i nie czekając na moją odpowiedź, dodał: – Chyba za mało czasu poświęcam ci ostatnio, Antonio. Mam nadzieję, że rozumiesz, że ta chłosta była potrzebna. Tobie, mój synu.

– Tak, ojciec – odpowiedziałem szybko. – Rozumiem.

– Dobrze. – Brat Armand wydawał się zadowolony. – Cieszę się więc, że po tych przejściach nareszcie się zrozumieliśmy. Że nauczyłeś się, Antonio, co w życiu jest naprawdę ważne. Żałuję tylko, że musiało się to odbyć w ten sposób.

– Ja także, ojciec, tego żałuję. – Jakkolwiek nadal nie podzielałem jego entuzjazmu do ksiązek i Inkwizycji, wiedziałem, że należy się z nim we wszystkim zgadzać.

– Dobrze! – Brat Armand znów się uśmiechnął. – Zatem takie sytuacje, jak ta poprzednia, już się nie powtórzą? – zapytał.

– Nie powtórzą się, ojciec – zapewniłem go. – I jeszcze raz przepraszam za moje zachowanie. Było niegodne nowicjusza.

Brat Armand postąpił o krok i położył mi dłonie na ramionach.

– Cieszę się, Antonio. Z całego serca – powiedział. – Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi i że kiedyś mnie polubisz. Dziś żywisz do mnie urazę. Nie zaprzeczaj, że tak jest. Nie jestem ślepcem, Antonio. Wiele rzeczy mówisz mi teraz ze strachu przede mną i przed karą. Ale ja nie przyszedłem cię karać. Naprawdę chciałbym, żeby nasze stosunki się poprawiły, bo i mnie ciąży ta permanentna wojna między nami. Przykro mi, że musiało dojść do tej chłosty. – Popatrzył na mnie z litością w oczach, a mnie zrobiło się jeszcze bardziej nieprzyjemnie.

Nic nie odpowiedziałem. Nienawidziłem go całym sercem i całą duszą. I żadne piękne jego słowa i troska, z jaką opatrzył mi rany, chociaż wiedziałem, że z całą pewnością była szczerą, nie mogły zmienić moich uczuć do brata Armanda. Ani dziś, ani jutro, ani kiedykolwiek. Niech dobry Bóg wybaczy mi ten grzech, ale dziś nie mogę wybaczyć memu mistrzowi zła, które czyni mnie i innym. Nie wiem, jak to się skończy: mój nowicjat i nasza znajomość, ale czuję coraz wyraźniej, że prowadzi ona w ciemne miejsce. Miejsce, z którego nie spodziewam się wrócić. Zaczynam nie dostrzegać drogi u mych stóp, a jeśli czasem widzę ją we snach, prowadzi ona przez mękę do piekieł... Widać Bóg chciał tego, stawiając na mojej drodze brata Armanda...

– Będę już szedł do siebie – przerwał milczenie mistrz. – Do przyjazdu Królowej wydobrej, ale potem chcę cię znów widzieć w bibliotece.

– Tak, ojciec. – Skinąłem głową.

– I pamiętaj o przygotowaniu się do procesu Joanny d'Arc na najbliższe zajęcia – dodał brat Armand.

– Pamiętam, ojciec – przytaknąłem grzecznie.

Po tych słowach mistrz mój pożegnał się, życząc mi dobrej nocy, i wyszedł, zostawiając mnie zdezorientowanego i przygnębionego tą rozmową, jego odwiedzinami i najbliższą moją przyszłością jako jego ucznia, rysującą się dla mnie w ciemnych barwach.

Co jeszcze czeka mnie w tym opactwie, nim złożę śluby? Czy w ogóle dotrzmam do tego czasu? I jaką cenę przyjdzie mi za to zapłacić?

15 lipca. Silentium

Wizyta Królowej oczekiwana chyba przez cały klasztor, choć z różnych powodów, odbyła się bez żadnych zakłóceń, zaś przeor i brat Armand są prawie wniebowzięci, chociaż niczego po sobie poznać nie dają. Nie. Ale ja wiem. Jednak po kolei!

Królowa przyjechała do Segowii wczoraj wraz z oszałamiającym orszakiem trzystu osób. Zatrzymała się w alkazarze i nie towarzyszył jej mąż, król Ferdynand, co mnie zdziwiło. Ale Alejandro wytłumaczył mi, że chociaż co prawda formalnie tytułuje się Izabelę Kastylijską Królową, to w rzeczywistości zgodnie z panującym prawem jest ona królem Kastylii, dzierży w ręku władzę królewską w całości i ma omnipotencję we wszystkich sprawach. Jej małżonek zaś jest jedynie królewskim małżonkiem, chociaż nosi tytuł króla. Wiele dokumentów ze względów kurtuazyjnych nosi także i jego podpis, ale nie jest on potrzebny dla ich ważności. Decyduje wyłącznie Królowa[16]. Alejandro powiedział mi również, że Ich Królewskie Mości nie podpisują dokumentów swoimi imionami, ale piszą: „Yo, la Reyna” i „Yo, el Rey”, czyli „Ja, Królowa” i „Ja, Król”. Nie miałem pojęcia, dlaczego tak robią i czy jest to jakaś tradycja. Alejandro nie wnikał w takie szczegóły, kiedy brat Jorge mu kiedyś o tym opowiadał.

Od rana w klasztorze panowała gorączka, a mój mistrz był dla mnie wyjątkowo miły. Przeprosił mnie, że przez cały dzień będzie towarzyszył przeorowi, i w związku z tym polecił mi trzymać się blisko brata Alvaro i Juana. Oczywiście grzecznie przytaknąłem, a poza tym i tak nie miałem nic innego do roboty.

Wizytę swą Królowa zapowiedziała na południe i tak też się stało. Zgromadziliśmy się wszyscy na dziedzińcu wokół fontanny, zaś przeor i brat Armand, ten ostatni w olśniewająco białej kucie, stali na samym przedzie. Nadjeżdżający orszak Królowej na kilka minut wcześniej zapowiedział goniec, który zadzwonił do furty klasztornej. Brat José otworzył ją na oścież i patrzyliśmy, jak kolorowy, bogaty korowód ludzi nadjeżdża drogą od strony miasta. Izabela Kastylijska przyjechała odkrytym powozem, towarzyszyły jej trzy dwórki oraz cały sztab zbrojnej straży, królewskiej hermandady, doradców, artystów grających na różnych instrumentach, dwóch księży i błazen. Wszyscy oni

zatrzymali się przed furcą, a Królowa wraz z jedną dwórką i kilkoma strażnikami przekroczyli progi Santa Cruz. Przeor i brat Armand podeszli, by ją powitać.

Królowa jest bardzo drobną i szczupłą osobą i do tego niewysoką. Ale wygląd ten nie powinien nikogo zmylić, bo charakter ma żelazny. A charyzmą obdzieliłaby cały nasz klasztor i jeszcze by zostało. Chodzi wyprostowana, a oblicze jej jest poważne, chociaż nie powiedziałbym, aby było surowe. Ma piękne niebieskie oczy i jasne włosy, co także mnie zdziwiło. Królowa ubrana była w bordową suknię z długim trenem, bogato haftowaną złotą nicią. Zaś głowę jej zdobiło, oprócz upiętych, długich włosów, długie nakrycie z białej chusty, także haftowanej złotem, oraz diadem, który błyszczał z daleka. Suknia Królowej była skromnie uszyta pod samą szyję, mimo że upał był niemiłosierny, a długie, szerokie rękawy skrywały jej drobne dłonie. Kiedy jedną z nich wyciągnęła do nas w powitalnym geście, widziałem, że odziana była w aksamitną, bordową rękawiczkę. Ciekaw byłem, czy Królowa na co dzień ubiera się w ten sposób, czy też, wiedząc, że odwiedzi braci zakonników, wybrała tak skromny strój. Alejandro mówił, że Izabela Kastylijska jest bardzo religijna i na co dzień także nie obnaża ramion. Strój jej dwórki również był skromny i oczywiście mniej bogaty.

Padre Torquemada, brat Armand i brat Pedro we trzech podeszli do Królowej i pokłonili się przed nią i w dodatku niezbyt nisko. Nie uklęknęli, jak się tego spodziewałem, ale Królowa chyba tego nie oczekiwała. Być może istniał jakiś zwyczaj w tym względzie. Alejandro powiedział mi później, że władza kościelna od Boga pochodzi i nie godzi się, by księża i zakonnicy klękali przed władzą świecką. Wystarczająco ukłony czysto grzecznościowe. Zastanawiałem się, skąd Alejandro wie to wszystko, ale nie było czasu tego roztrząsać.

– Cieszę się, że znów mogę stąpać po ziemi Segowii – powiedziała Królowa na powitanie. – Cieszę się, ojcze przeorze, że znów mogę być w Santa Cruz, gdyż, jak wiesz, opactwo to jest mi szczególnie drogie.

Brat Torquemada nieznacznie pochylił głowę przed Królową i uśmiechnął się, czego jeszcze u niego nie widziałem.

– To Wasza Wysokość czyni zaszczyt naszym skromnym progom – odpowiedział przeor. – Nasze zgromadzenie pragnie pogratulować Jej

Królewskiej Mości szczęśliwych narodzin następcy tronu i zapewnić, że Księżę Juan[17] jest codziennie polecany Bogu w naszych modlitwach – dodał przeor pokornie, po czym wskazał szerokim, zapraszającym gestem aleję wyłożoną chochlakami, prowadzącą do kościoła.

Rzeczywiście, kilka dni temu do naszego klasztoru dotarła wieść o narodzinach następcy tronu pod koniec czerwca tego roku, tym radośniejsza, że dotąd para królewska miała jedno dziecko, córkę Izabelę, i na dworze oraz w całej Hiszpanii oczekiwano narodzin syna. Teraz wydawało się, że ciągłość dynastii i kontynuacja władzy i dotychczasowej polityki są zapewnione.

– Bóg zapłać, ojczyźnie. – Królową ucieszyły słowa o dziecku i nie kryła wdzięczności za modlitwy w intencji syna. – Oboje z Królem dziękujemy Bogu za narodziny potomka płci męskiej. Księżę Juan jest silny i zdrowy. Mamy nadzieję, że jego panowanie będzie długie, pełne dobrobytu i pokoju – dodała z przekonaniem.

Jeszcze zanim orszak wraz z Królową ruszył, brat Constantino zadzwonił na Anioł Pański. Tak więc Izabela Kastyljska, brat Torquemada i mój mistrz stąpali przy akompaniamencie dzwonów w rytm kroków przyszłej Inkwizycji.

Brat Torquemada odprawił krótką mszę, prostą i skromną, bez żadnych pompatycznych zwrotów, według prostego ceremoniału przygotowanego przez brata Constantino na tę okazję. Momentami odnosiłem wrażenie, że zachowywał się tak, jakby Królowej z nami nie było, z właściwą mu powściągliwością i oszczędnością w gestach. Asystował mu brat Armand, jak zawsze elegancki i dostojny. Widziałem, że Królowa mu się przyglądała. Być może zastanawiała się, kim jest ów młody człowiek, który towarzyszy krok w krok przeorowi, i któremu, jak się domyślała, przeor ufa. Pomyślałem, że Królowa zapewne jeszcze nie wie, że to główny architekt przyszłego systemu Inkwizycji w jej państwie. Poznała go już podczas sporu na tle Leprozorium Świętego Krzyża, ale było to kilka lat temu, kiedy prace nad powołaniem i kształtem Świętego Oficjum w Kastylii nie były jeszcze tak zaawansowane. Albo też może rację miał brat Alvaro, że mistrz mój może być skoligacony z rodem królewskim, skoro i on, i Królowa noszą to samo nazwisko: de Castellano, Kastyljski. Nazwisko wielkiego rodu

Hiszpanii... Może Królowa patrzyła nań jak na dalekiego kuzyna? Nie wiem. Ale brat Armand w szatach liturgicznych prezentował się wspaniale i w odróżnieniu od ascetycznego, jak zawsze mniszego odzienia przeora, który niczym się nie wyróżniał, mistrz mój ze wszech miar zwracał na siebie uwagę. Wtedy też pomyślałem, Boże, wybac mi grzech, że jako młody mężczyzna, bardzo przystojny, brat Armand może się podobać kobietom, nawet jeśli jest mnichem... Kto wie, może i Królowej przyszła do głowy taka myśl?...

Po mszy Królowa, *padre* Torquemada i brat Armand pierwsi wyszli z kościoła i udali się prosto do gabinetu przeora. Korciło mnie, żeby iść posłuchać, o czym mówią, ale trochę bałem się tak otwarcie i w biały dzień filować pod oknem gabinetu, zważywszy, że oczy całego opactwa skierowane były właśnie na ten jeden segment dormitorium i na to jedno w nim okno. Juan także był ciekaw. Nic nie mówił, ale zerkał co chwilę na gabinet, gdy staliśmy pod fontanną.

W sukurs przyszedł nam obu Alejandro, który zaprowadził nas do segmentu graniczącego z gabinetem przeora. Na górze tego segmentu znajduje się cela brata Manuela, a dalej za nią archiwum Santa Cruz. Na dole zaś jest pusty pokój, przeznaczony dla nowicjusza, którego wszak brat Manuel nie posiada. Cela ta od wschodu graniczy przez ścianę z gabinetem przeora. Alejandro wprowadził nas po cichu do celi i zamknął drzwi na klucz, który tkwił w zamku. Następnie odsunął szafkę nocną, która stała na środku pod ową graniczną ścianą, tuż obok łóżka. Oczom naszym ukazał się otwór o szerokości około pięciu, może sześciu centymetrów wydłubany w murze na wylot do wnętrza gabinetu.

Spojrzeliliśmy z Juanem pytająco na Alejandra, ale on tylko się uśmiechnął.

– Mój patron, brat Jorge, mieszkał tu, gdy był nowicjuszem – wyszeptał. – Któregoś dnia odkrył przypadkiem ten otwór. Powiedział mi o tym dawno temu przy jakiejś okazji. Pomyślałem, że się nada. – Uznałem, że Alejandro wraca do siebie, skoro znów zaczyna igrać z ogniem i z bratem Armandem.

Ukląknęłam przy ścianie i zajrzałam do środka. W tym miejscu po drugiej stronie otworu stał regał i nic nie zobaczyłem. Za to słysząc było wyraźnie, co dzieje się w gabinecie. Zgromadziliśmy się ciasniej przy

otworze, aby posłuchać, o czymże to ważnym rozmawia Królowa z *padre* Torquemadą i bratem Armandem.

– Wszystko zgodnie z planem, Wasza Wysokość – mówił przeor. – Tak jak rozmawialiśmy. Wszystkie założenia są już opracowane, szczegóły ustala brat Armand.

– Bardzo dobrze. – Królowa miała wyjątkowo jasny i dźwięczny głos, raczej pasujący do kogoś niewinnego i naiwnego niżli do wielkiej władczyni. – A ta mapa?

– To rozkład siedzib trybunałów Inkwizycji na pierwsze dziesięciolecie jej istnienia – odpowiedział *padre* Torquemada. – Potem powstaną dalsze. Ale musimy mieć swobodę ich ustanawiania i wyboru siedzib według naszego uznania, aby skrócić i uprościć procedury. Jeśli robił to będzie Watykan, nic nam się nie uda.

– Ojciec przeorze – odezwała się Królowa wyjątkowo stanowczo – w żadnym wypadku nie dam papieżowi rządzić w tej kwestii. Jak tylko powoła w Kastylii Inkwizycję, a przypuszczam, że powoła, bo nigdy jeszcze takiej prośbie władcy nie odmówił, w ciągu roku oderwiemy ją od Watykanu.

– Papież może nas ekskomunikować – wtrącił brat Armand.

– Może – przyznała Królowa. – Ale przekonamy go odpowiednio wysoką donacją na rzecz Kościoła. Papież wspomina coś o budowie wielkiej świątyni w Watykanie. Chodzą słuchy, że będzie budował bazylikę[18], nie tylko katedrę. Zatem darowizna mu się przyda, a ja się postaram, by była tak wysoka, żeby zamknęła mu usta. I w końcu mamy przecież naszego kardynała przy boku papieża, twojego stryja, ojciec przeorze, Juana de Torquemadę. Bardzo liczę na jego wsparcie i orędownictwo w tej sprawie. Liczę, że umiejętnie przekona on papieża, że oderwanie Inkwizycji od Watykanu w tym przypadku nie jest aktem nieposłuszeństwa, ale krokiem naprzód ku budowaniu jednolitej, wyznaniowej, katolickiej Hiszpanii. A przecież taka Hiszpania, ultrakatolicka, zjednoczona pod moim berłem będzie dla papieża wielkim i silnym sojusznikiem, którego, żywią głęboką nadzieję, papież nie będzie chciał tracić. W razie czego sama pojedę do Watykanu. Inkwizycja w Hiszpanii musi być narzędziem państwa. To warunek powodzenia całego planu.

– Zgadzą się, Wasza Wysokość – powiedział przeor. – Jeszcze dziś napiszę do stryja w tej sprawie.

– Nie – przerwała mu Królowa. – Już do niego napisałam. Ty, ojcze, będziesz miał inne zadanie.

– Co rozkażesz, Wasza Wysokość. – Zaskakująca była pokora w głosie *padre* Torquemady, jakkolwiek uzasadniona w tych okolicznościach, to jednak całkowicie do niego niepodobna.

– Nie przyjechałam tu kolejny raz rozmawiać o Inkwizycji ani robić planów – mówiła dalej Królowa tym samym stanowczym tonem. – Ja i Król doszliśmy do wniosku, że nadszedł już najwyższy czas, aby działać. Hiszpania jęczy w jarzmie innowierców, przechrztów i heretyków. Potrzeba jej pomocy, ojcze. I to jak najszybciej. Zatem pojedziesz do Watykanu, bracie przeorze, prosić gorąco w naszym imieniu papieża Sykstusa IV, aby zechciał powołać w Kastylii Świętą Inkwizycję. Tutaj są listy do papieża podpisane przeze mnie i przez Króla, jak również oddzielny list do twojego stryja, kardynała. – Wyobrażałem sobie, że Królowa podała teraz bratu Torquemadzie opieczętowane listy.

Zaszeleścił papier.

– Tak jest, Wasza Wysokość – odpowiedział przeor. – Wyruszę jak najszybciej.

– Opowiedz, ojcze, papieżowi o naszym tragicznym położeniu – mówiła Królowa, tym razem z troską w głosie, być może udawaną. – Jak wielu konwertytów wraca do praktyk poprzedniej religii, jak wielu chrzci się tylko na pokaz, aby otrzymać urzędy państwowe, przez co kalają świętą naszą wiarę katolicką i bezczeszczą imię naszego Pana, Chrystusa. My zaś bez wsparcia Świętej Inkwizycji jesteśmy bezsilni. Sądy biskupie są powolne i jest ich mało. Za mało. Do tego uciekający z Aragonii heretycy znajdują u nas, w Kastylii, schronienie, bo nie sięgają ich tu ręce świętych trybunałów. Nie mogę jako Królowa na to pozwolić.

Słyszałem kroki. Ktoś chodził po gabinecie przeora. Domyślałem się, że to Królowa.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – zapewnił ją *padre* Torquemada. – Przedstawię papieżowi szczegółowo naszą sytuację. – Zaakcentował

słowo „szczegółowo”.

– To nie wszystko, ojciec – dodała Królowa. – Jestem zmuszona prosić cię o pośpiech. Nie mamy czasu do stracenia, bo wszak wiesz, że budowanie systemu, naszego nowego systemu Inkwizycji, będzie trochę trwało. Musimy się spieszyć. Mam nadzieję, że uda się powołać Inkwizycję w Kastylii jeszcze przed zimą. Wierzę w tym względzie w przychylność i rozważę papieża. I w jego mądrość. Trzeba mu przedstawić mądrze nasze stanowisko, ojciec przeorze. Wiesz, o czym mówię. – Kroki ucichły na chwilę.

– Tak, wiem – przytaknął *padre* Torquemada.

– Otrzymasz, ojciec, do dyspozycji zbrojnych żołnierzy z mojej osobistej eskorty, którzy zapewnią ci bezpieczną drogę do Watykanu i z powrotem – mówiła dalej Królowa i znów słychać było kroki po gabinecie. – Zbyt cenny jesteś, *padre*, dla przyszłości mego państwa, abys jechał sam. Nie mogę pozwolić, by cokolwiek pokrzyżowało nam plany.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. Za troskę – odpowiedział grzecznie i z pokorą przeor. – Spełniasz me prośby, nim zdążę je wypowiedzieć.

Kroki ucichły.

– Mam jeszcze jedną prośbę, osobistą. – Królowa ściszyła głos. – Chciałabym, abys został, ojciec, moim spowiednikiem. Kiedy tylko wrócisz z Watykanu. Przyślę stosowny dekret, już po wydaniu bulli przez papieża. Chcę cię, ojciec, mieć u swego boku w Toledo. Będziesz także moim osobistym doradcą w sprawie Świętej Inkwizycji, zanim oderwiemy ją od Watykanu. Król także sobie tego życzy.

– Pozostaję do twoich usług, Wasza Wysokość – znów z tą samą co wcześniej pokorą odpowiedział przeor, a ja prawie zobaczyłem oczami wyobraźni, jak pochyla głowę.

– Zatem wszystko ustalone – oświadczyła Królowa. – Ojciec Armandzie – zwróciła się do swojego mistrza, a ja drgnąłem – jestem pod wielkim wrażeniem planu zreformowania Inkwizycji, który przygotowałeś wraz z przeorem. Jest genialny. Wykazałeś się, ojciec, wielką intuicją i głębokim zrozumieniem tematu. Nie na darmo brat przeor wypowiada się o tobie w samych superlatywach w kierowanych do mnie listach. Żywię nadzieję, a myślę, że i *padre* Torquemada mnie

popiera, że zostaniesz, ojcie Armandzie, w przyszłości inkwizytorem mojego królestwa. Będę potrzebować tak wykształconych, oddanych sprawie i wiernych systemowi ludzi jak ty – zakończyła.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – powiedział brat Armand. – Uczynię wszystko, aby nie zawieść pokładanych we mnie nadziei i oczekiwań. Chcę nie tylko opracować założenia Nowej Inkwizycji, ale także ją tworzyć i orzekać w jej świętych trybunałach.

– Nie wątpię, że tak będzie, ojcie – dodała Królowa. – Zatem to wszystko. Bracie przeorze, mam jeszcze prośbę, aby do chwili wydania bulli papieskiej prawdziwy cel mojej wizyty pozostał tajemnicą. Za wcześniej jeszcze na rozgłos.

– Tak, Wasza Wysokość – przytaknął *padre* Torquemada. – Jestem tego samego zdania.

Potem usłyszeliśmy kroki oraz otwierające się drzwi gabinetu przeora.

– Wychodzą – szepnął Juan. – Chodźmy, szybko!

Wstaliśmy z kolan. Serce biło mi szaleńczo, nie wiem z jakiego powodu bardziej: dlatego, że bezwstydnie podsłuchiwałem brata Armanda, czy z powodu informacji, jakich się dowiedziałem.

– Wyjdźmy powoli i cicho za nimi – powiedział Alejandro.

Podeszliśmy do drzwi celi.

– Szafka – szepnąłem i wróciłem się, aby ją przysunąć na miejsce, ale ból pleców nie pozwolił mi jej samemu dźwignąć.

Juan mi pomógł. Wyszliśmy do sieni i wyjrzelśmy ostrożnie na zewnątrz zza uchylonych drzwi. Królowa, przeor i brat Armand mijali właśnie segment, w którym byliśmy. Serce omal nie zatrzymało mi się w piersi! Przeszli dalej i gdy dochodzili już do krańca dormitorium przy celi ojca Gregorio, we trzech ostrożnie, jeden za drugim wyszliśmy z kryjówki.

Królowa zatrzymała się na alejce naprzeciwko otwartej wciąż furty klasztornej. Ruchem ręki przywołała kogoś ze swej świty. Podeszliśmy bliżej z Juanem i Alejandro i staraliśmy się wmieszać w tłum mnichów, tak jakbyśmy w nim byli od początku. Kilku braci wróciło jednak do swoich zajęć, bo kuchnia, szpital czy chorzy w leprozorium nie mogli czekać.

Tymczasem na teren klasztoru weszli dwaj mężczyźni z bocznej straży Królowej i wnieśli olbrzymią doprawdy skrzynię, a postawiwszy ją na ziemi przed przeorem, otworzyli jej masywne, drewniane wieko. Promienie upalnego słońca odbiły się natychmiast od wypełniających skrzynię po brzegi złotych monet i ich błyskotliwe refleksy padły na twarze brata Armanda i przeora.

– Ojcie Torquemado – odezwała się Królowa oficjalnie, ale dość cicho – zechciej przyjąć tę ofiarę na klasztor. Ufam, że będziesz wiedział, jak najlepiej spożytkować ten dar na potrzeby opactwa.

Padre Torquemada podziękował szczerze, jak sędzę, i gorąco za ofiarę i zapewnił Królową, że będzie się modlił za Ich Królewskie Moście.

Potem nastąpiły pożegnania, ukłony dla Królowej. Następnie Izabela Kastylijska opuściła opactwo wraz ze świtą, nie wspominając już ani słowa o Inkwizycji czy ich wspólnych z przeorem planach.

Kiedy brat José zamknął furtę za orszakiem królewskim i wszyscy odetchnęli z ulgą, przeor polecił Juanowi i stojącemu obok nas Mateo wnieść skrzynię do holu przed jego gabinetem. Początkowo brat Torquemada wyznaczył Alejandra do przeniesienia skrzyni, ale widząc, jak ten ostrożnie się schyla, być może przypomniał sobie o jego niedawnej bądź co bądź chłości i zastąpił go Mateo. Mnie zaś kazano sprowadzić brata Pedra i Jesusa do sekretariatu.

Gdy sekretarz wraz ze swym nowicjuszem liczyli daninę od Królowej, ja, Juan i Alejandro udaliśmy się do naszej kryjówki w opuszczonej celi pod pokojem ojca Manuela, aby posłuchać, o czym rozmawiać będzie przeor i brat Armand, którzy wrócili do gabinetu Torquemady.

– Kiedyś doigramy się za podsłuchiwanie Archanioła – powiedziałem, zbliżając ucho do otworu.

– To przynajmniej będziemy wiedzieli, za co nas wychłostają. – Alejandro uśmiechnął się.

Roześmialiśmy się we trzech, tłumiąc śmiech dłońmi.

– Archanioł tym razem by mnie zabił – powiedziałem poważnie. – Naprawdę by mnie zabił. Albo najpierw torturował, a potem zabił...

– Wszystko dla twojego dobra, mój synu. – Juan naśladował

smutny i zatroskany głos *padre* Torquemady.

Znów się roześmialiśmy.

– Jakbyś posłuchał tego na własne uszy z ust przeora, odechciałoby ci się przedrzeźniania. – Alejandro szturchnął Juana.

– Cicho! – szepnąłem. – Coś mówią.

Zbliżyliśmy się do otworu w ścianie.

– Pomyślmy o tym, jak wrócę, Armandzie – mówił przeor, ale nie usłyszałem całej wypowiedzi. – Teraz ważniejsze rzeczy są.

– Tak, *padre* – odpowiedział brat Armand.

– Jutro wyjeżdżam – oznajmił przeor. – Królowa dała mi do dyspozycji sześciu strażników i dwóch doradców. Wyruszamy z samego rana.

– Nie chcesz, ojcze, przygotować się do podróży? – zapytał mój mistrz.

– W czym miałbym się przygotowywać, Armandzie? – Zdziwienie było w głosie przeora. – Zabieram ze sobą tylko listy, różaniec i Biblię. Cóż tu przygotowywać?

Na chwilę zapadła cisza w gabinecie *padre* Torquemady, a ja wstrzymywałem oddech w obawie, czy nie domyślili się w tej ciszy, że ktoś ich podsłuchuje.

– Zastąpisz mnie, Armandzie, podczas mojej nieobecności – przerwał milczenie przeor. – Poradzisz sobie z bieżącymi sprawami opactwa, doskonale je znasz. Znasz również nasze stanowisko w innych sprawach. Ufam ci jak sobie samemu.

– Dziękuję, ojcze – odpowiedział grzecznie brat Armand. – Nie zawiódę twoich oczekiwań.

– Wiem, mój synu – mówił dalej przeor. – Dlatego cię wybrałem. Trzeba poinformować braci o moim wyjeździe. Zrobię to dziś, po niesporze. Oficjalnie wyjeżdżam do Watykanu w zupełnie innej sprawie, jako emisariusz Ich Królewskich Mości. To tajna misja, nikt nie będzie więc o nią pytał.

– Tak, ojcze. I cieszę się, że nareszcie nasz plan wcielamy w życie – mówił Archanioł.

– Byłbym ostrożny w tej radości, Armandzie – przerwał mu przeor, jak zwykle powściągliwy do granic. – Plan jest gotowy, Królowa nam

sprzyja, ale to papież musi wydać bullę. Będziemy się cieszyć, gdy się zgodzi. Ale wówczas wiele ciężkiej pracy przed nami. Lata całe nad zbudowaniem nowego systemu. – *Padre* Torquemada przerwał na chwilę. – A jak się czuje twój uczeń?

– Już lepiej, ojciec – odpowiedział brat Armand, a ja znów drgnąłem.

Bóg jeden raczy wiedzieć, co im przyjdzie do głowy.

– Będziesz mnie zastępował, Armandzie, we wszystkich sprawach, także w kwestiach rozstrzygania sporów i jurysdykcji nad braćmi i nowicjuszami. Daję ci wolną rękę i dopilnuję, aby cię słuchano.

– Oczywiście, ojciec. – Archanioł musiał cieszyć się z tego wyróżnienia i nowych kompetencji, nawet jeśli są tylko tymczasowe, ale nie dawał tego po sobie poznać, a przynajmniej nie było tego słychać w jego głosie.

– Jeszcze jedna rzecz, Armandzie – odezwał się przeor. – Zamówisz u miejscowego rzemieślnika wykonanie dla mnie różańca. Z drewna. Chciałbym, aby miał duże paciorki, odkręcane, puste w środku. Krzyż także ma być wydrążony. Cena nie gra roli.

– Oczywiście, *padre* – zapewnił go mój mistrz. – A dlaczego taki różaniec?

– Armandzie, muszę myśleć o przyszłości – mówił przeor i chyba chodził po gabinecie, bo słychać było kroki. – Obaj wiemy, że działalność Nowej Inkwizycji nie przysporzy inkwizytorom miłośników, ale raczej wrogów. Z pewnością będą tacy, którzy pokuszą się o próbę zabójstwa sędziów. W szczególności mnie, który stanę na czele systemu. Mogą mnie otruć. To bardzo prawdopodobne. Dlatego chciałbym mieć przy sobie różne odtrutki na wszelkie trucizny. Chciałbym móc je swobodnie nosić przy sobie, dlatego pomyślałem o różańcu. Nikt się nie domyśli, co jest w paciorkach, a różaniec nie wzbudzi podejrzeń u zakonnika. Oprócz odtrutek znajdują się tam różne zioła i inne specyfiki na wszelakie dolegliwości. Nie wykluczam, że będą mi potrzebne, a przecież nie zabiorę wszędzie ze sobą apteki. Będę dużo podróżował: do Sewilli, na dwór w Toledo, będę wizytował trybunały. Muszę mieć to wszystko przy sobie. Dlatego zamów mi różaniec. Jeśli okaże się dobry i się sprawdzi, zamówię go również dla ciebie i ważniejszych

inkwizytorów w całym kraju. Może nawet dla wszystkich.

– To dobry pomysł, *padre* – przytaknął z uznaniem brat Armand.

– Nie możemy ryzykować przypadkowej śmierci, synu – mówił dalej przeor z zapalem. – Dzieło Inkwizycji jest zbyt ważne i trzeba je przeprowadzić do końca. Jeśli umrę przedwcześnie, wszystko zostanie zaprzepaszczone! Jest tyle pracy, a ja się starzeję, Armandzie. Ty także powinieneś myśleć o sobie. Zbyt ważny jesteś dla systemu, dla mnie i dla Królowej, aby ryzykować życie. Tobie również przyda się taki różaniec.

– Oczywiście, ojcze. Rozrysuję odpowiedni projekt i jutro z samego rana zamówię jego wykonanie.

– Dobrze. – Brat Torquemada był wyraźnie zadowolony.

– Ojcze, jeśli mogę, chciałbym się teraz oddalić – poprosił brat Armand. – Są dwa nowe przypadki trądu w naszym leprozorium. Muszę je opisać z bratem Manuelem i opatrzyć rany.

– Naturalnie, idź. – Brat Torquemada wydawał się zamyślony. – I tak muszę popracować z bratem Pedro i ustalić wysokość darowizny, zatwierdzić ostatecznie wydatki klasztoru, więc sama papierkowa robota.

Po tych słowach brat Armand opuścił gabinet przeora. Zanim wyszliśmy z naszej kryjówki, wyglądając ostrożnie przez okno, odczekaliśmy, aż Archanioł minie nasz segment i oddali się wystarczająco, aby nas nie zauważyć.

Tego wieczoru niewiele ze sobą rozmawialiśmy o wizycie Królowej i o tym, czego się w związku z nią dowiedzieliśmy. Po nabożeństwie nieszporów przeor ogłosił, że jutro z samego rana wyjeżdża do Watykanu i ustanawia brata Armanda swoim zastępcą na czas nieobecności. Prosił, aby okazywać jemu szacunek i posłuszeństwo, gdyż pełnić on będzie urząd przeora. Nikt nie ośmielił się zaoponować przeciwko tej nominacji ulubieńca Torquemady. A może nikomu wcale na tym nie zależało? Nie wiem.

A więc stało się. Od chwili wyjazdu Królowej z opactwa Santa Cruz zastanawiam się, czy przyszłe pokolenia, które urodzą się już w uciemionej Hiszpanii, będą wiedziały, że historia Nowej Inkwizycji, Inkwizycji Tomása de Torquemady, zaczęła się tutaj, w niewielkim opactwie Świętego Krzyża, na uboczu miasta Segowia, dzisiejszego

dnia, zupełnie niepozornie i niemal niezauważenie? A więc tak rodzi się niewola – niewinnie i z aprobatą całego otoczenia! Wolność umiera nieświadomie. Na długo zanim zamkną się na rękach i nogach pierwsze kajdany. Zanim na gardłach zaciśnie się garota strachu. Oczywiście, jak powiedział przeor, bulli ustanawiającej Inkwizycję w Hiszpanii jeszcze nie ma, więc nie powinienem być może nastawiać się tylko na to, co będzie złe, ale coś mi mówi, że papież się zgodzi, a system, który stworzył *padre* Torquemada, nie tylko odbierze nam wolność i rzuci na kolana. Odbierze nam również życie...

16 lipca. Po komplecie

Przeor wyjechał dziś z samego rana, tak jak zapowiedział. Mistrz mój zaś przejął jego obowiązki, mnie pozostawiając samego sobie. Przeprosił, że nie będzie miał zbyt wiele czasu, aby się mną zająć, i przypomniał mi, że zgodnie z umową mam wrócić do nauki w bibliotece. Tym bardziej że czuję się już lepiej. Nieszczerólnie podoba mi się wizja ślęczenia znów nad książkami, ale wolę już to niż permanentne towarzystwo znieawidzonego Archanioła, zwłaszcza że ostatnio zapowiadał mi, że bardziej się mną zajmie. Nie wiem, jak długo nie będzie ojca Torquemady, ale na pewno jakieś dwa–trzy tygodnie. A zatem przez ten okres czasu mam spokój, jeśli chodzi o konieczność przebywania u boku mego mistrza.

Oprócz nauki znów dziś pomagałem bratu Alvaro i Juanowi w kuchni dla najuboższych. Patron mego przyjaciela ani słowem nie wspomniał o wizycie Królowej, więc doszedłem do wniosku, że Juan nie powiedział mu, czego dowiedzieliśmy się we trzech z Alejandrem.

Życie w opactwie toczy się tak, jakby Królowej w ogóle u nas nie było. Nikt oficjalnie nie mówi o wyjeździe przeora, nikt otwarcie nie zadaje pytań. Albo bracia naprawdę się tym nie interesują, albo tylko udają, że ich to nie obchodzi, a w rzeczywistości plotkują o tym w ukryciu i w tajemnicy. Niesamowite jest, jak klasztor w jednej chwili potrafił przyzwyczaić się do nowej sytuacji, zaakceptować ją bez dyskusji, przynajmniej oficjalnie, i przejść nad tym do porządku

dziennego, jakby nic się nie stało, jakby Królowa miała zwyczaj wpadać do Santa Cruz bez przerwy, a brat Torquemada jeździł do Watykanu średnio raz na miesiąc! A przecież tak nie jest...

Po południu pomagałem bratu Constantino przygotowywać nabożeństwo nieszpórów. Ricardo zwolnił się z dyżuru i pognął do biblioteki, głodny tej wiedzy, której wczoraj z racji przyjazdu Królowej nie mógł zdobywać. Rozkładałem śpiewniki z modlitwami na każdej ławce, chociaż przecież każdy mnich zna je już na pamięć.

– Nie chciałeś iść do biblioteki, zamiast mi pomagać? – zagadnął mnie brat Constantino, który rozkładał modlitewniki na ławkach po drugiej stronie nawy.

– Pójdę po komplecie – odpowiedziałem. – Myślałem, że przyda się ojcu pomoc.

Brat Constantino uśmiechnął się życzliwie.

– Bo mi się przyda. Zawsze się przydaje – przyznał. – Tym bardziej że Ricarda nigdy nie ma. Ale sądziłem, że po tym, jak dostałeś cięgi za brak posłuszeństwa, a w zasadzie za to, że nie chciałeś się uczyć, będziesz chciał nadrobić zaległości i pokazać patronowi, że zmieniłeś swoje postępowanie.

Nic nie odpowiedziałem. Słowa brata Constantino były smutne i gorzkie i sprawiły mi przykrość. Nie dałem mu jednak poznać tego po sobie.

– Nie przeszkadza ojcu, że Ricardo spędza cały swój czas w bibliotece, zamiast pomagać w kościele? – zapytałem.

– O, nie! – prawie wykrzyknął. – Cieszę się, że się uczy, i sam go do tego zachęcam. Ja także dużo się uczyłem. W tym zakonie, jeśli się jeszcze nie zdążyłeś zorientować, Antonio, można do czegoś dojść tylko poprzez naukę.

– Tak, wiem – przytaknąłem.

Zły byłem na brata Constantino, że traktuje mnie z taką wyższością i że dzieli braci na tych, co się uczyli i zrobili lub zrobią karierę, i na tych, którzy wielkich ambicji w tym przedmiocie nie mieli, zaliczając mnie najwyraźniej do tej drugiej kategorii. I dlatego zadałem pytanie, którego, gdyby nie ta złość, pewnie nie odważyłbym się zadać:

– Jeśli, ojcze, tak się uczyłeś, jak mówisz, dlaczego *padre*

Torquemada nie ciebie wysłał do Bolonii na studia? – Serce biło mi jak szalone, a mimo to stanąłem wyprostowany i niemal bezczelnie patrzyłem na brata Constantino.

On zaś drgnął, gdy usłyszał pytanie, zatrzymał się w pół kroku i odwrócił w moją stronę. Ale wyraz twarzy miał pogardliwy, uśmiechał się złośliwie i triumfująco. W tej właśnie chwili zacząłem żałować, że zadałem to pytanie.

Brat Constantino podszedł do mnie wolno.

– Widzę, że ci już opowiedzieli tę plotkę – podsumował. – Cóż, Kościół Katolicki zawsze był plotkarskim środowiskiem. I pewnie w związku z tym uważasz, że skoro zamiast mnie na studia do Bolonii pojechał brat Armand, wciąż żywię dlań urazę? Po tych blisko piętnastu latach?

– Cóż... – zacząłem. – To dlatego mu się przyglądasz, ojcze? Widziałem, jak w ciemności stoisz i patrzysz w jego okno.

Brat Constantino głośno się roześmiał.

– Co ci, Antonio, przychodzi do głowy? – powiedział wyraźnie rozbawiony. – Nie przyglądam się twojemu patronowi. Po prostu lubię wieczorami spacerować po opactwie. To chyba nie jest zbrodnia? – Zawiesił zagadkowo głos i spojrzał na mnie zimno, a w jego spojrzeniu była groźba.

Wtedy zrozumiałem, że trafiłem w czuły punkt, że brat Constantino więcej ma do ukrycia, niż to pokazuje, i więcej, niż ja się domyślam. Miałem więc rację...

– Może zamiast węszyć wkoło intrygi, przyjrzyj się samemu sobie, Antonio! – upomniął mnie brat Constantino tonem nieznoszącym sprzeciwu, a uśmiech znikł z jego twarzy, która stała się kamienna. – Może zatem ty mi powiesz, dlaczego podsłuchujesz rozmowy brata Armanda z przeorem? – Zawiesił głos, a widząc moje przerażenie, którego nie umiałem ukryć, dodał: – Tak... Widzę, jak za nimi chodzisz. Sam, czasem z kolegami. Jak wczoraj weszliście do celi obok gabinetu przeora, by przez dziurę w ścianie słuchać, o czym rozmawiają z Królową. Myślałeś, że nikt nie zauważył?

Ogarnęło mnie przerażenie. Serce uderzało jak oszalałe, a po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz. Chciałem uciec jak najszybciej,

ale przykuł mnie strach.

– Tak, Antonio – mówił dalej brat Constantino na powrót z triumfującym uśmiechem. – Brat Armand nie wie, że go podsluchujesz, prawda? A gdyby tak się dowiedział? Jak myślisz, co by ci zrobił?...

– Ojcze, ja... – mamrotałem.

– Milcz! – przerwał mi brat Constantino lodowato. – Słuchasz tego, co mówią, a nie masz pojęcia, co się tu dzieje ani co zrobić z tą wiedzą! Myślisz, że im przeszkodzisz? Że uda się to komuś tak nic nieznaczącemu jak ty? To znaczy, że niczego nie zrozumiałeś. Nie pouczaj mnie, Antonio, że coś źle robię! A jeśli zobaczę, że przeszkadzasz planom brata Torquemady, przysięgam, że cię zniszczę! – Zrobił pauzę być może po to, aby przyglądać się, jak dygoczę ze strachu, a potem nagle uśmiechnął się dużo łagodniej i powiedział: – A teraz idź do biblioteki. Zwalniam cię z reszty dyżuru w kościele. – Po czym pochylił się nade mną i szepnął mi do ucha: – I nigdy, przenigdy więcej nie wchodź mi w drogę, Antonio...

Cofnąłem się o krok.

– Tak, *padre*... – Dygotałem, nie, trząsałem się ze strachu.

Rzuciłem na najbliższą ławkę resztę modlitewników i co sił w nogach pognałem przez środek kościoła do wyjścia. Odprowadził mnie głośny, szyderczy śmiech brata Constantino naigrawającego się ze mnie lub napawającego własnym triumfem. A może jedno i drugie? Ale był to śmiech szatański...

Wybiegłem na zewnątrz roztrzęsiony, oblany lodowatym potem. Czulem się podle i byłem przerażony tym, co przed chwilą usłyszałem. Opadła wreszcie zasłona kłamstw, która otaczała brata Constantino, a którą zapewne sam wokół siebie zbudował. Nie wiem, czy istotnie nienawidził Archanioła, ale na pewno chciał Inkwizycji. Być może, a nawet na pewno widział w tym korzyść dla siebie. Może chciał być inkwizytorem? Ale mnie uderzyła inna myśl. Dotąd, jakkolwiek wiedziałem, że z powołania Świętej Inkwizycji nie wyniknie dla Hiszpanii nic dobrego, to teraz dopiero zrozumiałem, jaki to będzie system, jak wielką władzę zdobędą inkwizytorzy i jak wielki strach rozpętają. I jak wielu ich popiera. W ciszy. Zapaleńców, którzy gotowi

są zabić w obronie tych planów. Tak jak brat Constantino. Hiszpania już spłonęła na stosie! – pomyślałem.

Oparłem dłonie o brzeg fontanny i pozwoliłem chmurze kropli rozpryskujących się na wszystkie strony chłodzić moją twarz. Staralem się zebrać myśli. Dotąd brat Constantino wydawał mi się raczej miłym człowiekiem, ale nawet mój mistrz w największej złości nie zwracał się do mnie w taki sposób jak on dzisiaj i nigdy nikt mnie tak nie przeraził. Doszedłem do wniosku, że sprawa musi być dużo poważniejsza niż tylko niespełnione ambicje brata Constantino w związku z niewysłaniem go przez przeora na studia w Bolonii, skoro aż tak zabolaly go moje słowa. Ale o co może chodzić? Bo przecież nie o Inkwizycję. Powiedział o niej później, poza tym Archanioł i przeor go nie wtajemniczają w swoje plany, o ile zdążyłem się zorientować. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi, i nawet nie mam kogo o to zapytać. Boję się tylko jednej rzeczy: że to, co brat Constantino ukrywa, a co ja zaledwie przeczuwam, w końcu wybuchnie z całą siłą i wstrząśnie tym opactwem.

A jeśli powie bratu Armandowi, że go podsłuchiwałem? Bo w zasadzie cóż go przed tym powstrzymuje? Ale być może nie zamierza tego zrobić, skoro tylko mnie upomniał, a w zasadzie mi pogroził? Czemu to miało służyć? Aby więcej nie chodził krok w krok za moim mistrzem? Czy też chodziło mu o to, abym przestał interesować się tym, co on sam robi? Tak czy inaczej dla własnego mego dobra powinienem przestać interesować się intrygami w tym opactwie i Inkwizycją, a zacząć zajmować się swoją edukacją.

Kiedy opadły już emocje i uspokoiłem nieco nerwy, poszedłem do biblioteki. W drodze myślałem, że historia z bratem Constantino jest coraz ciekawsza i że jednak trudno będzie mi się nią nie interesować, mimo że dopiero co przysięgałem sobie z tym skończyć.

W skryptorium spotkałem Juana i Alejandra, których zaciągnąłem na dolny poziom biblioteki i opowiedziałem o zajściu w kościele. Z początku obaj nie mogli w to uwierzyć, bo przecież znają bardzo dobrze i od dawna brata Constantino i nawet mnie wydawało się nieprawdopodobne jego zachowanie. Ale potem doszliśmy wspólnie do wniosku, że w Santa Cruz naprawdę dzieje się coś poważnego, a to, co powiedział mi brat Constantino, to zaledwie odprysk, wierzchołek

wielkiej góry, której jeszcze nie widzimy. Postanowiliśmy też na razie nikomu o tym nie wspominać, ale za to baczniej przyjrzeć się bratu Veliger de Vargas i Archaniołowi.

Teraz siedzę w skrytorium i przeglądam akta procesu Joanny d'Arc na kolejne zajęcia z moim mistrzem. Ricardo nauczył się ich chyba na pamięć, tak zaciekle je wertował od kilku dni. Zna wszystkie kwestie biskupa Cauchona i to na wrywki i wyobrażam sobie, że zagra tę rolę niczym aktor w teatrze. Przyszli też inni nowicjusze, oprócz samotnika Oscara, który wolał uczyć się w skupieniu w swoim podziemnym, otoczonym tylko księgami królestwie. Z pewnością tyle razy czytał te akta, że nie musiał ich sobie powtarzać.

Przede mną długa noc jeszcze...

19 lipca. Po nonie

Zajęcia z bratem Armandem wbrew moim oczekiwaniom były bardzo wesołe i ciekawe. W parlatorium ustawiliśmy ławki w taki sposób, żeby pomieszczenie wyglądało jak sala sądowa, zaś katedra, za którą zwykle przemawia Archanioł, posłużyła nam dziś jako barierka dla przesłuchiwanej Joanny i świadków.

Cieszyłem się niezmiernie, że mistrz mój wyznaczył mi pomniejszą rolę sędziego, który w zasadzie prawie w ogóle się nie odzywał. Prym wiódł rzecz jasna Ricardo odgrywający rolę Cauchona, a nadał się do tej roli jak chyba nikt inny w opactwie! Chodził po sali, krzyczał na Joannę w ekstatycznym, sędziowskim zapale, grożąc jej i jej poplecznikom ogniem piekielnym, a w pierw gromem z nieba. Ponieważ musieliśmy się trzymać wiernie akt sądowych, Ricardo mógł zadawać tylko takie pytania, jakie rzeczywiście padły z ust biskupa Cauchona i zostały zaprotokołowane. Ale oprócz tego Ricardo odtworzył postać przewodniczącego, jego prawdopodobne gesty, miny, a do tego całą masę wtrąconych i nieprotokołowanych słów włożył mu w usta zupełnie od siebie i, muszę przyznać, zrobił to świetnie, tak że wszyscy dobrze się bawiliśmy, nawet brat Armand uśmiechał się, gdy na to patrzył.

Ale muszę też powiedzieć, że Juan w roli oskarżonej Joanny d'Arc radził sobie niezgorzej i bardzo dobrze oddał jej brak pokory, arogancję, a nawet bezczelność wobec sędziów w procesie. Jej wersji akurat koloryzować nie było potrzeby, bo nie dość, że się nie bała, to jeszcze górowała inteligencją nad Cauchonem. Co chwila też wybuchaliśmy śmiechem, patrząc, jak Juan gra dziewicę, a z drugiej strony odcina się słownym atakom Ricarda. Śmiał się sam mój mistrz, chociaż przypominał nam, że to proces, który kończy się wyrokiem śmierci, nie zaś komedia, którą my wszyscy odgrywamy.

Oscar grać nie musiał, inkwizytor pełnił rolę doradcą w procesie, jak moja, ale co nieco do powiedzenia miał. Zresztą Ricardo bez przerwy konsultował z nami niektóre kwestie i dokumenty i musieliśmy z Oscarem, jako jego doradcy i pomocniczy sędziowie, służyć mu radą

i swą inkwizytorską mądrością. Oscar przyniósł na salę *Practica officii* i chociaż nie ma dowodów, że podczas procesu Joanny d'Arc korzystano z uwag Bernarda Gui, on z uporem zaglądał do tej książki i na poparcie swojej rady udzielanej Cauchonowi przytaczał całe fragmenty *Podręcznika*. Widziałem, że bratu Armandowi się to podobało.

Alejandro miał rolę prokuratora, który właściwie w tym procesie potrzebny nie był, toteż i on niewiele się udzielał. Za to świadkowie, czyli Jesus, Mateo i Camilo, wczuli się bardzo i opowiadali niesamowite historie o czarach i herezjach Joanny.

Na koniec nasz trzyosobowy trybunał udał się na parter do kapitulacza na naradę, po czym, gdy już ustaliliśmy werdykt, Ricardo z dumą i należną powagą odczytał wszystkim zgromadzonym na sali sądowej wyrok skazujący Joannę d'Arc na stos. Z oczywistych względów samego spalenia na stosie nie mogliśmy pokazać, ani tego, że pierwotnie wyrok na Joannie miał być wykonany 24 maja 1431 roku, ale przstraszyła się ona kaźni i przyznała do winy, więc Cauchon zamienił stos na dożywotnie więzienie. Ale potem Joanna przemyślała swoje postępowanie i odwołała przyznanie się. Dlatego zarządzono drugą egzekucję, 30 maja tego samego roku, w której spłonęła.

Po ogłoszeniu wyroku brat Armand nas pochwalił i powiedział, że to był kawał dobrej roboty i że nie spodziewał się, że aż tak dobrze nam pójdzie, i że niektórzy z nas mają prawdziwy talent aktorski. W czasie zajęć przyszedł na trochę brat Alvaro, popatrzeć, jak się bawimy. Zajrzał także brat Manuel. Bili nam potem brawo i były to jedne z najradośniejszych moich chwil w opactwie.

Gdy zostaliśmy sami i przywróciliśmy parlatorium pierwotny jego wygląd, na zakończenie zajęć mój mistrz zabrał głos:

– Dziękuję wszystkim za przygotowanie tych zajęć. Teraz widzicie, jaką heretyczką była Joanna, jak słuszny był wyrok skazujący ją na śmierć oraz że gdyby orzekano według nowych, zmodyfikowanych reguł postępowania, o których wam opowiadałem na poprzednich zajęciach, proces nie tylko byłby krótszy, ale i bardziej zwięzły, konkretny, a przede wszystkim nikt, absolutnie nikt nie ośmieliłby się go zakwestionować. – Popatrzył na nas i dodał: – Dobrze. Na następnych zajęciach powiem wam o karze spalenia na stosie, skąd się ona wzięła

i dlaczego akurat płomienie, a nie na przykład ścięcie. I jeszcze jedno, moi drodzy. Jak wiecie, czcigodny brat Torquemada wyjechał do Watykanu. Jest to bardzo ważna misja, całkowicie tajna. Nie mogę wam zdradzić szczegółów, ale wkrótce i tak sami się dowiecie. Czekają nas wszystkich wielkie zmiany! – powiedział mój mistrz tajemniczo, z całą pewnością mając na myśli utworzenie w Kastylii Świętej Inkwizycji. – Dlatego studujcie księgi. Uczcie się pilnie teologii, prawa, filozofii, medycyny, łaciny i greki. Niebawem Hiszpania będzie potrzebować wykształconych ludzi Kościoła. Niebawem wszyscy, jak tu jesteśmy, będziemy tworzyć historię i do niej należeć – zakończył. – Dziękuję. Na dziś to wszystko.

Pakowaliśmy notatki, które każdy z nas poczynił z akt procesu Joanny d'Arc, żeby móc się nimi posilkować na symulowanej rozprawie. Ricardo podszedł do katedry, za którą stał jeszcze brat Armand, i o czymś rozmawiali. Ja, Juan i Alejandro, porozumiewając się tylko spojrzeniami, daliśmy sobie do zrozumienia, co myślimy o całej tej wyprawie przeora do Watykanu. Chciałem z nimi porozmawiać, gdy wyjdziemy na zewnątrz, ale brat Armand zażyczył sobie, abym mu towarzyszył w drodze do gabinetu *padre* Torquemady, który teraz zajmował.

– Niewiele mam czasu, żeby się tobą zająć, Antonio – powiedział.
– Ale ufam, że uczysz się wieczorami w bibliotece, jak się umówiliśmy?
– Tak, *padre* – zapewniłem go natychmiast.
– To dobrze. – Spojrzał na mnie uważnie. – Zauważyłem, że nie pałaszasz entuzjazmem do Inkwizycji, gdy o niej rozmawiamy na zajęciach. Dzisiaj także nieszczególnie wczułeś się w odgrywaną rolę i w ogóle w całą rozprawę. Mogę wiedzieć dlaczego?

Zaniemówiłem z wrażenia. Nie mogłem mu odpowiedzieć, że uważam Inkwizycję za zło, bo to byłaby oczywista herezja.

– Może po prostu nie mam tyle entuzjazmu, co Ricardo... – powiedziałem wymijająco.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie, Antonio – upomniał mnie mistrz. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że jesteś przeciwny świętym trybunałom? – Brat Armand popatrzył na mnie zimno.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedziałem od razu jedyną rzecz,

jaką można było powiedzieć na tak zadane pytanie.

Bałem się wyznać prawdę. Trzęsły mi się ręce, więc ukryłem je w rękawach kuty.

– Chyba jeszcze zbyt mało wiem o Inkwizycji, *padre* – dodałem.

– Wiesz tyle, ile trzeba – podsumował brat Armand. – Ale niczego nie rozumiesz. Ty się boisz, Antonio. – Patrzył na mnie z kamiennym, lodowatym obliczem. – Boisz się, że wprowadzą ją w Hiszpanii. Wiesz, że tak będzie i cię to przeraża. Boisz się władzy, jaką Inkwizycja mieć będzie nad ludźmi. Boisz się tak bardzo, że nie potrafisz jasno ocenić sytuacji i uznajesz trybunały za zło, zamiast złem nazwać grzech i herezję, z którą będą walczyć.

Z każdym jego słowem serce uderzało mi coraz szybciej i czułem, jak po plecach przebiegają mi ciarki. Archanioł mówił dokładnie to, co czułem. Wiedział, o czym myślałem.

– Nie wiem... – wymamrotałem. – Nie wiem, co powiedzieć, ojcze... – Głos mi drżał.

Brat Armand uniósł dłoń, abym milczał.

– Lepiej nic nie mów, Antonio – powiedział spokojnie i chłodno. – Nie pogrążaj się. Z takim myśleniem jak twoje daleko nie zajdziesz. Martwi mnie twój ograniczony punkt widzenia, mimo tylu lektur, które czytałeś. Rozczarowujesz mnie, Antonio. Po raz kolejny mnie rozczarowujesz, a już żywiłem nadzieję, że ostatnia kara jednak czegoś cię nauczyła. Ciesz się, że Inkwizycja w Kastylii jeszcze nie działa, bo tacy ludzie jak ty, wątpiący w jej mądrość i użyteczność, byłiby w podejrzeniu. – Uśmiechnął się blado, a potem dodał poważnie: – Idź już, Antonio. Wracaj do książek i ucz się.

Po tych słowach Archanioł ruszył dalej alejką ocienioną kolumnami i krzewami róż. Ja zaś ukloniłem się grzecznie i pozostałem tam, gdzie się zatrzymałem. Patrzyłem za nim, jak szedł dumny, zimny i zupełnie mi obcy. Świadomość rychłego powołania w kraju Inkwizycji uczyniła go bardzo pewnym swoich racji i wyniosłym. Wywyższa się ponad innych, którzy nie mają jego wiedzy lub z różnych powodów nie są wtajemniczeni w plany brata Torquemady i jego. Z dnia na dzień coraz bardziej dystansuje się ode mnie i od współbraci. I jakkolwiek nigdy dotąd nie był z nami specjalnie zżyty, ale raczej chodził własnymi

drogami, tak teraz nasze i jego drogi rozmiągają się zupełnie. Oczywiście zajmują go sprawy opactwa z tytułu powierzenia mu ich przez przeora, ale myślami jest wraz z *padre* Torquemadą w drodze do Watykanu. Myśli już tylko o Inkwizycji...

Powinienem przyzwycząć się, że brat Armand odzywa się do mnie lekceważąco, niekiedy z pogardą i jawną niechęcią, ale nie potrafię. I nadal jego słowa sprawiają mi przykrość. Ciągłe bolą. Bo właściwie dlaczego mnie tak nie znosi? Dlaczego wszyscy muszą być tacy jak on? Kto powiedział, że to jedynie słuszna postawa? A jeśli się myli? Jeśli po latach okaże się, że nie miał racji? Czy będzie wówczas w stanie zrozumieć swoją pomyłkę i naprawić błędy nią wywołane? Jeśli jednak zostanie inkwizytorem, a wszystko na to wskazuje, rozpęta piekło w Kastylii. Jego rządy będą straszne... Mam nadzieję być wtedy daleko od niego. I mam też nadzieję, że któregoś dnia zobaczą upadek Archaniola... Zobaczą, jak na kolanach żebrze i skomli o łaskę. I mam też nadzieję, że tej łaski nigdy nie otrzyma...

25 lipca

Ostatnie dni pełniłem dyżur w szpitalu i leprozorium wraz z Camilem. Pomagali nam również Alejandro i Juan wraz z bratem Alvaro. Przychodził także brat Constantino, ale zachowywał się tak, jakby naszej ostatniej rozmowy w ogóle nie było. Był miły i uprzejmy, jak zawsze, aż nie mogłem uwierzyć w tę przemianę. Chętny do pomocy, użyteczny, pomagał chorym i, co najciekawsze, uczył mnie i Camila o zapaleniu płuc. Ani jednym słowem nie zdradził się co do naszej rozmowy w kościele, ani jednym gestem, mrugnięciem powieki, grymasem na twarzy czy spojrzeniem. Jeśli to, co mówił, było prawdą, bardzo dobrze się maskował. A skoro tak dobrze maskował się z tym, kto wie, może także ukrywał, z równym skutkiem, swoją niechęć do Archaniola?

Brat Armand zaglądał do nas, gdy tylko obowiązki mu pozwalały. Camilo, jako uczeń brata Celestino, niewiele miał dotąd styczności ze szpitalem i wraz z Juanem wprowadzaliśmy go w podstawową wiedzę.

Mnie zaś brat Armand powierzał bardziej odpowiedzialne zadania niż tylko sprawdzanie pulsu czy zmiana opatrunków. Tym zajął się już drugiego dnia Camilo. Ja szyłem rany, cięte i darte, opatrywałem wszystkie skaleczenia, a nawet dawkowałem leki pod okiem brata Alvaro i zdiagnozowałem gangrenę.

Praca w szpitalu naprawdę jest ciekawa i gdyby nie stosunki z patronem i ciągle zmuszanie mnie do nauki, pewnie spodobałaby mi się na tyle, że szczerze zapragnąłbym studiować medycynę. Tym razem brat Armand naprawdę rzadko nas odwiedzał, przez co czułem się znacznie swobodniej i gdyby nie brat Constantino, szpital stałby się moim azylem. Boże, w co ja wszedłem? W jakieś dziwne układy, intrygi, niedomówienia, wzajemne niechęci i uprzedzenia. Nie chcę żyć w takim środowisku, a przecież sam się temu poddaję, nienawidząc brata Armanda i podsłuchując go! Przypomina to jakiś koszmarny sen!

Aby uniknąć spotkania się z bratem Constantino, zgłosiłem się na ochotnika do pracy w leprozorium przez resztę dyżuru. I choć do niedawna taka perspektywa wydałaby mi się przerażająca, dziś jest przede mną najbardziej pożądanym rozwiązaniem. Trędowaci nie knują intryg i nie żądają ode mnie wielkich ambicji ani ślęczenia nad książkami. A brat Manuel zarządza leprozorium tak spokojnie i łagodnie, że dziś to miejsce jawi się w moich oczach jako wytchnienie i ostoja dla skołatanych moich nerwów.

Brat Armand zgodził się od razu na moją prośbę.

– Jestem zaskoczony, Antonio! – rzekł. – Myślałem, że brzydzisz się tym miejscem.

– Ale doszedłem do wniosku, ojcze, że czas to zmienić – powiedziałem mu dokładnie to, co chciał usłyszeć. – Skoro mam się uczyć medycyny...

Mistrz westchnął. Stał nad mapą trybunałów w gabinecie przeora, a kolorowe szkiełka ozdabiały jego kutę i twarz wesołym, barwnym światłem.

– Coraz ciemniej to widzę, Antonio – powiedział ze smutkiem. – Te twoje studia medyczne. Wymagają poświęcenia, uwagi i czasu. Patrząc na ciebie, nie wiem, czy jesteś w stanie tyle z siebie dać.

– Postaram się, *padre* – zapewniłem go szybko. – Naprawdę się

postaram.

– No dobrze. – Brat Armand obszedł stół i stanął przede mną. – Nie mam nic przeciwko uczeniu się. W jakiegokolwiek formie. Zresztą medycyna to nie książki, a w każdym razie nie tylko. Widzę, że naprawdę ci zależy, zatem idź do leprozorium. – Wskazał dłonią kierunek, w którym znajdował się za dormitorium pawilon trędowatych. – Bratu Manuelowi na pewno przyda się pomoc, a ja nie mogę przyjść.

Podziękowałem mu grzecznie i pobiegłem szybko cały szczęśliwy, że będę miał parę dni spokoju.

Brat Manuel ucieszył się, gdy mnie zobaczył. Pomagał mu już Alejandro, ale że w leprozorium zrobiło się liczniej i ciasniej, przydaje się tam dzisiaj każda para rąk. Teraz, nie będąc do niczego zmuszany, łatwiej i szybciej pokonałem barierę strachu i obrzydzenia na widok pootwieranych ran, ciekących żółto-zielonkawą mazią guzów i maczugowato zdeformowanych kończyn. Przecież to nie ich wina, że tak wyglądają i dogorywają tu, na naszych oczach. Może lepiej, że tutaj, niż mieliby się tułać po świecie do swej śmierci, która, jak zdążyłem się już zorientować, nie przychodzi szybko.

Pomagając bratu Manuelowi, uczyłem się od niego pokory i cierpliwości. Jest taki wyciszony i pogodzony z pracą, którą wykonuje w Santa Cruz! Ma w sobie wiele ciepła dla tych ludzi, którzy czasem potrafią wyprowadzić z równowagi samym swoim narzekaniem na los i zły świat. Ale czyż można im się dziwić?

Ci z chorych, którzy mogą chodzić, chętnie wychodzą przed pawilon, by cieszyć się świeżym wiatrem i słońcem. Pomagałem z Alejandro wychodzić także tym, których nogi nie posiadają już stóp, bo te zostały zniszczone przez chorobę.

Wczoraj na przykład doszliśmy we trzech do wniosku, że wszystkich chorych wyniesiemy, nawet tych leżących. Pogoda była piękna, jak to o tej porze roku, i chorzy dziękowali nam za to dobrodziejstwo. Kiedy uporaliśmy się ze zmianą opatrunków na ich strasznych ranach i z karmieniem tych, którzy nie mają już rąk, brat Manuel poprosił nas, abyśmy posprzątaли w leprozorium. Trzeba było wywietrzyć barłogi chorych, umyć podłogę z zaschniętej, a miejscami lepkiej jeszcze ropy, która bez przerwy sączy się z nacieków tych

chorych, którzy mają tę szkaradniejszą odmianę trądu. Zabraliśmy się więc z Alejandrem do pracy, a brat Manuel zajmował się chorymi.

– Jak układały się na początku twoje relacje z bratem Jorge? – zapytałem Alejandra, gdy zostaliśmy sami w pustym pawilonie. – Zawsze były dobre?

– Zawsze – odpowiedział. – A dlaczego pytasz?

– Bo Archanioł w nowicjacie ciągle się z nim kłócił – wyjaśniłem, nie przestając szorować podłogi. – Bo brat Jorge z początku wydawał mi się nieprzystępny.

Alejandro się uśmiechnął.

– Rzeczywiście, sprawia takie wrażenie – przyznał. – Ale to dobry patron i wspaniały mentor. Wiele rzeczy mnie nauczył.

– To dlaczego na zewnątrz wobec innych tak się dystansuje? – zapytałem. – Myślałem, że tylko dla Archanioła jest szorstki.

– Nie. – Alejandro odłożył szczotkę. – Brat Jorge w przeszłości przeżył osobistą tragedię. Od tamtego czasu nikt nie potrafi doń dotrzeć. Jest jak zamknięta księga. Nikt jeszcze jej nie przeczytał do końca. A mistrz mój broni do siebie dostępu. Do swoich myśli, a przede wszystkim do uczuć.

Podszedłem z wiaderkiem i szczotką bliżej Alejandra.

– Opowiesz mi o tym? – zapytałem z ciekawością, której nie umiałem ukryć.

– Znam tę historię z drugiej ręki – powiedział cicho Alejandro. – Nie usłyszałem jej od brata Jorgego. Opowiedział mi o tym kiedyś *padre* Gregorio, gdy tu przyjechałem. Żaliłem mu się, że nie mam dobrego kontaktu z patronem i że brat Jorge chyba mnie nie lubi. Wtedy on opowiedział mi tę historię w wielkiej tajemnicy, aby dać mi do zrozumienia, że szorstkość mego mistrza nie ma nic wspólnego ze mną.

– A skąd *padre* Gregorio zna tajemnicę brata Jorgego?

– Przyjaźnili się w nowicjacie – mówił Alejandro. – A że mój patron bardzo coś przeżywał, brat Gregorio go wypytywał. Dopiero po roku przyjaźni brat Jorge zaufał mu na tyle, aby wyznać mu swą tajemnicę. Dlatego uważam, że ta historia jest prawdziwa. Ale, zaklinam cię, Antonio, to musi pozostać między nami. – Alejandro popatrzył na mnie poważnie i wiedziałem, że nie żartuje.

– Masz moje słowo – zapewniłem go. – Zresztą i tak z nikim oprócz ciebie i Juana się tutaj nie przyjaźnię, więc komu miałbym powiedzieć tę tajemnicę? Z Archaniołem prawie nie rozmawiam...

– Juan nie zna tej historii – wtrącił Alejandro. – Nie tyle, żebym specjalnie ją przed nim ukrywał, ile raczej nie było okazji, żeby mu powiedzieć.

– Jasne. Zostaje wszystko między nami – powiedziałem.

Ciekaw byłem tej opowieści, jak każdej, która mogłaby zająć me myśli czymś innym niż bratem Armandem i która pokazałaby, że mnisi też mają przeszłość. Że są ludźmi z krwi i kości, a nie monolitami, za jakich chcą uchodzić.

Alejandro usiadł obok mnie na mokrej podłodze. Odłożyliśmy na chwilę naszą pracę. Zerknąłem przez otwarte drzwi na zewnątrz, ale brat Manuel krzątał się pomiędzy chorymi.

– Brat Jorge pochodzi z wysoko postawionego rodu – zaczął Alejandro, ścisząc głos niemal do szeptu. – Z rodu de Llorente. Urodził się i mieszkał w Toledo, jak Archanioł. Jest najstarszy z rodzeństwa, ma młodszego o rok brata i dwie młodsze siostry. Jak wiesz, zgodnie z prawem Hiszpanii tylko najstarsze dziecko dziedziczy majątek w całości, a pozostałe muszą radzić sobie inaczej, bo jest całkowity zakaz parcelacji ziemi. Zatem mistrz mój od samego początku był wychowywany na dziedzica. Od wczesnych lat był również zaręczony z dziedziczką innego bogatego rodu, Christiną, dużo młodszą od mojego mistrza, bo blisko o siedem lat. Ale, jak pamiętasz z historii o Armandzie, takie wczesne zaręczyny są czymś normalnym i powszechnym w arystokratycznych rodzinach, przynajmniej w centralnej Kastylii. Nie wiem, czy brat Jorge chciał tego małżeństwa, czy był tylko posłuszny rodzicom, ale młodzi mieli się pobrać, gdy Christina ukończy czternaście lat. Na dwa lata przed planowanym ślubem brat Jorge poznał córkę bogatego kupca z Toledo, szesnastoletnią Julię. Podobno była bardzo piękna i mistrz mój był nią oczarowany. Spotykali się potajemnie, a raczej w tajemnicy przed rodzicami brata Jorgego, bo przecież matka i ojciec Julii nie mogli mieć nic przeciwko memu mistrzowi jako kandydatowi do ręki córki. Pochodził wszak ze starego i szanowanego rodu szlacheckiego, może nie tak bogatego jak

rody de Castellano i de Corell, ale całkiem nieźle im się wiodło. Więc młodzi spotykali się po cichu. Brat Jorge pokochał Julię tak bardzo, że, jak mówił potem do brata Gregorio, nie wiedział, że można czuć do drugiego człowieka coś tak wielkiego i pięknego. Trwało to cztery miesiące, aż brat Jorge, rozumiejąc, że nie będzie z nikim tak szczęśliwy jak z Julią, oznajmił któregoś dnia rodzicom, że zamierza ją poślubić i zerwać zaręczyny z Christiną. Ojciec Jorgego tak się wściekł, że zagroził mu, że go wydziedziczy, jeśli zerwie zaręczyny. Ale brat Jorge postawił sprawę jasno: z błogosławieństwem rodziców lub bez niego i tak ożeni się z Julią. Jeszcze tego samego dnia zerwał zaręczyny z Christiną, wypłacając jej stosowne wynagrodzenie. W Toledo wybuchł skandal z powodu planowanego mezaliansu w rodzinie de Llorente. Bo jakkolwiek ojciec Jorgego był na początku zły i nawet zamierzał wysłać go do szkół za granicę, by ta miłostka wywietrzała mu z głowy, to jednak, widząc upór syna i rozumiejąc, że nie zmieni w ten sposób jego decyzji, bo syn darzy Julię prawdziwą miłością, zgodził się na to małżeństwo. Młodzi ogłosili więc zaręczyny, a Toledo huczało od plotek. – Alejandro uśmiechnął się. – W lecie 1456 roku obie rodziny planowały ślub. Plany te jednak pokrzyżowała epidemia tyfusu plamistego, która wybuchła w Toledo. Ta sama, w której zmarli matka i ojciec brata Armanda. Rodzice mego mistrza nalegali, by narzeczona wraz z jej rodzicami i rodzeństwem przeniosła się na czas epidemii do ich posiadłości, aby uniknąć ewentualnego zarażenia się, ale oni odmówili, w obawie, by nie powstały plotki, że narzeczeni bez ślubu mieszkają razem. Rodzina Julii i ona sama mieszkali więc nadal w samym centrum Toledo i w samym środku epidemii. Jorge odwiedzał ją codziennie i nalegał, aby nie wychodziła z domu. Młodzi chcieli nawet pobrać się szybko i bez ceremonii, byle tylko Julia mogła zamieszkać w dobrach rodziny de Llorente. Ale widać małżeństwo i szczęśliwe wspólne życie nie było im pisane. Julia zachorowała na tyfus plamisty pod koniec lata 1456 roku, w okresie najbardziej nasilonej epidemii. Zachorowała cała jej rodzina. Ojciec Jorgego posłał im najlepszych lekarzy. Kto wie, może i matka Armanda się nimi zajmowała, o ile jeszcze nie była wtedy chora. Julia zaraziła się najprawdopodobniej którejś niedzieli, gdy wracała z kościoła po mszy,

bo tylko w tym celu opuszczała dom podczas epidemii. Przed kościołem zaczepił ją ponoć jakiś obdarty żebrak, a ona, niewiele myśląc, dała mu do ręki jałmużnę. Kilka maravedís. Żebrak był widocznie chory, a żyjące na nim wszy zakażone. Kilka z nich przez tę jedną chwilę, gdy wręczała mu monety, zdążyło przejść na Julię, która co prawda natychmiast strzepnęła je z dłoni i rękawa sukni, ale widać jakimś trafem nie wszystkie, albo zanim to zrobiła, zdążyły ją pogryźć. O ile to wówczas się zaraziła. To byłoby straszne, gdyby Bóg tak ją pokarał za to, że spełniła chrześcijański obowiązek i dała biedakowi parę maravedís za jałmużnę! W każdym razie Julia zachorowała na tyfus i nic jej nie pomagało. Jej stan się pogarszał, lekarze rozkładali ręce. Brat Jorge, mimo obaw rodziców i lekarzy, modlił się przy jej łóżku dzień i noc. Julia zmarła po czterech tygodniach wyniszczającej choroby.

W listopadzie 1456 roku, mniej więcej w tym samym czasie, co rodzice małego Armanda. – Alejandro zrobił przerwę w opowieści i wychylił się przez drzwi. – Myślałem, że ktoś idzie – wyjaśnił. – Po jej śmierci Jorge strasznie rozpaczał. Ludzie mówili, że oszalał. Z nikim nie rozmawiał. Chodził ulicami Toledo bez żadnego celu, chciał się zarazić, jak opowiadał bratu Gregorio. Szukał śmierci w najbardziej nędznych zaułkach chorującego miasta, prowokował zarażenie się, marzył, by dołączyć do ukochanej. Ale Bóg chciał inaczej, bo widać ma co do brata Jorgego inne plany. To muszą być naprawdę ważne plany, skoro zachował go od śmierci! Epidemia minęła, otworzono bramy miasta i zniesiono kordon sanitarny. Ale Julia nie żyła i brat Jorge też jakby nie żył, bo nie umiał sobie znaleźć miejsca i ciągle rozpaczał. Z rodziny Julii przeżył tylko jej najmłodszy brat, pozostali zmarli. Dziecko miało dziesięć lat i zostało sierotą. Rodzice Jorgego przygarnęli chłopca i adoptowali. Gdy minęło trochę czasu, ojciec Jorgego, wiedząc, że syn nadal przecież pozostaje dziedzicem rodu i nazwiska, zaczął namawiać syna, aby przemyślał wszystko i pojechał do Christiny z przeprosinami. Rodziny już wstępnie się porozumiały i ojciec zapewnił Jorgego, że Christina jest skłonna mu wybaczyć, bo nadal go kocha i z pewnością zgodzi się na powtórne zaręczyny. Podobno Jorge wpadł wówczas w szal! Nakrzyczał na ojca, jak ten śmiał za jego plecami decydować o jego życiu i że on, Jorge, nie jest już dzieckiem. Powiedział wówczas

do niego, że skoro uważa, że po śmierci Julii Jorge mógłby jeszcze kogoś tak bardzo pokochać, to znaczy, że sam nigdy nikogo tak naprawdę nie kochał i nie zrozumie jego bólu i rozpacz. Tamtej nocy brat Jorge wybiegł z domu i wrócił nad ranem, a wówczas zakomunikował rodzicom, że wstępuje do klasztoru dominikanów. Nie chciał żyć bez Julii, udając miłość do innej kobiety, a zdawał sobie sprawę, że jako dziedzic majątku miał obowiązek się ożenić i spłodzić potomka. Dlatego też postanowił zostać mnichem i zachować w sercu Julię na zawsze. Wybrał Convento de Santa Cruz w Segowii, aby być daleko od Toledo i aby wspomnienia nie raniły go na każdym kroku. Jego życie już się skończyło, a to, które zostało, będzie dlań udręką, jedynie oczekiwaniem na śmierć. Brat Jorge wiedział, że Bóg ocalił go z jakiegoś powodu, był Bogu posłuszny, ale nie potrafił żyć z inną niż Julia żoną. Dlatego wybrał zakon. Podobno, jak mówił mi *padre* Gregorio, brat Jorge nigdy nie przestał jej kochać, a przecież minęły dwadzieścia dwa lata! – Alejandro sam był zdziwiony własnym rachunkiem.

– Nigdy bym nie pomyślał, że brat Jorge skrywa w duszy taką tajemnicę! – powiedziałem, gdy skończył. – Teraz rozumiem jego smutek i dystans do tego świata. I chłód. Sam nie wiem, jak ja bym się zachowywał, gdyby to mnie spotkały takie przeżycia.

– Pomyśl sobie, Antonio, że i brat Armand, i brat Jorge mieli podobne przejścia, obaj stracili ukochane osoby w tej samej epidemii tyfusu plamistego. Wydawałoby się, że powinni dojść szybko do porozumienia, a tu, zobacz, nie znoszą się. – Alejandro westchnął i wylał z wiaderka resztę wody z mydłem na podłogę leprozorium.

– I obaj o niej nie mówią... – dodałem w zamyśleniu. – Mnie również brat Armand nie powiedział nic na temat jego tragedii podczas epidemii tyfusu w Toledo...

– Bo mnie o nią nie pytałeś, Antonio – usłyszałem za plecami głos mego mistrza i w okamgnieniu zerwałem się na równe nogi.

Odwróciłem się, ledwie przytomny ze strachu. Alejandro także. Brat Armand stał tuż przed nami i patrzył z politowaniem.

– Ojczy, ja... – Chciałem się usprawiedliwić, ale ze strachu głos uwiązł mi w gardle.

– Ach, Antonio!... – brat Armand westchnął. – Kiedy się nauczysz ze mną rozmawiać, zamiast plotkować z kolegami o przeszłości mojej i innych mnichów? – Archanioł spojrzał na mnie, potem na Alejandra.

Przełknąłem ślinę i nie byłem w stanie nic powiedzieć. Alejandro stał ze skruszonym wyrazem twarzy i także nic nie mówił.

– Widzę, że szczególnie interesuje was epidemia tyfusu plamistego w Toledo w 1456 roku – mówił dalej brat Armand. – Dobrze. Nie mam nic przeciwko poszerzaniu zainteresowań. Zatem zapoznacie się z rocznikami miasta Toledo, które mówią o tej epidemii. To będą dwa, jeśli się nie mylę. Alejandro – zwrócił się do mego przyjaciela – poprosisz swego patrona o te roczniki jeszcze dziś wieczorem.

Zaniemówiłem, gdy słuchałem brata Armanda. *Padre* Jorge na pewno zapyta, po co nam te roczniki, na pewno skojarzy rok epidemii.

– Ojciec – odezwał się Alejandro blady z przerażenia – obiecuję, że to się więcej nie powtórzy, abyśmy rozmawiali o czyjejkolwiek przeszłości.

– Wiem, Alejandro. – Brat Armand uśmiechnął się nieznacznie.

– Dlaczego więc mamy czytać te roczniki? – zapytał mój przyjaciel. – Przepraszam, jeśli cię w czymś urażiliśmy, *padre*.

– Ponieważ sobie tego życzę, Alejandro – odpowiedział chłodno Archanioł.

Wiedzieliśmy już, że dalszy spór z moim mistrzem grozi nam tylko eskalacją konfliktu i, nie daj Boże, zarządzeniem jakiejś kary, więc przytaknęliśmy.

– Zobaczcie, jak obaj wyglądacie! – roześmiał się mój mistrz.

Spojrzeliliśmy. Na naszych kutchach widniały duże, nieregularne, żółtawe i zielonkawe plamy z rozpuszczonej wodą mazi z guzów trędownatych. Popatrzyłem na podłogę, którą dopiero co umyliśmy, na której nadal były ślady rozmięknętej ropy, w której obaj z Alejandro klęczeliśmy i siedzieliśmy, rozmawiając. Także się roześmialiśmy, chociaż dość ostrożnie.

– Jednokrotne mycie podłogi nic tu nie da – powiedział brat Armand. – Czasem trzeba umyć cztery razy i to dobrze wyszorować. – Westchnął i pokręcił głową. – *Padre* Bernardo będzie miał z waszymi kutchami mnóstwo prania! Nie wiem, czy w ogóle da się usunąć te plamy.

– Przepraszam, ojcze... – jęknąłem.

– Mnie nie macie za co przepraszać – powiedział Archanioł z rozbawieniem. – Wyglądacie tak żałośnie, że daruję wam czytanie tych roczników. – Podszedł do nas bliżej. – Ale jeśli jeszcze raz usłyszę, że grzebiecie w przeszłości braci zakonnych, a zwłaszcza w mojej, Antonio, zarządzę nową chłostę. Dla was obu. I tym razem nie będę miał litości – dokończył lodowato i wiedziałem, że nie żartuje.

Zapewniliśmy mego mistrza, że taka sytuacja już więcej się nie powtórzy. Do leprozorium wszedł tymczasem brat Manuel, a widząc mnie i Alejandra upakowanych zielonkawą, śmierdzącą ropą, wybuchnął śmiechem.

– Nowicjusze! – Brat de Ovieda pokręcił głową. – Chłopcy, pospieszcie się! Trzeba wnieść chorych przed zachodem słońca.

– Tak, ojcze. – Wziąłem się ostro do pracy.

Alejandro również. Mistrz mój wyszedł na zewnątrz wraz z bratem Manuelem i coś omawiali.

– Archanioł mówi czasem ludzkim głosem – roześmiałem się cicho, ale Alejandro był przerażony.

– Antonio, ja cię błagam! – rzucił szybko. – Mało ci było razów? Wolałbyś dostać tyle co ja?

Spoważniałem natychmiast.

– Wybacz, nie pomyślałem o tobie. – Spojrzałem na Alejandra, ale on się uśmiechnął.

– Nie masz w sobie za grosz pokory, Antonio – powiedział, udając Archanioła. – Zmuszasz mnie, bym zarządził chłostę...

Teraz obaj wybuchnęliśmy śmiechem i już na serio wzięliśmy się do pracy.

Do wieczora, tak jak chciał brat Manuel, wszystko było wysprzątane, a chorzy na powrót na swoich posłaniach w leprozorium. Przed nieszporem pobiegliśmy z Alejandro do umywalni, aby wyszorować się dokładnie i oddać nasze kuty do pralni. Brat Bernardo złorzeczył i zemścił na czym świat stoi, gdy zobaczył nasze habity, a na nich plamy z ropy. A potem jednym ruchem ręki cisnął je do ognia na palenisku.

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałem! – powiedział. – Nawet

brat Manuel nie brudzi się tak jak wy i to w jeden dzień!

Tłumaczyliśmy, że to wyjątkowa sytuacja, bo trzeba było umyć podłogę w leprozorium, ale brat Bernardo zły był jak nie wiem i kazał nam zejść mu z oczu. Wzięliśmy więc z suszarni nowe odzienia i czym prędzej się oddaliliśmy.

Wieczorem, gdy razem z Alejandrem udawaliśmy się po komplecie do swoich cel, spotkaliśmy Juana, który wracał właśnie ze szpitala.

– Mamy nowy przypadek malarii – powiedział do nas. – I cztery kolejne zachorowania na tyfus. A sześcioro dalszych osób jest pod obserwacją, czy tyfus plamisty się u nich rozwinie. Brat Armand jest przygnębiony tymi nowymi przypadkami, obawia się, że grozi nam epidemia.

Spojrzeliliśmy z Alejandrem po sobie.

– Jestem wykończony – dodał Juan. – Brat Armand został jeszcze w szpitalu. Musi rozmieścić na nowo chorych. Przygotować sale na kwarantannę. Jak wiecie, siostronom ich reguła zabrania przebywać poza murami klasztoru po zmroku, więc został sam.

– A co z poprzednimi przypadkami tyfusu? – zapytał Alejandro.

– Dwóch braci zmarło. Ojciec też – powiedziałem w zamyśleniu. – Dwóch jeszcze walczy.

– Wybaczcie mi, ale idę się umyć i położyć. – Juan odszedł w kierunku umywalni.

– Cóż to za diabelstwo? Ten tyfus plamisty! – Alejandro wzdrygnął się.

– Chyba pójdę mu pomóc... – myślałem głośno.

– Komu chcesz pomóc? – Światło rzucane przez płomień lampki oliwnej drgało na twarzy Alejandra, czyniąc ją tajemniczą.

– Alejandro, jestem złym człowiekiem – powiedziałem, a nagle, niezapowiedziane niczym wyrzuty sumienia szarpnęły mi duszę. – Zgrzeszyłem. Przeciwko Bogu i bliźniemu. Potwornie zgrzeszyłem...

Naraz zrobiło mi się żal brata Armanda. Naraz pojąłem, dosłownie w jednej chwili, jak bardzo byłem krótkowzroczny i patrzyłem tylko na to, co mistrz robi złego, nie dostrzegając, że poza Inkwizycją i planami Torquemady jest w nim coś jeszcze. Że chce mnie czegoś nauczyć. I to czegoś dobrego. Medycyny, która służy ludziom i często ocala ich przed

śmiercią. Nawet jeśli przeor indoktrynuje Archaniola w związku z utworzeniem świętych trybunałów, nawet jeśli uczyni zeń sędziego-inkwizytora, nie wykorzeni prawdziwej natury brata Armanda, a jest nią chęć niesienia pomocy chorym i cierpiącym. Nie zniszczy tego dobra, które mistrz mój już podarował światu, tego, które na każdym kroku czynił, przez lata praktykując medycynę: w Salamance, w Bolonii, wreszcie w Szpitalu Świętego Krzyża w Santa Cruz. Nie wolno nam o tym zapominać. Mnie nie wolno zapominać! Jest w nim dobro, zbyt silne, by stłamsiła je wola Torquemady. Czemu zatem, zamiast szukać w nim dobra, poddaję się nienawiści? Bo nienawiść jest łatwa i szybka. Prostsza. Trudniej ją odrzucić, trudniej poszukać zrozumienia, a najtrudniej przebaczyć.

Stojąc tak na środku dziedzińca w ciemnościach nocy, przy oliwnej lampce, której płomień ogrzewał mi twarz, doznałem wielkiej łaski. Uczułem, iż z całych sił i z całego serca przebaczam bratu Armandowi wszystko i pragnę takiego samego przebaczenia z jego strony. Dziwne, intensywne uczucie, które mnie przepełniało, sprawiało, że przechodziły mnie dreszcze, ale na dnie serca czułem się wspaniale. Czułem radość, która nie wiem skąd się brała, ale wypełniała mnie nieznanym mi dotąd światłem. Bez wątpienia od Boga ono pochodziło, jak i łaska przebaczenia.

Alejandro stał obok mnie i przyglądał mi się z coraz większym zdziwieniem.

– Antonio, co się z tobą dzieje? – zapytał.

– Skrzywdziłem go... – powiedziałem bardziej do siebie niż do przyjaciela. – Swoim osądem obaj go skrzywdziliśmy. Muszę iść. Powiedzieć mu to. – Ruszyłem, ale Alejandro zatrzymał mnie, ciągnąc za rękę.

– Antonio, wygadujesz jakieś bzdury! Kogo skrzywdziłeś? – prawie krzyknął w ciemności. – Chyba praca w leprozorium ci nie służy – próbował zażartować, a widząc, że się niecierpliwie, puścił moją rękę. – Nie rób głupstw! – krzyknął za mną, gdy biegłem już do furty klasztornej. – A asysta?!

– A! – Machnąłem ręką. – Do diabła z asystą! – Wybiegłem za mury opactwa.

Wpadłem do szpitala zdyszany i szczęśliwy jak nigdy dotąd. Brat Armand w przedostatniej sali ścielił posłania nowo przyproszonym chorym na tyfus. Był sam jeden, chociaż mógł zlecić te czynności któremukolwiek z nowicjuszy. Jest lekarzem, pełni obowiązki przeora, nie musi parać się taką pracą, a jednak mimo późnej pory i zmęczenia służył tym biedakom, którzy tylko tutaj szukali pomocy i opoki. I prawdziwie był dla nich opoką.

– Ojcie... – powiedziałem, podchodząc do niego. – Pomogę ci.

Wziąłem z kupki złożony koc i bez pytania zacząłem go powlekać w czystą płócienną powłoczkę, których cały stos był naszykowany dla nowych pacjentów.

– Antonio, nie wierzę własnym oczom. – Brat Armand nie krył zdziwienia. – Nie spodziewałem się tutaj nikogo, a już na pewno nie ciebie. – Przyglądał mi się uważnie.

– Juan powiedział mi, że są nowi chorzy na tyfus i że jeszcze pracujesz – mówiłem zgodnie z prawdą. – Powiedział, że jesteś nimi przygnębiony. Pomyślałem, że przyda ci się pomoc. – Spojrzałem niepewnie w jego stronę.

Kłęczał przy posłaniu, które ścielił, gdy wszedłem, ale teraz zaniechał tej czynności i słuchał, co mówiłem. Na jego twarzy malowało się zdziwienie i chyba nawet nie starał się go ukryć. Oblicze miał skupione, ale łagodne. I łagodność była również w spojrzeniu, którym na mnie patrzył. Surowy, okrutny Archanioł zniknął gdzieś, odsłaniając cierpliwą, ojcowską niemal twarz brata Armanda. Tę twarz, którą zawsze chciałem u niego zobaczyć. Twarz nauczyciela, mistrza i mentora, duchowego przewodnika przez nowicjat do ślubów zakonnych, a może również i dalej. Sumienie ścisnęło mi duszę do bólu, którego za wszelką cenę chciałem się pozbyć. W tamtej chwili zapragnąłem, abyśmy naszą znajomość zaczęli budować od nowa, aby nie była oparta na niechęci i wzajemnych uprzedzeniach.

Podszedłem doń bliżej i ukląknę przed bratem Armandem. Pomyślałem, że jest to właściwy moment, aby go przeprosić i prosić o wybaczenie. Dygotałem, ale nie ze strachu. Po raz pierwszy od nie wiem jak dawna nie bałem się go. Czułem się jak dziecko, które nabroilo i teraz ufne przychodzi do litościwego ojca, by je rozgrzeszył. Bo ciężar

braku przebaczenia doprawdy strasznym jest ciężarem dla duszy i niejednego przywiódł on do szaleństwa. A ja naprawdę chciałem powiedzieć o wszystkim bratu Armandowi. Pragnąłem przebaczenia, które ma moc oczyszczania sumienia z win. Absolucji.

– Ojcie – zacząłem – jeśli nie jest już na to za późno, chciałem cię przeprosić. Głęboko i szczerze przepraszam cię za wszystko, co złego zrobiłem i czym mogłem cię obrazić lub zasmucić. Nie słuchałem cię, byłem arogancki i w dodatku wygadywałem straszne rzeczy. Zaślepiła mnie nienawiść i egoizm. Nie doceniałem tego, co dla mnie robisz. Myślałem, że robisz to złośliwie. Wydawało mi się, że mnie nienawidzisz, że chcesz mnie upokorzyć. Nie widziałem dobra, które czynisz dla ludzi. Byłem ślepcem, ojcie. Obiecuję, że to się już nie powtórzy. Chciałbym, żebyś wybaczył mi moje nieposłuszeństwo i brak pokory. – Zamilkłem.

Patrzyłem niepewnie w oczy mistrza, ale nie było w nich chłodu. Odłożył na bok powłoczkę, którą trzymał w ręku.

– Antonio, nie poznaję cię – powiedział po dłuższej chwili. – Naprawdę cię nie poznaję! Nie gniewam się na ciebie. Nie obawiaj się. I nie żywię urazy. Nie mam ci czego przebaczać. – Uśmiechnął się, jakby chciał dodać mi otuchy.

We mnie zaś ścisnęło się serce. Wiedziałem, że muszę wyznać wszystko. Całą prawdę. Wziąłem więc głęboki oddech.

– Ojcie, miałeś rację. Poprzednim razem, gdy przyszedłem cię przeprosić, bałem się kary chłosty. Liczyłem, że ją odwołasz. Dziś wiem i rozumiem, że to nie były szczerze przeprosiny. Strach przesłaniał mi serce i umysł. Dzisiaj jednak nie wisi nade mną kara i chciałbym, z całego serca chciałbym, abyś puścił w niepamięć to, co dotąd było między nami – mówiłem szybko.

– I tak będzie, Antonio. – Mistrz uśmiechnął się.

– To nie wszystko, ojcie – przyznałem.

– Teraz mnie przerażasz, Antonio. – Brat Armand usiadł na ścielonym posłaniu i mnie wskazał miejsce obok siebie.

Usiadłem. Powoli ogarniał mnie strach i czułem, jak do oczu napływają mi łzy.

– Ojcie, czuję w sobie straszny ciężar i muszę zrzucić go

z sumienia. Zrobiłem straszną rzecz i pewnie skrzywdziłem tym ciebie. Dotąd nie pomyślałbym nawet, aby ci się do tego przyznać, bo bałem się, że znów zarządzisz karę. Okrutną. Ale dziś bardzo chciałbym, abys mi przebaczył, i nie dbam już o karę. Proszę cię tylko, ojcze, abys wysłuchał mojej spowiedzi. – Łzy ciekły mi po policzkach, gdy patrzyłem na mistrza z nadzieją, że zechce mnie wysłuchać.

Brat Armand przyglądał mi się łagodnie, ale w skupieniu. Siedzieliśmy przy blasku dwóch naszych oliwnych lampek i jednej pochodni zatkniętej na ścianie. Za oknem była już ciemna noc, a i płomień lampek darmo walczył z ciemnością w sali chorych. Wokół panowała absolutna cisza i otoczenie takie ze wszech miar nastrajało do wyznań. Panujący tu półmrok skrywał wstyd malujący mi szkarłatem policzki i łzy szczerzego żalu, niemożliwe do powstrzymania.

– Dobrze, Antonio. Wysłucham cię. Widzę, że naprawdę coś cię gryzie – powiedział brat Armand. – Ale jeśli chodzi ci o to, że plotkowałeś o mnie z nowicjuszami za moimi plecami, to, wierz mi, domyślałem się tego.

Pokręciłem przecząco głową.

– Nie tylko o to chodzi, ojcze – przyznałem ze wstydem. – Owszem, wiele razy o tobie mówiłem, najczęściej z pogardą i nienawiścią. Żądny byłem wszelkich o tobie opowieści, zwłaszcza tych o przeszłości. Wiem o epidemii, w której zmarli twoi rodzice, i o całych twoich dziejach, o konflikcie z bratem Jorgem i studiach. Powiedziano mi o tym. Wybacz mi, że nie zapytałem ciebie. Wybacz, że pożądałem tych opowieści. Wybacz mi... – Płakałem cichymi łzami, a głos mi się łamał.

– Antonio, nie gniewam się o to – zapewnił mnie mistrz. – Nie powinienes tak robić ani mnie obmawiać, ale i ja nie zawsze byłem dla ciebie prawdziwym mentorem i może zbyt mocno cię naciskałem. Miałeś prawo się żalić kolegom, bo, jak sędzę, właśnie przy takich okazjach o mnie rozmawialiście. Spodziewałem się tego. – Uśmiechnął się. – I to cię tak martwi?

Spuściłem głowę. Serce biło mi szaleńczo, ale czułem, że muszę powiedzieć bratu Armandowi o wszystkim.

– Ojcze, wybacz mi to, co zaraz powiem. – Spojrzałem nań

przerażony i splotłem dłonie jak do modlitwy. – Podśluchiwałem cię, *padre*... – Zacisnąłem powieki.

– Podśluchiwałaś?... – brat Armand powtórzył za mną wolno i z niedowierzaniem.

Spojrzałem nań z lękiem. W jego twarzy nie było złości, a raczej rozczarowanie. A w oczach smutek. I właśnie to rozczarowanie bolało mnie bardziej, niż gdyby się na mnie gniewał.

– Tak, ojcie – przytaknąłem cicho. – Podśluchiwałem twoje rozmowy z przeorem na dziedzińcu i w gabinecie *padre* Torquemady. Chodziłem za wami, chowałem się w ciemności, za filarami alejek, wszędzie, gdzie mogłem usłyszeć, co mówicie. Wiem o planach Inkwizycji. Słyszałem też twoją i przeora rozmowę z Królową. Wiem, po co brat Torquemada pojechał do Watykanu. Wiem, że masz być, ojcie, inkwizytorem i jak chcesz zreformować dotychczasowy system świętych trybunałów. Słyszałem dużo. – Spoglądałem, jak oblicze mistrza pochmurniało coraz bardziej, jak patrzył na mnie ze smutkiem i serce prawie pękało mi z żalu, że zrobiłem mu coś takiego.

– Antonio... – powiedział zaskoczony moją relacją. – Brak mi słów...

– Ojcie, wiem, że zrobiłem bardzo źle. – powiedziałem mu. – Wstydzę się tego. Wiem też, że bardzo cię rozczarowałem i możesz mnie za to znienawidzić. Z pewnością nie ominie mnie za to kara, bo na nią zasłużyłem. – Płakałem szczerze i prosto z serca. – Jedyne, czego pragnę, to abyś mi przebaczył. Błagam. Boję się tego, co ze mną zrobisz, boję się, że chłosty takiej jak ta Alejandra lub gorszej nie przeżyję. Ale uczyni ze mną co zechcesz, bylebyś zechciał mi wybaczyć... – Zamilkłem.

Brat Armand westchnął. Patrzył przed siebie i zastanawiał się przez chwilę, która mnie wydała się wiecznością. Niepewność szarpała mi sumienie, ale gotów byłem przyjąć z pokorą każdą karę, bo szczerze i prawdziwie chciałem pojednania. Takiego, co naraz ulecza wszystkie rany. Raz na zawsze.

– Błagam, ojcie... – szepnąłem. – Wiem, że nie jestem nic wart, ale zechciej mi wybaczyć...

Mistrz spojrzał na mnie zmieszany. Widziałem w jego oczach, że

się zastanawia. Być może wzbierał w nim gniew, by mnie ukarać, a może przepełniało go chrześcijańskie poczucie łaski i przebaczenia? Możliwe też, że oba te uczucia toczyły w nim walkę...

– Antonio, cieszę się, że przyszedłeś z tym do mnie – powiedział w końcu mistrz. – To było bardzo złe, co robiłeś. Niegodne mnicha i nowicjusza. Nieuczciwe wobec mnie i przeora. Wobec Boga. Obłudne, Antonio. I przyznaję, nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał. I masz rację, że zasłużyłeś na karę. Wyjątkowo surową. Nikt dotąd się tak nie zachował w tym opactwie, a przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Dlaczego to zrobiłeś, Antonio? – zapytał ze smutkiem w oczach.

Słyszałem żal w jego głosie.

– Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, ojciec – odpowiedziałem. – Zły byłem na ciebie, że zmuszasz mnie do nauki. Że na mnie krzyczysz i mną gardzisz, jak mi się wydawało. Po karze chłosty czułem do ciebie tylko nienawiść. Chciałem ci zrobić na złość. Może także kierowała mną zemsta. A może tylko głupia ciekawość? – mówiłem. – Nie wiem, ojciec. Ale teraz jest mi wstyd. Strasznie wstyd.

Brat Armand skinął głową, że rozumie, co mam na myśli, i znów zapadła cisza. Trzaskał płomień pochodni i w tej ciszy brzmiał jak uderzenia żałobnego dzwonu.

– Nie mogę zrozumieć, jak mogło ci przyjść do głowy coś tak głupiego! – przerwał milczenie mistrz. – Ale wykazałeś się wielką odwagą, przychodząc z tym do mnie. Doceniam też twoją szczerłość. Nie patrząc na konsekwencje, wyznałeś swe winy i prosisz o przebaczenie. Żałujesz, a to podstawa, by otrzymać rozgrzeszenie. Dobrze. – Zrobił krótką pauzę i przyjrzał mi się, ale już łagodnie. – Wybaczam ci, Antonio. – Uśmiechnął się. – Nie gniewam się i cieszę się, że nareszcie mi zaufałeś. Bo musiałeś mi zaufać, aby tu dzisiaj przyjść. A to oznacza też, że pomimo tego, co mówiłeś, nie czujesz w sercu nienawiści. Antonio, obiecaj mi jednak, że taka sytuacja nigdy się już nie powtórzy.

– Nie powtórzy się, ojciec – zapewniłem go gorąco. – Przysięgam.

– Dobrze więc. Mocą Kościoła Katolickiego odpuszczam ci synu twoje grzechy, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. – Brat Armand uczynił nade mną znak krzyża.

– Amen – odpowiedziałem. – Dziękuję ci, ojciec. I za to

przebaczenie. Bardzo wiele ono dla mnie znaczy. – Uśmiechnąłem się przez łzy.

Mistrz położył mi dłonie na ramionach. Dygotałem jeszcze z emocji tej dziwnej, nocnej spowiedzi.

– Nie bój się, Antonio. – Brat Armand także się uśmiechnął. – Nie będę cię karał. Podziwiam twoją odwagę, że się przyznałeś. Zebranie tej odwagi i przyjście tu były dla ciebie wystarczającą karą. Nie powiem też przeorowi, co tu zaszło. Ale musisz mi obiecać, że wszystko, czego się dowiedziałeś z moich rozmów z bratem Torquemadą, pozostanie między nami. – Upomnienie było w jego głosie.

– Nie mogę, *padre* – odpowiedziałem. – Rozmawiałem o tych sprawach z Juanem i Alejandrem...

Brat Armand przymknął na chwilę powieki, by uspokoić, jak sądzę, złość, która w nim zapewne wezbrała, kiedy to usłyszał.

– Antonio! – upomniał mnie, a potem dodał: – Zresztą niedługo to i tak nie będzie miało znaczenia. Niedługo i tak wszyscy się dowiedzą.

– Myślisz, *padre*, że papież się zgodzi? – zapytałem.

Mistrz spojrzał na mnie uważnie.

– A ty jak uważasz? – odpowiedział pytaniem.

– Sądzę, że ustanowi u nas Inkwizycję – powiedziałem zgodnie z moimi obawami. – Będzie chciał pomóc Królowej w walce z herezją. To obowiązek papieżstwa.

Brat Armand uśmiechnął się:

– Ja też na to liczę. A nawet wiem to na pewno. I pewnie nasłuchawszy się tych moich z przeorem rozmów, uważasz mnie za diabła z piekła rodem? I stąd ta twoja niechęć... Zastanawiałem się, dlaczego mnie unikasz. Teraz już wiem.

– Ojczy, ja... – wymamrotałem. – Jeszcze raz cię za wszystko przepraszam. Myślałem, że jesteś złym człowiekiem.

Brat Armand westchnął.

– Nikt z nas nie jest idealny, Antonio – odpowiedział. – Mam nadzieję, że kiedyś zrozumiesz moje stanowisko, jeśli chodzi o reformę świętych trybunałów, oraz to, jak bardzo są one potrzebne Hiszpanii. Teraz być może jest jeszcze na to za wcześnie. Wielu rzeczy jeszcze nie wiesz. Ale kiedyś wszystko będzie jasne. Zobaczysz. – Znów się

uśmiechnął. – A teraz chodź, Antonio, trzeba posłać chorym, bo będziemy tu siedzieć do rana. – Brat Armand wstał z siennika.

Ja również i wzięliśmy się ostro do pracy. Do północy wszyscy chorzy byli rozlokowani, a my z mistrzem wracaliśmy do opactwa. Noc była upalna i rozgwieżdżona, jakiej nigdy jeszcze nie widziałem. I gwiazdy jakoś tak jaśniej świeciły i nie takim chłodnym blaskiem, jak zawsze mi się wydawało. A może to za sprawą spowiedzi? Bo pogodziłem się z bratem Armandem i nie żywiłem doń żadnych złych uczuć. Rozgrzeszenie i całkowite wybaczenie win zawsze przynoszą taką radość. Myślałem o moim mistrzu i o Inkwizycji, której wszak nie dało się nie zauważać i w której nieuchronność ustanowienia w Hiszpanii obaj wierzyliśmy, chociaż każdy z nas z innym nastawieniem. Jednak obserwując brata Armanda w szpitalu, jego poświęcenie dla chorych i powołanie do leczenia ludzi, doszedłem do wniosku, że nawet jeśli brat Torquemada uczyni z mego mistrza inkwizytora Hiszpanii, a wszystko wskazuje na to, że tak będzie, mimo to brat Armand nigdy nie stanie się okrutnym, bezwzględny sędzią. To niemożliwe, by naraz zapomniał o swoim współczuciu dla cierpiących, o dobru, które kazało mu udzielać im pomocy, i w ogóle o medycynie, która jest przecież całym jego życiem. Choć mistrz mój jest głównym architektem nowego systemu Inkwizycji, dzisiaj jestem przekonany o tym, że jemu tylko wydaje się, że będzie inkwizytorem. Myli się, jak ja myliłem się do dzisiejszego dnia.

Mistrz zwolnił mnie z nocnej nauki w bibliotece, uznając, że mogę być zbyt zmęczony, by temu podołać. Kładę się zatem spać szczęśliwy, z lekkim sercem i duszą. Dziękuję Bogu za rozgrzeszenie i za łaskę, którą mnie dziś obdarzył. Łaskę, która pozwoliła mi zrozumieć, jak wielki popełniałem grzech.

28 lipca

Od dwóch dni pomagam bratu José Mavineo de Alvarez w posłudze przy furcie, a w zasadzie, ponieważ wiele tam pracy nie ma, brat furtian zwolnił mnie z obowiązków. Zatem czas w większości

spędziłem w czytelni i bibliotece, starając się przyłożyć do nauki jak najbardziej, aby brat Armand był zadowolony. Za jego zgodą i ku jego uciesze zacząłem zgłębiać książki medyczne. Może kiedyś użyczy mi swoich książek, które ma w celi. Muszę przyznać, że medycyna naprawdę jest ciekawa.

Później

Po nieszporach odprawiający nabożeństwo brat Armand poprosił nas wszystkich zgromadzonych w kościele o chwilę uwagi, gdyż chciał coś ogłosić.

– Jak wiecie – powiedział – w tym roku w sierpniu kończy się dwuletni nowicjat dla Juana i Alejandra. Ich patroni oraz patron Oscara zwrócili się do przeora o wyrażenie zgody na złożenie przez nich ślubów i *padre* Torquemada zgody takiej udzielił. Ale ponieważ w zasadzie do dnia swego wyjazdu zastanawiał się nad zgodą co do osoby Alejandra – mistrz spojrzał nań chłodno – dopiero ja dzisiaj ogłaszam wam, drodzy bracia, tę decyzję. – Brat Armand wziął do ręki dokumenty leżące przez całe nabożeństwo na ołtarzu, złożone w plik, i uniósł je w górę, pokazując pierwszy z nich. – A zatem miło mi wszystkim poinformować, że równo za miesiąc od dnia dzisiejszego, czyli 28 sierpnia, odbędzie się uroczysta ceremonia złożenia ślubów zakonnych przez nowicjuszy: Juana Sauli de Carmosa, Alejandra Silva de Sarmiento i Oscara Siliceo de Garrido. – To mówiąc, odkładał na stół ofiarny kolejne karty dokumentów, pozostawiając sobie w dłoni jedną kartkę. – Proszę więc wymienionych nowicjuszy o wykorzystanie pozostałego czasu na wewnętrzne przygotowanie się do tego dnia i do posługi zakonnej. Swoją prośbę kieruję także do patronów nowicjuszy. – Brat Armand zamilkł na chwilę, a potem dodał, ku zaskoczeniu wszystkich: – Drodzy bracia, mam jeszcze jedną miłą wiadomość. Bowiem przeor wydał zgodę, aby jeszcze jeden z nowicjuszy mógł złożyć śluby. Nie ukrywam, że bardzo rad jestem z takiego obrotu rzeczy. Otóż, razem z Juanem, Alejandrem i Oscarem śluby zakonne złoży Ricardo de Deza. – Mistrz uśmiechnął się, a przez zgromadzonych w kościele przeszedł

szmer. – Wiem, drodzy bracia, że Ricardo jest w klasztorze dopiero od dwóch miesięcy, ale za to nauczył się więcej niż ci, którzy są z nami od dwóch lat. To ja poprosiłem przeora o zgodę w tej kwestii i tym bardziej się cieszę, że brat Torquemada podzielił mój pogląd. Tak więc, Ricardo – brat Armand popatrzył z dumą na swojego protegowanego – za miesiąc złożysz śluby zakonne. – Uśmiechnął się i odłożył na ołtarz ostatnią kartkę. – Wszystkich was, drodzy bracia, i was, pozostali nowicjusze, proszę o gorącą modlitwę w intencji tych czterech powołań i spokojnej posługi zakonnej wymienionych waszych braci – dodał poważnie, nie kryjąc zadowolenia. – To wszystko, co miałem wam do przekazania na prośbę nieobecnego tu dziś przeora.

Wychodziliśmy wolno z kościoła. Pogratulowałem Juanowi i Alejandro. Oscar pobiegł prosto do swojej samotni, tak że nawet nie zdążyłem do niego podejść. Alejandro poczuł ulgę, gdy usłyszał, że jednak będzie mógł złożyć śluby w terminie. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, powiedział mi i Juanowi, że do ostatniej chwili bał się, że przeor postanowi go jednak relegować z klasztoru. Staliśmy tak kilka minut, ale zaraz z kościoła wyszedł brat Armand i kazał mi sobie towarzyszyć. Podeszliśmy do fontanny.

– Antonio, mam nadzieję, że i o twojej ceremonii złożenia ślubów będę mógł niedługo ogłosić – powiedział do mnie z uśmiechem. – Może tak za parę miesięcy? Ale liczę, że odbędzie się ona jeszcze zanim minie choćby rok twojego nowicjatu. Wierzę również, że i ty także gorąco tego pragniesz i będziesz się bardzo starał. – Mistrz popatrzył na mnie porozumiewawczym wzrokiem.

– Oczywiście, ojciec – odpowiedziałem. – Uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby tak się stało i aby nie zawieść twoich oczekiwań.

Jeszcze mówiąc to zdanie, zdawałem sobie sprawę, że kłamię. Okłamywałem mego mistrza w żywe oczy. Ale najgorsze było to, że usilnie starałem się oszukać także samego siebie. Wmówić sobie, że naprawdę chcę tak ciężko pracować i chcę szybko zostać mnichem. Że pragnienia i nadzieje mego mistrza są moimi pragnieniami i nadziejami, a ich realizacja najważniejszym celem mojego życia.

Dłużej nie zdążyliśmy porozmawiać, bo podszedł do nas Ricardo i zupełnie nie zwracając na mnie uwagi, zwrócił się do brata Armanda:

– Ojczy, nie wiem, jak mam dziękować za ten zaszczyt – powiedział z nieudawaną wdzięcznością. – Twoje uznanie, ojczy, wiele dla mnie znaczy. To honor dla mnie, że zostałem tak wyróżniony. – Wydawało mi się, że nie spodziewał się decyzji przeora.

– Nie dziękuj mi. Podziękuj sobie, Ricardo. – Mistrz mój uśmiechnął się z zadowoleniem. – Twoja ciężka praca doprowadziła cię tutaj. Zasużyłeś, aby zostać mnichem już teraz. Gdyby było inaczej, nie prosiłbym brata Torquemady o zgodę.

Ricardo uklonił się pokornie i z wdzięcznością przed bratem Armandem.

– Jeszcze raz dziękuję, *padre* – powiedział i już miał odejść, gdy mistrz mój go zatrzymał.

– To nie wszystko, Ricardo. – Brat Armand uśmiechnął się tajemniczo. – Ja i przeor mamy co do ciebie pewne plany, synu. Poprosiłem przeora, aby wyraził zgodę, abyś w październiku mógł wyjechać na studia do Salamanki. Chciałbym, żebyś studiował tam prawo rzymskie i kanoniczne, teologię i medycynę. Jeśli zaś sprawdzisz się jako pilny uczeń, naukę będziesz kontynuował za granicą. Kto wie, może nawet w Bolonii. Rozmawiałem już o tym z bratem Torquemadą i wyraził swoją aprobatę. Myślę zatem, że nie będzie robił żadnych trudności i po swoim powrocie z Watykanu wyśle do rektora Uniwersytetu w Salamance prośbę o przyjęcie cię na studia, a ja wystawię ci rekomendacje.

W miarę słuchania słów mego mistrza twarz Ricarda się rozjaśniała, aż widać było na niej jedynie bezgraniczną radość. Brat Armand nie mógł mu sprawić większej przyjemności, choć dla mnie taka intensywna nauka przez wiele lat byłaby koszmarem. Ricardo był jednak wniebowzięty. Padł do kolan bratu Armandowi i ucałował jego dłoń.

– Nie wiem, co powiedzieć, ojczy. – Widać było, że z wrażenia ledwie mówił. – Obiecuję, że cię nie zawiodę i że będziesz, ojczy, ze mnie dumny.

– Wstań, Ricardo – powiedział pobłaźliwie mój patron, a gdy nowicjusz stanął na powrót przed nim, mistrz położył mu ręce na ramionach i powiedział: – Jesteś najlepszy spośród nowicjuszy, Ricardo. Z dumą i czystym sumieniem będę cię rekomendował. Bo zasługujesz na

te studia. Ale to nie nauka w Salamance i Bolonii są moim i przeora celem. Mamy co do ciebie inne plany, sięgające znacznie dalej niż studia. Bardzo konkretne plany, mój synu... – zakończył jeszcze bardziej tajemniczo. – A teraz idź do swego patrona. Brat Constantino jest pewnie równie zaskoczony jak ty.

Ricardo jeszcze raz podziękował bratu Armandowi, a potem odszedł szybko w stronę kościoła.

– Bierz przykład z Ricarda, Antonio – mistrz zwrócił się teraz do mnie, jakby właśnie przypomniał sobie o moim istnieniu.

Skinąłem w odpowiedzi głową. Miałem mieszane uczucia. Nie byłem zazdrosny o Ricarda, o nie! Ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że brat Armand zamierza wyszkolić go na swego ucznia, tak samo jak kiedyś przeor jego. A szkolenie już się zaczęło. I wiedziałem również, jak i zapewne sam Ricardo, że owe tajemnicze „dalsze plany” brata Armanda i przeora to nic innego jak nominacja Ricarda na inkwizytora. Rzecz jasna w dalekiej przyszłości.

Z wolna zapadał zmierzch i miałem wrażenie, że opactwo oplata jakaś tajemnicza, niewidzialna pajęczyna sekretów, obietnic, niedopowiedzianych gestów, wielkich oczekiwań, odebranych i danych nadziei. Odniosłem również wrażenie, że wiele rzeczy jest już od dawna zaplanowanych, a my wszyscy nieświadomie realizujemy ten plan. Plan Torquemady, Królowej i brata Armanda...

W tym momencie usłyszeliśmy pukanie do furty klasztornej, co wyrwało mnie z moich rozmyślań, a brat José mocno zdziwiony poszedł otworzyć. Pora była późna jak na odwiedziny. Na teren klasztoru wszedł kilkunastoletni chłopiec, trzymając w rękach paczkę, i poprosił o spotkanie z bratem Armandem. Podeszliśmy do niego.

– Czcigodny ojcze, wybacz późną porę – chłopiec uklonił się nisko przed mym patronem – ale mistrz dopiero przed godziną skończył zamówienie, a że wiedział, że spieszyło się ojcu, by je otrzymać, wysłał mnie od razu z przesyłką do klasztoru. – To mówiąc, podał bratu Armandowi paczkę.

Mistrz wziął ją do ręki i szybko rozwinął papier. Wewnątrz znajdował się pięknie wykonany drewniany różaniec o dużych paciorkach z ciemnego drewna. Był okazały, ale nie za wielki. Drewno

było świeżo wypolerowane, a krzyż zdobiony reliefami. Prawdziwe arcydzieło! Brat Armand z uznaniem przesunął dłonią po paciorkach, a potem wziął do ręki jeden z nich i odkręcił go. Zajrzał do środka. Zrobił tak z kilkoma innymi, a na końcu odkręcił krzyż. Uśmiechnął się, więc musiał być zadowolony. Brat José, którzy przy nas stał, także był zachwycony. Przypomniała mi się rozmowa mego mistrza z przeorem przed wyjazdem tego ostatniego do Watykanu.

– Bardzo mi się podoba, synu – powiedział brat Armand zadowolony. – Chodź ze mną, otrzymasz zapłatę. – Po czym mistrz ruszył w stronę gabinetu przeora, a mnie kazał sobie towarzyszyć.

Kiedy wypłacił chłopcu wynagrodzenie za wykonany różaniec i opuścił on klasztor, brat Armand obejrzał jeszcze raz różaniec, kładąc go na stole w gabinecie na rozłożonych mapach Hiszpanii. Nie wspomniałem ani słowem mistrzowi, że wiem, co to jest, i przyglądałem się w ciszy cudnej zaiste, ręcznej robocie jakiegoś warsztatu mistrzowskiego z Segowii. Brat Armand wyjaśnił mi po dłuższej chwili, do czego służyć ma różaniec, ale potem przypomniał sobie, że przecież go podsłuchiwałem, więc zapewne to wiem. Kiwnąłem głową zawstydzony. Mistrz uśmiechnął się z politowaniem.

– Chodźmy więc, Antonio, do brata Martina. – Zabrał różaniec ze stołu. – Trzeba wypełnić jego paciorki.

Brat Martin oglądał długo różaniec, nie kryjąc zachwyty nad jego pięknem. Pochwalił też pomysł przeora jako słuszny. Zaraz też zaczął wyszukiwać w aptece różne specyfiki, które należało, jego zdaniem i zdaniem mego mistrza, umieścić wewnątrz paciorków. Padały nazwy roślin albo ich mieszanek, wszystkie łacińskie, których nie znałem i których nawet nie umiałbym przytoczyć. Mateo krążył od regału do regału, przynosząc na stół w aptecce coraz to nowe słoje, woreczki i pojemniki. Brat Armand zaś otwierał po kolei każdy z paciorków, zgodnie z kierunkiem odmawiania różańca, i wsypywał do nich różne proszki, nasiona, substancje, uschnięte liście, mieszanki, i tym podobne specyfiki, zapisując na kartce, co w jakim paciorku się znajduje. Był przy tym skupiony, systematyczny i wydaje mi się, że używał jakiegoś klucza. Z pewnością przekaże potem kartkę i klucz do niej bratu Torquemadzie, gdy ten wróci z Watykanu. Trwało to jakieś dwie

godziny i brat Armand świetnie się przy tym bawił. Znał się na lekach tak samo dobrze jak brat Martin. Ja zaś nie mogłem przestać myśleć o tym, że przecież różaniec ten będzie służył Inkwizycji, aby mogła bez przeszkód wypełniać swe zadanie: palić ludzi na stosach w sposób niczym, a przynajmniej trucizną i chorobą, niezakłócony. Widziałem, że i Mateo był trochę zaniepokojony i spoglądał na mnie poważnie i ze smutkiem ponad głową mego mistrza.

Była już późna noc, gdy wyszliśmy z apteki. Brat Armand zwolnił mnie, sam zaś poszedł do gabinetu Torquemady. Kładłem się spać pełen myśli o tym, jak bardzo szczegółowy i przemyślany we wszystkim jest plan Torquemady i mego mistrza. Tu nie ma miejsca na niedociągnięcia. Wszystko jest przewidziane i odpowiednio przygotowane.

1 sierpnia. Po jutrzni

Od dwóch dni pomagam bratu Armandowi i bratu Alvaro w szpitalu razem z Juanem, przy okazji pilnie się ucząc. Wszyscy pacjenci objęci kwarantanną zachorowali już na tyfus plamisty i leżą teraz razem w jednej, ostatniej sali chorych. Zmarł niestety człowiek chory na malarię. Ten sam, którego przywieziono do szpitala w niedługi czas po moim przyjeździe do Santa Cruz. Zmarł z wycieńczenia po dwumiesięcznej walce z nachodzącymi go co trzy dni atakami gorączki i drgawek. Widziałem, że mistrz mój zły był na siebie i chyba także na medycynę, że nie udało mu się pomóc. Zmarłego zabrała przedwczoraj rodzina.

Drugi pacjent chory na malarię, przywieziony kilka dni temu, ma podobne objawy, tyle że ataki zdarzają mu się co cztery dni. Brat Armand przeniósł go do oddzielnej sali, którą nazywa izolatką, i obserwuje, a to, co widzi, zapisuje w kajeciku, w którym, jak mniemam, umieszcza co ciekawsze przypadki, z jakimi styka się w naszym szpitalu, a pewnie postępował tak samo, będąc dyrektorem szpitala uniwersyteckiego w Bolonii, bo kajet nosi wyraźne ślady upływu czasu.

Ów proszek z kory drzewa chinowego, o który brat Martin napisał

do Francji do miasta Chinon, a który miał być ponoć cudownym lekiem na malarię, przyszedł wreszcie w poczcie zakonnej do opactwa. Przesłano nam również nasiona tej przedziwnej rośliny, a brat Martin od razu zasiał je w naszym ogrodzie. Ironią losu, okrutną i wstrętną ironią było to, że przesyłka z lekarstwem przyszła dzień po śmierci pierwszego z dwóch chorych na malarię mężczyzn... Brat Armand przeklinał we wszystkich znanych mu językach i wcale się z tym nie krył, zaś brat Alvaro udawał dzielnie, że tego nie słyszy. Ja też chciałem kląć, ale musiałem się powstrzymać. Jestem wszak tylko nowicjuszem. Natomiast postawa mego mistrza wybitnie świadczy o tym, jak bardzo zależy mu na chorych i jak wielkie ma w sobie pokłady dobroci.

Nie muszę tu chyba dodawać, że ów cudowny proszek podaliśmy od razu wczoraj drugiemu z chorych na malarię mężczyzn. Dzisiaj wieczorem wedle wszelkich obliczeń mego mistrza powinien nastąpić atak gorączki, a jutro nad ranem drgawki. Proszek jest szarobiały i niemiłosiernie gorzki w smaku, bo go odrobinę spróbowałem. Z wielką nadzieją obserwuje brat Armand chorego, nadzieję pokładając przede wszystkim w tym cudownym, gorzkim lekarstwie z Chinon, a w zasadzie do końca nie wiadomo skąd pochodzącym, bo w Chinon tylko zaczęli je stosować. Wraz z moim mistrzem te nadzieje pokłada cały szpital, a może i cała medycyna...

Popołudniami pomagam z Juanem w leprozorium, do pracy w którym już się przyzwyczaiłem, tak jak zapowiadał brat Armand. Mistrz jest bardzo mądrym człowiekiem i odkąd się pogodziliśmy, nasze relacje są sielankowe.

W leprozorium karmimy chorych i wyprowadzamy na powietrze tych, którzy mogą jeszcze chodzić, bo albo trąd nie zaatakował im stóp, albo nie są one jeszcze tak zdeformowane, aby nie mogli z naszą pomocą przejść tych kilkunastu kroków.

Zauważyłem też, że brat Manuel chodzi od dwóch dni jakiś przygnębiony, niewiele mówi i chyba nawet rozmów unika, bo każde moje i Juana próby od razu ucina, mówiąc, że ma dużo pracy. Pracy jest, faktycznie, od groma, ale brat Manuel od dwóch dni ani razu się nie uśmiechnął, ani razu nie zażartował. Takie zachowanie do brata Manuela zupełnie jest niepodobne, bo ma on wesołe, żywe i pogodne

usposobienie i dotąd był niemal permanentnie uśmiechnięty i zawsze do wszystkiego optymistycznie nastawiony. Teraz zaś ledwie mogę poznać w nim dawnego brata Manuela. Jakiś smutek zasnuwa mu oczy, kładzie się cieniem na powiekach, oblicze zaś ma zatroskane i – jak mi się wydaje – pełne obaw. Nie mam wątpliwości, że coś go dręczy, jakiś problem, z którym się gryzie i chyba nie może go rozwiązać.

Żaden z nas, ani ja, ani Juan, nie ośmieliliśmy się zapytać brata Manuela, o co chodzi, bo skoro sam nie mówił, to widocznie miał po temu jakiś powód. Gdyby chciał się podzielić swoją zgryzotą, powiedziałby, co go dręczy. Ale aż żal mi jest nań patrzeć i mam nadzieję, że problem ów szybko się rozwiąże i wróci do nas pogodny brat Manuel, którego życzliwość, wewnętrzna siła i wielka wiara zjednywała mu każdego człowieka za przyjaciela. Mówię: każdego, bo nie ma w klasztorze mnicha ani nowicjusza, ani pacjenta w szpitalu, ani trędowatego w leprozorium, który nie lubiłby brata Manuela. Pozostaje mi więc jedynie modlić się, aby troski nie zachmurzały już oblicza naszego przyjaciela i aby problem, który najwyraźniej go zasmuca, znikł równie szybko, jak się pojawił.

Od ogłoszenia o zbliżającej się ceremonii złożenia ślubów zakonnych Ricardo z biblioteki już nie wychodzi, a w nabożeństwach bierze udział od przypadku do przypadku, a najczęściej nie bierze udziału wcale. Brat Constantino mu na to pozwala, ale znając jego nastawienie do nauki, nie można się temu dziwić. Mój mistrz także to toleruje, bo przecież sam w nowicjacie robił dokładnie to samo. Ricardo zaś myśli już tylko o wyjeździe na studia, chociaż nie zauważyłem, aby się z tym obnosił, i raczej nikt poza mną, moim mistrzem i być może bratem Constantino o tym nie wie. Dziwne doprawdy panują tu zwyczaje: tu, w miejscu, gdzie mnisi w pierwszej kolejności powinni wznosić oczy ku Niebu, wnoszą je jednak najpierw ku przeróżnym rzeczom doczesnym, zaś modlitwa – i nie mogę oprzeć się takiemu wrażeniu – schodzi na plan dużo dalszy. Może nie u wszystkich, ale na pewno u tych młodych i ambitnych, którzy zanim zostaną zbawieni, chcą w życiu jeszcze coś osiągnąć. A i u pozostałych, z jednym co prawda wyjątkiem, nie zauważyłem wielkiej pobożności. Chociaż może grzech wielki popełniam, oceniając braci po pozorach, nie widząc takiej samej

przecież mało pobożnej postawy u siebie. Być może w sercach i duszach są braćmi wielkiej wiary i tylko nie okazują tego na modlitwach. Nie wiem. Wiele rzeczy w tym opactwie jest dla mnie niezrozumiałych, wyglądających na pozór inaczej niż w rzeczywistości. Może dopiero z czasem będę mógł wszystkie je ocenić właściwie.

2 sierpnia. Rankiem

Straszna tragedia wydarzyła się w opactwie i nikt z nas się jej nie spodziewał. Nie wiem, czy w nadmiarze wrażeń i emocji uda mi się wszystko opisać jak trzeba, ale muszę podjąć próbę, bo wobec dziennika mam taki obowiązek.

Wczoraj wieczorem po komplecie wracałem akurat z bratem Armandem do naszego segmentu, po drodze życząc dobrej nocy każdemu z napotkanych braci. Byliśmy właśnie przed wejściem na schody do naszych cel, gdy podszedł do nas brat Manuel, którego celi graniczy z archiwum. Był nie tylko smutny i niepewny, ale wprost przerażony i rozdygotany, zaś w jego błyszczących w blasku oliwnej lampki dużych i ciemnych oczach czaił się wielki strach. Jego twarz w migotliwym, żółtopomarańczowym świetle wyglądała wręcz upiornie, jak rodem z najciemniejszego koszmaru, zaś po wyglądzie zewnętrznym i drżących dłoniach można było wywnioskować, że to, co gryzie mu duszę, jest poważnym problemem, z którym brat Manuel najwyraźniej nie może sobie poradzić, i być może w radzie mego mistrza szuka rozwiązania. Poprosił nas bowiem do swojej celi, bo chciał nam coś powiedzieć. Coś ważnego. Brat Armand przez drogę próbował go rozweselić, żartując o jakichś mało ważnych rzeczach, ale brat Manuel chyba wcale nas nie słuchał, tak bardzo zajmowały go ciężkie myśli, co od kilku dni zalegają mu cieniem pod oczami.

Usiedliśmy w jego celi w blasku naszych lampek oliwnych i świec i przez dłuższą chwilę nikt z nas się nie odzywał. Dopiero wówczas zauważyłem, jak ów wielki ciężar przygniatał do ziemi przygarbione dziś i chude ramiona brata Manuela! Widok ów przeraził i mnie.

– Bracie Armandzie... – zaczął cicho *padre de Ovieda*. –

Poprosiłem cię tu dzisiaj, bo potrzebuję twojej diagnozy jako lekarza, który widział już w życiu więcej niż my wszyscy w klasztorze razem wzięci. Chciałbym, żebyś coś obejrzał... I chociaż ja chyba dobrze wiem, co to jest, to człowiek, chcąc się ratować, chwyci się każdej nadziei. Tak i ja mam nadzieję, że powiesz mi co innego, niż obawiam się, że powiesz... – Popatrzył ze smutkiem w oczach na mnie i mego mistrza.

– Bracie Manuelu, oczywiście służę ci swoim doświadczeniem i wiedzą – zapewnił go brat Armand. – Ale mówisz zagadkowo... Coś ci dolega? Jakaś choroba? Brat de Tarralba z pewnością ma odpowiednie lekarstwo. – Mistrz mój uśmiechnął się.

Brat Manuel przymknął na chwilę oczy i wolno rozsznurował pod szyją kutę. Następnie zsunął ją z lewego ramienia i wskazał palcem miejsce pod obojczykiem, na piersi. Była tam niewielka, może trzycentymetrowa plamka miedzianej barwy, albo przynajmniej taką mi się wydawała w ciepłym, żółtawym blasku świec.

Nie za bardzo rozumiałem, o co brat Manuel robi tyle szumu, zwykła to jakaś wysypka... Ale mistrz mój w sekundę zerwał się na równe nogi, a minę miał śmiertelnie poważną, tak że i ja się wystraszyłem, chociaż nie do końca wiedziałem czym. Brat Armand chwycił stojący obok świecznik i zbliżył światło do piersi brata Manuela, aby uważniej obejrzeć ową plamę czy raczej plamkę. Była okrągława, jak powiedziałem miedziana, gładka, o wyraźnie zarysowanych krawędziach. Mistrz oglądał ją strasznie długo i w tym czasie w celi panowało milczenie. Zupełne.

Po kilku minutach brat Armand kazał mi podejść bliżej i obejrzeć ową plamę.

– Przyjrzyj się, Antonio – powiedział dziwnym, ciężkim głosem mój mistrz. – Przyjrzyj się uważnie i zapamiętaj tę plamę na całe życie, jeśli chcesz zostać lekarzem. To rzadki widok i żadna książka nie zastąpi ci tego doświadczenia.

Posłusznie pochylilem się i zgodnie z życzeniem mego mistrza obejrzałem dokładnie plamę o miedzianym kolorze i spojrzałem pytająco na brata Armanda, bo żadna jednostka chorobowa na myśl mi nie przychodziła, a przynajmniej z tych, które znałem, bo przecież wiedza

medyczna wciąż jest u mnie znikoma.

– Nie domyślasz się, Antonio, co to może być? – zapytał mistrz.

Brat Manuel zasnurował pod szyją kutę i usiadł na łóżku.

– Nie, ojcie. – Pokręciłem przecząco głową.

Obaj mnisi wymienili poważne i wystraszone spojrzenia.

– Przykro mi, bracie – powiedział cicho *padre* Armand do brata Manuela. – Mogę tylko potwierdzić to, czego i ty się obawiasz. – Usiadł na krześle naprzeciwko brata de Ovieda. – To plama trądowa...

Naraz poczułem, jakby mnie ktoś uderzył biczem. Momentalnie przypomniałem sobie to, co brat Armand mówił mi o suchej postaci trądu i o plamach, które zawsze ją zwiastują, pojawiają się na krótko, a potem znikają.

Dobry Boże! – pomyślałem. – Tylko nie to... Nie możesz ukarać tą straszną chorobą tak dobrego człowieka...!

– To niemożliwe... – wyszeptałem. – To nie może być trąd! – Zerwałem się z krzesła.

– Usiądź, Antonio – upomniał mnie mistrz. – Niestety to może być i z całą pewnością jest trąd.

Usiadłem. Serce uderzało mi z całych sił i naraz zrozumiałem, w jak strasznym, przerażającym położeniu znalazł się brat Manuel. Przed tą potworną chorobą nie ma ucieczki. Nie ma na nią lekarstwa. To wyrok powolnej agonii, wegetacji i śmierci, która, nim nadejdzie, wpierw zdeformuje mu ciało i każe żyć poza zasięgiem łaski Bożej i ludzkiej pomocy, poza społecznością i bez środków do życia. Właściwie poza samym życiem także. Bez żadnej nadziei. W łachmanach. Z kołatką, co będzie oznajmiać zdrowym jego przybycie, które zawsze budzić będzie lęk... Chyba że zostanie w naszym leprozorium, którego perspektywa także nie jest o wiele lepsza. Nikt i nic na świecie nie może mu już pomóc. Tylko Bóg...

– Nie rozumiem, mistrzu. – Choć zwracałem się do brata Armanda, w rzeczywistości mówiłem chyba do siebie samego. – Nie rozumiem dlaczego. Przecież ojciec Manuel jest dobrym sługą Bożym. Pomaga bliźnim i służy im jak może każdego dnia. Za co Bóg go tak karze? Czym sobie na to zasłużył? – mówiłem coraz głośniej, nie kryjąc i nawet nie próbując ukryć skargi w moim głosie.

Skargi do Boga za to, co uczynił mojemu bratu, ojcu Manuelowi. *Padre de Ovieda* chciał coś na to odpowiedzieć, ale mistrz mój odezwał się pierwszy:

– Antonio, na miłość Boską, co za głupoty wygadujesz?! – Popatrzył na mnie z politowaniem. – Jak chcesz być lekarzem z prawdziwego zdarzenia, skoro dajesz wiarę zabobonnym przesądom? Trąd to zwykła choroba i można się nią zarazić jak każdą inną. Brat Manuel przebywa całymi dniami z chorymi. Po prostu się zaraził, chociaż jeszcze nie wiemy, w jaki sposób. To medycyna, a nie Boska interwencja. To, że czegoś nie rozumiesz albo nie możesz pojąć, nie oznacza od razu, że to Boska siła. Medycyna się rozwija i prędzej czy później poznamy w końcu naturę trądu, co go wywołuje i jak ludzie się od siebie zarażają.

– Ale Kościół uczy, że... – zacząłem, ale mistrz mi przerwał.

– Tak, wiem, czego uczy Kościół – powiedział poirytowany. – Księża każdą rzecz, której nie rozumieją, zwykli przypisywać siłom Boskim lub szatańskim. A zrozumieć nie chcą, bo nie zadają sobie trudu. – Przerwał na chwilę, a potem dodał zimno i pewnie, jakby obwieszczał swe słowa całemu światu: – Twierdzą, że trąd jest chorobą i tak jak choroba się przenosi i z pewnością można go wyleczyć, tylko dzisiejsza medycyna nie wie jak. Uznaj to za herezję, Antonio, ale kiedyś ludzie nauczyli się, jak walczyć z tą okropną chorobą.

Na chwilę zapadła cisza. Wiedziałem, że słowa brata Armanda są logiczne i z pewnością przemyślał to, co mówił, i być może miał rację. Jednak z perspektywy trędowatego lepiej jest wierzyć w Boską karę, bo wówczas łatwiej pogodzić się z okrutnym losem, niż myśleć, że choroba to zwykłe dzieło przypadku, niemające żadnego uzasadnienia w naszym działaniu, przypadku, który mógł paść na kogokolwiek, a pech chciał, że padł na nas, by złamać nam to życie, jakiegokolwiek by ono nie było. Zawsze jednak lepsze było bez trądu niż z nim. Przekonanie, że trąd jest „tylko” i aż chorobą, czymś zupełnie ludzkim, stwarza poczucie olbrzymiej niesprawiedliwości i buntu wobec takiego losu.

Bałem się nawet pomyśleć, jak w tamtej chwili musiał czuć się brat Manuel, zbyt jeszcze młody, aby rozmyślać o kresie życia, stojący w obliczu potwornego trądu, który tocząc jego ciało, niczym zachłanny

robak, błogosławieństwem szybkiej śmierci nie zamierzał go wcale obdarzyć.

– Bracie Manuelu, możesz w każdej chwili liczyć na moją pomoc – powiedział mój mistrz. – Chciałbym, abyś pozostał w klasztorze i nie porzucał jego murów.

– Ale stanowią dla was zagrożenie. – Brat de Ovieda pokręcił przecząco głową. – Jeśli jest tak, jak mówisz, że to zaraźliwe, a wszystko wskazuje na to, że tak, każdemu z braci grozi niebezpieczeństwo. Nie mogę was narażać.

Brat Armand wstał i przez kilka długich chwil chodził w milczeniu po celi. Splótł przed sobą dłonie i ukrył je w fałdach rękawów swej dominikańskiej kuty.

– Wszyscy i tak są narażeni – odezwał się w końcu z drugiego końca pokoju, który pograżony był w półmroku. – Leprozorium jest tuż pod murami opactwa, pracujesz tam niemal stale, pomagają ci nowicjusze, ja i brat Alvaro. A potem wszyscy spotykamy się na nabożeństwach lub w refektarzu na posiłkach. W takich sytuacjach nietrudno o zarażenie. Więc jeśli mamy się zarazić, tak się stanie i nikt z nas temu nie zapobiegnie. Na nic zatem nie zda się twoja izolacja, bracie. – Nadal nieprzerwanie chodził po celi. – Osobiście porozmawiam o tym z przeorem, gdy wróci z Watykanu. – Mistrz mój podszedł do brata Manuela i usiadł naprzeciwko niego na krześle. – Nie pozwolę, abyś tam leżał. – Brat Armand wskazał głową na stronę, w której za murami Santa Cruz znajdowało się leprozorium. – To nie do pomyślenia! – dodał oburzony.

– Armandzie – odezwał się cicho brat Manuel – to najbardziej sensowne i oczywiste wyjście. Poza tym i tak mam szczęście. Mógłbym zostać wygnany poza mury i pochowany symbolicznie, zgodnie z kościelną tradycją i ceremoniałem. A tak przynajmniej będę mógł pełnić swoją posługę, dopóki trąd mnie na tyle nie zdeformuje, że uniemożliwi mi służenie bliźnim. Będę mógł zajmować się chorymi bez przerwy, także w nocy. Będę mieć dach nad głową i posiłek, a gdy utracę sprawność, a utracę ją w końcu, będę mieć pewność, że ktoś się mną zajmie. – Brat Manuel mówił to wszystko z olbrzymią pokorą i, co mnie wprowadzało w osłupienie, zdawał się całkowicie pogodzony ze swym

straszny losem. – Wszystko to, bracie Armandzie, jest w moim stanie błogosławieństwem. I powinienem Bogu dziękować, że daje mi takie szczęście, miast skazać mnie na wieloletnią tułaczkę po świecie.

– Nie mogę tego słuchać. – Wstałem z krzesła i wzorem brata Armanda przeszedłem się po celi. – To nie może się tak skończyć. – Podszedłem do mego patrona. – Mistrzu, musi być jakieś wyjście. Jakieś inne wytłumaczenie. Może to zupełnie inna plama? Może nam się tylko zdaje? Musi istnieć lekarstwo!

– Istnieje. Na pewno – odpowiedział brat Armand. – Gdzieś istnieje. Usiądź, Antonio. Nic nie poradzimy. Możesz się tylko modlić. Wszak Biblia uczy o Boskich uzdrowieniach z trądu, więc módl się o ten cud dla brata Manuela. Jutro całe opactwo się pomodli. Zarządzą nocne *officium* w twojej intencji, bracie.

Padre Manuel uśmiechnął się blado, jakby trudno mu było uwierzyć w moc czynienia cudów przez modlitwę. Ja jednak pomyślałem, że to może coś dać. Może Bóg wszystkich nas wysłucha.

Brat Armand tymczasem obejrzał bardzo dokładnie dłonie brata Manuela, uciskając je w wielu miejscach, kazał mu poruszać poszczególnymi palcami i ścisnąć swoje dłonie.

– Masz zaniki czucia? – mój patron zwrócił się do brata de Ovieda, nie przestając oglądać jego dłoni. – Zaczynają się zawsze w opuszkach palców i stopniowo idą w górę. O ile trąd zaatakuję dłonie.

– Nie. Wszystko jest na razie w porządku – odpowiedział brat Manuel. – Może zbyt wcześnie jeszcze na objawy. W końcu nadal widać plamę, a dopóki ona nie ustąpi, nie pojawią się dalsze symptomy. Czasem zanim się pojawią, mija kilka lat. Więc nie tracę jeszcze nadziei, że zanim trąd mnie okaleczy, przeżyję jeszcze kilka dobrych lat. – Spróbował się uśmiechnąć.

Brat Armand obejrzał tak samo dokładnie stopy brata Manuela, kazał mu podkurczać palce i tym podobne.

– Nic się nie dzieje – powiedział po skończonych oględzinach. – Mamy jeszcze trochę czasu.

– To sucha postać trądu, prawda? – upewnił się brat Manuel.

– Niestety tak – przytaknął mój mistrz.

W oczach brata Armanda widać było nieudawany żal, a w twarzy

smutek. Naprawdę przejmował się losem *padre* Manuela. Myślę, że już w tym momencie traktował go trochę jak swego pacjenta, a dla pacjentów mistrz mój zawsze miał złote serce, bez względu na okoliczności, swój nastrój czy zachowanie chorego. Skądś nagle brały się w bracie Armandzie olbrzymie pokłady dobroci i cierpliwości, spokoju i zrozumienia, pogody ducha i życzliwości, jakiej na co dzień ostatnio próżno było u niego szukać. Tylko w szpitalu i leprozorium, wśród pacjentów, zmieniał się nie do poznania. Podobnie życzliwie zachowywał się tylko wobec ludzi głodnych wiedzy i ambitnych. Pomyślałem sobie, że nawet jeśli brat Torquemada zdoła wykrzywić do końca umysł mego mistrza i uczynić zeń machinę do oskarżania i karania śmiercią, machinę niepomną na jakiegokolwiek dobro, medycyna i miłość do wiedzy zawsze będą jego słabymi punktami. Nie wyobrażam sobie, by cokolwiek na ziemi mogło wykorzenić w nim chęć niesienia pomocy chorym i cierpiącym.

Spędziliśmy z bratem Manuelem czas aż do samej jutrzni. Po wrażeń dzisiejszej nocy żaden z nas i tak nie zmrużyłby oka, a przynajmniej raźniej było bratu de Ovieda, gdy miał towarzystwo. Staraliśmy się ze wszystkich sił, zwłaszcza mój mistrz, aby rozmawiać o czymś innym niż trąd, ale w tych okolicznościach nie było to łatwe. Podziwiałem pogodę ducha i pokorę brata Manuela, na którą mnie w takiej sytuacji nie byłoby raczej stać. Myślałem też o tym, jak wiele mam jeszcze do nauczenia w klasztorze, nim zostanę mnichem, i jak wiele pracy nad samym sobą mnie czeka.

4 sierpnia. Po nonie

Od dwóch dni w klasztorze wielkie poruszenie z powodu choroby brata Manuela. Wszyscy mówią tylko o tym, nawet nowicjusze, i trzeba przyznać, że tajemniczy wyjazd przeora na dwór papieski i kwestia Świętej Inkwizycji odeszły na bok. Opactwo Santa Cruz stanęło w obliczu problemu, z którym, czy tego chce czy nie, prędzej czy później będzie musiało się zmierzyć. Stanęło w obliczu pytania, na które trzeba będzie znaleźć odpowiedź. Trudnego pytania, które zazwyczaj

każdy z nas niechętnie sobie zadaje.

Dwa dni temu po nabożeństwie nieszpórów brat Armand przekazał wszystkim braciom tragiczną wieść o chorobie brata Manuela.

Zgromadziliśmy się w kościele, był z nami także nasz chory przyjaciel, zaś mistrz mój po skończonych modlitwach zabrał głos:

– Drodzy bracia, przyszło mi dziś przekazać wam smutną wiadomość. Naszemu ukochanemu bratu Manuelowi de Ovieda stała się tragedia, której żadną miarą nikt z nas nie mógł zapobiec, ani teraz nikt z nas nie może jej zaradzić. Jak wiecie, brat Manuel od lat ponad dwóch zajmuje się trędowatymi w naszym Leprozorium Świętego Krzyża. Codziennie pielęgnuje chorych, spełniając tym samym Boski nakaz miłowania bliźnich i chrześcijański obowiązek udzielenia pomocy potrzebującej i cierpiącej istocie ludzkiej. Niestety, drodzy bracia, pełniąc ten jakże ważny obowiązek, brat Manuel zaraził się trędem. – W tym miejscu głos brata Armanda zagłuszyły głosy mnichów, którzy oburzeni tym, co się stało, zaczęli mówić wszyscy jednocześnie.

Powstał ogólny harmider i gwar, a mistrz mój darmo starał się uspokoić współbraci.

– To kara Boska na nas i na cały klasztor! – krzyknął w pewnym momencie *padre* Domingo de Vivera, unosząc rękę i palcem wskazując Niebiosą. – Kara za to wasze leprozorium i za to, że uważacie, wy, lekarze, że trąd jest chorobą. Biblia mówi, że to kara za grzechy, i oto jest dowód! Bóg was pokarał za waszą pychę i przesadną wiarę w ludzki rozum, naukę i medycynę! – Brat Domingo mówił jak wizjoner lub prorok, wieszcząc nam wszystkim zgubę. – Powiadam ci, Armandzie, zamknij to leprozorium, rozgoń chorych, bo wszyscy pomrzemy!

Po jego słowach gwar się podniósł jeszcze większy, aż brat Armand, aby uspokoić zgromadzonych, podniósł stojące na ziemi dzwonki służące do mszy i zadzwonił nimi głośno, aż wszyscy się uciszyli.

– Bracia! – zwrócił się do nas mój mistrz. – Proszę was o spokój! Jesteśmy w Domu Bożym! – upomniał wszystkich, zresztą bardzo słusznie. – Zapewniam was, że trąd nie jest żadną karą, ale zwyczajną chorobą, jak tyfus czy zapalenie płuc. Tylko inną. Przewlekłą. Długą i potworną. Ale jest chorobą.

– Bracie Armandzie, nie obrażaj Boga swą pychą! – wtrącił się *padre* Domingo. – Twoje zaufanie do książek i wiedzy medycznej uczyniły cię aroganckim i dumnym. Nie jesteś jednak nieomylny. Jesteś tylko człowiekiem i twoje książki także napisali ludzie. Trąd jest inny niż choroba. Nie ma w nim gorączki ani potów. Dziwnie deformuje ciało. Powoli. Trąd trwa długo, latami, dziesięcioleciami, jak więc może być chorobą? A Biblia mówi, że nie można go wyleczyć. Tylko modlić się o cud uzdrowienia. Gdyby była to zwykła choroba, gdyby istniało na nią lekarstwo, Bóg nie nakazywałby nam modlitwy jako jedynej drogi ratunku. Nie, bracie Armandzie, trąd nie jest chorobą – zakończył swą wypowiedź, której mnisi tym razem słuchali w ciszy.

Mistrz mój wysłuchał cierpliwie słów brata Domingo, ale widziałem w jego oczach ogień furii i bałem się, że lada chwila ogień ten zapłonie żywym płomieniem w całym kościele.

– Nie jesteś lekarzem, bracie Domingo, więc nie wiesz, że istnieją choroby, w których nie występuje gorączka, ciała nie oblewają poty, na które nie znamy jeszcze lekarstwa, a mimo to wszyscy wiedzą, że to tylko zwyczajne choroby – odpowiedział na uwagę *padre* Domingo brat Armand z kamiennym spokojem na twarzy. – Choćby suchoty[19]. Nie ma tam gorączki, objawy rozwijają się wolno, umiera się miesiącami, nawet latami. A jednak co do suchot nikt nie twierdzi, że są Boską karą za grzechy! Że nie wspomnę o tym, że na suchoty także nie istnieje skuteczne lekarstwo. Podobnie jest z anemią i reumatyzmem. Chyba że także i te choroby nazwiesz, bracie Domingo, Boską karą – zakończył ironicznie mistrz i spojrzał na starca z triumfem.

Wiedziałem, chociaż nie było tego widać, że brat Armand gardził *padre* Domingo, jego niewiedzą i zabobonną wiarą w to, co z pewnością nazwałby przesądem. Gardził tym ciasnym myśleniem, być może także całkowitą ignorancją medyczną, co zresztą przed chwilą mu wypomniał.

– Błuznisz, Armandzie! – krzyknął brat Domingo na cały kościół. – To, co mówisz, to sztuczki diabła, aby nas, prawych i bogobożnych ludzi, zmylić. Powtarzam wam, bracia, wygnajmy trędowatych spod murów Santa Cruz, zamknijmy leprozorium! Brat Manuel widać mocno zgrzeszył, skoro Bóg tak go pokarał! Ubolewam nad tym głęboko, ale jeśli jest takim grzesznikiem, musi stąd odejść i to jak najszybciej!

Na te słowa rozgorzała nowa dyskusja. Część mnichów wstała z miejsc, oburzona słowami starego dominikanina, i podeszli oni do brata Armanda, dając tym samym znak, że go popierają. Byli to brat Alvaro, brat Constantino, *padre* Celestino, brat Jorge i brat Santiago oraz brat Martin. Wstałem i ja i wszedłem na ołtarz. To samo uczynili Juan, Alejandro, Ricardo, Mateo i Oscar. Brat Manuel siedział w swojej ławie, nieszczęśliwy i przygarbiony. Nie wiem, za sprawą czego bardziej: choroby czy tego, jak potraktowali go współbracia.

Brat Armand znów zadzwonił dzwonekami z całych sił, aby uspokoić zgromadzonych i aby mógł cokolwiek powiedzieć.

– Wstyd mi za was, bracia moi! – zwrócił się surowym tonem do tych, którzy nie weszli na ołtarz i nie stanęli po stronie brata Manuela, ale śladem brata Domingo domagali się jego odejścia z klasztoru. – Brzydzą się waszą ksenofobią, nieuctwem i małodusznością, a nade wszystko tym, że nie macie w sobie ani grama współczucia. Manuel de Ovieda to wasz brat, którego macie miłować bardziej niż samych siebie! Brat – powtórzył z naciskiem. – Trędowaty, ale nadal brat! Chrystus, dając nam przykazanie miłości, nie wspominał, aby nie dotyczyło ono trędowatych. Przecież nawet Kościół dopuścił opiekę nad trędowatymi rycerzami w czasie krucjat, powołując Zakon Rycerski Świętego Łazarza, by niósł dla nich pomoc w Ziemi Świętej. Wczoraj kochaliście brata Manuela, dzisiaj strach przed trędem sprawia, że go nienawidzicie. Zastanówcie się jednak, bracia, dlaczego chcecie, aby stąd odszedł? Otóż powiem wam dlaczego: bo boicie się zarazić tą straszną chorobą. A zatem zaprzeczacie sami sobie, bo przecież trąd pochodzi z Boskiego wyroku, jak twierdzi brat Domingo. Jak więc mielibyście się zarazić Boską karą? Brak w tym wszystkim logiki i sensu, a w was, bracia, miłości bliźniego. Ciężki zatem grzech obciąża wasze sumienia i módlcie się gorąco, by Pan wam go wybaczył.

Zapadła cisza, w której być może każdy z mnichów rozważał własne stanowisko w głębi swej duszy.

– Ponieważ pełnię obowiązki przeora – przerwał milczenie mój mistrz głosem stanowczym i niepozostawiającym miejsca na sprzeciw – postanowiłem, że brat Manuel nadal będzie mieszkał z nami w klasztorze. Nie chciałbym usłyszeć o jakichkolwiek przejawach

ostracyzmu lub odtrącenia go z waszej strony. Każde zachowanie tego typu będę karał, a wiecie już, że potrafię.

Mimowolnie pomyślałem o mojej chłości i jakoś tak odruchowo wymieniałem spojrzenia z Alejandrem. Po słowach brata Armanda wśród grupy mnichów stojących poniżej ołtarza dały się słyszeć gdzieś szeptem niezadowolenia, ale nikt nie ośmielił się powiedzieć nic głośno. Aż taką mistrz mój miał już władzę i strach było pomyśleć, jak wielką jeszcze zdobędzie jako inkwizytor.

– A teraz, bracia, rozejdźcie się w pokoju – zakończył brat Armand i przywołał do siebie ruchem dłoni brata Manuela, który z przerażeniem w oczach przyglądał się tej dyskusji.

My, którzy zgromadziliśmy się na ołtarzu, pozostaliśmy na swoich miejscach. Przyszedł do nas brat Manuel, a każdy z nas jak umiał zapewnił go o swojej pomocy i miłości. Pozostali opuszczali kościół niezadowoleni, rzucając memu mistrzowi pełne gniewu spojrzenia. Ja jednak po raz pierwszy dumny byłem, że mam tak mądrego i dobrego człowieka za mentora. Dumny byłem z każdego słowa brata Armanda, jakby to były moje własne. I śmiało, z całej duszy i z całego serca, mógłbym się pod nimi podpisać.

Brat Manuel serdecznie podziękował nam wszystkim, którzyśmy stanęli po jego stronie, za wsparcie i słowa otuchy, a zwłaszcza memu mistrzowi, że nie zważając na nic, tak otwarcie się za nim wstawił. Że odważnie sprzeciwił się bratu Domingo, którego wiedza i mądrość nigdy dotąd nie były w klasztorze kwestionowane.

Wyszliśmy całą grupą na dziedziniec przed kościołem i przez okrągłą godzinę, aż do nony, rozmawialiśmy, co dalej robić. Brat Armand obiecał z całych sił przekonać *padre* Torquemadę, aby pozwolił bratu Manuelowi z nami mieszkać, choć wiadomo, że takie zachowanie jest niezgodne z prawem świeckim i że brat Manuel powinien być w leprozorium na stałe. On sam to zresztą zaproponował, że wyprowadzi się jak najszybciej, aby nas nie narażać na zarażenie się tą potworną chorobą. Ale mistrz mój nie chciał o tym nawet słyszeć i wymógł na bracie Manuelu, aby został z nami przynajmniej do powrotu przeora z Watykanu.

Przez kolejne dni mogłem obserwować, jak mała i skądinąd dotąd

hermetyczna i spójna społeczność naszego klasztoru podzieliła się na dwa obozy: zwolenników i przeciwników pozostania brata Manuela w Santa Cruz. A ziarna niezgody pomiędzy nami wcale nie zasiało pojawienie się wśród nas trądu, ale słowa starca de Vivera, który wieszczyl nam zgubę jako karę za grzechy. Zwiastunem tej kary miałyby być, oczywiście, brat Manuel. Przeciwnicy traktują naszego biednego brata, jakby nie istniał. Omijają go z dala, nie pozdrawiają, a nawet odwracają ostentacyjnie głowę w drugą stronę, udając, że go nie widzą. Kiedy wieczorem po nabożeństwie, po którym brat Armand ogłosił o chorobie brata Manuela, zasiedliśmy do kolacji, pomimo z góry ustalonej kolejności miejsc przy stole, przeciwnicy pozostania z nami trędowatego brata usiedli wszyscy w drugim końcu stołu, co mnie poruszyło do głębi. Brat Armand kazał im odejść od stołu, bo najwidoczniej głodni nie są, co też bracia ostentacyjnie uczynili, nie kryjąc niezadowolenia. Woleli jednak być głodni, niż usiąść obok trędowatego naszego brata! A w zupełne osłupienie wprawiły mnie słowa *padre* Gregorio, który po kolacji kazał zabrać bratu Manuelowi do swojej celi naczynia i sztućce, albowiem odtąd tylko do niego należą i tylko on z nich będzie jadł. Brat Armand omal nie wpadł w szal i wymienili z bratem Gregorio niezbyt miłe uwagi. Upomniał go jako przeor, polecił bratu Manuelowi pozostawić swoje naczynia i sztućce w kuchni i w dodatku nakazał ojcu Gregorio całonocną modlitwę w intencji przebaczenia za grzechy przez kolejne siedem nocy. Nic więcej jednak nie mógł uczynić, bo nie można przecież nikogo zmusić do miłości bliźniego.

Brat Manuel znosił to wszystko z olbrzymim spokojem i pokorą. Powiedział mi nawet, że ich rozumie, że spodziewał się takiej reakcji, że to strach każe im robić takie rzeczy i że się za nich modli. Słuchając go, ja również wstydziłem się za swoich współbraci, których postawa daleka była od chrześcijańskiej. Także brat Armand potępił wczoraj z ambony takie zachowanie po modlitwie na Anioł Pański, ale na nic się to zdało. Widać po nim, że jest zdenerwowany, chodzi po opactwie z miną poirytowaną, a w oczach ma gniew. Co chwila też przychodzi do niego do gabinetu przeora któryś z mnichów i stara się przekonać, aby odprawił brata Manuela z Santa Cruz. Reprimendę ze strony mego

mistrza, jaką każdy z mnichów wówczas dostaje, słycać chyba nawet poza murami klasztoru. Nie muszę podsłuchiwać brata Armanda, aby to wiedzieć...

Trąd... Teraz lepiej rozumiem jego nazwę pochodzącą od słowa „odtrącenie”. I w istocie nim jest. Wykluczeniem ze świata żywych, całkowitą eliminacją poza nawias życia. Zarówno w wymiarze społecznym, fizycznym i ekonomicznym, jak również, a może przede wszystkim, w wymiarze psychicznym, mentalnym. I na nic zdadzą się postawy osób takich jak brat Armand. Niewiedza dotycząca trądu jest nadal tak powszechna, a wraz z nią strach, który z sobą niesie, że słowo „trąd” wciąż pozostaje synonimem śmierci cywilnej. A przecież ta choroba i ten straszny los może spotkać każdego z nas. I każdy wówczas doświadczy owego odtrącenia. Tylko że przeciwnicy brata Manuela w ten sposób nie myślą. A sądzę, że nie chcieliby być potraktowani tak, jak sami brata de Ovieda traktują. Nie mam pojęcia, jak i czy w ogóle można temu zaradzić i czy można to zmienić. A nade wszystko żal mi brata Manuela. Żal mi go tak bardzo, że gdy pomyślę, co go czeka, czasem brakuje mi tchu z przerażenia. Nie rozumiem też, dlaczego go to wszystko spotkało, nie umiem się z tym pogodzić. Chciałbym z tym walczyć – nie wiem, z chorobą czy z losem – ale nie mam jak.

6 sierpnia. Rankiem, tuż przed jutrznią

Dziś w nocy brat Armand poprowadził nocne oficjum, w trakcie którego modliliśmy się za brata Manuela o jego wyzdrowienie. Co ciekawe, ci przeciwni jego pozostaniu w naszym opactwie także przyszli się modlić o miłosierdzie Pana i cud uzdrowienia. Intencje były nieistotne, ważne, że modliliśmy się wszyscy. A brat Armand niemal wyszedł z siebie, aby ceremonia była uroczysta, piękna i tajemnicza. Kościół tonął w absolutnej ciemności, a każdy z nas trzymał w dłoni świecę i tylko jej pojedynczy płomień oświetlał modlitewnik i twarz każdego z nas. Miało to swój niesamowity, nieco mroczny i upiorny urok a nieco mistyczny wymiar i co chwila ciarki przechodziły mi po plecach.

Szczerze i z całego serca modliłem się za brata Manuela, aby Bóg w swej wielkiej łasce uzdrowił go z trądu. Jeśli ktokolwiek w tym opactwie zasługuje na cud, to właśnie brat Manuel. Ale jakkolwiek modliłem się żarliwie, to jednak już tak dawno nie słyszano, aby Bóg czynił cuda, że bałem się, że tak samo będzie i w tym przypadku. Być może bluźniercze są moje słowa i może zasługują na karę, ale wątpliwości, te i inne jeszcze, nachodzą mój umysł, zmuszając mnie do zastanowienia. Być może jestem człowiekiem małej wiary i z pewnością nie zasługuję na złożenie ślubów wieczystych, ale błagam Cię, Boże, uczyni ten jeden cud dla mego przyjaciela, który już tylko od Ciebie może wyglądać ratunku.

Późno w nocy

Cały dzień spędziłem z moim mistrzem w szpitalu, ucząc się wielu rzeczy i przyglądając się, jak opiekuje się chorymi. Potem pomagałem bratu Manuelowi w leprozorium. Przyszedł także brat Armand na zmianę opatrunków. Wielu chorych ma straszne rany i zmiana bandażu, czasem połączona z drobnymi zabiegami, trwa niekiedy dwie, trzy godziny. Ale mistrz robi to cierpliwie tak długo, ile trzeba. Gdy poszedł do szpitala po skończonej pracy, każdy chory w leprozorium go chwalił i błogosławił los, który zesłał im mego mistrza.

Dziwi mnie nawet moja własna postawa, która w ciągu dwóch miesięcy posługi w klasztorze tak bardzo uległa zmianie, jeśli chodzi o stosunek do trądu jako takiego. Kiedyś widok chorych mnie przerażał, obrzydzeniem napawały mnie rany i nacieki wypełnione ropą, zdeformowane kończyny i wszechobecny smród gnijących tkanek. Teraz zaś chętnie przychodzę do leprozorium, pomagam zmieniać opatrunki, dotykam ran, przemywam chorym ciała, karmię ich i z nimi rozmawiam. A przede wszystkim nie boję się zachorować. Wcześniej sama myśl, że mógłbym się zarazić, obezwładniała mnie. Teraz zaś, mimo że mam dowód, iż trądem faktycznie można się zarazić, chcę pomagać w leprozorium. Z dużo większą gorliwością niż dotychczas. Co się ze mną stało?

I jeszcze radosna wieść! Chory na malarię drugi z mężczyzn po podaniu mu owego tajemniczego proszku, który nadszedł z francuskiego miasta Chinon, nie dostał już ani jednego ataku gorączki i drgawek. Ani tamtego wieczoru, ani do dziś dnia. Brat Armand z umiarkowanym optymizmem wypatruje kolejnych dni. Zakłada, bo musi, bo jest dobrym lekarzem i niejedno już widział, że to może być jakaś czasowa remisja choroby, niezależna od białego proszku, ale widzę po nim, że w głębi duszy się cieszy. Cieszy się, że mógł pomóc temu biednemu człowiekowi. Jeśli w najbliższych dniach ataki choroby nie nastąpią, wypiszemy chorego do domu, a brat Martin zamówi więcej tego tajemniczego specyfiku. Co ciekawe, wzeszły już zasiane przez brata aptekarza nasiona drzewa chinowego. Są jeszcze maleńkie, ale Mateo dba o nie jak o najważniejsze rośliny w klasztorze. Brat Martin zaś zakupił już odpowiednie donice, aby na jesieni przesadzić do nich sadzonki i na zimę zabrać je do pomieszczeń apteki. Co prawda zanim wyrosną z nich drzewa i kora będzie nadawać się na sproszkowanie, minie wiele lat, ale brat Martin i mój mistrz już dziś się cieszą. W ciszy.

Wyzdrowiało też dwóch mężczyzn chorych na tyfus plamisty, co także ucieszyło brata Armanda. Dzisiaj, co prawda jeszcze bardzo osłabionych, wypuściliśmy ich do domów. Nie przyprowadzono także do nas żadnego nowego przypadku tyfusu, więc może najgorsze już za nami. Mistrz wyraził nadzieję, że może to przesilenie zachorowań i nie będzie epidemii. Ja też mam taką nadzieję.

Kiedy wróciliśmy do klasztoru, brat Armand wezwał mnie do swojej celi na rozmowę.

– Antonio, widzę, że ostatnio w ogóle się nie uczysz – rzucił od progu, zanim jeszcze dobrze wszedłem do jego celi.

Chodził po pokoju, jak czynił to najczęściej, gdy coś mówił.

– Cóż... – Zamknąłem drzwi. – Jakoś nie było okazji... Brat Manuel zachorował...

– Antonio! – upomniał mnie mistrz. – Czy uważasz, że rektor Uniwersytetu w Salamance będzie słuchał o tym, że zaniedbałeś naukę, bo twój przyjaciel zachorował na trąd?

– To właśnie takim mnichem mam się stać? – ośmieliłem się zadać to pytanie, nie zważając na nasze ostatnio dobre relacje. – Zimnym

i niewzruszonym, który myśli tylko o sobie, zamiast o bliźnich?

– Masz się przede wszystkim uczyć, Antonio! – Brat Armand podniósł głos. – Masz myśleć o swojej przyszłości, zamiast skupiać się na rzeczach, którym nie zapobiegiesz. Bratu Manuelowi nie pomożesz. Nikt mu już nie pomoże. Jeśli chcesz być lekarzem, dobrym lekarzem, musisz się uczyć! Kto wie, może kiedyś zostaniesz inkwizytorem?

– Wcale nie chcę być inkwizytorem! – oburzyłem się, ale zaraz opanowałem gniew. – Ojczy, nie wierzę w to, co słyszę! Chcesz, abym był bezwzględny i wyrachowany i abym szedł do celu, nie zważając na koszty! Ale ty sam taki nie jesteś! Widziałem to przez ostatnich kilka dni. Jesteś dobrym człowiekiem, pomagasz chorym i cierpiącym. Jak możesz chcieć być inkwizytorem?! – krzychałem. – Odrzuć to okrucieństwo i indoktrynację Torquemady! Nie daj się w to wciągnąć! Inkwizycja, którą obaj planujecie, będzie machiną terroru, a inkwizytorzy zbrodniarzami!

– Antonio! – upomniał mnie mistrz, a w twarzy miał furie.

– Nie będę siedział cicho jak do tej pory, ojczy! Jesteś dobrym lekarzem, cudownym lekarzem, nie zostawaj mordercą! Nie daj się zwieść ambicji, która do niczego nie prowadzi! Torquemada robi z ciebie marionetkę! Przecież ta cała Inkwizycja to jego pomysł, nie twój, ojczy!

Brat Armand podszedł do mnie i uderzył mnie dłonią w twarz.

– Jakim prawem ośmielasz się tak do mnie odzywać?! – zagrzmiał. – Jak śmiesz mnie oceniać?! Jak śmiesz tak lekceważąco wypowiadać się o przeorze i Świętej Inkwizycji?! Zdajesz sobie sprawę, jaka ci grozi za to kara?! – Stał naprzeciwko mnie i patrzył zimno. – Nic o mnie nie wiesz, Antonio. Nic. To ja ułożyłem plan reformy Nowej Inkwizycji. To był mój pomysł. I zostanę inkwizytorem. To nie inkwizytorzy są mordercami, ale szatan i heretycy. Jeśli jeszcze tego nie wiesz, być może powinieneś stanąć przed trybunałem Świętego Oficjum, aby ci to wytłumaczono? Przez chwilę myślałem, że będzie z ciebie lekarz, a nawet inkwizytor! Po raz kolejny rozczarowujesz mnie, Antonio. Teraz już zdania nie zmienię. – Odszedł parę kroków.

– To ty mnie rozczarowujesz, ojczy! – mówiłem z żalem i przez łzy. – To ja przez chwilę widziałem w tobie mentora i przyjaciela. Ale ty

jesteś taki sam jak Torquemada! Nie jesteś patronem! Niczego mnie nie uczysz. Ciągłe tylko żądasz, żebym coś czytał. Nie rozmawiasz ze mną, niczego mi nie wyjaśniasz, nie prowadzisz przez nowicjat! – Dziwiłem się, że takie buntownicze słowa przechodzą mi przez gardło, ale przechodziły z łatwością.

A złość płonęła we mnie żywym płomieniem! Rozczarowania. Buntu. Poczucia bezsilności. Za to po raz pierwszy nie czułem strachu.

– Nie pouczaj mnie, Antonio! Nie będziesz mi mówił, co mam robić! – Brat Armand spojrzał na mnie z furią. – Każę cię wychłostać do utraty przytomności!

– Nie obchodzi mnie to! – krzyknąłem. – Tylko udajesz okrutnego człowieka! Przed nami. Przed Torquemadą. Wstydzisz się swoich prawdziwych uczuć i tego, że jesteś lekarzem z powołania. Ukrywasz tę dobroć, która jeszcze w tobie tkwi, i obudowujesz ją zimnym, twardym pancerzem! Brzydzą się tobą, ojcze! Twoją postawą i zakłamaniem! I naprawdę cię nienawidzę! – Patrzyłem mu prosto w oczy.

Brat Armand podszedł do mnie i stanął blisko.

– Releguję cię z klasztoru, Antonio! Zobaczysz. Wtedy twój ojciec złamie przysięgę daną Bogu, a to wam obu grozi ekskomuniką, a nawet procesem inkwizycyjnym! Zdajesz sobie z tego sprawę? – Chwycił mnie za ramiona i potrząsnął.

– Nie dbam już o to! – mówiłem z podniesioną głową. – Żałuję, że jesteś moim patronem, i gdybym mógł to zmienić, na pewno bym to zrobił! Mam nadzieję, że Inkwizycji nie utworzą w Hiszpanii i że nie zostaniesz, ojcze, inkwizytorem. Będę się o to modlił.

– Wynoś się, Antonio! – Brat Armand wskazał ręką na drzwi. – Wynoś się natychmiast!

– Bardzo mi ciebie żal, ojcze – dodałem, otwierając drzwi. – Mimo mojej do ciebie niechęci nadal dobrze ci życzę. Przede wszystkim opamiętania.

– Zejdź mi z oczu. – Mistrz odwrócił się do mnie tyłem. – Idź do kościoła i módl się o rozgrzeszenie! Módl się tak długo, aż zrozumiesz, że źle robisz.

Trzasnąłem za sobą drzwiami, a na korytarzu zobaczyłem brata Alvaro i Juana z lampami oliwnymi. Stali w osłupieniu, a ich miny były

przerażone.

– Antonio, co tam się stało? – zapytał brat Alvaro, podchodząc bliżej.

Mówił cicho, prawie szeptem, jakby bał się, że mój mistrz może go usłyszeć. Wzięłam głęboki oddech, żeby się trochę uspokoić, chociaż wiedziałem, że ta złość i gniew będą jeszcze długo trzymały moje nerwy na postronkach.

– Rozmawiałem z bratem Armandem. – Starłem się ukryć wzburzenie.

– To widzę – skomentował brat Alvaro. – Ale dlaczego się tak kłócicie? I czemu, Antonio, podnosisz głos na swego patrona? Wygadujesz takie rzeczy! Powinieneś się wstydzić! – Brat Alvaro patrzył na mnie z wyrzutem, a blady blask lampki oliwnej nierozpraszaający ciemności korytarza tylko dodawał jego twarzy wyrazistości i wymowy. – Grzech nieposłuszeństwa jest w tym klasztorze karany najsurowiej ze wszystkich innych przewinień. Mało ci było chłosty? Głodówki?

– Ojczy, to nie tak! – Chciałem powiedzieć, że brat Armand także nie jest idealnym patronem i mentorem, jakiego bym sobie życzył, ale zmilczałem. – Rzeczywiście, ojczy, trochę mnie poniosło...

– Idź do kościoła, jak kazał brat Armand – rzucił do mnie *padre* Alvaro. – Spróbuję załagodzić sytuację. – Pokręcił głową.

– Słyszałeś, ojczy, co mówiliśmy? – zapytałem cicho i o wiele pokorniej.

– Chyba cały klasztor słyszał – odpowiedział Juan. – Tak głośno krzyczyliście do siebie, że trudno było was nie usłyszeć. Takie rzeczy się tu u nas jeszcze nie zdarzały...

Brat Alvaro spojrział na mnie z wyrzutem i podszedł do drzwi celi brata Armanda. Ja ruszyłem korytarzem do wyjścia z segmentu. Zanim przekroczyłem próg, usłyszałem pukanie w drzwi celi mego mistrza. Wyszedłem w ciemną noc. Z tego wszystkiego zapomniałem zabrać lampki oliwnej, ale Juan dał mi swoją.

Gdy schodziłem po schodach widziałem na dziedzińcu tu i ówdzie świecące w ciemnościach płomienie lampek trzymany bez wątpienia przez braci, którzy zbiegli się, słysząc naszą kłótnię. Teraz zaś

rozchodzili się do swoich cel w milczeniu. W pośpiechu, osłaniając dłonią rozdygotane płomienie. Może po to, by nie zgasły po drodze. A może po to, abym nie widział ich twarzy. Ale trudno doprawdy byłoby nie zauważyć ich obecności.

Gdy byłem jeszcze na schodach, usłyszałem przez otwarte okno dobiegającą z celi mojego mistrza rozmowę:

– Nie broń go, bracie Alvaro, nic mu już nie pomoże! – mówił brat Armand. – Ten chłopak nie nadaje się do niczego!

– Armandzie, to jeszcze dzieciak – przekonywał go brat Alvaro spokojnie. – Wpatrzony w ciebie dzieciak. Widzi twoją pracę i poświęcenie dla chorych i trudno mu to pogodzić z twoim sposobem bycia na co dzień. Nie mówię, że dobrze zrobił, ale czy nie jesteś dla niego za surowy?

– Bracie Alvaro... – Mistrz mój chciał coś powiedzieć, ale *padre* de Medina mu przerwał.

– Jesteś surowy. Dystansujesz się od niego – mówił łagodnie, jak zazwyczaj. – Antonio całymi dniami chodzi samemu sobie po klasztorze. Za mało czasu mu poświęcasz. Nie omawiacie kwestii teologicznych. Tylko zadajesz mu pracę do czytania. A jak już ją przeczyta, ma czytać kolejną. Tak nie wychowasz nowicjusza, przyjacielu.

– Wychowam lekarza, a to jest ważniejsze – powiedział twardo mistrz i prawie widziałem oczami wyobraźni jego kamienny w tym momencie i pełen determinacji wyraz twarzy.

– Armandzie, powinieneś... – zaczął ojciec Alvaro.

– Nie pouczaj mnie, bracie – lodowato zgromił go mój mistrz. – Nie pouczaj, jak pracować z nowicjuszami. Każdy z nas ma swoje metody. Nie wtrącam się do twoich, bracie Alvaro. Nie wtrącaj się i ty do moich. – Chociaż mówił to spokojnie, to bardzo stanowczo, tonem nie pozostawiającym miejsca na ewentualne negocjacje.

Zszedłem ze schodów, nie zamierzając słuchać tego dalej. Może jednak mistrz miał rację i to ja się mylę, uparcie doszukując się w nim dobra, którego w rzeczywistości wcale w nim nie ma? Może naprawdę będzie lepszym inkwizytorem niż lekarzem? Jedno jest pewne: po dzisiejszej mojej rozmowie z nim straciłem już resztkę złudzeń, że nasze stosunki ułożą się kiedykolwiek poprawnie. Nie ułożą się. Bez względu

na to, jaką otrzymam karę za wykrzyczenie mu prawdy w twarz. Ale prawda zawsze najbardziej boli i ludzie właśnie za nią najczęściej się obrażają. A cóż dopiero mój mistrz, którego samouwielbienie większe jest niż nasz kościół w opactwie, a nawet całe Santa Cruz!

Spodziewałem się, że kościół będzie pusty, ale nie. W drugiej ławce przed ołtarzem modlił się *padre* Jorge de Llorente, zaś na środku nawy, w przejściu pomiędzy ławkami leżał krzyżem brat Manuel z twarzą zwróconą w stronę posadzki. Jego widok, widok żebrzącej o miłosierdzie duszy, przejął mnie zgrozą. Dopiero w tym momencie poczułem gdzieś głęboko w lędźwiach nieodwołalność wyroku, jaki wydał na brata Manuela los, zsyłając mu tę chorobę w darze. Mógł zesłać mu każdą inną, ale zesłał trąd. Dlaczego?...

Usiadłem cicho w swojej ławce i przez chwilę mimowolnie przyglądałem się małej, metalowej płytce z wygrawerowanymi imieniem i nazwiskami mego mistrza, przytwierdzonej do ławki sąsiadującej z moją. Mentor... Ale zaraz otrząsnąłem się z tego odrętwienia, ukląknąłem i zacząłem się modlić, jak nakazał patron i brat Alvaro.

Ale myśli uciekały od pobożnych wersów i kołatały po mej głowie, krążąc nieposłuchane wokół brata Manuela, leprozorium, szpitala, brata Armanda, przeora, Świętej Inkwizycji i nowych trybunałów, chłosty i zapowiedzi mego mistrza, że releguje mnie z klasztoru. I jakkolwiek zły byłem na niego, że znów mnie uderzył i że znów ważniejsze dla niego były książki niż ludzie, to jednak najbardziej bolało mnie to, że się zawiodłem. Dopiero co wskrzeszona nadzieja, że ten nowicjat będzie jednak dla mnie znośny, nadzieja, że brat Armand jest wspaniałym patronem i człowiekiem, i wiara w jego dobroć w jednej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, rozsypały się w drobny mak, każąc mi znów nazwać siebie głupcem za to, że żywiłem i tę wiarę bezpodstawną, i tę naiwną nadzieję.

Po kilkunastu minutach przyszedł do mnie Juan, żeby, jak stwierdził, dodać mi otuchy.

– Bratu Alvaro nie udało się przejednać brata Armanda – powiedział szeptem i z miną wyrażającą ubolewanie i smutek.

– A spodziewałeś się, że da się go przejednać? – odpowiedziałem pytaniem.

– Zawsze warto spróbować. – Optymizm Juana, zaszczerpiony mu przez jego patrona, drażnił mnie, bo sam się nim bez przerwy od nich obu зараżałem, a efekty tego, co dzisiaj widać, były opłakane.

– Wiem tylko tyle – mówił dalej Juan – że chociaż brat Armand pełni tymczasowo obowiązki przeora, to decyzję o karze dla ciebie odłoży do jego powrotu. To lepiej, Antonio! – W jego szepcie już z całą mocą słyszałem nową nadzieję, albo chciałem ją tam słyszeć. – Emocje opadną, twój patron przestanie się na ciebie złościć. Może zapomni?

– On nie zapomni – powiedziałem chyba cokolwiek za głośno, bo brat Jorge poruszył się niespokojnie w swojej ławce. – Zresztą to już nieistotne, bo relegują mnie z klasztoru, a mój ojciec i tak mnie zabije. Tak czy owak, czeka mnie jatka. Ale przynajmniej mu powiedziałem, co myślę. Może zbyt bezczelnie, to prawda, ale tutaj wszyscy się go boją, bo stwarza wrażenie diabła. Ja także się go bałem. Nadal boję. Ale skoro i tak mam marnie skończyć, przynajmniej nie będę żył w fałszu.

– Co ty mówisz, Antonio! – zachrypiałym szeptem ofuknął mnie Juan. – Nie będziesz marnie kończył i na pewno za takie coś przeor nie wyrzuci cię z klasztoru. Pewnie dadzą ci znów chłostę i sprawa się skończy. Jesteś rozżalony i zły i dlatego nie dostrzegasz jasno swego położenia. Ale wiedz, że wielu mnichów i nowicjuszy współczuje ci, że masz brata Armanda za patrona. To dziwny człowiek. A kiedyś będzie miał straszną władzę. Szczęście, że wówczas będziemy albo na studiach, albo tu, w Santa Cruz, z dala od jego jurysdykcji.

Skończyliśmy rozmowę i uklękliśmy z Juanem do modlitwy. Brat Jorge modlił się jeszcze czas jakiś, a potem wyszedł z kościoła, rzucając mnie i Juanowi na odchodnym upominające spojrzenie. Myślę, że chodziło mu o to, że swoją rozmową przeszkadzaliśmy mu w modlitwie. Brat Manuel leżał na posadzce całą noc, także wówczas, gdy wychodziliśmy z Juanem z kościoła na jakieś pół godziny przed jutrznią.

Teraz zaś biją dzwony i muszę odłożyć pióro, pójść zmierzyć się z sennością ogarniającą me ciało i tym, co zgotuje dla mnie brat Armand...

8 sierpnia

Wczorajszy dzień w całości przepracowałem z Alejandrem w pralni i suszarni, pomagając bratu Bernardo de Rossi. *Padre* Bernardo należy do oponentów pozostania z nami chorego brata Manuela, zatem obaj z Alejandrem unikaliśmy tego tematu.

W pralni pracy jest niewiele, bo bracia nie oddają do prania swoich kut jednocześnie, ale sukcesywnie, w zależności od potrzeby. Były zatem cztery kuty do wyprania. Na moje pytanie, do kogo należą, brat Bernardo odparł, że nie wie, bo mnisi je przynieśli i od razu wzięli nowe odzienia z tych już upranych, które wiszą u nas w składziku w zapasie.

– Antonio – brat Bernardo popatrzył na mnie małymi, ale dobrodusznymi oczami zza pulchnych policzków, które nadawały jego twarzy okrągły kształt – przecież święty Augustyn zabrania nam, dominikanom, posiadania czegokolwiek na własność. Ty też oddajesz swoją kutę i zabierasz od razu czystą i suchą ze składziku.

– Myślałem, że dotyczy to tylko nowicjuszy... – powiedziałem niepewnie.

– Dotyczy wszystkich – powtórzył brat Bernardo. – Tylko jedna osoba w klasztorze ma swoje kuty, że tak powiem, na własność. Nie oddaje ich do pralni, ale sama je pierze. – *Padre* Bernardo mówił to trochę z wyrzutem, jakby to, że mnich ów sam sobie pierze kuty, urażało go w jakiś sposób.

– Przeor? – zapytałem.

Brat Bernardo westchnął ciężko.

– A skądże! – oburzył się. – Przeor pilnuje tej reguły jak oka w głowie! Ten mnich to brat Armand Castellano de Corell, twój patron – wycedził przez zęby jego imię i nazwiska.

Otworzyłem ze zdziwienia usta. Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić mistrza piorącego swoją kutę. I po co by to robił?

– To chyba dobrze... – powiedziałem bez przekonania. – Robi to, by zaoszczędzić ojcu pracy.

Brat Bernardo roześmiał się na całe gardło grubym głosem.

– Robi to, bo nie chce nosić kuty po kimś innym – powiedział poważnie, przez chwilę jeszcze się uśmiechając. – Antonio, Antonio! Jeszcze nie zauważyłeś, że kuta brata Armanda jest bielsza niż innych?

Jest zawsze równo ułożona, jakby poświęcał temu mnóstwo czasu. Pranie habitów w jednej balii musi prowadzić do ich szarzenia. Poza tym każdy z nas w innym tempie niszczy odzież, jeden bardziej o nią dba, inny mniej. A kuty brata Manuela są zawsze jak święta ziemia. – Brat Bernardo zawahał się. – Były jak święta ziemia.

– Dlaczego były, ojcze? – zapytał dotąd milczący Alejandro.

Brat de Rossi nie odpowiedział od razu, ale pochylił swoje otyłe ciało nad balią, w której moczyły się w mydlinach od dobrej godziny cztery bezimienne, niczyje kuty dominikańskie. Potem naraz wyprostował się i oznajmił:

– Bo nie będę ich więcej prał tutaj. Nie będę narażał siebie ani nikogo z was. A poza tym, czy któryś z mnichów chciałby chodzić w kucie, nawet wypranej, wiedząc, że należała do trędowatego?

– Ale ta choroba, ojcze, ma długi okres utajenia – starałem się zbić jego argumenty. – Brat Manuel był chory, zanim pojawiła się plama. Już wtedy zarażał. Więc nikt w opactwie nie może tak naprawdę wiedzieć, czy nie nosi w tym momencie na sobie kuty dotkniętej bakcylem trądu. Wprowadzanie tak radykalnych środków, ojcze, jest już bezcelowe.

Brat Bernardo spojrział na mnie uważnie.

– I tak nie będę prał jego odzieży – powtórzył stanowczo.

– Ojcze, pamiętasz nasze pobrudzone kuty, moją i Alejandra, które przynieśliśmy kilka dni temu z leprozorium? – zapytałem.

– Pamiętam – przyznał brat Bernardo.

– Te plamy to była ropa sącząca się z narośli trędowatych – mówiłem dalej. – Wyrzuciłeś je, *padre*, ale ich dotykałeś. One były bardziej zaraźliwe niż brat Manuel dzisiaj. A sam mówiłeś, że kuty *padre* de Ovieda też bywają poplamione. A wiele razy już je prałeś. I wielu braci w klasztorze już je nosiło. I nikt się nie zaraził. Albo tego nie wiemy. Nic nie da ten ostracyzm, ojcze. A pomyślałeś, jak czuje się brat Manuel, kiedy to widzi? Gdy patrzy, jak go traktujecie? Ojcze, on też ma uczucia. Trąd mu ich nie odebrał. Nadal jest czującą istotą, którą rani wasze zachowanie.

– Widocznie czymś sobie na nie zasłużył! – rzucił z sarkazmem brat Bernardo.

Podszedłem do balii, przy której stał.

– Ojcie, chyba sam nie wierzysz w te bzdury o karze? – zapytałem zszokowany ostatnią wypowiedzią brata de Rossi bardziej niż tym, co mówił wcześniej.

– Na twoim miejscu uważałbym na słowa! – obruszył się brat Bernardo. – Kościół naucza, że trąd jest Boską karą, a ty nazywasz to bzdurą?! Podważasz autorytet papieży i całego Kościoła. A kimże właściwie jesteś? – grzmiał, atakując mnie. – Widzę przemożny wpływ twojego patrona, którego, jak wczoraj słyszeliśmy, nienawidzisz!

W słowach brata de Rossi była ukryta groźba, abym przestał go atakować o pranie odzieży brata Manuela, bo marnie skończę jako heretyk, jeśli poskarży się na moje poglądy do kurii i sądu biskupiego. Zmilczałem więc gniew, co we mnie wzbierał.

– Pamiętaj, Antonio, co ujdzie płazem twojemu patronowi, tobie może bardzo zaszkodzić – dodał brat Bernardo, jakby czytał w moich myślach albo jakby chciał, żebyśmy się dobrze zrozumieli. – Twój patron ma bardzo wpływowych przyjaciół. Ty nie. Odpuść tę sprawę, dobrze ci radzę – zakończył, uśmiechając się. – A kuty prań nie będę i koniec. Kościół nakazuje nosić trędowatym odrębne odzienie, tylko dla nich przypisane. Nie widzę powodów, by łamać to prawo – dodał.

– Kościół nakazuje też wykluczać ich z miast i społeczności, wyprawiać pogrzeby za ich życia, dzielić pozostały po nich majątek, mimo że nadal żyją, i odprawiać msze za ich dusze, jakby byli martwi – rzuciłem ze złością. – To też zamierzacie zrobić bratu Manuelowi?! – Spojrzałem głęboko w ciemne oczy brata Bernardo, starając się dostrzec w nich choć mały przejaw zrozumienia i współczucia, ale daremnie.

Stał pewny swego, niczym góra na ciężkich i mocnych podstawach, której żadna, nawet Boska siła z tych posiad nie ruszy.

– Skoro taka jest wola Boża... – Spojrzał niewinnie ku górze i rozłożył bezradnie ręce, a potem uśmiechnął się, cokolwiek złośliwie jak dla mnie.

Niewiele myśląc, wyszedłem bez słowa z pralni w upał letniego popołudnia. Żar lał się z bezchmurnego nieba, a we mnie po prostu gotowała się krew. Alejandro wybiegł za mną, widocznie zwolniony z obowiązków przez brata Bernardo.

– Co to za miejsce!?! – oburzyłem się, gdy mnie dogonił. – Santa

Cruz. Święty Krzyż. A ja mam wrażenie, że do świętości temu miejscu jeszcze bardzo daleko! – Ruszyłem w stronę swojej celi.

– Antonio, co się z tobą dzieje!?! – Alejandro szedł za mną. – Opamiętaj się! Uspokój. Pewnych spraw nie załatwia się krzykiem.

– Mojemu bratu dzieje się krzywda! – rzuciłem. – Ktoś musiał stanąć w jego obronie. Dlaczego mnie nie poparłeś w tej dyskusji? – rzuciłem doń z wyrzutem.

– To nie była dyskusja, ale kłótnia – poprawił mnie Alejandro. – Co ci przyjdzie z tego, że ze wszystkimi się pokłócisz? I tak nas nie posłuchają. Jesteśmy nowicjuszami, czyli jeszcze nikim. Może zaczekajmy do przyjazdu przeora. Niech on zadecyduje, a wówczas wszyscy go posłuchają. Także ci nieprzekonani.

– A jeśli zadecyduje o wykluczeniu brata Manuela z Santa Cruz? – zapytałem.

Alejandro zatrzymał się przy fontannie i ciągnąc mnie za rękę, zmusił, abym przy nim stanął.

– To i tak nic nie poradzisz – powiedział spokojnie. – Poza tym przeor przyjaźni się z bratem Armandem. Ceni jego zdanie i mądrość. Twój patron z pewnością przekona *padre* Torquemadę, aby brat Manuel pozostał w naszym opactwie. – Popatrzył na mnie, uśmiechając się nieznacznie.

Wzięłem głęboki oddech i oparłem się dłońmi o kamienny reling fontanny. Rozbryzgujące się krople zimnej wody chłodziły mi rozgorączkowane policzki.

– Pewnie masz rację – powiedziałem po dłuższej chwili. – Po prostu bulwersuje mnie taka postawa, zwykła podłość dla kogoś, kogo dotąd uważali za brata!

– Mnie też, Antonio – poparł mnie Alejandro. – Ale nie osiągniesz nic krzykiem. Pamiętaj, że zło nie agresją, ale miłością pokonasz. Bo wobec miłości zło jest bezsilne. Miłość i dobroć odbierają złu jego argumenty.

Skinąłem w odpowiedzi głową, ze wszech miar przyznając rację memu przyjacielowi i karcąc siebie, że zamiast samemu tak pomyśleć, daję się ostatnio wodzić za nos gniewowi, złości i nienawiści. Nie wiem, co się ze mną dzieje...

– Dzięki, Alejandro – powiedziałem dużo spokojniej. – Jesteś dobrym przyjacielem i będziesz kiedyś wspaniałym patronem.

Alejandro roześmiał się na te słowa i obaj ruszyliśmy w stronę dormitorium. Dla mnie w pewnym momencie zabrzmiały one jak pożegnanie... Obym tylko nie wypowiedział tego w złą godzinę!

Później. Po niesporach

Zajęcia nowicjuszy z bratem Armandem. Jakoś nieswojo było mi siedzieć w ławce i patrzeć na mistrza, jakby nic się nie stało. On zresztą tak właśnie się zachowywał. Ale minę miał skostniałą, a spojrzenie, którym mnie obrzucał od czasu do czasu, lodowate.

– *Ten, kto we Mnie nie trwa, zostanie wyrzucony jak winna latorośl i uschnie!* – powiedział brat Armand słowami Pisma Świętego, gdy przekroczył rano próg parlatorium. – *I zbiera się ją, i wrzuca do ognia, i płonie!* – Rozłożył na katedrze naręczę jakichś papierów i popatrzył na nas. – Ewangelia według świętego Jana, rozdział piętnasty, wers szósty.

Natychmiast zanotowaliśmy to odesłanie, przeczuwając, że może być ważne.

– Witam wszystkich – mówił dalej mistrz. – Dzisiaj powiemy sobie o zakończeniu procesu inkwizycyjnego, jak wam obiecałem, jeszcze przed wizytą Królowej. A mianowicie o karze ognia. Przed chwilą usłyszeliście fragment ewangelii o winnej latorośli. Ktoś zechce wyjaśnić zawartą w niej symbolikę? – Rozejrzał się po sali i udzielił głosu Ricardo, który, co było do przewidzenia, natychmiast zgłosił się do odpowiedzi.

– W tej przypowieści Jezus nazywa siebie krzewem winnym – mówił Ricardo. – Wszyscy ludzie to latorośle, czyli młode pędy. Jedne się rozrosną i wydadzą owoce, czyli będą prawdziwymi wierzącymi wyznawcami, a inne pędy nie wydadzą owoców. Jezus mówi, że Bóg Ojciec odcina pędy, które nie przynoszą owoców, i wyrzuca je. Bez życiodajnego krzewu winnego latorośle odcięte usychają. Czyli grzesznicy, ludzie małej wiary i niewierzący, do których słowo Boże nie trafiło, zostaną wyrzuceni poza nawias Kościoła. Uschnięte latorośle

zbiera się i pali. Tak też będzie z grzesznikami, zostaną potępieni, zebrani razem i płonąć będą w piekle w ogniu wiecznym – zakończył poważnie Ricardo.

– Dziękuję. Tak mniej więcej tłumaczmy tę przypowieść. – Mistrz przeszedł się po parlatorium. – Z jedną różnicą. Ów ogień, w który wrzuca się uschnięte pędy latorośli, nie jest ogniem wiecznym, ogniem piekielnym, o którym mówił Ricardo. Jest to ogień jak najbardziej ludzki i ziemski. Ten fragment Biblii daje Inkwizycji legitymację do orzekania kary spalania na stosie. Antonio! – Brat Armand spojrzął na mnie. – Co to jest legitymacja? – zapytał.

– Legitymacja to... – Chociaż wiedziałem, co to jest, to mistrz wyrwał mnie tak nagle do odpowiedzi i zrobił to takim tonem, że strach zasznurował mi usta.

– Wstań, jak do mnie mówisz! – rozkazał brat Armand, stając przy mojej ławce.

Od razu zerwałem się na równe nogi, ale w środku czułem żal, bo inni nowicjusze nie musieli wstawać do odpowiedzi. Mój mistrz nigdy tego nie wymagał.

Milczałem i czułem w głowie kompletną pustkę. Widziałem przed sobą tylko lodowatą twarz brata Armanda i zimne jego spojrzenie, zwiastujące mi zgubę. Kątem oka dostrzegłem także podniesioną dłoń Ricarda zgłaszającego się do odpowiedzi.

Mistrz pokręcił głową zniecierpliwiony.

– Siadaj, Antonio – powiedział rozczarowany. – Oscar! Legitymacja. – Odwrócił się do wymienionego nowicjusza.

Oscar poderwał się z krzesła w jednej chwili.

– Legitymacja – powiedział – to uprawnienie, prawne upoważnienie do działania.

– Tak – przyznał brat Armand. – Dziękuję.

Oscar usiadł niemal bezszelestnie, a mistrz mój mówił dalej:

– To Bóg upoważnił sędziów inkwizytorów do karania heretyków ogniem. Jeśli przyjąć, że heretyk jest taką właśnie uschniętą latoroślą, a jest nią, bo dusza heretycka owoców w postaci głębokiej wiary i miłości do Boga raczej nie wyda, to sam Bóg nakazuje go spalić.

I wrzuca się ją do ognia i płonie – powtórzył. – Widzicie zatem, że ani

Kościół Katolicki, ani tym bardziej Inkwizycja nie wymyślili sobie sami tej okrutnej kary, aby zaspokoić swoje wynaturzone czy wręcz bestialskie, jak się niektórym może wydawać, upodobania. – Brat Armand spojrzął na mnie, dość wymownie dając mi znak, jakoby to ja uważał go za ciemieżcę. – W tym miejscu należałoby od razu dodać, że owo „wrzucenie do ognia” oznacza spalenie ciała za życia tu, na ziemi, nie zaś duszy w piekle. O potępieniu i wieczności mówi Apokalipsa świętego Jana. Natomiast w tej przypowieści rozpatrujemy życie doczesne, a zatem ciało jako jego przejaw. I gwoli przypomnienia: kara spalenia na stosie była już stosowana w procesie rzymskim, świeckim, na długo przed narodzinami Chrystusa i zanim została przez Niego usankcjonowana tą przypowieścią jako kara za herezję. Prawo rzymskie przewidywało karę spalenia na stosie za czarnoksięstwo, ojcobójstwo, świętokradztwo, zdradę i podpalenie. Prawo to zostało recypowane przez cesarza Fryderyka II i stało się obowiązującym prawem w Świętym Cesarstwie Rzymskim Narodu Niemieckiego. Kościół oparł zaś swe niektóre rozwiązania na prawie rzymskim, ale tylko te, które znajdowały legitymację w Piśmie Świętym. A, jak widzicie, kara spalenia na stosie, a raczej kara ognia, była usankcjonowana przez samego Chrystusa. – Brat Armand przerwał na chwilę i przerzucił kilka stron swoich notatek.

Pomyślałem, że cesarz Fryderyk II to niezbyt właściwy przykład i wzór do naśladowania, bo uprawiał alchemię i astrologię, był niepokorny wobec papieża, któremu się nie podporządkowywał, miał szeroką wiedzę o religiach judaizmu i islamu, a papież dwukrotnie nakładał nań ekskomunikę i oskarżał o herezję, ale się nie odezwałem. Zbyt dobrze i na własnej skórze wiedziałem, bądź co bądź, czym kończy się w Santa Cruz posiadanie własnego zdania i to zdania odmiennego od zdania czcigodnego brata Armanda Castellano de Corell.

– Wbrew temu, co przyjęło się powszechnie uważać – mówił dalej mój mistrz – i temu, w co wierzycie, kara spalenia na stosie nie była i nadal nie jest najczęściej orzekaną przez trybunały Inkwizycji karą za herezję. Jest to oczywiście błąd, ale Inkwizycja wyszła z założenia, że tę karę należy stosować tylko wobec zatwardziałych grzeszników, którzy nie odwołali swych herezji, oraz dla tych, którzy raz upomniani przez trybunał inną, łagodniejszą karą wrócili do swych heretyckich

i grzesznych praktyk. W całej historii Inkwizycji poza kilkoma gorliwymi postaciami inkwizytorów, którzy chętnie i często stosowali tę karę, trzeba przyznać, że generalnie była ona dotąd orzekana stosunkowo rzadko: kilkadziesiąt przypadków na rok w jednym państwie, na przykład we Francji. Jest to wynik żaloszny i żenujący dla Inkwizycji i jej sądownictwa. – Brat Armand umilkł i przez chwilę chodził w ciszy po sali wykładowej.

Zapewne zaraz roztoczy przed nami swoją wersję „prawidłowego” wykorzystania kary spalenia na stosie – pomyślałem. Istotnie, nie miał w sobie nic z wynaturzonych upodobań!

– Moi drodzy – brat Armand podszedł do okna i patrzył na rozciągający się z niego widok na dziedziniec za kościołem albo na coś zupełnie innego – kara spalenia na stosie to nie tylko ofiara i kara za grzechy. To coś znacznie więcej. – Odwrócił się do nas. – Inkwizytor, wydając taki wyrok, w rzeczywistości oddaje przysługę duszy heretyka, ratując ją przed ogniem wiecznym. Albowiem płomienie mają olbrzymią moc, w ich ogniu wypala się wszystko, nie tylko grzeszne ciało, ale i grzechy zalegające człowiekowi na duszy. Dlatego Kościół powinien częściej stosować tę karę, aby oczyszczać dusze z heretyckich poglądów i innych grzechów także. Taka oczyszczona w płomieniach dusza ma wówczas, i tylko wówczas, szansę na zbawienie, a to przecież jest najważniejsze. – Znów chodził po parlatorium z dłońmi ukrytymi w szerokich rękawach swej dominikańskiej, śnieżnobiałej kuty. – Żeby nie było wątpliwości: wypalenie grzechów duszy poprzez ogień nie oznacza, że dusza nie będzie za nie odpowiadać przed Bogiem po śmierci albo że nie zostanie na pewno potępiona. Inkwizytor nie ma takich kompetencji, aby to duszy zagwarantować. Ale może dla niej zrobić to, że pozostawi duszy otwartą drogę do zbawienia, wypalając zalegające w niej grzechy we wszechpochłaniającym ogniu. Jeśli tego nie zrobi, jeśli nie skaze człowieka na stos, taka heretycka dusza nigdy nie zostanie zbawiona. Zatem chyba się ze mną zgodzicie, że lepiej jednak otworzyć duszy tę drogę, orzekając karę spalenia na stosie, niż tego nie zrobić i skazać ją na potępienie wieczne. I właśnie takie rozumowanie powinno być dla inkwizytora motywacją do jak najczęstszego orzekania kary ognia. A co się dzieje? Inkwizytorzy

w obawie przed opinią publiczną wzdragają się przed tą karą, którą uważają za *ultima ratio*. Bardziej się przejmują, co ludzie powiedzą, niż ludźmi, którzy pobładzili i którym pomagać ślubowali.

– Może się boją, *padre*? – zapytał Mateo. – Wszak ludzie prości nie wiedzą nic o przyczynie stosowania tej kary i w przeszłości nierzadko dochodziło do zamachów na inkwizytorów.

– Z pewnością się boją – przyznał brat Armand. – Ale inkwizytor to odpowiedzialne i wymagające poświęcenia stanowisko. Trudne, często niebezpieczne. To nie zaszczyty i honory ani pieniądze i sława. To przede wszystkim służba: Bogu, ludziom, Kościołowi. Zatem ci, którzy się boją, są niepewni lub pragną wygodnego życia, nigdy nie powinni wchodzić w szeregi Inkwizycji, co niestety się dzieje i co należy w pierwszej kolejności i jak najszybciej wykorzenić. Inkwizytorami powinni zostawać ludzie gotowi oddać z radością życie za swą służbę. – Popatrzył na nas zasluchanych i nieznacznie się uśmiechnął. – W moim przekonaniu kara spalenia na stosie powinna być stosowana w każdym przypadku udowodnienia winy. Jeśli stwierdza się, że oskarżony zawinił oczywiście. Nawet jeśli odwoła swe herezje i się pokaja. Nigdy przecież nie mamy pewności, czy grzesznik odwołuje naprawdę głoszone herezje albo czy szczerze się kaja za swe ciężkie grzechy, czy też robi to tylko po to, aby uniknąć stosu. A jeśli nawet spalilibyśmy kogoś niewinnego, to i tak dusza taka zostanie zbawiona, więc tak naprawdę nic wielkiego się nie stanie. – Brat Armand spojrzał na nas i najwidoczniej dostrzegł naszą konsternację, bo zaraz dodał: – Zrozumcie wreszcie, że życie ziemskie nic nie znaczy i w porównaniu z wiecznością duszy jest zaledwie mgnieniem chwili. Nie powinniście go żałować. Nawet jeśli inkwizytor odbierze niewinne życie, to owa męczeńska wówczas śmierć tylko przyspieszy duszy złączenie się z Bogiem. A zatem i tak czeka tę duszę nagroda w Niebie. Problem polega na tym, że ludzie przywiązują się do swego doczesnego życia, do dóbr materialnych, pozycji, stanowisk i władzy, a wówczas trudno im rozstać się z życiem i z tym wszystkim, czym się dotąd otaczali. Ale to błędne, a nawet grzeszne rozumowanie. Jak mawiał święty Tomasz i tego należy nam się trzymać, i to sobie zapamiętajcie: „lepiej, żeby zmarło stu niewinnych, niż gdyby jeden winny uniknął kary”.

– Ojczy, jeśli mogę... – odezwał się Mateo. – Jednej rzeczy nie rozumiem. Jeśli kara spalania na stosie jest teraz stosowana wobec zatwardziałych grzeszników, to znaczy wobec tych, którzy się nie pokajali, w jaki sposób otwiera ona duszom takim drogę do zbawienia, skoro warunkiem rozgrzeszenia i wybaczenia win przez Boga jest żal za grzechy, którego w przypadku tych niepokornych heretyków nie ma? Przecież samo oczyszczenie duszy z grzechów nie wystarczy. Potrzebne są pozostałe warunki sakramentu pokuty: rachunek sumienia, żal za grzechy, postanowienie poprawy, wyznanie win i zadośćuczynienie. Jeśli nawet przyjąć, że ogień zastępuje wyznanie grzechów i element pokuty, Kościół uczy, że bez pozostałych warunków rozgrzeszenie nie nastąpi.

To, o czym mówił Mateo, było słuszne i mądre. I świadczyło, że uważnie słucał mego mistrza.

– Dobrze, Mateo! – Brat Armand uśmiechnął się, jakby właśnie takiego pytania oczekiwał, a potem zwrócił się do nas: – Mateo zadał jedno z najważniejszych pytań dotyczących kary stosu. Otóż, moi drodzy, istotnie płomienie oczyszczają duszę grzesznika tak samo jak wyznanie grzechów. I, rzecz jasna, nałożenie przez inkwizytora kary nie zastąpi pokajania się przed Bogiem, które jest osobistym aktem każdego człowieka, wyrazem jego wolnej woli, i nikt, nawet inkwizytor, nie może go do tego przymusić niczym, żadną karą ani jej groźbą. Dlatego dzisiejsza kara spalania na stosie w takim kształcie, jak stosują ją teraz trybunały, nie do końca spełnia swoje cele. Oczywiście otwiera drogę do zbawienia, ale dusze nie jako pokajane, ale jako zatwardziałe przechodzą na tamten świat. Dlatego należy zmienić podejście do samej tej kary, jak na przykład sposób jej orzekania, a przede wszystkim podejście do kary samych skazańców, skoro od ich postawy tak wiele tu zależy. – Mistrz zamyślił się i przeszedł przez całą szerokość parlatorium. – Przede wszystkim należy sprawić, aby skazani na karę spalania na stosie, poddawali się jej dobrowolnie. Tak. Dobrowolnie – powtórzył z naciskiem brat Armand, zapewne widząc nasze osłupienie. – Nadal inkwizytor będzie wydawał wyrok śmierci, a świeckie ramię będzie go wykonywać, ale spalanie na stosie ma być nie przymusem i koniecznością orzeczoną przez trybunał, ale aktem woli i wiary skazanego. To on ma sam chcieć spalić własne ciało w imię lepszego

losu dla swej duszy, a przede wszystkim w imię Boga. Taką decyzją pokazuje on wszystkim, jak wielka jest jego wiara i jak wiele dla niej gotów jest wycierpieć, nawet oddać życie w imię przekonania, że w ten sposób dostąpi zbawienia. A przekonanie, że tylko w taki sposób osiągnie zbawienie, zaszczepi w nim inkwizytor. Ceremonie spaleń powinny być nie aktami terroru, ale aktami wiary, *auto da fé*[20]! I cała uroczystość spalenia na stosie powinna być zreorganizowana, aby uwypuklić właśnie ten element: dobrowolnego aktu wiary. Pamiętajcie, moi drodzy, że to Bóg nauczył ludzi składania Mu ofiary. Całopalnej ofiary z baranka. W *auto da fé* człowiek składa Bogu właśnie taką ofiarę ze swojego ciała, aby pokazać Mu, jak bardzo Go kocha. Jest to nic innego jak starotestamentowa, nakazana przez Boga przed tysiącleciami całopalna ofiara, tyle tylko, że tutaj pali się nie zwierzę, ale ludzkie ciało. Własne ciało, więc tym większe poświęcenie, tym większa ofiara i tym większa zasługa.

– Ale, ojczy, czy to możliwe, żeby człowiek z własnej woli chciał się spalić? – zapytał Jesus.

– Owszem. – Mistrz uśmiechał się triumfalnie. – To da się zrobić, pod warunkiem, że podsądni, wszyscy, bez wyjątku, zostaną w trakcie procesu złamani. Metody są nieistotne i różne będą potrzebne, bo różni bywają podsądni: twardsi i słabsi, ale złamani muszą być wszyscy. Trzeba złamać w nich wolę, opór i bunt. Mają bać się inkwizytora i trybunału tak dalece, że będą po stokroć woleli stos niż przesłuchania. Tylko w pełni rozwiniętą spiralą strachu, śledztw, denuncjacji i przekonania o nieuchronności aresztowania i procesu można będzie to osiągnąć. Najważniejszy jest strach. Ludzie, którzy się boją, zrobią wszystko, byle uniknąć tego, co dla nich najgorsze. A najgorsze będą dla nich więzienia trybunałów i tortury – zakończył brat Armand tajemniczo.

Pomyślałem, że mistrz chyba się zapomniał, bo opowiadał nam o przyszłej Inkwizycji, której utworzenie – wciąż mam taką nadzieję – jest niepewne, jakby to już się dokonywało. I wcale, ale to wcale nie krył się z tym, że będzie to machina terroru. Mówił tak, jakby był wcieleniem samego diabła, a Inkwizycja miałaby być szatańskim narzędziem, nie Boskim. Opadła zatem zasłona fałszu. Nie wiem, na ile brat Armand zrobił to celowo, a na ile przez omyłkę, ale nareszcie jawnie i bez

ogródek przyznał, co zamierza zrobić jako inkwizytor. A ja jeszcze kilka dni temu myślałem, że jest dobrym człowiekiem, który się tylko trochę dał zwieść pomysłom Torquemady! Liczyłem naiwnie, zupełnie jak dziecko, że dobro nie pozwoli mu wejść w szeregi Świętej Inkwizycji. Jakże się myliłem!

– Jeszcze jedna rzecz, dość istotna – kontynuował brat Armand, chodząc po parlatorium. – Dzisiejsze egzekucje, choć rzadkie, nie przyciągają zbyt wielkiej liczby ludzi, którzy chcieliby je oglądać. Mimo że organizuje się je w miejscach publicznych i w dni świąteczne, a więc wolne od pracy. Nic dziwnego. Ludzi te ceremonie nie tyle przerażają, co odrażają. Dlatego należałoby wprowadzić przymus uczestnictwa w nich dla każdego człowieka zdolnego do poruszania się o własnych siłach. Obowiązek stawiennictwa pod groźbą oskarżenia o sprzyjanie osobom skazanym na stos, uwięzienia i procesu. Gdyby ludzie wiedzieli, że jeśli nie przyjdą na ceremonię spaleń, sami niebawem mogą na stos trafić, przychodziliby wszyscy. To by się samo nakręcało: każdy bowiem miałby obowiązek donieść trybunałowi, że nie widział na ceremonii tego a tego, swojego sąsiada, przyjaciela, znajomego, matki, żony, męża i tak dalej. Niezłożenie takiego oskarżenia także pociągałoby karę stosu. Przychodziliby więc wszyscy, aby nie dać nikomu pretekstu do oskarżeń. W ten sposób trybunały zapewniłyby sobie publiczność. Ale pamiętajcie, że nie to jest celem takich ceremonii. Nie zwerbowanie jak największej liczby obserwatorów, ale ich ostrzeżenie. Ludzie, patrząc na płonące stosy, powinni być przerażeni, a to z kolei powinno prowadzić ich do zastanowienia się nad swoim życiem i uczynkami i do pokajania się przed Bogiem, a może i przed trybunałem. Kara spalenia na stosie powinna być dla nich stosem upomnienia przed płomieniami wiecznymi, przed ogniem potępienia. Oto dajemy im ostatni znak, aby się kajali! – Brat Armand zawiesił głos, a echo jego głośnych ostatnich słów odbiło się od sklepienia sali wykładowej. – Ale żeby to osiągnąć, trzeba zreorganizować i usystematyzować przebieg ceremonii spaleń. Każdy szczegół powinien być symboliczny i wielce istotny. Taka ceremonia powinna trwać cały dzień, od świtu do zachodu słońca, a nawet i dalej. Rozpoczynałaby się pochodem śmierci, w którym inkwizytorzy prowadziliby skazańców na miejsce kaźni wśród tłumów, które by się

temu przyglądały. Na miejsca spaleń należałoby wybierać tylko główne i najważniejsze place w mieście albo ewentualne inne miejsca, które mogłyby pomieścić tłumy widzów, kilkanaście, a czasem i kilkadziesiąt stosów oraz trybuny dla dostojników Świętej Inkwizycji. Powinna się także odbyć msza za dusze skazańców, tam na placu spaleń, w trakcie której inkwizytor odczytywałby wyroki, aby publiczność wiedziała, za co skazańcy zostaną spaleni, oraz aby wystrzegą się takich uczynków. Odczytanie wyroków pełniłoby zatem funkcję informacyjną, odstraszającą i prewencyjną. Przynajmniej w jakimś zakresie, bo nie oszukuję się, że publiczne ceremonie *auto da fé* wyeliminują grzech i herezję zupełnie. Ale jeśli chociaż jednego człowieka uda się przed tym uchronić, to wydaje mi się, że warto. Warto to zrobić. Po mszy obowiązkowo powinno następować pojednanie skazańców z Bogiem. Czyli to, co i dziś praktykuje się, zwłaszcza we Francji, gdy daje się skazańcom, stojącym już na stosie, ostatnią możliwość odwołania swoich heretyckich poglądów i wyznania win. Jeśli to zrobią, kapłan lub dominikanin odpuszcza im wówczas grzechy i w zależności od regionu daje krzyż do ucałowania lub tego nie robi. Oczywiście u nas samo pojednanie przymusowe nie będzie. Każdy ze skazanych i tak będzie już złamany w więzieniach. Ma wolną wolę i inkwizytor nie zamierza mu jej odbierać. Ale należy takiemu skazańcowi zagwarantować możliwość publicznego, na oczach wszystkich pogodzenia się z Bogiem. Bo tamtego w więzieniach ludzie nie widzieli.

– *Padre* – przerwał memu mistrzowi Ricardo – a co z tymi, którzy będą złorzeczyć na Inkwizycję i sędziów, albo, co gorsza, ze stosu głosić swe heretyckie poglądy lub przeklinać i bluźnić Bogu? Czy będą kneblowani?

Brat Armand uśmiechnął się.

– O, nie! – powiedział z przekonaniem. – Nie będziemy ich kneblować, jak to czasem robią sędziowie we Francji. Nasi skazańcy przejdą w więzieniach takie piekło, że, wierzcie mi, nie ośmielą się złego słowa na trybunał powiedzieć. To będą ludzie złamani, bez buntu i woli walki, to będą ludzie, którzy marzą o szybkiej śmierci. A poza tym nie zapominajcie, że taki skazany zawsze ma na wolności rodzinę, której sędziowie od dnia jego aresztowania uważnie się przyglądają. Przecież

taki skazany nie chciałby swoimi słowami, bluźnierczymi lub heretyckimi, narazić rodziny na aresztowanie i proces. Każdy ze skazańców zostanie o tym pouczony tuż przed ceremonią spaleń. Strach o najbliższych i miłość do nich odbiorą im wszelką ochotę do lżenia Inkwizycji i Boga. Zrobią to lepiej niż najlepszy knebel – zakończył brat Armand z miną zwycięzcy.

Był ohydnie pewny swego, a najgorsze, że miał rację. Stosowanie takich metod bez wątpienia da im oczekiwane rezultaty. Boże, miej nas wszystkich w opiece!...

– Wracając do ceremonii – głos mego mistrza i architekta Nowej Inkwizycji wyrwał mnie z zamyślenia – stosy powinny być podpalane o zachodzie słońca, a płonąć winny już w ciemności. W kościołach bić będą dzwony żałobne, jak na pogrzeb, bo i oto dusze skazanych ulecą ku wiecznemu życiu. Wszyscy też przybyli na ceremonię będą musieli na to patrzeć. Ci, którzy patrzeć nie będą albo okażą żal lub będą płakać, na drugi dzień mogą być już więźniami Świętej Inkwizycji. – Brat Armand umilkł i podszedł do katedry. – Na dzisiaj to wszystko. – Zaczął składać swoje notatki. – Czy macie jeszcze jakieś pytania? – Rozejrzał się po sali. – W takim razie na następnych zajęciach zajmiemy się herezjami: czym w ogóle jest herezja, jakie są współczesne herezje, z jakimi już rozprawiła się Inkwizycja i tym podobne. Poczytajcie sobie, proszę, coś więcej na ten temat. Kto jeszcze nie zapoznał się jakimś cudem z *Practica officii* Bernarda Gui, jest to tym razem obowiązkowa lektura. I przypominam nowicjuszom, którzy niebawem składają śluby wieczyste, o duchowym przygotowaniu do ceremonii. Wasza spowiedź odbędzie się dwudziestego szóstego sierpnia. Doszedłem do wniosku, że ja was wszystkich wyspowiadam, nie wasi patroni, jak to było dotychczas. Muszę mieć pewność, że nie pobłądziliście w nowicjacie. Zatem zalecam wnikliwy rachunek sumienia przed sakramentem pokuty i przypominam, że będzie to spowiedź z całego waszego życia. – Spojrzał uważniej na Juana, Ricarda, Alejandra i Oscara. – A dzisiaj dziękuję za uwagę.

Rozbrzmiał szelest składanych przez nas kajetów. Alejandro, Juan i ja wymieniliśmy ciężkie spojrzenia wobec ostatnich słów mego mistrza. Oscar minę miał beznamiętną, jak zawsze, zaś Ricardo zdawał

się zadowolony.

Gdy wychodziliśmy na zewnątrz, Juan i Alejandro wyrazili obawę, jak owa spowiedź będzie wyglądała i czy w ogóle będzie to spowiedź. Ja zaś nie znalazłem w sobie słów pocieszenia, nie po ostatniej mojej kłótni z mistrzem ani tym bardziej po dzisiejszym wykładzie i tonie, w jakim był przeprowadzony.

– A jeśli nas nie dopuści do tych ślubów? – zastanawiał się głośno Alejandro.

Pomyślałem sobie, że przed chłostą podobna myśl nigdy nie przysłaby mu do głowy. To potworne, że uwięzieniem i jatką, jaką mu urządził, brat Armand zasiał w nim dziwny niepokój. I Alejandro nigdy już nie będzie taki jak dawniej. Jest bowiem naocznym, namacalnym przykładem tego, o czym dziś mówił mój mistrz, tylko w mniejszej skali. Oczywiście tylko w jednym, małym, lokalnym aspekcie. Ale też i męki Alejandra nie trwały miesiącami. Strach nawet pomyśleć, jak zdeformowani psychicznie i fizycznie będą wychodzić z więzień ludzie skazani następnie przez Inkwizycję na karę stosu. I czyja to wówczas będzie Inkwizycja? Papieża? Królowej? Jeszcze Torquemady czy już brata Armanda?...

– To po co by ogłaszał o uroczystości? – Chociaż Juan starał się mówić z przekonaniem, wcale nie słyszałem go w jego głosie. – To tylko straszak. Żebyśmy do ostatniej chwili nie wiedzieli, co robi.

– Niepewność. Strach. To metody pracy trybunałów – myślałem głośno. – Tych, o których mówił mistrz. Chce wam w ten sposób pokazać, jak to będzie funkcjonować. A to tylko ceremonia złożenia ślubów. Cóż dopiero czuć będą podsądni w więzieniach Inkwizycji, niepewni swego losu i do ostatnich chwil zwodzeni przez sędziów?!

– Myślicie, że Archanioł robi to świadomie? – Alejandro nie dowierzał. – Ale po co?

– On już się zachowuje, jakby był inkwizytorem – mruknął Juan. – Bóg wie, co mu siedzi w głowie. Ma rozchwiane nastroje, nie przewidzisz, co robi. W jednej chwili się uśmiecha, by za chwilę ciskać pioruny. Teraz opowiadał o paleniu na stosie, jakby to była dlań najbardziej oczywista rzecz na świecie, bez mrugnięcia okiem wydawał wyroki śmierci na heretyków, a zaraz pójdzie do szpitala i będzie ratował

każdą, najmniejszą iskrę życia. On nie jest normalny. I myślę, że jest złym człowiekiem, nosząc diabła za skórą i szatańskie, doprawdy, mając pomysły...

Naraz rozdzwoniły się dzwony na Anioł Pański i pobiegliśmy we trzech na nabożeństwo. Słowa Juana pobrzmiewały mi w głowie, gdy wznosiłem modły ku Niebu. Juan, mówiąc to wszystko, miał świętą rację. Tak. Brat Armand jest złym człowiekiem...

13 sierpnia

Od kilku dni pełnię z Juanem dyżur w szpitalu, zgodnie z rozpisaniem przez mojego mistrza jakiś czas temu planem. Radosna wiadomość jest taka, że chory na malarię pacjent nie dostał już żadnego ataku gorączki i brat Armand dzisiaj wypuścił go do domu, dając mu w małym słoiku odrobinę proszku z Chinon i przykazując mu brać go jeszcze przez dwa tygodnie. Wszyscy w szpitalu patrzymy na to ozdrowienie jak na coś niebywałego, a na biały proszek jak na cudowne panaceum na tę dziwną chorobę. Brat Armand, nie wiedząc, jak długo podawać je choremu, zdecydował, że lepiej jednak dłużej niż krócej.

Wyzdrowiało też dwóch kolejnych pacjentów chorych na tyfus plamisty, ale cztery osoby objęte kwarantanną zachorowały. Mają już pełne objawy. Zatem przedwczesne były nadzieje, że to przesilenie i że epidemia nam nie grozi. Dwóch pacjentów, którzy wyzdrowieli, wypuściliśmy do domu, a trzech chorych na tyfus zmarło, tych najbardziej wycieńczonych chorobą.

Znów w szpitalu mieliśmy przypadek gangreny i brat Armand musiał odciąć kobiecie zmienioną martwiczo dłoń. Kazał mnie i Juanowi asystować sobie przy zabiegu, co mnie początkowo przeraziło, ale potem pomyślałem sobie, że muszę się znieczulać na takie rzeczy, jeśli mam zostać lekarzem. Ale widok był makabryczny! Zarówno zmienionej martwiczo, czarnej dłoni, jak i jej piłowania ponad nadgarstkiem przez brata Armanda. Mistrz był skupiony i skoncentrowany na tym, co robi, ruchy miał wprawne, pewne, reagował szybko. Ja z Juanem przytrzymywaliśmy rękę kobiety, a brat Alvaro i dwie siostry trzymały

ją samą, żeby się nie szarpała i żeby mistrz mój mógł wykonać zabieg dobrze. I chociaż przed operacją upoiłiśmy kobietę najmocniejszą nalewką, jaką mieliśmy w klasztorze, a brat Alvaro nawet podał jej sporą dawkę nalewki z opium, to i tak jej krzyk, gdy brat Armand piłował kość przedramienia, słychać było chyba w całej Segowii. I chociaż zabieg się udał, a ja i Juan szybko założyliśmy opatrunek, brat Alvaro od razu zaś podał jej jeszcze odrobinę nalewki z opium, aż zapadła w sen, oraz mimo że wiedziałem, że nie było w tym przypadku innego wyjścia, jak tylko odjąć jej dłoń, to jednak czułem się okropnie. Chciałem porozmawiać z kimś, kto by mi to wytłumaczył, ale brat Armand mnie ignorował i oprócz wydawania mi poleceń w ogóle się do mnie nie odzywał. Zresztą robi tak już od ostatniej kłótni, ale przynajmniej nie przesiaduję tyle w bibliotece. Owszem, czytam to i owo z medycyny, ale nie zarywam już nocy.

Nie wiem, co będzie dalej w stosunkach z bratem Armandem. I czeka mnie kara. Straszna kara. Skądś przeczuwam, że mistrz mój będzie chciał wypróbować na mnie techniki Nowej Inkwizycji...

14 sierpnia. Wieczorem

Przyjechał *padre* Torquemada ze swej oficjalnie tajemniczej wyprawy do Watykanu. Rzecz jasna, gdy przyjechał po południu, na nonie przywitał go mój patron, a przeor ani słowem nie wspomniał, czy udało mu się osiągnąć to, po co pojechał. I wszyscy oficjalnie udają, że nie mają pojęcia, jaki był prawdziwy cel tej podróży. Co za hipokryzja! I co za powszechna znieczulica wśród braci na losy naszej Hiszpanii! Czy do tego stopnia nie wierzą, aby możliwe było utworzenie takich trybunałów, jakich chce brat Armand, i pokierowanie nimi przez *padre* Torquemadę, czy może aż tak im nie zależy na tym, co się stanie, bo wydaje im się, że jako ludzie Kościoła są bezpieczni przed ramionami Inkwizycji? A przecież to tylko pozory. A może działa tu jeszcze inny mechanizm: przekonanie, że skoro Królowa wspiera pomysł mojego mistrza i brata Torquemady, to jakakolwiek walka z tym jest bezcelowa. Nikt w Hiszpanii nie przeciwstawi się tej sile. Nie wiem. Jedno jest

pewne: każda z tych trzech postaw przyniesie dotychczasowemu światu, temu, który kochamy i szanujemy, zagładę.

Po niesporze brat Torquemada i Archanioł zamknęli się w gabinecie przeora na rozmowę. I chociaż obiecałem solennie bratu Armandowi i samemu sobie w duszy, że już nigdy więcej nie będę go podsłuchiwał, gdy tylko mistrz i brat Torquemada zniknęli w gabinecie, pobiegłem z Juanem i Alejandro do celi w segmencie obok, aby posłuchać, o czym rozmawiają. Błogosławiłem w duszy fakt, że w swej bezgranicznej głupocie, gdy wyznałem Archaniołowi, że go podsłuchiwałem, nie zdradziłem mu miejsca mojej i przyjaciół największej kryjówki. Baliśmy się we trzech, jak zwykle, ale ciekawość, a może bardziej obawa o los Hiszpanii, były silniejsze niż strach. Mnie zresztą i tak grozi kara, niech przynajmniej nie będzie bezpodstawna.

– Wszystko idzie zgodnie z planem, Armandzie – mówił przeor zadowolony. – Papież wyraził zatroskanie z powodu rozplenienia się herezji w Kastylii. Ubolewał również, gdy mu powiedziałem, że sądy biskupie sobie nie poradzą.

– Jakiej herezji? – zapytał Alejandro.

– Cicho! – zgromiliśmy go we dwóch z Juanem. – Przecież specjalnie powiedział tak do papieża, żeby ten się zgodził.

– Utworzy Inkwizycję w Kastylii? – zapytał brat Armand.

– Bulli jeszcze nie wydał – przyznał przeor. – Ale dostałem osobiste zapewnienie, że Święta Inkwizycja zostanie u nas powołana w przeciągu miesiąca. Aby wykorzenić herezję. Papieżowi żal byłoby stracić tak bardzo katolickich Królów.

– Ale Hiszpania jeszcze nie jest w pełni katolicka. – Głos mego mistrza brzmiał w tym szaleństwie jak głos rozsądku.

– Nie jest – przyznał przeor. – I papież to wie. W końcu mamy w Watykanie naszego kardynała. Ale papież bardzo chciałby, aby Hiszpanię zjednoczyć nie tylko pod wspólnym berłem Królowej Izabeli, ale i pod ramionami krzyża. Papież wyraził ubolewanie, że tak wielu pomiędzy katolikami jest innowierców, którzy mogą sprowadzać pobożne dusze na złą drogę. Więc obiecałem mu, że jako inkwizytor położę temu kres. Także Królowa w liście do papieża zapewniła go, że jej jedynym celem jest stworzenie silnej, ultrakatolickiej Hiszpanii, ale

potrzebuje do tego pomocy papieża i jego zgody na utworzenie świętych trybunałów, inaczej obawia się o los katolików na Półwyspie Iberyjskim. Sam rozumiesz, Armandzie, że wobec takich argumentów papież nie ma innego wyjścia jak tylko powołać u nas Świętą Inkwizycję. Gdyby odmówił prośbie martwiącej się o swój lud Królowej, oznaczałoby to, że nie dba on o Kościół w Hiszpanii. A czegoś takiego zrobić mu nie wolno.

– Dobrze rozegrane, ojczyźnie. – Brat Armand wydawał się zachwycony. – Mądrze to z Królową rozplanowaliście.

– Papież odpisał na list Izabeli, zapewniając ją o swej trosce o lud Hiszpanii i o pomocy, a do tego obiecał, że jeszcze w tym roku nie tylko utworzy Inkwizycję, ale i powoła pierwszych inkwizytorów dla Kastylii – *padre* Torquemada mówił triumfalnie.

Z całą pewnością cieszył się z sukcesu swej podróży. Spojrzałem z lękiem w oczach na Juana i Alejandra. Mieli przerażone miny.

– A więc stało się... – szepnął Juan.

– Bulli jeszcze nie ma – pocieszałem sam siebie.

– To kwestia czasu – mówił Alejandro. – Nie umiem sobie wyobrazić powodu, dla którego w tej sytuacji papież zmieniłby zdanie i odmówił tak sformułowanej i przedstawionej mu prośbie.

Naszą rozmowę, szeptałą w całości, przerwał głos brata Armanda dochodzący zza ściany:

– Skąd wiesz, *padre*, jaka jest treść listu papieża do Królowej?

– Papież pisał go przy mnie, dyktując go na głos pisarzowi – odpowiedział przeor. – Spędziliśmy z papieżem wiele godzin, rozmawiając o sytuacji Kościoła Katolickiego w Hiszpanii.

– Ale... – Mistrz mój chciał coś powiedzieć, gdy *padre* Torquemada mu przerwał:

– Oczywiście papież nie spodziewa się ani trochę, że Królowa zamierza oderwać Inkwizycję od Watykanu, a potem ją zreorganizować według twoich planów.

– Naszych planów, ojczyźnie – poprawił go brat Armand z niespotykaną u niego pokorą w głosie.

– Armandzie, bez twoich pomysłów, inteligencji i mądrości nie udałoby mi się zbudować założeń tak wspaniałego systemu – pochwalił

mistrza przeor, a ja czułem, że robi mi się niedobrze z obrzydzenia. – Ale prawdziwa praca dopiero przed nami. Będę potrzebował ludzi całkowicie oddanych tej sprawie. Ludzi myślących i silnych w swych postanowieniach, aby wcielić ten system w życie. Będziesz mi potrzebny, Armandzie.

– Co rozkażesz, *padre* – Archanioł wyraził gotowość do pracy, jak się domyślałem, z nieukrywaną i nieudawaną ochotą. – A jaki następny ruch?

– Trzeba poczekać cierpliwie na papieską bullę, w nadziei, że powolny papież, łasy na pochwały, został wystarczająco przeze mnie zapewniony o swej wielkości oraz o tym, że bez jego pomocy wszyscy, jak tu jesteśmy, zginiemy z kretelem, i może nieco szybciej niż normalnie podpisze właściwe papiery – mówił przeor. – Potem pojedę na dwór do Toledo, aby wszystkiego dopilnować. Poza tym, jak wiesz, Królowa chce, żebym został jej spowiednikiem. Zastąpisz mnie tutaj do czasu, aż kapituła zakonu powoła nowego przeora. Zresztą, Armandzie, to stanowisko tutaj, w Santa Cruz, jest nieistotne. Liczy się tylko Inkwizycja, pamiętaj o tym. Nie będzie mnie długi czas. Gdy oderwiemy już z Królową Inkwizycję od Watykanu, trzeba będzie ustalić jej główną siedzibę, tak jak rozmawialiśmy, w Sewilli, utworzyć i zorganizować pozostałe trybunały. Powołać inkwizytorów, przeszkolić ich i zacząć gromadzić dane. Trzeba ustanowić prawny obowiązek donosu, powołać służbę familiarów i Świętą Straż do ochrony trybunałów i inkwizytorów. Nakręcić spiralę strachu, nauczyć ludzi bać się własnego cienia. To zajmie kilka lat. – Przeor przerwał na chwilę i słychać było kroki.

Zastanawiałem się, czy to *padre* Torquemada chodził po swoim gabinecie, czy też raczej mój mistrz przechadzał się w tę i z powrotem, jak robił to na wykładach.

– Armandzie, wiesz, że inkwizytorami zostają dominikanie mający ukończone lat czterdzieści. Ty masz dopiero trzydzieści jeden – mówił dalej brat Torquemada. – Spróbuję nagiąć ten przepis w twoim przypadku, ale i tak nie będziesz mógł zostać inkwizytorem wcześniej, niż ukończysz trzydzieści pięć lat.

– Rozumiem, *padre* – powiedział brat Armand. – Choć nie ukrywam, że chciałbym zostać inkwizytorem już teraz.

– Najlepiej jeszcze wczoraj – mruknął Alejandro.

– Armandzie, mianuję cię inkwizytorem, jak tylko będzie to możliwe – zapewnił go jeszcze raz przeor. – Wcześniej postaram się ściągnąć cię na dwór królewski, jeśli dłużej tam zabawię. Będę potrzebował twojej rady w wielu sprawach. A ty przez ten czas w klasztorze wyszukuj prawdziwie oddanych sprawie przyszłych mnichów inkwizytorów. Mówiłeś coś o Ricardo de Deza...

– Tak, *padre* – przyznał brat Armand. – To prawdziwy talent. Będzie z niego bardzo dobry inkwizytor. Tak jak rozmawialiśmy wcześniej, *padre*, ogłosiłem już o dacie złożenia przez niego ślubów wieczystych. Złoży je za dwa tygodnie wraz z Juanem, Alejandro i Oscarem.

– Bardzo dobrze – odezwał się przeor.

– A co z jego studiami? – zapytał mój mistrz. – Ricardo chciałby pojechać do Bolonii. Z jego dotychczasowym przygotowaniem nie widzę po temu przeszkód. Monituję jego lektury i ukierunkowuję go. Poradzi sobie znakomicie. Ale chyba lepiej zacząć najpierw od Salamanki...

– Najpierw Salamanka – rzucił szybko brat Torquemada. – Wybierz mu kierunki studiów. Jeśli się sprawdzi, pojedzie do Bolonii. Nie zamykam nikomu drogi do wiedzy. Ale jeśli Ricardo jest tak mądry, jak mówisz, trzeba nim umiejętnie pokierować, Armandzie. Nie wolno nam zmarnować ani jednego umysłu, zaprzepaścić ani jednego talentu.

– Oczywiście, ojczcie. Zajmę się tym. – Znów słyszałem zadowolenie w głosie mego mistrza i chyba dumę.

Pomyślałem, że Ricardo jest już wystarczająco nakierowany, a brat Armand nic w zasadzie nie musi robić.

– A pozostali nowicjusze? – zapytał przeor. – Chcą jechać na studia?

– Juan to przyszły lekarz. Świetnie sobie radzi w szpitalu i nie ma z nim większych kłopotów – mówił brat Armand. – Myślałem, żeby go wysłać na medycynę do Salamanki. I na teologię, oczywiście. Oscar ma już olbrzymią wiedzę, więc mógłby zrobić co najmniej doktorat z prawa i teologii. Wspominał mi kiedyś, że chciałby zostać inkwizytorem. Jest bardzo rozważny i spokojny. Będzie dobrym prawnikiem. A z Alejandro

mam pewien kłopot. Jeśli otrzyma śluby, to mógłby studiować teologię i filozofię. Może to go naprostuje i uspokoi w nim niepokornego ducha. Trochę go żeśmy w nim podłamali, ale obawiam się, że nie na długo. Jego patron, brat Jorge, wspominał coś, by posłać go na prawo, zwłaszcza kanoniczne. Zobaczymy, czy Alejandro tego chce.

– Decydują o nas bez nas! – chrapliwym szeptem oburzył się Juan.

– I wcale nas o zdanie nie pytają... – dodał Alejandro.

– A czy przypadkiem nie o takich studiach, jakie wymienił Archanioł, marzyliście? – zapytałem. – Wszyscy wiedzą, że będzie z ciebie lekarz. – Spojrzałem na Juana. – A z ciebie, Alejandro, prawnik. Powinniście się cieszyć, że się stąd wyrwiecie.

– Nie w tym rzecz – upierał się Juan. – Czy nie wypadałoby nas zapytać o zdanie? Archanioł rozmawiał tylko z Ricardo i Oscarem. Bo widzi w nich takich ludzi jak on sam. Inkwizytorów. Zapaleńców. A reszta to tło. Odpadki przy pracy.

Zaskoczyło mnie słowo „odpadki” i uśmiechnąłem się w duchu. Ale Juan miał rację. Nie mieliśmy tu nic do gadania.

– A jak twój uczeń? Jak Antonio? – ciszę w gabinecie przeora przerwał głos *padre* Torquemady.

Aż podskoczyłem na te słowa i zbliżyłem się do otworu w ścianie.

– Nie wiem, *padre*. – Słyszałem bardzo wyraźnie zniecierpliwienie w głosie brata Armanda. – Nie wiem, czy ten chłopak w ogóle nadaje się na mnicha. Jest nieposłuchany, krnąbrny i bez przerwy ma o coś do mnie pretensje. Ośmiela się ze mną kłócić, ostatnio nawet kilka dni temu. Wyraża się pogardliwie o mnie i o Inkwizycji. Doszło nawet do tego, że podsłuchiwał nasze, ojczy, rozmowy!

Zrobiło mi się gorąco... Odruchowo cofnąłem ucho od otworu i spojrzałem na Juana i Alejandra, zaskoczonych.

– Powiedziałeś mu? – szepnął Juan.

– W przypiływie głupoty. Tak – przyznałem.

– O tej kryjówce też wie? – Alejandro był blady jak ściana, przy której klęczeliśmy.

Pokręciłem przecząco głową.

– Nie. Nie podawałem mu szczegółów – powiedziałem.

– Chwała Bogu! – Juan był zły, co mnie nie dziwiło.

Sam zły byłem na siebie, że w ogóle miałem taki odruch i Archanioła szczerze za wszystko przepraszałem.

– Ukaralesz go, Armandzie? – dobiegł nas lodowaty głos przeora zza ściany.

– Jeszcze nie – odpowiedział mistrz. – Chciałem się z tobą naradzić, *padre*. Nie bardzo wiem, jaka kara byłaby tu właściwa i skuteczna. Przeszedł już głodówkę i chłostę. Pozostała jeszcze cela więzienna i relegowanie z klasztoru.

– Może poprzednia chłosta była zbyt delikatna? – wtrącił przeor. – Mówiłem ci, żeby potraktować go tak samo jak Alejandra. Żebyś nie okazywał litości, bo on tego i tak nie doceni. Ale pokierowało tobą przywiązanie do ucznia. Teraz widzisz, do czego prowadzi litość – zakończył gorzko brat Torquemada.

– Tak, ojczy – przyznał mistrz. – Istotnie, żal mi się go zrobiło. Niepotrzebnie, jak widzę.

Z wrażenia usiadłem na podłodze w celi. Dziwne jakieś, cieplejsze uczucie rozeszło się po moim ciele... Nigdy bym nie powiedział, że brat Armand złagodził wyrok przeora. Myślałem, że to on chciał tej chłosty i tej jatki. A prawda jest taka, że gdyby nie on, *padre* Torquemada zrobiłby to samo ze mną, co zrobił z Alejandrem. Coś szarpnęło mnie za serce... Uczułem, że mi wstyd. Nie mogłem jednak dłużej się nad tym zastanawiać, bo przerwał mi głos przeora:

– Zrób z nim, co uważasz za słuszne, Armandzie. Daję ci wolną rękę. Zastanów się jednak, zanim pochopnie relegujesz go z klasztoru. Czy nie tego właśnie by chciał? Może zarządzę nową chłostę? Może to coś da? Zrób z nim coś, co go przerazi. Postąp z nim tak, jak postąpiłby inkwizytor z więźniem. Jego strach jest twoim sprzymierzeńcem. Będzie z Antonia mnich, ale najpierw musisz go złamać. Zastanów się jak. Ja nie zakwestionuję żadnej twojej decyzji w tym przedmiocie. Nawet bardzo krwawej. Ufam ci w stu procentach i autoryzuję tę karę przed braćmi w klasztorze.

Zaniemówiłem, słuchając brata Torquemady namawiającego mego mistrza do okrucieństwa. Po moich członkach rozszedł się chłód, co zmroził we mnie wszelką nadzieję, że skoro dotąd brat Armand nic ze mną nie uczynił, być może daruje mi karę tym razem. Wolę nawet nie

myśleć, jak pomysły okaże się mój mistrz, zwłaszcza że przeor nie tylko dał mu wolną rękę, ale wręcz namawiał go do krwawej zemsty. Boże! Co też uczyni ze mną ten człowiek!?

– Antonio, tak mi przykro – szepnął Alejandro.

Smutek był także w oczach Juana. A nade wszystko we mnie.

– Tak będzie, ojciec – zapewnił przeora brat Armand.

– Działo się tu coś jeszcze podczas mojej nieobecności? – zapytał przeor.

– Wykonano zamówiony przez nas różaniec – pochwalił się mistrz i usłyszeliśmy, że odsunął chyba jakąś szufladę. – Proszę. Bardzo piękny. – Oczami wyobraźni wdziałem, jak w tej chwili podał go bratu Torquemadzie. – Już wypełniłem go ziołami i odtrutkami, jakie tylko brat Martin posiadał. Tu jest opis, ojciec, co się znajduje w którym paciorku. – Prawdopodobnie wręczył przeorowi kartkę.

– Świetna robota, Armandzie. – Słyszałem, że brat Torquemada był zadowolony. – Jest idealny! Nie za duży, ale i nie za mały. Paciorki odkręcane. Sam nie zamówiłbym lepszego. Wiedziałem, że mogę na tobie polegać, synu – pochwalił go. – Teraz trzeba zamówić drugi taki sam, dla ciebie. Zajmę się tym jutro. Podaj mi tylko adres warsztatu.

– Oczywiście – odpowiedział mistrz.

Zapadła na chwilę cisza, w trakcie której brat Torquemada być może oglądał różaniec. Opisałem jego wygląd także Juanowi i Alejandro, bo oni go jeszcze nie widzieli. Ale sądzę, że przeor wkrótce zacznie go nosić, więc wszyscy zobaczą to sprytne cudenka. Doskonały kamuflaż.

– Jeszcze jakieś wieści, Armandzie? – dopytywał przeor z ciekawością.

– Tak. Mamy w opactwie poważny problem, ojciec. Potrzeba tu twojego autorytetu – mówił Archanioł. – Brat Manuel jest chory. To trąd. Ma plamę trądową na piersi. Pojawiła się na początku sierpnia. Nie widać żadnych innych objawów, ale jest już zarażony.

– Jesteś pewien, synu, że to trąd? – dopytał przeor. – Może to coś podobnego?

– Jestem pewien, ojciec. Widziałem niejedną plamę trądową. Z pewnością brat Manuel zaraził się, pracując w leprozorium. Problem

polega na tym, że bracia w klasztorze podzielili się stanowiskami na ten temat. Jest spora grupa, która uważa, że to kara Boska, i chcą, aby zastosować rytuał wykluczenia wobec brata Manuela, chcą, żeby odtąd zamieszkał w leprozorium pomiędzy trędowatymi. Był nawet głos, żeby zamknąć leprozorium i wszystkich chorych rozgonić po świecie, włącznie z bratem Manuelem. Inni bracia zaś uważają, że powinien pozostać z nami w klasztorze.

– A ty, co radzisz, bracie Armandzie? – Niepewność była w głosie *padre* Torquemady.

– Uważam, że powinien zostać z nami – odpowiedział twardo mój mistrz. – Jako lekarz mogę powiedzieć, że trąd to zwykła choroba, niestety zaraźliwa. Ale to nasz ukochany brat, nie możemy go wykluczyć ze społeczności. Przecież budując leprozorium, walczyliśmy z takimi praktykami ciemnoty i zabobonu. Nie możemy teraz im przyklaskiwać tylko dlatego, że problem dotyczy naszej małej społeczności. To nie po chrześcijaństwu. Chrystus każe nam miłować naszych bliźnich...

– Wykluczone! – przerwał mu przeor. – Brat Manuel zamieszka w leprozorium – dodał stanowczo.

– Ale, ojczy, to zwykła choroba, nie żadna kara! – upierał się mój mistrz i w tym momencie byłem z nim całym sercem, całkowicie się z nim zgadzając, co w naszych stosunkach bywa niezwykle rzadkie.

– I właśnie dlatego musi odejść! – rzucił przeor tonem, któremu nie sposób było się sprzeciwić. – Jeśli trąd jest tylko chorobą, a wierzę, że się na tym znasz, i to w dodatku zaraźliwą, wszyscy będziemy narażeni na zachorowanie, jeśli brat Manuel pozostanie w klasztorze, Armandzie! – *padre* Torquemada prawie krzyknął. – To piękne, że masz w sobie tyle miłości do bliźniego swego, ale schowaj te uczucia głęboko, bo masz przed sobą ważniejsze cele. Ani ty, ani ja nie możemy zarazić się trądem, jeśli chcemy zbudować Inkwizycję w Hiszpanii. Musisz zrozumieć, jaki jesteś ważny, i uważać na siebie. Kiedy idziesz do szpitala, musisz myśleć przede wszystkim o przyszłości. Wiem, że kochasz medycynę, ale zdecyduj, co jest dla ciebie ważniejsze: leczenie ludzi czy orzekanie w trybunałach Inkwizycji. Jeśli zarazisz się trądem, wszystko zaprzepaścisz. Dlatego od dzisiaj zabraniam ci chodzić do leprozorium.

– Ale, ojcze, dotąd się nie zaraziłem! – protestował mistrz. – Gdybym miał się zarazić...

– Dość, Armandzie! – upomniął go przeor. – Ja już postanowiłem. Więcej nie chcę słyszeć, że chodzisz do leprozorium. Nie zamknę go, bo jest potrzebne, ale zabraniam ci tam chodzić. Zarówno tobie, jak i pozostałym mnichom. Nowicjuszy także nie będę narażał. Odtąd zamieszka tam brat Manuel i to on będzie dbał o trędowatych. Pomożemy mu zorganizować posiłki, lekarstwa i opatrunki, odzież i czego tam będzie potrzebował, ale nikt z braci nie będzie tam chodził.

– Ojcze, to dla mnie bezcenna praktyka! – brat Armand podjął jeszcze jedną próbę przekonania przeora.

– Do czego ci ta praktyka, Armandzie? – rzucił gniewnie brat Torquemada. – Chcesz być inkwizytorem czy nie?

– Chcę, ojcze. Bardzo chcę – padła natychmiast odpowiedź mego mistrza. – Ale...

– Więc koniec dyskusji! – Przeor podniósł głos. – Armandzie, musisz to zrozumieć. Kiedyś będziesz mi za to wdzięczny.

– A szpital? Co ze szpitalem? – Słyszałem żal w głosie mego patrona, taki prawdziwy, nieudawany, taki, który być może chciałby ukryć, i mnie też zrobiło się go żal.

– Na razie możesz pracować w szpitalu – odpowiedział przeor. – Ale jeśli stwierdzę, że jest jakieś niebezpieczeństwo dla ciebie, zamkniemy szpital. Najważniejsza jest Inkwizycja – dodał surowo.

Zapadła na chwilę cisza i wyobrażałem sobie, jak bardzo brat Armand szarpie się teraz z zakazem przeora.

– Tak, *padre* – odpowiedział po chwili skruszonym głosem. – Będzie, jak postanowisz.

Po tych słowach obaj zakończyli rozmowę, a w chwilę potem brat Constantino zaczął bić w dzwony na nieszpór. Przeor i brat Armand pospieszyli na nabożeństwo.

Ja z Juanem i Alejandro odczekaliśmy chwilę i także ruszyliśmy do kościoła, wychodząc z kryjówek pojedynczo, upewniając się, że nikt, nawet brat Constantino nas nie zauważył.

Ciężkie myśli chodziły po mej głowie, gdy na nieszpórze stałem w ławce obok brata Armanda. Był architektem przyszłej maszyny

zniewolenia ludzi, a walczył o pojedynczego mnicha jak o samego siebie. Myślę, że w tym przypadku wcale nie kierowała nim chęć zdobycia praktyki, bo w końcu na trąd zdążył się już chyba wystarczająco napatrzeć, ale raczej chęć niesienia pomocy ludziom jej potrzebującym. Miał mi wymierzyć okrutną karę, ale poprzednio złagodził orzeczenie przeora. A teraz stał obok mnie – przyszedł sędzia inkwizytor, mój kat. I chociaż nienawidziłem go z całego serca, jakaś część mnie podpowiadała mi, że mogę się mylić. Tylko że nie chcę i chyba już nie potrafię słuchać owej części siebie, co inne ma zdanie na temat Archanioła niż cała reszta mnie. I wstyd mi za siebie i za moją postawę.

20 sierpnia

W klasztorze dziwny, nienaturalny spokój i cisza, która, obawiam się, zwiastuje nową tragedię. Mój mistrz jeszcze ze mną nie rozmawiał, jeśli chodzi o karę, być może nadal nie podjął decyzji.

Wszyscy nowicjusze dostali już zakaz chodzenia do leprozorium, który zakomunikował nam brat Armand i zagroził karą chłosty za jego złamanie. Jednocześnie skończyły się dyżury w leprozorium. W zasadzie zakaz ten i tak dotyczy w głównej mierze mnie, Juana, Alejandra i trochę Mateo, bo pozostali nowicjusze zawsze jakoś wykręcali się od posługi trędowatym i zamieniali z nami na dyżury. Zgodnie z wolą przeora także i mój mistrz zaprzestał opatrywać rany w leprozorium i w ogóle tam zaglądać. Ale widzę, jak wiele kosztuje go posłuszeństwo temu nakazowi. Ile razy łapie się na tym, że chce po coś iść do leprozorium, coś omówić z bratem Manuelem, zobaczyć chorych albo wysłać po coś mnie! Ale za chwilę przypomina sobie zakaz, zaciska zęby i odwraca się w milczeniu albo wychodzi i najczęściej idzie wówczas do szpitala albo, będąc w szpitalu, idzie między chorych. Prawdopodobnie chce zająć myśli czymś innym.

I poświęca swoją ukochaną medycynę dla urzędu inkwizytora! Ale chociaż zapierał się i nadal to czyni, że sądenie w trybunałach Inkwizycji jest dlań najważniejsze, ja wiem i tak, że w głębi duszy, może

nawet nieświadomie, robi to wbrew swojemu prawdziwemu talentowi: leczeniu ludzi. I jestem niemal pewien, że kiedyś ta prawdziwa natura się w nim jeszcze odezwie i brat Armand zrozumie, jak wielki błąd popełnił, dając sobą tak bardzo manipulować przez *padre* Torquemadę.

Na drugi dzień po przyjeździe przeora pożegnaliśmy brata Manuela, który wbrew staraniom mego mistrza i kilku innych mnichów musiał opuścić Santa Cruz i przenieść się do leprozorium. Było to najsmutniejsze popołudnie w klasztorze. I chociaż brat Manuel musiał być przerażony, wiedząc, co go czeka w tej chorobie, i wyobcowany wykluczeniem ze społeczności Santa Cruz, to jednak zachował heroiczną pogodę ducha i nawet usiłował się uśmiechać.

Zgromadziliśmy się wszyscy obok furty. Brat Manuel otrzymał komplet odzieży na zimę i lato, obuwie oraz własne naczynia, a nawet kilka ksiąg z naszej biblioteki. Zabrał również swoje Pismo Święte, brewiarz, różaniec i krzyż. Brat Martin dał mu wiele torebek z mieszankami ziół na różne przypadłości. A *padre* Torquemada wynalazł skądś starą, drewnianą kołatkę, którą podarował odchodzącemu od nas bratu Manuelowi, ku oburzeniu mego mistrza, którego ten wcale nie krył. Ale przeor był niewzruszony i ze zboląłą miną, wręczając bratu Manuelowi ten ohydny relikwiarz ciemnoty i zacofania, powiedział:

– Nie miej nam, bracie, za złe tego podarunku – mówił, co najgorsze w imieniu całego klasztoru. – Ale ta kołatka dla twojego, bracie, dobra jest. Jeślibyś czegoś potrzebował: z lekarstw, odzienia czy modlitwy, tą kołatką oznajmij. Jednak prośba nasza jest taka, abyś zbytnio nie zbliżał się do furty klasztornej i szpitala, ale z daleka mówił, o co prosisz. Wiedz również, że w każdej chwili i w każdej sprawie możesz liczyć na naszą pomoc. – *Padre* Torquemada silił się, aby słychać było troskę i ubolewanie w jego głosie, ale ja wiedziałem, że były one fałszywe.

– Dziękuję, ojczy przeorze. – Brat Manuel wziął kołatkę i ukłonił się z wdzięcznością.

– Klasztor nadal będzie się opiekował leprozorium – zapewnił mój mistrz, nie zwracając uwagi na przeora. – Będziesz miał, bracie, zapewnioną opiekę, żywność i dach nad głową. Proś, o co chcesz. – Brat Armand patrzył z żalem, a sądzę, że jeszcze większy żal szarpał mu

serce i duszę, ale ojcu Torquemadzie się nie sprzeciwił.

– Jeszcze raz dziękuję, bracia, za wszystko. – Brat Manuel miał łzy w oczach. – Każdy dzień z wami spędzony był dla mnie radością. Ale Bóg wzywa mnie dziś na zupełnie inną ścieżkę życia, po której muszę pójść sam. – Głos mu się łamał. – Będę się za was modlił. I każdego dnia będę przy was.

Ścisnęło się we mnie serce, boleśnie i żałośnie. Niewiele myśląc o zakazie przeora, podbiegłem do brata Manuela i uścisnąłem go z całych sił.

– Wraz z tobą, ojczy, odchodzi stąd to, co najlepsze – powiedziałem przez łzy.

Słyszałem, że przeor krzyknął za mną, abym się nie zbliżał, ale mnie już to nie obchodziło. Za mną zaś pospieszyli Juan, Alejandro, brat Alvaro, Mateo, mój mistrz, brat Martin, brat Jorge, brat Santiago i brat Constantino. Wszyscy uściskaliśmy brata Manuela i wszyscy, jestem tego pewien, bez względu na dzielące nas na co dzień różnice, w tamtej chwili myśleliśmy i czuliśmy to samo: ogromny, rozdzierający duszę smutek i wielką niesprawiedliwość losu, co zgotował naszemu bratu takie przeznaczenie i przeora, który podjął tak okrutną i niegodną zakonnika decyzję.

Brat Manuel dziękował nam wszystkim, ale *padre* Torquemada, najwyraźniej niezadowolony z naszego spontanicznego zachowania, ponaglił go. Ojciec de Ovieda wziął więc z ziemi tobolek z rzeczami i tę wstrętną, upokarzającą w moim przekonaniu kołatkę i podszedł do furty. Sam ją musiał otworzyć, bo tym razem brat José nie pofatygował się, aby to zrobić. Jest jednym z przeciwników pozostania brata Manuela w klasztorze i z pewnością bał się zarażenia trędem.

Kiedy skrzydło furty zamykało się za ojcem de Ovieda, myślałem, że serce pęknie mi z żalu. Przeor odwrócił się na pięcie i odszedł bez słowa. Podobnie uczynili ci, co nawet nie pożegnali się z bratem Manuelem. Została nas grupka i w milczeniu spoglądaliśmy po sobie z boleścią w oczach. Z wolna my również zaczęliśmy rozchodzić się do swoich zajęć.

Ja także, odrętwiały z żalu, oburzony na cały świat, zły z powodu własnej bezsilności ruszyłem w stronę swojej celi. Chciałem się zaszyć

w samotności na resztę dnia i na spokojnie odcierpieć stratę przyjaciela i brata. W połowie drogi dogonił mnie brat Armand. Prawie podskoczyłem na jego widok, bo spodziewałem się, że oznajmi mi karę za nieposłuszeństwo, jaką dla mnie wymyślił, ale on zatrzymał się i odwrócił w moją stronę. Stałem naprzeciw niego niepewnie.

Mistrz spojrział na mnie łagodnie, bez cienia urazy czy niezadowolenia. Twarz jego, choć smutna, była jasna i szczerą.

– Antonio – powiedział ciepło – mimo że ostatnio różniliśmy się, i to bardzo, wiedz, że dzisiaj byłem z ciebie dumny.

Zaniemówiłem ze zdziwienia, słuchając tych słów, bo mogłem spodziewać się wielu rzeczy, ale nigdy bym nie pomyślał, że mistrz powie mi coś tak miłego.

– Ty pierwszy podszedłeś do brata Manuela, łamiąc mój zakaz – mówił dalej brat Armand. – Wiedziałaś, że człowiek ważniejszy jest niż jakieś polecenie. Masz wielkie serce, Antonio, i dzisiaj po raz kolejny dumny byłem z tego, że jesteś moim uczniem. – Uśmiechnął się do mnie, jakby zapomniał zupełnie o słowach, które ostatnio do siebie wypowiedzieliśmy.

– Dziękuję, ojciec... – wymamrotałem w osłupieniu. – Po prostu nie zgadzam się z decyzją *padre* Torquemady. Uważam, że jest niesprawiedliwa.

Ruszyliśmy w stronę naszego segmentu. Nad głowami zwieszały się gałęzie kwitnących róż.

– Ja także się z nią nie zgadzam. – Słyszałem wyraźnie bunt w głosie brata Armanda.

– Ojciec... – Pomyślałem, że to dobra chwila, aby go przeprosić za to, co mówiłem. – Wybacz mi ostatnią kłótnię. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Nie powinienem podnosić głosu.

Mistrz spojrział na mnie smutno.

– Antonio, jeszcze nie zdecydowałem o karze, jaką otrzymasz – powiedział twardo. – Ale przeprosiny nic tu nie wskórają. Kara cię nie minie.

– Wiem, ojciec – przyznałem, bo wcale nie łudziłem się, że będzie inaczej. – I nie dlatego cię przepaszam. Ostatnio nie wiem, co się ze mną dzieje. Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym wrócić do lektury

ksiąg medycznych... – dodałem niepewnie, mając nadzieję, że pomimo urazy, jaką zapewne do mnie żywił, pozwoli mi jednak korzystać ze swojej biblioteczki.

Naprawdę chciałem się dalej uczyć.

– Nigdy nie jestem przeciwny nauce, Antonio – zapewnił mnie mistrz. – Potrzebujesz jakichś książek z mojego zbioru, czy tak? – zapytał, jakby czytał w moich myślach.

– Tak, ojciec – przytaknąłem.

– Chodźmy więc. – Wskazał ręką alejkę i schody prowadzące do naszych cel. – Wybierzesz sobie, co cię interesuje.

Ruszyliśmy w stronę naszego segmentu.

Wiem również od Camilo, że przeor zabronił ojcu Celestino czynić wzmianki w Kronice o chorobie brata Manuela de Ovieda i jego wykluczeniu z Convento de Santa Cruz la Real. Zastanawiałem się, dlaczego tak postąpił, i doszedłem do wniosku, że być może nie było to do końca zgodne z prawem, że to raczej zabobon niż obyczaj i *padre* Torquemada mógł słusznie przypuszczać, że potomni poczytają mu to za hańbę raczej niżli za przysługę. Nie wiem, czy brat Celestino posłuchał przeora, ale obawiam się, że innego wyjścia nie miał. *Padre* Torquemada może przecież w każdej chwili zażądać wglądu do Kroniki. Tym samym wiem również, że przeor wstydzi się swej decyzji, jednak gotów jest na każde ustępstwo i każde poświęcenie w imię Inkwizycji. Aż boję się pomyśleć, co jeszcze gotów jest uczynić...

Poza tym wydarzeniem nic się nie dzieje. Juan i Alejandro przygotowują się do złożenia ślubów. Alejandro na myśl o spowiedzi z całego życia przed bratem Armandem dostaje bólu głowy. Drętwieje, jak twierdzi. Juan ma nadzieję, że ochroni go cokolwiek dawna przyjaźń jego patrona z moim, w razie czego. A ja sądzę, że ta zapowiedź spowiedzi to zwykły straszak. Nic nie będzie. Brat Armand, choć zasmucony historią brata Manuela, chodzi ostatnio w dobrym humorze z powodu planowanego rychłego powołania Inkwizycji w Hiszpanii i myślę, że głowę zaprzęta mu już tylko to. A jeśli nawet nosi w sobie jakąś złość, skupi ją na mnie, wymyślając mi okrutną karę, a pozostałym winy odpuści.

Zauważyłem, że brat Constantino ostatnio coraz więcej przygląda

się mojemu mistrzowi, z tą samą co zwykle nienawiścią, a może także i urazą w oczach. Nie rozmawiałem z nim od ostatniej naszej dyskusji i teraz też unikam go jak ognia. Zaś tego, że śledzi coraz baczniej brata Armanda, udaję, że nie widzę. Czymkolwiek jest to spowodowane, nic mi do tego i nie będę się tym przejmował. To w końcu nie moja sprawa, a brat Armand jest mądrzejszy, więc także sam powinien to zauważyć. I tylko nie wiem, skąd we mnie to przeświadczenie, że będą z tego poważne kłopoty...

25 sierpnia. Późnym wieczorem

Rozdygotaną ze zgrozy ręką kreślę dzisiejszy wpis, opowiadając o zbyt potwornych wydarzeniach, aby można było pisać o nich ze spokojem. Trwający od jakiegoś czasu dziwny marazm w opactwie wieszczył coś okropnego, ale nigdy nie spodziewałbym się takiego obrotu zdarzeń.

Po porannej mszy, gdy tłumnie wychodziliśmy z kościoła, brat Armand podszedł do mnie, gdy rozmawiałem z Juanem i Alejandrem. A że chciał ze mną mówić na osobności, obaj nowicjusze odeszli pospiesznie, jakby nie tyle chcieli zostawić nas samych, ile raczej zejść bratu Armandowi z oczu. I to szybko.

– Antonio, podjąłem decyzję co do kary dla ciebie – rzucił sucho mistrz.

Wstrzymałem oddech. Głos miał chłodny i chyba naprawdę smutny. Przełknąłem ślinę.

– Rozmawiałem już z *padre* Torquemadą i zgodził się, że otrzymasz znów chłostę – mówił dalej mistrz. – Cięższą niż ostatnia. Cięższą nawet niż ta dla Alejandra, więc przygotuj się do niej także, a może przede wszystkim duchowo. – Popatrzył na mnie z upomnieniem w oczach i niewypowiedzianym nakazem.

Zrobiło mi się zimno, bo słowa brata Armanda zabrzmiały, jakbym miał jej nie przeżyć.

– Ojczy, dlaczego tak surowa kara? – zapytałem, niewiele myśląc, bo naprawdę czułem już przerażenie.

– Bo wydaje mi się, że łagodniejsza nie odniesie skutku – odpowiedział twardo mistrz. – Próbowałem z tobą rozmawiać po dobroci, próbowałem łagodnej perswazji, ale to na nic. Nic do ciebie nie trafia, więc może faktycznie trzeba tobą potrząsnąć, żebyś zrozumiał. Jesteś tu nikim, Antonio – mówił zimno. – Nowicjusze nic nie znaczą. Twoim obowiązkiem jest bezwzględne posłuszeństwo, a przecież chyba nie wymagam nadludzkich rzeczy. A ty nie tylko, że masz gdzieś to, o co cię proszę, ale gardzisz mną i nienawidzisz, siebie samego uważając za pana. Nie wiem, kto cię tego nauczył, ale popełniasz ciężki grzech, Antonio. Moim obowiązkiem jest cię zawrócić z tej niewłaściwej drogi, zanim będzie za późno. Ta chłosta to dla ciebie ostatnie ostrzeżenie. Później zostaniesz relegowany z klasztoru, jeśli i ona nie poskutkuje.

Serce uderzało mi tak głośno, że chyba słyszało je całe opactwo, a przynajmniej tak mi się wydawało. Pomyślałem, że nie przeżyję tej chłosty. Nadal mam na plecach świeże, różowawe blizny po ostatniej karze, a jeśli teraz zarządzą nową chłostę ponad pięćdziesiąt uderzeń, które dostał Alejandro, na plecach nie pozostanie mi skrawek zdrowej skóry. Przeszły mnie ciarki na samą myśl o bólu, jaki przyjdzie mi wycierpieć...

– Ojczy, proszę, tylko nie chłosta! – Chwyciłem oburącz brata Armanda za przedramię. – Nie taka chłosta! Błagam, zamień tę karę na cokolwiek innego!

Spojrzał na mnie wzrokiem pozbawionym emocji.

– Przykro mi, Antonio. To już postanowione – oznajmił.

– Nie przeżyję tego! – mówiłem rozgorączkowany, czując, jak coraz bardziej dławi mnie strach. – Błagam cię, ojczy, odwołaj to. Błagam...

Brat Armand cofnął rękę.

– Powiedziałem już ostatnie słowo – rzucił lodowato. – To są konsekwencje twojego zachowania. Trzeba było myśleć, kiedy byłeś nieposłuszny. – Odszedł krok, jakby chciał udać się do swojej celi.

Padłem na kolana, czując, jak paraliżuje mnie gorący strach, który rozchodził się z serca do grzbietu i ramion.

– Ojczy, proszę... – Po policzkach ciekły mi łzy. – Ja nie chciałem wtedy mówić tego wszystkiego. Wcale tak nie myślę... – Trzęsły mi się

dłonie, a gardło dławił szloch.

Na szyi zaś czułem ohydny, gorący oddech nieodwołalnego...

– Nie? – powtórzył za mną brat Armand, podchodząc bliżej. – Czy to przypadkiem nie ty z Juanem i Alejandrem nazywacie mnie złośliwie Archaniołem? Czy to nie wy naśmiewacie się ze mnie i krytykujecie mnie i przeora za plany Nowej Inkwizycji? Czy to nie ty, Antonio, wypytujesz o mnie braci, grzebiąc w mojej przeszłości, szukając sensacji albo Bóg wie czego? Czy to nie ty mnie podsłuchiwałeś albo i nadal to robisz? Czy to nie ty mnie nienawidzisz? – mistrz grzmiał i jego twarz była wzburzona. – Czyż nie, Antonio? Odpowiedz!

Zapadła cisza. Wszystko, o czym mówił mistrz, było prawdą.

– Nie robiłem tego złośliwie, *padre*... – powiedziałem cicho ze spuszczoną głową. – Jeśli cię uraziłem, przepraszam.

– Za późno na przeprosiny – odpowiedział chłodno mistrz. – Ale przyjmuję je, nawet jeśli płyną tylko ze strachu przed karą. Nie zmieniam jednak mojej decyzji. Kara będzie wykonana dziś po nonie.

Spojrzałem nań, jak stał nade mną nieugięty.

– Ojczy, nie musisz tego robić... – powiedziałem, nadal klęcząc.

Gasła we mnie nadzieja z każdym wypowiedzianym przez mistrza słowem. Na samą myśl, że go nie przekonam, ogarniało mnie przerażenie.

– Nie. Nie muszę – przyznał mistrz spokojnie. – Ale chcę. – W jego oczach był lód i próżno szukałbym tam współczucia czy litości.

A potem brat Armand odwrócił się i odszedł, zostawiając mnie na placu przed fontanną klęczącego na chochlakach i osłupiałego tym, co przed chwilą tu zaszło.

Naraz poczułem, że nie mam czym oddychać, że coś zaciska pętlę na moim gardle i za chwilę zabraknie mi powietrza. Obraz zmasakrowanego Alejandra zwieszającego się bezwładnie z haków przybitych do dzwonnicy uparcie pojawiał mi się przed oczami.

– To niemożliwe... – szeptałem do siebie, nie mogąc zrozumieć, jak można być tak okrutnym człowiekiem jak mój mistrz!

Wolno podnosiłem się z kolan, ale czułem, że mi słabo. Oparłem się o reling fontanny, a potem przemyłem sobie twarz tryskającą z niej wodą. Serce dudniło mi w piersi, piekły mnie policzki, kręciło mi się

w głowie.

Boże, zmiłuj się nade mną!... – pomyślałem. – Zmiłuj się, bo oszaleję ze strachu. A strach mnie palił. Od środka. Gorącym, wstrętnym płomieniem. Nie było ani jak przed nim uciec, ani dokąd, a wzmagał się z każdą chwilą, im bliżej godziny kaźni byłem. Bo to miała być kaźń. Nie kara. Kaźń...

Rozejrzałem się po zalanym słońcem pustym dziedzińcu, ale znikąd nie mogłem przecież spodziewać się ratunku. Dokąd miałem teraz pójść? Z kim rozmawiać w sprawie łaski? Gdzie lub u kogo się ukryć?

Pierwszą moją myślą była ucieczka. Z opactwa. Pełniłem akurat na własną prośbę z Mateo dyżur w szpitalu, zatem nic prostszego. Nikt nie spodziewa się, że przyjdzie mi coś takiego do głowy, a już na pewno nie dumny i bezwzględny brat Armand. Ani on, ani przeor, który stoi przecież za decyzją mego mistrza, nie biorą takiej możliwości pod uwagę. Tylko dokąd pójdę? Przecież nie do domu rodzinnego! Ojciec chyba by mnie zabił, gdyby mnie zobaczył w drzwiach, więc w zasadzie bez różnicy, kto mnie pozbawi życia: brat Armand pod razami kata czy rodzony ojciec z wściekłości za złamanie przysięgi danej Bogu. Jeśli pójdę w miasto, w noc, przed siebie przez równiny Kastylii, cóż będę robił? Z czego żył, jeśli nie mam żadnego fachu w ręku, bo całe życie przygotowywano mnie do posługi Bogu? I czy gotów jestem, aby unieść ten grzech: wiarołomstwa i sprzeniewierzenia się woli rodziców i Boga? Nie. I choć pomysł ucieczki pierwszy przyszedł mi do głowy, to od razu wiedziałem, że jest niedorzeczny. Zatem nie pozostawało mi nic innego jak zmierzyć się z karą chłosty i wolą mistrza, który od jakiegoś czasu z dnia na dzień staje się coraz bardziej skostniały, zimny, daleki myślami, pozbawiony litości i okrutny. Kiedy go poznałem, był jeszcze innym człowiekiem, chociaż znajdował się już na dobrej drodze do tego, kim jest dzisiaj. Torquemada go indoktrynuje, wykrzywia mu umysł i duszę, lepiąc z nich twardego, bezwzględnego, potwornego sędziego-inkwizytora. A to dopiero początek drogi dla Inkwizycji. Co będzie dalej?...

Zrezygnowany, przestraszony i dezorientowany usiadłem na chochlakach alejki w cieniu rzucanym przez fontannę. Nie miałem już

nic do roboty, może poza rachunkiem sumienia, nie miałem dokąd iść. Cały mój dotychczasowy świat kończył się po nonie i nie potrafiłem sobie wyobrazić ani jednej chwili, która nastąpiłaby później, po chłości. Albo nie chciałem jej sobie wyobrażać...

Podszedł do mnie Mateo, aby iść razem do szpitala, a usłyszawszy, co się święci, strasznie się zdenerwował. Chciał nawet iść do brata Armanda i z nim rozmawiać, ale przecież i tak absolutnie nic by to nie dało. Poprosiłem go, aby poszedł sam do szpitala, bo wiedząc, że będzie tam mój mistrz, nie chciałem się z nim widzieć, ale Mateo siłą postawił mnie na nogi.

– Zajmij się robotą, bo do wieczora zwariujesz! – rzucił rozkazująco. – Skoro nie da się odwołać tej kary, postaraj się o niej nie myśleć. A złu wychodź naprzeciw, a nie chowaj przed nim głowę. – To mówiąc, otrzepał mi kutę z piasku. – Pokaż bratu Armandowi, że się go nie boisz. To dla niego będzie najgorsza obelga. Przecież on po to właśnie zarządził tę karę, aby cię zastraszyć, zaszczuć! Jeśli nie okażesz strachu, jego plan się nie uda. Nie będzie już taki pewny siebie i dumny. Poza tym jako jego ofiara masz nad nim przewagę moralną. I on o tym wie. Każdy stanie po twojej stronie.

Słuchałem słów Mateo, które dodawały otuchy. Nic jednak nie zmieniały w tym, że każn się odbędzie.

– To nic nie zmieni... – powiedziałem cicho. – On i tak mnie złamie. Już to zrobił... Wieczorem tylko zatriumfuje...

Mateo zmarszczył czoło.

– Do wieczora szmat czasu – powiedział. – Wszystko się jeszcze może zmienić. Może przekonamy brata Armanda w szpitalu? Chodź! – Pociągnął mnie za ramię w stronę furty.

Ruszyłem za nim, nieco się ociągając.

– Tu się nic nie może zmienić! – rzuciłem z wyrzutem, patrząc w niebo. – Nikt bratu Armandowi się nie sprzeciwia. I nic na tym świecie nie zmieni mojego dzisiejszego losu! Nie ma takiej siły! – Roześmiałem się ciężkim, spastycznym śmiechem, w którym nie było ani krzty prawdziwej radości.

Poszliśmy obaj do szpitala.

Gdybym w tamtej chwili wiedział, jak bardzo prorocze były moje

słowa, ugryzłbym się w język! Ale skąd mogłem przypuszczać, co gotował los bratu Armandowi, mnie i całemu opactwu?!

Oczywiście w szpitalu mistrz mój zachowywał się tak, jakby naszej porannej rozmowy w ogóle nie było. Tylko Mateo rzucał mu długie, wymowne spojrzenia, które brat Armand zupełnie ignorował, o ile w ogóle je zauważał. Potem zaś pracujący z nami w szpitalu brat Constantino poszedł przygotować kościół do nabożeństwa na Anioł Pański, zaś patron mój także za chwilę wyszedł w stronę opactwa, każąc mi sobie towarzyszyć, co też uczyniłem. Mateo został jeszcze kilka minut, żeby skończyć zmianę bandaży u kobiety z odciętą ręką.

Mistrz nie odzywał się całą drogę do furty Santa Cruz, ale od czasu do czasu spoglądał na mnie uważnie. Ja zaś, za radą Mateo, starałem się nie dać po sobie poznać, jak bardzo boję się tej chłosty, ale było to szalenie trudne. Tylko Archanioł mógł wiedzieć, czy mi się to udawało.

– Ojcie... – odezwałem się pierwszy. – Na wypadek, gdybym... Gdybym dzisiaj... No, wiesz, ojcie... – Ledwie mówiłem ze strachu. – Jeśli się stanie najgorsze, przebacz mi. Chcę stanąć przed Bogiem z czystym sumieniem – dokończyłem prawie szeptem.

Brat Armand popatrzył na mnie zakłopotany.

– Wybaczyłem ci już, Antonio – powiedział. – I nie pozwolę ci umrzeć. Nie chcę cię zabić, na Boga, ale czegoś nauczyć! Nadal więc widzisz we mnie tylko zło... – Zastanowił się. – Powiedz, czemu mi się nie udaje z tobą porozumieć?

– Wybacz mi, ojcie – powtórzyłem. – Inaczej już nie potrafię. Ktoś, kto nosi w sobie dobro, nie zarządziłby tej kaźni...

Mistrz westchnął i dłuższą chwilę nic nie mówił, a gdy się w końcu odezwał, usłyszałem w jego głosie determinację:

– Najbardziej skutecznym lekiem jest ten, który jest najbardziej gorzki.

– Strachem nie zmusisz mnie, ojcie, do szacunku dla ciebie – powiedziałem. – Choćbyś zarządził i dziesięć takich kar, to nie zmienisz tego, że widzę w tobie zło. Tylko utwierdzasz mnie w tym przekonaniu. A nie możesz się ze mną porozumieć, bo mnie nie słuchasz, ojcie – mówiłem dalej ze smutkiem. – Słuchasz tylko siebie. Kochasz tylko siebie i swoich pacjentów. A każdego, kto jest inny niż ty, chciałbyś

wytresować. Ale to tak nie działa. Przyglądając ci się wielokrotnie w szpitalu, często myślałem, że pomimo tej skorupy na wierzchu, w środku nosisz w sobie dobro, esencję dobra. Dzisiaj widzę w tobie tylko zło. I nigdy już tego nie zmienisz, ojcze. Nie ma nic na świecie, co przekonałoby mnie, że jest inaczej. I współczuję już dziś każdemu, kto wpadnie w twoje ręce, gdy będziesz, ojcze, inkwizytorem. Cieszę się, że mnie wówczas nie będzie w twoim otoczeniu – zakończyłem cicho i nawet zastanawiało mnie, dlaczego zamiast się denerwować, czułem spokój.

Jakbym wcale nie mówił tych słów do Wielkiego Archanioła, który, i tego byłem pewien, za każde z tych zdań gotów był mnie ukamienować.

– Bardzo gorzkie są twoje słowa, Antonio. – Ku memu zdumieniu brat Armand powiedział to również spokojnie, choć zazwyczaj za mniejsze rzeczy unosił się i krzyczał. – Widzę, że porozumienie między nami w ogóle nie jest możliwe... – Zamyślił się i spojrzał na mnie chłodno i z jakąś boleścią w oczach. – Mimo to chłosta i tak się odbędzie.

Kiwnąłem głową.

– Zatem to tylko odwet – rzuciłem. – Nie żadna nauka dla mnie i dla pozostałych nowicjuszy. Czysta zemsta, bo uraziłem dumę Wielkiego Armanda! – Uśmiechnąłem się ironicznie.

– Zapominasz się, Antonio! – upomniał mnie mistrz tonem nakazującym mi milczenie.

– Nie zapominam się, ojcze – powiedziałem z odwagą w sercu, jakiej przy nim nigdy dotąd nie czułem. – Dokładnie to chciałem ci powiedzieć. Zarządź więcej uderzeń batem za to, jeśli musisz. Albo mnie tu zabij. Jest mi wszystko jedno. Pogodziłem się z moim losem. I mam dość takiego życia w strachu przed tobą. Wolę umrzeć, niż żyć tak dalej. – Umilkłem i czułem się szczęśliwy.

Nie tyle dlatego, że wreszcie powiedziałem mu to, na co zasługiwał, aby usłyszeć, ile dlatego, że przestałem się bać tej chłosty. Co mnie tu, w Santa Cruz, mogło czekać lepszego? Nowicjat u brata Armanda gehenną jest, nie radością, udręką i zniewoleniem. Chyba nawet piekło musi być lepsze niż te trzy niespełna miesiące u boku mego

mistrza. To właśnie było piekło. Na ziemi.

Brat Armand nie odezwał się na moje słowa, co także mnie zaskoczyło. W ogóle ta z nim rozmowa była inna niż wszystkie dotąd i zacząłem się nawet zastanawiać, czy Mateo nie miał racji i czy mistrz mój rzeczywiście nie chciał mnie tylko zastraszyć, a widząc, że jego metody skutku oczekiwanego nie odnoszą, uznał, że poniósł porażkę, i przestał je stosować. Szkoda, że w naszych relacjach musieliśmy zejść tak daleko, żeby zacząć się w ogóle porozumiewać. O ile ten chłodny spokój można nazwać porozumieniem.

Weszliśmy w furtę Santa Cruz. Było jeszcze kilkanaście minut do południa, ale brat Armand kroki swoje skierował od razu w stronę kościoła, a ponieważ nie zwolnił mnie z obowiązku towarzyszenia sobie, szedłem obok niego. W ciężkim milczeniu.

Gdy mijaliśmy fontannę, podszedł do nas przeor, idący na nabożeństwo od strony swego gabinetu. Ukłoniłem mu się grzecznie, ale w sercu czułem obrzydzenie, bo wiedziałem, że jest on *spiritus movens* zarządzenia kary chłosty.

– Bracie Armandzie – zaczął przeor, gdy byliśmy obok dzwonnicy – pomyślałem, aby datek od Królowej przeznaczyć na wybudowanie nowej dzwonnicy. – Zatrzymał się w rzucanym przez nią cieniu, my również. – Jest już stara i bardzo zniszczona. Chcę postawić na jej miejscu nową, murowaną, podobną w stylu do naszego kościoła.

– Zgadza się, *padre* – przytaknął mój mistrz. – Ta ledwie wytrzymuje ciężar dzwonów. – Popatrzył w górę. – Galeryjka i dach są przegniłe. W dziurach po brakujących dachówkach gnieźdzą się ptaki. Nie ma co zwlekać, trzeba ją zburzyć.

I dobrze! – pomyślałem. – Zniknie miejsce wykonywania egzekucji. Przynajmniej dopóki nie wybiorą innego.

– Zastanawiałem się, bracie Armandzie – mówił dalej przeor – czy zamówić nowe dzwony, czy stare są jeszcze dobre i nam posłużą. Nie chciałbym wydawać pieniędzy Królowej nazbyt rozrzutnie. – Spojrzał wymownie na mego mistrza. – Dlatego pomyślałem sobie, że warto byłoby je obejrzeć. Zobaczyć, w jakim są stanie.

Teraz wszyscy trzej zadzieraliśmy głowy i patrzyliśmy na wiszące w górze dzwony, których stopnia zniszczenia z dołu i tak nie sposób

było ocenić.

– Oczywiście, *padre* – odpowiedział po chwili mój mistrz. – Po nabożeństwie porozmawiam o tym z bratem Constantino...

– Armandzie – przerwał mu brat Torquemada – wolałbym, abyś zajął się tą sprawą osobiście. Jesteś dokładny i nikt tego nie sprawdzi tak jak ty. Mam do ciebie pełne zaufanie. I tylko do ciebie – ostatnie zdanie dodał prawie szeptem i znów spojrzał wymownie na mojego mistrza.

– Oczywiście. – Brat Armand skłonił głowę. – Zajmę się tym zaraz po nabożeństwie. Z galeryjki powinno być dobrze widać obydwie dzwony.

– Dobrze. – Przeor ruszył w stronę kościoła, a my za nim. – Będę na ciebie czekał potem w swoim gabinecie. Musimy porozmawiać.

– Tak, ojcze – odpowiedział brat Armand.

Trochę dziwnie się czułem, słuchając tego wszystkiego. Obaj z przeorem traktowali mnie jak powietrze, co także było nieprzyjemne. I w zasadzie nie jestem sobie teraz w stanie odpowiedzieć, dlaczego stałem wraz nimi pod dzwonnicy i słuchałem tej rozmowy! Gdybym tylko wiedział, co z tego potem wyniknie, pobiegłbym co tchu do kościoła albo gdziekolwiek indziej, byle tylko nie być świadkiem tego, o czym rozmawiali!

W drodze do kruchty kościelnej minął nas brat Constantino zmierzający w stronę dzwonnicy, aby wezwać wszystkich na modlitwę. Rzucił przelotnie memu mistrzowi swoje pełne nienawiści spojrzenie, ale zrobił to w taki sposób, że brat Armand się nie zorientował. A potem uśmiechnął się do nas i poszedł dalej zadowolony. Przestałem się już przejmować takim jego zachowaniem. Za chwilę też rozdzwoniły się dzwony na Anioł Pański.

Nabożeństwo było dziś wyjątkowo krótkie albo mnie – skazanemu na tę straszną, krwawą kaźń – czas płynął wyjątkowo szybko. Ale najgorsze wydarzyło się po modlitwach. Coś, co przeraziło cały klasztor, a mnie skazało na los, o którym boję się nawet pomyśleć, że będzie znacznie gorszy od chłosty, którą mieli na mnie wykonać.

Gdy wyszliśmy z kościoła, a wychodziłem z bratem Armandem, który z niewiadomego powodu kazał sobie bez przerwy towarzyszyć, mistrz mój podszedł do dzwonnicy i otworzył na oścież drzwi

prowadzące do jej wnętrza. Buchnął stamtąd straszny zaduch, a po chwili brat Armand odprawił mnie dość chłodno i wszedł do środka. Natychmiast odwróciłem się na pięcie i odetchnąłem z ulgą. Postanowiłem iść do swej celi i napisać list do rodziców. Korespondencja z rodziną w nowicjacie jest zabroniona, ale ja chciałem napisać ten list na wypadek, gdyby brat Armand zakatował mnie dziś na śmierć. Przemierzając dość wolno i w skupieniu dziedziniec, myślałem o tym, co im napiszę, jak to wszystko wyjaśnię, te kłótnie z patronem i tę karę, aby zrozumieli, że nie tylko moja w tej sytuacji była wina. Wszedłem na schody naszego segmentu i stojąc na balkonie przed wejściem do korytarza, spojrzałem na dziedziniec. Zrobiłem to odruchowo, bo wydawało mi się, że kątem oka zobaczyłem po lewej mojej stronie jakiś dziwny blask. Widok, który ukazał się moim oczom, zmroził we mnie krew w żyłach. Dolna część dzwonnicy stała w płomieniach... W jej wnętrzu zaś był brat Armand...

Przeskakując po kilka stopni, zbiegłem ze schodów na alejkę, a potem w mgnieniu oka przemierzyłem dziedziniec i znalazłem się przy dzwonnicy. Rozejrzałem się wokół, szukając ratunku albo kogokolwiek z braci, aby mi pomógł, ale dziedziniec był jak wymarły. Podeszedłem do drzwi, a raczej do kurtyny z płomieni, za którą znajdowały się kiedyś drzwi, ale od razu wiadomo było, że ich nie otworzę. Cofnąłem się kilka kroków, bo żar od ognia był za duży.

Płomienie szybko trawiły wysuszone na wiór upałami Hiszpanii drewniane ściany dzwonnicy. Myślałem o moim mistrzu, czy jeszcze żyje. I jakkolwiek do tej pory czułem, że go nienawidzę, teraz naprawdę zrobiło się go żal. Pomyślałem, że umarł potworną śmiercią, bo w płomieniach, o których tyle razy nam, nowicjuszom, opowiadał i nawet przyszło mi na myśl, czy to nie Bóg podpalił dzwonnice, by mistrza mego pokarać za pychę i Nową Inkwizycję. Jego i pośrednio brata Torquemadę, któremu odebrał ukochanego ucznia, protegowanego i może przyszłego jego następcę.

Stałem jak sparaliżowany na alejce prowadzącej z kościoła do fontanny i nie mogłem się ruszyć. Patrzyłem jak zahipnotyzowany na sięgające coraz wyżej płomienie i nie byłem w stanie wydobyć z siebie głosu. Obezwładnił mnie strach... Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie

widziałem. Ale zdawałem sobie sprawę, że wobec tak niszczącego żywiołu żadne próby gaszenia dzwonnicy nie zdadzą się na nic.

I wtedy go zobaczyłem... Wszedł na balkon, który galeryjką otaczał całą górną część dzwonnicy. Brat Armand żył! Rozejrzał się szybko po dziedzińcu i jego wzrok padł na mnie. Ale zamiast wołać ode mnie ratunku, rzucił mi spojrzenie pełne nienawiści, które przygwoździło mnie tam, gdzie stałem. Otworzyłem usta, żeby do niego krzyknąć, aby spróbował skoczyć, ale huk płomieni i tak by mnie zagłuszył. Brat Armand zaś szybkim ruchem wszedł z powrotem do wnętrza dzwonnicy.

Boże, cóż on robi?! – pomyślałem. – Spali się żywcem, to pewne! Wydaje mi się, że już w tamtej chwili przez mą głowę przemknęła myśl, czy przypadkiem brat Armand, widząc mnie samego u stóp dzwonnicy, nie pomyśli, że to ja podłożyłem ogień, ale zaraz ją odgoniłem. Po cóż miałbym to robić?

Patrzyłem, jak ogień obejmuje pustą już galeryjkę, a mimo to nadal nie krzychałem o pomoc. I gdybym miał odpowiedzieć dlaczego, nie umiałbym znaleźć przyczyny. Być może dlatego, że wydawało mi się, że brat Armand nie ma szans się uratować z tego piekła. A może podświadomie pozwoliłem mu umrzeć...?

W okamgnieniu, w ciągu zaledwie minuty, może dwóch, płomienie ogarnęły całą dzwonicę – od szerokiej podstawy po sam kwadratowy czubek zwieńczony łamanym dachem ze starych, drewnianych, wypłowiałych słońcem dachówek, na którego szczycie zatknięty był niewielki, prosty krzyż drewniany, tak samo zniszczony czasem jak cała reszta. Płomienie strzelały wysoko w górę, sięgając poziomu kościelnej iglicy, zaś czarny jak smoła słup kłębiastego dymu unosił się ku niebiosom. A że było bezwietrznie, leciał prosto, niczym smukła wieża gotyckiej katedry sięgająca hełmem nieba. Patrząc na jego zmieniające się kształty, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że w tym dymie unosi się dusza brata Armanda, tak samo czarna od złych uczynków i przepełniona pychą życia, jak ten dym.

Naraz przyłapałem się, że w myślach bezwiednie od jakiegoś czasu odmawiam modlitwę *Requiem aeternam*[21]... Dla mojego mistrza. Za jego duszę... Odsunąłem się jeszcze kilka kroków, bo żar stał się nie do

zniesienia i palił mnie w twarz. Płomienie trzaskały z hukiem, który przepełniał zgrozą. Bez wątplenia widać je było zza murów klasztornych, a słup czarnego dymu musieli też widzieć mieszkańcy Segowii.

W tym momencie pod dzwonnice nadbiegł Ricardo i zaczął krzyczeć na cały głos, że się pali. To mnie otrzeźwiło z osłupienia. Błyskawicznie.

– Brat Armand jest w środku! – starałem się przekrzyczeć płomienie, a Ricardo rzucił się do fontanny, choć przecież nie miał żadnego naczynia, w które mógłby nabrać wody.

Zresztą i tak było za późno. Ricardo obejrzał się na dzwonnice, która była już jedną wielką pochodnią.

– Boże... – wyjąkał, a ja raczej wyczytałem to słowo z jego ust, niż je naprawdę usłyszałem. – To niemożliwe...

Zewsząd zbiegali się mnisi z wiadrami, które zanurzali w wodzie na dolnym poziomie fontanny. Szybko też ustawiliśmy się w szereg i podając sobie nawzajem wiadra z wodą, usiłowaliśmy ugasić ów potworny żywioł. Ale daremnie! W okamgnieniu wśród braci rozeszła się wieść, że mistrz mój jest wewnątrz dzwonnicy. Bracia spoglądali po sobie przerażeni, lamentowali nad losem brata Armanda i dociekali, jak to się mogło stać.

Właśnie! Właściwie należałoby spytać, jak doszło do tej pożogi, jeśli nie był to grom z jasnego nieba?! Bo wykluczam całkowicie możliwość, że brat Armand mógłby sam siebie podpalić. Zbyt był zadowolony i dumny ze swego życia, zbyt wiele miał planów i marzeń, aby chcieć własnej śmierci! Zatem ktoś celowo podłożył ogień!... Myśl ta była tak straszna, że gdy przyszła mi do głowy, przeszedł mnie dreszcz.

Nie mogłem jednak dłużej się nad nią zastanawiać, bo bracia podnieśli lament, że dzwonnica się chwieje i że zaraz runie. Rozbiegliśmy się po dziedzińcu i patrzyliśmy, jak przepalone ściany ustępują pod ciężarem dwóch spiżowych dzwonów. Straszny to był widok, gdy dzwonnica runęła, przewracając się na stojące obok, nieduże drzewko cytrynowe i alejkę. Ciężkie zaś jej dzwony uderzyły z hukiem o reling dolnego poziomu fontanny, rozłupując go. Woda, która

chlusnęła, rozlała się po dopalających się resztkach tego, co jeszcze kilka minut temu było dzwonnica, gasząc wąż teraz i dogorywające na niej płomyki. Zgliszcza dymiły się jeszcze, gdzieś pojawiały się żar i ogień, ale jego języki nie miały już zbytnio czego trawić. Śwąd spalenizny zaś był uderzający.

Brat Armand nie żył... Nikt na świecie nie przeżyłby takiej pożogi. Jego zwęglone ciało leżało gdzieś przykryte zgliszczami. Każdy z nas się przeżegnał... Bracia pospuszczali głowy w milczeniu. Ricardo zaś podbiegł do szczątków dzwonnicy i zaczął gołymi rękami je rozgarniać. Robił to w zapamiętaniu, z zapłakaną twarzą, niemal w szale! Ale nikt z nas nie zareagował. Wszyscy staliśmy w osłupieniu, że do tej śmierci w ogóle doszło.

Przyznaję, że w tamtej chwili w ogóle nie docierała do mnie myśl, że brat Armand nie żyje. To znaczy wiedziałem, że pewnie tak jest, ale nie rozumiałem tego do końca. Byłem odrętwiały, przerażony tą tragedią i tym, że wszystko stało się tak nagle... W ciągu minut...

Z fontanny wciąż chlustała woda, rozlewając się na dopalające się zgliszcza, gdy nadbiegł przeor. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba brat Constantino podszedł doń i powiedział cicho, że brat Armand nie żyje. Twarz brata Torquemady zrobiła się biała z wściekłości, bielsza niż kartka z mojego pamiętnika. Rysy wyostrzyły się jeszcze bardziej, zaś oczy płonęły strasznym, mściwym, wszechpochłaniającym ogniem, sto razy gorszym niż ten, który strawił dzwonnice. Zacisnął i tak wąskie usta i wszedł pomiędzy nas stojących naokoło zgliszcz. Niektórzy bracia uklękli i w ciszy modlili się z całą pewnością o duszę mojego mistrza.

Stałem obok Juana i Alejandra i chociaż się nie odzywaliśmy do siebie ani słowem, wiedziałem, że wszyscy trzej myślimy o tym samym: widać Bogu nie spodobał się pomysł utworzenia w Hiszpanii Nowej Inkwizycji Armanda i Torquemady i Bóg dał temu wyraz, zabijając jej twórcę w tak potworny sposób. Nie wiedziałem, czy Bóg pokierował czyjąś ręką, czy też zrobił to osobiście, ale to na pewno był On. Spojrzałem z wdzięcznością w piękne, bezchmurne niebo, co roztaczało się szeroko nad nami swą głęboko błękitną kopułą, czyniąc nas w tym momencie najbardziej samotną enklawą Hiszpanii.

Po tym pierwszym ataku wściekłości przeor, tak jak poprzednio

Ricardo, rzucił się na gorące wszak jeszcze zgliszcza i miałem wrażenie, że zacznę je rozgrzebywać gołymi rękami w poszukiwaniu doczesnych szczątków brata Armanda. Parzyłem na to ze smutkiem i jakoś tak było mi przykro.

W pewnym momencie *padre* Torquemada padł na kolana tuż obok prawdopodobnych pozostałości galeryjki i ukrył twarz w dłoniach. Klęczał tak kilka minut w absolutnej ciszy, a potem spojrzął w niebo oczami pełnymi wyrzutu i złości i naraz niespodziewanie zerwał się na równe nogi. Odwrócił się od zgliszcz, a w jego twarzy na powrót widać było bezgraniczną wściekłość i żądę zemsty. Straszliwej, potwornej zemsty, co pałała mu z oczu niemożliwym do ugaszenia pożarem za to, że ktoś lub coś zmarnowało wieloletnie, tak hołubione i tak ukochane dzieło jego życia w osobie mego mistrza. Tę gigantyczną, wprost nie do oszacowania dlań stratę, należało pomścić. Bestialsko i okrutnie. Ku przestrodze? Nie. Nigdy więcej nie pojawi się już ktoś taki jak Armand. Dla odwetu. Odwetu w absolutnej, czystej swej postaci.

Przerażający był to widok, o wiele gorszy niż płonąca przed chwilą dzwonnica! I przerażające było, co zamierza uczynić ten człowiek, by żądę swą zaspokoić na tyle, aby stwierdzić, że jest usatysfakcjonowany.

Przeor powiódł lodowatym wzrokiem po zgromadzonej braci zakonnej, a potem w milczeniu chodził pomiędzy nami i zaglądał nam głęboko w oczy tym swoim surowym, przenikliwym spojrzeniem, co przeszywało na wylot duszę i umysł. Zaglądał nam do sumień... Nie ulegało też wątpliwości, że liczył, że w ten sposób odkryje prawdę.

Ciarki mnie przechodziły po plecach, gdy na to patrzyłem, bo chociaż nie podpałem dzwonnicy, wiele razy w myślach życzyłem bratu Armandowi śmierci. A teraz on nie żył i chociaż nie z mojej winy, to miałem wyrzuty sumienia, że kiedyś źle o nim myślałem.

– Biada! – krzyknął nagle przeor, a ja aż podskoczyłem. – Biada temu, który to zrobił! – Stał w pobliżu zgliszcz i przebiegł wzrokiem po wszystkich zgromadzonych. – Dzwonnica nie podpała się sama! Zrobił to ktoś z was, drodzy bracia dominikanie! Któryś z was podłożył ten ogień! – Wskazał palcem na dymiące się jeszcze resztki tego, co było dzwonnica.

Zastanawiałem się, skąd taka odważna konstatacja przeora i te

oskarżenia, choć przyznaję, że i mnie myśl o zabójstwie pierwsza przyszła do głowy. Bo w Boską interwencję, choć w moim przekonaniu w pełni uzasadnioną, mimo wszystko jednak powątpiewałem.

Jakkolwiek dobro Hiszpanii i ludu było sprawą najwyższej wagi, to nie sądzę, by Bóg mieszał się w nasze tu, błahe, klasztorne sprawy, podpalając naszą starą dzwonnice. To już prędzej Bóg natchnie papieża, aby nie powoływał w Kastylii Świętej Inkwizycji. Ale że był to znak od Boga, w to nie wątpiłem.

– Podnieśliście rękę na bliźniego! – grzmiał dalej *padre* Torquemada. – Na brata zakonnego, z którym tyle lat żyliście w tych murach! Złamaliście Boskie prawo i prawo tego państwa! Nie mogę zrozumieć, jakie powody wami kierowały ani czy w ogóle takowe były, ale przed zapadnięciem zmroku chcę znać nazwisko tego, który to zrobił! – powiedział to tonem rozkazującym, w którym kryła się niewypowiedziana groźba. – W przeciwnym wypadku karę poniesie cały klasztor, a ja osobiście dopilnuję, aby śledztwo w sprawie śmierci brata Armanda poprowadzili najlepsi królewscy prokuratorzy i sędziowie. Jeśli się nie przyznacie, poproszę Królową, aby wyraziła zgodę na przyjazd do Santa Cruz inkwizytorów z Aragonii. Oni odkryją prawdę – zakończył z lodowatym przekonaniem.

Na dźwięk słów przeora spojrzeliśmy po sobie z lękiem. Pomyślałem, że winowajca za nic na świecie nie przyzna się do tego, co zrobił, wobec takiej deklaracji. Tym bardziej, że sprawca zrobił to w taki sposób, aby nikt się o nim nie dowiedział. Głupotą byłoby się teraz przyznać i tym samym wydać na siebie wyrok śmierci.

– Nie daruję wam tego życia! – dodał ze złością *padre* Torquemada. – Brat Armand był lepszy po stokroć od was wszystkich, więc go zabiliście! Bracie José, zamknij, proszę, furtę klasztoru i przynieś mi klucz. Od tej chwili nikt nie opuści tych murów, aż poznamy prawdę.

Brat José posłusznie wykonał polecenie przeora. Kiedy wrócił i przekazywał mu klucz do furty, *padre* Torquemada wyciągnął po niego swoją chudą rękę. Pamiętam, że moją uwagę zwróciło, jak niesamowicie kościste i nienaturalnie długie, szponiaste rzekłbym nawet, miał palce. A może po prostu pod wpływem przeżyć dzisiejszego popołudnia i tego,

co przed chwilą powiedział, wydawał mi się bardziej demoniczny niż normalnie? Nie wiem.

Jako nowicjusz przyzwyczajony byłem do myśli, że bracia dominikanie, mnisi, lepsi są niż ja. Także przebywanie z bratem Armandem utwierdzało mnie w tym przekonaniu, bo jemu przecież nikt nie dorównywał. Ale sądzę, że pozostali bracia niekoniecznie mieli takie kompleksy i z całą pewnością niezbyt miło było im usłyszeć z ust przeora, że są gorsi od wielkiego brata Armanda. *Padre* Torquemada nie powinien tak mówić, niezależnie od tego, co naprawdę sądził.

W pewnym momencie przeor podszedł do mnie i przeciągle na mnie spojrział. Zdrętwiałem na całym ciele i bałem się nawet oddychać. Starłem się ze wszelkich miar nie okazywać strachu, a samą tylko rozpacz i żal po śmierci jednego z nas. I chyba mi się to udało, bo przeor powiedział do mnie ciepło:

– Straciłeś dziś wielkiego mentora i prawdziwego przyjaciela, mój synu. Ale nie lękaj się, postaram się jak najszybciej wyznaczyć ci nowego patrona, choć zdaję sobie sprawę, że nic na świecie nie zrekompensuje ci tej straty. – Popatrzył na mnie smutno.

– Dziękuję, ojcze – powiedziałem cicho, pochylając pokornie głowę. – Dziękuję za troskę.

Przeor poszedł dalej, a ja odetchnąłem, przymykając na chwilę powieki. Dziwna rzecz, że nie przypomniał sobie o moich z bratem Armandem kłótniach, a mówił o naszych relacjach, jakby to była sielanka.

Kiedy przeor skończył już swój obchód, uklęknął przed zgliszczami, odwiązał z węzła cingulum drewniany różaniec, którego dużymi, odkręcanymi paciorkami oplótł sobie ręce, a potem zaczął modlitwę:

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti!*[22] *Pater noster, qui es in caelis...*[23]

Za przeorem uklękliśmy wszyscy i wzięliśmy w dłonie nasze małe różańce. Dziwnie się czułem. Dotąd nienawidziłem szczerze mego mistrza, a w tamtej chwili naprawdę żał mi go było, że zginął tak potworną śmiercią. Przed kwadransem żył jeszcze, rozmawiał ze mną, a teraz me usta z dziwną gorliwością, o którą nigdy bym sobie nie

posądzał, szeptały modlitwę o zbawienie jego duszy... A z pewnością dusza jego potrzebuje modlitwy!

I jakkolwiek wszystko, co wydarzyło się do tej chwili, było wystarczająco przerażające jak na jeden dzień, to jednak było zaledwie preludium do prawdziwego piekła. Preludium, którego nikt, naprawdę nikt się nie spodziewał. Odmawialiśmy właśnie drugi dziesiątek różańca, klęcząc wokół dymiących się jeszcze i wciąż gorących zgliszcz, gdy naraz ciężko i z głuchym zgrzytem otwały się masywne drzwi do kruchty kościoła i ukazał się w nich... brat Armand...

Przerwałem modlitwę w pół słowa i spojrzałem nań z otwartymi ustami. Klęczący najbliżej niego brat Constantino pobladł prawie do białości, jakby zobaczył ducha. Naprawdę był przerażony! Bo i widok był mrozący krew w żyłach: brat Armand opierał się o odrzwia. Miał zmierzwiłone włosy i osmaloną dymem twarz. Jego zaś zawsze śnieżnobiała kuta była w nieładzie, w wielu miejscach nadpalona lub rozerwana, szara od sadzy i czarnego dymu. Patrzył na nas z niechęcią. Przetarł dłonią twarz i słaniając się trochę, zaczął wolno iść w naszą stronę.

Niektórzy z braci podnieśli się z kolan, przeor zaś zerwał się na równe nogi i podszedł do powstałego z martwych mego mistrza i nie bacząc na jego strój, uściskał go z całych sił.

Wśród zgromadzonych przeszedł szmer. Wszyscy bracia porzucili modlitwę, a niektórzy spoglądali po sobie zdziwieni, z niedowierzaniem, szepcząc coś między sobą. Ścisnęło się we mnie serce na widok brata Armanda. W pierwszej chwili uczułem rozczarowanie – muszę to przyznać. Potem strach, bo przypomniałem sobie o chłóście, którą mistrz, jak mniemałem, będzie chciał wykonać, znając jego żelazną i niezłamaną wolę. I dopiero po pewnej chwili przysła radość z tego, że brat Armand żyje. Radość przepleciona z nienawiścią, ale w końcu jako przykładowy chrześcijanin powinienem miłować mego prześladowcę i kochać go jak siebie samego. Do miłości dlań nie byłem i nie jestem w stanie się zmusić, ale przynajmniej starałem się ucieszyć.

– Jak to możliwe? – szepnąłem do stojących obok mnie Juana i Alejandro.

– Nie mam pojęcia... – wyjąkał Juan, wpatrując się w mojego

mistrza jak w żywy cud.

– Powinien nie żyć. – Alejandro wzruszył ramionami. – Z pułapki płonącej dzwonnicy nie było żadnej ucieczki... Nie rozumiem...

– Bracie Armandzie! Cały klasztor raduje się, żeś jest nadal wśród żywych! – powiedział przeor, gdy przestał już ścisnąć zmartwychwstałego mojego mistrza i odwrócił się do stojących nadal wokół zgliszcz braci.

Popatrzyłem wśród zgromadzonych, ale jakoś nie zauważyłem owej wielkiej radości na ich twarzach. Dopiero po chwili do brata Armanda zaczęli podchodzić inni bracia: najpierw brat Constantino, potem brat Alvaro, brat José, brat Martin, brat Celestino, brat Santiago, oczywiście Ricardo i tak dalej.

I kiedy już zakończono powitania, a brat Armand uwolnił się od nieco chyba przesadzonych wybuchów radości, popatrzył na mnie. Do końca życia zapamiętam ten wzrok. Jego oczy wycierały zza osmalonych powiek i były lodowate. Patrzył na mnie z nienawiścią, jakiej nigdy jeszcze u niego nie widziałem, a widziałem już całkiem sporo. Stał tak i wpatrywał się we mnie zimno i z niemym wyrzutem. Uśmiech i wszelka radość znikły w sekundę z mojej twarzy i zastanawiałem się, skąd u niego ten chłód. Bo przecież chyba nie... Chyba nie podejrzewa mnie o to podpalenie... Zadrzałem na tę myśl i chciałem od razu doń podejść, ale wówczas przemówił przeor:

– Bracie Armandzie, zamknąłem klasztorną furtę i zarządziłem śledztwo – powiedział, wodząc wzrokiem po nas wszystkich. – Do wieczora poznamy tego, który chciał cię zabić. Drodzy bracia! – zwrócił się do nas. – Może nie wszyscy wiecie o tajnym korytarzu łączącym dzwonnice i podziemia kościoła. W ziemi pod dzwonnice wykuto dawno temu przejście, które wiodło od krypt pod kościołem do fundamentów dzwonnicy. W jej podłodze był włącz, dawno już nieużywany. Dzięki niemu brat Armand żyje. Podpalacz musiał o nim nie wiedzieć albo też liczył, że ofiara nie zdąży tamtędy uciec. I tylko on teraz wie, jak bardzo się mylił. Ale dowiemy się, kto to był. Tak jak zapowiedziałem: nikt z was nie opuści opactwa, aż sprawca się nie znajdzie – zakończył dumnie przeor.

Brat Armand przetarł dłonią oczy. Widać było po nim, że ta

sytuacja musiała go przestraszyć. I dopiero wtedy dostrzegłem, że na prawej ręce ma nieduże oparzenie, podobnie jak na prawym przedramieniu, zaś rękaw kuty był w tym miejscu nadpalony. Oczami wyobraźni zobaczyłem, jak tą właśnie dłonią sięgał wśród płomieni do włazu w podłodze dzwonnicy prowadzącego do sekretnego korytarza.

– Dziękuję, ojczy przoroze, za troskę – powiedział cicho brat Armand. – Ale śledztwo jest zbyt czone. Ja wiem, kto to zrobił. – Spojrzał na mnie i wiedziałem już, że z całą pewnością oskarży mnie o ten zamach.

Otworzyłem usta, żeby mu powiedzieć, że to nie ja, ale głos uwiązł mi w gardle. Pokręciłem tylko głową. Słyszałem, jak bije mi serce...

– Nie... – Poruszyłem bezgłośnie ustami.

Ale brat Armand już szedł wraz z Torquemadą w moim kierunku.

– On myśli, że to ty... – szepnął zdziwiony Alejandro, ale nawet na niego nie spojrzełem.

Stałem jak sparaliżowany, przykuty do trawy i ziemi dziedzińca wzrokiem mego mistrza i strachem, co takiego zechce zrobić ze mną, przekonany o prawdziwości swych oskarżeń. Stałem tak, jakby mi nogi wrosły w podłozę, i żadną miarą nie mogłem się ruszyć. Patrzyłem tylko wystraszony na brata Armanda, który wnet stanął przede mną blisko wraz z przeorem, który pytająco spoglądał to na mnie, to na swego pupilka, nowo narodzonego spośród martwych...

Gdy podeszli, uderzył mnie silny zapach spalenizny i dopiero z tej odległości zobaczyłem po śladach na kucie brata Armanda, na włosach oraz po czerwonych, rumieniejących miejscach na twarzy i dłoniach, że bliżej był śmierci, niż początkowo sądziłem. Za to oczy jego świeciły często przeze mnie widywanym dawniej ogniem zemsty i nienawiści. Zawsze, ilekroć dochodziło pomiędzy nami do konfliktów lub gdy zarządzał karę, patrzył na mnie tak, jakby chciał zupełnie mnie zgnębić i pozbawić najmniejszego cienia szansy na ocalenie. I tym razem też miał taki wzrok. Zawiedziony, rozczarowany, smutny i żądny satysfakcji za zniewagę i obrazę, którą w jego pojęciu mu uczyniłem. Jego oczy palił ogień – dziwny, nienaturalny, taki, co domagał się krwi i który być może tylko ta krew mogła ugasić. Patrząc na ściągnięte jego usta i kamienną, skostniałą w swej surowości i determinacji twarz, nie

odważyłem się rozniecić w sobie złudzeń, że zaniecha zemsty.

– Powiedz mi, Antonio – brat Armand odezwał się do mnie głosem, w którym była złośliwość i olbrzymia pewność siebie – czy jesteś zadowolony ze zniszczeń, których dokonałeś? – Nie spuszczał ze mnie oczu.

Ja zaś nie przygotowałem się zupełnie na takie pytanie. Otworzyłem usta, żeby coś odpowiedzieć, ale nie wiedziałem co. Patrzyłem więc tylko przerażony i kręciłem przecząco głową.

– Ja nie... – wyszeptałem całkowicie bezgłośnie.

– Ojciec – odezwał się stojący najbliżej nas Juan – to z pewnością nie Antonio. On nie mógłby tego zrobić.

– Milcz! – przerwał mu brat Armand lodowato, gromiąc go jednym spojrzeniem, które odbierało mowę. – Nie pytałem cię o zdanie. Twoje przekonania i sądy nas nie interesują.

A gdy Juan już się uciszył z miną skruszonego, upomnianego ucznia, brat Armand na powrót spojrzał na mnie.

– Rozumiem, Antonio, że widok mojej osoby przy życiu tak cię rozczarował i zdziwił, że aż zaniemówiłeś. – Wydawało mi się, że mistrz nieznacznie się uśmiechnął, złośliwie.

– Ojciec, to nie ja! – prawie wykrzyknąłem, uwolniwszy swój głos spod przemożnego wpływu paraliżującego strachu. – Uwierz mi, że to nie ja.

– Widziałem cię pod dzwonnica, Antonio – przerwał mi mistrz. – Byłeś sam. I nie wzywałeś pomocy. – Pewność siebie, z jaką to mówił, i przekonanie o słuszności swych słów ze wszech miar czyniły rzucane przez niego oskarżenie wiarygodnym.

– Przybiegłem, ojciec, gdy zobaczyłem ogień! – mówiłem szybko. – Chciałem cię ratować, ale dzwonnica płonęła już prawie cała, więc pomyślałem, że nie żyjesz. Byłem przerażony. Błagam, uwierz mi! – Łzy bezsilności ciekły mi po policzkach, gdy gorączkowo tłumaczyłem się ze swych poczynań, a raczej ich braku.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo, Antonio – podsumował moje nędzne wysiłki brat Armand tonem, wobec którego sprzeciw był daremny.

Wiedziałem już, że nie zmieni zdania. I wiedziałem, albo raczej

zaczynałem przeczuwać, że tym razem nic mnie nie ocali przed jego zemstą.

– Drodzy bracia! – Brat Armand odwrócił się do zgromadzonych na dziedzińcu mnichów. – Oświadczam wam z całym przekonaniem, że Antonio Gabriel de Garcia chciał mnie zabić, podpalając w tym celu dzwonnice! Widziałem go, jak stał na dole i przyglądał się, jak płonie, a ja razem z nią! – Brat Armand popatrzył na zgromadzonych.

Chwyciłem go obiema dłońmi za przedramię.

– Ojcie, przysięgam, że to nie ja! – broniłem się coraz bardziej rozpaczliwie. – Nie ośmieliłbym się nigdy podnieść na ciebie ręki! Jesteś moim patronem! Mentorem! Tyle mnie uczysz! Musisz mi uwierzyć, błagam!

Ale brat Armand wyszarpnął rękę i spojrzał na mnie z pogardą.

– I dlatego mnie tak nienawidzisz? – zapytał i nie czekając na moją odpowiedź, dodał: – Myślę, że można otworzyć furtę klasztoru, ojcie przeorze. Oto mamy mordercę – zakończył z triumfem.

Padre Torquemada oddał klucz bratu José, który poszedł do klasztornej furty.

– Zarządzam areszt domowy dla Antonia! – ogłosił przeor, podnosząc rękę i uciszając zgromadzonych braci, którzy po słowach wypowiedzianych przez mego mistrza zaczęli półgłosem szeptać między sobą. – Antonio, zostaniesz zamknięty w swojej celi, dopóki nie zdecyduję, co będzie z tobą dalej. Zbrodnia, jakiej się dopuściłeś, przechodzi moje pojęcie! Nigdy nic podobnego nie miało miejsca w tym klasztorze. Mogę cię jednak zapewnić, że zostaniesz przykładowie ukarany. I nie przeze mnie. Być może oddamy cię w ręce władzy świeckiej, władnej karać na gardle za podobne uczynki. Wieczorem zaś odprawię mszę dziękczynną. Bóg w cudowny sposób uratował od śmierci brata Armanda i za to cały klasztor Mu podziękuje. – Przeor popatrzył na mnie swym zagląającym w głąb duszy, smutnym, przenikliwym spojrzeniem i dodał: – Jesteś mordercą, Antonio! Mordercą! – Po tych słowach odszedł kilka kroków w stronę swego gabinetu, ale zaraz zatrzymał się w pół kroku, jakby o czymś sobie przypomniał, o czymś ważnym i odwrócił się w naszą stronę: – Bracie Constantino i ty, bracie Martinie, odprowadźcie podejrzanego do jego

celi i zamknijcie go. Potem przynieście mi klucz – dodał i tym razem już nie zatrzymując się, ruszył przez dziedziniec do swego gabinetu.

Odwróciłem się wystraszony w stronę mego mistrza, jakbym liczył, że temu zaradzi. Ale on patrzył na mnie z góry. Z wyrzutem, którego chyba nikt nie umiałby wyrazić słowami, tak był wielki. Z nienawiścią, która w środku musiała go palić płomieniem sto razy gorszym od tych, które znane mi są na ziemi. I z wyższością, jakiej u niego jeszcze nie widziałem. Gardził mną i moim domniemanym przez niego, a niedoszłym uczynkiem. Jakże mną gardził!

Podeszli do mnie brat Constantino i brat Martin. Zacząłem dygotać. Trzęsły mi się ręce. Brat Constantino, kładąc mi dłoń na plecach, drugą wskazał gestem, abyśmy ruszyli w stronę segmentu, gdzie znajdowała się moja cela. Obaj z bratem aptekarzem mieli smutne, zatroskane miny, ale brat Martin za plecami brata Constantino uśmiechnął się do mnie, jakby chciał dodać mi otuchy. Ale cóż on, biedny, mógł uczynić?

Zanim ruszyliśmy, Juan, Alejandro i Mateo uściskali mnie na pożegnanie, dając mi do zrozumienia, że wierzą w moją niewinność.

– Ojciec – zwróciłem się do brata Armanda na odchodnym – morderca jest wciąż na wolności. Uważaj zatem na siebie.

W ostatnim, przed osadzeniem w celi, spojrzeniu, jakie mu posłałem, widziałem, że się zmieszał. Odrobinę. Prawie niedostrzegalnie. Przez jego oczy przeszedł cień wątpliwości przez jedno mgnienie chwili. Zaraz potem wyraz ów znikł z jego twarzy równie szybko, jak się pojawił, ale sama jego obecność, obecność wątpliwości w monolitycznym charakterze mego mistrza, była już moim zwycięstwem.

Ruszyliśmy do mojej celi. Brat Constantino zerkał co chwilę na mnie, aż w końcu zapytał:

– Antonio, co cię podkusiło, żeby podnieść rękę na brata Armanda? Na drugiego człowieka? Grozi ci za to kara śmierci albo więzienie dożywotnie o chlebie smutku i wodzie rozpacz. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Bracie Constantino – wtrącił się brat aptekarz – nie wiadomo, co wykaże śledztwo. Antonio twierdzi, że to nie on podpalił dzwonnice, zatem chyba powinniśmy mu wierzyć? Zdecyduje i tak sąd.

– Nie podłożyłem ognia – powiedziałem z naciskiem. – Po co miałbym to robić?

– Bo bałeś się kary za ostatnią kłótnię z patronem. – Brat Constantino westchnął. – Bo swego patrona nienawidzisz, o czym ostatnio raczyłeś nas wszystkich poinformować krzykiem – dodał złośliwie.

– Teraz grozi mi gorsza kara – broniłem się. – Czy myślisz, ojcze, że chcąc uniknąć kary chłosty, skazałbym się na śmierć? Przecież to jest nielogiczne!

Stanęliśmy pod moją celą, a brat Martin otworzył drzwi, ja zaś wszedłem do środka.

– Logiczne czy nie, popełniłeś wielki grzech – skomentował obojętnie brat Constantino. – Módl się, aby Bóg ci przebaczył. Bo Jego kara po stokroć gorsza będzie od ziemskiej. – Dziwił mnie chłód w jego głosie, który brzmiał niemal ostentacyjnie.

Brat Constantino zamknął drzwi z głuchym trzaskiem i przekręcił w zamku klucz, zostawiając mnie samego i przerażonego z mym strachem i bezradnością.

Straszne, długie godziny samotności przesiedziałem w celi, rozprawiając w myślach przede wszystkim o tym, co mi zgotują tym razem. Rzecz jasna, zdaję sobie sprawę, że próba zabójstwa to już nie jest zwykłe nieposłuszeństwo czy arogancja, a nawet nie herezja. Zbrodnia zabójstwa karana jest śmiercią w Kastylii, a *padre* Torquemada bez wątpienia postara się u Królowej, aby wyrok był najwyższy. Zatem na pewno odbędzie się proces. To już nie przelewki. Ale domyślam się również, że oprócz kary kryminalnej, którą wyda świecki, miejski sąd w Segowii, ukarze mnie również przeor i brat Armand i z pewnością będą się obaj prześcigać w wymyślaniu mąk, jakim mnie poddadzą. Zapewne też relegują mnie z zakonu. Ojciec się wścieknie i być może zabije mnie pierwszy, zanim zrobi to sąd świecki. Żarty...

Potem jednak, gdy powoli opadały emocje i uspokajałem się, zacząłem myśleć bardziej racjonalnie. Bez względu na to, co sądził o mnie brat Armand i pozostali mnisi, ja najlepiej wiedziałem, że tego nie zrobiłem. Zatem prawdziwy morderca wciąż czyha na życie mego mistrza, a skoro raz podniósł na niego rękę, należy przypuszczać, że

zrobi to znowu. Oczywiście musiałyby być idiotą, aby ponowić próbę teraz, gdy jestem w areszcie domowym, co od razu oczyściłoby mnie z zarzutów, ale w głębi serca liczyłem na to, że znów spróbuje. Nie dlatego, abym źle życzył bratu Armandowi, ile raczej chciałem i chcę wyjść na wolność. A nie znalazłbym lepszego alibi, jak tylko w kolejnej próbie zamachu na brata Armanda pod moją nieobecność na terenie klasztoru.

Zrobił to na pewno ktoś spośród nas i zastanawiałem się, kto się odważył, kto miał powód na tyle ważny, aby dlań zabić. Przebiegałem w myślach po sylwetkach wszystkich braci i nikt nie przychodził mi do głowy. Żaden motyw, sympatia lub jej brak dla mego mistrza nie wydał mi się na tyle silny, aby mógł doprowadzić kogokolwiek do takiej desperacji...

Myślałem o bracie Constantino, a w zasadzie on mimowolnie nasuwał się moim rozważaniom, bo jeśli nadal bolała go dawna decyzja przeora, miał motyw, aby się mścić. Tylko czy jest to powód, aby odebrać człowiekowi życie? Z drugiej strony tylko brat Constantino wiedział, jak bardzo został kiedyś skrzywdzony i czy ta krzywda warta była pozbawienia kogoś życia. Ale nawet mnie wydawało się to mało prawdopodobne, więc z pewnością jeszcze mniej prawdopodobne wyda się moim sędziom!

Prawda jest taka, że poza przeorem i Ricardo, no, może jeszcze Oscarem, nikt inny mego mistrza nie lubi. Oczywiście nikt mu tego nie daje do zrozumienia, może poza bratem Jorgem, który nie kryje i chyba wcale kryć nie chce swojej niechęci, oraz *padre* Domingo, który bratem Armandem jawnie gardzi, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie posądziłby o tę zbrodnię któregokolwiek z nich. Alejandro miał bez wątpienia żal do mego mistrza za chłostę i upokorzenie, ale jestem pewien, że nigdy nie podniósłby na nikogo ręki.

I byłem jeszcze ja, który otwarcie nie znosiłem brata Armanda i głośno mówiłem o swej dla niego nienawiści. Wielu braci z klasztoru, a może nawet wszyscy to słyszeli i wszyscy oni mogą zaświadczyć. Naturalnym więc jest, że mój mistrz pomyślał, że to ja podpaliłem dzwonnice. Widział mnie na dole, gdy wyszedł na galerijkę. Boże, jak ja mu wytłumaczę, że tego nie zrobiłem? Jakich użyć argumentów, by

przekonać jego i przyszły sąd? Co mam teraz zrobić?...

Boże, tak bardzo się boję... Dni, które przyjdą, i tego, co ze sobą przyniosą. Boże, błagam, niech ta sprawa szybko się wyjaśni, inaczej bracia naprawdę gotowi mnie wydać w ręce sądu świeckiego, a ten skaze mnie na śmierć...

26 sierpnia

Całą noc modliłem się o łaskę Boga, aby wejrzał na mnie, swego sługę, i wskazał mi ratunek, ale nic nie wymyśliłem. Rankiem, o brzasku, chciałem iść na jutrznię, ale drzwi mego pokoju nadal są zamknięte. A i dzwony nie były dziś na nabożeństwo, tylko słyszałem, że bracia schodzą się na dziedzińcu, zwoływani przez *padre* Constantino. Słyszałem, jak mój mistrz wychodził ze swej celi i zatrzymał się na chwilę pod moimi drzwiami. Podłoga w korytarzu oddzielającym nasze cele jest już bardzo stara i drewno trzeszczy głośno, zatem mogłem wyraźnie usłyszeć jego kroki. Wczorajszej nocy wrócił późno i długo, bardzo długo w noc chodził wolno po swojej celi, zapewne rozmyślając nad tym, co się stało.

Dlaczego dziś przystanął pod moimi drzwiami? Możliwe, że zatrzymał się przypadkowo. A może chciał wejść i porozmawiać? Cóż go zatem powstrzymało?

Boję się tej rozmowy. Jak żadnej innej do tej pory! I wiem, że do niej dojdzie. Zdążyłem już poznać charakter brata Armanda, a on nie omieszka przynajmniej spróbować wyjaśnić rzecz między nami, dowiedzieć się, jaki motyw mi przyświecał. Bo on nie przyjdzie do mej celi, dowiedzieć się prawdy, ale poznać przyczynę usiłowanej przeze mnie zbrodni. Boże, pomóż mu zrozumieć, że to nie ja...

Później

W jakiś czas po śniadaniu przyszli do mnie Juan i Alejandro, posłani przez brata Gregorio z jedzeniem. Przeor wydał mu klucz, bo choć jestem w areszcie domowym, to nie zarządzono głodówki. Łaskawie.

Jakże się ucieszyłem na ich widok! I na widok śniadania także, bo od wczorajszego poranka nie miałem nic w ustach. Kiedy ja zjadałem łąpczywie to, co podesłał mi *padre* Gregorio, Juan i Alejandro

opowiadali, co dzieje się w klasztorze.

– Od wczoraj wszyscy nowicjusze zostali zagonieni do sprzątnięcia zgliszczy dzwonnicy – mówił Alejandro. – Pod okiem brata Constantino wynosimy spalone resztki poza mury, kawałek za leprozorium i tam rozrzucamy po łąkach. Na końcu mamy znieść uszkodzone dzwony do katakumb. Są zniszczone i popękane, więc przeor będzie musiał zamówić nowe. Fontanna z tej strony, z której uderzył w nią dzwon, jest całkiem roztrzaskana. *Padre* Torquemada posłał dziś rano po kamieniarzy. Mają zacząć jej odnawianie od jutra, gdy uporamy się ze zgliszciami.

– A bracia? Naprawdę myślą, że to ja? – zapytałem niepewnie, zastanawiając się w duchu, czy chcę znać odpowiedź.

– Przeor ogłosił to wczoraj po nieszpórach, na mszy dziękczynnej za ocalenie Archaniołowi życia – odpowiedział smutno Juan. – A brat Armand potwierdził, że widział cię na dole, pod wejściem do dzwonnicy, gdy płomień dopiero się rozpałał. Że nie wzywałeś pomocy. Każdy z braci, który potem przybiegł na dziedziniec, mówi, że już tam był.

– Ale nie wszyscy wierzą w twoją winę – przerwał mu Alejandro. – Brat Jorge jest przekonany o twojej niewinności. Tak samo brat Santiago. I brat Alvaro. I z pewnością brat Manuel, ale jego nie możemy spytać z oczywistych względów. I Mateo też jest z tobą, i brat Martin, choć tego nie mówi. Wielu braci w ogóle stara się nie zajmować w tej sprawie żadnego stanowiska i o tym nie mówić. Jakby zamiecienie problemu pod chodnik coś mogło zmienić! – dokończył poirytowany.

– A brat Armand? A przeor? – dopytywałem drżącym głosem. – Czy coś już postanowili?

– Nic nie wiemy. – Alejandro wstał i przeszedł się po mojej celi. – Przesiadują we dwóch w gabinecie przeora, ale nie rozmawiają o tobie.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

Alejandro i Juan uśmiechnęli się jednocześnie.

– Podśledzemy ich w celi obok – Juan mówił to z dumą. – Przynajmniej tyle możemy dla ciebie zrobić. Wierz mi, jeśli coś postanowią, od razu się o tym dowiesz.

– To o czym tak debatują? – zastanawiałem się głośno. – A może

wiedzą, że ich podsłuchujecie?

– Nie. – Alejandro nadal przechadzał się po mojej celi, zupełnie jak brat Armand. – Są tak dumni i pewni siebie, a przede wszystkim przekonani o własnej wielkości i o tym, że nikt im się nie sprzeciwi, że nawet nie przypuszczają, aby nowicjusze mogli się ośmielić zrobić coś takiego! – Alejandro przeszedł kilka kroków z uniesioną dumnie głową i wyprostowany jak struna, przedrzeźniając brata Armanda.

Wszyscy trzej się roześmieliśmy.

– Pękłby mi kręgosłup, gdybym chodził jak on! – Alejandro wrócił do swojej normalnej postawy.

– O czym więc rozmawiali? – zapytałem ponownie, bo nie uzyskałem odpowiedzi.

– Wczoraj przez trzy godziny omawiali psalm – dziwił się Juan. – Debatowali nad każdym wersem. I ciągle się zastanawiali, czy akurat ten psalm będzie dobry na hymn.

– Jaki hymn? – wtrąciłem, choć intuicja mi podpowiadała, że może chodzić o Inkwizycję.

Alejandro wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, co z tym hymnem. I czy go ostatecznie ustalili. Rozmawiali o Psalmie 73. Wiesz, tym *Nad gruzami świątyni*. W kółko omawiali jeden wers, który mówi, aby Bóg powstał i poprowadził swoją sprawę, ale nie wiem dokładnie, o jaką sprawę chodzi.

Skinąłem w odpowiedzi głową.

– Wybierali hymn Świętej Inkwizycji w Kastylii... – powiedziałem bardziej do siebie niż do przyjaciół. – A więc tworzą prawdziwą organizację z własnymi barwami, godłem, sztandarem, hymnem i armią... – Teraz i ja chodziłem po mojej celi, zapominając na chwilę o areszcie domowym i spalonej dzwonnicy. – Nawet wybrali już stolicę: Sewillę. To będzie państwo w państwie!

– Antonio, to pewnie nie to! – Juan próbował bagatelizować sprawę z właściwym sobie optymizmem. – Niemożliwe, by chcieli stworzyć tak głęboko sięgający system. Na to potrzeba pieniędzy. Musieliby mieć ludzi. Musieliby ich przekonać.

– Wystarczy, że przekonali Królową i Króla – rzucił Alejandro. – Mają ich pieniądze. Strach robi resztę...

Na chwilę zapadło milczenie. Ja usiadłem z powrotem na łóżku. Alejandro poszedł do okna i patrzył gdzieś na horyzont.

– A dzisiaj? – zapytałem. – Gdzie jest teraz brat Armand?

– Z samego rana poszedł do szpitala. – Juan uśmiechnął się nieznacznie, być może chcąc mi dodać otuchy. – Jest z nim mój patron. Gdy wróci, może się czegoś dowiem. Archanioł zachowuje się tak, jakby nic się nie stało. I gdyby nie lekkie oparzenia na twarzy i te bąble na prawym przedramieniu, nie byłoby po nim widać, że wczoraj omal żywcem nie spłonął. Zmienił kutę na nową, jak zwykle śnieżnobiałą. Obmył się z osmaleń, uczesał włosy. Opatrzył sobie oparzenia, a właściwie opatrunek ma tylko na przedramieniu. I zachowuje się, jakby nigdy nic.

– A powinien się zastanowić! – Alejandro odwrócił się od okna zdenerwowany. – Poważnie się zastanowić! Nad sobą. Jak bardzo musi być nielubiany, skoro ktoś chciał go zabić! Ja na jego miejscu bałbym się zasypiać. Bałbym się własnego cienia, bo skoro ktoś już raz to zrobił, nie zawaha się zrobić to znów.

– Myśli, że sprawca jest w areszcie – wtrąciłem. – To osłabia jego czujność.

– A więc jest głupi – skwitował Alejandro.

– A czy bracia, ci, którzy wierzą w moją niewinność, czy oni zastanawiają się, kto mógł to zrobić? – zapytałem z nadzieją.

Juan pokręcił głową.

– Jeśli się zastanawiają, nikt nie mówi tego głośno – powiedział. – Nie chcą rzucać wzajemnych oskarżeń. Wydaje mi się, że wszyscy czekają, co postanowi przeor.

– Boję się, że oddadzą mnie w ręce sądu miejskiego – powiedziałem bardziej do siebie. – Że tamten sąd skaże mnie na straszną mękę i że brat Armand przyjdzie ją oglądać, by nasycić swe oczy tą masakrą.

– Nigdy więcej tak nie mów! – Alejandro prawie krzyknął. – Zrobię wszystko, żeby z Juanem znaleźć tego zabójcę. Zobaczysz. To nieporozumienie za chwilę się wyjaśni.

– Poszukajcie w kościele – szepnąłem, bo zobaczyłem cień w szparze pod moimi drzwiami, a potem szybko dodałem: –

Obserwujcie brata Constantino.

Ktoś stał w korytarzu. Nie miałem czasu szczegółowiej wyjaśnić przyjaciołom mojej prośby, bo oto otworzyły się drzwi mojej celi i ukazał się w nich brat Armand. Ścisnęło się z trwogi we mnie serce...

Wstałem z łóżka. Juan także podniósł się z krzesła. Pochyliliśmy – wszyscy trzej nowicjusze – głowy przed moim mistrzem i wszyscy trzej staliśmy przed nim zdrętwiali ze strachu. Wtedy sobie pomyślałem, jak dalece nieprzewidywalny musi wydawać się mój mistrz, nie tylko dla mnie, ale i dla pozostałych nowicjuszy, że wszyscy stają przed nim przerażeni!

– Zostawcie nas! – rozkazał do Alejandra i Juana, którzy jeszcze raz ukloniwszy mu się, posłusznie wyszli.

Brat Armand, odkąd otworzył drzwi mojej celi, patrzył na mnie z lodem w oczach, który obezwładniał we mnie wszelką nadzieję. Gdy Alejandro zamknął drzwi, ciężko i głucho, mistrz postąpił parę kroków w moją stronę. Nic nie mówił, tylko na mnie patrzył. Ja zaś wolałem się nie odzywać, żeby go nie prowokować. Serce biło mi głośno. Ze strachu. Ledwo mogłem oddychać. I z pewnością to widział, bo nie potrafiłem ukryć swoich emocji.

Po strasznie, wykańczająco dla nerwów długiej chwili brat Armand odezwał się pierwszy:

– Dlaczego? – zapytał cicho, ale stanowczo.

Jego głos był dźwięczny i twardy i zdradzał determinację. Wziąłem głęboki oddech, starając się dodać sobie nim odwagi.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, ojcze. – Głos mi drżał. – Bo ja tego nie zrobiłem. – Patrzyłem mu przez chwilę w oczy, ale spuściłem wzrok, nie mogąc wytrzymać jego ciężkiego, pełnego niechęci, mściwego spojrzenia.

Nie uwierzył mi. Wówczas brat Armand w okamgnieniu podszedł do mnie i z całych sił uderzył mnie dłonią w policzek. Upadłem na podłogę tuż obok jego stóp.

– Łżesz! – zagrzemiał. – Łżesz jak pies, Antonio! – Cofnął się o krok. – I do tego jesteś bezczelny! Ale mogłem się tego po tobie spodziewać. Zawsze mnie okłamywałeś, więc jakże mogłoby być tym razem? – Pokręcił z niedowierzaniem głową.

Podniosłem się z podłogi na kolana. Czułem się nikim, nędznym, nic niewartym robakiem, którzy przez nieuwagę wszedł do Santa Cruz i zaraz zostanie przez brata Armanda rozgnieciony na miazgę.

– Ojcie, przysięgam ci, że to nie ja – powiedziałem. – Wiem, że często mówiłem ci przykre rzeczy. I pewnie nie jestem nowicjuszem, jakiego chciałbyś mieć, ale to nie ja podpałem dzwonnice.

Drugi cios, który otrzymałem, był jeszcze silniejszy niż poprzedni. Kręciło mi się w głowie, gdy podnosiłem się z podłogi na kolana po upadku. Czułem krew w ustach.

– Nie kłam, Antonio. Tylko o to cię proszę – powiedział lodowato brat Armand, poprawiając mankiet swojej kuty. – Wstań! – rozkazał.

Podniosłem się z kolan i milczałem. Cokolwiek bym nie powiedział na swoją obronę, on i tak uzna to za kłamstwo, najlepiej więc było nic nie mówić.

– Jeśli zatem – brat Armand przeszedł się po celi naokoło mojej osoby – jak twierdzisz, to nie ty podpałeś dzwonnice, któż to zrobił? Będąc pierwszy na miejscu, musiałeś widzieć tego, który wrzucił do środka płonąca żagiew i uciekał.

– Nie widziałem nikogo – opowiedziałem zgodnie z prawdą. – I bardzo żałuję, że nikogo nie widziałem, bo teraz nie byłoby mnie tutaj.

Mistrz chodził po mojej niewielkiej celi, od czasu do czasu rzucając na mnie zimne spojrzenia.

– A może wiesz, kto mógłby chcieć mnie zabić? – zapytał wyraźnie już poirytowany tą rozmową. – Może znasz powód, jaki miał ktoś inny?

– Nie wiem, ojcie. – Czułem się bezradny. – Nie przychodzi mi do głowy żaden wystarczająco poważny powód, aby pozbawić kogokolwiek życia. Ja na pewno takiego powodu nie miałem. Ale ktoś cię nienawidzi, ojcie. Tu, w klasztorze. Nie wiem za co, ale twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Powinieneś uważać. Bardziej niż zwykle – zakończyłem, zastanawiając się, cóż za resztki ciepłych dłoń uczuć podyktowały mi to, co mu powiedziałem, i chyba mimo wszystko było mi go żal.

Brat Armand zatrzymał się i przyjrzał mi uważnie na te słowa, których się nie spodziewał, jak sądzę.

– Ojczy, błagam, musisz mi uwierzyć! Nigdy w życiu nie posunąłbym się do zabójstwa! Mimo wszystko – prosiłem go z całych sił.

– Chciałeś uniknąć chłosty – mówił mistrz, chodząc na powrót po celi. – To oczywiste. Przestraszyłeś się kary. Widziałem wczoraj rano, że się bałeś. Pomyślałeś, że jak mnie spalisz, unikniesz chłosty. Tyle że nie pomyślałeś o karze za zabójstwo. Ale żaden zbrodniarz nie myśli o karze, gdy popełnia przestępstwo lub je planuje. Gdyby tak było, nie mielibyśmy zbrodniarzy w ogóle, bo świadomość czekającej ich kaźni skutecznie powstrzymałaby im rękę przed dokonaniem przestępstwa. Nie powiódł się twój plan, Antonio. – Brat Armand spojrzał na mnie z triumfem. – Oto żyję, a ty zostaniesz przykładnie ukarany. Mogę cię o tym zapewnić. Chłosta przy tym to pieszczota, nie męka – dodał.

Dygotałem ze strachu, gdy tego słuchałem. Boże, miej litość! Odnosiłem wrażenie, że brat Armand w ogóle mnie nie słuchał i że przyszedł tu tylko po to, by wygłosić swoją tyradę, zgnębić mnie nią i porzucić wystraszonego do granic przytomności zmysłów.

– Powiedz mi, Antonio, w czym zawiodłem cię jako patron? – zapytał nagle, podchodząc do mnie. – Czego ci brakowało? Czy byłem złym mentorem?

Pomyślałem, że człowiek ten ma umysł przeżarty ideą Torquemady tak dalece, że oślepl już i ogłuchł na wszystko wokół, i w zasadzie cokolwiek bym mu nie powiedział, nie zrozumie nawet, o czym mówię. Nabrałem w płuca powietrza. Z drugiej strony być może nigdy już nie nadarzy się okazja... Skoro i tak skażą mnie na śmierć...

– W niczym mnie nie zawiodłeś, ojczy – odpowiedziałem cicho, spoglądając mu niepewnie w oczy. – Jesteś wielkim i wspaniałym mentorem i z twojej wiedzy zbyt mało korzystałem, to wiem na pewno. Przynajmniej, jeśli chodzi o wiedzę medyczną.

– Zatem, nie... – zaczął coś mówić.

– Bycie patronem – przerwałem mu – nie polega jednak tylko na zadawaniu ksiąg do czytania. Tak myślę. Materiału do przerobienia. Zabrakło mi w tobie, ojczy, przyjaciela. Kogoś, przed kim mógłbym otworzyć swoje serce. Nie tylko się spowiadać, ale także się zwierzać. Zanim przyszedłem do Santa Cruz, myślałem, że patron będzie moim

duchowym pasterzem, będzie mnie prowadził z ciemności w światło. Potrzebowałem w tobie oparcia. Ale z tobą, ojczu, nie można było porozmawiać o Piśmie Świętym, nie tłumaczyłeś mi tajemnic wiary. Ty tylko zadawałeś pracę do nauki. Mówiłeś tylko o studiach i medycynie i nigdy, nigdy nie zapytałeś, czy chcę porozmawiać o jakichś problemach, czy je w ogóle mam. Nigdy nie chciałeś nic o mnie wiedzieć, oprócz tego, na jakie studia się wybieram. A za byle przewinienia, za jedno nieopatrznie rzucone pytanie, wpadałeś w złość. Bałem się z tobą rozmawiać.

Mistrz stał przede mną i patrzył z niedowierzaniem. Surowy wyraz twarzy ustąpił miejsca zdumieniu.

– Antonio! Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałeś? – zapytał dużo łagodniej niż wcześniej. – Dlaczego ze mną nie porozmawiałeś? – Objął swoją głowę dłońmi i przeszedł tak kilka kroków po pokoju.

– Próbowałem ci powiedzieć, ojczu, ale nie chciałeś nawet słuchać! – rzuciłem z wyrzutem. – Przypomnij sobie, ile razy ci wspominałem, że nie marzę o studiach tak jak ty i że to nocne siedzenie w skryptorium nic mi nie daje, tylko mnie męczy. Ale ty wówczas krzyczałeś na mnie, że jestem nikim, i zarządzałeś kary. A to głódówkę, a to chłostę. Ty nie chciałeś ze mną rozmawiać, ojczu. Chciałeś mnie wytresować. Stworzyć ze mnie kogoś takiego jak ty. Ale ja nie jestem taki jak ty. I nigdy nie chciałbym się taki stać – dokończyłem z goryczą. – Ty mnie w ogóle nie znasz – dodałem jeszcze. – Gardzisz mną od dawna, bo nie jestem wystarczająco ambitny, ale w rzeczywistości wcale nie wiesz, jaki naprawdę jestem. I dlatego teraz jesteś pewien, że chciałem cię zabić. I chociaż przyznaję, że od jakiegoś czasu czułem do ciebie, ojczu, jedynie niechęć, to nie jestem osobą, która podniosłaby rękę na drugiego człowieka, aby go zabić. Ale tego nie możesz o mnie wiedzieć. I dlatego oddasz mnie w ręce sprawiedliwości świeckiej. Oddasz mnie im także dlatego, że mi nie ufasz i mnie nienawidzisz.

Widziałem na obliczu mego mistrza wahanie. Niewielkie było i niezbyt oczywiste, bo na pewno starał się je ukryć. Na nic się ono jednak nikomu i tak nie przyda.

Brat Armand długo i przeciągle na mnie patrzył, jakby tym spojrzeniem chciał nadrobić stracony czas i poznać mnie, aby sprawdzić,

czy mówię prawdę, ale było to już niemożliwe. Staliśmy tak naprzeciw siebie w milczeniu. A potem mistrz odwrócił wzrok i może mi się wydawało, a może chciałem w jego oczach zobaczyć smutek i zakłopotanie. Tak. Raczej chciałem je zobaczyć. Brat Armand był już wystarczająco zdeformowany przez przeora, a jeśli miał jeszcze w sobie jakiegokolwiek ciepłe uczucia, ukrył je głęboko w duszy.

Przeszedł kilka kroków po mojej celi, a potem odwrócił się do mnie, przybrał na powrót swą dumną, lodowatą pozę i powiedział oschle informującym tonem:

– Antonio, przyszedłem ci powiedzieć, że czcigodny brat Torquemada postanowił powołać sąd kapturowy w twojej sprawie. Sąd zbierze się trzynastego września. Do tego czasu będą zbierane dowody. Przeor porozumiał się z sądem miejskim i do Santa Cruz przybędzie ich prokurator, zaś karę, jaką orzeknie wobec ciebie sąd koleżeński, jeśli oczywiście będzie sprawiedliwa, zatwierdzą sędziowie miejscy. Tym samym nie będziesz podwójnie sądzony. – Podszedł do mnie i zajrzał mi głęboko w oczy. – To dla ciebie wielka łaska, Antonio. Sąd koleżeński zawsze orzeknie łagodniejszą karę niż sędziowie, którzy cię nie znają. I my nie stosujemy tortur, w czym sędziowie miejscy są podobno nad wyraz biegli. Powinieneś Bogu dziękować, że przeor tak bardzo ulitował się nad tobą i twoim losem – zakończył.

Skinąłem w odpowiedzi głową, choć nie wiedziałem jeszcze, czy powinienem się cieszyć. Brat Armand podszedł do drzwi mojej celi, ale zanim je otworzył, zatrzymał się i odwrócił do mnie:

– Możesz sobie wybrać obrońcę spośród braci naszego klasztoru – powiedział cicho i nieco łagodniej. – I możesz już wyjść. Przeor postanowił uchylić areszt domowy, ale nie wolno ci wychodzić poza furkę klasztoru. – Otworzył drzwi. – I może ci się to nie spodoba, Antonio, ale nadal jestem twoim patronem. Zatem oprócz ustanowienia sobie obrońcy i kontaktów z nim we wszystkich innych problematycznych sprawach zwracasz się do mnie lub bezpośrednio do przeora.

– Tak, ojczcie. – Pokiwałem głową, ciesząc się najbardziej z uchylenia aresztu domowego.

Brat Armand za chwilę wyszedł z mojego pokoju, a ja wypuściłem

ze świstem nagromadzone w płucach powietrze i usiadłem na łóżku. Nie wiedziałem, co myśleć o decyzjach przeora w kwestii sądu kapturowego. Byłem zupełnie zdezorientowany. Dobrze, że chociaż rozmowę z Archaniołem miałem za sobą i że w gruncie rzeczy mogła ona wyglądać dużo gorzej.

28 sierpnia. Przed południem

Archanioł od dwóch dni traktuje mnie, jakby mnie nie było. Przeor także. Część mnichów, która uwierzyła w moje sprawstwo, także mnie ignoruje. Na szczęście niewielu z nich dało się zwieść temu kłamstwu i dzięki temu wciąż mam jeszcze z kim rozmawiać. Wszyscy jednak, choć głęboko mi współczują i ubolewają nad moim losem, rozkładają bezradnie ręce, nie wiedząc, jak mi pomóc. Juan i Alejandro pocieszają mnie jak mogą, ale oni przez ostatnie dni przygotowywali się dość intensywnie do ceremonii złożenia ślubów. Bez przerwy brat Constantino ćwiczy z nimi ustawienie w kościele, kolejność podchodzenia do przeora i tak dalej. Zresztą schemat ceremonii opracował brat Constantino i strasznie się z tym obnosi, a przez to w kółko musztruje nowicjuszy, krzyczy na nich i ciągle coś poprawia, koryguje, jakby od tej ceremonii zależało jego życie. Odniosłem nawet wrażenie, że w tej gorączce przygotowań brat Constantino zdaje się zapominać, że najważniejsze przecież są śluby wieczyste, które nowicjusze mają złożyć, a nie ustawienie przed ołtarzem czy kolejność odbierania szat. Ale to nie moja sprawa, więc się nie odzywam.

Brat Constantino należy do tej grupy mnichów, którzy święcie wierzą, że chciałem zabić mojego patrona, ale zamiast mnie ignorować jak reszta, przygląda mi się nachalnie, uważnie i mam wrażenie, że także złośliwie. Jest w jego oczach i całej wobec mnie postawie jakaś satysfakcja, jakiś jego prywatny, tajemniczy triumf, który nie mam pojęcia skąd się bierze. A ponieważ przebywam dużo w kościele, przyglądając się przygotowaniom do ceremonii, z nudów bardziej niż z ciekawości, brat Constantino w kółko robi mi jakieś złośliwe uwagi, niby to przypadkiem nazywając mnie mordercą, podpalaczem i tym

podobne. Wczoraj na przykład całe popołudnie żartował, aby nowicjusze zastanowili się, czy aby na pewno chcą być dominikanami, bo w Santa Cruz podpala się mnichów, więc może im grozić niebezpieczeństwo. Albo żeby byli dla mnie mili i grzeczni, bo w przeciwnym razie mogą zechcieć ich zabić. I tak bez przerwy. Przykro mi, gdy tego słucham, ale udaję, że mnie to nie rusza. On właśnie po to mówi te wszystkie rzeczy, żeby mnie zgębić przed procesem. Zastanawiam się, jaką chorą ma z tego przyjemność.

Po wczorajszej spowiedzi nowicjuszy, którą jednak przetrwali, choć spowiadał ich sam Archanioł, całą dzisiejszą noc Alejandro, Juan, Oscar i Ricardo spędzili na modlitwie w kościele. Ponoć spowiedź była długa, jak mi potem Juan i Alejandro opowiadali, szczegółowa i często podczas niej odnosili wrażenie, że to raczej przesłuchanie niż intymna rozmowa z Bogiem. I obaj się jej bali. Nie tego, czy dostaną rozgrzeszenie, ile raczej tego, czy nie rozgniewają przypadkiem brata Armanda jakimś nieuważnym stwierdzeniem lub nierozważnym słowem. A mistrz mój przeszedł samego siebie w wydobywaniu z nich grzechów, przewinień, a przede wszystkim poglądów. To wyglądało jak jakiś egzamin: z religii, poglądów na temat wiary i samego Boga, prawa kanonicznego i niewiele wspólnego miało z oczyszczeniem duszy przed dzisiejszym spotkaniem z Bogiem podczas komunii świętej. Alejandro i Juan wyszli z konfesjonału roztrzęsieni i długo nie mogli dojść do siebie. A przed nimi była noc na modlitwie. Zostałem z nimi i ja, bo i tak nie miałem co ze sobą zrobić, a zasnąć nie mogłem. W ogóle źle sypiam albo wcale nie sypiam od zdarzenia z dzwonnica.

Modliliśmy się więc w pięciu, każdy, jak sądzę, we własnej sprawie. Usiadłem w ławce obok Alejandra i Juana, tuż za Ricardem. Oscar siedział po drugiej stronie nawy głównej. Paliły się tylko dwie świece na ołtarzu i nasze małe lampki oliwne, więc wewnątrz kościoła tonęło w ciemności. Ricardo ostentacyjnie wstał i przeszedłszy na drugą stronę nawy, usiadł w ławce naprzeciwko nas z dumną, wyniosłą nawet miną.

– Głupiec! – rzucił przenikliwym szeptem w moją stronę.

Ricardo pałał pogardą. Pogardą i nieskończoną nienawiścią. Chciałem mu odpowiedzieć, żeby sobie darował te złośliwości, ale

zaczął mówić pierwszy:

– Ty naprawdę jesteś szalony! – chrząkał dziwnym głosem. – Mój mistrz ma rację. Od początku coś było z tobą nie tak! Nie mogłeś się do nas przystosować. Tylko ty kłóciłeś się z patronem. Ciągłe mówienie o tobie cały klasztor!

– Bo tylko Antonio miał za patrona brata Armanda – Alejandro wziął mnie w obronę.

– I powinien co noc krzyżem tu leżeć i Bogu dziękować, że spotkało go takie szczęście! – odpowiedział Ricardo z wyrzutem.

Już nie tylko głową, ale całą swą osobą obrócił się w naszą stronę.

– Czy ty w ogóle masz pojęcie, co chciałeś zniszczyć?! – mówił dalej w swoim zapamiętaniu, które doprawdy przypominało szaleństwo. – *Padre Castellano de Corell* to nie tylko ciało i dusza! To przede wszystkim umysł! Wielki umysł i idea. To jest Inkwizycja! Masz pojęcie, jak wiele pracy trzeba, aby wykształcić umysł w tak wielu dziedzinach? Ile trzeba czasem czekać, by umysł taki jak jego w ogóle się narodził? – Ricardo pokiwał z niedowierzaniem głową. – A ty myślałeś tylko o sobie! O swojej urażonej dumie.

– Nie zrobiłem tego! – przerwałem mu. – Nigdy bym czegoś podobnego nie zrobił.

– A dzwonnica podpałiła się sama – dokończył za mną Ricardo złośliwie. – Albo lepiej: brat Armand chciał popełnić samobójstwo. – Roześmiał się na całe gardło, a jego pogardliwy śmiech odbił się echem od tonącego w ciemnościach sklepienia.

– A może Bóg nie chce Inkwizycji? Pomyślałeś o tym? – zapytałem w tym samym złośliwym tonie. – Może ten ogień to palec Boży?

Ricardo w jednej chwili przestał się śmiać i spojrzał na mnie ze złością.

– Ale ja ciebie widziałem na dziedzińcu, nie palec Boży! – prawie krzyknął. – Nikogo więcej tam nie było, tylko ty, Antonio! Stałeś pod dzwonnica i patrzyłeś, jak się pali. I nie uczyniłeś nic, aby brata Armanda ratować. Dziwię się dlaczego. Cały klasztor się dziwi. Bo każdy w takiej sytuacji pospieszyłby na ratunek. Albo chociaż wzywał pomocy. A ty stałeś i przyglądałeś się, jak dzwonnica płonie, licząc, że

w jej wnętrzu spłonie i brat Armand! Patrzyłeś z zimną krwią i spokojem! Wszystkie okoliczności mówią dość jasno o tobie – zakończył z obrzydliwą pewnością siebie.

– Jak można go było ratować?! – rzucił Juan. – Czym gasić płomienie? Wyschnięte drewno szybko zajęło się ogniem. Dzwonnica runęła w ciągu kilku minut. Jak chciałeś ją uratować? Czym?

– Ja przynajmniej wezwałem pomoc – oznajmił z wyższością Ricardo.

– Wezwałeś – przyznał Juan. – I co to dało?

– Bo było za późno! – syknął Ricardo. – Przez niego! – Wskazał na mnie ręką. – Jakby on zaczął wzywać pomocy, może dałoby się cokolwiek uratować. Ale jak on mógł wzywać pomocy, skoro sam podpalił dzwonnice?!

Chciałem mu odpowiedzieć, nie przebierając w słowach, ale w tym momencie otworzyły się z łoskotem drzwi kościoła i wszedł brat Constantino z lampką oliwną w ręku, której płomień oświetlał mu twarz.

– Słysząc waszą kłótnię w mojej celi – stwierdził. – Czy przypadkiem nie mieliście się modlić i prosić Ducha Świętego o potrzebne łaski w życiu zakonnym? Tymczasem prowadzicie bezsensowną dyskusję na temat, którego rozwiązać i tak nie jesteście władni. Wyjaśnicie mi dlaczego?

– Nie usiądę z nim do wspólnej modlitwy! – Ricardo wskazał na mnie ruchem głowy. – Dlaczego mamy się z nim modlić? To nasza ceremonia, nie jego. A on tu przylazł jak przybłęda nie wiadomo po co!

– Ricardo, co ty mówisz? – zganił go Juan.

Mnie odebrało mowę, gdy usłyszałem słowa Ricarda, i czekałem, czy brat Constantino wypomni mu tę niegodną chrześcijanina, a tym bardziej zakonnika, wypowiedź, ale on nie zwrócił na nią uwagi.

Zamiast tego zapytał:

– Antonio, co tu robisz?

Zmieszałem się.

– Nie mogłem spać... Więc przyszedłem się pomodlić... – mówiłem dość nieskładnie.

– To trzeba było modlić się w swojej celi – odpowiedział chłodno brat Constantino. – Zakłócasz ich przygotowania. Pójdiesz ze mną.

– Ale, ojciec... – zaczął Alejandro. – Antonio nikomu z nas nie przeszkadza. To Ricardo go atakuje. My z Juanem i Oscarem nie mamy nic przeciwko, prawda? A kościół jest dla wszystkich.

Juan skinął głową, ale Oscar się nie odezwał.

– Prawda, że nie mamy nic przeciwko temu? – zapytał Alejandro jeszcze raz z naciskiem, patrząc na Oscara.

Ale on spojrział na mnie i odwrócił twarz w stronę ołtarza, udając, że się modli. Nie odezwał się ani słowem.

– Antonio, wyjdiesz ze mną! – polecił mi stanowczo brat Constantino i wyciągnął wyczekująco rękę w moim kierunku.

Ociągnąwszy się, noga za nogą, rzuciwszy Ricardo smutne i pełne goryczy spojrzenie, przeszedłem nawą główną kościoła do wyjścia. Wyszliśmy z bratem Constantino na zewnątrz.

– Idź, Antonio, do swojej celi. Dobranoc – pożegnał mnie mnich i ruszył w stronę swego segmentu.

– Dobranoc... – szepnąłem tak, by tego nie usłyszał.

Stałem na środku dziedzińca w absolutnej ciszy, bo nie towarzyszył mi, jak zwykle, szum wody w fontannie. Dopalała się oliwa w mojej lampie i jej nikiący, rozchwiany brakiem paliwa płomień trząskając ostatkiem sił, aż znikł bezgłośnie, pozostawiając po sobie ulatującą w górę wąską strużkę dymu. Podążyłem za nią wzrokiem ku czarnemu, nocnemu niebu, co spoglądało na ten padół z daleka – obce i niezmiennie. Było rozgwieżdżone tysiącami maleńkich, błyszczących gwiazd, co świeciły chłodno, ale pięknie. Rozpościerało się nade mną w swej krasie, ukazując cały przepych i bogactwo, jakie w sobie miało.

Przyglądałem się mu z zadartą głową, jakbym je widział pierwszy raz w życiu. Wydawało mi się, że stamtąd, z góry, wszelkie problemy tego świata są nic niewarte, a moje życie, choćby trwało długo, jest niczym w porównaniu z wiecznością nieba. Cóż więc znaczy jedno pojedyncze życie, jeden los, nawet jeśli miałby być najstraszniejszy? Stamtąd i tak nie będzie go widać... A skoro tak, po co się tym czymś losem przejmować?...

Ale patrząc na owo cudnie rozgwieżdżone niebo, zdałem sobie sprawę z czegoś jeszcze... Poczulem, niemal namacalnie w środku, w kręgosłupie i lędźwiach, jak bardzo każdy z nas, ludzi, samotny jest

w swym losie, zwłaszcza jeśli los ten smutny jest i nieszczęśliwy. Samotny wśród wielu ludzi, tak samo jak każda ze świecących gwiazd samotna jest na niebie, choć wokół niej tysiące innych...

Myśli te jeszcze bardziej mnie przygnębiły, pożerając ostatnie resztki nadziei, co na przekór zdrowemu rozsądkowi tliły się na dnie mej duszy. Tak. Sam jestem. Sam ze swoim brzemieniem niezawinionego procesu i niezawinionej kary, którą jednak mi wymierzą. A choćby i moi przyjaciele trwali przy mnie do końca i robili wszystko, co w ich mocy, nie ocalą mnie przed moim losem, zapisanym gdzieś tam, w górze, pośród tych wiecznych gwiazd.

Powlokłem się w stronę naszego segmentu, ale zamiast iść do celi, usiadłem na schodach tuż pod oknem mego mistrza pogrążonym w ciemności i płakałem cichymi, pełnymi gorzkości łzami, nie bardzo wiedząc, co dalej ze sobą uczynić. Dławił mnie strach i poczucie bezradności.

Nie wiem, jak długo mogłem tak siedzieć, ale w pewnym momencie usłyszałem nad sobą głos brata Armanda:

– Antonio, czemu nie śpisz? – zapytał cicho, prawie szeptem.

Spojrzałem w górę. Mistrz wychylał się przez okno. Miał bladą i zmęczoną twarz, w której nie krył zaskoczenia.

– Przepraszam, jeśli cię obudziłem, *padre* – powiedziałem równie cicho.

Westchnął.

– Nie obudziłeś mnie, Antonio. Ale dlaczego chodzisz w nocy po klasztorze? – Nie słyszałem w jego głosie cienia wyrzutu, krzywdy ani żalu.

Mówił, a w zasadzie szeptał do mnie tak, jakby nic się nie stało.

– Nie wiem, *padre*. – Wzruszyłem ramionami. – Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić – powiedziałem zgodnie z prawdą. – Zresztą to i tak nieważne. Teraz nic już nie ma znaczenia. Żadna rzecz. Nieważne, czy pójdę do celi, czy się położę spać, czy tu zostanę. I tak jestem tu sam.

– Antonio, co ty pleciesz? – Brat Armand zmarszczył brwi, jakby starał się skupić nad czymś skomplikowanym, aby to lepiej zrozumieć. – A na tych schodach na pewno będziesz sam. Jeśli chcesz porozmawiać, to wejdź na górę.

– Nie, ojcze. – Pokręciłem głową z rezygnacją. – Nie chcę już rozmawiać. Rozmowa niczego nie zmieni, a ty i tak niczego nie zrozumiesz. Obaj stracimy tylko czas i nerwy. Wszystko już ustalone...

– mówiłem z coraz większym przygnębieniem, patrząc przed siebie.

– Idź spać, Antonio, bo brak snu miesza ci rozum – polecił mistrz. Wstałem ze schodów.

– Tak, ojcze. – Wszedłem na górę.

Życzyliśmy sobie obaj dobrej nocy, chociaż doskonale wiedzieliśmy, że nie będzie ona ani dobra, ani miła dla żadnego z nas. Spojrzałem jeszcze na dziedziniec, na którym pustką ziało miejsce po dzwonnicy, i na migotliwe światła lampek oliwnych palące się w kościele nowicuszom do modlitwy. Stałem na szczycie schodów, tak samo jak kilka dni temu, gdy zobaczyłem płomienie na dolnych partiach dzwonnicy i pobiegłem stąd z myślą o ratowaniu mistrza, w co on i tak nie wierzy. Nawet teraz, tuż za ścianą, rozmyślając bez wątpienia o tym samym co ja.

Boże, pomóż mi, bo droga przede mną zdaje się coraz ciemniejsza...

29 sierpnia

Ceremonia złożenia ślubów wieczystych odbyła się podczas nocnego *officium*, a brat Constantino – cokolwiek by o nim nie mówić – postarał się z całych sił, aby była to noc warta zapamiętania.

Okolo dziesiątej wieczorem zgromadziliśmy się wszyscy w kościele przy blasku lamp oliwnych i świec, którymi rześciście oświetlono ołtarz. Ceremonii przewodził przeor, zaś nowicjuszy ubranych już w dominikańskie kuty poprowadzili do ołtarza ich patroni: najpierw szedł brat Jorge, prowadząc Alejandra, najstarszego stażem nowicjusza, potem brat Alvaro z Juanem, brat Santiago z Oscarem i na końcu brat Constantino prowadzący Ricarda. Wszyscy nowicjusze nieśli świece, które ustawili na ołtarzu. Następnie patroni krótkim uściskiem pożegnali swoich uczniów, symbolicznie kończąc w ten sposób swój nad nimi patronat, i odeszli do swoich ławek, zaś adepci zostali na środku

kościół, ustawieni rzędem, wszyscy na równi przed samym ołtarzem.

Pięknie i dostojnie wyglądali w swych nowych szatach! Widziałem na ich twarzach przejęcie i oczekiwanie. Oto otwierał się przed nimi nowy rozdział w ich życiu i oto dziś mieli dokonać wyboru tej drogi już na zawsze. Ciarki mnie przechodziły, gdy myślałem o owym „na zawsze”, a cóż dopiero oni musieli przeżywać na chwilę przed złożeniem ślubowań wieczystych! Pomyślałem, że mnie ten dzień nigdy nie będzie dany...

Przeor powitał nowicjuszy i zaintonował pieśń o świętym Dominiku. Patron naszego zakonu stwierdził, że najbardziej współbraciom przysłuży się po swej śmierci, gdy będzie mógł w niebie wyjednać dla nich u Boga potrzebne łaski, dlatego podczas ceremonii składania ślubów odśpiewuje się tę pieśń, prosząc świętego Dominika o wstawiennictwo i opiekę. Podczas tej pieśni Alejandro, Juan, Oscar i Ricardo leżeli rzędem na posadzce, twarzami zwróceni w dół, z dłońmi przy twarzach. Nieruchomo.

Kiedy skończyliśmy śpiewać, a wyjątkowo długa jest to pieśń, przed ołtarz wyszedł *padre* Torquemada i stanął nad głowami kandydatów na braci zakonnych. Zapadła długa, wyczekująca cisza, podczas której, miałem takie wrażenie, przeor napawał się swoją wyższością nad nowicjuszami, a może i nad Santa Cruz. Już niedługo będzie się napawał swą wyższością nad całą Hiszpanią...

W końcu brat Torquemada odezwał się dźwięcznym, władczym głosem do nowicjuszy:

– Czego żądacie? – Głębokie, donośne echo poniosło te słowa pod samo sklepienie, a stamtąd powróciły one do nas nieco cichsze.

– Miłosierdzia Bożego i waszego! – odpowiedzieli chórem Alejandro, Juan, Oscar i Ricardo, nadal leżąc na posadzce.

Ich głosy były stłumione i słabiej niż przeora słyszalne.

– Powstańcie! – ogłosił *padre* Torquemada, unosząc ręce w przyjaznym, zapraszającym geście.

Nowicjusze wstali wolno z posadzki i spojrzeli po sobie nieco niepewnie. Nadszedł najważniejszy moment tej ceremonii.

Krótko przed północą, gdy przeor zasiadł przed ołtarzem na specjalnie przygotowanym do tego okazałym krześle, Alejandro

podszedł doń i uklęknął przed nim. Stojący obok brat Constantino wziął ze stosu książek leżącego na stole ofiarnym jedną z pięknie zdobionych na okładce ksiąg i podał ją bratu Torquemadzie. Przygotowano cztery takie same księgi, oprawione w ciemnobordową skórę, z okuciami oraz nabitym na okładce symbolem naszego zakonu i słowami: *LAUDARE, BENEDICERE, PRAEDICARE*. Były to Konstytucje Zakonu Kaznodziejskiego, czyli zbiór wszystkich praw wraz z regułą świętego Augustyna, wedle których to przepisów zakonnicy są zobowiązani żyć do końca swoich dni. Bracia kopiści wiele tygodni przygotowywali je dla nowo wstępujących do zakonu braci jako prezent na nową drogę życia. A to znaczy, że decyzja o dzisiejszej ceremonii w przypadku Ricarda zapadła dużo wcześniej, niż brat Armand nam to ogłosił...

Przeor otworzył podaną mu księgę mniej więcej na połowie i oparł ją na swoich kolanach. Następnie na kartach położył swoje dłonie wnętrzem do góry, a Alejandro podał mu swoje ręce, złożone jak do pacierza, które przeor otoczył swoimi dłońmi. Wówczas Alejandro uroczyście wypowiedział słowa przysięgi:

– Ja, brat Alejandro Silva de Sarmiento, składam profesję i ślubuję czystość, ubóstwo oraz posłuszeństwo Bogu, Najświętszej Maryi Pannie, Świętemu Dominikowi i tobie, bratu Tomásowi de Torquemadzie, przeorowi Convento de Santa Cruz la Real w Segowii oraz prowincjałowi Prowincji Dominikanów Segowii, że będę posłuszny tobie i twoim następcom, według reguły świętego Augustyna i Ustaw Braci Kaznodziejów, aż do śmierci. Amen – Alejandro mówił wolno i elegancko, świadomy każdego słowa.

Po złożeniu ślubowania na wieczność Alejandro, teraz już brat Alejandro, wstał, a do przeora podszedł Juan. Brat Constantino podał *padre* Torquemadzie kolejną księgę, a Juan włożył swoje dłonie w dłonie przeora i wypowiedział tę samą rotę ślubowania. Za nim czynili to samo Oscar i Ricardo, który, gdy ślubował, mówił to w taki sposób, jakby cały świat nie tylko miał go słuchać, ale także zapamiętać ten moment.

Gdy wszyscy złożyli już śluby wieczyste, brat Torquemada pobłogosławił nowych braci, a potem serdecznie ich uściskał i z serca pogratulował. Następnie gratulacje składali im ich niedawni patroni.

Wówczas stojący obok mnie na całej ceremonii brat Armand, który przez cały dzisiejszy dzień nie zamienił ze mną ani słowa, pochylił się w moją stronę i szepnął:

– Zapamiętaj tę chwilę, Antonio. Zapamiętaj dobrze, żebyś wiedział, co straciłeś.

Zrobiło mi się przykro i popatrzyłem na mistrza ze smutkiem, wiedząc, że nie ma sensu odpowiadać mu na tę złośliwość. Spuściłem wzrok. Kto wie, może Bóg nie chce, abym został mnichem? Może wysłuchał wreszcie moich młodzieńczych modlitw i trzyma w zanadrzu dla mnie jakiś lepszy los? Może więc nie ma wcale czego żałować?

Po oficjalnych gratulacjach wszyscy podchodziliśmy do nowych braci dominikanów, by życzyć im mocnej wiary, wytrwałości i wielu łask Bożych. Ricardo nie chciał mi podać ręki i nie przyjął życzeń, które mu złożyłem. Nawet mnie to nie zaskoczyło. Za to w osłupienie prawdziwe wprawiła mnie reakcja mojego mistrza na takie zachowanie świeżo upieczzonego mnicha. Brat Armand zauważył tę scenę, bo naraz podszedł do Ricarda i zganił go za takie zachowanie, jeszcze zanim zdążyłem odejść.

– Bracie Ricardo, czy jesteś pewien, że takie zachowanie godne jest chrześcijanina? – zapytał spokojnie mój mistrz, a ja stanąłem jak wryty.

– Ja... – wyjąkał Ricardo. – Przecież chciał cię zabić. To morderca, ojczy! – dodał pogardliwie, sycząc przez zęby i zerkając na mnie z ukosa.

– Owszem. Chciał mnie zabić – przyznał brat Armand. – O jego losie zadecyduje jednak sąd i to sąd wymierzy mu stosowną karę, nie ty. Ale teraz przyszedł złożyć ci gratulacje i życzyć łaski Bożej. Możesz mi powiedzieć, bracie Ricardo, dlaczego ty chowasz do niego urazę, choć Chrystus nakazał ci wybaczać, i dlaczego nie podasz ręki Antoniowi? – Brat Armand mówił to łagodnie i spokojnie, jakby tłumaczył coś dziecku, a nie dorosłemu mnichowi, ale za tym spokojem kryła się stanowczość i chłodna pewność siebie.

Kolejny raz zastanowiła mnie postawa brata Armanda. Z jednej strony mnie nienawidził, a z drugiej brał w obronę, w dodatku przed swoim pupilkiem! Mnie, co do którego był przekonany, że chciałem go

zabić, co sam przed chwilą powiedział. Nic z tego nie rozumiałem... A do tego jeszcze rozmawiał z bratem Ricardo nienaturalnym, inkwizytorskim tonem, który zdawał się zapowiedzią jakiejś groźby, jakiegoś piekła. Nie wiem, dla mnie? Dla Hiszpanii? Czy dla jego duszy?

I brat Ricardo, który wszak nie był już nowicjuszem i w żadnym wypadku nie podlegał służbowo bratu Armandowi, podszedł do mnie ze skruszoną miną, choć wcale nie musiał wysłuchać nakazu mego mistrza, i przepaszając, przyjął ode mnie życzenia. A brat Armand stał z boku i patrzył na to z satysfakcją, w dziwnej jakiejś zadumie, zupełnie doń niepasującej.

Leżąc nad ranem w łóżku i czekając na jutrznię, sen bowiem zupełnie mnie opuścił, długo zastanawiałem się nad zachowaniem brata Armanda. Być może ruszyło go sumienie? Może Duch Święty natchnął jego myśli, aby zdołał ujrzeć prawdę i w nią uwierzyć? Bo skąd nagle taka zmiana postawy? Nad czym tak myślał, skoro przekonany jest o mojej winie? I skąd ten odruch dobroci, przypływ chrześcijańskich uczuć? Musiał to być Duch Święty, który tę zabłąkaną duszę przyprowadził z powrotem do stada. Nie. Tu żadne, nawet najjaśniejsze moce światła nie pomogą, bo dusza mego mistrza już od dawna pogrążona jest w ciemności. Miał może gorszy dzień? Gdzieś się zawahał? Ot, chwila słabości, której normalnie nigdy by nie okazał.

Jest głupcem, bo powinien się bać. Jego poglądy, działalność, może postawa, może przyjaźń z Torquemadą, a może nawet przychylność Królowej są dla kogoś tu, w Santa Cruz, solą w oku. Na myśl przychodzi mi tylko jedna osoba, ale mogę się mylić...

1 września

Do procesu pozostały niecałe dwa tygodnie. Wiem, że *padre* Torquemada prowadzi własne śledztwo i zbiera dla przyszłego sądu materiał dowodowy. Słucha świadków, rozpytuje, ogląda miejsce po dzwonnicy. Aktywnie pomaga mu w tym brat Constantino, który nie kryje wcale tego, że jego ambicją jest wykazać moją winę. Wiem, że

śluchali już brata Armanda, właściwie od jego zeznań zaczęli. Ricardo zgłosił się na ochotnika i także już zeznawał.

I w ogóle przeor i mój mistrz chodzą po klasztorze rozdrażnieni. Z tego, co udało mi się dziś rano podsłuchać, wynika, że to nie z powodu podpalenia dzwonnicy i mojego procesu. Nie ma żadnych wieści z Watykanu. Papież nadal nic nie postanowił w kwestii Inkwizycji, a przecież minęło już prawie półtora miesiąca i brat Torquemada zaczyna się z wolna niecierpliwić. Widocznie papież rozważniejszy jest niż nasza Królowa i ostrożniej podchodzi do tej decyzji, chcąc być może przemyśleć wszystkie za i przeciw. Modłę się o mądrość dla niego, aby zablokował pochód Torquemady i Armanda ku temu szaleństwu!

Brat Ricardo, odkąd jest mnichem, panoszy się po klasztorze, jakby był tu najważniejszy. Często przebywa w towarzystwie przeora i mego mistrza i widać po jego zachowaniu, że czuje się z nimi jak ryba w wodzie. Oni chyba też są zadowoleni. *Padre* Torquemada wysłał już listy do rektora Uniwersytetu w Salamance, rekomendując brata Ricarda na studia teologiczne i prawnicze od początku października, a po zakończeniu nauki na tej uczelni prawdopodobnie wyśle go do Bolonii na kontynuację nauki. Zresztą tak podobno jest w piśmie do rektora w Salamance, aby ten miał na uwadze, że Ricardo de Deza ma jechać potem do Bolonii. Odpowiedź z Salamanki jeszcze nie nadeszła, ale dużo się mówi o przyjaźni *padre* Torquemady z Jego Magnificencją, rektorem Uniwersytetu w Salamance, więc zgodę brat Ricardo ma już w zasadzie w kieszeni, teraz zaś czeka jedynie na jej formalne potwierdzenie. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, wyjedzie z Santa Cruz na wiele lat, krocząc wzorem kariery mojego mistrza. Chyba tylko medycynę brat Ricardo sobie odpuści, a jeśli będzie ją studiował, to raczej wyłącznie pro forma, bo iskry Bożej nie ma do tego za grosz. Unika pracy w szpitalu jak diabeł święconej wody, nie wspominając już o leprozorium. Za to będzie z niego świetny prawnik, bo uparcie czyta wszystkie traktaty i rozprawy prawnicze, które mamy w naszej bibliotece klasztornej, i ponoć nieraz wieździe długie, zapamiętałe dysputy z Oscarem, który także przygotowuje się do studiów z dziedziny prawa, a po cichu i do zawodu inkwizytora. Obaj zdają się dość mocno oderwani od spraw opactwa i w ogóle od rzeczywistości. Myślą i mówią

zaś już tylko o tym, co będzie, gdy wyjadą na studia albo gdy już z tych studiów wrócą. Obaj myślą tylko o Inkwizycji...

Rozpoczęto prace w miejscu, gdzie ongiś stała dzwonnica. Wytyczono teren pod fundamenty nowej, murowanej, ale budowa jeszcze nie ruszyła. Nie wiem, czy przeor czeka do procesu, chcąc zabezpieczyć dla sędziów miejskich miejsce zbrodni, czy powód jest zgoła inny. Wczoraj brat Torquemada, brat Armand, brat Constantino i brat Jorge przeszli tajnym, podziemnym korytarzem łączącym kościół z dawną dzwonnica, aby zrobić oględziny drogi ucieczki mego mistrza. Ponoć przeor zażyczył sobie obecności brata Jorgego, ale nie raczył nikomu wyjaśnić przyczyny. Przynajmniej tak twierdzi brat Alejandro. On sam denerwuje się strasznie, gdy zwracam się do niego „ojcze”, ale publicznie każdy nowicjusz musi zachowywać ten oficjalny formalizm.

Później

Brat Torquemada zawezwał na przesłuchanie do swego gabinetu Juana i długo z nim rozmawiał.

Kłęczeliśmy z Alejandrem przy otworze w celi sąsiadującej z gabinetem przeora i słuchaliśmy, o czym mówili. Był tam również brat Armand i, co mnie zaskoczyło, także brat Constantino.

Przesłuchanie, albo raczej badanie duszy lub sumienia Juana, zaczęli niewinnie, od pytania, gdzie był i co robił tego dnia, czy mnie widział, czy ze mną rozmawiał i o czym. Juan odpowiadał zgodnie z prawdą i własną wiedzą, zaprzeczając wszelkim posądzeniom mojej osoby o udział w tej zbrodni.

– Bracie Juanie – mówił przeor – a czy słyszałeś kiedy, aby Antonio źle się wypowiadał o swoim patronie?

Juan milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał. Spojrzałem na Alejandra ze zgrozą, bo ileż to razy rozmawialiśmy we trzech o bracie Armandzie, nazywając go złośliwie Archaniołem i wygadując o nim inne, nieprzyjemne rzeczy! Zrobiło mi się wstyd. Sam kopałem sobie grób, odkąd tu przyjechałem. Własnymi rękami położyłem podwaliny pod ten proces i wyrok, który zapadnie, a co do którego przestawałem

mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

– Nie, nie słyszałem – odpowiedział pewnym głosem Juan. – Nigdy przy mnie nie mówił o bracie Armandzie nieprawdziwych rzeczy.

Uśmiechnąłem się razem z Alejandrem, słysząc te słowa. Juan zrobił wybieg, którego przeor najwyraźniej nie zauważył, ani zadufany w sobie brat Armand.

– Nigdy? – dopytywał brat Constantino.

– Nigdy – potwierdził Juan. – Poza tą sytuacją, gdy krzyczał, że go nienawidzi, ale te słowa słyszeli chyba wszyscy w klasztorze.

Poczułem gorąco na karku na wspomnienie tamtej sytuacji.

– A czy słyszałeś kiedy, bracie Juanie, aby Antonio planował zbrodnię? – pytał dalej brat Torquemada. – Aby mówił, że z tej nienawiści patrona zabije?

– Nie, ojcie przeorze. – Juan miał głos twardy i oficjalny. – Antonio nigdy nie mówił takich rzeczy i mogę zaręczyć, że ich nie planował. I nigdy nie zrobiłby tego, o co jest podejrzewany.

– Skąd ta pewność, bracie? – wtrącił się mój mistrz.

– Bo znam Antonia bardzo dobrze – odpowiedział Juan. – Lepiej niż ktokolwiek z was, ojcowie. Antonio jest tu ofiarą. Ofiarą twoich metod, bracie Armandzie.

– Zapominasz się, bracie Juanie! – ostrzegawczo rzucił mój mistrz.

– To ty się zapominasz, bracie Armandzie – odparł pewnie Juan. – Nie jestem już nowicjuszem i mogę rozmawiać z tobą jak równy z równym. Bo wbrew twoim wyobrażeniom wszyscy jesteśmy tu równi. Wszyscy. A święty Augustyn nakazał upominać się braciom nawzajem, gdy jeden z nich zauważy, że inny źle czyni. Zatem, bracie Armandzie, to ty skrzywdziłeś Antonia i jeszcze bardziej go krzywdzisz tym absurdalnym posądzeniem i procesem. Patronat nad nowicjuszem nie polega tylko na krzyczeniu, wydawaniu poleceń, upominaniu, manipulowaniu, głodzeniu, że o chłości nie wspomnę. Zastraszyłeś go, zniewoliłeś, zniszczyłeś to dziecko. I chociaż nienawiść jest wielkim grzechem, w tej sytuacji jestem w stanie zrozumieć, co czuł i co nadal czuje Antonio.

– Patron ma prawo karcenia podwładnego – wtrącił się brat Constantino. – Tak nakazuje reguła zakonu.

– Owszem – przyznał Juan. – Ale karcic trzeba mieć za co. A poza tym ta sama reguła mówi, aby przełożony z lękiem kary na innych nakładał. *Niech się stara, aby go bardziej kochano, niż się go lękano, pamiętając zawsze o tym, że kiedyś zda z was rachunek przed Bogiem.* Święty Augustyn pisze: *ten, kto jest waszym przełożonym, powinien czuć się szczęśliwy nie dlatego, że ma władzę rozkazywać, ale dlatego, że może innym służyć w miłości.* A ty, bracie Armandzie, wynosisz siebie ponad innych i Antonia bez przerwy straszyles. Nie dlatego, żeby źle postępował. Ty lubisz, gdy wszyscy czują przed tobą lęk. Chcesz, by cię słuchano i poważano, ale zamiast zasłużyć sobie na szacunek ludzi, ty trzymasz ich przy sobie strachem. A strach jest skuteczny tylko do czasu. Zastanów się, bracie Armandzie, nad tym, co się stało, póki jest pora. Jak wielką musisz budzić niechęć, że ktoś chciał twojej śmierci. I nie był to Antonio. Jest w klasztorze ktoś, komu wyrzuciłeś być może nieświadomie jakąś krzywdę. Krzywdę tak wielką, że strach przed Boską karą i karą ziemską nie powstrzymał jego ręki przed targnięciem jej na twoje życie. A jeśli już raz spróbował, zrobi to znów. To kwestia czasu. Zastanów się, bracie, nad swoim życiem. Jak jest ono niewłaściwe, skoro inni tak przez ciebie cierpią. Bo ten akt desperacji, a był to akt desperacji, wziął się z cierpienia. Ktoś przeżywa wyrządzoną mu krzywdę tak bardzo, że ból zaślepił mu umysł i zatrul duszę. Współczuję wam obu. I jeszcze raz powtarzam, to nie był Antonio. – Juan zamilkł, a ja płakałem, słuchając jego słów.

– Wszystko bym dał, żeby zobaczyć teraz minę Archanioła – szepnął do mnie Alejandro. – Chyba nikt mu jeszcze tak nie nagadał.

Roześmieliśmy się obaj, a w gabinecie obok panowała dziwna cisza. Bez wątpienia przeor i brat Armand byli zaskoczeni słowami Juana.

– Cóż, bracie Juanie – odezwał się po dłuższej chwili mój mistrz – przyjmuję do wiadomości twoje upomnienie, jak nakazuje reguła. Ale się z nim nie zgadzam. I wielka gorycz przez ciebie przemawia. Przekonasz się już wkrótce, że się mylisz. Zaś w kwestii Antonia nie wierzę w ani jedno twoje i jego zapewnienie. Widziałem go pod dzwonnica, gdy płomienie w dole dopiero się rozpały.

– Bo przybiegł ci na pomoc, bracie. – Juan nie dawał się zbić

z tropu.

– Ale mi jej nie udzielił. Nie gasił ognia, nie wzywał pomocy. – Mój mistrz także nie dawał za wygraną. – Tylko stał i patrzył, jak płonę.

– A co było tam do zrobienia? – Juan podniósł głos. – Wysznięte na wiór drewno zajęło się ogniem natychmiast. Żadna siła by tego nie zatrzymała.

– Bracia! – wtrącił się przeor. – *Kłótni jak najszybciej zaprzestańcie, aby gniew nie przerodził się w nienawiść i ze źdźbła nie czynił belki, a dusza nie stała się zabójcą.* Święty Augustyn, reguła numer 41.

– Dobrze powiedziałeś, ojcie przeorze – odezwał się brat Constantino. – A święty Jan Ewangelista pisze w Pierwszym Liście, że *każdy, kto nienawidzi swego brata, jest zabójcą*[24]. Zatem niepotrzebne są wasze spory, skoro Duch Święty wskazuje nam sprawcę zamachu na życie czcigodnego brata Armanda.

Zadrzałem na te słowa. Wymieniłem z Alejandrem spojrzenia pełne grozy.

– Po co więc mnie tu wezwaliście, bracia, skoro wynik procesu jest już przesądzony? – Juan nawet nie próbował ukryć oburzenia. – Ten cały proces i zbieranie dowodów to tylko pozory dla sądu miejskiego, czy tak?

– Bracie Juanie – odezwał się przeor, trochę już zniecierpliwiony – niepotrzebnie się unosisz i źle odczytujesz nasze intencje. Jesteśmy tu wszyscy po to, aby pomóc biednej duszy Antonia wyjść z mroku na światło. Kara może być konieczna, jeśli on nie chce się przyznać do błędu – brat Torquemada mówił łagodnie i w jego głosie brzmiała fałszywa pobłażliwość.

– Nie. Jesteście tu wszyscy po to, aby zadośćuczynić nadwątlonej miłości własnej brata Armanda – rzucił Juan oskarżającym tonem.

– Tego już za wiele, bracie Juanie! – mistrz mój krzyknął i chyba wstał z krzesła, bo to zaskrzypiało. – Jak śmiesz tak się do mnie odzywać?!

– A kimże ty jesteś, bracie, żeby nie wolno mi było cię krytykować?! – odparował mu Juan, nie dając się zastraszyć.

– Spokój! Bracia! – wtrącił się przeor do tej dyskusji. – Mieście

wzgląd, że jesteśmy tu dla Antonia, aby mu pomóc, nawet jeśli pobił.

Wiedziałem doskonale, podobnie jak wszyscy zgromadzeni w gabinecie, że ta pozorna troskliwość o moją duszę to tylko mydlenie oczu, a tak naprawdę przeor i mój mistrz potrzebowali kozła ofiarnego, aby go przykładowo ukarać. I to nie dla mnie samego miałyby być ta nauka, ile dla tych, co będą proces i wymierzenie kary oglądać, aby ich odstraszyć od ewentualnych podobnych pomysłów.

Gdy myśli te przelatywały w mojej głowie jedna za drugą, naraz pomyślałem, że ten proces to nic innego jak próba generalna systemu, który przeor wraz z bratem Armandem opracowali, taka mała Inkwizycja o ograniczonym do klasztornych murów zasięgu. Więc wyrok dawno już zapadł...

– A czy pomyśleliście, drodzy bracia, że do błędu powinien przyznać się ktoś inny? – odpowiedział Juan w równie fałszywie spokojnym tonie. – Czy wzięliście pod uwagę, chociaż przez chwilę, że Antonio może być niewinny?

– Bracie Juanie, wszystkie dowody świadczą przeciwko niemu... – powiedział cicho brat Constantino, nie ukrywając w głosie zaskoczenia słowami Juana. – Nie ma podstaw, aby rozpatrywać jego niewinność.

– Tak myślałem – skwitował Juan. – A jakież to dowody świadczą przeciwko Antonioniowi? Zeznanie brata Armanda nacechowane poczuciem krzywdy i urażoną miłością własną, które wypaczają mu zdolność jasnego osądu i logicznego rozumowania? Czy może zeznanie Ricarda, przepraszam, brata Ricarda, który Antonia szczerze nie znosi, ponieważ zajął zaszczytne, według niego, miejsce ucznia u boku brata Armanda, na które liczył brat Ricardo i którego, jak widzę, nadal nie odżalował? To są wasze dowody? – Pogarda była w głosie Juana.

Serce uderzało mi jak szalone, gdy słuchałem, z jak wielką odwagą wypowiadał się wobec przeora i Archaniola!

– Dość już tego, bracie Juanie! – zagrmiał nagle mój mistrz, a ja i Alejandro aż podskoczyliśmy ze strachu. – Obrażasz mnie, zarzucając mi nieuczciwość i niesprawiedliwy osąd. Bóg mi świadkiem, że chcę dla Antonia jak najlepiej.

– Nie wzywaj Boga na świadka, bracie Armandzie – upomniał go

Juan. – Jeśli naprawdę cię obraziłem, niesłusznie oskarżając, proszę o wybaczenie. Ale ja wiem i ty, bracie, w głębi duszy i swego sumienia również to wiesz, że wszystko, co tu powiedziałem, jest prawdą. A w takim razie moje przesłuchanie jako zupełnie dla wyjaśnienia sprawy bezcelowe uważam za zakończone. Czas mi zatem iść, drodzy bracia, a wam życzę, aby Duch Święty obdarzył was darem mądrości, abyście odkryli prawdę. – Zaskrzypiało krzesło, zatem Juan zapewne z niego wstał.

Usłyszeliśmy z Alejandrem kroki po gabinecie i zgrzyt naciskanej klamki. Prawdopodobnie Juan podszedł do drzwi.

– Bardzo mi ciebie żal, bracie Armandzie – powiedział ze smutkiem Juan, być może stojąc już na progu. – Bo popełniasz straszny grzech. Będę się za ciebie modlił. Za ciebie i twojego prawdziwego zabójcę.

– To zupełnie niepotrzebne, bracie Juanie – odezwał się mój mistrz z sarkazmem.

– Ależ przeciwnie, drogi bracie! – troskliwie zapewnił go Juan. – Twoja uwaga świadczy najlepiej o tym, jak bardzo modlitwa jest teraz potrzebna twojej umęczonej duszy – zakończył Juan i otworzył drzwi do holu, o czym świadczył cichy pisk słabo naoliwionych zawiasów.

– Bracie Juanie – powiedział nagle mój mistrz – ciesz się, że jeszcze nie jestem inkwizytorem. Bo gdybym nim był, już byłbyś w lochu świętego trybunału. Ale pamiętaj, że ci się przyglądam. I uderzę w ciebie wtedy, gdy najmniej będziesz się spodziewał ataku. Bierzesz w obronę zabójcę. Widocznie masz po temu powód. Kto wie, może i ty także maczałeś palce w tym spisku na moje życie? – Zawiesił znacząco głos, co już u niego czasem słyszałem. – Z pewnością sąd miejski zechce wiedzieć, dlaczego odmawiasz współpracy z przeorem w sprawie śledztwa... Czy mamy im powiedzieć o naszych wobec ciebie podejrzeniach? – Głos brata Armanda był lodowato uprzejmy, ale groźba była pomiędzy jego słowami tak oczywista, że i Juan z pewnością ją odczytał.

– Bracie, nie byłem w żadnym spisku, bo żadnego spisku nie było – odpowiedział Juan, ale wyraźnie spuścił już ze swego tonu.

– Przekonamy się, drogi bracie – powiedział łagodnie mój mistrz. –

Śledztwo wciąż trwa. Wolałbym nie przewidywać jego wyniku, ale coraz ciekawszych rzeczy dowiaduję się w jego toku. I kto by pomyślał, że grzeczny brat Juan Sauli de Carmosa...

– Nie miałem z tym nic wspólnego – dodał szybko Juan, odzyskując pewność siebie, co w nim podziwiałem.

Brat Armand i brat Constantino roześmieli się.

– Boże, miej w opiece Hiszpanię! – krzyknął Juan. – Bo chociaż formalnej decyzji papieża jeszcze nie ma, a przynajmniej nic mi o niej nie wiadomo, wy, bracia, już zachowujecie się jak inkwizytorzy! Inkwizycja już tu jest i działa...

Znów usłyszeliśmy kroki, a potem odezwał się przeor:

– Jesteś nikim wobec całego systemu, drogi bracie Juanie – mówił lodowato i śmiertelnie poważnie, a mnie skóra cierpła. – Tryby Nowej Inkwizycji zassą cię i zgniotą jak robaka. Myślałeś, że swoją arogancją sprzeciwisz się naszej władzy? Myślałeś, że skoro jesteś mnichem od kilku dni, wolno ci obrażać mnie i brata Armanda? Czy przypadkiem nie ślubowałeś mi posłuszeństwa? Bracie Juanie, bardzo mnie zawiodłeś. Idź do swojej celi i przemyśl to, co ci tu powiedziałem. I od dziś po kres twoich dni pilnuj się na każdym kroku, bo jeśli Inkwizycja w Hiszpanii zostanie powołana, co jest sprawą dni, tacy jak ty, zbuntowani, będą jej pierwszymi ofiarami. Zapewniam cię o tym. – Zrobił chwilę przerwy. – Kiedy już przemyślisz swoje zachowanie, przyjdiesz do mnie i poprosisz o przebaczenie. A teraz wyjdź.

Po tych słowach Juan zamknął głośno drzwi i wyszedł z gabinetu. Ja i Alejandro zaniemówiliśmy w celi obok. Ale jakże wielkie było poruszenie w gabinecie przeora! Za ścianą ktoś nerwowo chodził, przypuszczam, że mój mistrz, bo taki miał zwyczaj. Musiał być wściekły, urażony do żywego przez Juana i w dodatku nie mógł sam go ukarać, bo nie miał nad nim władzy.

– Zeznania brata Juana do niczego nam się nie przydadzą – podsumował brat Constantino.

– Na razie nie – powiedział *padre* Torquemada. – Nie w tym procesie...

– Jak to nie w tym? A w którym? – dopytywał brat Constantino.

– W inkwizycyjnym procesie nad duszą Juana Sauli de Carmosa –

opowiedział rzeczowo i chłodno przeor, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

Zadrzałem na te słowa, a przeor mówił dalej:

– Przecież to jasne, że coś niepokojącego dzieje się z Juanem. Nie zauważyliście tego, bracia? Naszym obowiązkiem jest donieść o tym właściwej do badania duszy człowieka władzy Kościoła, aby przyprowadziła tę zabłąkaną owieczkę na łono szczerých wyznawców. A Inkwizycja za chwilę będzie powołana. Nim ruszy, Juan zapomni o dzisiejszej rozmowie i stanie się nieostrożny. Ale my nie zapomnimy. Będziemy go bacznie obserwować, tu, w Santa Cruz, i na studiach, na które niebawem wyjedzie. A potem po jego powrocie. Niekiedy Inkwizycja odracza wykonanie kary o długi czas. Ten czas zszarga i sponiewiera strachem duszę Juana lepiej niż jakiegokolwiek słowa i groźby. A potem spadnie cios... – zakończył tajemniczo i z przekonaniem. – Bracie Constantino, zapisz proszę w protokole z przesłuchania, że brat Juan odmówił współpracy ze śledczymi i naszym zdaniem ma coś do ukrycia.

Na chwilę zapadła cisza, a ja dygotałem. Juan, chcąc mnie bronić, sam wpakował się w niezłe kłopoty, o których nawet nie wie.

– Na dzisiaj to wszystko – podsumował przeor.

– Myślałem, że tylko chcieliście nastraszyć Juana, że to tylko słowa... – rzucił brat Constantino niepewnie, jakby naraz zaczął zdawać sobie sprawę, z jaką machiną ma do czynienia.

– Bracie, Inkwizycja nigdy nie rzuca słów na wiatr – powiedział poważnie brat Armand.

– I nigdy nie wybacza – dodał przeor. – Na tym skończymy dzisiejsze czynności śledcze.

– Pójdę przygotować kościół na nieszpór. – Usłyszeliśmy, że brat Constantino wstał z krzesła, a potem opuścił gabinet.

– Nie zwracaj uwagi na brata Juana, Armandzie – odezwał się po chwili brat Torquemada. – Nie rozumie on założeń systemu ani idei, która nam przyświeca. Wielu jej jeszcze nie rozumie i dlatego wciąż są przeciwnicy Inkwizycji. Ale wszyscy oni to rozumieją... – Znów groźba była w głosie przeora. – Wiemy, jak ich przekonać...

Obaj z moim mistrzem roześmieli się na te słowa, a mnie zrobiło

się zimno... Co też knuli obaj w swych chorych umysłach?! Dobrze powiedział Juan, niech Bóg ma w opiece Hiszpanię i jej lud...

Wyszliśmy z Alejandrem z naszej kryjówki chyłkiem, aby nikt nas nie zobaczył. Bardzo dobrze pamiętałem, co mi kiedyś powiedział brat Constantino, że widział mnie, jak podsłuchuję swego patrona i że w każdej chwili może mu o tym powiedzieć. Więc tym razem dużo ostrożniej rozglądaliśmy się po dziedzińcu, nim opuściliśmy celę-kryjówkę.

Podziękowałem serdecznie Juanowi za obronę, gdy szliśmy na nieszpór. Powiedzieliśmy mu również, co po jego wyjściu mówili zgromadzeni w gabinecie przeora bracia.

– To była prawdziwa przyjemność powiedzieć Archaniołowi to wszystko prosto w oczy i nie obawiać się kary! – Juan uśmiechnął się z satysfakcją. – Więcej bym mu powiedział, gdybyśmy byli we dwóch, ale przeor mógł zaświadczyć, więc musiałem się powstrzymać. – Uśmiechnął się. – Jednak ten habit ma swoją moc.

Teraz wszyscy trzej, razem z Alejandrem się roześmialiśmy. Staliśmy tuż przy wejściu do kościoła, gdy nadszedł brat Armand. Minął nas, rzucając mi lodowate, gromiące spojrzenie i wszedł do kruchty. Wypuściłem z ulgą powietrze, gdy zniknął za drzwiami.

– A ta jego zapowiedź procesu? – zapytałem Juana. – Przecież groził ci Inkwizycją.

– Zanim będzie tu Inkwizycja, zanim się rozkręci, twój patron dawno zapomni, że była ta rozmowa. – Optymizm Juana nawet mnie wydawał się zbyt radosny. – A jeśli nawet uruchomi przeciwko mnie proces inkwizycyjny, trudno. Powiedziałem prawdę i mam Boga na świadka. Jeśli za tę prawdę przyjdzie mi umrzeć, z radością odpowiem na wezwanie Pana. Gdybym powiedział im to, co chcieli usłyszeć, moja dusza byłaby potępiona. Brat Armand źle trafił ze swoim zastraszaniem. Nie ulegnę tej panice, którą chce we mnie wywołać. Bo on to mówił tylko po to, żebym się wystraszył i ze strachu powiedział to, co oni wszyscy we trzech chcieli usłyszeć. Ale nic z tego. To jeszcze nie Inkwizycja. I nie mam się czego ani bać, ani wstydzić. Przepraszę przeora, bo może faktycznie wobec niego nie powinienem tak się zachowywać. Ale tylko przeora. I cieszę się z tego, co powiedziałem

bratu Armandowi – zakończył z uśmiechem.

– On naprawdę stracił rozum – szepnął Alejandro, patrząc za moim patronem. – Myśli, że jest samym Bogiem czy co? – dodał z pogardą.

– Antonio, długo mam na ciebie czekać? – usłyszałem stanowczy, ostrzegawczy głos brata Armanda, dobiegający z wnętrza kruchty.

Zadrżałem. W jednej chwili wszedłem do kościoła, niosąc na ramieniu duszę pełną obaw, że Archanioł słyszał naszą rozmowę.

Mistrz obrzucił mnie lodowatym spojrzeniem. Stał dumny, wyprostowany jak struna lutni, a w rysach jego twarzy było coś z martwego kamienia, nie z oblicza człowieka. Nie ulegało już wątpliwości, że słyszał naszą rozmowę...

Podszedłem do niego i w milczeniu weszliśmy do kościoła. Zajęliśmy nasze zwykłe miejsca w ławach. Spodziewałem się, że uczyni uwagę co do mojego zachowania, ale on tylko zapytał:

– Wybrałeś już sobie obrońcę?

– Nie, ojcie. – Potrząsnąłem głową.

– Zamierzasz bronić się sam? – Spojrzał na mnie z chłodnym politowaniem, choć nie przypuszczam, aby aż tak przejmował się moim losem.

– A czy moja obrona ma jakiś sens? – szepnąłem, bo przeor wchodził już na ołtarz. – Choćbym nie wiem jaki miał dowód, i tak mi nie uwierzysz. – Popatrzyłem mu w oczy bez żalu.

W jednej chwili jego twarz przestała być skostniałym kamieniem i przetoczyła się przez nią fala różnych uczuć: zaskoczenie, zrozumienie i, co najbardziej mnie zaskoczyło, smutek. W jego ciemnoniebieskich oczach przez jedno mgnienie chwili zobaczyłem wahanie i zgrozę. Jakby wiedział, że jestem niewinny, ale musiał pozostać wierny idei Inkwizycji. Przez moment wydał mi się zwierzęciem w potrzasku, które wie, że oto nadchodzi jego koniec i stara się znaleźć wyjście, ale wie aż za dobrze, że wyjścia nie ma. Twarz mego mistrza zrobiła się blada jak papier, a w oczach zabłyszczał dziwny ogień.

– Ojcie... – szepnąłem do niego, bo pomyślałem, że może źle się poczuł i to nie z powodu moich słów.

Zamknął oczy i wziął głęboki oddech.

– Wszystko w porządku, Antonio – odezwał się po chwili. – Skup

się na nabożeństwie. – Jego rysy na powrót się wyostrzyły, a głos stwardniał i stał się chłodny.

Skinąłem w odpowiedzi głową. Przeor tymczasem zaintonował *Magnificat anima mea Dominum.*

4 września. Dziewięć dni do procesu

Po śniadaniu, nie mając co ze sobą zrobić, poszedłem z Alejandrem do biblioteki. Juan pobiegł z bratem Alvaro i Archaniołem do szpitala, bo przyszło wielu chorych i trzeba było udzielić im pomocy.

Zastanawiam się, co dzieje się z bratem Manuelem. Przekazałem ostatnio przez Alejandra pozdrowienia dla niego i zapewniłem, że modłę się dla niego o cud. Ale dotąd nie odpowiedział. Wyobrażam sobie, jak wyobcowany i samotny musi się czuć! Kiedy porzucili go nawet ci, którzy ślubowali, że będą go kochać. Nawet brat Armand, który najzgorzalej go bronił. Nawet on go porzucił. Dla Inkwizycji...

Cóż to za instytucja, idea, marzenie czy cokolwiek innego, że ludzie skłonni są dla niej poświęcić swoje życie, zaprzepaścić ideały, pogrzebać własne plany i ambicje?! Jeśli mistrz mój zostanie inkwizytorem, a wszystko na to wskazuje, będzie zmuszony porzucić to, co kocha najbardziej na świecie: medycynę. Jak wielką trzeba mieć charyzmę i siłę, cierpliwość i pewność siebie, żeby z dobrego człowieka przez wiele lat wychodować kata? Z lekarza, który przysięgał życie ratować, zrobić inkwizytora, który je zniszczy? I jak trzeba umieć manipulować ludźmi, żeby zdeformować tak przecież piękny i niezależny umysł jak ten u brata Armanda? Kimże więc jest przeor Torquemada? Z pozoru cichy i skromny, prawie go nie widać w klasztorze, ale to on niewidzialną ręką swojego umysłu pociąga za sznurki. Nie tylko w Santa Cruz. Ale i na dworze w Toledo. A prawdę mówiąc, także i w Watykanie. *Padre* Tomás de Torquemada... Mam dziwne przeczucie, że człowiek ten odcisnie straszliwe piętno na losach Hiszpanii, a jego imię zapamiętane będzie po wsze czasy... Życzę sobie, abym się mylił...

Później. Po nonie

Wybrałem sobie do czytania kilka ksiąg. Alejandro zaś zajął się kopiowaniem traktatów Platona. Pięknie pisze i ma przy tym wyjątkowy talent do szybkiego przepisywania tekstu. Przeczuję, że będzie kiedyś wielkim kopistą, ale niebawem przerwie tę praktykę, bo wyjeżdża na studia.

– Przyszła zgoda od rektora Uniwersytetu w Palencji – oznajmił brat Jorge, podchodząc do stołu Alejandra, przy którym ten kopiował księgę.

Siedziałem tuż za nim, pochłonięty rozmyślaniami o podpalonej dzwonnicy, udając, że zajmuje mnie lektura rozprawy medycznej o czarnej ospie.

– Od października zaczynasz studia teologiczne i filozoficzne, bracie Alejandro. – Brat Jorge się uśmiechał i z serdecznością uściskał swego dawnego ucznia. – Ze swojej strony poprosiłem przeora, aby wystarał się dla ciebie o miejsce na wydziale prawa. Będziesz się zatem uczył także prawa rzymskiego i kanonicznego.

Alejandro cały promieniał ze szczęścia.

– Nie wiem, jak ci dziękować, bracie Jorge – powiedział.

– To nie tylko moja zasługa, ale i przeora – rzucił sucho brat Jorge, a uśmiech natychmiast znikł z jego twarzy. – Dziękować powinieneś także jemu. – Popatrzył na mnie smutno. – Ale, jak sądzę, nie masz na to zbyt wielkiej ochoty – dodał do Alejandra.

Wstałem z za swego stołu. W skryptorium byliśmy tylko we trzech, bo pozostali bracia udali się na obiad do refektarza.

– Antonio, wiedz, że jestem z tobą – zapewnił mnie brat Jorge.

Podziękowałem mu z całego serca.

– Armand to ciężki przeciwnik – mówił dalej brat bibliotekarz. – Biegły w prawie. I do tego bardzo ci nieprzychylny. Ustanowiłeś sobie już obrońcę?

– Nie, ojczcie – odpowiedziałem. – Nie wiem, czy któryś z braci chciałby otwarcie wystąpić przeciwko ojcu Castellano de Corell.

– Jeśli się zgodzisz, z przyjemnością przygotuję twoją obronę –

odpowiedział poważnie brat Jorge.

Pomyślałem, że to nareszcie uśmiech losu, pierwszy od wielu tygodni. Nie śmiałem marzyć, aby bronił mnie brat Jorge, a on sam mi to zaproponował!

– Będę zaszczycony, *padre* – odpowiedziałem i nie ukrywałem wdzięczności.

– Nie łudź się, że dzięki mnie zwyciężymy – brat Jorge sprowadził mnie na ziemię. – To będzie proces inkwizycyjny. Od początku do końca. Twoja wina jest w nim z góry zakładana jako pewnik od samego początku i, niestety, od początku także przesądzona. Ale to z pewnością już wiesz. Ja ze swej strony uczynię wszystko, aby odkryć, kto jest prawdziwym zabójcą. I wykazać tym samym twoją niewinność, mój chłopcze. Tylko w ten sposób możemy mieć jakieś szanse. Chodźmy do mojej celi. Musimy porozmawiać.

Alejandro grzecznie się z nami pożegnał, nie chcąc nam przeszkadzać, i udał się na obiad. My zaś poszliśmy prosto do celi brata Jorgego.

– Opowiedz mi wszystko – powiedział brat bibliotekarz, gdy zamknąłem za nami drzwi celi.

Usiadł na krześle przy swoim biurku zawalonym jakimiś papierami i piramidką książek, która niebezpiecznie balansowała na skraju blatu, ale on zdawał się nie zwracać na nią uwagi.

– Więc... – Zastanowiłem się, siadając na wskazanym mi stołku. – Szedłem do swojej celi...

– Po co tam szedłeś? – wtrącił od razu brat Jorge.

– Chciałem napisać list do rodziców – odpowiedziałem niepewnie.

– A jakie to ma znaczenie? – zapytałem skonsternowany, bo wydawało mi się to okolicznością zupełnie poboczną i z punktu widzenia zarzutu usiłowania zabójstwa całkowicie nieistotną.

– Wszystko może mieć znaczenie – odpowiedział szybko brat Jorge. – To, co wydaje ci się nic nieznaczącym szczegółem, może być w rzeczywistości głównym i najważniejszym elementem układanki. – A widząc moje osłupienie, dodał: – Bo zbrodnia jest zagadką, na którą składa się wiele bardzo, bardzo różnych elementów. Trzeba je wszystkie znaleźć, ułożyć i połączyć w jedną całość. Jak układankę. To daje

dopiero obraz całej zbrodni. Niektóre elementy mogą się wydawać bardzo odległe. Na przykład, żeby ustalić motyw, trzeba czasem sięgnąć wiele lat wstecz do wydarzeń, które wyzwoliły w sprawcy chęć zemsty. Dlatego, Antonio, muszę wiedzieć wszystko, żeby wybrać to, co jest istotne dla tej sprawy, jeśli mam cię skutecznie bronić. Rozumiesz mnie?

– Tak, *padre*. – Kiwnąłem głową.

– No więc zamierzałeś napisać list do rodziców – powtórzył za mną brat Jorge. – Ale zapewne wiedziałeś, że w nowicjacie korespondencja z rodziną jest zabroniona. Mimo to zdecydowałeś się napisać list z jakiegoś, jak mniemam, bardzo ważnego powodu. Jakiego?

– Tak naprawdę pisałem go na wypadek śmierci... – przyznałem.

– Śmierci?! – zdziwił się brat Jorge. – Zamierzałeś odebrać sobie życie, Antonio?

Potrząsnąłem głową.

– Nie. Oczywiście, że nie – zapewniłem go. – Ale tego dnia brat Armand oznajmił mi, że przed nieszporamai zostanę poddany zarządzonej przez przeora karze chłosty. Mistrz powiedział mi, że tym razem będzie to surowsza kara niż ta, którą otrzymałem poprzednio. Powiedział, że będzie gorsza nawet od tej, którą wymierzył bratu Alejandro. A chyba wszyscy pamiętają, jak go brat Armand wtedy zmaltretował.

Pomyślałem, że nie przeżyję tej chłosty, i postanowiłem napisać do domu na wypadek śmierci. Czyż można się temu dziwić?

– Za co miała być ta kara? – przerwał mi brat Jorge.

Wzruszyłem ramionami.

– Za nieposłuszeństwo – odpowiedziałem.

– A konkretniej? – dopytywał brat bibliotekarz.

– Cóż... – Zawahałem się. – To było za tę sytuację, kiedy nakrzyczałem na mego mistrza. Byłeś wtedy, ojcze, w kościele. Może słyszałeś.

– Coś tam słyszałem – przyznał brat Jorge. – Ale bądź łaskaw mi przypomnieć, Antonio. Tyle już razy kłóciłeś się ze swym patronem, że sytuacje mogą mi się mylić.

Opowiedziałem więc memu obrońcy ze szczegółami moją z mistrzem rozmowę w jego celi sprzed blisko miesiąca, starając się jak najwięcej przytoczyć moich i jego słów.

– Antonio, co cię opętało, żeby to wszystko mu powiedzieć? – odezwał się brat Jorge, gdy skończyłem swoją opowieść. – Włożyłeś kij w mrowisko! Przez tyle tygodni, od kiedy jesteś w klasztorze, powinieneś zauważyć wielką miłość własną u Armanda i wiedzieć, że pod żadnym względem nie wolno ci jej urazić. A ty mu się podkładasz! Wcale się nie dziwię, że przeor zarządził chłostę. Przeor zrobi dla Armanda wszystko, bo widzi w nim ideę i siłę, by wcielić tę ideę w życie. Wyhodował sobie Armanda od początku i teraz umiejętnie popycha go ku celom, które Torquemada od dawna chciał zrealizować. Ale nie miał narzędzi. Teraz je ma. I to narzędzie lepsze jest, niż przeor ośmielał się marzyć! – Brat Jorge przymknął na chwilę powieki, jakby się nad czymś zastanawiał, a potem mówił dalej: – Nie powinien karać cię tak surowo. To prawda. Niemniej kara za bezczelność, jaką wobec patrona okazałeś, należała ci się, Antonio. Ale nie musiał zarządzać jatki. I słusznie się jej obawiałeś. Tyle że kwestia tej chłosty, a raczej jej zapowiedzi, przysporzy nam, obronie, kłopotów.

– Dlaczego? – zapytałem, chociaż domyślałem się, co mi odpowie.

– Bo w tej sytuacji miałeś motyw, aby podpalić dzwonnice. – Brat Jorge westchnął.

– To nie znaczy jeszcze, że ją podpaliłem – obruszyłem się.

– Nie. Nie oznacza – przyznał brat bibliotekarz. – Ale rzuca na ciebie podejrzenie. Nikt inny w klasztorze, a przynajmniej nic o tym nie wiemy, nie miał lepszego powodu, aby Armanda zabić. A ty nie dość, że go szczerze nienawidziłeś, na co są świadkowie, którzy słyszeli waszą kłótnię i których Armand niewątpliwie powoła, to jeszcze bałeś się chłosty, o której patron rano ci oznajmił, i zapewne wiele byś dał, by jej uniknąć. To wszystko sprawia, że jesteś w podejrzeniu. Ja wiem, że chłosta nie jest proporcjonalna do zabójstwa, ale człowiek, który się boi, gdy przekroczy pewien pułap swego strachu, jest zdolny do strasznych rzeczy. A ty się bałeś Armanda, zastraszał cię, niemal się nad tobą znęcał, i to przez długi czas, mogłeś więc chcieć położyć temu kres, gdy nadarzyła się okazja. Taka będzie wersja Armanda i wierz mi, Antonio, nie jest ona pozbawiona logiki. Przeciwnie, jest to najbardziej oczywiste wytłumaczenie tej sytuacji. – Brat Jorge przerwał i przyglądał mi się długą chwilę.

Ja zaś czułem się jak zwierzę w potrzasku. Musiałem chyba wyglądać nędznie, bo za chwilę brat bibliotekarz uśmiechnął się szczerze i poklepał mnie po ramieniu gestem dodającym otuchy.

– Głowa do góry, chłopcze! – prawie wykrzyknął. – Wyrok jeszcze nie zapadł! – Wstał z krzesła i podszedł do niewielkiego stolika, gdzie nalał wody z dzbanka do dwóch glinianych kubków i wrócił z nimi na miejsce. – Muszę być z tobą szczerzy, Antonio. – Podał mi jeden kubek. – I ty musisz być szczerzy ze mną. Tylko wtedy nasza współpraca ma w ogóle sens.

– Tak, *padre*. – Pokiwałem głową.

– Zatem rankiem dwudziestego piątego sierpnia brat Armand oznajmił ci, że będziesz po południu poddany chłóście – brat Jorge myślał głośno. – Co było potem, gdy się rozstaliście?

– Mistrz poszedł do szpitala, ja zostałem przy fontannie – powiedziałem zgodnie z prawdą.

– Dlaczego?

– Bo nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Obezwładnił mnie strach. Tam zastał mnie Mateo i trochę podniósł na duchu. Przynajmniej na tyle, że mogliśmy razem iść do szpitala – mówiłem, przypominając sobie całe przedpołudnie.

– Po co mieliście iść do szpitala? – wtrącił brat Jorge.

– Bo mieliśmy tam dyżur. Zresztą był tam już brat Armand i wiedziałem, że nas oczekuje do pomocy.

– Mówił coś o chłóście? – brat Jorge był ciekaw.

– Nie – odpowiedziałem. – Ani słowem. Zachowywał się tak, jakby tej kary w ogóle nie było.

– A ty coś mówiłeś? – dopytywał brat bibliotekarz.

– Też nie. Za radą Mateo udawałem, że mnie to nie obeszło i że się nie boję. Nie wiem, czy to był dobry pomysł... – zastanawiałem się. – Bo brat Armand kazał mi sobie towarzyszyć przy wszystkich czynnościach. Jakby się nade mną znęcał.

– Bał się, że uciekniesz z klasztoru – powiedział poważnie brat Jorge, po czym wypił do dna wodę ze swojego kubka.

Wzruszyłem ramionami.

– Razem z bratem Armandem wróciłem ze szpitala do opactwa na

krótko przed modlitwą na Anioł Pański – mówiłem dalej. – Potem byliśmy razem na nabożeństwie i po nim ja poszedłem w stronę naszego segmentu, aby spisać list, a on na dzwonnice.

– Wiedziałeś, że idzie na dzwonnice? – Brat Jorge zmarszczył brwi.

– Tak... – odpowiedziałem skonsternowany.

– Widziałeś, jak otwiera drzwi dzwonnicy i wchodzi do środka? – brat Jorge drażył temat z dziwnym uporem.

– Tak... – powtórzyłem. – Ale jakie to ma znaczenie?

– Olbrzymie, Antonio – odpowiedział tajemniczo brat Jorge. –

A po co tam poszedł?

– Brat Torquemada chciał, żeby sprawdził, w jakim stanie są dzwony: czy są zniszczone i trzeba je wymienić, czy też jeszcze nam posłużą. Poprosił brata Armanda, aby ten sprawdził to osobiście – mówiłem zgodnie z prawdą.

– A skąd wiesz o tej rozmowie?

– Byłem przy niej. – Upiłem łyk wody. – Gdy tego dnia szedłem z mistrzem na Anioł Pański, zaczepił nas przeor i rozmawiał z bratem Armandem, że chce wybudować nową, murowaną dzwonnice, i nie wiedział, czy ma zamawiać również nowe dzwony. Poleciał to sprawdzić, a mój mistrz obiecał, że zajmie się tym zaraz po nabożeństwie.

Brat Jorge wstał z krzesła i podszedł do okna celi wychodzącego na zalane słońcem miasto leżące w oddali. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił.

– Czy przy tej rozmowie był obecny ktoś jeszcze? – zapytał w końcu, nie odrywając twarzy od okna.

– Nie, ojciec – odpowiedziałem. – Byliśmy tylko we trzech: brat Armand, przeor i ja.

– A może byli w pobliżu inni mnisi, którzy spieszyli na Anioł Pański do kościoła? – pytał dalej brat Jorge.

– Nie. Nie było nikogo, bo brat Constantino jeszcze nie zadzwonił na modlitwę. Przyszliśmy z mistrzem wcześniej ze szpitala – mówiłem.

– Tak się jakoś złożyło...

Brat Jorge odwrócił się od okna.

– Źle się złożyło. – Spojrzał na mnie. – Antonio, przypomnij sobie,

czyś nie widział na dziedzińcu innego mnicha? – Brat Jorge usiadł znów na krześle. – Może przy kościele? Może za filarami dormitorium? – dopytywał nerwowo.

Mój umysł przebiegał gorączkowo w pamięci te miejsca, o które pytał brat Jorge, ale prawda jest taka, że nieszczególnie się wtedy rozglądałem. Gdybym wiedział, co się stanie, na pewno zapamiętałbym więcej szczegółów.

– Nie przypominam sobie nikogo, *padre* – powiedziałem, nadal zastanawiając się. – Tylko...

– Tylko co? – podchwycił brat Jorge z nadzieją.

– W drodze do kościoła, już po tej z przeorem rozmowie, wyminął nas brat Constantino, który zmierzał w kierunku dzwonnicy, aby zadzwonić na Anioł Pański – powiedziałem.

– W którym miejscu was wyminął? – zapytał brat Jorge.

– Nie wiem... Może w połowie drogi do bocznego wejścia do kościoła – mówiłem, usiłując sobie przypomnieć.

– A rozmowa z przeorem gdzie się odbyła?

– Przy drzwiach dzwonnicy – powiedziałem. – Staliśmy tam przez chwilę. To pamiętam, bo pomyślałem wówczas o chłóście brata Alejandra.

– Dobrze... – zastanawiał się głośno *padre* de Llorente. – Przeanalizujmy to wszystko jeszcze raz: rozmawiasz z Armandem i Torquemadą bezpośrednio przed pójściem na nabożeństwo. Potem w drodze do kruchty wymija was Constantino, żeby dzwonić na Anioł Pański. Kiedy rozdzwoniły się dzwony? Mam na myśli, gdzie wówczas byliście?

Wziąłem głęboki oddech.

– Dokładnie nie pamiętam... – Wahalem się. – Wydaje mi się, że gdy przekraczaliśmy próg kruchty... Może chwilę wcześniej. A czemu to ważne?

– Nie wiem, czy ważne, Antonio. Ale usiłuję ustalić, gdzie był brat Constantino, gdy twój mistrz rozmawiał z przeorem, i czy mógł on słyszeć ich rozmowę – tłumaczył mi brat Jorge.

– Sądzisz, ojcze, że brat Constantino mógłby... – Bałem się dokończyć myśl, która od jakiegoś czasu i mnie kołatała się po głowie.

– Nie wiem, Antonio. – Brat Jorge był bardzo poważny. – Nie zakładałam niczego. Ale ktoś słyszał waszą rozmowę. Ktoś stał wystarczająco blisko, aby ją usłyszeć, i jednocześnie jego obecność tam nie wzbudziła w was podejrzeń. To mógł być Constantino. Kiedyś poróżnili się z Armandem. Mógł mieć motyw. – Brat Jorge zamilkł na chwilę. – Czy brat Armand poszedł na dzwonnice zaraz po nabożeństwie?

– Tak – odpowiedziałem. – Kazał mi odejść. Nawet się ucieszyłem, że zwolnił mnie z wyjątkowo dla mnie przykrego w tamtym dniu obowiązku przebywania z nim. Więc poszedłem pisać list.

– A wychodziliście jako pierwsi z kościoła?

– Nie, bo brat Armand rozmawiał jeszcze z przeorem – powiedziałem. – Krótko. W kwestii dzwonów. Na co ma zwrócić uwagę. Przeor wyszedł przed nami z kościoła. W zasadzie wychodziliśmy jako jedni z ostatnich. Został chyba jeszcze brat Constantino. Pamiętam, bo przyglądałem mu się, jak sprzątał z ławek śpiewniki.

– Przeora możemy sobie darować w naszych rozważaniach, Antonio. – Brat Jorge uśmiechnął się. – Raczej wątpliwe, aby chciał zabić swego ukochanego ucznia i dziedzica dla tytułu. Nie po to go hodował, aby go zabić. To z pewnością nie był przeor.

Skrzywiłem się w duchu na słowo „hodował”. Brzmiało dziwnie nienaturalnie, ale było też bardzo adekwatne do stosunku Torquemady i jego postępowania wobec Archanioła. Chociaż ja wolałem słowo „wykrzywić”.

– Mówisz, że Constantino został. – Brat Jorge zamyślił się. – Co było potem?

– Szedłem do swojej celi – mówiłem. – Brat Armand wszedł do wnętrza dzwonnicy. Myślałem, co napisać rodzicom. Przemierzyłem dziedziniec i wchodziłem po schodach do naszego segmentu. Gdy byłem już na szczycie, zobaczyłem po lewej stronie jakiś błysk. Jakieś światło. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, co to takiego, i wówczas dostrzegłem, że podstawa dzwonnicy stoi w płomieniach.

– Do jakiej wysokości? – zapytał bibliotekarz.

– Jakiś metr, nie więcej. Ale deski były suche i ogień szybko je trawił. Patrzyłem na to chwilę, a potem zbiegłem po schodach i szybko

pokonałem dziedziniec. Gdy przybiegłem pod dzwonnice, płomienie ogarnęły już jakieś trzy, może cztery metry wysokości jej ścian. Sięgały prawie galeryjki. Pomyślałem wówczas, że brat Armand pewnie już nie żyje... Że już się spalił.

– Antonio, zatrzymaj się na chwilę w tym miejscu – przerwał mi brat Jorge, unosząc rękę. – Wróćmy na schody waszego segmentu. Odwracasz się za blaskiem, widzisz płomienie wysokie na metr. Czy podstawa dzwonnicy paliła się równomiernie? To znaczy tak samo ze wszystkich stron?

– Nie rozumiem...

– Antonio, stojąc na szczycie schodów, widziałeś narożnik dzwonnicy. Czy obie widoczne dla ciebie z tego miejsca ściany dzwonnicy: północna i zachodnia paliły się w równym stopniu? – brat Jorge nie dawał za wygraną. – Czy też jedna ściana bardziej, a druga mniej. Lub tylko jedna ściana się paliła?

– Wydaje mi się, że obie ściany paliły się podobnie. – Usiłowałem sobie przypomnieć dokładnie.

– A czy wtedy, tam, na schodach, zauważyłeś kogoś, kto szedłby przez dziedziniec, biegł, uciekał, stał i się przyglądał płomieniom? – Brat Jorge patrzył na mnie uważnie.

– Nie, ojciec. Nikogo tam nie było – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Nawet jak już zbiegłem na dół i byłem pod dzwonnice, nikogo nie widziałem. Rozglądałem się specjalnie, żeby zobaczyć, kto to zrobił, ale nikogo nie zauważyłem.

Brat Jorge wstał z krzesła i przeszedł się w milczeniu po swej celi.

– I nie mogłeś nikogo zobaczyć – powiedział cicho. – Bo sprawca nie podpalił dzwonnicy z zewnątrz. Wcześniej nie miałem co do tego pewności, ale gdy cię wysłuchałem, już rozumiem. – Odwrócił się w moją stronę. – Sprawca przeszedł tajnym przejściem łączącym kościół i dzwonnice. Otworzył właz i wrzucił do środka nie jedną, a kilka pochodni. Być może pod każdą ze ścian, a zwłaszcza pod tę, w której znajdowały się drzwi, żeby odciąć Armandowi drogę ucieczki. Dlatego dzwonnica aż tak szybko zajęła się ogniem. Co nam to daje, Antonio? – Brat Jorge podszedł do mnie i usiadł na krześle.

– Informację, że komuś bardzo zależało na tym, aby mojego

mistrza zabić – odpowiedziałem, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.

– Też – przyznał brat Jorge. – Ale mówi nam także i to, że sprawca dobrze sobie wszystko zaplanował. A to oznacza, że musiał mieć czas na przemyślenie planu zbrodni. A zatem musiał słyszeć waszą rozmowę pod dzwonnicy. W trakcie nabożeństwa ułożył sobie wszystko w głowie. Bo inaczej skąd wzięłoby akurat kilka pochodni? Musiał je zabrać z kościoła. I wiedzieć, że przyda mu się więcej niż jedna. Ale przede wszystkim dowiadujemy się, że była to osoba, która wiedziała o tajnym przejściu z kościoła do dzwonnicy, a wierz mi, niewielu w klasztorze o tym wiedziało. Tą samą drogą Armand zdołał ująć z życiem, chociaż w jaki sposób to zrobił, jest dla mnie zagadką. Według wszelkich zasad logiki powinien zginąć. Ale Bóg go ocalił z jakiegoś powodu, którego pojąć nie umiem... – dokończył prawie szeptem. – Gdyby sprawca podpalił dzwonnicy z zewnątrz, zobaczyłbyś, jak ucieka spod jej płonących ścian. Ponadto wokół dzwonnicy leżałyby pochodnie, a przynajmniej jedna. Znaleźlibyśmy je po tym, jak dzwonnica runęła. A tak wszystkie się spaliły w środku. Co więcej, Antonio, gdyby sprawca podpalił dzwonnicy z zewnątrz, ryzykowałby, że nie zajmie się ona ogniem tak szybko albo że ogień przypadkowo zgaśnie lub zostanie ugazony przez nadbiegających na ratunek braci i Armand zdoła ująć z życiem. A sprawcy zależało, aby jego plan się powiódł. Zbyt dobrze go uknuł... I powiem ci więcej, Antonio, to jest mnich bardzo inteligentny i przebiegły. Nie zostawił po sobie żadnych śladów, a w dodatku los przyszedł mu w sukurs, zsyłając ciebie, na którym spoczywają wszelkie podejrzenia, on zaś chodzi po klasztorze i cieszy się w duchu. Przynajmniej z tego, że ujdzie mu na sucho ta próba zabójstwa. Dopóki nie spróbuje raz jeszcze. Ale jest zbyt inteligentny, by spróbować teraz, przed procesem i wyrokiem. On spróbuje za jakiś czas. Zbyt długo żywi tę nienawiść, by zwyczajnie odpuścić. Zbyt długo myśli o zemście na Armandzie zatrzymała mu umysł, aby się teraz wycofał. Nie, Antonio. On jest spokojny. Obserwuje i czeka na okazję...

Przerażał mnie wywód brata Jorgego, skąd wiedział tyle rzeczy o zabójcy i zachwycała mnie przenikliwość umysłu i inteligencja mego obrońcy, że tak szybko wiązał ze sobą fakty i wyciągał całą masę

wniosków, które, gdy go słuchałem, zdawały mi się najbardziej oczywiste na świecie!

– Mów, co było dalej, chłopcze – ponaglił mnie brat Jorge.

– Stałem pod dzwonnica. Przeżony. Nie gasiłem płomieni, bo nie było jak, a poza tym nie miałem w czym przynieść wody z fontanny – mówiłem. – Nie wzywałem pomocy...

– Dlaczego? – przerwał mi brat Jorge.

– Bo byłem przekonany, że brat Armand już nie żyje – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – A nawet jeśli jeszcze by żył, i tak nie udałoby się nam zdusić tego ognia, więc i tak by zginął.

– Tu się z tobą zgadzam, Antonio, ale to źle, że nie wzywałeś pomocy – wtrącił brat Jorge. – Po pierwsze dlatego, że tylko zabójca miał powód, aby jej nie wzywać, bo zależało mu na śmierci Armanda. A po drugie, dziwnym jest i budzi podejrzenia fakt, że w takiej nagłej sytuacji miałeś czas i znalazłeś w sobie spokój na tak chłodne i wyważone rozważania. To wynikało z twojego stosunku do patrona, z żywionej wobec niego nienawiści. Ale też może sugerować sądowi, że celowo nie wzywałeś pomocy, że chciałeś jego śmierci, nawet jeśli nie udowodnią ci podpalenia dzwonnicy. To jest dziwne, dlatego że każdy, absolutnie każdy w takiej sytuacji rzuciłby się Armandowi na ratunek w zwyczajnym ludzkim odruchu. Bez zastanowienia. A ty tego nie zrobiłeś. Ja wiem, że Armand mógł ci już tak bardzo uprzykrzyć życie w Santa Cruz, że nie było w tobie owego odruchu ratowania tego konkretnie człowieka. Ale nikt tak nie pomyśli – zakończył brat Jorge. – Co było dalej?

Westchnąłem.

– *Padre*, ja naprawdę nie sądziłem, że mistrz może jeszcze żyć – zapewniłem swego obrońcę. – Gdybym miał choć cień nadziei, wszcząłbym alarm.

– Antonio – brat Jorge spojrzał mi łagodnie w twarz – mnie nie musisz przekonywać. Musisz przekonać sąd. Na tym się skup. Ja wierzę w twoją niewinność, inaczej nie podejmowałbym się twojej obrony. A sąd będzie nam trudno przekonać. Torquemada szykuje coś specjalnego i założy się, że chce tu, w klasztorze, urządzić małą Inkwizycję. Taki zwiastun procesów Świętego Oficjum dla Armanda.

Całe dni zbiera dowody, przesłuchuje świadków, był w korytarzu podziemnym. Zresztą wezwali i mnie jako bezstronnego świadka, bo wtedy jeszcze nie wiedzieli, że zostanę twoim obrońcą. Pomaga im bardzo aktywnie brat Constantino, którego przeor dobrał sobie do czynności śledczych, żeby nie wzbudzać u nikogo podejrzeń, że on sam knuje coś tylko z Armandem, który zresztą jest żywo zainteresowany rozstrzygnięciem tej sprawy i wymierzeniem ci kary. – Brat Jorge wstał i znów przeszedł się po swojej celi. – Antonio, oni nie zastanawiają się nad tym, jak ci to udowodnić... – Popatrzył na mnie smutno. – Dlatego właśnie twierdzę, że jest to proces inkwizycyjny, w którym twoja wina jest założona przez sędziów już na samym początku i tylko bardzo silne dowody mogą to założenie obalić. – Przerwał na chwilę i wrócił na swoje miejsce przy biurku.

– Na przykład?... – Przełknąłem ślinę.

Strach chwycił mnie za gardło i naraz zabrakło mi tchu, kiedy zdałem sobie jasno sprawę z tego, co mówił brat Jorge. Z wolna ogarniała mnie panika...

– Na przykład udowodnienie przez nas, i to ponad wszelką wątpliwość, że podpalaczem był ktoś inny – powiedział brat bibliotekarz twardo i z przekonaniem, jakbyśmy byli na najlepszej drodze do ustalenia prawdziwego winowajcy. – Zatem co było potem?

– Potem zobaczyłem brata Armanda, gdy wyszedł na galeryjkę – powiedziałem cicho.

– Widział cię, tak twierdzi. Czy to prawda?

– Nie od razu, ale tak, zobaczył mnie, że stoję na dole – przyznałem. – Najpierw rozejrzał się po dziedzińcu. Dopiero potem na mnie spojrzał.

– Czy był na dziedzińcu oprócz ciebie ktoś jeszcze? – zapytał brat Jorge, ale już nie słyszałem w jego głosie nadziei.

– Nie... Byłem sam – mówiłem. – Brat Ricardo przybiegł za chwilę. Ale zanim przybiegł, brat Armand wszedł na powrót do środka dzwonnicy. Wcześniej widziałem, że patrzył na mnie ze złością, ale wtedy w pierwszej chwili pomyślałem, że każdy na jego miejscu byłby zły. Byłem pewien, że skoczy z galeryjki na trawę dziedzińca lub na pobliskie drzewko cytrynowe. To nawet byłoby rozsądne. Ale on wszedł

do środka. Pomyślałem, że jest chyba szalony, a potem dopiero przyszło mi do głowy, że pomyśli, że to ja podpaliłem dzwonnice. W tym momencie nadbiegł brat Ricardo i podniósł larum. Pamiętam, że krzyknąłem do niego, że w środku jest brat Armand, i obaj zaczęliśmy wzywać pomocy. Najpierw on.

– Wiem – wtrącił brat Jorge. – Ricardo był łaskaw zeznawać już przed Torquemadą. W całości na twoją niekorzyść.

– To w zasadzie tyle, *padre*. – Odetchnąłem z ulgą jak po wielkim wysiłku. – Potem zaczęli się zbiegać inni bracia, podejmowali nieudane próby gaszenia pożaru. W chwilę potem dzwonnica runęła. Przybiegł brat Torquemada. A następnie mój mistrz wyszedł z kościoła w nadpalonej kucie.

– Tak. – Brat Jorge pokiwał głową zamyślony. – Czy w chwili, gdy Armand wyszedł z kościoła, zauważyłeś może, aby któryś z braci miał zawiedzioną minę?

Zastanowiłem się.

– Cóż, chyba wszyscy bracia byli zaskoczeni. – Przetarłem dłońmi twarz, bo byłem zmęczony tym swego rodzaju przesłuchaniem, choć przeprowadzonym w dobrym celu. – Bracia spoglądali po sobie z niedowierzaniem. W końcu kilkanaście już minut modliliśmy się za jego duszę. Ale... – Zawahałem się. – Był jeden mnich, którego reakcja była inna. Albo tak mi się tylko wydawało. Brat Constantino.

Padre Jorge spojrział na mnie uważnie.

– To znaczy? Na czym polegało to inne zachowanie? – zapytał.

– Brat Constantino pobladł, gdy zobaczył mego mistrza, jakby zobaczył ducha – mówiłem, starając się przypomnieć sobie każdy szczegół. – Oczywiście widok brata Armanda był opłakany, ale ja odniosłem wrażenie, że brat Constantino był przerażony. Być może nadinterpretuję fakty, ale wiem, co widziałem.

W tym miejscu opowiedziałem bratu Jorge o zachowaniu brata Constantino wobec mego mistrza, które zaobserwowałem od czasu mego przyjazdu do Santa Cruz, oraz o tym, jak potraktował mnie kiedyś w kościele, kiedy bezpardonowo i jawnie mi groził.

– Masz rację, Antonio, że to zachowanie brata Constantino jest co najmniej dziwne – stwierdził brat Jorge. – Ale czy ma to jakikolwiek

związek z próbą zabójstwa brata Armanda i czy odpowiada za to Constantino, nie wiem. Ale przyjrzę mu się baczniej, spróbuję wy badać. Jeśli to rzeczywiście on, to teraz robi zasłonę dymną dla swoich poczynań, bo bardzo aktywnie współdziała w tej sprawie z Armandem i Torquemadą. Tak aktywnie, że aż gorliwie. Nawet nadgorliwie. Wszyscy to widzą. I powiem ci, Antonio, że gdyby był sprawcą, trzymałby się od Armanda i tego śledztwa z daleka. Ale być może stwarza pozory. Może zdaje sobie sprawę, że każdy tak by pomyślał, i dlatego uczestniczy w tym śledztwie. Constantino jest inteligentny. Dobrze wie, co robi. O ile oczywiście to on był podpalaczem, bo to tylko nasze podejrzenia. Obserwuj go, chłopcze. A jeśli zauważysz coś podejrzanego, od razu mi o tym powiedz.

– Tak, *padre*. – Ochoczo pokiwałem głową.

Nasza z bratem Jorge rozmowa dobiegła końca, bo nadeszła pora modlitwy na nonę.

– O wilku mowa! – Brat Jorge uśmiechnął się na dźwięk głosu brata Constantino, zwołującego wszystkich braci na nabożeństwo. – Chodźmy.

6 września

Posiadanie obrońcy jest miłe. Stwarza poczucie bezpieczeństwa, nawet jeśli to tylko wrażenie. Daje nadzieję, nawet jeśli to nadzieja szaleńców.

Wczoraj po porannej mszy poinformowałem brata Armanda, że wybrałem *padre* Jorgego de Llorente na mojego obrońcę. Przez twarz mistrza przez ułamek chwili przebiegł cień, ale naraz go w sobie stłumił.

– Bardzo dobry wybór, Antonio – powiedział oficjalnie bezbarwnym głosem. – Brat Jorge to wybitny prawnik.

Gdybym nie znał przeszłości mego mistrza i jego samego, pomyślałbym, usłyszawszy tę wypowiedź, że naprawdę ceni swego dawnego patrona.

– Dobrze się przygotuj, Antonio – dodał brat Armand. – To będzie ciężka rozprawa.

Staliśmy na dziedzińcu obok naprawionej fontanny, w której znów szemrała woda. Zapowiadał się piękny, upalny dzień, ale mnie ta słoneczna radość i beztroska były cierniem w sercu. Wisiał nade mną miecz, o którym zapomnieć nie było jak.

W dodatku spokój i wymuszona uprzejmość brata Armanda, którego – muszę to przyznać – szczerze nienawidziłem, były irytujące. I dlatego, miał się zastanowić, powiedziałem:

– A czy ten proces ma w ogóle jakiś sens, ojcze?

– Co masz na myśli? – Teraz chłód był w głosie mistrza, w jego twarzy, w spojrzeniu, nawet w całej sylwetce, która wciąż miała w sobie coś z kamienia.

Wzruszyłem ramionami.

– A czy jego wynik nie jest już przesądzony? – zapytałem, starając się ukryć wyrzut, ale chyba mi się to nie udało.

– Antonio, sąd zbiera się właśnie po to, by ustalić prawdę. – Brat Armand spojrzał na mnie z cierpliwością w oczach. – Będziesz miał prawo przedstawić swoją wersję zdarzenia. Masz obrońcę, więc przeor zagwarantował ci wszelkie prawa. Czego jeszcze chcesz?

Brat Armand wyglądał tak, jakby naprawdę nie rozumiał, o co mi chodzi. Milczałem przez chwilę, walcząc z napływającymi mi do oczu gorzkimi łzami. Wzięłem głęboki oddech i powiedziałem bez cienia skargi, najspokojniej, jak wtedy umiałem:

– Chciałbym, *padre*, aby mój patron znał mnie na tyle dobrze, aby uwierzyć mnie, a nie pozorom. Chciałbym, aby wiedział, że nie potrafiłbym nikogo skrzywdzić, i żeby pierwszy stanął za mną, gdy padły oskarżenia. Chciałbym, *padre*, aby to mój patron był moim obrońcą w tym procesie, nie oskarżycielem i przyczyną śledztwa.

I wreszcie chciałem, ojcze Armandzie, nie być zmuszonym nienawidzić swojego patrona i aby on również nie musiał czuć tego samego na mój widok. Tego bym chciał, ojcze. – Nie umiałem powstrzymać łez żalu, co płynęły mi po policzkach. – Ale to jest niemożliwe, prawda?...

Na twarzy brata Armanda malowało się zaskoczenie, bo z pewnością nie był przygotowany na moje słowa. Ja zresztą także nie planowałem ich mówić. Ale było to zaskoczenie smutne, nie gniewne jak zazwyczaj. Nie zamierzał się ze mną kłócić. Zaś w jego

ciemnoniebieskich oczach były wyrzuty sumienia. Widziałem je tak dobrze jak teraz kartkę, na której piszę te słowa. I nawet nie starał się ich ukryć. Nic nie odpowiedział, ale wydawało mi się, że przez chwilę chciał coś powiedzieć, po czym zrezygnował.

– Ojcie, jeśli pozwolisz, oddalę się teraz do swojej celi. –
Ukloniłem się nisko i pokornie, co chyba także go zaskoczyło.

– Możesz odejść, Antonio – odpowiedział mistrz bardzo cicho i dopiero po dłuższej chwili.

Odwróciłem się więc i odszedłem, zostawiając go na dziedzińcu zdezorientowanego. Ja także odchodziłem zaskoczony jego zachowaniem, tak bardzo ludzkim, którego po tej twardej, skostniałej bryle lodu nigdy bym się nie spodziewał. Boję się obudzić w sobie ślepią nadzieję, że może w tej lodowatej duszy toczy się jeszcze walka dobra ze złem...

Późno w nocy

Alejandro był dziś przesłuchiwany przez przeora. A po nim Mateo. Obaj są po mojej stronie, czemu dali wyraz podczas przesłuchania. Alejandro w zasadzie powtórzył słowa Juana sprzed paru dni. Ale najbardziej zaskoczyła mnie postawa Mateo, który na przesłuchaniu był wręcz wrogo nastawiony do śledztwa, a na koniec, już prawie wychodząc, powiedział do przeora, mojego mistrza, brata Constantino oraz brata Jorgego, który, jak mi obiecał brat Armand, jako mój obrońca został dopuszczony do udziału w śledztwie:

– Drodzy ojcowie, ja jestem tylko nowicjuszem i nie znam się jeszcze na wielu sprawach. Ale Jezus Chrystus naucza, że powinniśmy z pokorą przyjmować urazy i na bliźnich nie tylko się nie mścić, ale i prosić o więcej, nadstawiając w tym celu drugi policzek. I jeszcze Jezus uczy nas, że należy wybaczać, ilekroć o wybaczenie nas proszą, nigdy nie odmawiając, nawet niezliczoną ilość razy. I proszę mi zatem wybaczyć moją śmiałość, ale jak rozumiem, czyści i bez grzechu jesteście, ojcowie, skoro na swego brata rękę podnosicie i ukamienować go chcecie. – Przerwał na chwilę, a potem dodał: – Cieszę się zatem,

drodzy ojcowie, że tak żarliwej wiary jesteście, bo przecież ja i pozostali nowicjusze mamy się od was uczyć i z was przykład brać.

Po tych słowach Mateo wyszedł, a nam: mnie, Juanowi i Alejandro, siedzącym przy dziurze w ścianie w celi obok, dech w piersiach zapało. I pomyśleć, że na takie słowa: cierpkie, sarkastyczne i gorzkie w swej wymowie, ale jakże spokojne i jakże prawdziwe, odważył się zaledwie nowicjusz! Najlepsza jednak była cisza w gabinecie przeora, długa cisza, która zapadła po wyjściu Mateo, a której nawet mój porywczy mistrz nie przerwał.

Po długiej chwili głos zabrał brat Jorge:

– Czas już na mnie, bracia. Ojcie przeorze, odwołuję się do twojej mądrości, abyś przerwał tę komedię i odwołał proces. I ciebie, bracie Armandzie, o opamiętanie proszę, bo pycha, urażona duma i nazbyt wielka miłość własna przez ciebie przemawiają i zaślepiają ci umysł. Antonio jest niewinny. Ale macie rację, w klasztorze jest zabójca. I on cię obserwuje, bracie Armandzie. Każdego dnia. Chodzi za tobą, rozmawia z tobą i planuje w sekrecie kolejną próbę. Bardzo mi ciebie żal, bracie, bo ja nie umiałbym żyć z wyrzutami sumienia, że wyrządziłem bliźniemu taką krzywdę, że aż chce mnie zabić. A pomyślałeś, bracie Armandzie, że ten nieudany zamach to znak dla ciebie od Boga, abyś się w porę opamiętał i zawrócił z obranej ścieżki? Czy jesteś pewien, że twoje uczynki są miłe Bogu?

Potem usłyszeliśmy, że brat Jorge wyszedł z gabinetu przeora. Co ciekawe po tych wypowiedziach żadna dyskusja nie rozgorzała, a w następnej kolejności wyszedł brat Armand. Przez okno celi widzieliśmy, że miał dziwną, zamyśloną minę, trochę poirytowaną, a trochę nieszczęśliwą. Przeszedł alejką róż wzdłuż dormitorium, a potem przez furtę poza mury opactwa. Bez asysty. Przez okno znajdujące się w celi na przeciwnej do drzwi ścianie wdzieliśmy, że poszedł prosto do szpitala.

Bóg Jeden wie, jak bardzo zaboląły go słowa Mateo, pewnie i moje dziś rano, i jak dalece się nad nimi zastanawiał. Fakt, że poszedł do szpitala, mógł oznaczać, że albo ma dziś dużo pracy, albo jego wiara w siebie została mocno podkopana i musiał ją sobie odbudować w miejscu, w którym czuje się najlepiej, gdzie kocha to, co robi, i robi to

genialnie dobrze. Przez krótką chwilę było mi go prawie żal...

Od dzisiaj przez tydzień przypadło mi pełnienie dyżuru w kościele w miejsce brata Ricarda, który nie jest już nowicjuszem i zwolnił się z posługi. Ślęczy teraz całymi dniami i nocami w bibliotece, chcąc wykorzystać na naukę dosłownie każdą minutę, nim w październiku wyjedzie na upragnione studia.

Posługa w kościele ma tę dobrą stronę, że mogę obserwować brata Constantino, czy nie skrywa jakiejś niechęci do mego mistrza i czy w jakiś sposób przypadkiem się z nią nie zdradzi.

Padre Constantino jest dla mnie jeszcze bardziej szorstki niż przed zdarzeniem z dzwonnicy i zleca mi najgorsze zadania: a to szorowanie posadzki nawy głównej, a to wycieranie kurzy na wszystkich ornamentach wnętrza, a zważywszy, że jest to kościół gotycki, ornamentów wykutych w kamieniu jest w nim doprawdy oszałamiająca liczba. A od jutra otrzymałem obowiązek budzenia wszystkich braci na jutrznię. Dzwony zostały zniszczone i leżą teraz gdzieś za murami opactwa, więc bracia sami pilnują godzin nabożeństw, zaś brat Constantino wszystkich zwołuje. Co prawda jest jeszcze sygnaturka na wieży – iglicy kościoła nad skrzyżowaniem naw, ale brat Constantino z niewiadomych przyczyn niezmiernie rzadko z niej korzysta. I dlatego teraz przed jutrznią chodzi od drzwi do drzwi każdej celi z małym, ręcznym dzwonkiem i potrząsając nim, budzi nas pojedynczo. Jutro ten obowiązek przypadnie w udziale mnie.

Proces zbliża się wielkimi krokami, a my, to znaczy ja i brat Jorge, jesteśmy ciągle w lesie. W ciemnym lesie pełnym drzew stojących nam na przeszkodzie i dróg, co płaczą nam się pod nogami. Nie wiem, doprawdy, jak przetrwałbym ostatnie dni, gdyby nie wsparcie Juana i Alejandra, którzy na każdym kroku dodają mi otuchy. Podziękowałem także Mateo za udzielone mi tak nieoczekiwane wsparcie. Uśmiechnął się blado w odpowiedzi i stwierdził, że powiedział tylko prawdę, którą ktoś powinien powiedzieć głośno. Wreszcie.

Głębokie cienie nocy ogarniają mą celę, gdy piszę te słowa. Płomień świecy pali się nierówno, rozedrgany niespokojnym mym oddechem. Jego mdłe światło nie daje rady rozproszyć ciemności, co zalegają morzem obaw na dnie mojego serca. Pora kłaść się spać, skoro

jutro wstaję długo przed pierwszą zorzą. Nocna ta pora, tajemnicze śledztwo, a nade wszystko zbliżający się proces przepelniają mnie niepokojem. Marzę o spokojnym, kojącym śnie, co przywraca ciału nadwątlone siły, a duszy nadszarpniętą wiarę w siebie, ale wiem, że do dnia wyroku sądu kapturowego nie będzie mi on dany.

Boże Wszchemogący, miej mnie w opiece i spraw, aby prawda wyszła na jaw i aby zwyciężyła nad pomówieniami i pozorami. Tak się boję...

9 września

Cztery dni do procesu. Nic w zachowaniu brata Constantino wobec mego mistrza nie jest podejrzanego, zupełnie jakby wiedział, że go obserwuję. Przeciwnie, jest serdeczny i uprzejmy i pomaga w śledztwie, żeby brat Armand miał czas pracować w szpitalu. Zauważyłem także, że dużo czasu spędza z przeorem, rzecz jasna w związku z procesem, i bardzo mu to odpowiada. Wydaje mi się również, że i *padre* Torquemada patrzy na brata Constantino przychylniej niż do tej pory.

Możliwe, że moja chora wyobraźnia podsuwa mi chore obrazy, ale odnoszę wrażenie, że bratu Veliger de Vargas bardzo zależy na tym, aby brat Armand spędzał czas w szpitalu, gdy on tymczasem przebywa w towarzystwie przeora, na nowo wkupuje się w jego łaski, kiedyś za sprawą mego mistrza utracone i, być może, usiłuje wygryźć brata Armanda z należnego mu miejsca u boku brata Torquemady. Ale tylko głupiec porywałby się na takie szaleństwo i bezrozumnie sądził i żywił płonne nadzieje, że udałoby mu się zastąpić przeorowi ukochanego, idealnego i odpowiednio wyszkolonego ucznia! I jeśli to brat Constantino podłożył ogień pod dzwonnice, choć nie przypuszczam, aby jego niegodziwość była aż tak wielka, ale jeśli to rzeczywiście uczynił, być może miał właśnie zamiar zastąpić bratu Torquemadzie mego mistrza. A ponieważ plan się nie powiódł, próbuje teraz, niejako tylnymi drzwiami, osiągnąć zamierzony cel. Bo zabójstwo brata Armanda było wobec tego jedynie środkiem do celu, a nie celem samym w sobie. Brat Constantino nie tyle chowa urazę za dawne krzywdy, ile raczej zazdrości

mojemu mistrzowi przyjaźni Torquemady, wykształcenia i obietnicy sprawowania urzędu sędziego inkwizytora! Tu i teraz. A to znacznie gorsza gorączka niż tylko chęć zemsty. Bo życie z poczuciem krzywdy i żądzą zemsty kończy się w momencie dokonania aktu odwetu, a potem jest tylko pustka i poczucie bezsensu świata. Ale życie w chorobliwej zazdrości, gdy pokonujemy przeciwnika i usuwamy go z naszej drogi, odbierając mu to, czego tak zazdrościliśmy, takie życie trwa nadal. Bo celem jest życie, nie akt zemsty. I właśnie tego chce brat Constantino. Wie, że dopóki brat Armand żyje, on nie ma najmniejszych szans na łaski i przychylność przeora, takie, jakimi cieszy się mój mistrz. Ale ponieważ kiedyś już przeor lubił brata Constantino i cenił go bardzo, zanim zjawił się mój mistrz, w jego pojęciu wystarczy tylko usunąć brata Armanda i droga do odzyskania łask Torquemady będzie otwarta. Że też nie wpadłem na to wcześniej!

Później. Po niesporach

Przesłuchania świadków i zbieranie dowodów do śledztwa zostało już ukończone. Dziś przed południem przesłuchany został ostatni z braci z klasztoru. Potem zaś przyszła kolej na mnie.

Stałem w gabinecie przeora pięknym popołudniem, a przez witraże sączyły się do wnętrza kolorowe, jak same szybki, plamy światła, malując wszystkie sprzęty, ściany i nasze białe kuty w barwne wzory. Oprócz przeora, który zdał mi się chudszy niż zwykle, byli jeszcze brat Constantino, który mnie tu przyprowadził z kościoła, gdzie sprzątałem po raz czwarty w tym tygodniu, brat Armand, który od ostatniej naszej rozmowy nie zamienił ze mną ani słowa, co w zasadzie nie powinno mnie dziwić, i brat Jorge, który starał się, jak umiał i jak mu na to pozwalano, aby oczyścić mnie z tych absurdalnych zarzutów, co – jak zaczynałem rozumieć – było chyba niemożliwe...

Otóż przeor wcale nie pytał, czy to zrobiłem, ale w jaki dokładnie sposób. A ponieważ konsekwentnie i ze spokojem powtarzałem wszystkim, że nie ja podpaliłem dzwonnice, a zatem nie mogę im udzielić odpowiedzi na to pytanie, w końcu *padre* Torquemada zmienił

taktykę.

– Synu mój – powiedział cicho, ale twardo – wiesz, że przeor miłuje wszystkich braci w klasztorze jak swoje dzieci. – Stał przede mną z dłońmi opartymi na moich ramionach.

Jego chude palce wydawały się dłuższe, a oczy ciemniejsze, jakby od naszej ostatniej rozmowy w tym gabinecie przybyło jego duszy mrocznych grzechów. Wyczuwałem w jego uścisku jakieś napięcie i sztywność w gestach i zgadywałem, że nie bierze się ono z mojego procesu, ale raczej z powodu braku wieści z Watykanu, co nawet mnie już dezorientowało co do woli papieża, a cóż dopiero jego!

– I tak jak ojciec dla swoich dzieci, tak ja chcę dla was tylko waszego dobra – mówił dalej przeor tym samym tonem. – Antonio, wiesz, że świadkowie zeznawali przeciwko tobie? – Przekrzywiając nieco głowę, spojrzał na mnie z ukosa.

– Nie wszyscy, ojczy przeorze – wtrącił się brat Jorge siedzący po moim prawym boku. – A w zasadzie tylko kilku.

– To prawda, nie wszyscy – przyznał *padre* Torquemada, a wyraz twarzy zrobił mu się chłodniejszy. – Ale też ci, którzy nie zeznawali przeciwko tobie, nie zeznali niczego na twoją korzyść, a przekonanie o twojej niewinności to tylko ich domysły.

– Podobnie, jak domysłami były zeznania tych, co byli przeciwni Antoniowi – przerwał brat Jorge. – Oni także nie powiedzieli nic konkretnego. Nie podali żadnych dowodów.

Przeor przeszedł kilka kroków po swoim gabinecie.

– Antonio, dowody świadczą przeciwko tobie. Brat Armand widział cię pod dzwonnica. – *Padre* Torquemada wskazał dłonią na stojącego przy oknie mego mistrza. – Przyznaj się. Opór nie ma sensu. A gdy się przyznasz, odwołam sąd kapturowy i zaoszczędzimy mnóstwo czasu. Mogę ci obiecać, synu – znów stanął przede mną i patrzył mi prosto w oczy ze spokojem – że jeśli się przyznasz, osobiście odwołam się do sądu miejskiego o jak najłagodniejszą karę – zakończył, znacząco zawieszając głos tonem obietnicy.

Zastanawiałem się, czy była ona szczera, czy to tylko kolejna zagrywka. Popatrzyłem po zgromadzonych w gabinecie braciach. Przeor, choć był tu ciałem, duchem błądził gdzieś daleko, prawdopodobnie jego

myśli, obawy i nadzieje krążyły wokół papieża i wciąż niewydanej bulli o ustanowieniu w Kastylii Świętej Inkwizycji.

Padre Armand w ogóle się nie odzywał, stojąc przy oknie. I choć twarz zwróconą miał w moją stronę, była ona smutna i jakby czymś dręczona. Coś zaprzętało mu głowę, ale było to coś o wiele bardziej bliskiego Santa Cruz niż Watykan i papieska bulla, choć i o tym z pewnością także myślał. I był też znudzony. Nie wiedziałem czym bardziej: tymi ciągnącymi się w nieskończoność od wielu dni przesłuchaniami czy moim konsekwentnym zaprzeczaniem stawianym mi oskarżeniom. Musiał być także rozczarowany moją osobą i zniechęcony do uczniów, bo zarzucił prowadzenie z nami wykładów, co było dość dziwne. Nie wiem, czy zrezygnował całkowicie, czy tylko zawiesił je na czas jakiś, na przykład do wyjaśnienia sprawy podpalenia dzwonnicy, ale przecież mój mistrz uwielbia nauczać i czuje się wówczas jak ryba w wodzie. Dlatego tak mnie to dziwi. W ogóle ostatnio zaszywa się w szpitalu i prawie go nie widuję, bo mam zakaz wychodzenia poza mury. I muszę przyznać, że najbardziej w tej chwili brakuje mi medycyny i pacjentów szpitala i, to także muszę przyznać, nauk brata Armanda. Czego bym o nim nie powiedział, do leczenia ludzi się po prostu urodził.

Brat Constantino siedział na krześle w rogu gabinetu po prawej mojej stronie, a jego kuta bardziej przypominała barwną łąkę niżli śnieżną biel dominikanów. Z pozoru zachowywał się obojętnie, ale widziałem, że słuchał z pełnym zainteresowaniem tego, co mówiłem, a w jego oczach była jakaś żarliwość, jakby umysł trawiły mu płomienie gorączki o nieznanym dla mnie pochodzeniu. Po ostatnich dniach spędzonych w kościele wiem już na pewno, że mnie nie lubi, że mną gardzi, z czym wcale się nie kryje, wynajdując mi różne uciążliwe prace do wykonania. Ale jeszcze tylko trzy dni dyżuru, bo potem rusza rozprawa przed sądem kapturowym. Patrząc dziś w jego oczy, ogarnięte dziwnym, nienaturalnym ogniem, nabrałem pewności, że serce brata Constantino kryje straszny, mroczny sekret, którego jednak zazdrośnie strzeże przed światem i przede mną, a którego nie potrafię mu udowodnić.

Brat Jorge zaś siedział skupiony i poważny i on jeden, oprócz

mnie, był w tej chwili żywo zainteresowany procesem i jego wynikiem. Ale i jego twarz była smutna, tyle że smutek ten oznaczał – i dobrze to wiedziałem – bezradność obrony wobec oskarżeń, które mi stawiano.

Wziąłem głęboki wdech, zbierając myśli. Przymknąłem na chwilę powieki, przypominając sobie mimowolnie moje przybycie do Santa Cruz ponad trzy miesiące temu i moje pierwsze spotkanie z *padre* Torquemadą w tym gabinecie, gdy wyznaczył mi brata Armanda na patrona, a ja nawet w najmroczniejszych snach nie przewidywałem, że mój nowicjat skończy się oskarżeniem o usiłowanie zabójstwa mego mistrza. Otworzyłem oczy. Tak. Powinienem się przyznać. Mimo wszystko powinienem skorzystać z szansy łagodnego wyroku i przyjąć propozycję przeora z pocałowaniem w rękę, zdając sobie sprawę, że każdy inny wyrok będzie surowszy. Ale coś we mnie buntowało się przeciwko tej myśli. Coś krzychało do mnie z dna mojego jestestwa, abym tego nie robił. Coś desperackiego i zrozpaczonego zarazem. Cóż to było?...

Spojrzałem na stół stojący pośrodku gabinetu, na którym ileż to razy widziałem mapy sieci trybunałów Inkwizycji, plany proporców i inne dokumenty przyszłej nowej Hiszpanii – Hiszpanii Torquemady! Dzisiaj stół był uprzątnięty. Być może dlatego, że budowanie systemu i jego założeń już się zakończyło. Pozostało jedynie czekanie na wolę papieża. A może mapy i szkice były uprzątnięte, aby za wiele nie zdradzać intruzom, takim jak brat Constantino, brat Jorge, świadkowie i ja?

– Zastanawiasz się – skomentował zaległą ciszę przeor, wrywając mnie z rozmyślań. – To dobrze – dodał, obchodząc stół, ale na mnie nie spojrzał. – Słuchasz głosu rozsądku. Nareszcie jakiś postęp w śledztwie. – Zatrzymał się i stanął tuż przede mną, przyglądając mi się swoim przenikliwym na wskroś wzrokiem. – No więc, Antonio, co ci mówi głos rozsądku?

Popatrzyłem nań równie zimno jak on na mnie.

– To, abym się nie przyznawał, bo jestem niewinny. A już na pewno nie dlatego, że tego chcesz, ojcie przeorze – odpowiedziałem z nieukrywaną złością.

Widziałem, że brat Jorge uśmiechnął się dyskretnie. Był

zadowolony. Przeor zaś zmarszczył brwi i cofnął się o krok.

– Jak chcesz! – skomentował lodowato i wzruszył ramionami. – Bóg mi świadkiem i wy, bracia, że chciałem, próbowałem pomóc temu biednemu dziecku, które zabłądziło. – W głosie brata Torquemady brzmiała jakaś ohydna, fałszywa nuta. – A zatem proces. Liczysz na przychylność sędziów? Czy może masz ukryte jakieś dowody, o których nie wiemy? – Złośliwość była w jego głosie i nawet nie starał się jej ukryć.

– Nie – odpowiedziałem twardo. – Nie liczę na żadną przychylność. Nie twojego sądu, ojczyźnie. I nie mam asów w rękawie, w tym cały problem. Ale nie przyznam się do czegoś, czego nie zrobiłem.

Po tych słowach, z których byłem bardzo, bardzo dumny, brat Armand popatrzył na mnie smutno.

– Antonio – mistrz zwrócił się do mnie cicho i z jakimś roztargnieniem – czy w takim razie masz może jakieś podejrzenia albo wiesz, kto mógł to zrobić? Czy przypuszczasz, który z braci mógł chcieć mnie zabić? – zapytał z prawdziwej, nieudawanej ciekawości, a jego oczy były szczerze smutne.

Naprawdę dręczyła go jakaś myśl i nie umiał o niej zapomnieć. Być może nareszcie przyszło opamiętanie i rozważał, naprawdę to robił!, także inne, poza moim sprawstwem, możliwości. Żal szarpnął moim sercem, bo widziałem, że cierpi, zmagając się z tymi myślami.

– Tak, ojczyźnie – odpowiedziałem równie cicho i spokojnie, a moje słowa wywołały poruszenie prawie wszystkich w gabinecie.

Przeor zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na mnie, brat Armand podszedł bliżej, zaś brat Constantino zerwał się z krzesła na równe nogi, co zwróciło uwagę brata Jorgego, z którym wymieniłem porozumiewawcze spojrzenia. Tak, bez wątpienia brat Constantino miał coś na sumieniu w związku z zamachem na mojego mistrza...

– Ojczyźnie, domyślałem się, który z braci chciał cię zabić – zwróciłem się do Archaniola, ale patrzyłem na brata Constantino, którego twarz to bladła, to stawała się czerwona. – Mnich ten cię nienawidzi i w dodatku miał motyw, aby podnieść na ciebie rękę. – Nie spuszczałem wzroku z brata Constantino, którym targała wściekłość, tym większa, że nie

wiedział, co powiem i czy go zdradzę, i nie mógł w żaden sposób mnie powstrzymać. – Ten mnich chodzi za tobą po klasztorze, ojciec, przygląda ci się podczas nabożeństw, stoi w nocy pod twoim oknem... Widziałem go. Wiele, wiele razy.

Brat Armand wyrósł nagle przede mną i położył mi dłonie na ramionach, a potem potrząsnął mną zdecydowanie, zmuszając mnie, bym na niego spojrział.

– Antonio, na litość Boską, mów, kto to jest! – Widziałem w oczach mistrza prawdziwe zainteresowanie, które mogło świadczyć o targających nim, być może, wątpliwościach co do mego udziału w tej zbrodni.

Wydawało mi się, że byłby skłonny mi uwierzyć.

– Ojciec, to tylko przypuszczenia – odpowiedziałem spokojnie i z godnością. – Nie mam żadnych dowodów, więc nie będę nikogo pomawiał, tak jak ja sam zostałem pomówiony. Jeśli znajdę dowód, pierwszy się o tym dowiesz, mistrzu. – Ukłoniłem się nieznacznie.

Brat Armand zdjął dłonie z moich ramion, ale patrzył na mnie z podziwem. Za to przeor był wściekły, bo krzyknął:

– Ukrywasz zbrodniarza! Sam więc także jesteś winny! A skoro nie chcesz wyjawić jego nazwiska, sam poniesiesz konsekwencje tej zbrodni – syczał przez zęby.

Pokiwałem ze zrozumieniem głową. Brat Armand zdawał się w ogóle nie słyszeć tego, co powiedział *padre* Torquemada, a na jego twarzy malowała się udręka, pomieszana z nadzieją. Patrzył na mnie, a ja żałowałem, że w tej chwili nie jesteśmy sami i nie mogę porozmawiać z nim szczerze o moich podejrzeniach wobec brata Constantino. Mistrz odszedł parę kroków i na powrót stanął obok okna, zamyślony i nieobecny.

Padre Constantino opadł zaś na krzesło z wyrazem ulgi malującym mu się na twarzy. Nie miałem już wątpliwości, że to on podłożył ogień. Brat Jorge nie przestawał mu się przyglądać ukradkiem, ja zaś dumny byłem z siebie, że pomimo strachu, ogromnego, przed procesem i karą, udało mi się zachować godność i uczciwość.

– Jeśli to wszystko, ojciec przeorze, oddalę się – zaproponował brat Constantino, przerywając milczenie.

Wstał wolno z krzesła blady jak ściana i miałem wrażenie, że za chwilę padnie na posadzkę twarzą w dół, ale on wsparł się jedną ręką o oparcie krzesła i czekał. A więc jednak moja wypowiedź go przeraziła! Śmiertelnie, jak mogłem sądzić po jego wyglądzie.

– Chcesz coś jeszcze dodać, Antonio? – zapytał mnie przeor z powątpiewaniem w głosie.

– Nie, ojczec. – Podniosłem czoło. – Nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Zatem, bracie Constantino, to wszystko – rzucił przeor i oparł się rękami o blat stołu. – Możesz odejść, bo coś niezdrowo wyglądasz.

Brat Constantino uklonił się przeorowi i szybko wyszedł z gabinetu, rzucając mi niepewne spojrzenie. Ja zaś uśmiechnąłem się do niego złośliwie i z triumfem. Cóż to była za przyjemność!

Brat bibliotekarz także wstał i zbierał się do wyjścia.

– Bracie Jorge, zaczekaj chwilę – zatrzymał go przeor.

Padre Torquemada obszedł stół i stanął bliżej mojego obrońcy.

– Bracie, widzisz, ku czemu zmierza ten proces – mówił dalej przeor, kładąc dłoń na plecach brata Jorgego. – Jesteś świetnym prawnikiem. Nie marnuj swojego talentu i nie trwoń wysiłku na rzecz obrony tego dzieciaka, który ma winę wypisaną na twarzy. – Spojrzał na mnie przelotnie za plecami mego obrońcy. – Chciałbym cię widzieć, bracie Jorge, w składzie sędziowskim sądu kapturowego. – Uśmiechnął się zachęcająco. – Wierzę, że twoja mądrość pozwoli nam wydać słuszny i sprawiedliwy wyrok.

Stałem metr od nich, a przeor mówił to wszystko w mojej obecności, wcale się z tym nie kryjąc! Nie mogłem uwierzyć w to, że może być aż tak fałszywy!

Brat Jorge wysłuchał ze spokojem tego, co mówił *padre* Torquemada, nie zdradzając na twarzy żadnych uczuć. Przez chwilę nawet bałem się, nie mogąc z jego twarzy nic wyczytać, że gotów przystać na propozycję przeora, bo nawet mnie wydawała się ona logiczna. Ale on odpowiedział po krótkiej chwili ciszy:

– Ojczec przeorze, dziękuję za słowa uznania dla mojej wiedzy prawniczej, chociaż Bóg mi świadkiem, że skromna to wiedza i w mej posłudze niewiele przydatna. – Uśmiechnął się do mnie nieznacznie. –

Jeśli chodzi o twoją propozycję, to stanowczo muszę odmówić. Podjąłem się obrony Antonia, ponieważ jestem przekonany o jego niewinności, zaś posługa prawnicza memu bratu niesłusznie oskarżonemu nigdy nie będzie, w moim przekonaniu, trwonieniem czasu i sił. To dla mnie zaszczyt, że mogę być obrońcą Antonia. A jeśli chodzi o wyrok sądu koleżeńskiego, który według twojego, ojczy przearze, życzenia, ma być słuszny i sprawiedliwy, to wobec twojej sugestii, że Antonio ma winę wypisaną na twarzy, nie widzę w nim dla siebie miejsca. To nie będzie swobodna decyzja mnichów, jeśli ty, ojczy, wiesz, jak ten proces ma się skończyć. Nie przyłożę zatem ręki do tej obłudnej komedii. I głęboko współczuję braciom, którzy podejmą się rozsądzenia tej sprawy. Będę się modlił za ich dusze, aby dobry Bóg wybaczył im ciężki grzech skazania niewinnego człowieka. I oby nie splamili sobie rąk krwią. – Brat Jorge uczynił ręką w powietrzu znak krzyża, jakby udzielał rozgrzeszenia niewidzialnemu grzesznikowi.

W miarę, jak mówił te słowa, twarz przeora cierpła coraz bardziej, zaś brat Armand odwrócił się do okna, uchylił je i stał tak, patrząc przez powstałą szparę na alejkę róż biegnącą tuż za oknem. Już mieliśmy opuścić gabinet wraz z bratem Jorgem, gdy naraz usłyszeliśmy przez uchylone okno głośny tętent końskich kopyt tuż za murami klasztoru, a potem głośne uderzenia w metalową furtę. Raz za razem. Widać było, że ktoś bardzo się niecierpliwił, czekając na furtiana. Brat José otworzył furtę i po chwili na teren opactwa, bez pytania o pozwolenie, wbiegł świecko ubrany człowiek, trzymając w uniesionej dłoni jakiś papier. Widzieliśmy to wszystko przez okno, które brat Armand otworzył na oścież.

– Do przeora! – krzyknął świecki człowiek. – Pilnie!

Ale brat José zaczął marudzić, że nie może tak bez zapowiedzi i że przeor ma teraz ważne spotkanie, a tak w ogóle to za kogo niby gość się uważa, że wbiega bezczelnie na teren opactwa.

Mężczyzna zmierzył brata José piorunującym wzrokiem.

– Nie ma czasu na ceregiele! – krzyknął. – To sprawa najwyższej wagi! Prowadź do przeora! Szybko!

I wtedy nagle zrozumiałem, że to prawdopodobnie posłaniec z Watykanu, skoro to aż tak ważne. Brat Armand chyba także tak

pomyślał, bo krzyknął przez okno:

– Tutaj!

Świecki człowiek pobiegł przez trawnik na skos i pomiędzy filarami dormitorium wbiegł do holu w segmencie przeora. A następnie, ku naszemu zaskoczeniu, bez pukania wtargnął do gabinetu. Wyglądał strasznie. Włosy miał potargane, tłuste i w zupełnym nieładzie. Twarz nieogoloną od kilku dni, ogorzałą od słońca. Ubranie na nim było brudne i mokre od potu, także w nieładzie. Przez ramię miał przewieszoną torbę skórzaną, jaką noszą emisariusze. Oddychał głośno zmęczony jeszcze szybką jazdą.

– Słucham cię, synu. – Przeor wyszedł przed nas wszystkich na powitanie przybysza. – Jestem Tomás de Torquemada. Podobno mnie szukasz. – Wystawił w stronę mężczyzny prawą dłoń, którą zdobił sygnet będący oznaką władzy przeora.

Przybysz natychmiast padł na kolana i nabożnie ucałował pierścień.

– Panie, wybacz to nagłe wtargnięcie – usprawiedliwił się mężczyzna, nadal klęcząc. – Ale mam pilną wiadomość do ciebie, ojcze. Z Watykanu. – Uniósł rękę z opieczętowanym listem.

Twarz przeora rozpromieniła się w ułamku chwili. Spiesznie wziął od mężczyzny list i złamał dużą, czerwoną pieczęć, na której – widziałem to wyraźnie – widniała tiara i dwa skrzyżowane klucze. Symbol Stolicy Apostolskiej i władzy papieża. Nie ulegało także wątpliwości, że ów tajemniczy dokument zawiera z dawna tu, w Santa Cruz, oczekiwaną decyzję w sprawie Inkwizycji i jej powołania w Kastylii. Cierpła mi skóra na karku, gdy patrzyłem, jak długie palce brata Torquemady łamią pieczęć i niecierpliwie rozkładają list. Brat Armand w jednej chwili stał już obok przeora, pochylony wraz z nim nad pismem.

Świecki człowiek dyszał jeszcze ze zmęczenia, nadal na kolanach, i zastanawiałem się, czy zdawał sobie sprawę, jadąc tutaj z Watykanu, jak wielkiej wagi dokument wiezie i jak wielkie piętno odcisnie ów świstek papieru na losach Hiszpanii.

W miarę jak przeor czytał wiadomość, twarz mu się rozjaśniała, a brat Armand spojrzał na mnie znad dokumentu błyszczącymi oczami,

pełnymi euforii.

– To bulla papieska z pierwszego września! – powiedział mistrz drżącym z emocji głosem i przeszedł się nerwowo po gabinecie. – Od dziewięciu dni mamy w Kastylii Świętą Inkwizycję![25] – wykrzyknął, wyrzucając ręce w górę, jakby dziękował Bogu za jej ustanowienie.

Zastanawiałem się, czy mówił to do nas, do mnie i brata Jorgego, czy też raczej do siebie. Przeor, którego pierwszy raz w życiu widziałem tak ucieszonego, był jednak nieco bardziej powściągliwy w wyrażaniu swej radości.

– Synu mój – zwrócił się do klęczącego mężczyzny i podszedł do niego – wstań. – Ujął go za ramiona i pomógł podnieść się z kolan. – Jestem ci bardzo wdzięczny, że przywiozłeś tę wiadomość z Watykanu tak szybko. Twoje wysiłki zostaną nagrodzone, bo też i decyzję wielkiej wagi miałeś zaszczyt przekazać. Oto na twoich oczach tworzy się nowa historia. Udaj się teraz do gabinetu obok. – Przeor otworzył drzwi do holu i wskazał ręką pokój sekretarza, ojca Pedra de la Fuente. – Wyplacone zostanie ci stosowne wynagrodzenie za twój trud i prawdziwe oddanie dla Kościoła Katolickiego. Potem zaś nakarmię cię i napoją bracia w refektarzu. – Uśmiechnął się. – Jeszcze raz dziękuję ci, mój synu. Bóg z tobą. – Przeor uczynił znak krzyża na czole mężczyzny, a ten z nabożeństwem ponownie ucałował prawą dłoń *padre* Torquemady.

A potem świecki posłaniec z Watykanu wyszedł. Ja zaś, jakkolwiek czułem się intruzem, to jednak nie ośmieliłem się ruszyć. Przeor odwrócił się od drzwi, które najpierw zamknął, i klasnął w dłonie tak głośno, że aż podskoczyłem. Serce biło mi szybko i byłem oszołomiony wieścią ze Stolicy Apostolskiej.

– Ha! – wykrzyknął Torquemada. – Więc papież nam sprzyja! Armandzie, wiesz, co to oznacza?! – Podszedł do mego mistrza, całkowicie ignorując mnie i brata Jorgego.

Padre de Llorente uklonił się cicho i wyszedł z gabinetu, zapraszając mnie za sobą, ale nie mogłem i nie chciałem się ruszyć. Przeor i mój mistrz nawet nie zauważyli, jak wychodził!

– Stworzymy nowe oblicze Hiszpanii! Nową wiarę! – mówił przeor zaabsorbowany, chodząc wokół stołu, od czasu do czasu zerkając na

brata Armanda, który czytał kolejny już raz papieską bullę, jakby jej nie dowierzał. – Machina ruszyła. Musisz mi pomóc, bracie Armandzie. Na ciebie jednego mogę liczyć. Jak tylko uporamy się z tym procesem – przeor wskazał ruchem głowy na mnie – wyjeżdżam do Toledo. Królowa pewnie już wie, a jeśli nie, dowie się w najbliższych dniach. Napiszę do niej. Jest tyle pracy! Tyle pracy przed nami! – Spojrzał rozentuzjasmowany na brata Armanda, jakby myśl o czekającym go wysiłku dodawała mu sił i sprawiała radość. – Czas nas nagli! Szybko! – Wtedy wzrok przeora spoczął na mnie, a wyraz radości znikł z jego twarzy, która w jednej chwili stała się zimna i skostniała. – Co ty tu jeszcze robisz, Antonio?! – zapytał lodowato.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale głos uwiązł mi w gardle.

– Wyjdź. – Brat Armand podszedł do mnie i kładąc mi dłoń na plecach, podprowadził do drzwi. – Nie powinienesz interesować się tym, o czym tu mowa. Przed tobą proces o zbrodnię zabójstwa. Tym się interesuj. – Otworzył drzwi zimnym, oficjalnym ruchem, z jego twarzy znikła malująca się na niej wcześniej udręka, a jej miejsce zastąpiła dawna pewność siebie i determinacja. – Jak widzisz, Antonio, mimo twoich modlitw Bóg jest po naszej stronie – dodał na koniec, nawiązując do mojej ostatniej z nim kłótni.

Po tych słowach, zimnych i złośliwych i tak bardzo pasujących do mego mistrza – przyszłego inkwizytora, wyszedłem z gabinetu przeora.

Hol był ciemny jak moja dusza i myśli w tamtej chwili. Niemal po omacku odnalazłem drzwi na zewnątrz, zazwyczaj otwarte na oścież, teraz zamknięte, podobnie jak okiennice przy jedynym tutaj, witrażowym oknie. Stąd ta ciemność. Ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że tak jak ja, wychodząc z kolorowo oświetlonego gabinetu, pełnego pogodnych i ciepłych barw, wstępuję do mrocznego holu, w którym błądziłem do drzwi po omacku, tak i Hiszpania wraz z bullą papieską przechodzi ze światła w pełną ciemności podróż ku nowym, potwornym czasom Inkwizycji. Wzdrygnąłem się na tę myśl. A także i na tę, że lud Kastylii i całej Hiszpanii nic jeszcze nie wie, niczego złego nie przeczuwa, niczego się nie domyśla... A dwaj architekci nowego systemu pracują bez wytchnienia tu, w niepozornym, małym opactwie,

wśród pobożnych mnichów modlących się szczerze za Kościół Katolicki, Królową i nasz jeszcze piękny kraj...

Wyszedłem na upalne popołudnie i długą chwilę stałem przed segmentem brata Torquemady, nie wiedząc, dokąd mam iść. W głowie miałem mętlik: zbliżał się proces, przypuszczałem, jak się skończy, i byłem bezradny; brat Constantino, blady jak ściana, co jakiś czas pojawiał się w mojej głowie; jego tajemnica równie ohydna, jak jego obłudna postawa; a teraz jeszcze Inkwizycja i świat, w którym przecież i mnie przyjdzie żyć. Czy przyjdzie?...

Przeszedł mnie dreszcz trwogi, gdy uświadomiłem sobie, że przecież sędziowie mogą orzec karę śmierci, mogę zawisnąć na murach miejskich Segowii w przeciągu miesiąca, a ja przejmuję się przyszłością Hiszpanii! Czy po tym, czego się dowiedziałem z ust przeora i mego mistrza, mogę liczyć na uniewinnienie? Wiem, że brat Jorge robi, co może, ale nie ocali mnie przed potwornym losem, który gotują mi mściwe ręce *padre* Torquemady i brata Armanda. Do dziś nie wiem, którego z nich bardziej rozżłościła owa próba zamachu: mego mistrza czy przeora i który z nich bardziej pragnie się na mnie zemścić...

Boże, wejrzyj na mą duszę i miej mnie w opiece, gdy przyjdzie to, co najgorsze...

11 września

Po ostatniej mojej wizycie w gabinecie przeora brat Constantino zwolnił mnie z obowiązków swego pomocnika w kościele, co tylko upewniło mnie w przekonaniu, że on był autorem zamachu na mojego mistrza.

– Boi się ciebie – powiedział brat Jorge, gdy rozmawiałem z nim o reakcji brata Constantino na moje słowa, że wiem, kto podpalił dzwonnice. – Boi się tego, co wiesz, i tego, co możesz skojarzyć, przebywając w kościele, dlatego cię odesłał. Być może zostawił jeszcze jakieś ślady, które po twoim przesłuchaniu z całą pewnością już zatarł. Ale dobrze się stało, że to powiedziałaś, Antonio. Mogliśmy zaobserwować reakcję brata Constantino. Ktoś, kto nie ma nic

wspólnego z tą zbrodnią, pozostałby obojętny na twoje słowa lub, co najwyżej, byłby zainteresowany tożsamością sprawcy. A brat Constantino omal nie zemdlął w gabinecie przeora. Nie wiem tylko, jak go podejść, jak zmusić go do przyznania się.

– A to w ogóle możliwe? – zapytałem gorzko, nie żywiąc nadziei.

– Jeśli udałoby mi się go odpowiednio podejść... – brat Jorge powiedział to prawie szeptem i bardziej do siebie niż do mnie.

Odpowiednio podejść. Nie za bardzo umiem to sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę, jak inteligentny jest brat Constantino i z pewnością spodziewa się, zwłaszcza teraz, że zechcemy wystawić go na próbę.

Po moim przesłuchaniu przez przeora liczyłem, że brat Armand zapyta mnie na osobności, o którym z mnichów mówiłem. Wtedy powiedziałbym mu o moich podejrzeniach. Ale on teraz zbyt jest zaabsorbowany powołaniem w Kastylii świętych trybunałów Inkwizycji i myśli już, jak sądzę, o swojej przyszłości jako sędziego inkwizytora. A mój proces, no cóż, jest dlań kwestią poboczną. Może to i lepiej? Może płomień jego zemsty nieco zmalął i nie zechce mnie karać najsurowiej, jak tylko zdoła pomyśleć?

Juan i Alejandro, jak się domyślałem, słyszeli całą rozmowę w gabinecie przeora, ukryci w celi obok. Nie widzieli reakcji brata Constantino, więc im ją opisałem. Teraz we czterech wraz z bratem Jorgem śledzimy zachowanie *padre* Veliger de Vargas, jakbyśmy byli jego czterema cieniami...

W klasztorze o Inkwizycji na razie się nie mówi, choć jeszcze dziewiątego września wyruszył do Toledo goniec z listami *padre* Torquemady do Królowej. Przeor z jakichś powodów nadal nie ogłosił z ambony o treści papieskiej bulli, ale z pewnością zrobi to lada dzień. Brat Ricardo wie, jak mniemam, bo ostatnio spędza z bratem Armandem mnóstwo czasu, zdarza się nawet, że towarzyszy rozmowom mego mistrza z przeorem. W końcu przecież i jego szukają na inkwizytora.

Rozmawiałem z bratem Alvaro, który zapewnił mnie o swojej przychylności. Był zszokowany wieścią o bulli papieskiej, gdy dowiedział się o niej od Juana. Wyznał, że rozmawiał w mojej sprawie z bratem Armandem, przekonując go o mojej niewinności, ale na nic zdała się ta próba, bo mój mistrz był nie tylko nieprzejednany, ale wręcz

wrogo nastawiony do brata Alvaro za to, że ten ośmielił się mnie bronić!
Późno w nocy

Po nieszpórach, gdy wychodziliśmy z kościoła, podszedł do mnie brat Armand. Jak zawsze chłodny i obojętny. Z głową dumnie uniesioną.

– Ostatnio zauważyłem, że się nie uczysz, Antonio – stwierdził. – Dlaczego zaniedbujesz naukę?

Zaniemówiłem z wrażenia. Czy to możliwe, że mój mistrz jest już do tego stopnia pozbawiony ludzkich odruchów, że nawet w obliczu czekającej mnie prawdopodobnie kary śmierci będzie mnie zmuszał do bezsensownego ślęczenia po nocach nad książkami, co i tak za kilkanaście dni zostanie zaprzepaszczone? Czy też może sąd kapturowy nie zamierza orzekać tak ciężkiej kary, o czym on skądś wie, i dlatego moja dalsza nauka ma jednak jakiś sens?

– Ojczy, nie wiem, czy to ma sens... – wyjąkałem drżącym głosem. Spojrzał na mnie surowo, ale obojętność znikła z jego twarzy.

– Nauka zawsze ma sens – powiedział tonem, z którym nie należało polemizować. – Wiem, że boisz się wyroku sądu. Zresztą słusznie. A jeśli nie będzie surowy? Wtedy stracisz tygodnie nauki! Tyle wiedzy mógłbyś przez ten czas przyswoić, zamiast zamartwiać się bez celu! – Jego oczy pałały dobrze mi znanym ogniem gorączki i głodu wiedzy.

– A jeśli skażą mnie na śmierć, cała ta nauka na nic – odpowiedziałem natychmiast i w zasadzie nie zastanawiając się, co mówię.

Brat Armand zmarszczył brwi.

– Jeśli skażą cię na śmierć, umrzesz jako odczytany człowiek! Będziesz mógł powiedzieć przed końcem życia, że wiodłeś je w pełni, świadomie i w świetle nauki, nie w jej cieniu, w ciemnościach świata! – mówił z zapalem, a gorączka i głód wiedzy ogarnęły już całą jego twarz, a nawet postać i gesty.

Oto był prawdziwy bóg mojego mistrza: żądza wiedzy, ambicja, co kazała mu wciąż rozwijać się dalej i dalej, pochłaniać wciąż nowe

dziedziny nauki, nie znając umiaru w swej zachłanności! Ogarniając umysłem jedną rzecz, już myślał i dążył ku następnej, a gdy posiadał i tę wiedzę, już na horyzoncie czekało coś nowego. I tak ciągle przez całe życie. A drodze tej nigdy nie będzie końca! Aż do śmierci...

Podziwiałem go za to i gardziłem nim! Kochałem jego umysł i nienawidziłem jego samego jednocześnie!

– Nieważne – mruknął, najwyraźniej myśląc, że nic nie zrozumiałem. – Widzę, że cię to nie interesuje i że nie słuchasz. Idź własną ścieżką, Antonio! – Po czym ruszył przez dziedziniec.

– Słuchałem cię, ojcze! – krzyknąłem za nim. – Każdego słowa! Brat Armand zatrzymał się i odwrócił w moją stronę.

– Ale masz rację, boję się kary, bo nie wiem, co mnie czeka. – Podszedłem do niego i obaj szliśmy teraz w stronę naszego segmentu. – I skłamałbym, gdybym powiedział, że nie brakuje mi nauki. Brakuje mi. Bardzo. Czasem nawet brakuje mi nocy zarwanych w bibliotece... – Spojrzałem na niego przerażony własną śmiałością i tym, że wreszcie udało mi się wypowiedzieć to, co od dnia podpalenia dzwonnicy cały czas czułem, a nie potrafiłem wyrazić.

Brat Armand zatrzymał się zaskoczony moimi słowami.

– Myślałem, że byłeś zły na mnie, że każę ci się uczyć. – Nie krył zdziwienia.

– Byłem – przyznałem. – Ale musiało minąć trochę czasu, bym zrozumiał, że chciałeś dobrze, tylko złymi środkami, ojcze. Ale zanim zaraz na mnie nakrzyczysz, wiedz, że przed moim przybyciem do Santa Cruz nie miałem żadnych ambicji i nie znosiłem nauki. To ty zaszczepiłeś we mnie chęć uczenia się. Zainteresowałem się medycyną, bo zobaczyłem, jak jest potrzebna i jak wiele dobra czynisz, ojcze, za jej pomocą. I to medycyny mi teraz najbardziej brakuje. Tego, że nie mogę się uczyć, patrząc, jak leczysz ludzi. Tego, że po zdarzeniu z dzwonnica zabrałeś mi medyczne książki i nie miałem odwagi cię o nie poprosić, a w bibliotece nie ma dodatkowych egzemplarzy. Ale najbardziej żał mi tego, że jeśli nawet przeżyję ten proces, nie zostanę nigdy lekarzem, a naprawdę zacząłem już tego chcieć. – Zamilkłem z drżącym sercem, ale patrzyłem mu prosto w oczy.

W miarę, jak mówiłem, twarz mojego mistrza z chmurnej

i zaskoczonych rozjaśniała się i nawet ucieszyły go moje słowa, jakby zapomniał, że proces i wyrok wszystko to może zniweczyć.

Położył mi dłonie na ramionach i lekko mną potrząsnął.

– Antonio! Czemu, na miłość Boską, nie rozmawiasz ze mną o takich rzeczach?! – prawie krzyknął, ale nie był zły.

Wziął głęboki oddech.

– Zabrałem ci książki, bo myślałem, że nie chcesz się dalej uczyć. Ale są do twojej dyspozycji, dobrze o tym wiesz – powiedział cicho. – Nigdy nie zabroniłbym ci dostępu do wiedzy, a jeśli chodzi o szpital, jeśli chcesz, możesz iść tam ze mną jutro. Porozmawiam z przeorem, na pewno się zgodzi. – Uśmiechnął się i ruszyliśmy do naszego segmentu alejką róż. – Przykro mi, Antonio, że nie umieliśmy się porozumieć – brat Armand powiedział to z prawdziwym smutkiem i patrzył gdzieś przed siebie.

– Ja też żałuję, *padre*. – Spuściłem głowę.

Zapadło niewygodne milczenie, a ja słyszałem jedynie bicie własnego serca i nasze kroki w alejce wyłożonej chochlakami. Róże przekwitały powoli, a białe i czarne kamienie usiane były ich uschniętymi płatkami, co opadały już od dobrych kilku dni, może od tygodnia, sądząc po ilości zalegających płatków. Dziwne, że wcześniej nawet tego nie zauważyłem! Co ten proces i zdenerwowanie robią z człowieka!

– Co się dzieje w szpitalu, ojcze? – zapytałem, chcąc odwrócić moje myśli od procesu.

– Opanowaliśmy tyfus. Nareszcie – odpowiedział brat Armand bez cienia złości. – Zatem nie była to epidemia. Było dwoje ludzi z podejrzeniem cholery, ale skończyło się na zapaleniu żołądka. Na szczęście. Z pobliskiej budowy umocnień alkazaru w Segowii wciąż przywożą rannych robotników. Codziennie jest ktoś do szycia lub opatrywania ran. Przydałbyś się, Antonio. – Uśmiechnął się do mnie, a mnie zrobiło się miło, jak nigdy przedtem. – Było kilka niedużych amputacji: palce u nóg i u rąk, raz dłoń. I była jeszcze jedna malaria, ale z powodzeniem wyleczona proszkiem z Chinon. Mieliśmy też wczoraj dwa nowe przypadki trądu – ostatnie zdanie mistrz wypowiedział ze smutkiem i zrobił krótką pauzę. – Wcześniej wykryte. Obaj bardzo

młodzi mężczyźni, bo szesnaście i osiemnaście lat. Z plamami trądowymi. Żałowałem, że nie mogłem ci ich pokazać. Nigdzie takiej praktyki nie zdobędziesz. – Słyszałem ten żal w jego głosie.

– Czyli sucha, gorsza w skutkach postać trądu... – powiedziałem prawie bez namysłu.

– Widzę, że pamiętasz, co mówiłem. – Po raz pierwszy od zamachu widziałem brata Armanda z takim zadowoleniem uśmiechającego się do mnie. – Owszem – dodał smutno. – Obaj zostali już przyjeźci do naszego leprozorium.

– A jak się czuje brat Manuel? – zapytałem cicho. – Masz, ojczy, jakieś wieści?

Kiwnął głową.

– Na razie czuje się dobrze – odpowiedział brat Armand. – Nie traci jeszcze czucia ani w dłoniach, ani w stopach. To dobrze. Za to plama trądowa zniknęła. A to, jak wiesz, oznacza...

– Że teraz wystąpią pierwsze objawy – dokończyłem.

– Miejmy nadzieję, że nie tak szybko. Czasem ten okres trwa kilka lat. – Popatrzył na mnie. – Jeśli chcesz, możesz jutro odwiedzić brata Manuela. Na pewno się ucieszy. Pytał o ciebie.

– Dziękuję, *padre!* – Nie byłem nawet w stanie wyrazić tej nieoczekiwanej radości. – Bardzo chciałbym zobaczyć się z bratem Manuelem. Zwłaszcza w tych okolicznościach...

Mistrz kiwnął ze zrozumieniem głową i w tej chwili stanęliśmy przed schodami do naszego segmentu. Brat Armand zaprosił mnie do swojej celi i na nowo pożyczył mi książki, które zabrał mi ostatnio.

– Antonio, chciałem cię o coś zapytać – powiedział mistrz, gdy wychodziłem już do swojego pokoju.

Odwróciłem się do niego. Czuję, że ma to jakiś związek z moim przesłuchaniem w gabinecie przeora i serce momentalnie podeszło mi do gardła ze strachu. Nie wiem przed czym bardziej: przed moją odpowiedzią czy jego pytaniem.

– Powiedziałeś kilka dni temu, że masz podejrzenia co do mnicha, który mógł podpalić dzwonnice – zaczął brat Armand, potwierdzając moje obawy co do pytania. – Domyślałem się, że nie chciałeś mówić przy przeorze. Może i przy bracie Constantino. – Zawiesił znacząco głos. –

Ale teraz jesteśmy sami. Powiesz mi, kto to jest?

Zastanowiłem się. Tak nam się dobrze dziś z mistrzem rozmawiało, nawet dostałem książki medyczne do czytania, a czułem, że brat Armand zdenerwuje się, gdy usłyszy, co do kogo mam podejrzenia, i cały ten dobry nastrój szlag trafi. Z drugiej strony ma się odbyć proces, w którym oskarżono mnie o straszną zbrodnię, więc może nie powinienem przejmować się jedną miłą chwilą i jej ewentualnym zniweczeniem, bo są rzeczy ważniejsze niż nastrój mego patrona. Ale tych miłych chwil w naszych stosunkach z mistrzem tak było niewiele, że każdą chciałem hołubić jak małe dziecko, żeby nie płakało.

– Ojczy, nie mam żadnych dowodów – odpowiedziałem wymijająco. – To tylko moje obserwacje i przypuszczenia. A gdy usłyszysz, o kim mowa, zdenerwujesz się i zaraz mnie stąd wygonisz. I znów zabierzesz mi książki. Znów się pokłócimy... – ostatnie zdania dodałem z przekorą.

Brat Armand uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie zabiorę ci książek, Antonio – powiedział. – Możesz być spokojny. Nie zdenerwuję się, bo też coś niepokojącego zauważyłem. I ciekaw jestem, czy myślimy o tym samym mnichu.

– Jeśli ci powiem, mimo to zabierzesz mnie jutro do szpitala, ojczy? – zapytałem niepewnie, bo chciałem tam iść z całego serca i chciałem zobaczyć się z bratem Manuelem.

– Nie sądziłem, że aż tak ci na tym zależy, Antonio – odpowiedział zaskoczony. – Ale tak, zabiorę cię bez względu na to, co powiesz. – Westchnął smutno. – Tylko powiedz, kto to jest.

Nabrałem w płuca powietrza, ale nic nie mówiłem. Mistrz polecił mi usiąść na łóżku, sam usiadł obok mnie. Odłożyłem na bok książki.

– Antonio, oskarżono cię o zbrodnię zabójstwa – brat Armand powiedział spokojnie po dłuższej chwili. – Jeśli wiesz coś, co może oczyścić cię z zarzutów, ratuj się.

Dziwiła mnie zmiana w nastawieniu mego mistrza, bo dotąd nie chciał nawet słuchać moich tłumaczeń, arbitralnie zakładając, że chciałem go zabić.

– Ojczy, od swojego przybycia do Santa Cruz zauważyłem, że jeden z mnichów ci się uważnie przygląda. W refektarzu, w kościele.

I nie jest to wyraz podziwu dla ciebie czy szacunku – mówiłem, chcąc najpierw uwiarygodnić swoje podejrzenia. – On patrzy z nienawiścią. Z pogardą. Z jakąś dziwną, złośliwą gorączką w oczach. Śledzi twoje kroki na dziedzińcu. Pamiętasz, jak mówiłem, że podsłuchiwałem twoje, ojcze, rozmowy z przeorem wieczorami? Nie byłem sam w ciemnościach alejk dormitorium. Ten mnich także tam się chował, czasem wśród łuków przyporowych apsydy kościoła. I patrzył. Wcale się przede mną nie krył! Jak po spaleniu dzwonnicy wyszedłeś z kruchty kościoła, ten mnich omal nie zemdłał z wrażenia. Nie był zaskoczony twoim widokiem, ale przerażony, że w ogóle żyjesz. Że może się czymś zdemaskował. Ale na co dzień ten mnich jest dla ciebie miły, uprzejmy, sprawia wrażenie, że cię lubi, ojcze. A w sercu nosi starą urazę sprzed lat za coś, co mu swoim przybyciem do Santa Cruz odebrałeś wiele lat temu. On ci zazdrości, *padre*. Zazdrości ci przychylności przeora, przyjaźni z nim i nade wszystko Inkwizycji. – Umilkłem.

Brat Armand wstał zamyślony z łóżka i przeszedł się wolno po celi. Zastanawiał się nad czymś. Miałem nadzieję, że to dobry znak. Gorzej byłoby, gdyby się zdenerwował. Ale on był spokojny.

– Mówisz o bracie Constantino, prawda? – Podeszedł na powrót do mnie i usiadł obok.

– Tak, ojcze – odpowiedziałem, nie kryjąc zaskoczenia. – Nie wiedziałem, że wiesz...

– Też zauważyłem to jego zachowanie, ale czekałem, co z tego wyniknie – mówił mistrz zamyślony, a potem popatrzył na mnie. – Ta złość, którą do mnie ma z przeszłości. Co to takiego? Ja nic o tym nie wiem...

Opowiedziałem więc bratu Armandowi, czego dowiedziałem się o bracie Constantino, i przychylności dlań *padre* Torquemady, zanim mistrz mój pojawił się w opactwie. O tym, że to jego miał przeor wysłać do Bolonii, a brat Armand wszystko mu odebrał w jednej chwili. Czego Constantino mu nie może darować. Do dziś dnia.

– Wiem, ojcze, że to nie jest powód, aby człowieka zabić – dodałem. – Choć za wszelką cenę chcę się obronić przed skazaniem przez sąd, nawet mnie wydaje się to cokolwiek niedorzeczne. Ale jeśli ta złość jest wieloletnia, jeśli narastała długi czas i brat Constantino nadal

czuje się odrzucony, a czuje się, bo nie ma przyjaźni przeora jak ty, to w jego pojęciu może to być wystarczający powód. To on miał być na twoim miejscu, ojciec. On miał być architektem systemu Inkwizycji i samym inkwizytorem. Przeor mu to kiedyś obiecał. Ale nie ma teraz na to większych szans – mówiłem szybko. – Gdyby jednak usunął cię z drogi, mógłby odnowić swe dawne stosunki z ojcem Torquemadą. Dlatego tak chętnie prowadzi z wami mój proces. Bo może być przy przeorze, to raz, a dwa, moje skazanie oczyści go z zarzutów i zdejmie zeń wszelkie ewentualne podejrzenia. – Umilkłem i patrzyłem na mistrza.

Minę miał poważną i nieodgadnioną. Ale widziałem, że moje słowa zrobiły na nim wrażenie.

– To, co mówisz, Antonio, ma sens – odezwał się po chwili brat Armand. – Możesz mieć rację. A ja mogę się mylić...

– Ojciec, przysięgam ci, że nie podpaliłem dzwonnicy – dodałem. – Zrobił to ktoś, kto znał przejście pomiędzy kościołem a dzwonnica. To przez właz do podziemi wrzucono do dzwonnicy pochodnie.

– Skąd wiesz? – zainteresował się mistrz.

– Rozmawiałem z bratem Jorgem o możliwych dojściach sprawcy na miejsce zdarzenia. Brat Jorge uważa, że sprawca szedł podziemnym korytarzem. Dlatego nikt go nie widział. – Zastanawiałem się, czy dobrze robię, mówiąc to wszystkemu mojemu przeciwnikowi w tym procesie, ale chciałem, aby moja opowieść brzmiała wiarygodnie.

– Brat Jorge to świetny prawnik – rzucił mistrz w odpowiedzi. – Antonio, obiecuję ci, że to sprawdzę. Przyjrzę się bratu Constantino. Porozmawiam z przeorem. Jeśli się pomyliłem co do ciebie, poproszę cię o przebaczenie.

– Ojciec, nie gniewam się – zapewniłem go. – Miałeś prawo tak pomyśleć i masz prawo mnie podejrzewać. Mam nadzieję, że odkryjesz prawdę. I dziękuję, że chciałeś mnie wysłuchać. – Spróbowałem się uśmiechnąć.

– Antonio, wiesz, co czyni wiarygodnym twoje podejrzenia? – zapytał brat Armand. – To, jak Constantino zachował się, gdy powiedział na przesłuchaniu, że wiesz, kto to zrobił, kto podpalił dzwonnica. Widziałem, jak zbladł i jak się zdenerwował. I też mnie to

zastanowiło... – Westchnął. – Widzisz, można ze mną normalnie porozmawiać – zażartował. – Idź odpocząć, Antonio. Jutro czeka cię dużo pracy w szpitalu.

Pozegnałem się i wyszedłem do swojej celi. Po raz pierwszy od dawna pomyślałem o dalszej przyszłości niż tylko do procesu. I pomyślałem o medycynie i szpitalu. Zaczynam coraz bardziej tego chcieć.

Siedząc potem długo w noc nad pożyczoną księgą medyczną, myślałem o bracie Armandzie. Cieszyłem się, że znalazłem w sobie odwagę, aby mu powiedzieć o bracie Constantino. Cieszyłem się również, że on znalazł w sobie spokój i cierpliwość, by mnie wysłuchać. Daleki jestem od rozbudzenia w sercu nadziei, że ta rozmowa odmieni mój los, ale czuję, że brat Armand naprawdę rozważy to, co mu powiedziałem, zwłaszcza że sam miał wątpliwości. Ten człowiek do końca moich dni nie przestanie mnie zadziwiać. I do końca nie przestanę się chyba zastanawiać, co nosi w sercu: dobro czy zło? Albo raczej nosi je oba, tylko którego z nich ma w sobie więcej?...

12 września. Przed kompleta

Tak jak mi wczoraj obiecał, brat Armand zabrał mnie dziś do szpitala. Nigdy nie przypuszczałbym, że tak się ucieszę na widok znajomych murów pawilonu, ambulatorium i sal chorych. Ponieważ przesłuchania już się skończyły, brat Armand może teraz cały swój czas poświęcić szpitalowi i chorym, co go najwyraźniej uszczęśliwia. Był też Juan, korzystający z możliwości praktykowania przed wyjazdem na studia, na które ma nadzieję, że niedługo wyjedzie. Juan i mistrz mój zachowują się tak, jakby ostatniej, ostrej przecież, wymiany zdań w gabinecie przeora pomiędzy nimi nie było. Na trochę przyszedł do nas brat Alvaro i ucieszył się na mój widok.

– Cieszę się, bracie Armandzie, że zabrałeś Antonia! – Uśmiechnął się od progu do mego mistrza, który oglądał właśnie zwichnięty nadgarstek u starszej kobiety.

Przyglądałem mu się w ambulatorium zza stołu, na którym

rozkładałem akurat bandaże, kleszczyki, igły do szycia i całą masę buteleczek i słoików z różnymi lekami.

– Poprosił mnie o to, więc go przyprowadziłem – odpowiedział mój mistrz, nie odrywając oczu od nadgarstka.

Ale chociaż w głosie jego pobrzmiwała obojętność, to ja zauważyłem, że kąciki ust nieznacznie wygięły mu się do uśmiechu, a w spojrzeniu przez moment zabłysła gorączka wiedzy. Był zadowolony, że tu jestem.

Wróciłem do rozkładania przyborów w ambulatorium, gdy z rozmyślań wyrwał mnie krzyk kobiety ze zwichniętym nadgarstkiem, który brat Armand właśnie nastawił. Mocno uciskając, sprawdził, czy wszystkie kości wskoczyły na swoje miejsce.

– Antonio! – zawołał do mnie, nawet na mnie nie patrząc.

Podszedłem do leżanki, gdzie siedziała chora.

– Usztywnij nadgarstek – polecił mistrz.

– Oczywiście. – W okamgnieniu znalazłem się przy stoliku, z którego zabrałem rulon bandaża i spinacz, a z szuflady w regale na leki dwie deseczki do unieruchomienia ręki.

A potem, przykładając dwie deski: od góry i od spodu ręki chorej, obwiązałem je ściśle wraz z nadgarstkiem i przedramieniem grubą warstwą bandaża, a na koniec założyłem spinacz. Brat Armand podszedł do mnie, żeby sprawdzić, czy dobrze nałożyłem bandaż i czy nadgarstek faktycznie jest unieruchomiony.

– Dobra robota – powiedział do mnie, a potem zwrócił się do kobiety, której właśnie pomagałem wstać: – Proszę nosić to usztywnienie przynajmniej przez półtora tygodnia. Wydaje się, że kości nie są pęknięte. Usztywnienie zapobiegnie ponownemu wybiegnięciu kości ze stawu i dzięki niemu nie będzie też boleć.

Założyłem jeszcze pacjentce temblak.

– Bóg zapłać – powiedziała do mnie cicho, gdy stanęła o własnych siłach. – Bóg zapłać, ojczy! – Chwyła prawą dłoń brata Armanda i ucałowała ją z szacunkiem.

Płakała.

– Nie ma za co. – Mistrz uśmiechnął się do niej, ja zaś odprowadziłem ją na zewnątrz.

To niesamowite, jak wykonując tak prostą rzecz, jaką jest usztywnienie nastawionego nadgarstka, poczułem się potrzebny! Zapomniałem o całym świecie, o procesie i czekającej mnie karze, dowodach, sprawcy i całym tym podpaleniu dzwonnicy. Istniała tylko medycyna i ta biedna kobieta, której trzeba było pomóc. Moje istnienie w tej krótkiej chwili miało sens, wiedziałem, po co żyję, i nareszcie rozumiałem, dlaczego brat Armand tak kocha medycynę i tyle czasu spędza w szpitalu. Pomoc drugiemu człowiekowi, której ten gdzie indziej by nie otrzymał, wdzięczność pacjentów, a przede wszystkim świadomość, że zrobił to najlepiej jak umiał i zrobił to dobrze, dają mu poczucie spełnienia, poczucie, że jest światu i ludziom potrzebny tu, w tym małym przyklasztornym szpitalu, pośrodku szerokiej Kastylii. To jest sens życia: bezinteresowna pomoc bliźnim. Jakże inaczej i lepiej można spożytkować stan mniszy i śluby wieczyste? Jakaż inna idea bliższa jest intencjom Boga? I ja też zapragnąłem zostać lekarzem. Naprawdę poczułem to w sercu, nawet w kościach, jakby całe moje jestestwo w tej chwili wołało o możliwość leczenia w przyszłości ludzi.

Tylko czemu zrozumiałem to tak późno?! Być może, gdybym wiedział to wcześniej, nie doszłoby pomiędzy mną i mistrzem do konfliktu i po podpaleniu dzwonnicy nie zostałemby podejrzany o próbę zamordowania brata Armanda! A tak, lekarzem nigdy nie zostanę, bo albo mnie powieszają, albo trwale okaleczą, albo w najlepszym wypadku osadzą w więziennej celi na długie lata, wykluczając mnie poza nawias społeczeństwa. Albo wyślą do pracy w kamieniołomach lub na galerach i szczenę tam zjedzony żywcem przez robaki, głód i żal, że moje życie mogło inaczej wyglądać. Ścisnęło się we mnie serce...

I jest jeszcze nadzieja nieśmiała... Co nieproszona zakrada się do mej duszy. Nadzieja, że brat Armand ustali zabójcę... Nic nie wspominał o naszej wczorajszej rozmowie w jego celi, a ja też się nie odzywałem na ten temat. Sprawdzanie niewinności brata Constantino musi trochę potrwać.

Potem towarzyszyłem mistrzowi w obchodzie. Przyszedł też Juan i to on zdawał sprawozdania z każdego przypadku, tłumacząc się przed bratem Armandem. Uczył się przed praktyką w Salamance, o której marzył, a mistrz mój udzielał mu różnych rad.

Brat Armand pozwolił mi też zszyć ranę ciętą szyi u mężczyzny, którego przyprawiono do ambulatorium około południa. Juan najpierw zszył mu tętnicę, a potem ja mogłem zszyć skórę. Ale w odróżnieniu od mojego poprzedniego szycia tym razem nie wzdrygałem się i nie przerażała mnie krew. Mężczyzna ów trafił do nas w samą porę, bo opatrunek uciskowy, który miał nałożony prowizorycznie, ledwie się już trzymał i konieczna była natychmiastowa interwencja.

Juan będzie świetnym lekarzem. Jest dokładny, opanowany nawet w najgorszych sytuacjach, spokojnie analizuje przypadek pacjenta i wdraża niezbędne leczenie. Ma już sporą wiedzę medyczną i dużą praktykę – od dwóch lat w tym szpitalu. Potrafi też szybko działać, nie tracąc przy tym dokładności ani zimnej krwi. Sądzę też, że i brat Armand jest z niego dumny, bo czasem patrzy nań tak, jak patrzają rodzice na dzieci, które osiągnęły jakiś sukces. I dlatego uważam, że zapowiedź oddania go przez mego mistrza pod osąd Inkwizycji to zwykły straszak. Brat Armand nie poświęciłby lekarza! Zwłaszcza dobrego.

Przez cały dzień mistrz mój ani słowem nie wspomniał o jutro się zaczynającym procesie, jakby go w ogóle nie było. Gdyby nie to, że sam sobie o nim przypominałem w myślach, można byłoby dojść do wniosku, że moje z patronem relacje układają się sielsko. A przecież ten dzisiejszy dzień i moja z nim wycieczka do szpitala to tylko jedna z niewielu miłych chwil przed jutrzejszą udręką...

Po południu, gdy nie było nowych pacjentów, mistrz mimo to został w szpitalu, z jakiegoś powodu nie chcąc wracać za mury Santa Cruz.

– Antonio! – zawołał mnie z sali chorych do ambulatorium, w którym odważał jakiś lek, a Juan mu asystował.

Przybiegłem szybko.

– Chciałeś zobaczyć się z bratem Manuelem. – Mistrz spojrzał na mnie łagodnie. – Jeśli nadal chcesz, możesz iść do leprozorium. Tylko nie wspominaj o tym przeorowi, bo jak wiesz, mamy zakaz odwiedzin w leprozorium.

– Dziękuję, *padre*! Oczywiście nic nie będę mówił – prawie krzyknąłem ze szczęścia.

– Bracie Armandzie, jeśli pozwolisz, pójdę także odwiedzić naszego brata Manuela w jego nieszczęściu. – Juan popatrzył na mego mistrza z nadzieją, chociaż przecież nie potrzebował już jego zgody, aby się oddalić.

– Idź, bracie Juanie, sam dokończę. – *Padre* Armand skinął głową. – Przekażcie, proszę, bratu Manuelowi, że jeśli czegokolwiek mu trzeba, niech prosi o wszystko. – Spojrzał na nas smutno. – Powiedzcie mu, że z nim jesteśmy.

– Tak, *padre*. – Juan otrzepał ręce o fartuch, zdjął go i powiesił na drewnianym kołku przy drzwiach ambulatorium prowadzących na korytarz.

Szybko wyszliśmy na zewnątrz i zaraz przed drzwiami szpitala spotkaliśmy brata Alvaro, który wolnym krokiem szedł od strony Santa Cruz, wracając z nabożeństwa na Anioł Pański. Zapytał o brata Armanda, a Juan powiedział mu, że idziemy do leprozorium.

– Pozdrówcie brata Manuela! – poprosił brat Alvaro. – Przekażcie mu, że w przyszłym tygodniu go odwiedzę.

Juan zapewnił swego dawnego patrona, że na pewno to zrobi, po czym ruszyliśmy do leprozorium. Nie widziałem brata Manuela od dnia jego wyprowadzki z Santa Cruz trzy tygodnie temu. Najbardziej mnie jednak cieszyło to, że mimo wyraźnego zakazu przeora, jak mogłem się o tym przekonać, bracia nadal odwiedzają brata Manuela i dbają o niego. To naprawdę piękne gesty. I widziałem też, że mistrz mój całym sobą także chciałby odwiedzić brata Manuela, ale musi słuchać przeora. On bardziej niż ktokolwiek z nas. Być może nie chce, a może nie potrafi, sprzeciwić się bratu Torquemadzie. Albo raczej jest od jego woli uzależniony, zwłaszcza jego przyszła kariera inkwizytora. Zbyt wiele może stracić, gdyby się zaraził albo gdyby przeor dowiedział się, że mistrz mój lekceważy jego zakaz. Dlatego nawet rozumiem, że został w szpitalu. Ale puszczając mnie, i tak wykazał się wielkim ustępstwem, za co jestem mu bardzo wdzięczny.

– Odwiedzamy brata Manuela regularnie – powiedział po dłuższej chwili Juan, odpowiadając na moje niezadane pytanie. – Oczywiście tylko ci, którzy wychodzą poza mury, i tylko ci, którzy chcieli, aby został w Santa Cruz. Brat Armand przekazuje przez nas lekarstwa

i środki czystości. Czasem jakieś pieniądze, które jakimś cudem załatwia od brata Pedra, oficjalnie na kuchnię dla ubogich lub na szpital. Jak to potem rozlicza, nie mam pojęcia, ale w papierach wszystko się zgadza. Brat Manuel jest mu bardzo wdzięczny, mimo że się nie widują – Juan mówił szeptem i bardzo szybko, jakby chciał w krótkim czasie przez drogę do leprozorium przekazać jak najwięcej informacji wielkiej wagi. – Co by nie powiedzieć o twoim patronie, to w przypadku brata Manuela i tego szpitala nie poradzilibyśmy sobie bez brata Armanda. I wiesz, myślę, że strasznie go boli, że nie może zobaczyć się z ojcem de Ovieda. Ale akurat on sprzeciwić się przeorowi nie może. Brat Alvaro mówił mi, że *padre* Torquemada ma w zwyczaju sprawdzać posłuszeństwo swych podwładnych. Tym bardziej Archanioła może chcieć kontrolować, aby się upewnić, nim powierzy mu urząd inkwizytora, który wszak wymaga od sędziego całkowitego zaangażowania i poświęcenia się sprawie. Myślę, że ten zakaz chodzenia do leprozorium to dla brata Armanda taki sprawdzian, na ile jest on w stanie wyrzec się tego, na czym mu zależy i co kocha najbardziej, dla idei Świętej Inkwizycji i planów budowy nowego systemu sądownictwa, którego wespół z przeorem są przecież autorami. I Archanioł doskonale to wie, dlatego krokiem się do leprozorium nie rusza. Ale za nas nie może odpowiadać. – Juan uśmiechnął się znacząco. – I przez nas pomaga trędowatym, jak tylko się da. Robi to także po kryjomu, chociaż zakaz nie dotyczył pomocy bratu Manuelowi, a jedynie kontaktów osobistych z nim.

– A wy nie boicie się, że przeor się dowie? – zapytałem.

Juan uśmiechnął się pobłażliwie:

– O nie! – odpowiedział. – Co nam przeor może zrobić? Udzieli nam nagany? Zarządzi głódówkę? To i tak nic w porównaniu z tym, co cierpią chorzy w leprozorium.

– A jak wycofa swoją zgodę na twój wyjazd na studia? Jak napisze do rektora, że jednak nie chce, aby ten cię przyjął? – Bałem się, bo przeor jest nieobliczalny.

– Nie przypuszczam. – Juan pokręcił głową. – Sądzę, że ten zakaz orzeczony był zwłaszcza w stosunku do brata Armanda, ale że przeor być może nie chciał wykluczać tylko Archanioła, zabronił także nam wszystkim. Zwróć uwagę, że do leprozorium nie chodzą ewentualni

przyszli inkwizytorzy, a przynajmniej ci, którzy chcieliby nimi być: przeor, brat Armand, brat Ricardo i brat Oscar a także brat Constantino, który, jak wszystko na to wskazuje, na powrót zaprzyjaźnił się z bratem Torquemadą i chyba także ma chrapkę na sprawowanie funkcji sędziego inkwizytora. Nie wiem, jak w przypadku brata Constantino, ale co do pozostałych braci, to przecież na nich przeorowi najbardziej zależy. To oni byli lub będą kształceni pod kątem przyszłej pracy w przyszłych świętych trybunałach. I to ich przeor chce ochronić przed trądem.

Pokiwałem głową, bo to, o czym mówił Juan, było logiczne i nagle stało się jasne i dla mnie. Minęliśmy narożnik budynku i moim oczom ukazały się znajome, niskie schodki przed wejściem do leprozorium. W otwartych drzwiach zaś stał brat Manuel i z przymkniętymi powiekami rozkoszował się promieniami upalnego słońca, które padały mu na twarz.

Gdy usłyszał nasze kroki, spojrzął w naszą stronę i jego zmęczona twarz rozjaśniła się uśmiechem.

– Antonio! – krzyknął i zbiegł ze schodków. – Tak się cieszę, że cię widzę! – Podeszedł do nas. – Dziękuję ci, bracie Juanie, że go przyprowadziłeś! Chciałem go zobaczyć. – Przyglądał mi się uśmiechnięty.

– To nie mnie dziękuj, ale bratu Armandowi. To on wystarał się najpierw o zezwolenie od przeora na wycieczkę Antonia do szpitala, a potem w tajemnicy przed Torquemadą pozwolił mu tutaj przyjść – mówił Juan konspiracyjnie. – Wszyscy cię pozdrawiają. Brat Armand kazał przekazać, że jest do twojej dyspozycji, gdybyś czegoś potrzebował. I jeszcze prosił, abym cię zapewnił, że z tobą jest. Wszyscy jesteśmy.

Łzy napłynęły do oczu brata Manuela, ale zaraz je wytarł.

– Podziękuj mu, bracie Juanie. – Głos mu się łamał. – Ale na razie nic nam nie potrzeba. Dzięki jego pomocy mamy tu wszystko. Niech go Bóg błogosławi!

Słuchałem tego skonsternowany, bo wszak jutro dzięki fałszywym oskarżeniom tego samego brata Armanda Castellano de Corell zbierze się sąd kapturowy, który prawdopodobnie skaże mnie na dotkliwą karę, a może nawet na śmierć... Odgoniłem jednak od siebie tę myśl.

Uściskaliśmy się z bratem Manuelem serdecznie i ze swojej strony ja także zapewniłem go, że jestem z nim myślami i od dawna chciałem tu przyjść, ale ten proces i śledztwo...

– Wiem. – Brat Manuel spoważniał. – Słyszałem od brata Alvaro. Ale ufam, że dzięki mądrości brata Armanda wszystko się wyjaśni i oczyszczą cię z zarzutów. – Optymizm brata Manuela był prawie zaraźliwy.

Uśmiechnąłem się do niego gorzko. Wyglądał nieco gorzej niż trzy tygodnie temu, gdy opuszczał Santa Cruz. Schudł, chociaż klasztor dostarcza posiłki do leprozorium przez siostry opiekujące się szpitalem. Jego kuta była czysta, ale nosiła ślady licznych, niedopranych plam, których tutaj, w leprozorium, z pewnością nie miał jak usunąć, a przecież musiał oszczędzać odzież, bo więcej niż jedną kutę na zapas nie dostał i nie dostanie. Oficjalnie dla Santa Cruz brat Manuel de Ovieda już nie istnieje. Jest trędowaty, a to tak, jakby nie żył. Potworne.

Twarz miał zmęczoną, bo przecież o wszystko musi zadbać sam i samemu wykonać wszystkie prace: nakarmić chorych, posprzątać, umyć ich, przebrać, uprać brudne ubrania, opatrzyć rany, wyprowadzić na powietrze i przyprowadzić z powrotem, zmyć ropę z podłogi i tak codziennie od nowa. Wyobrażałem sobie, ile wysiłku go to kosztuje. A przecież teraz jest jeszcze sprawny i umie sobie poradzić. A później? Co będzie, gdy objawy wystąpią, a w końcu to się stanie, i będą postępować, a brat Armand będzie inkwizytorem już daleko stąd w odległym trybunale w Sewilli? Kto się wtedy zajmie leprozorium i bratem Manuelem? I trędowatymi?

Usiedliśmy we trzech pod drzewem oliwnym rosnącym jakieś trzy metry od wejścia do pawilonu. Chcieliśmy z Juanem pomóc w czymś i brata Manuela wyręczyć, ale on stanowczo odmówił:

– Nie narażajcie się niepotrzebnie – powiedział. – Wcześniej nikt w klasztorze nie zastanawiał się, czy trąd jest zaraźliwy, ale mój przykład powinien trzymać was od nas z daleka. Poza tym pobrudzicie swoje kuty i jak wytłumaczycie to w opactwie?

Coś szarpnęło mnie za serce, gdy usłyszałem, jak brat Manuel dzieli ludzi na „nas” – trędowatych i „was” – zdrowych. Zrobił to bez cienia wyrzutu czy żalu, niemniej jednak brzmiało to dla mnie smutno

i potwornie. Świat wydał mi się naraz podły i obmierzły. I tak uderzająco bezpośredni we wszystkim!

– Opowiadajcie, co słyhać w klasztorze! – poprosił brat Manuel z prawdziwą ciekawością. – Co robią inni bracia? Jak się ma przeor?

– Przeor ma się wyśmienicie! – odpowiedziałem szybko i ze złością. – Od dwunastu dni mamy w Kastylii Świętą Inkwizycję.

– Co też mówicie!?! – brat Manuel wykrzyknął zaskoczony.

– Trzy dni temu przybył goniec z bullą papieską datowaną na pierwszego września, mocą której powołano w Kastylii trybunały Świętego Oficjum. Przeor planuje niebawem wyjechać do Toledo na dwór królewski. Zamierza zostać inkwizytorem generalnym całego Królestwa.

Brat Manuel otworzył oczy ze zdziwienia.

– Antonio, co ty pleciesz? – roześmiał się. – Nasz przeor inkwizytorem?

Podziwiałem w nim beztroskę i pokorę do świata i życia oraz cudowną zdolność nieprzejmowania się problemami, które wszakże dźwigał.

Pokrótkce streściliśmy mu więc z Juanem plany Torquemady i brata Armanda utworzenia Nowej Inkwizycji. Mówiliśmy szybko, jeden przez drugiego, żeby jak najwięcej przekazać z wiadomości, które na ten temat obaj posiadamy. Brat Manuel słuchał skupiony, z poważną miną, ale wyraz jego oczu momentami zdawał się wskazywać, że powątpiewa niektórym naszym twierdzeniom. Trudno się dziwić. Plan przeora i mego mistrza jest tak nierzeczywisty, przemyślany, przebiegły, potworny i metodyczny w swych założeniach, że niejeden by nam nie uwierzył.

– Nie mieści mi się to w głowie... – wyszeptał brat Manuel, gdy skończyliśmy. – To jest nie do uwierzenia... – Obejrzał się na mury Santa Cruz. – Ale ja znam przeora... Znam Armanda od lat. Oni nie są tacy. – Znów na nas popatrzył, jakby chciał nas przekonać, a może chciał przekonać siebie.

– Nikt już nie wie, jacy naprawdę są – skomentował Juan zimno.

– Okaże się za parę dni – dodałem. – Gdy zapadnie wyrok w mojej sprawie. Ocenisz ich po tym, jaką orzekną jatkę: wielką czy ogromną. –

Uśmiechnąłem się smutno.

– W ten proces też nie mogę uwierzyć. – Brat Manuel pokręcił głową. – Widziałem płomienie i dym zza murów, ale byłem pewien, że to jakiś wypadek. A te oskarżenia? Skąd bratu Armandowi przychodzą do głowy takie rzeczy?! Dziwne rzeczy, doprawdy, dzieją się w Santa Cruz od pewnego czasu... Przyglądam się, słucham i zastanawiam. Jeśli to wszystko, o czym mówicie, jest prawdą, dojdzie w klasztorze do czegoś strasznego! Za dużo jest zła za murami. – Wskazał ruchem głowy na skarpe, a na niej klasztor. – Za dużo wzajemnych niechęci pomiędzy braćmi, dziwnych tajemnic. Bracia, zamiast skupić się na Bogu i modlitwie, szukają ścieżek kariery dla swej ambicji! Nie podoba mi się to. I nie przypuszczam, aby podobało się Bogu – zakończył, wieszcząc opactwu nieszczęście, a mnie po plecach przebiegł lodowaty dreszcz.

– Jak sytuacja w leprozorium? Jak ty się czujesz, bracie? – zmienił temat Juan, za co byłem mu bardzo wdzięczny.

– W leprozorium mamy cztery nowe przypadki trądu, nie licząc mojego – brat Manuel mówił tak, jakby trąd był zwykłą, codzienną sprawą w życiu każdego mieszkańca Hiszpanii. – Jedna osoba zawędrowała tu z Cordoby! Wyobrażacie sobie? Wyrzucono go tam poza mury miejskie, zgodnie z obowiązującym rytuałem, a on, usłyszawszy o naszym leprozorium, przyszedł tu sam, na piechotę!

– Jesteśmy sławni! – roześmiał się Juan.

– Mężczyzna ten, Daniel, opowiadał mi, że nasze leprozorium jest znane na całą południową Kastylię i Andaluzję. Trędowaci zwą je Domem Nieba i krążą już o nas legendy. Bo tu można żyć, mieć dach nad głową, posiłek i opiekę, co, jak wiecie, zazwyczaj jest w przypadku tych chorych nie do pomyślenia. Trędowaci wręcz nie dowierzają, że istniejemy! Że są ludzie, którzy ich nie odtrąca i przyjmą z otwartymi ramionami. Przyjmą ich jak ludzi, jak człowiek człowieka, nie zważając na tę paskudną chorobę, którą z sobą przyniosą, ich wygląd i często inwalidztwo. Dlatego wydaje im się to wszystko samym niebem, miejscem jak ze snu. Niewielu decyduje się tu iść, bo nie mogą uwierzyć w nasze istnienie. A przecież nie jesteśmy jedynym leprozorium w kraju. Ciekawe, prawda? – Brat Manuel się uśmiechał. – A ja? Cóż, czuję się normalnie, jakbym nie był chory. Plama znikła i tyle. Ci z trędowatych,

u których poznikały plamy, a objawów jeszcze nie ma, pomagają mi w prowadzeniu leprozorium. Zresztą każdy z nich stara się jakoś odwdziżyć za opiekę. Żyjemy tu prawie jak w rodzinie. Każdy każdego już zna i jego historię, jak to się stało, że tu trafił. Zdziwilibyście się, jak niepodobne do siebie są ich opowieści, ale wszystkie łączy jeden i ten sam element: wykluczenie poza nawias społeczeństwa. Zupełne odtrącenie i zapomnienie przez bliskich. I każdy z nas się tutaj boi, że zapomniał o nas także Bóg... – Znow głoś łamał się bratu Manuelowi, choć starał się to ukryć.

Po plecach po raz kolejny przeszedł mi dreszcz, gdy słuchałem jego słów. Boże, tak naprawdę nie wiadomo, co komu z nas pisane! Może jutro zobaczę na swoim ciele trądową plamę? Może zobaczy ją brat Armand? Może *padre* Torquemada?...

Naraz twarz ojca Manuela spoważniała, a w spojrzeniu oprócz niedawnych łez pojawił się także strach.

– Strasznie się boję, że to będą oczy... – mówił przez łzy. – Że trąd zaatakuję mój wzrok. Przy suchej postaci to się czasem zdarza. Jest wśród nas jedna kobieta, która traci czucie w twarzy, a zaczęło się od oczu. Albo że trąd odbierze mi władzę w rękach, a z dłoni zrobi dwa pozbawione palców kikuty. Co wtedy zrobię? Jak będę tu dalej pracował? Co zrobimy my wszyscy w leprozorium, skoro już nie możemy liczyć na pomoc braci i lekarzy z Santa Cruz? – Łzy stały w oczach brata Manuela i silił się, by je powstrzymać.

– Torquemada tu długo nie zabawi. – Starałem się, aby w moim głosie była pewność i aby pobrzmiwała w nim nadzieja. – Ma zostać spowiednikiem Królowej na dworze w Toledo. A teraz jeszcze powołano Inkwizycję. Chcą z Królową oderwać ją od papieża. Królowa będzie potrzebowała Torquemady, więc z pewnością zatrzyma go w Toledo. On zaś chce przewodzić Inkwizycji w Sewilli jako inkwizytor generalny, zatem z całą pewnością już tu nie wróci. Wybiorą nowego przeora Convento de Santa Cruz la Real, który na pewno będzie przychylniejszy dla pomocy chorym i cierpiącym. Bo skupi się na posłudze bliźnim, miast myśleć o wielkości i rządzeniu ludźmi poprzez strach. A może brat Armand zostanie przeorem? – Spróbowałem się uśmiechnąć. – On na pewno uchyli zakaz Torquemady.

Siedzieliśmy jeszcze pewien czas pod drzewem oliwnym, a potem weszliśmy do leprozorium, przywitać się z chorymi. Znów zobaczyłem ten sam bezmiar ludzkiego cierpienia i poczułem dobrze mi znany, słodkawy, mdły zapach leprozorium. Ale tym razem już mi on nie przeszkadzał. Ani widok gnijących żywcem ludzi, wegetujących tu i modlących się o śmierć. Przypomniałem sobie moją pierwszą wizytę w leprozorium z bratem Armandem i zrobiło mi się wstyd swojej wówczas postawy i myśli, jakie przychodziły mi wtedy do głowy.

Pomogliśmy bratu Manuelowi przy karmieniu tych chorych, którzy sami zrobić tego nie mogli. Zauważyłem też, że inna już panuje w leprozorium atmosfera, wielu chorych pomagało nam w karmieniu, dwie kobiety zmywały brudne naczynia, jeszcze inna przyniosła wyschnięte pranie z małego strychu ponad nami przerobionego teraz na suszarnię. Jakby przez zachorowanie brata Manuela wszyscy tutaj bardziej się ze sobą zżyli, pokochali siebie nawzajem takimi, jakimi są: brudnymi, chromymi, niedołącznymi, zdeformowanymi i takimi, co dopiero będą zdeformowani. Zmobilizowali swe siły, na ile ich jeszcze mają, do pomocy przy chorych bardziej okaleczonych przez trąd. Pokochali się wzajemnie na samym dnie swego istnienia, w całej swej nędzy i upokorzeniu, jakie zafundowali im zdrowi ludzie, pokochali się w swej bezradności i odrażającym wyglądzie. Pokochali się nawzajem prawdziwą miłością Chrystusa, stając się, o ironio!, najbardziej przypominającym ideę Boga społeczeństwem na ziemi! Łzy stanęły mi w oczach, gdy na to patrzyłem, bo tuż obok, za murami opactwa, funkcjonuje społeczeństwo braci dominikanów, które ślubowało na wieki miłować się w duchu Jezusa Chrystusa, a jakże się wzajemnie nienawidzi, jakże jest skłócone i zamiast myśleć o innych, bracia myślą głównie o własnym interesie. Miałem się w Santa Cruz nauczyć, jak kochać bliźniego swego ponad samego siebie, ale – co zdumiewające – takiej miłości nauczyć się mogę tylko między trędowatymi... Z całą pewnością nie jest to miejsce zapomniane przez Boga! O nie! To właśnie tutaj Bóg zamieszkuje z przyjemnością. Oto dom Boga Ojca, który żyje w każdym z tych chorych i cierpiących...

Mnie nigdy nie była dana taka miłość – ani w domu rodzinnym, ani już na pewno nie w Santa Cruz. Nigdy brat Armand nikogo tak nie

pokocha i wątpię, aby kiedykolwiek doświadczył od kogoś tak wielkiej miłości. Gdyby tak się stało, doprawdy byłby szczęściarzem. Ale zbyt zimne i twarde ma serce, aby kochać. A teraz zostanie inkwizytorem. Z pewnością diabelnie dobrym inkwizytorem, więc raczej ludzie będą go nienawidzić. I znów zrobiło mi się go żal...

Nagły brzęk upadającej miski blaszanej na podłogę leprozorium wyrwał mnie z zadumy. Posiłek, którym była zupa, rozchlapał się po deskach i chorych leżących najbliżej. W ślad za miską natychmiast schylił się brat Manuel, ale zamiast ją podnieść i zetrzeć zupę z podłogi, uklęknął i wpatrywał się przez chwilę w swoje dłonie. Poruszał nieznacznie palcami i miał łzy w oczach. A potem spojrzał na mnie. Do końca życia nie zapomnę widoku jego oczu, wyrażających przerażenie, bezgraniczną bezradność i nieme pytanie, na które nie chciałbym znać odpowiedzi. Ścisnęło się we mnie serce tak mocno, że zabrakło mi tchu. Patrzył jak bezbronny, mały chłopczyk szukający ratunku, który jednak wiedział już, że ratunku nie ma...

Podszedłem do niego i chwyciłem jego dłonie, klękając przy nim w rozlanej zupie.

– Co się dzieje, ojczy? – zapytałem, chociaż domyślałem się, co mi powie.

Juan tymczasem ścierał resztki zupy z podłogi. Zabrał miskę i łyżkę, które leżały tuż obok.

– Przez chwilę nie czułem palców... – powiedział cicho brat Manuel. – Były jak drętwe... – Spojrzał na swoje dłonie, potem na mnie tym samym przerażonym wzrokiem. – A więc to będą ręce...

Potarłem palcami o opuszki jego palców, jakby to mogło mu pomóc.

– Już znów je czuję. – Brat Manuel spróbował się uśmiechnąć. – Może tylko mi się wydawało... Tak! Na pewno mi się wydawało. – Wsunął dłonie z moich rąk i wstał z kolan, próbując się uśmiechnąć.

Ja również wstałem. Wtedy dopiero zobaczyłem, jak bardzo jest przerażony i jak stara się to przerażenie ukryć. Nie wiedziałem tylko przed kim bardziej: przed chorymi, przede mną i Juanem, a może przed samym sobą? Objąłem go mocno ramieniem, chociaż na początku nie chciał. Ale czułem, że takiego właśnie ramienia mu trzeba. Ciche łzy

ciekły mu po policzku, gdy poznał już wyrok losu. Ja także płakałem. I Juan, który do nas podszedł.

Dłonie. Trąd zaatakował mu dłonie. W takich przypadkach utrata czucia następuje od czubków opuszek palców powoli coraz wyżej i wyżej do przedramion i łokci. Na początku traci się czucie na krótkie momenty, potem ono wraca. Niekiedy w pojedynczych palcach, nie we wszystkich naraz. Z czasem chwile bez czucia są coraz dłuższe, aż już nie mijają. Brat Manuel, opiekując się od dawna trędowatymi, musi to wiedzieć. I wie aż za dobrze, z pewnością lepiej niż ja, jaki czeka go los... I ten los jest przerażający... W trądzie najgorsze nie są objawy ani to, że choroba zjawia się znienacka. Najgorsza jest nieodwołalność tego wyroku i to, że trąd nie jest chorobą śmiertelną. To przedłużające się latami tortury, wieloletnie cierpienia okaleczonych cieleśnie i duchowo ludzi, skazanych przez los na nieistnienie... Ale oni żyją. Czują. Każdego dnia muszą coś zjeść i w coś się ubrać, muszą gdzieś spać i gdzieś się umyć. A społeczeństwo wyrzuca ich z miast, odgania od studni i od budynków gospodarskich, w których czasem szukają schronienia. Nikt nie da im pracy, by uczciwie zarobili na chleb. Samego chleba też nikt im nie daje, bo wciąż pokutuje przekonanie, że każdy z tych biedaków zasłużył sobie na swój los. To jest najgorsze w trądzie... Samotność.

Brat Manuel odsunął się z moich ramion i otarł łzy.

– Antonio, będę się za ciebie modlił i za wynik tego procesu – powiedział cicho, ale pewnie, chociaż głos jeszcze mu się łamał. – Wiem, że nie przepadasz za bratem Armandem, ale ja wierzę w jego mądrość. Zobaczysz, że wszystko dobrze się skończy. – Brat Manuel znów się uśmiechał, a twarz mu się rozjaśniła.

– Dziękuję, *padre* – powiedziałem. – Ja modłę się codziennie, aby Bóg cię uzdrowił.

Jeszcze raz się uścisnęliśmy.

– Zbliżają się nieszpory – wtrącił Juan. – Musimy już wracać.

Wychodząc z leprozorium, czułem smutek. Brat Manuel stał na schodkach i machał nam na pożegnanie, gdy odchodziliśmy do szpitala. Patrząc wtedy na niego, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że widzę go po raz ostatni...

Brat Armand czekał na nas w szpitalu. Juan streścił mu naszą wizytę i przekazał podziękowania od brata Manuela za dotychczasową opiekę. Powiedział również o objawach trądu, jakie u niego już wystąpiły. Ja zaś poszedłem sprać z kuty rozlaną zupę, żeby nikt w klasztorze nie nabrał podejrzeń, chociaż przecież zawsze mogłem powiedzieć, że to w szpitalu ją rozlano. Ale nie chciałem ryzykować i stawiać mego mistrza w trudnej sytuacji. Zwłaszcza że zrobił mi przysługę, pozwalając odwiedzić przyjaciela w potrzebie, mimo zakazu przeora.

Wróciliśmy w obręb murów klasztoru jakby nigdy nic. Na twarzy Juana malowała się najbardziej niewinna mina, jaką u niego w życiu widziałem. Nikt o nic nie pytał. Na nieszpórach zaś modliłem się w intencji brata Manuela, nie jutrzejszego procesu.

Później. Silentium

Po kolacji poszedłem z Juanem i Alejandrem do celi obok gabinetu przeora, posłuchać, czy dowiem się czegoś nowego w sprawie mojego procesu. Brat Armand prosto z refektarza udał się z przeorem do jego segmentu i pomyślałem, że być może porozmawia z nim o bracie Constantino, jak mi obiecał.

Uklękliśmy we trzech przy otworze w ścianie.

– Masz jakieś wątpliwości, Armandzie? – mówił przeor, a w jego głosie słychać było zaskoczenie.

– Zastanawiam się, ojcze. – Mistrz zdawał się zamyślony. – Może zbyt jednostronni jesteśmy? Nie staramy się nawet rozważać innych ewentualności, od razu przyjmując, że Antonio jest winien. To niesprawiedliwe.

– Jest winien, Armandzie – podkreślił przeor z naciskiem na „winien”.

Przez chwilę słychać było kroki po gabinecie.

– Ojcze, jeśli mógłbym – mówił dalej mój mistrz, puszczając najwyraźniej uwagę *padre* Torquemady mimo uszu – chciałbym cię o coś zapytać. To dla mnie ważne. Zanim przyjechałem do Santa Cruz

w nowicjat, brat Constantino już tu był, prawda?

– Tak, już ponad rok – przytaknął przeor.

– Czy to prawda, że to jemu najpierw obiecałeś studia w Bolonii? – Brat Armand miał głos pewny i dźwięczny i wyglądało na to, że nie boi się rozmawiać o tym z Torquemadą.

– Nie pamiętam, Armandzie. – rzucił przeor od niechcienia. – Możliwe. A dlaczego o to pytasz dziś, tyle lat po wszystkim?

Mistrz przez chwilę nie odpowiadał.

– Tak pytam. Doszły mnie słuchy, że właśnie tak było. – Nadal był zamyślony, a ja zastanawiałem się, co zaprzęta mu głowę. – A czy Constantino chciał jechać do Bolonii? Mówił, że o tym marzy?

– Armandzie, zadajesz mi dziwne pytania. – Przeor próbował zbyć mego mistrza uśmiechem, który słychać było w jego głosie. – Każdy z braci marzyłby o studiach w Bolonii, to chyba oczywiste!

A Constantino był ambitny, bardzo. Ale nie aż tak jak ty. Uznałem, że tobie bardziej należą się te studia. Constantino się trochę złościł, ale w końcu to przeboleał. Poza tym przecież i on pojechał na studia. Do Salamanki.

– Miał do mnie żal o te studia, ojcze? – zapytał mistrz.

– Nie wiem. Pewnie tak. Na początku. – Przeor był wyraźnie zdezorientowany. – Każdy byłby zły. Na mnie też był zły. Ale się podporządkował. Nie miał wyjścia.

Wdzięczny byłem bratu Armandowi, że zrobił to, co mi obiecał, i sprawdził, czy mówiłem prawdę. Teraz już wiedział, że nie kłamałem i że brat Constantino chowa do niego urazę do dzisiaj.

– Myślę, ojcze przeorze, że Constantino nadal ma do mnie o to żal – powiedział w końcu na głos mistrz. – Choć na co dzień tego nie okazuje, starając się być uprzejmy, ale zauważyłem, że dzieje się z nim coś niepokojącego.

– Na miłość Boską, Armandzie! Minęło piętnaście lat! – roześmiał się przeor. – Sądysz, że tak inteligentny i czytany człowiek może zachowywać się przez piętnaście lat jak obrażone dziecko, bo zabrano mu ulubioną zabawkę? Chyba nie sądzisz, że on...

– Że chciałyby mnie zabić? – dokończył mistrz. – Nie wiem, ojcze. Mam mętlik w głowie. Antonio twierdzi, że tego nie zrobił. Co, jeśli tak

jest?

– Armandzie, nie wolno ci się zastanawiać – powiedział przeor z naciskiem. – Wszystkie dowody świadczą przeciwko niemu. Nie daj się zwieść jego tłumaczeniom. Antonio właśnie na to czeka, aby zasiać w tobie niepewność. To szatan przez niego przemawia. Chce uniknąć kary i to normalne, że chwyci się każdej sposobności po temu. Jesteś mądrym człowiekiem, Armandzie, i wiem, że potrafisz odkryć prawdę. Ufam, że nie dasz się zwieść knowaniom diabła. – dodał z cichą sugestią, w jakim kierunku ma iść mój patron podczas tego procesu.

– Tak, ojczy. Masz rację – poparł go mistrz.

Usiadłem na podłodze. Brat Armand jest zależny od przeora, a ten dość wyraźnie wskazał mu kierunek tego postępowania. I nawet jeśli mistrz mój ma wątpliwości, nie skorzysta z nich, chcąc przypodobać się bratu Torquemadzie. A więc przepadłem!...

Później

Dopiero teraz do mego serca zakradają się obawy związane z jutrzejszym dniem. Moje spotkanie z bratem Manuelem skutecznie odciągnęło myśli od procesu i kary. Chciałbym wierzyć, że brat Armand pozwolił mi tam iść specjalnie, właśnie po to, aby zająć mnie czymś innym. Chciałbym wierzyć, że tak właśnie było, ale nie potrafię... Nie po dzisiejszej jego rozmowie z przeorem.

Boże Wszechmogący, czuwaj nade mną w tych strasznych dniach i poprowadź ten proces bezpiecznie i szczęśliwie do końca, który będzie dla mnie sprawiedliwy...

13 września. Początek procesu

Rankiem, zaraz po śniadaniu, przeor zgromadził wszystkich braci i nowicjuszy w kapitułarzu. Wcześniej ogłosił o zebraniu na porannej mszy, nie wspominając, jaki jest cel tego zgromadzenia. Ale i tak wszyscy wiedzieli, że dziś rozpoczyna się sąd kapturowy w mojej

sprawie, więc brak tej informacji nie miał większego znaczenia.

Dziwnie się czułem, siedząc w ławce obok mego mistrza, któremu wczoraj dziękowałem za możliwość spotkania się z bratem Manuelem, a za chwilę mieliśmy usiąść po przeciwnych stronach kapitularza jako wrogowie. Z oblicza brata Armanda nic nie dało się wyczytać.

Przywdział swoją nieprzeniknioną, kamienną minę, pełną chłodu i dystansu. I cały ranek się do mnie nie odzywał.

Sala zgromadzeń kapituły została wcześniej przygotowana do pełnienia funkcji sali sądowej. Czyjeś ręce ustawiły ławy i stoły: dla sędziów, protokolanta, oskarżyciela i dla mnie wraz z ławą dla mojego obrońcy. Widok ten ściał mi krew w żyłach... Po przeciwnej stronie sali ustawiono ławy dla publiczności, gdyby któryś z mnichów zechciał przysłuchiwać się rozprawie.

Gdy wszyscy zgromadzili się w kapitularzu, przeor poprosił nas, abyśmy na razie zajęli miejsca przeznaczone dla publiczności, ponieważ chce ogłosić ważną rzecz. Usiedliśmy, jak sobie tego życzył. Brat Torquemada zaś wyszedł na środek sali i powiedział, nie kryjąc radości i dumy:

– Drodzy bracia, pozwólcie, że coś ogłoszę, korzystając z tego, że nie przybył jeszcze do Santa Cruz oskarżyciel publiczny z sądu miejskiego w Segowii, więc mamy chwilę czasu, nim rozpoczniemy proces. – Mówiąc to, przeor wyszukał mnie wzrokiem spośród słuchaczy i spojrzał mi w oczy zimno. – Ale zanim przejdziemy do tego niemiłego dla nas obowiązku sądenia naszego brata, radosna wieść! Moi drodzy, oto od pierwszego września mamy w Kastylii Świętą Inkwizycję! Papież podzielił obawy i prośbę Królowej i bullą sprzed trzynastu dni ustanowił dla Hiszpanii święte trybunały. Jest mi tym bardziej miło, że ja i brat Armand czyniliśmy osobiste starania o powołanie dla naszego kraju Świętej Inkwizycji. – Przeor był zadowolony i dumny z siebie jak paw.

Kiedy to mówił, oddzielał słowa i zdania, aby jego wypowiedź brzmiała uroczyście.

Po sali kapituły przeszedł szmer. Oprócz dosłownie paru mnichów, w tym brata Ricardo i brata Constantino, oraz oczywiście mego mistrza i brata Oscara, nikt się nie uśmiechał. Przeciwnie, wielu spoglądało po sobie z lękiem w oczach, z pewnością więc zdawali sobie sprawę

z zagrożenia, jakie niesie ze sobą ta potworna instytucja Kościoła Katolickiego, która nawet teraz, jeszcze przed reformami mego mistrza, już owiana jest czarną legendą. Ale nawet oni zaledwie przeczuwają to zagrożenie, nie mogąc przecież znać szczegółów planów *padre* Torquemady, brata Armanda i Królowej.

Brat Ricardo zaczął głośno klaskać i wstał ze swego miejsca. Za nim z wolna rozległy się oklaski tu i ówdzie, aż po chwili cała sala, z drobnymi wyjątkami, wyrażała swoją aprobatę w ten sposób. Na ile były to emocje prawdziwe, a na ile zachowanie na pokaz, wiedział każdy z braci we własnym sumieniu. Brat Armand podszedł do *padre* Torquemady i oficjalnie pogratulował mu sukcesu. Po oklaskach wywiązała się dyskusja w niewielkich grupach, zaś na środku kapitułarza zbierali się wspomniani entuzjaści Inkwizycji. Przyglądałem się ich rozgorączkowanym oczom i naraz wydały mi się żądne krwi... Przyszli inkwizytorzy Hiszpanii...

Opadłem na ławę i usiłowałem zebrać myśli. Przypomniłem mi się widok trędowatych wspomagających się nawzajem w nieszczęściu... Jakże inna była miłość do bliźnich w Santa Cruz! Z moich rozważań wyrwał mnie głos przeora:

– Bracia! Cieszę się, że z taką radością przyjęliście tę wiadomość, która i moje serce przepelnia szczęściem i nadzieją! Czas już jednak na rozpoczęcie procesu. – Uniósł ręce, aby wszyscy się uciszyli i zajęli swoje miejsca. – Na omawianie Inkwizycji w Kastylii przyjdzie jeszcze czas!

O! Bez wątpienia! – pomyślałem, gdy bracia siadali na swoich miejscach. Brat Torquemada mówił dalej:

– Jak wiecie, Antonio Gabriel de Garcia został posądzony o straszną zbrodnię: stoi pod zarzutem usiłowania zamordowania swojego patrona, brata Armanda Castellano de Corell. Konsultowałem się w tej sprawie z sędziami miejskimi, albowiem zbrodnia ta przekracza moje kompetencje do wymierzenia kary porządkowej dla nowicjusza. Sędziowie przyślą nam swego delegata, który w tej sprawie sporządzi i wniesie formalne oskarżenie. Natomiast ponieważ nie doszło do zabójstwa, trybunał miejski pozwolił, aby o winie i karze dla Antonia orzekał sąd koleżeński, którego wyrok zostanie przedstawiony sędziom

miejskim do zatwierdzenia. A zatem nie będzie dwóch odrębnych procesów, ale jeden i do tego sędziami zostaną bracia dominikanie, bliżsi dla Antonia niż sędziowie miejscy, w dodatku bracia z jednego klasztoru. Mniemam, że wszystko to sprawi, że wyrok będzie łagodniejszy, niż gdyby Antonio został uwięziony i postawiony przed oczy obcych ludzi, którzy nigdy nie mieliby na względzie jego dobra i wychowawczego nań oddziaływania, ale czysty odwet za popełnioną zbrodnię. Dlatego, Antonio, powinieneś być wdzięczny za okazaną ci łaskę. – Spojrzał na mnie wymownie. – I wiedz, że to twój patron naciskał na mnie, abym powołał w twojej sprawie sąd koleżeński i nie stawiał cię przed oblicze miejskich sędziów. – Torquemada uśmiechnął się nieszczerze.

Popatrzyłem na brata Armanda, który siedział obok mnie z miną niewinną jak niemowlę. Odwrócił twarz w moją stronę. W jego oczach było wahanie...

– Przejdźmy więc do wyboru sędziów! – *Padre* Torquemada rozejrzał się po sali. – Jako przeor niechętnie spełniam ten obowiązek i wskazuję do składu orzekającego... – Rozejrzał się jeszcze raz, tym razem wolniej, a po chwili zatrzymał wzrok: – Brata Constantino Veliger de Vargas.

Wezwany wstał ze swojej ławy i wystąpił na środek kapitułarza, składając ledwie widoczny ukłon przeorowi. Widać było po nim, że rad jest z tej nominacji. Być może na nią liczył? A może przeor już dawno mu ją obiecał?

Zdałem sobie sprawę, że dotąd nie zastanawiałem się, kto będzie w mojej sprawie orzekał, a w końcu to przecież sąd koleżeński. Wybór brata Constantino jest dla mnie bardzo niekorzystny, bo on robi wszystko, by siebie wybielić, a mnie pogrzyść. Ale mnie nie zaskoczył.

– Kolejną osobą, którą chciałbym zaprosić do składu orzekającego – mówił dalej przeor – jest brat Jorge de Llorente. – Zawiesił znacząco głos, jakby nic sobie nie robił z jego poprzedniej odmowy. – Bracie Jorge, chyba nam nie odmówisz? Twoja mądrość jest nam potrzebna. Ten sąd bardzo na ciebie liczy, podobnie jak wszyscy tutaj zgromadzeni, prawda? – Popatrzył po sali kapitułarza, a wielu spośród mnichów mu przytaknęło.

Brat Jorge wstał z miną lodowatą i nie przebierając w słowach, powiedział:

– Więc będę musiał zawieść ich nadzieje, ojczyźnie, a ten sąd będzie musiał poradzić sobie beze mnie, co, jak miemam, świetnie zrobi. Po raz drugi, bracie, odmawiam, i miej, proszę, na względzie, że jest to moje ostateczne stanowisko w tej kwestii. Moim obowiązkiem jest bronić Antonia. Ten sąd zaś jest farsą! I oskarżenia rzucone przez brata Armanda też są absurdalne! Nie poplamie sobie rąk krwią niewinnie przelaną! – Umilkł i przez chwilę w sali kapitulacza panowała absolutna cisza.

Na twarzach niektórych mnichów malowało się wielkie zdziwienie i zaraz też pojawiły się szmery i szepty wśród zgromadzonych, które jednak szybko uciszył przeor.

– Skoro taka jest twoja wola, bracie Jorge, wszyscy ją uszanujemy – powiedział oficjalnie brat Torquemada z miną lodowatą. – Za nic na świecie nie pozbawię oskarżonego prawa do obrony – dodał tonem, który zdawał się wskazywać, że cała ta obrona i tak na nic się nie zda. – Zatem zapraszam, bracie Jorge, abyś zajął swoje miejsce w odpowiedniej ławie wraz z Antoniem. – Przeor wskazał nam ręką dwie ławy stojące jedna za drugą po prawej stronie kapitulacza, naprzeciwko ławy dla oskarżyciela.

Powoli zajęliśmy wskazane miejsca, zaś brat Constantino zasiadł za stołem sędziowskim, po lewej stronie. Lodowaty dreszcz przebiegał mi po plecach, gdy przyglądałem się tej scenie, za to przeor wydawał się w swoim żywiole. Brat Jorge, który zajął miejsce w ławie przed moją, przyglądał się uważnie temu, co robił i mówił *padre* Torquemada. Z jakiegoś powodu. I wtedy sobie pomyślałem, że obrona stoi w tym procesie przed rzeczą niemożliwą: musi i chce wykazać moją niewinność, ale nikt, absolutnie nikt nas nie wysłucha!

– Skoro brat Jorge wzbrania się przed sądem – przeor kontynuował swoją zabawę – wybieram do składu sędziowskiego brata Armanda Castellano de Corell. Jak widać, jest on wspaniałym prawnikiem, zatem jego miejsce jest wśród sędziów.

Choć przeor był z siebie zadowolony i ze swego pomysłu, brat Armand podszedł do niego z miną niewyraźną i wyraził swoją

wątpliwość, czy aby na pewno powinien w tej sprawie sądzić. A że stali półtora metra od mojej ławy dla oskarżonych, słyszałem każde słowo.

– Ojcie przeorze, nie powinienem być sędzią – mówił mój mistrz poważnie, podczas gdy na sali panował gwar. – Jestem pokrzywdzonym, niedoszłą ofiarą, składałem zeznania jako świadek. Poza tym starorzymka zasada mówi, że nie powinienem być sędzią we własnej sprawie.

– Armandzie, my ustanowimy nowe prawo. – Przeor położył mi dłoń na ramieniu i mówił spokojnie. – Czy ta rzymska zasada jest recypowana do naszego prawa?

– Nie wprost – odpowiedział mój mistrz. – Ale nie powinienem. Antonio to mój uczeń... – Widziałem, że naprawdę się wahał.

– Właśnie, Armandzie! Nikt nie ma większej o nim wiedzy niż ty. Nikt nie zna go lepiej i nie wie, na co go stać. – Przeor zdawał się nie dostrzegać albo naprawdę nie widział konfliktu interesów, przed którym stawiał mego mistrza. – Poza tym, Armandzie, przecież chcesz być inkwizytorem. Potraktuj więc ten proces jako szkolenie. Przyda ci się taka praktyka. Oto już dziś jest początek twojej kariery sędziego inkwizytora! – Uśmiechnął się zadowolony.

Znieruchomiałem na te słowa zapowiadające mi wprost, że będzie to proces inkwizycyjny, choć przeor zapewne liczył, że nie słyszałem tej rozmowy. Widziałem, że brat Armand miał wątpliwości i naprawdę nie chciał mnie sądzić, ale był prawnikiem, a za chwilę mógł stać się sędzią i na samą myśl o orzekaniu w jego oczach zatlił się dziwny ogień, jakiego jeszcze u niego nie widziałem.

– Dobrze, bracie przeorze. Skoro nalegasz... – powiedział w końcu mistrz po dłuższej chwili zastanowienia.

Brat Armand zajął więc miejsce za stołem sędziowskim po prawej jego stronie i popatrzył na mnie beznamiętnie. No to koniec! – pomyślałem. Mego mistrza nic nie przekona, że to nie ja, i nic na świecie nie odwiedzie go od wydania w tej sprawie wyroku skazującego!

Brat Torquemada zabierał się właśnie do wyłonienia spośród zebranych trzeciego szczęśliwca, który zasiądzie za stołem sędziowskim, ale łowy przerwał mu brat Jorge, który podniósł się ze swego miejsca i donośnym głosem powiedział:

– *Nemo iudex in sua causa*[26]!

Mistrz mój poruszył się niespokojnie na te słowa, a przeor ze złością odwrócił twarz w naszą stronę.

– Bracie przeorze! – mówił dalej mój obrońca. – Nie możesz powołać na sędziego osoby, która zeznawała w tej sprawie jako pokrzywdzony przestępstwem i której zeznania będą podlegały ocenie sądu w kwestii ich wiarygodności! Brat Armand zawsze będzie twierdził, że jego zeznania są wiarygodne i prawdziwe. Tym samym wyrok jest już przesądzony z góry! Właśnie dlatego nikt nie powinien być sędzią we własnej sprawie!

– Nie prosiłem cię o radę, bracie Jorge! – zgromił go przeor. Spojrzenie miał lodowate i zniechęcone.

– Bracie przeorze – mój obrońca zignorował całkowicie tę uwagę – sędziowie orzekający w tak ważnej sprawie muszą być bezstronni, inaczej ta rozprawa nie ma sensu, bo wiadomo, jaki po niej zapadnie wyrok. Brat Armand, z całym szacunkiem dla jego wiedzy prawniczej, nigdy nie będzie obiektywny, bo jest przekonany o winie Antonia, o czym zeznawał, o czym wielokrotnie mówił przed procesem. Nie chciał nawet słuchać rzeczowych argumentów. On chce wyroku. Skazującego wyroku bez względu na wszystko. To nie jest materiał na bezstronnego arbitra. Zasadę tę wymyślili Rzymianie. Do dziś się ją honoruje i stosuje w cywilizowanej Europie.

Na sali zapanowała zupełna cisza i niektórzy bracia z otwartymi szeroko ze zdziwienia oczami przyglądali się tej scenie oraz bratu Jorgemu ośmielającemu spierać się z przeorem. Brat Torquemada zaś uśmiechnął się z przekąsem, a jego twarz zdawała się mówić: może masz i rację, ale ja tu decyduję.

– Nie jesteśmy w starożytnym Rzymie, ojciec de Llorente – odparował przeor, patrząc na salę. – A przypominam ci, że Rzym oparty na wspomnianych wielkich zasadach upadł. – Spojrzał na brata Jorgego z satysfakcją, jakby to Torquemada osobiście przyczynił się do tego upadku. – Tutaj ja podejmuję decyzję i nie mam wątpliwości, że brat Armand podoła swojemu zadaniu i będzie orzekał bezstronnie i sprawiedliwie. Aby tego dopilnować, bracie Jorge, będę przewodniczył temu sądowi. – Mówiąc te słowa, przeor odwrócił się na pięcie i z miną

triumfatora obszedł stół sędziowski, aby stanąć pośrodku w miejscu przeznaczonym dla przewodniczącego.

Tak oto wybrano skład orzekający. Jeśli gdzieś w mrocznych zakamarkach mojej duszy tliły się wątle płomyki nadziei, w tamtej chwili wszystkie one zgasły, jakby naraz powiał mroźny wiatr. Brat Torquemada, brat Armand i brat Constantino, główny, moim zdaniem, podejrzany – czyż można sobie wyobrazić surowszych i bardziej stroniczych sędziów?! Wszyscy trzej prowadzili śledztwo w tej sprawie. Mają już o niej wyrobiony pogląd.

Przeor jest zainteresowany szybkim zakończeniem procesu, bo myśli już o wyjeździe na dwór. Będąc urażony moją ignorancją, gdyż w jego mniemaniu chciałem zniszczyć jego ukochany cud – Armanda, wyhodowanego do bycia inkwizytorem, a poza tym otwarcie lekceważę Święte Oficjum i nienawidzę patrona, czyż można wątpić, że będzie chciał pofolgować w wyroku swej zemście i nakarmić swe wygłodniałe oczy widokiem mojego cierpienia a może i krwi? Jedynym widokiem, który już niebawem będą oglądały, niemal wyłącznie, jego oczy. Być może także jedynym widokiem, który przynosi mu ulgę i spokój.

Brat Constantino wyda wyrok skazujący z co najmniej dwóch powodów: po pierwsze, jeśli jest sprawcą, będzie chciał za wszelką cenę ukarać mnie, aby odwrócić od siebie ewentualne jakiegokolwiek podejrzenia, także przyszłe. A po drugie, będzie chciał się zemścić za to, że do zabójstwa nie doszło, że – być może w jego pojęciu – pokrzyżowałem mu plany. A dodatkowo wkupił się niedawno w łaski przeora i będzie chciał je zatrzymać i w tym celu spełni każde życzenie Torquemady. Nie jest również tajemnicą, że brat Constantino za mną nie przepada.

Natomiast jeśli chodzi o mojego mistrza... Cóż, ma on najwięcej powodów, aby mnie nienawidzić i skazać na śmierć... Chyba tylko Boska interwencja może zmienić wynik tego procesu! Pytanie, czy ten skład orzekający, tak butny i pewny swego, zastosowałby się do Boskich poleceń, gdyby je naraz otrzymał?...

Moje rozważania, od których co i rusz przechodził mnie dreszcz, przerwał głos brata Jorgego, który uniósłszy rękę, poczekał, aż zgromadzeni w kapitułarzu się uciszą, a potem powiedział głośno

i dumnie, zwracając się do brata Armanda, słowa, które przeraziły nawet mnie, ostatnią bądź co bądź osobę, która byłaby memu mistrzowi przychylna:

– Armandzie, nie sądz, abyś nie był sądzony! Nie potępij, a nie będziesz potępiony! Opuść, a będzie ci odpuszczone. Bo taką miarą, jaką ty mierzysz i tobie odmierzają, a taką miarą, jaką ty sądzisz, i ciebie osądzą[27]. Pamiętaj o tym w trakcie tego procesu. Pamiętaj, gdy będziesz wydawał wyrok. – Brat Jorge zrobił krótką pauzę, a zaraz dodał: – Pamiętaj te słowa, bo ci je kiedyś przypomnę. Ale wówczas, Armandzie, będziesz zniszczony cierpieniem. Będziesz na dni swojego cierpienia. I wtedy wspomnisz proces Antonia i pożałujesz, że byłeś jego sędzią. W tym dniu poprosisz mnie o skrócenie ci męki. Poprosisz o miłosierdzie śmierci... – Brat Jorge umilkł, wieszcząc memu mistrzowi potworny koniec.

Sala kapituły zamarła na dźwięk tych słów, a ja dygotałem. Ciekaw byłem, skąd brat Jorge wiedział, co czeka mego mistrza, czy w ogóle wiedział, czy też były to tylko takie sobie słowa. I ciekaw byłem, co w tej chwili czuł i myślał brat Armand, bo jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, ale tę akurat sztukę opanował do perfekcji. Może tylko w oczach, ciemniejszych niż zwykle, tlił się dziwny, mroczny ogień...

– Grozisz mi, bracie Jorge? – Mistrz mój wstał zza stołu sędziowskiego i zadał to pytanie twardym, zimnym tonem.

– Nie, bracie Armandzie – odpowiedział mu spokojnie mój obrońca. – Ale wiem, że Bóg jest sprawiedliwy. Za dobro wynagradza, za zło karze. Bóg widzi twoją duszę na wylot: z jej wątpliwościami, grzeszkami i nawet wtedy, gdy sam siebie oszukujesz, próbując usprawiedliwiać swoje zachowanie, co do którego w głębi serca wiesz, że jest złe i niemiłe Bogu. Bóg, Armandzie, rozliczy cię z tego, kim się staniesz, i z tego, co zrobisz. I wówczas będziesz cierpiał.

Niewyobrażalnie. Mam nadzieję, że będę wówczas przy tobie, aby oglądać twoją mękę. – Brat Jorge odczekał chwilę, czy mistrz mój zechce mu odpowiedzieć, a nie doczekawszy się jego reakcji, usiadł w ławie.

Przeor nachylił się w stronę brata Armanda i powiedział mu coś na ucho. Potem wstał i z miną jasną jak słońce w samo południe, a przez to

falszywą, odezwał się:

– Dajcie spokój kłótniom, bracia! Przybyliśmy tu w pokoju. Pomódlmy się, aby Duch Święty zesłał na nas mądrość, abyśmy wydali słuszny i sprawiedliwy wyrok. – Złożył ręce do modlitwy, a wszyscy zgromadzeni wstali ze swoich miejsc. – Ojczy nasz, Któryś jest w Niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje. Bądź wola Twoja, jako w Niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... Problem w tym, że sędziowie w ogóle nie odpuszczają nikomu, nawet tym, którzy nie zawinili. Jakże więc Bóg miałby im odpuścić? Więc może rację miał brat Jorge, że brat Armand zapłaci za wydany w tej sprawie wyrok własnym cierpieniem... Ale to także oznacza, że wyrok będzie skazujący. I brat Jorge już to wie... Jest prawnikiem. Musi wiedzieć. Ja w gruncie rzeczy także o tym wiem. Od dawna. Jesteśmy tylko kukielkami w tym teatrzyku, który wyreżyserował *padre* Tomás de Torquemada.

Po modlitwie, gdy zajęliśmy na powrót miejsca, a przeor naradzał się z pozostałymi sędziami, brat Gregorio ostentacyjnie wstał i opuścił kapitułarz bez słowa. Widziałem, że przeor popatrzył za nim zaskoczony. Za chwilę wyszedł również brat Santiago i brat Martin, zabierając ze sobą swego ucznia, Mateo. Zauważyłem też, że nie było w kapitułarzu brata Domingo. Juan i Alejandro obiecali mi, że będą obecni podczas całej rozprawy, aby dodać mi otuchy. Ale widziałem po ich minach, że najchętniej także by wyszli, wyrażając swoją dezaprobatę i pogardę dla tej parodii wymiaru sprawiedliwości w wykonaniu przeora Convento de Santa Cruz la Real w Segowii i jego dwóch popleczników.

W chwilę potem drzwi sali kapituły otworzyły się do środka i wszedł brat furtian, prowadząc ze sobą świecko ubranego mężczyznę, nieco onieśmielonego i zdezorientowanego, sądząc po wyrazie jego twarzy.

Brat José uklonił się przed bratem Torquemadą.

– Ojczy przeorze, to jest sędzia Manfred de la Coruña z trybunału miejskiego w Segowii. – Wskazał ręką na przybysza.

– Dziękuję, bracie José. – Przeor wstał z za stołu sędziowskiego,

zaś brat furtian wyszedł z kapitulacza w pośpiechu. – Witam cię w Santa Cruz, mój synu! – brat Torquemada zwrócił się do sędziego municypalnego. – Boleję, że spotykamy się w tak nieprzyjemnych okolicznościach. – Ruchem głowy wskazał na ten sąd i całą salę kapituły, wystawiając jednocześnie ponad stołem sędziowskim w stronę gościa prawą dłoń do ucałowania.

Sędzia Manfred zbliżył się, ujął rękę brata Torquemady i ucałował pierścień. Po czym zajął miejsce w ławie naprzeciwko nas – mnie i brata Jorgego. Przez chwilę rozkładał dokumenty na stole, który przed nim stał. Wyjął także kałamarz i pióro, które z sobą przyniósł, gdy tymczasem w kapitulaczu panowała cisza.

Przyjrzałem się sędziemu: na oko miał jakieś pięćdziesiąt lat, choć trudno było to stwierdzić, bo ewentualne siwe włosy skrywała peruka, jakie noszą wszyscy urzędnicy miejscy. Jego twarz była otyła, o ciemnej karnacji, zaś na sobie miał obszerną, krótką, czarną togę sędziowską, sprawiającą wrażenie, że jest jeszcze bardziej otyły. Jego spojrzenie było głębokie i ciekawskie i w niczym nie przypominało wyrazu oczu Torquemady czy brata Armanda. Oczywiście mógł to być tylko pozór, a poza tym sędzia ów nie będzie orzekał w tej sprawie, ale jedynie oskarżał, więc jego łagodne lub surowe usposobienie w tym przypadku nie ma żadnego znaczenia.

Padre Torquemada w chwilę później wybrał spośród nowicjuszy Camilo Herrera na protokolanta, a ten usadowił się przy stole sędziowskim po jego prawej stronie, gdzie przygotowano papier, zapas inkaustu i kilka długich, białych piór. Nagle przypomniały mi się akta procesu Joanny d'Arc, które czytałem zaraz po moim przyjeździe do Santa Cruz, i sama jej sprawa, od której zaczęła się moja pierwsza w życiu rozmowa z przeorem Torquemadą. Ileż się wydarzyło od tamtego czasu!

Czy rzeczywiście nasz los jest już od dawna ustalony przez Boga i zapisany gdzieś w górze? Czy doprawdy Bóg od początku wiedział, co mnie czeka w Santa Cruz? A jeśli tak, po co mnie tu przysłał? Dlaczego muszę przez to przejść? Czego mam się nauczyć? Lub czego ktoś inny ma się nauczyć na moim przykładzie? Czy jestem celem Boskiego planu, czy tylko środkiem do jego realizacji? Adresatem Boskiej woli czy

narzędziem Jego działania?...

W tym zamyśleniu nie zwróciłem nawet uwagi, gdy przeor dał znak do rozpoczęcia procesu i co podyktował Camilo jako wstęp do protokołu. Oprzytomniałem, gdy brat Jorge potrząsnął mnie za przedramię i kazał wstać, co natychmiast uczyniłem, nieco zdezorientowany. Wówczas sędzia de la Coruña odczytał mi zarzut usiłowania zabójstwa brata Armanda. Zauważyłem również, że protokół jest dyktowany po łacinie, i zastanawiałem się, czy każą mi mówić również w tym języku.

Sędzia Manfred miał przyjemny głos, gdy ogłaszał całemu niemal klasztorowi akt oskarżenia. Czytał go i czytał w nieskończoność i z treści dokumentu wnioskowałem, że przeor musiał skonsultować z nim wszystkie ustalenia śledztwa, być może także pokazał mu akta, zaś brat Armand konsultował z nim samo zdarzenie. Cały bowiem akt oskarżenia opierał się na zeznaniach mego mistrza. Inaczej skąd sędzia miałby o nich tak szeroką wiedzę?

Gdy wreszcie skończył czytać, przekazał akt oskarżenia przewodniczącemu, w dwóch egzemplarzach. Przeor rzucił pobieżnie okiem na dokumenty, a potem, trzymając jeden w wyciągniętej w moją stronę ręce, powiedział:

– Proszę, bracie Jorge. Na moje polecenie jeden odpis aktu oskarżenia przygotowano specjalnie dla oskarżonego, mimo że prawo hiszpańskie tego nie wymaga. Zrobiłem to jednak po to, aby Antonio nie zarzucał nam, że sąd był nieuczciwy, a proces – inkwizycyjny. – Przeor popatrzył na mnie znacząco.

Brat Jorge wziął od *padre* Torquemady akt oskarżenia i zajął swoje miejsce. Miał smutną minę, gdy wracał...

Pozory! Przeor jest zaiste mistrzem w stwarzaniu pozorów! Ale jego drobne gesty, jakże sprzeczne w sobie i nieszczerze, nie są w stanie omamić moich oczu. Moich i, mam nadzieję, moich zwolenników.

Tego dnia przeor postanowił jeszcze raz mnie przesłuchać. Mimo że już raz zeznawałem. Ale aby zagwarantować mi prawo do obrony, pozwolono mi jeszcze raz się wypowiedzieć. Brat Jorge uprzedzał mnie, że na rozprawie świadkowie nie będą już słuchani, ale uzna się ich zeznania ze śledztwa za wiarygodne. Chyba że zechcemy powołać

własnych świadków. Tyle że w śledztwie przesłuchano wszystkich mnichów Santa Cruz, poza bratem Manuelem, więc nikogo nie moglibyśmy z bratem Jorge powołać na świadka obrony. Zresztą nikt nie przychodził mi do głowy.

Moje przesłuchanie nie obyło się bez sporów proceduralnych, bo brat Armand upierał się, aby mnie w ogóle nie słuchać, chyba że chcę zmienić stanowisko i przyznać się do winy. Brat Jorge zaś podnosił, że oskarżony ma mieć możliwość wypowiedzenia się, zanim zostanie wydany wyrok. W końcu przeor po konsultacji z sędzią municypalnym przyznał rację obronie.

Opowiedziałem więc jeszcze raz do protokołu całe zdarzenie od początku do końca. Nie przyznałem się, abym chciał zabić swego patrona. Pytano mnie o to wielokrotnie, ale nie mogłem się przyznać do czegoś, czego nie zrobiłem. Powtarzałem sądowi moją wersję zdarzenia, którą doskonale znali ze śledztwa, kilkakrotnie. Tylko ta wersja była prawdą. W kółko pytali o prawdziwego sprawcę, ale ja nie mogłem im powiedzieć o swoich domysłach. Ciekawe, że to brat Constantino najbardziej naciskał na nazwisko podpalacza, skoro twierdziłem, że to nie byłem ja. Musiał czuć się bardzo pewnie w tym trybunale, w klasztorze i z przychylnością przeora. I musiał tym również zmylić brata Armanda. Ja jednak przestałem liczyć na cud, który pozwoliłby mi udowodnić, że to rzeczywiście brat Constantino. Samo moje posądzenie go przyniosłoby więcej szkody dla mnie niż pożytku. Tego byłem pewien.

Gdy skończyłem opowiadać, zaczęły się pytania. Głównie ze strony sądu, zaś najaktywniejszy był brat Armand. Mogłem się tego spodziewać, w końcu jest prawnikiem i w końcu jest żywotnie zainteresowany wynikiem tego procesu. I tak jak przewidywał brat Jorge, pytali przede wszystkim o to, dlaczego nie wzywałem pomocy, dlaczego nie rzuciłem się do gaszenia ognia. Wyszła kwestia chłosty i mojej nienawiści do patrona, o której on osobiście oświadczył do protokołu, oraz musiałem opisać przebieg całego nowicjatu i ostatniej z bratem Armandem kłótni. Pytano mnie o rozmowę mego mistrza z przeorem w kwestii dzwonów i co do tego, czy wiedziałem, że patron będzie szedł zaraz po nabożeństwie na dzwonnice. Słowem: wszystko,

o czym rozmawiałem z bratem Jorgem. Widocznie prawnicy mają swoje utarte szlaki, którymi komunikują się z otoczeniem w specyficznym języku.

Przesłuchanie było koszmarnie długie i męczące, i w kółko pytali o to samo, zmieniając czasem ton, czasem odwracając szyk zdania, jakby to miało mnie skłonić do zmiany wersji. Po wszystkich tych pytaniach, które zawierały w sobie milczące, a niekiedy i jawne oskarżenia, pytania mógł zadać mi brat Jorge.

– Antonio, czy jest ci znane tajne, podziemne przejście łączące kościół i dzwonnice? – Nie odwracał się w moją stronę, kiedy to mówił.

– Nie, ojczu. Nigdy go nie widziałem – mówiłem zgodnie z prawdą.

– Przypomnij sobie, Antonio – nalegał brat Jorge. – Może któryś z braci opowiadał ci o nim?

– Nie. Nie słyszałem o nim od nikogo – zaprzeczyłem.

– A czy twój patron nie zaprowadził cię tam któregoś dnia? – obrońca nie dawał za wygraną, choć nie wiedziałem, dlaczego tak się przy tym upiera.

– Nie. Nigdy tego nie zrobił – powiedziałem, patrząc w zimne oczy brata Armanda.

Teraz mam jeszcze na to siłę...

Potem brat Jorge pytał mnie, dlaczego w ogóle wróciłem ze schodów segmentu pod dzwonnice i dlaczego nie gasiłem ognia. Były to kwestie oczywiste, ale sędziom w ich zapamiętaniu i mściwym szale mogły umknąć.

W miarę tego przesłuchania, które zdawało się ciągnąć w nieskończoność, a sędziowie często powracali do kwestii, o które przed chwilą pytali, chociaż moje odpowiedzi były takie same, zaczynałem się zastanawiać, co my tu wszyscy robimy i po co cały ten teatrzyk, dla kogo te występy? Czyż nie lepiej było skazać mnie w trybie doraźnym? Beze mnie, a tylko doprowadzić mnie na wykonanie kary? Ileż zaoszczędziłoby to sędziom zachodu i czasu! Po co ten sąd kapturowy? Bo z pewnością nie dla mojego dobra. To przeor, nie mój mistrz, chciał tego sądu. Z jakiegoś powodu. Wiedział, kogo doń powoła. To trening, ćwiczenia dla jego ukochanego ucznia przed

prawdziwymi procesami w prawdziwych świętych trybunałach...
Przeszedł mnie dreszcz...

W końcu po kilkugodzinnych pytaniach moje przesłuchanie dobiegło końca i pozwolono mi usiąść. Wielu z braci w trakcie rozprawy opuściło salę zgromadzeń kapituły – jak sądzę, ze względu na swe obowiązki w klasztorze lub zmęczenie i zwykłą nudę. Co dla nich, niezainteresowanych, może oznaczać mój proces? Rozrywka to to nie jest. Raczej mroczna, posępna nuda. Na sali pozostała garsteczka przychylnych mi braci i paru ciekawskich. No i oczywiście brat Ricardo i brat Oscar, jako wielbicieli Świętej Inkwizycji i brata Armanda.

W pewnej chwili przeor wstał i ogłosił, że na tym zamyka dzisiejszą rozprawę. W dniu jutrzejszym zaś zapadnie decyzja co do dalszych przesłuchań.

Ledwie żyw opuszczałem kapitularz u boku zamyślnego i milczącego brata Jorgego. Czułem, jakby ktoś nalał mi wody do głowy, która to woda utrudniała mi myślenie. Zmęczenie odpowiadaniem na setki pytań dawało o sobie znać. Z pewnością mój obrońca także był znużony.

Wyszliśmy na upalne, jasne słońce Hiszpanii i przez chwilę kąpałem się w jego promieniach niczym dziecko, wystawiając ku niebu mimo wszystko uśmiechniętą twarz. Odniosłem nawet wrażenie, że cały ten proces i moje obawy, co zalegają mi tysiącem cieni na dnie serca, zostały w mroku sieni za drzwiami prowadzącymi do sali zgromadzeń kapituły. Odetchnąłem głęboko. Powietrze było duszne, gorące i wyczuwało się w nim wszechobecną woń usychających płatków róż, co obficie padały na alejkę przed wejściem do budynku, w którym znajdował się kapitularz, a nad nim parlatorium. Jakże inne i przyjemne było to powietrze od panującego w grubych, kamiennych murach sali kapituły chłodu i wilgoci, które same w sobie były już przygnębiające i mroczne. A przynajmniej takimi mi się wydawały w tamtej chwili, gdy stałem na trawniku małego dziedzińca, a źdźbła trawy łobuzersko łaskotały mnie w stopy pomiędzy rzemykami sandałów. Dotąd nie zwracałem uwagi na takie drobne rzeczy i jeszcze nigdy nie sprawiły mi one takiej przyjemności... Być może umysł mój bronił się przed szaleństwem, o które z pewnością przyprawi go ten proces i wyrok,

i wynajdywał sobie zastępczy temat, byle na czas jakiś – nawet upiornie krótki – zająć myśli czymś innym, miłszym i cieplejszym.

– Antonio... – cichy głos brata Jorgego natychmiast sprowadził mnie z powrotem na ziemię.

Otworzyłem oczy i odwróciłem ku niemu ogrzaną słońcem twarz. Stał przede mną na trawniku, a z kapitulacza wychodzili właśnie przeor i brat Armand, który posłał mi przelotne spojrzenie, jednak nic nie dało się z niego wyczytać.

– Antonio, idź odpocząć – powiedział brat Jorge, gdy sędziowie przeszli dalej alejką róż. – Jutro czeka nas kolejny ciężki dzień. Prześpij się.

– Nie zasnę, ojciec – odpowiedziałem, czując, jak ze strachu zaciska mi się krtań na samą myśl o jutrzejszym i kolejnych dniach procesu.

– Zaśniesz. – Brat Jorge kiwnął głową. – Szybciej, niż ci się zdaje. Zmęczenie po dzisiejszym przesłuchaniu zrobi swoje. Idę popracować nad sprawą. Będę do wieczora w swojej celi, gdybyś czegoś potrzebował.

Podziękowałem bratu Jorgego za dzisiejszy dzień i rozejrzałem się po dziedzińcu w poszukiwaniu znajomych i przychylnych mi twarzy. Juan i Alejandro stali obok budynku pralni i czekali cierpliwie, aż skończę rozmawiać z obrońcą.

Jakże przyjemnie było ich uściskać, a potem poszliśmy do kuchni, zapytać *padre* Gregorio, czy nie zostały jakieś resztki z obiadu. Głód ściskał mi żołądek w supeł, ale dopiero teraz mogłem to odczuwać. Na sali rozpraw czas płynie inaczej, a ludzkie potrzeby nie dochodzą do głosu, onieśmiałe powagą sytuacji i strachem, co więzi je głęboko poza świadomością i zdolnością odczuwania. A to dopiero pierwszy dzień!

Brat Gregorio zostawił dla nas trzech porcje obiadu, jakby czytał w naszych myślach, ale usadowił nas przy stole w kuchni, bo w refektarzu spóźniony obiad podał przeorowi, bratu Armandowi i bratu Constantino, a słusznie się domyślał, że niechętnie usiądę z nimi do stołu w tym akurat momencie. Jeśli po procesie jeszcze w ogóle. Kiedykolwiek...

Bracia kucharze szykowali już kolację, choć do nieszporów

pozostała jakaś godzina czasu, może trochę mniej.

– I jak wam poszło? – zapytał *padre* Gregorio ściszym głosem.

Stał po przeciwnej stronie stołu, opierając na blacie obie dłonie, i pochylał się w moją stronę. Wzruszyłem ramionami.

– Chyba nie najlepiej – przyznałem.

– Ten twój patron to skończony dureń! – Brat Gregorio uderzył pięścią w blat, aż talerze i sztućce podskoczyły.

– Ojcie! – Wystraszyłem się, aby brat Armand nie usłyszał z refektarza tej rozmowy.

– Co? – obruszył się *padre* Gregorio. – Dureń i tyle! Naczytał się tych swoich ksiązek, ale rozumu nie ma w głowie za grosz!

Wszyscy trzej z Juanem i Alejandrem otworzyliśmy oczy ze zdziwienia.

– Dzieci! – Brat Gregorio popatrzył na nas z politowaniem. – Jestem tu od bardzo dawna. Starszy jestem dużo od tego waszego Armanda i ten wasz Armand: cóż on mi może zrobić? Każe mnie przeorowi wychłostać? – Brat Gregorio uśmiechnął się pobłaźliwie, a mnie rozbawiło wyobrażenie sobie tej sceny, zaś *padre* Gregorio mówił dalej: – Pamiętam go jako nieopierzonego młokosa, pokornie kłaniającego się każdemu i na każdym kroku. Dopiero Torquemada go wyszkolił, wykształcił i zrobił zeń potwora, którym Armand jest do dziś. Posiadana wiedza uczyniła go aroganckim. Ale powinien wiedzieć, że sama wiedza to jeszcze nie jest mądrość. I właśnie mądrości mu brakuje, skoro toczy się ten proces. – Pokręcił z irytacją głową.

Zapadło milczenie, w trakcie którego kucharz i *padre* Gregorio doglądali gotującej się na ogniu kolacji.

– Nie wiem, czy mogę ci jakoś pomóc, Antonio, ale jeśli tak, możesz na mnie liczyć. Zawsze. – Brat Gregorio wytarł sobie ręce ścierką i znów oparł dłonie o blat stołu.

Za zamkniętymi drzwiami kuchni dał się słyszeć hałas i ściszone głosy.

– Skończyli jeść – podsumował *padre* Gregorio i podszedł do okna kuchni wychodzącego na mały dziedziniec. – Możecie posprzątać – zwrócił się do swoich dwóch pomocników, braci kucharzy, którzy pospiesznie udali się do refektarza na piętrze.

Gdy i my we trzech opuściliśmy po jakimś czasie kuchnię, poczułem w sobie zmęczenie. Brat Jorge miał rację, każąc mi się wyspać. Po nieszporach udałem się więc prosto do swej celi, modląc się, aby brat Armand nie zawołał mnie „po coś tam” oraz aby do nocy niczego ode mnie nie chciał. Pożegnałem się z Juanem i Alejandrem, którzy obiecali jeszcze raz, że nie zostawią mnie samego w trakcie tego procesu, i zapewnili o swojej przychylności. Chcieli ze mną posiedzieć, ale ja muszę się wyspać. To jedyne, czego w tym momencie chcę. Snu.

Odkładam już pióro. W klasztorze właśnie kończy się kompleta i słyszę, jak bracia rozchodzą się do swoich cel, drepcząc po białych i czarnych, wyświechtanych ich podeszwami chochlakach, zasypanych uschniętymi płatkami róż. W ciemności zapewne migoczą światełka oliwnych lampek. Brat Armand nie pojawił się na komplecie ani nawet na kolacji. Wrócił do swej celi zaraz po nieszporach i już stamtąd nie wychodził. Nie śpi. Słyszę, jak chodzi wolno po pokoju. W ciszy klasztornej skrzypienie desek brzmi ogłuszająco. Bez wątpienia przygotowuje się do jutrzejszej rozprawy. Nad czym jednak myśli? Przecież z jego punktu widzenia wszystko od dawna jest jasne.

Mam nadzieję, że brat Gregorio myli się co do mojego mistrza. Liczę bardzo na jego mądrość w orzekaniu. Tylko jednak na mądrość. Bo na miłosierdzie liczyć nie mogę...

16 września. Wieczorem

Ostatnie dwa dni upłynęły w całości zajęte procesem, który dziś dobiegł końca.

Przedwczoraj przez kilka godzin zeznania składał brat Armand. Przeor zamierzał, zgodnie z procedurą inkwizycyjną dziś obowiązującą w sądach świeckich, nie dopuszczać dowodu z tych zeznań na rozprawie. Argumentował to tym, że przecież wszystko jest w zeznaniach z inkwizycji specjalnej, czyli ze śledztwa, po co więc w generalnej jeszcze raz to samo omawiać. Ale sędzia Manfred chciał usłyszeć, co mistrz mój ma do powiedzenia, i brat Jorge nie chciał się zgodzić na zaniechanie przesłuchania pokrzywdzonego na rozprawie, tym bardziej że obrońca został ustanowiony po złożeniu zeznań przez brata Armanda w śledztwie, więc nie miał możliwości zadawania mu pytań. *Padre* Torquemada był zły jak nie wiem, ale ostatecznie po naradzie z moim mistrzem i bratem Constantino się zgodził. Myślę, że wolał to zrobić, niż ryzykować, że sędziowie municypalni nie zatwierdzą wyroku z tak błahej przyczyny. A jemu zależy, z jakiegoś powodu, aby wyrok był uznany przez trybunał miejski. Brat Jorge powiedział mi po cichu, że przeor wyraził zgodę tylko ze względu na sędziego Manfreda, że jeśli o obronę chodzi, nie przystałby na nasze żądania. Obawiam się, że i tym razem mój obrońca miał rację.

Brat Armand zaczął niewinnie i z poważną miną:

– Bóg mi świadkiem, drodzy bracia, że nie chcę krzywdy Antonia, i jeśli jest niewinny, niech Bóg powstrzyma moją rękę przed podpisaniem wyroku skazującego. Jednakże nie znajduję powodów, aby uwierzyć w jego niewinność.

W następnej kolejności brat Armand roztoczył przed zgromadzonymi w kapitularku braćmi oraz przed sędzią Manfredem wizję, jakim to byłem niewdzięcznym i nieposłuchanym uczniem. Opowiadał o kłótniach, do których ograniczały się w zasadzie nasze relacje, o tym, że był zmuszony do proszenia przeora o zdyscyplinowanie mnie, gdyż jego nauki i prośby oraz tłumaczenia do

mnie nie trafiały. Jego zdaniem od samego początku nie chciałem być mnichem i stąd mój lekceważący stosunek do niego jako mego opiekuna i patrona. Opowiedział o chłóście, którą dostałem, i o pogłębiającym się rozdźwięku między nami. Wreszcie przeszedł do naszej ostatniej kłótni, w której między innymi wykrzychałem mu prosto w twarz, i to po raz drugi, że go nienawidzę, czym złamałem przykazanie miłości, nie mówiąc już o regule naszego zakonu, a także opowiedział o zarządzonej wobec mnie chłóście, której bardzo się bałem, a o której dowiedziałem się w dniu zamachu na jego życie. I tak, jak brat Jorge przypuszczał, zdaniem mego mistrza to właśnie w obawie przed chłostą i w chęci jej uniknięcia tkwi motyw, dla którego podpaliłem dzwonnice, aby go zabić.

– Wiedział, że tam będę – mówił o mnie brat Armand. – Słyszał, jak przeor polecił mi sprawdzić po nabożeństwie, w jakim stanie są dzwony. Razem z Antoniem we dwóch wyszliśmy z kościoła i pod dzwonnice się rozstaliśmy. Stałem pod jej drzwiami, a w ręku miałem do niej klucz. Antonio wiedział zatem, że będę na górze oglądał dzwony. Ja poszedłem na dzwonnice, on miał iść do swojej celi. Ale dokąd poszedł naprawdę, nie mam pojęcia. Wchodziłem na dzwonnice krętymi schodami. Zatrzymałem się na jednym ze stopni, aby obejrzeć większy z dzwonów. Stojąc na samym prawie szczycie schodów i mając przed sobą wielki dzwon, nie widziałem, co się dzieje na dole, że tuż przy fundamentach dzwonnica płonie. Dopiero gdy poczułem dym, zszedłem kilka stopni niżej i zobaczyłem: podłoga była morzem płomieni. Ściany także się paliły. Tylko kamienna płyta, będąca wejściem do podziemi, nie paliła się, co oczywiste. Wszedłem zatem na szczyt schodów, a stamtąd na galeryjkę, żeby zobaczyć, czy uda mi się zeskoczyć z niej na dziedziniec, ale wysokość była za duża. I wtedy zobaczyłem Antonia. Stał obok dzwonnicy, nieopodal wejścia i patrzył na mnie. Nie krzychał po pomoc, nie gasił płomieni. Nawet nie był przerażony czy zaskoczony tym, że się pali. Jakby on sam był sprawcą tej pożogi. Oprócz niego nie było w pobliżu nikogo innego. Czas naglił, płomienie sięgały coraz wyżej i wiedziałem, że muszę coś zrobić, bo inaczej spłonę żywcem. Zdecydowałem się zejść na dół, przedrzeć się przez płomienie, które zajęły już połowę schodów, otworzyć właz do podziemi i uciekać korytarzem w stronę kościoła. Na dole było niemiłosiernie gorąco.

Spadały na dół belki z palących się schodów. Nie udało mi się zejść, bo przepalone schody zawaliły się pod moim ciężarem i runąłem wraz z nimi w płomienie. Zerwałem się na równe nogi szybko, aby dostać się do wjazdu. Gasilem kutę, która zajęła się ogniem. W ciemnym dymie i wśród płomieni niewiele mogłem zobaczyć, ale jakoś udało mi się otworzyć kamienną klapę ciosaną z piaskowca i zacząłem schodzić po schodach w dół. Obejrzałem się na dzwonnice, ale cała była już w płomieniach. Szybko zamknąłem za sobą wjazd i wszedłem do korytarza. Kuta tliła się w kilku miejscach, więc ją zgasiłem po drodze. W podziemiach było ciemno, ale drogę znałem na pamięć. Przystanąłem tylko na chwilę, aby odetchnąć i ochłoniąć, bo to podpalenie było dla mnie najbardziej niespodziewaną rzeczą na świecie! Nigdy, przenigdy nie podejrzewałbym Antonia, że przyjdzie mu do głowy coś takiego! Kiedy się trochę uspokoiłem i ochłoniłem, wyszedłem z podziemi do sieni kościoła, a stamtąd na zewnątrz. Dalej, wiecie już, co było – zakończył.

Widziałem, że Camilo bardzo się starał skrupulatnie notować wszystko, co powtarzał za moim mistrzem przeor po łacinie. Być może bał się, że jeśli coś z tej opowieści uroni, jemu również coś zarzucą. Współczułem mu tej roli, w jaką został przymusowo wmanewrowany, i widziałem po jego minie, że najchętniej uciekłby stamtąd gdzie pieprz rośnie.

Sędziowie nie mieli pytań do mego mistrza. Kilkadziesiąt zadał sędzia Manfred, ale w zasadzie wszystkie dotyczyły tego, o czym mistrz już powiedział, więc nie warto ich nawet tu przytaczać. Kiedy udzielono głosu obronie, którego wszak tak bardzo się domagała, widziałem, że brat Armand westchnął, najwyraźniej już znużony wielogodzinnymi zeznaniami.

– Bracie Armandzie – zaczął brat Jorge – czyś kiedykolwiek słyszał, aby Antonio chciał cię zabić?

– Nie. Nie słyszałem – przyznał mistrz.

– Nie wykrzyczał ci tego w kłótni? Nie doniósł ci o tym któryś z mnichów? – dopytywał brat Jorge.

– Nie. Nigdy nie było takiej sytuacji. – Brat Armand spojrzał na mnie chłodno, ale bez cienia złości.

– A czy kiedy stojąc na galerijce dzwonnicy, zobaczyłeś, bracie, Antonia pod dzwonnica, czyś widział w jego ręku pochodnię? – Mój obrońca starał się ratować mnie za wszelką cenę, ale i on, i ja wiedzieliśmy, że sprawa jest przegrana.

– Nie miał w ręku pochodni – odpowiedział brat Armand.

– A może leżała gdzieś przy nim na ziemi? – pytał brat Jorge.

– Nie widziałem, aby coś przy nim leżało, ale mogłem jej nie zauważyć. – Mistrz był pewny swego.

– A czy w takim razie po ugaszeniu zgliszczy dzwonnicy znaleźliście niedopaloną pochodnię? Jedną lub więcej? Czy leżały gdzieś w pobliżu zgliszczy? – brat Jorge mówił cierpliwie i nie dawał za wygraną.

– Nic takiego nie znaleziono – powiedział cicho Archanioł, jakby był zaskoczony, ku czemu zmierzają te pytania. – Moim zdaniem dzwonnica została podpalona od środka.

– Też tak uważam, bracie Armandzie – zgodził się z nim brat Jorge. – Ale w takim razie zauważyłbyś, że Antonio wszedł do niej.

– Tak... – Archanioł skinął głową trochę bez przekonania. – Ale mógł też uchylić lekko drzwi i wrzucić pochodnię do środka. Drzwi otwierają się na zewnątrz. Wówczas bym go nie zauważył – mistrz bronił swego poglądu.

– Owszem – przyznał brat Jorge. – Ale powiedziałeś, bracie, że gdy stałeś na schodach, podłoga dzwonnicy była morzem płomieni. Czy mamy przez to rozumieć, że jej podstawa i wszystkie cztery ściany paliły się równomiernie?

– Tak. Przynajmniej tak to wyglądało – odpowiedział Archanioł.

– Czy twoim zdaniem, bracie Armandzie, jest możliwe, aby podstawa dzwonnicy paliła się tak równomiernie od jednej pochodni? I w dodatku rzuconej szybko, byle jak przez uchylone drzwi? – Na dźwięk tego pytania, zadanego przez mego obrońcę, *padre* Torquemada poruszył się niespokojnie.

Brat Armand zastanowił się chwilę, najwyraźniej zbity z tropu.

– Kiedy teraz o tym myślę, bracie Jorge, dochodzę do wniosku, że faktycznie, musiało być więcej pochodni – mistrz mój powiedział to powoli, zastanawiając się. – Tak. Masz rację, bracie. Od jednej pochodni

dzwonnica nie paliłaby się tak szybko i w taki sposób.

Zdziwiła mnie ta zmiana w zachowaniu mego mistrza. Rozpoczął zeznania z ubolewaniem nad moim losem. Fałszywym, to oczywiste, ale jednak. Składał je z determinacją i pewnością siebie. Teraz zaczynał się zastanawiać... Może także wątpić w swoją teorię?... Nie. Tej nadziei za nic na świecie nie ośmieliłbym się w sobie rozpaść.

– A zatem – kontynuował brat Jorge – chcesz, bracie Armandzie, powiedzieć, że Antonio paradował przez cały dziedziniec z czterema zapalonymi pochodniami w rękach i nikt tego nie zauważył? Zwłaszcza że był to czas, kiedy bracia rozchodzili się po modlitwie?

– Nie wiem, jak Antonio to zrobił... – Brat Armand był coraz bardziej zdezorientowany, a mnie coraz przyjemniej było na to patrzeć.

– A czy nie sądzisz, bracie, że aby w taki sposób podpalić dzwonnice, sprawca musiał to przemyśleć? – dążył dalej brat Jorge.

– Z pewnością. Miał na to czas przez nabożeństwo. – Mistrz wrócił do swej dawnej pozy, pełnej przekonania co do słuszności swych twierdzeń.

– Czy nie wydaje ci się, bracie Armandzie, prawdopodobne, że pochodnie wrzucono do wewnątrz z podziemnego korytarza? – zapytał brat Jorge głośniejszym głosem niż poprzednio, a wśród obecnych w kapitułarzu przeszedł szmer.

– Nie wiem, bracie Jorge. – Teraz Archanioł był rozdrażniony. – To możliwe. Antonio ostatnio coś o tym wspominał.

Niesamowite, jak szybko zmieniają się nastroje i oblicza u brata Armanda! Chwiejny, a przez to niebezpieczny to człowiek! I jakże niebezpieczny będzie z niego inkwizytor! Kiedy od jego nastroju zależeć będą wyroki śmierci... Wzdrygnąłem się.

– A czy kiedykolwiek pokazywałeś, bracie, Antoniowi tajne przejście z kościoła do dzwonnicy? – zapytał brat Jorge.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział szybko brat Armand. – Jak zapewne wiesz, bracie, nowicjusze nie są o tym informowani, bo zawsze mogą opuścić klasztor i nie składać ślubów. Chociaż w tym momencie to już żadna tajemnica, skoro na sali znajdują się nowicjusze – dokończył z sarkazmem.

– Dziękuję. Nie mam więcej pytań – brat Jorge zakończył

przesłuchanie z wyraźną satysfakcją w oczach i zajął swoje miejsce w ławie obrończej.

– Ale to nie znaczy, bracie Jorge, że inny z braci nie mógł Antoniowi pokazać podziemnego przejścia – dodał z nienawiścią brat Armand. – I chociaż twoja teoria jest logiczna, nie wyklucza ponad wszelką wątpliwość udziału Antonia w tej zbrodni. – Po tych słowach usiadł na swoim miejscu.

I tak zakończyło się przesłuchanie pokrzywdzonego w naszej wielkiej klasztornej sprawie o władzę i popularność w Santa Cruz. Bo czymże, jeśli nie popisem siły, zdobytej pozycji i przychylności *padre* Torquemady jest ten proces? Tu wcale nie chodzi o moją winę. Ani o odpowiedzialność za zbrodnię. Ale o urażoną dumę Archaniola. A ta rozdmuchana jest do wszelkich możliwych granic!

Mimo to przedwczoraj wyszedłem nieco podbudowany z rozprawy. I brat Jorge także jakby się uśmiechnął. Do późna siedzieliśmy z Juanem w celi Alejandra i rozmawialiśmy, analizując zachowanie mego mistrza.

Mistrz... Dziwnie brzmi to słowo w moich myślach, zwłaszcza teraz, gdy tyle się wydarzyło... Czy nadal mogę i czy powinienem nazywać brata Armanda mistrzem? Bo moim patronem jest tylko formalnie. Ale czy jest dla mnie wzorem do naśladowania? Nauczycielem? Czy jest w nim coś, co sam chciałbym mieć? Jakaś cecha? Wiedza? Umiejętność? Czy może mnie czegoś, poza wyniosłością i pychą, nauczyć?

Może. I jest mistrzem w jednej dziedzinie, która jest jego prawdziwym powołaniem. W medycynie. Jako lekarz był i zawsze będzie dla mnie wzorem, obawiam się, zważywszy na ten proces, że niedoścignionym. Ten dar: umiejętność leczenia ludzi, intuicja, wiedza medyczna i wprawne ręce – to jego powołanie i przeznaczenie, prawdziwy talent i Boży dar. Jaka szkoda, że dar ten się zmarnuje! Przez ambicję, żądzę krwi, władzy i indoktrynację Torquemady...

Wczorajszego dnia przeor uznał wszystkie zeznania świadków w śledztwie za wiarygodne, z czym zgodził się sędzia Manfred i nikt nie był już słuchany. Jednak na to posiedzenie sądu kapturowego przyszedł dość nieoczekiwanie brat Domingo, chociaż nikt go nie wzywał. Nagle

wstał, podszedł bliżej do ławy sędziowskiej i zwrócił się do składu orzekającego:

– Idźcie do domu, dzieci, bo wam jeszcze w piasku zabawa, a nie wymierzanie sprawiedliwości. I nie bawcie się w Boga, bo pobawi się z wami diabeł!

Wśród sędziów zapanowało oburzenie. Przeor wstał, a jego twarz cała płonęła ze złości. Ale nie ośmielił się nakrzyczeć na starca i mędrca tego opactwa, człowieka uważanego za wielce bogobojnego i uczonego w Piśmie Świętym, więc powiedział tylko:

– Bracie Domingo, zajmij łaskawie miejsce na widowni i pohamuj się przed wypowiedziami, bo nie udzielono ci głosu, a trybunał jest teraz zajęty – wycodził przez zęby każde słowo.

– Nie będziesz mi, Tomaszu, mówił, kiedy mogę się odezwać – zgromił go ze spokojem brat Domingo. – Bo w pieluchach leżałeś, kiedy ja nauczałem już teologii w tym klasztorze. Choć żywi, już potępieni jesteście! – dodał lodowato i donośnie, a potem powoli wyszedł, nie patrząc już na nikogo i nie czekając na odpowiedź brata Torquemady.

Sędziowie dyskutowali między sobą o tym ze wszech miar niepokojącym dla nich wydarzeniu, a brat Jorge odwrócił się do mnie i na chwilę uśmiechnął się z satysfakcją. Takie nasze małe, zupełnie nieoczekiwane zwycięstwo nad przyszłym Inkwizytorem Generalnym i jego świtą.

Po wyjściu *padre* Domingo przeor zamknął przewód sądowy i posiedzenie oraz ogłosił, że sąd udaje się teraz na naradę. Ogłoszenie wyroku przewidziano na dzień kolejny, czyli na dziś.

Z nerwów nie mogłem usiedzieć w swej celi, więc do późna w ciemną noc włóczyłem się z Alejandrem i Juanem po opactwie. Tylko lampki oliwne przemieszczające się bez celu między kolumnami alejek zdradzały naszą obecność.

W celi brata Torquemady paliły się świece, więc zapewne tam się naradzali. Mieliśmy nadzieję, że będzie to gabinet przeora, wówczas moglibyśmy usłyszeć ich dyskusję przez otwór w ścianie, a tak, przy zamkniętym oknie celi znajdującej się na pierwszym piętrze segmentu, niczego nie mogliśmy się dowiedzieć. Musieli nas widzieć z okna, jak krążymy po klasztorze po ciemku.

A oczekiwanie było nieznośne i szarpało szponami drapieżnego, nienasyconego ptaka i tak już umęczoną moją duszę. Ogarniało mnie przygnębienie, tym większe, że niepodobieństwem było, aby ci trzej tak nieprzychylni mi sędziowie wydali wyrok uniewinniający.

Przez uchylone drzwi do skryptorium zawołał nas do środka brat Santiago. Weszliśmy we trzech. Wewnątrz przy mdłym blasku kilku pojedynczych świec siedzieli brat Alvaro, brat Jorge, brat Santiago, Mateo i brat Martin. Także nie spali.

– Widzieliśmy, jak spacerujecie – odezwał się brat Martin.

Usiedliśmy między nimi. Spojrzałem nerwowo na sklepienie skryptorium, nad którym po zmroku w czytelni zazwyczaj przesiadywał Ricardo, dziś brat Ricardo.

– Ricardo już tu nie przychodzi. – Brat Jorge podążył za mną wzrokiem. – Po złożeniu ślubów ma prawo zabierać książki do swojej celi i tak też robi.

– A brat Oscar? – zapytałem. – On prawie mieszkał w bibliotece.

– Zlikwidowaliśmy jego mieszkanie. – Brat Santiago uśmiechnął się. – Został poproszony, aby tu więcej nie przesiadywał, gdyż szkodzi księgom. Burzył się, ale nie ma takich kontaktów z przeorem, aby się mu poskarżyć. Zrobiliśmy tak zaraz, jak zaczął zdradzać swoją sympatię do Armanda. Tutaj, Antonio, nikt nie wierzy w to, co twój patron rozpowiada. – Powiódł wzrokiem wśród zgromadzonych.

Wyglądaliśmy jak tajne sprzysiężenie, co zbiera się nocą przy wątych świecach, by knuć plany obalenia tyranii.

– I pamiętaj, że z tobą jesteśmy – wtrącił Mateo.

– To za mało – przerwał brat Jorge. – Nic mu nasza wiara w niego nie pomoże, jeśli wydadzą wyrok skazujący, a miejscy sędziowie go zatwierdzą. Nic nie zrobicie. Wiąże nas wszystkich przysięga wierności i posłuszeństwa Torquemadzie.

– Ale nie Armandowi – zauważył brat Alvaro.

– Z Armandem nie wygracie – skwitował gorzko brat Jorge. – Walczyłem z nim, gdy był on jeszcze w nowicjacie, ale to jemu, nowicjuszowi, przyznał rację przeor. Przez te lata jego pozycja się umocniła. Torquemada wolałby sobie odciąć rękę, niż dać skrzywdzić swego ukochanego ucznia, którego traktuje jak własnego syna.

– Ale przecież nie mogą go skazać! – Mateo wstał. – Nie mają dowodów! Wszyscy o tym wiedzą! – W blasku świec jego twarz była rozpalona, a oczy rozgorączkowane, błyszczące.

– Mogą skazać Antonia – powiedział cicho brat Santiago. – I z pewnością to zrobią, bo nie mają przeciwdowodu.

– Sąd miejski nigdy nie zatwierdzi takiego wyroku – wtrącił brat Martin oburzony. – Poza tym ja wierzę jeszcze w rozważę Armanda. Widzieliście, jak zaczął się wahać, gdy obrona zadawała mu pytania? Może się zastanowi jeszcze i dojdzie do jakichś logicznych wniosków.

– Armand robi to, co mu Torquemada każe. – Słowa brata Jorgego pozbawiały nas wszystkich złudzeń. – Przeor zapewne coś mu obiecał i Armand nie ma wyjścia. Jego ambicje nie znają granic i żeby je nasycić, użyje każdego środka. A ciebie, Antonio, najłatwiej przyjdzie mu poświęcić. Teraz ruch należy do nich. Ale zanim wyrok zatwierdzą sędziowie miejscy, minie przynajmniej kilka dni. Wtedy trzeba porozmawiać z Armandem i z przeorem – zakończył cicho.

– Będą mogli cofnąć wyrok? – Słyszałem w głosie Alejandra tę samą nadzieję, która zatliła się i w moim sercu.

– Nie – odpowiedział szybko brat Jorge. – Nie mogą cofnąć wyroku. Sędziowie miejscy mogą go tylko nie zatwierdzić. Wówczas i tak sprawa będzie rozpoznawana od początku, bo wydano akt oskarżenia i jakiś wyrok zapaść musi. Ale przeor po zatwierdzeniu wyroku może zastosować prawo łaski. I o to trzeba się będzie starać. Jeśli pójdziemy wszyscy, może coś uda się wskórać. Ale rozmawiać trzeba najpierw z Armandem, bo Torquemada ma do niego słabość. Jeśli Armand odpuści i przestanie czuć się urażony, może przeor też odpuści i zastosują prawo łaski – zakończył, patrząc na mnie. – Relegują cię z klasztoru, Antonio, to pewne. Ale będziesz żył. Teraz jednak nie liczyłbym na uniewinnienie. To pokazówka.

– A brat Constantino? – zapytał Juan. – On też wyda wyrok.

– Constantino to pionek, który ma nadzieję stać się kimś ważnym – podsumował brat Jorge. – Chce skorzystać na tym procesie i znów wkraść się w łaski Torquemady. Ale przeor nie jest głupi. Potrzebuje teraz Constantina. Wykorzysta go do wydania wyroku, a potem odsunie, jak to już kiedyś zrobił. Nim nie musimy się martwić, bo jego zdanie nie

będzie miało znaczenia przy stosowaniu łaski. Żadnego.

Słowa brata Jorgego, choć gorzko i uderzająco prawdziwe, niosły jednak promyk nadziei i mimo wszystko dodawały otuchy. Siedzieliśmy tak do samej jutrzni i na wołanie brata Constantino ruszyliśmy wszyscy na poranną modlitwę. Ja i tak bym nie zasnął. Nie dziś. Ale miłe ze strony braci było, że dotrzyмали mi towarzystwa w tę straszną, pełną obaw i wątpliwości noc.

Kiedy spieszyliśmy ze skryptorium na jutrznię, wszyscy trzej sędziowie wychodzili z segmentu przeora. Naradzali się więc do rana!

Usiadłem w ławce obok brata Armanda, jakby nigdy nic. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd wydawało mi się to wynaturzone i potworne. Nie odzywał się do mnie ani słowem. Widać było po nim tylko, że jest zmęczony. Ale poza tym jego twarz nie zdradzała jakichkolwiek uczuć czy emocji, z których mógłbym wnioskować, jaki ustalili wyrok i czy w ogóle podjęli już decyzję. Zbliżała się jednak godzina jego ogłoszenia i strach płomieniem palił mi wnętrzości.

Nie mogłem skupić się na modlitwie i tylko mamrotałem z pamięci słowa liturgii godzin, nie zastanawiając się nad ich sensem. Trzęsły mi się ręce, gdy czyniłem nimi znak krzyża, a głos co chwila się łamał, bliski płaczu, gdy przypomiiałem sobie, co mówił o wyroku brat Jorge dzisiejszej nocy. Nie mogłem oprzeć się głosowi rozsądku, że mój obrońca miał rację. Być może właśnie dlatego Archanioł nie odzywał się do mnie dzisiejszego ranka.

O godzinie dziesiątej brat Torquemada zebrał cały klasztor w sali zgromadzeń kapituły, aby mnisi w pełnym składzie wysłuchali wyroku sądu koleżeńskiego. Trząsałem się jak liść na wietrze, gdy stałem w oczekiwaniu na ogłoszenie sentencji. Brat Jorge starał się mnie uspokoić, ale to już nie pomagało. Oparłem dłonie na blacie ławy, żeby ukryć drżenie rąk. Widziałem, że brat Armand mi się przyglądał, a raczej patrzył na mnie, bo był zamyślony i to z pewnością nie mój roztrzęsiony obraz przesuwiał mu się przed oczami. Za to brat Constantino wydawał się usatysfakcjonowany naradą i treścią wyroku, którą wszak już znał.

Padre Torquemada w pewnym momencie wstał zdecydowanym ruchem, a rozmowy na sali natychmiast się uciszyły.

– Drodzy bracia! Panie sędzio! – zwrócił się grzecznościowo także

do prokuratora. – Sąd koleżeński Convento de Santa Cruz la Real w Segowii w składzie tu obecnym po całonocnej naradzie ustalił wyrok w sprawie nowicjusza Antonia Gabriel de Garcia oskarżonego o próbę zabójstwa swego patrona, czcigodnego brata Armanda Castellano de Corell. – Zrobił krótką pauzę, a mnie o mało serce nie wyskoczyło z piersi. – Zanim jednak przejdę do tego, co sąd postanowił, pozwólcie, iż powiem, że proces ten nie był łatwy, i decyzja, którą mieliśmy przed sobą, nie należała do prostych, o czym świadczy choćby długość narady. Wyważyliśmy wszystkie za i przeciw, rozważyliśmy wszystkie przeprowadzone dowody, a szczególnie mieliśmy na względzie młody wiek Antonia oraz Boski nakaz dawania zawsze drugiej szansy i wychowywania poprzez karę. Jednak mimo tych wszystkich okoliczności ten sąd, Antonio, uznał cię za winnego usiłowania zbrodni zabójstwa.

Na sali rozgorzała wrzawa, a mnie zrobiło się ciemno przed oczami. Ostatnim widokiem, jaki zapamiętałem, był zboląły wyraz twarzy przeora. Nie mogłem złapać tchu, tak mocno uderzało mi serce.

Boże! – pomyślałem. – jak to możliwe?!

Brat Jorge potrząsnął mną za ramię, a wzrok powoli mi wracał. W sali zgromadzeń kapituły bracia głośno dyskutowali pomiędzy sobą, ale przecież nie było to wszystko, co *padre* Torquemada w sprawie wyroku miał nam do powiedzenia. Pozostała jeszcze kara...

Przeor uderzył kilkakrotnie dłonią w blat ławy sędziowskiej.

– Uciszcie się, bracia! – krzyknął, a dyskusje umilkły. – Nie jesteście na targu, żeby przekomarzać się z orzeczeniem sądu! Nie macie na niego wpływu, możecie go tylko wysłuchać! A zatem proszę o ciszę, bo to nie koniec postanowień sądu. – Przeor spojrział chmurnie na zgromadzonych, a w kapitułarzu panowała już martwa cisza. – Drodzy bracia, w tej sprawie sąd nie dysponował pełnymi dwoma dowodami winy, czego wymaga prawo dowodowe do wydania wyroku skazującego. Pełny dowód stanowią na przykład obciążające zeznania dwóch pełnoletnich świadków. Aby wydać wyrok skazujący, należy dysponować dwoma pełnymi dowodami, a więc czterema zeznaniami obciążającymi. W niniejszej sprawie udało się uzyskać jedynie zeznania obciążające dwóch świadków. Dlatego też sąd zmuszony był wydać

wyrok z podejrzenia, a wymierzona kara będzie karą z podejrzenia, *poena suspicionis*. Wobec tego faktu, iż nie było pełnych dwóch dowodów winy, jak również z uwagi na młody wiek oskarżonego oraz fakt, że bratu Armandowi udało się ujść z życiem, sąd postanowił nie orzekać kary śmierci. Antoniowi zostanie wymierzona daleko łagodniejsza kara, aby wiedział, jak miłosierny jest ten sąd i Duch Święty, który nas, sędziów natchnął do jej orzeczenia. Zatem sąd postanowił skazać Antonia na relegowanie z zakonu dominikanów oraz całkowite oślepienie. – *Padre Torquemada* umilkł.

Usiadłem z wrażenia, ponownie czując, że brakuje mi tchu. Oślepienie! To chyba gorsze niż śmierć! Boże, zmiłuj się nade mną...

Słyszałem, że na sali dosłownie się zagotowało. Choć przeor bardzo starał się wszystkich uciszyć, jego próby spełzły na niczym i on także usiadł za ławą, czekając zapewne, aż minie pierwsze wrażenie, które wywołał ogłoszony przed chwilą wyrok. Wielu braci nie kryło oburzenia i jawnie wyrażali swoje niezadowolenie, nazywając sąd farsą i kpiną. Część siedziała cicho, w pełni akceptując, jak sądzę, werdykt Torquemady. Wśród tych ostatnich był brat Ricardo i brat Oscar, i brat Celestino też się nie wypowiadał. Również nic nie mówił brat José i brat Pedro oraz jego nowicjusz, Jesus de Villar.

W pierwszym rzędzie siedział zaś brat Domingo, wspierając ręce na swym starym i nieociosanym kiju służącym mu do podpierania się, i w skupieniu mierzył wzrokiem brata Armanda. I czekał. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że na coś cierpliwie czekał.

– Antonio, jeszcze nic straconego... – szepnął do mnie brat Jorge.
– Będziemy walczyć dalej.

Pokiwałem w odpowiedzi głową, ale bez przekonania. Wydaje mi się jednak, że do końca nie docierało do mnie, w jak rozpaczliwej sytuacji się znalazłem.

Kiedy rozmowy w sali nieco przycichły, przeor ponownie wstał i kazał mnichom uciszyć się. Na mnie nawet nie spojrział.

– Drodzy bracia, jakkolwiek może was bulwersować ten wyrok, bo wszyscy z pewnością lubicie Antonia, podobnie jak i ja, to jednak biorąc pod uwagę zbrodnię, jakiej oskarżony się dopuścił, zechciejcie zauważyć, że kara doprawdy jest łagodna. Abyście jednak nie myśleli, że

jako przeor wymogłem na pozostałych sędziach tę decyzję, oddam za chwilę głos bratu Constantino i bratu Armandowi, aby sami wypowiedzieli się, czy chcą wydać taki wyrok. Ja ze swej strony zapewniam was wszystkich, że wyrok ten jest zgodny z moją wolą i moim sumieniem i jako taki go podpisuję. – W tym miejscu brat Torquemada pochylił się i złożył pod sentencją wyroku swój podpis, a potem usiadł na swoim miejscu.

Wstał brat Constantino i wzięwszy głęboki wdech, powiedział:
– Tak. Tak zdecydowałem. To słuszny i sprawiedliwy wyrok. – Patrzył na salę twardo i dumnie, czyniąc użytek z władzy, której tak pragnął i którą wreszcie miał.

Potem brat Constantino podpisał się na karcie wyroku i usiadł za ławą. Po czym wstał brat Armand, ale nic nie mówił. Ogarnął wzrokiem najpierw salę zgromadzeń kapituły, a potem spojrzał na mnie. Nie wiem, czy będę w stanie opisać wszystkie uczucia, które malowały się na jego twarzy i w jego milczącym spojrzeniu. Przede wszystkim oczy miał nieszczęśliwe, udręczone i smutne. A twarz wyrażała wahanie i jakąś walkę, którą sam ze sobą toczył w duszy. Być może stoczył ją już raz w nocy, gdy zgodził się na taki wyrok, i widziałem, że toczył ją od nowa, gdy ustalony wyrok miał teraz potwierdzić i podpisać.

– Bracie Armandzie? – zapytał *padre* Torquemada, gdy po dłuższej chwili w zupełnej ciszy kapitułarza nie padły z ust Archanioła żadne słowa.

Ale mistrz mój nawet na niego nie spojrzał. Patrzył mi w oczy i wahał się. Długo. Niepokojąco długo nic nie mówił, aż zacząłem się zastanawiać, czy właśnie nie ważą się całe jego przyszłe losy... Odniosłem wrażenie, że oto w tej chwili siły dobra i zła mocowały się ze sobą w duszy mego mistrza, a te, którym przyzna rację, wybierze już na całe swoje życie. Jeśli wybierze dobro i mnie uniewinni, rozzłości przeora, zawiedzie jego nadzieje i prawdopodobnie nie zrobi kariery inkwizytora, ale zostanie tu, w Santa Cruz, by leczyć ludzi. Jeśli zaś wybierze zło i skaże mnie z zimną krwią, nie patrząc na nic, zrobi to, czego przeor po cichu odeń oczekuje, zda ten jego egzamin i karierę inkwizytora będzie mieć zapewnioną. Przed takim oto wyborem stał mój patron, nie zaś przed decyzją o mej winie czy niewinności. Ta kwestia

była w procesie sprawą drugorzędną.

– Bracie Armandzie, czekamy na odpowiedź – przeor po raz kolejny starał się wymóc na moim mistrzu decyzję, ale sam stracił już w głosie i w wyrazie twarzy dotychczasową pewność siebie.

A brat Armand nadal nic nie mówił... Wówczas to wstał brat Jorge i powiedział cicho:

– Armandzie, jeśli zaaprobujesz stanowisko przeora, wydasz na to dziecko straszny wyrok. – Wskazał ręką na mnie siedzącego za nim. – Antonio nie podpalił dzwonnicy. W głębi własnego sumienia dobrze o tym wiesz...

Mistrz mój spojrział na niego w milczeniu.

– Armandzie... – mówił brat Jorge łagodnie. – Zobacz, że tylko wy, sędziowie, dostrzegacie winę w Antoniu. Pozostali bracia są oburzeni wyrokiem. Zastanów się, dlaczego nie widzisz, że źle postępujesz? – przekonywał go mój obrońca.

– Bracie Jorge, to nie jest czas na mowę obrończą! – rzucił oschle przeor, gromiąc ojca de Llorente surowym spojrzeniem. – Nie udzieliłem ci głosu i nie jest to pora, abyś zabierał głos.

– A to nie jest trybunał Świętej Inkwizycji, bracie przeorze, aby obrona nie miała nic do powiedzenia – odparował niemal natychmiast brat Jorge w tym samym oschłym tonie.

– Zapominasz się, bracie Jorge! – zagrział przeor. – To niezawisły sąd, powołany zgodnie z prawem, a teraz chcesz wpłynąć na czynności sędziego! Nakłaniasz go do zdrady!

– Ten proces jest zdradą! – krzyknął brat Jorge. – I ten wasz sąd jest zdradą! – Uniósł pięść, jakby groził przeorowi i pozostałym sędziom. – Zdradą i obrazą Boga! A na czynności sędziego ty wpływasz, czcigodny przeorze, szachując brata Armanda stanowiskiem inkwizytora w przyszłych trybunałach!

Twarz przeora zrobiła się najpierw czerwona, potem zaś blada jak papier. Widziałem, że wrzała w nim złość, której słowa chyba nie potrafią oddać. Ale zanim zdążył odpowiedzieć coś bratu Jorge, mój obrońca, nie zważając wcale na gniew przeora, zwrócił się do mego mistrza:

– Armandzie, dokąd zmierzasz? Jeśli podpiszesz ten wyrok,

wejdiesz na drogę, z której nie będzie już odwrotu. Jeśli wybierzesz zło, na zawsze zapanuje ono nad twoim życiem. Potępisz na wieki swoją duszę, wiesz o tym.

Brat Jorge usiadł, a Archanioł spuścił wzrok. Gdy na powrót spojrzął na salę, zdumiała mnie przemiana, jaka się w nim dokonała. Dobrze mi znany lód był w jego oczach i w rysach twarzy, a wszelka walka i wahanie zniknęły, jakby nigdy ich nie było. Podjął decyzję...

– Tak – odpowiedział dźwięcznie i głośno, aby nawet ostatnie rzędy mogły go usłyszeć. – Wydany wyrok jest zgodny z moją wolą. Nie mam żadnych wątpliwości, że jest sprawiedliwy i odpowiedni do zbrodni, której mój uczeń się dopuścił. Będę się modlił, aby Bóg odpuścił mu grzechy. – To mówiąc, wziął leżące przed nim pióro, umaczał w kałamarzu i podpisał się pod wyrokiem.

Potem usiadł w ławie, zimny i dumny, a mnie zabrakło słów.

– A więc wybrałaś Inkwizycję, Armandzie – powiedział cicho brat Jorge, ze smutkiem i rozczarowaniem w głosie.

Wybrał. Wybrał karierę prawniczą i towarzystwo brata Torquemady. Wybrał podwoje piekieł, Lucyfera i potępienie wieczne. Poświęcił mnie, bo już nic dlań nie znaczyłem. Jeśli w ogóle kiedyś znaczyłem cokolwiek...

– Tak więc, bracia, wyrok został wydany jednomyślnie – podsumował przeor, udając, że nie słyszał ostatnich słów mego obrońcy. – Tym samym okazuję wszystkim sentencję. – Uniósł kartkę, zapisaną równo i podpisaną u dołu trzema sygnaturami.

Przeor był wyraźnie zadowolony i wcale tego nie ukrywał.

– Sędzio Manfredzie, tutejszy sąd składa na twoje ręce sentencję wyroku celem przedstawienia jej sędziom miejskiego sądu – powiedział po chwili brat Torquemada. – Prosimy jednocześnie o akceptację wyroku i uznanie w duchu miłosierdzia, iż orzeczona kara jest w tym przypadku wystarczająca i nie zachodzi potrzeba surowszego karania. – Przeor przekazał sędziemu świeckiemu kartę wyroku.

Sędzia wrócił do swej ławy i schował wyrok między inne dokumenty, pakując je wszystkie do skórzanej, sztywnej teczki.

I wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Do stołu sędziowskiego, wprost do Archanioła podszedł wolno brat Domingo, wspierając się na

kiju. Sala zgromadzeń kapituły zamarła w oczekiwaniu na to, co powie starzec. A minę miał pełną nienawiści i wzrok pałał dziwnym ogniem, o niebo gorszym niż poprzednio, kilka dni temu.

– Bądź od tej chwili przeklęty, Armandzie Castellano de Corell! – brat Domingo zagrzmiał, unosząc krzyż swego różańca. – Przeklinam cię na wieki! Ciebie i twój los! Nie zaznasz w życiu szczęścia i umrzesz młodo! A w życiu twoim czeka cię wielkie cierpienie! Umrzesz pokonany. Nie przez ludzi ani nie przez Boga. Pokona cię własne sumienie, które dla ciebie największym będzie katem! – Zrobił krok naprzód. – Bądź po stokroć przeklęty!

Przeor zerwał się ze swego krzesła, a mój mistrz otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem! Chyba nikt ze zgromadzonych w sali nie oglądał dotąd nałożenia klątwy w imię Boże, bo bracia aż wstali ze swoich miejsc. I nikt, absolutnie nikt nie ośmielił się przerwać bratu Domingo.

Słyszałem, że istnieją jeszcze ludzie, którzy potrafią nakładać klątwy, ale nigdy nie sądziłbym, że taką osobą może być pobożny sługa Boży! Ale klątwa *padre* Domingo inna była niż te rzucane przez wiedźmy lub złych ludzi. To przekleństwo nałożono w imię Boże. Skojarzyło mi się ono z ekskomuniką, która także jest przecież klątwą, chociaż tej brat Domingo nie mógł nałożyć. Ponieważ nałożono ją w imieniu Boga, tylko ta sama osoba mogła klątwę zdjąć albo sam Bóg. Słyszałem, że takie klątwy straszną mają moc! A ta nałożona przez brata Domingo dotyczyła przyszłości mego mistrza, która odtąd miała być dlań gehenną. Jakby nasz najstarszy brat wiedział o czymś, czego my i brat Armand jeszcze nie wiemy. Nie miałem pojęcia, czy słowa *padre* Domingo miały moc ściągania na innego człowieka cierpienia, ale gdybym to ja usłyszał taką klątwę, bałbym się oddychać.

Spodziewałem się, że przeor przerwie ten rytuał, ale on patrzył ze zgrozą to na *padre* Domingo, to na brata Armanda. A więc i jego przeraziło nałożenie przekleństwa, zatem musiało mieć odpowiednią moc. Na sali panowała tak idealna cisza, że słyszeć było pojedyncze oddechy.

– Czcigodny bracie Domingo! – Brat Torquemada oparł dłonie na ławie sędziowskiej i pochylił się nieznacznie w stronę starca. – Zechcesz

cofnąć swoje niesprawiedliwe i krzywdzące słowa? Wiesz przecież, że ten stary rytuał klątwy kościelnej nie jest już w użyciu od lat przeszło dwustu, a mnichowi nie przystoi pałać nienawiścią do swego bliźniego i umiłowanego brata w jednym klasztorze. – W głosie przeora była sugestia, której wielu by się nie sprzeciwiło.

Ale brat Domingo stał przed sędziowskim stołem, wspierając się oburącz na swoim kiju, z miną spokojną i poważną. Twarz brata Armanda była zaś lodowata, ale nie zdradzał po sobie, na ile przeraziła go rzucona nań klątwa i na ile wierzy w jej ziszczenie się w przyszłości.

– Nie cofnę swoich słów, bracie Tomaszu – odpowiedział twardo brat Domingo. – A niesprawiedliwe i krzywdzące słowa wypowiedział tutaj wasz żaloszny sąd. Jeśli zaś chodzi o to, aby nie pałać nienawiścią wobec bliźniego swego: cóż, bracie przeorze, to wam raczej, niżli mnie, potrzebna jest ta nauka. Bo z nienawiści Armanda do Antonia wziął się ten wyrok i cała sprawa. Powtarzam swe słowa: choć żywi, już potępieni jesteście. I nie prosz mnie o zdjęcie klątwy. Bo nałożyłem ją zgodnie z wolą Bożą. Armandzie – brat Domingo spojrział na mego mistrza – wyrządziłeś wiele zła. Wiele zła dopiero wyrządzisz. Ale zapłacisz za każdą krzywdę po dwakroć. Zawróć z obranej drogi. Oszczędź Antonia i zacznij pokutę za grzech pychy. Wtedy może zdejmę klątwę. – Po czym wolno odwrócił się od sędziów i odszedł w stronę wyjścia.

– Popełniasz wielki grzech, bracie! – odezwał się za nim przeor.

Padre Domingo odwrócił się wolno. Na jego obliczu malowały się spokój i pokora.

– Jeśli tak, Bóg mnie osądzi – powiedział starzec. – Z racji mego wieku niedługo już, jak mniemam. Ale ja, bracie Tomaszu, nie mam się czego wstydzić. Żyłem najlepiej, jak umiałem, a jeśli w czymś Bogu uchybił, z radością za to odpokutuję. Czy i wy, sędziowie Antonia, stojąc kiedyś nad grobem, powiecie to samo?

Po tych słowach brat Domingo wyszedł z sali zgromadzeń kapituły. Odprowadziła go kamienna cisza i ciężkie skrzypienie drewnianych drzwi, które zamknęły się za nim głucho.

Przez chwilę na sali panowało milczenie, jakby wszyscy w swoich sumieniach rozważali słowa *padre Domingo* i to, co się tutaj stało. Archanioł siedział z miną twardą i sztywną, całkowicie pochłonięty

myślami. Sędzia Manfred de la Coruña nie krył zaskoczenia z całej tej sytuacji, bo z pewnością taki widok, rodem sprzed głębokich stuleci, był mu całkowicie obcy.

Ja zaś miałem mętlik w głowie. Zapomniawszy całkiem o treści wyroku, rozmyślałem, przerażony, nad rzuconą na brata Armanda klątwą. Potworne były słowa brata Domingo, siały grozę i zwiastowały nieszczęście. Zemdlałbym ze strachu, gdyby to mnie ktoś przepowiedział taki los. Archanioł zaś nie wyglądał na zdruzgotanego. Przeciwnie, siedział dumnie i arogancko i nawet jeśli słowa *padre* de Vivera zrobiły nań wrażenie, nie dał tego po sobie poznać. Z pewnością teraz nienawidzi mnie jeszcze bardziej, zważywszy, że przekleństwo rzucono nań przeze mnie. A Archanioł nie należy do grupy ludzi, którzy nadstawiają drugi policzek.

Ale ważniejsza była reakcja brata Torquemady. Poprosił on o odwołanie klątwy, zatem w nią wierzył i wierzył w jej sprawczą moc. Znać się musiał na rzucaniu klątw, stąd taka reakcja. Gdyby bowiem nie wierzył w tego typu rzeczy, puściłby zachowanie brata Domingo mimo uszu i przeszedł nad nim do porządku dziennego. A on się zdenerwował. I pomyślałem, że to bardzo dobrze. Jeśli klątwa się sprawdzi, dobrze się stanie. Choć w ten sposób mistrz mój odpokutuje za zło, które mi wyrządził i jeszcze wyrządzi.

Nagle w tej absolutnej ciszy Mateo wstał ostentacyjnie ze swego miejsca. Przeszedł przez środek kapitułarza, trzymając wysoko głowę, i na oczach przeora, nie prosząc go o pozwolenie, dumnie wyszedł z sali. Za nim wstali Juan i Alejandro i w ten sam sposób opuścili salę. Tak samo postąpił brat Santiago, brat Alvaro i brat Martin. Wyszedł również brat Gregorio i brat Christobal.

Nikt z nich nie powiedział ani słowa, ale ich miny wyrażały dezaprobatę, a twarz Mateo, Juana i Alejandra nawet pogardę. Z pewnością Mateo zostanie ukarany za takie zachowanie. Ale nic sobie z tego nie robił. Zresztą żaden z braci niespecjalnie przejmował się tym, że i w stosunku do nich przeor może nałożyć jakąś sankcję. I spodziewam się, że przeor doskonale wiedział o takiej ich postawie. I ona go przerażała. Albo myślał już tylko o tym, co będzie działo się w Toledo, w Sewilli, zaś sprawy Santa Cruz były dlań małe i niewiele

już warte. On rozmyślał o większej władzy niż zarządzanie opactwem. Niebawem będzie miał u stóp całą Hiszpanię. Cóż wobec tego znaczy maleńki, klaustrofobiczny wręcz Klasztor Świętego Królewskiego Krzyża na uboczu Segowii, na uboczu wielkiego świata i jego centrum?

Sędzia Manfred złożył wszystkie dokumenty do teczki, podszedł do sędziowskiej ławy i pożegnał się, obiecując przedłożyć wyrok sądowi miejskiemu jak najszybciej. Potem wyszedł.

Posiedzenie się skończyło, przeor oficjalnie je zamknął, dyktując to Camilo do protokołu, a ja z bratem Jorge wyszliśmy na zewnątrz.

Południe było pochmurne i duszne, a nad klasztorem gromadziły się burzowe chmury, zapowiadające nawałnicę z błyskawicami.

Pomyślałem nawet, patrząc na nie, że klątwa brata Domingo już działa i że Bóg gniewa się na ten wyrok.

Wyrok...

– Antonio, przykro mi, że sąd tak postanowił – powiedział brat Jorge. – Mam nadzieję, i ty też ją musisz mieć, że sędziowie miejscy trochę więcej mieć będą oleju w głowie niż nasi bracia w wierze.

Uśmiechnąłem się blado. Wbrew twierdzeniom brata Jorgego i na przekór kiełkującej w mym sercu nadziei przeczuwałem, że wyrok jednak zostanie zatwierdzony.

– Dziękuję, ojcze – powiedziałem. – Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, *padre*. – Patrzyłem nań z wdzięcznością, ale on minę miał zatroskaną i, rzekłbym nawet, nieszczęśliwą.

I widocznie obarczał się tą winą, dlatego był smutny.

– Ojcze, wspominałeś mi, że niewielkie były szanse na uniewinnienie – powiedziałem. – Obaj spodziewaliśmy się wyroku skazującego. Ale zrobiłeś dla mnie więcej niż ktokolwiek w klasztorze. Podjąłeś się walki w mojej obronie. Nie szczędziłeś przykrych słów sędziom, narażając się na gniew brata Torquemady. Myślę też, ojcze, że dzięki tobie wielu braci zrozumiało, że jestem niewinny, zaś brat Armand i przeor domagają się krwi, są stronnicy, a proces ten był zaprzeczeniem sprawiedliwości. To duże osiągnięcie – mówiłem zgodnie z tym, co czułem. – Mogło być gorzej. Mogli orzec karę śmierci. Chociaż boję się tego osłepienia... Niewyobrażalnie... – ostatnie słowo wyszeptałem.

Uczułem, że się chwieję, że nareszcie dociera do mnie, co ze mną uczynią... Że za kilka dni nie będę już oglądał niczego prócz ciemności... Osunąłem się na kolana tuż obok rozłożystego orzechowca rosnącego na tyłach kościoła.

– Antonio! – Brat Jorge przyklęknął obok mnie. – Nie wolno ci się poddawać. Nie wolno nam obu się poddawać. Walczymy do końca. Jeszcze nie wszystko stracone. – Brat Jorge rozejrzał się wokół, jakby sprawdzał, czy nikt go nie słyszy, a potem dodał szeptem: – Pojutrze przeor wyjeżdża do Toledo i prawdopodobnie już tu nigdy nie wróci. Nawet jeśli do tego czasu sąd miejski zatwierdzi wyrok, w co wątpię, nie zdążą przygotować egzekucji do jego wyjazdu. Gdy Armand zostanie w Santa Cruz sam, bez podszeptów starego diabła, być może ruszy go sumienie i daruje ci tę karę. Ale trzeba poczekać, aż przeor wyjedzie. Wtedy pójdziemy do Armanda. – Położył mi ręce na ramionach. – Zrobię, co w mojej mocy, by cię ocalić. Przysięgam.

– Wiem, ojcze – szepnąłem.

Do oczu napłynęły mi wielkie łzy. Widziałem przez ich zasłonę, że brat Jorge wstał z trawy i wyciągnął do mnie rękę. A potem dźwignął mnie z powrotem na nogi.

Poszliśmy w stronę jego celi, gdzie w alejce zaraz za prezbiterium kościoła spotkaliśmy Mateo, Juana i Alejandra. Widziałem też, że *padre* Torquemada i brat Armand wchodzą do segmentu, gdzie znajduje się gabinet przeora. Tym razem nie zabrali ze sobą brata Constantino, z którym pożegnali się przed wejściem. Widziałem, patrząc przez cały Wielki Dziedziniec, że stał on dłuższą chwilę w alejce pod drzwiami, zupełnie zaskoczony postawą przeora i brata Armanda. Nie poruszył się. Tylko stał. Żałowałem, że z tej odległości nie mogłem zobaczyć jego twarzy! Musiała przedstawiać straszny widok. Oto po raz kolejny brat Torquemada odsuwa od siebie Constantina dla Wielkiego Armanda. Jego łaska się skończyła, a zatem, jak przypuszczałem, przeor potrzebował brata Constantino tylko do procesu i śledztwa. Teraz zaś, posmakowawszy władzy, miał wrócić tam, gdzie dotąd było jego miejsce. I choć w niczym bratu Torquemadzie ani Archaniołowi nie uchybił, popadł w niełaskę. I stał tak pod drzwiami przeora, przyswajając tę nauczkę, ten wymierzony mu zniecka policzek, i Bóg

jeden wie, jakież pomysły rodziły mu się w głowie!

Poczułem w sobie litość dla brata Constantino. Pomyślałem, jak trudno człowiekowi z jego ambicjami, wiedzą i zdolnościami żyć zawsze w cieniu Wielkiego Armanda, jak to jest być odrzuconym przez przeora i zmuszonym do codziennego znoszenia własnej porażki i upokorzenia oraz triumfu młodszego kolegi, z którym to triumfem być może młody Archanioł się obnosił. Tak. To musiał być koszmar. A pielęgnowana każdego dnia i każdej nocy nienawiść, podsycana samolubnym pragnieniem zemsty, musiała w końcu znaleźć ujście. W podpaleniu dzwonnicy. I kto wie, w czym jeszcze... Dziś wiem, że to brat Constantino chciał zabić mojego patrona. Ale dowodem nie dysponuję żadnym. I dlatego to ja poniosę za niego karę...

18 września. Po komplecie

Staram się nie dopuszczać do siebie strasznej myśli o czekającej mnie egzekucji, wciąż żywiąc żalosną nadzieję, że jakoś ujdę z tego cało. Od zakończenia mojego procesu, wbrew pozorom, w klasztorze wiele się dzieje.

Wczoraj po zmierzchu podsłuchiłem rozmowę brata Armanda z przeorem. Stali tuż przy bocznym wejściu do kościoła, a ja wracałem ze skryptorium. Słyszając ich, ukryłem się pomiędzy przyporami apsydy, gdzie czasem widywałem schowanego w cieniu łuków brata Constantino.

– Ojczy, mam wątpliwości, czy dobrze zrobiłem – mówił brat Armand. – Może należało okazać łaskę? Antonio chciał mnie spalić. Ale czyż jako dobry chrześcijanin nie powinienem mu wybaczyć? Darować karę, a winy puścić w niepamięć? – Głos miał dziwny, skruszony i gdybym nie widział, jak wypowiada te słowa, nigdy bym nie uwierzył, że powiedział je Archanioł.

– Postąpiłeś słusznie, Armandzie – zapewniał go *padre* Torquemada. – Antonio zasłużył na karę i dlatego zostanie oślepiiony. Gdyby Bóg nie chciał dla niego kary, odkrylibyśmy to. Ustalilibyśmy innego winnego. Duch Święty natchnąłby nas do poszukiwań mordercy.

A skoro tego nie uczynił, oznacza to, że mamy rację, a wyrok nasz jest miły Bogu.

– A jeśli zbyt mało wnikliwie rozpoznaliśmy sprawę? – Mój mistrz nadal miał wątpliwości. – Jeśli ogłuchliśmy na argumenty przeciwne? Spójrz, ojcze, ilu było po stronie Antonia.

– To głupcy, Armandzie – powiedział złowrogo przeor. – Nie porównuj swojej wiedzy, przenikliwości i inteligencji z ich marnymi odczuciami. To my mamy rację – podkreślił słowo „my”. – Co ci mówi intuicja, synu?

– Że Antonio jest winien – przyznał Archanioł. – Ale sumienie...

– Jesteś zmęczony i niewyspany – przerwał mu brat Torquemada. – Źle oceniasz sytuację. A dla twojego sumienia mogę powiedzieć, że jako człowiek wybaczyłem Antoniowi ten grzech. Z pewnością ty również mu wybaczyłeś. Ale na karę skaże go sąd miejski. Karę wymierzą mu w imieniu Królowej, nie twoim. Czym zatem się przejmujesz? Przecież wszyscy mu wybaczyliśmy... – Słyszałem obłudę w głosie przeora tak wyraźnie, jak czułem chłód kamieni, z których wykonano przyporę, do której tuliłem policzek.

– Masz rację, *padre* – przyznał brat Armand. – Niepotrzebnie się nad tym zastanawiałem.

– Patrz w przyszłość, Armandzie – mówił przeor. – Niedługo zostaniesz inkwizytorem. Będziesz prowadził trudne sprawy o herezję. Nie możesz się wahać. Musisz nauczyć się obojętności dla podsądnych. Inaczej zrobią z tobą, co zechcą. Inkwizytor jest twardy, nieugięty i pozbawiony litości. Tylko tak odkryje prawdę i wyda słuszny wyrok.

– Tak, ojcze. Wybacz moje wahanie. Chyba naprawdę brak mi snu – tłumaczył się brat Armand.

– Będziesz wielkim sędzią i wielkim inkwizytorem – powiedział z dumą brat Torquemada. – Nie zważaj na słowa nieprzychylnych ci ludzi. Nie podejmuj się klątwą. To gadanie dzieciinniałego starca, który stoi już nad grobem. Gdyby nie jego wiek, posłałbym go przed trybunał Inkwizycji! – mówił dalej przeor, nie kryjąc pogardy dla brata Domingo. – Armandzie, pamiętaj, Święta Inkwizycja jest córką Kościoła. Ustanowił ją papież, zastępca Chrystusa na ziemi. Ustanowił ją w imieniu Boga. Jakże zatem jej działalność i działalność inkwizytorów

może być grzechem, jak twierdzi brat Domingo? Jakże instytucja, którą Bóg kazał powołać, może być Mu niemiła? Więc ta klątwa nic jest niewarta i szkoda czasu, byś zaprzętał sobie nią głowę.

– Tak, ojczec. Masz rację – potwierdził Archanioł. – Nie przejmuję się klątwą, bo w nią nie wierzę.

Pomyślałem sobie, że nauka memu mistrzowi wypaczyła mózg, skoro odbiera klątwie moc sprawczą. Ale to lepiej. Im dalej mistrz zabrniesie w swych grzechach, tym boleśniej będzie miał upadek i tym dobitniej przekona się o działaniu klątwy...

– Jutro wyjeżdżam na dwór – rzucił przeora. – Chodźmy do mojego gabinetu. Muszę omówić z tobą parę rzeczy.

Po tych słowach obaj odeszli spod kruchty kościoła, a ja długo patrzyłem za nimi, wsłuchując się w ich cichnące na chochlakach wraz z odległością kroki.

Noc była piękna, a jasny księżyc w pełni wisiał wysoko nad naszymi głowami, nad tym opactwem i nad całą Hiszpanią. Niemy świadek historii... Mimo pokrętnych słów przeora, usprawiedliwiających istnienie i działalność Inkwizycji wolą Boga, ja czułem, że klątwa brata Domingo działa. Tutaj, wśród płataniny łuków przyporowych, wśród lasu cieni przez nie rzucanych i w srebrzącej się na murach Kościoła Świętego Krzyża księżycowej poświacie, właśnie w tej chwili klątwa była niemal namacalna. I mistrz mój, idąc ślepo za Torquemadą i jego naukami, bezwiednie wypełnia krok za krokiem słowa przekleństwa. Ale daleki byłem od powstrzymania go. Daleki nawet od współczucia mu jego losu. Otrzyma, na co zasłużył. Bóg sprawiedliwie go osądzi podług jego uczynków. W tamtej chwili, chwili zupełnej bezradności wobec wyroku i woli brata Armanda, właśnie myśl, przeświadczenie o Boskiej sprawiedliwości i odpłacie za grzechy, dodawała mi otuchy. I czułem satysfakcję na samą myśl o zniszczeniu się klątwy i wielkim cierpieniu, którego wedle niej brat Armand zazna wiele w swoim życiu... Tyle tylko mogłem zrobić: życzyć mu spełnienia słów brata Domingo. Być może popełniam wielki grzech, grzech nienawiści wobec mego bliźniego. Ale nie potrafię inaczej myśleć ani czuć. Nienawidzę brata Armanda całym sercem, ciałem i duszą.

Dzisiaj od samego rana w klasztorze panował rwetes i bieganina

związana z wyjazdem przeora na dwór w Toledo. Sądząc po liczbie zabieranych przezeń skrzyń, wyjeżdżał na bardzo długo, może nawet na zawsze. Pakowania bagażu na czekający za furtą powóz nadzorował sam Archanioł, wolnym krokiem przechadzający się między pakunkami i wydający polecenia uwijającym się przy skrzyniach nowicjuszom: Mateo, Jesusowi i Camilo. Mnie nie wezwano do pomocy, zapewne z obawy, że ucieknę, gdy tylko wychylę głowę za mury klasztoru, chociaż nawet mi to przez myśl nie przeszło. Ale cieszyłem się w duchu, że nie muszę wysługiwać się przeorowi i jego protegowanej bestii. Gdy się nad tym wszystkim zastanawiam, dochodzę do wniosku, że nie wiem, który z nich jest gorszy: Torquemada czy Armand.

Po nabożeństwie na Anioł Pański przeor poprosił wszystkich na Wielki Dziedziniec, aby się pożegnać. Ale zanim bracia zdążyli przybyć na miejsce, brat Torquemada i mój mistrz udali się na chwilę do gabinetu przeora. Pospieszyłem za nimi do celi w segmencie obok, spodziewałem się bowiem, że brat Torquemada powie coś Archaniołowi o egzekucji wyroku w mojej sprawie.

Odsunąłem szafkę przy ścianie i przysunąłem ucho do odsłoniętego otworu.

– Minie trochę czasu, nim urządzę Centralę w Sewilli – mówił przeor. – Zamek Świętego Jerzego jest już w zasadzie darowany Inkwizycji. Brakuje jednego podpisu, ale to tylko formalność. Zorganizowanie tam archiwum, głównego archiwum Inkwizycji i ośrodka sterowania wszystkimi trybunałami w kraju, trochę potrwa. Rok. Może półtora. Trzeba też oderwać się od Watykanu. Stworzyć sieć sądową we wszystkich większych miastach i muszę mieć tytuł Inkwizytora Generalnego Królestwa. Wtedy, Armandzie, sprowadzę cię do siebie. Zajmie mi to jakieś trzy, może cztery lata, a ty w tym czasie zbliżysz się do odpowiedniego dla inkwizytorów wieku. Przyjadę po ciebie z listem nominacyjnym na inkwizytora i od razu przewodniczącego któregoś z trybunałów. Musisz być cierpliwy – zakończył przeor.

– Tak, *padre* – odpowiedział Archanioł pokornie. – Rozumiem, że to wszystko wymaga czasu. Trzeba to mądrze poprowadzić i zorganizować. Najważniejsze są stabilne fundamenty. Reszta oprze się

na nich.

– Cieszę się, Armandzie, że tak dobrze się rozumiemy. – Miałem wrażenie, że przeor się uśmiechał. – Tymczasem zastąpisz mnie w opactwie, nim prowincjał przyśle nowego przeora. Albo mianuje nim ciebie. Osobiście mu cię rekomenduję.

– Dziękuję, ojcze. Postaram się nie zawieść twoich oczekiwań – znów odezwał się ten grzeczny Archanioł ze swym pokornym tonem.

– Mam do ciebie pełne zaufanie, Armandzie – mówił dalej przeor. – Tylko do ciebie. Wiem, że wszystkiego tutaj dopilnujesz. Ale nie skupiaj się zbyt na przewodniczeniu w klasztorze. Myśl o Inkwizycji. To jest twoje powołanie i przeznaczenie. Urodziłeś się, by być inkwizytorem, Armandzie.

Zapadła na chwilę cisza, w trakcie której być może przeor uściskał serdecznie mego mistrza przed dłuższą rozłąką.

– Chodźmy już, bo na nas czekają – odezwał się w końcu przeor, po czym usłyszałem, że obaj wychodzą z gabinetu.

Odczekałem, aż miną segment, w którym ich podsłuchiwałem, i wejść pomiędzy mnichów, którzy przyszli na dziedziniec, aby się pożegnać. Wówczas cichutko wyśliznąłem się z za drzwi celi na zewnątrz i jakby nigdy nic dołączyłem do braci dominikanów. Stałem tuż obok Juana i Alejandra, w pierwszym szeregu.

Przeor stał na skrzyżowaniu alejki biegnącej wzdłuż dormitorium z alejką biegnącą od fontanny ku klasztornej furcie. Miał na sobie świeżo wypraną, białą kutę i czarny płaszcz, jakiego u niego nigdy dotąd nie widziałem. I, co zwróciło moją uwagę, przez węzeł cingulum przewiązany miał drewniany różaniec o odkręcanych paciorkach. Krzyż wisiał swobodnie wśród fałd dominikańskiej kuty. Rzeczywiście różaniec, choć piękny, wyglądał u boku mnicha najzwyczajniej na świecie i nikt nie pomyślałby, co kryją wydrążone w środku drewniane jego paciorki. Zastanawiałem się, czy wykonano już drugi taki sam egzemplarz dla mego mistrza.

– Drodzy bracia! – *Padre* Torquemada uniósł swoje chude, kościste dłonie. – Byłem wam przeorem przez ponad dwadzieścia lat. I jakkolwiek sądziłem, że przyjdzie mi się z wami zestarzeć i z wami umrzeć, to jednak Bóg, mimo mego wieku, woła mnie dziś na nową

drogę. A że posłuszeństwo Jemu jest najważniejsze, przeto muszę porzucić wygodne życie w klasztorze i udaję się na dwór królewski, budować nowe oblicze Kościoła i Kastylii. Pokornym sługą woli Boga jestem, który chce mieć w Hiszpanii Świętą Inkwizycję. – Zrobił pauzę, być może licząc na naszą reakcję, ale milczeliśmy. – Bracia! – Rozejrzał się wśród nas. – Jeślim wam w czymś uchybił, proszę was o wybaczenie. Wspomnijcie mnie w waszych modlitwach, tak jak i ja będę się modlił za was wszystkich. Liczę również, że z kilkorgiem z was spotkam się w trybunałach Inkwizycji, gdyż kilku z was powołam na inkwizytorów już niebawem. Tymczasem powierzyłem moje obowiązki bratu Armandowi Castellano de Corell i ufam, że znajdzie wśród was posłuch, dopóki kapituła generalna nie wybierze nowego przeora Santa Cruz. – Uśmiechnął się nieznacznie, a oczy mu błyszczały, bez wątpienia na myśl o nowych czasach, które nadejdą. – Zostańcie z Bogiem! – Po tych słowach odwrócił się, nie czyniąc żadnych osobistych pożegnań i ruszył w stronę furty klasztornej.

Towarzyszył mu, rzecz jasna, Archanioł, a przy otwartej furcie stał brat José, uśmiechnięty. Wydał mi się całkiem obcy, pomimo tych miesięcy spędzonych w Santa Cruz. Obcy, bo w procesie opowiedział się przeciwko mnie, akceptując wydany przez przeora i jego popleczników bandycki wyrok. Za furką czekał powóz z otwartymi drzwiami oraz zbrojni z Królewskiej Hermandady przysłani przez Królową, którzy mieli brata Torquemadę bezpiecznie eskortować do Toledo.

Modliłem się gorąco, aby nic nie pokrzyżowało planów przeora i nie zatrzymało go w opactwie. Jak chyba nikt inny w klasztorze cieszyłem się, że wyjeżdża.

Brat Armand na pożegnanie uklonił się nisko *padre* Torquemadzie, a ten uczynił nad nim dłonią znak krzyża. Potem zaś szybko i zdecydowanie przekroczył progi klasztoru, wsiadł do powozu i zamknął mocno jego drzwiczki. Usłyszałem świst bata w powietrzu i konie ruszyły po brukowanej drodze, zabierając ze sobą cennego pasażera. Brat José zamknął klasztorną furkę, a ja odetchnąłem z ulgą. Wyjechał. Ten diabeł wcielony wyjechał na zawsze... Choć nie umiałbym tego wytłumaczyć, wstąpiła we mnie nowa nadzieja. Może jeszcze uda się to wszystko poukładać...

Gdyby nie Juan i Alejandro, nie wiem, jak przeżyłbym ostatnie dni w szarpiącym nerwy oczekiwaniu na decyzję świeckiego sądu. Mistrz mój w ogóle ze mną nie rozmawia, spotykamy się tylko na nabożeństwach i w refektarzu, chociaż w tym ostatnim miejscu nie siadam obok niego. Słyszę go czasem w korytarzu naszego segmentu albo w celi, gdy podłoga trzeszczy pod jego stopami. Nie wiem, o czym jeszcze moglibyśmy rozmawiać ani czy on w ogóle takiej rozmowy sobie życzy. A mimo to czeka nas rozmowa. Poważna. I mam nadzieję, że brat Jorge mi w niej pomoże...

20 września

W klasztorze względny spokój, ale niebo od dwóch dni zasnuwają ciężkie chmury, niezwykle o tej porze roku. Przynoszą ze sobą popołudniowe, bezdeszczowe burze, które przyrodzie nie są ukojeniem. Błyskawice i grzmoty tworzą jakieś niezdrowe napięcie, pełne złowróżbnego oczekiwania na coś strasznego...

Nikt z braci poza bratem Jorge, Juanem, Alejandro i Mateo nie rozmawia o procesie. Ale widzę czasem współczujące spojrzenia tych, którzy nigdy nie uwierzyli w moją winę. Archanioł więcej czasu spędza w gabinecie przeora, zajmując się sprawami opactwa, przez co Juan więcej pomaga w szpitalu wraz z bratem Alvaro. Brat Constantino zjawia się tam sporadycznie i w zasadzie w ogóle rzadko jest widywany pomiędzy nabożeństwami. I chociaż Juan narzeka, że przydałyby się w szpitalu ręce do pracy, obaj z bratem Alvaro cieszą się, że Archanioł i brat Constantino rzadko tam zaglądają.

Alejandro przygotowuje się do studiów prawniczych, na które wyjeżdża zaraz na początku października. Juan także myśli o studiach medycznych, a z Salamanki przysłała wczoraj zgoda rektora uniwersytetu, o czym Juana w mojej obecności osobiście poinformował brat Armand, wręczając mu pismo i każąc szykować się do drogi.

– Jestem z ciebie dumny, Juanie! – powiedział Archanioł, gdy wychodziliśmy z kościoła po nieszporach. – Będiesz dobrym lekarzem. Gdy ja wyjadę, obejmiesz po mnie zarządzanie Szpitalem Świętego

Krzyża.

Zamrugalem oczami, nie dowierzając temu, co słyszę. Zastanawiała mnie ta uprzejmość brata Armanda, zwłaszcza po ostatniej kłótni z Juanem w gabinecie przeora, ale przypomniałem sobie słowa *padre* Torquemady, który doradził memu mistrzowi poczekać, aż Juan zapomni o tej rozmowie, wyjedzie na studia, a wtedy przyjdzie cios... I tak się zastanawiałem, czy mistrz mój mówił wczoraj do Juana o kierowaniu szpitalem, aby mu zamydlić oczy, wypełniając podszepty przeora, czy też naprawdę tak go cenił, a poza tym rozmawiał o medycynie, a wtedy nigdy się nie gniewa... Doszedłem jednak do wniosku, że gdyby Juan nie był dobry i gdyby brat Armand go nie lubił i nie widział w nim przyszłego talentu lekarskiego, nigdy nie powiedziałby mu słów uznania. Nie. Brat Armand taki nie jest. Nie prawi komplementów, które nie mają pokrycia w rzeczywistości.

– Dziękuję, ojcze. – Juan uśmiechnął się. – Ale nie spodziewałem się tego... A co z bratem Alvaro i bratem Constantino? Oni...

– Brat Constantino zostanie inkwizytorem i stąd wyjedzie – przerwał mu Archanioł. – A brat Alvaro? Cóż, będziesz dużo lepszym od niego lekarzem, Juanie. Ale wszystko jeszcze zależy od twoich wyników w nauce. Ufam, że mnie nie zawiedziesz. – Spojrzał na Juana wymownie swoimi ciemnoniebieskimi oczami, przypominającymi burzowe chmury kłębiące się nad Santa Cruz.

– Ojcze, wiesz, że marzyłem o medycynie – odpowiedział Juan. – Nie zawiodę ani ciebie, ani swoich marzeń, ani moich przyszłych pacjentów.

– Dobrze – pochwalił go Archanioł, uśmiechając się. – Dam ci list do rektora, aby przydzielił ci najlepszych wykładowców i załatwił praktykę w szpitalu uniwersyteckim od pierwszego dnia. Znam się bardzo dobrze z rektorem i ufam, że nie odmówi mojej prośbie. Przed wyjazdem przyjdź do mnie po ten list.

– Dziękuję, ojcze, za pomoc! – Juan nie krył zaskoczenia z tak przychylnych słów mego mistrza, zważywszy na to, co stało się na procesie i jak bardzo we trzech z Alejandrem się do niego uprzedziliśmy. – Ale decyzja o Szpitalu Świętego Krzyża... – zaczął, a brat Armand uniósł dłoń, nakazując mu zamilknąć.

– To już postanowione, Juanie – mój patron powiedział to swoim tonem, któremu nikt się nie sprzeciwił. – Chyba że nie chcesz.

– Chcę! Bardzo chcę! – zapewnił go szybko Juan, a oczy mu się zaświeciły z radości.

– W takim razie do zobaczenia przed twoim wyjazdem do Salamanki. – Archanioł poklepał Juana po ramieniu w ojcowskim niemal geście i odszedł do swoich spraw.

Juan stał nieco zaskoczony, gdy gratulowałem mu ja i Alejandro. Stał z nami również Mateo, ale on się nie uśmiechał i nie cieszył z sukcesu naszego kolegi.

– Jak on to robi? – przerwał nasze gratulacje Juan. – Potrafi być łaskawy i wielkoduszny i w sekundę zjednywać sobie ludzi, aby w drugiej chwili zdeptać ich bez mrugnięcia okiem! – Jego twarz wyrażała zaskoczenie i chyba nawet zażenowanie.

– I tak właśnie was kupi. Jednego po drugim – wtrącił gorzko Mateo.

– Nie zamierzamy się sprzedawać Armandowi – zapewnił go Alejandro, nieco urażony.

– No, właśnie widzę. – Mateo uśmiechnął się z politowaniem. – Juana już ma w szachu. Już mu nie podskoczy. Ty także wyjeżdżasz na uniwersytet – zwrócił się do Alejandra. – Zaryzykujecie kariery i studia, o których marzyliście, aby mu się sprzeciwić?

Alejandro się oburzył.

– On ma rację – przyznał Juan. – Archanioł właśnie to robi, rozbija naszą przyjaźń od środka. Wczoraj byłem nań wściekły, a teraz jestem mu wdzięczny. I muszę się starać, aby go zadowolić, jeśli chcę zrealizować moje marzenie o medycynie. Zaczynam żałować, że Torquemada wyjechał. On się tak nie zachowywał.

– Słuchajcie, nie macie wpływu na wyrok w mojej sprawie – powiedziałem. – Bulwersuje was on, możecie mi współczuć. Ale co teraz znaczy wasz sprzeciw? Zatwierdzenie wyroku nawet nie leży w gestii Archanioła. – Uśmiechnąłem się. – Mnie i tak relegują z klasztoru. Wy tutaj zostajecie i musicie myśleć o własnych sprawach. Chcę, żebyście pomyśleli o sobie. Wasza ofiara w niczym mi nie pomoże, a wam tylko zaszkodzi. Zrobiliście, co było w waszej mocy.

Teraz dość już marudzenia! – Objąłem ich ramionami i uścisnąłem.

– Ja nie będę tak żył – rzucił Mateo. – Nie pozwolę Armandowi się zmanipulować. Nie będzie mi mówił, co mam myśleć ani co czuć, a już na pewno nie zadecyduje, co mam studiować i jak się przed nim odpowiednio uniżenie korzyć – mówił szybko, z cichą ironią i żalem w głosie. – Nie widzicie, co dzieje się w tym opactwie? Co próbują z nami zrobić?

– A znasz jakieś wyjście z tej sytuacji? – spytał Juan oschle.

– Owszem. – Mateo miał minę spokojną i nieodgadnioną, jak czasem mój mistrz. – Odchodzę z Santa Cruz – powiedział wolno i z dumą. – Odchodzę z zakonu. Porzucam nowicjat, te mury i to bagno, w którym wszyscy tu żyją.

Zaniemówiłem z wrażenia, ale Mateo mówił poważnie. Jego ciemne, mądre oczy zrobiły się jeszcze ciemniejsze i smutniejsze niż zazwyczaj, a przygnębiony wyraz twarzy dodawał mu jeszcze powagi. Mateo jest osobą, która niezwykle rzadko się uśmiecha i prawie w ogóle nie żartuje, wiedziałem więc, że i tym razem mówił poważnie.

– Nie wygłupiaj się, Mateo! – Alejandro klepnął go po plecach, siląc się na rozbawienie. – Jesteś teraz zszokowany wyrokiem. Czasem jest tu ciężko wytrzymać, to prawda. Ale tutaj lepsze masz perspektywy niż gdzie indziej. Załatwią ci studia, ścieżkę kariery. Pomagasz ludziom.

Mateo uśmiechnął się gorzko.

– Tak – przyznał złośliwie. – Jest tu dobrze. Jeśli akurat mnie nie głodzą, nie każą ślęczeć nad książkami noc w noc, nie wykrwawiają chłostą, nie wykluczą spośród braci, jeśli przypadkiem podczas tej posługi nie zarażę się trądem lub inną jakąś chorobą albo nie skażą mnie na oślepienie za coś, czego nie zrobiłem, a co akurat ubzdurał sobie Jego Wysokość Archanioł Wielki! Macie rację, jest tu całkiem znośnie. Jeśli jakimś cudem dożyję do ślubów, będzie mi jeszcze lepiej pod rządami człowieka, którego miłość własna, arogancja i ambicja nie mają granic. – Pokręcił głową. – Może wy chcecie tak żyć. Ja nie. Dlatego odchodzę. – Gorycz przemawiała przez niego, ale mówił to swoim zwykłym, spokojnym głosem.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Mateo powiedział to, co i mnie kłębiło się w duszy. A jak widziałem po spojrzeniach Juana i Alejandro,

oni również czuli to samo.

– Antonio – Mateo położył mi dłoń na ramieniu – nawet nie wiesz, jak mi przykro z powodu tego procesu i wyroku. Będę się modlił za ciebie i za to, aby sąd miejski wykazał się większym rozumem niż twój patron, którym Armand nigdy nie był. – Po tych słowach uścisnął mnie z całych sił.

– Kiedy odchodzisz? – zapytał Juan.

– Jutro złożę pisemny wniosek o zwolnienie mnie ze stanu nowicjatu, na ręce brata Armanda – powiedział Mateo bardzo oficjalnie. – Z tego, co mówił mi brat Martin, wynika, że przeor nie może mi odmówić, jeśli chcę wystąpić z klasztoru, a nie składałem jeszcze ślubów. A ponieważ Archanioł nieszczęśliwie za mną przepada, nie przypuszczam, aby koniecznie chciał mnie w klasztorze zatrzymać. Dla niego to zawsze o jednego przeciwnika mniej.

Potem Mateo przeprosił nas i odszedł ze swoim patronem, który właśnie wychodził z kościoła, w stronę segmentu, gdzie znajdowały się ich cele mieszkalne. My zaś we trzech zostaliśmy jeszcze na dziedzińcu, zaskoczeni jego radykalną, bądź co bądź, decyzją. Dopiero groźny pomruk nadciągającej szybko wieczornej burzy zmusił nas do opuszczenia dziedzińca. Błyskawice rozdzierały niebo, a w ich jasnej poświacie nasze białe kuty świeciły dziwnym jakimś, nadprzyrodzonym blaskiem, gdy szliśmy do celi Alejandra. Zerwał się wiatr i szarpał nasze szkaplerze na wszystkie strony.

Cały wieczór i pół nocy siedzieliśmy u Alejandra, rozmawiając o wydarzeniach ostatnich dni. Nie chciałem być sam w mojej celi, którą zaledwie korytarz dzielił od celi znienawidzonego Archanioła, ale przebywanie wśród braci, którzy nie mieli nad sobą tego potwornego wyroku, przygnębiało mnie. Jakże zazdrościłem im ich lepszego losu! Ale najbardziej zazdrościłem Mateo, że może z Santa Cruz tak po prostu wyjść i wrócić do domu – bezpieczny i wolny. Mnie nawet gdyby nie groził wyrok, wiązałyby i tak przysięga złożona Bogu przez mego ojca, przysięga, która na zawsze zaprzepaściła mój los jeszcze w łonie matki, skuwając mą wolę skutecznie niewidzialnymi kajdanami, a mnie samego obezwładniała i zmuszała do jej posłuchu. Teraz relegują mnie z zakonu, a tym samym ojciec mój złamie słowo dane Bogu. Nie umiem sobie

nawet wyobrazić, jak mnie przywita...

Dzisiaj przed południem udałem się wraz z bratem Jorge do brata Armanda, prosić go o łaskę. Archanioł przyjął nas w gabinecie przeora, o dziwo, bardzo chętnie.

W gabinecie paliło się mnóstwo świec, co stwarzało przyjemną atmosferę. Słońce od rana nie mogło się przebić przez grubą zasłonę chmur i przez witraż do wnętrza pomieszczenia wpadało mdłe światło, a różnokolorowe plamy rzucane zazwyczaj przez szkiełka na cały gabinet dziś były ledwie widoczne.

Brat Armand przeglądał jakieś dokumenty przy stole stojącym na środku gabinetu, gdy weszliśmy. Leżała tam również mapa z zaznaczonymi siedzibami trybunałów, ale mniejsza od poprzedniej. Z pewnością dużą zabrał ze sobą brat Torquemada na dwór w Toledo.

– W czym mogę wam pomóc? – zapytał brat Armand, jakby nic się nie stało, unosząc wzrok znad dokumentów, nad którymi pochylał się na stojąco.

– Przychodzę w imieniu Antonia, by prosić cię, Armandzie, o łaskę dla niego – powiedział wprost brat Jorge. – Jeśli sąd miejski zatwierdzi wydany wyrok, możesz odwołać egzekucję i okazać łaskę temu dziecku. Pełnisz obowiązki przeora, a przeor ma prawo nie wykonać wyroku sądu koleżeńskiego.

Archanioł wyprostował się, obszedł dookoła stół i stanął przed nim naprzeciwko nas, opierając się tyłem o jego kant. Splótł ręce przed sobą i schował je w rękawach kuty.

– Dlaczego uważacie, że to zrobię? – zapytał z pewnością siebie, która od razu odbierała chęć do przekonywania go.

Spojrzenie miał zimne, a oczy błyszczące w blasku licznych świec. Twarz zaś wyglądała jak wykuta z granitu.

– Armandzie, możesz okazać wielkoduszność – przekonywał go brat Jorge ze spokojem. – Wiem, że masz wątpliwości. Widziałem je podczas procesu. Wiem również, że przeor w zasadzie wymusił na tobie taką decyzję. Nie wierzysz w winę Antonia. Za słabe są te dowody. Jako prawnik wiesz o tym, podobnie jak ja. A skazanie jest jedynie z podejrzenia. Armandzie, Torquemada wyjechał do Toledo. Możesz puścić Antonia wolno. Releguj go z klasztoru, jeśli musisz, ale go nie

oślepią. Torquemada nigdy się o tym nie dowie. Nie będzie mógł więc wyciągnąć wobec ciebie ewentualnych konsekwencji. Proszę cię, Armandzie, zastanów się.

Archanioł roześmiał się cicho.

– Nie zamierzam darować mu kary. – Mistrz wskazał ruchem głowy na mnie, mówiąc te słowa w zasadzie do brata Jorgego. – Wiem, że wyrok jest słuszny. Wydał go koleżeński sąd, a teraz, być może, zatwierdzą go sędziowie miejscy. Na jakiej podstawie mam zastosować łaskę? Co się zmieniło od dnia wyroku?

Brat Jorge postąpił krok w stronę mego mistrza.

– Armandzie, wiesz dobrze, że Antonio nie podpalił dzwonnicy i nie chciał cię zabić – mój obrońca nie dawał za wygraną. – Wiem, że nie chcesz narazić się na gniew Torquemady. I wiem, że teraz cieszysz się jego względami i przychylnością Królowej. Wiem, że chcesz być inkwizytorem, i zapewne tak się stanie. Los się do ciebie uśmiecha i daje ci to, czego pragniesz. Ale co będzie, jeśli los się odwróci? Co, jeśli kiedyś znajdziesz się w identycznej sytuacji, jak dziś Antonio? Czy jeśli go teraz oślepiasz, będziesz mógł liczyć na przychylność własnych sędziów i łaskę Boga? Co, jeśli wówczas okaże się, że mimo twoich błagań nikt nie zechce ci pomóc? Pomyślałeś o tym? Dobro, które dajesz bliźnim, wraca do ciebie po dwakroć. Ale wraca też wyrządzone zło...

– Ja nie znajdę się w takiej sytuacji, bracie Jorge – odpowiedział zimno brat Armand z wielkim przekonaniem w słuszność tego, co mówił.

– I tu się mylisz, Armandzie – w tym samym tonie odpowiedział mu brat bibliotekarz. – Los zawsze się odwraca. Wspomnisz moje słowa, ale dopiero wówczas, gdy znajdziesz się na dnie i znikąd już nie będzie dla ciebie ratunku. – Nabrał w płuca powietrza. – Armandzie, proszę cię jak człowieka i bliźniego. Odrzuć nienawiść i uprzedzenia. Okaż łaskę. Złamałeś wszelkie procesowe reguły, orzekając w tym procesie, o czym wiesz. Postąpiłeś jak zbrodniarz, wydając ten wyrok. Teraz zachowaj się jak chrześcijanin. Proszę cię, okaż łaskę.

Archanioł odszedł od nas kilka kroków i przespacerował się po gabinecie z dłońmi schowanymi w rękawach kuty.

– Nie – odpowiedział stanowczo, zatrzymując się za stołem.

– Ojczy, błagam cię. – Podoszedłem do stołu i pochylilem się nad nim w stronę patrona. – Przysięgam na wszystkie świętości, że to nie ja podpaliłem dzwonnice. Nigdy nie chciałem twojej krzywdy, ojczy. Błagam, uwierz mi i okaż mi łaskę. – Łzy ciekły mi po policzkach.

– Armandzie – przerwał mi brat Jorge – odwołuję się do twojej przyzwoitości i do twojego sumienia.

– Nie! – odpowiedział Archanioł. – Nie będzie żadnej łaski! Ale zawsze możecie liczyć na to, że sąd miejski nie zatwierdzi wyroku. Skoro według was to takie oczywiste, że nie ma odpowiednich dowodów, to z pewnością sędziowie Antonia uniewinnią – brat Armand mówił to złośliwie i z drwiącym uśmiechem i patrzył to na mnie, to na brata Jorgego z pogardą i rozbawieniem.

Zaczynałem rozumieć, jak wielką władzę miał nad nim brat Torquemada i jak bardzo Archanioł chciał być inkwizytorem. Jego wola po temu była odlana z żelaza, nic na świecie nie mogło jej zmienić. A ten wyrok i jego egzekucja to zwykła pokazówka. Zrobi to nie dlatego, że zasłużyłem. Nie dlatego, że wierzy w mą winę. Nawet nie dlatego, aby się przypodobać Torquemadzie. Zrobi to, ponieważ ma taką władzę.

– Powiedz mi, Armandzie – brat Jorge przerwał moje rozmyślenia – ty naprawdę wierzysz, że to dziecko chciało cię spalić?

Archanioł nie odpowiedział od razu, ale przyjrzał mi się dłuższą chwilę w skupieniu. Bóg jeden wie, co chodziło mu po głowie, ale ja czułem się nieswojo pod jego chmurnym spojrzeniem.

– Tak – powiedział w końcu, a mnie zrobiło się gorąco. – Wierzę w to. – Głos miał twardy i dźwięczny.

– Tak myślałem – westchnął brat Jorge. – Torquemada do reszty rozmiękczył ci mózg – rzucił prosto w twarz memu patronowi.

– Wypraszam sobie takie uwagi, bracie Jorge! – oburzył się brat Armand. – Obrażasz czcigodnego brata Torquemadę, a może i urząd, który za chwilę będzie sprawował. – Mistrz chciał powiedzieć coś jeszcze, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. – Wejść! – powiedział cokolwiek za głośno, najwyraźniej poirytowany naszą rozmową.

Do gabinetu wszedł Mateo i odważnym krokiem przemierzył pomieszczenie, posyłając mi ledwie widoczny uśmiech, po czym stanął przed Archaniołem. Ukłonił się przed nim nisko, jak nakazuje obyczaj,

i podał mu złożony na pół dokument.

Brat Armand rozwinął papier i szybko go przeczytał. Surowość i złośliwość znikły z jego twarzy i spojrzał zaskoczony na stojącego przed nim Mateo.

– Przemyślałeś to, synu? – zapytał łagodnym tonem. – To poważna decyzja. Bez odwrotu. Nie powinieneś podejmować jej pochopnie ani pod wpływem chwili. – Brat Armand spojrzał na mnie przelotnie, domyślając się najwidoczniej, że pretekstem do rezygnacji Mateo był mój proces.

– Przemyślałem to, ojczy – odpowiedział smutno Mateo. – Nie będę składał ślubów. – Podziwiałem w nim pewność siebie i to, że stojąc przed bratem Armandem, nie czuł lęku.

– Może się jeszcze zastanów, Mateo – przekonywał łagodnie mój patron. – Daj sobie więcej czasu. Jesteś w nowicjacie zaledwie cztery miesiące. To za krótko, aby wyrobić sobie zdanie na nasz temat.

– Ojczy, cztery miesiące to wystarczający czas, abym wyrobił sobie zdanie na temat stosunków panujących w Santa Cruz – odpowiedział szybko Mateo, ponownie bez cienia strachu.

Brat Armand przyglądał mu się uważnie i odniosłem wrażenie, że nie do końca wierzył własnym uszom.

– A nauka? A studia? – spróbował jeszcze raz Archanioł. – Pomyślałeś o tym, czego możesz się dzięki nam nauczyć?

Oczywiście! – pomyślałem. Dla mojego patrona najważniejsza była nauka i wierzył, że każdy dla niej zrobiłby to samo co on: poświęciłby samego siebie, zaprzędając duszę diabłu – Torquemadzie.

– Nienawiści – skwitował Mateo. – Tego mogę się tu nauczyć. Pogardy. Intryg. Mściwości. Zakłamania. Braku litości. Chorej ambicji. Manipulacji. Okrucieństwa. Ślepego posłuszeństwa, które prowadzi do krzywdy brata mego. I tego, że od miłości, szacunku i przebaczenia ważniejsze jest polowanie na ludzi, tortury i ogień stosów. – Mateo spuścił na chwilę głowę, a gdy ponownie uniósł wzrok, dodał: – Jeśli tylko tego mam się tutaj nauczyć, ojczy, zrobię to bez składania ślubów i z daleka od murów Santa Cruz.

– Bardzo gorzkie są twoje słowa, Mateo – przyznał Archanioł.

– Bo z wielkim rozczarowaniem patrzę na to, co dzieje się

w opactwie, ojcie – odparł Mateo. – Jeśli to wszystko, chciałbym się oddalić, żeby dokończyć pakowanie moich rzeczy. Pragnę jak najszybciej opuścić te mury.

Archanioł skinął w odpowiedzi głową, odkładając list na stół. Widziałem, że zastanowiły go słowa nowicjusza, jakby były dlań głosem rozsądku, który starał się w sobie stłumić. Brat Armand wiedział, że Mateo mówił prawdę. Wiedział, ale nic już nie mógł uczynić, aby zmienić tę sytuację. Sprawy zaszły za daleko i on sam uwikłał się w nie bezpowrotnie. Mateo zaś odwrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom.

– Zdajesz sobie sprawę, że posag twój zostanie w klasztorze? – zapytał go na odchodnym mój patron.

Mateo przystanął i obrócił twarz ku pełniącemu obowiązki przeora Archaniołowi.

– Ojcie, żadne pieniądze świata nie wynagrodziłyby mi zmarnowanego czasu, gdybym pozostał w tych murach. – Ogarnął wzrokiem gabinet przeora, a potem skinął głową i wyszedł tak samo odważnie jak tu wszedł.

Ja również ukloniłem się bratu Armandowi, który nadal stał nieco jeszcze zamyślony obok stołu. Obaj z bratem Jorge wyszliśmy na zewnątrz.

Zbierało się na popołudniową burzę i było niemiłosiernie duszno. Brat Constantino zwoływał wszystkich na Anioł Pański.

– Przykro mi, Antonio. – Brat Jorge uściśnął mnie z całych sił. – Ale ja się wciąż nie poddaję. Będę jeszcze rozmawiał z Armandem. Liczę też na mądrość sędziów miejskich.

Pokiwałem w odpowiedzi głową.

– Ja już na nic nie liczę, ojcie – odpowiedziałem z rezygnacją. – Tu nie ma na co liczyć. – Wskazałem głową na gabinet przeora, z którego wyszliśmy. – To bezduszna istota, która już nic nie czuje. Jak mogłaby okazać mi litość?

– Musi być jakiś sposób, Antonio – brat Jorge zastanawiał się głośno. – On musi mieć jakiś słaby punkt.

– Ambicja – odpowiedziałem. – To jest jego słaby punkt. Ale cóż my możemy w tym względzie?

– Musi być inna droga. – Brat Jorge uśmiechnął się na przekór tej

przeróżającej sytuacji. – Chodźmy na modlitwę. Potem pomyślimy.
Ruszyliśmy w stronę kościoła.

Później

Brat Armand na szczęście w trakcie nabożeństwa nie siedział w ławce obok mnie, ale jako zastępca przeora zajął ławkę brata Torquemady, z czego się ucieszyłem. Myśl o tym, że ostatnie moje dni, gdy dane jest mi jeszcze widzieć, zmarnuję na oglądanie znienawidzonego patrona, myśl ta była nie do zniesienia. Brat Armand nawet na mnie nie popatrzył przez całe nabożeństwo.

Tak... Jestem z tym sam. Poczułem to w kościele, gdzie każdy zajął się modlitwą, tak jak na co dzień swoimi sprawami. Wiem, że bracia starają się mi pomóc, wiem, że wielu mi współczuje. Ale ta tragedia ich nie dotyczy. I w czasie egzekucji wyroku, do której coraz bardziej się boję, że dojdzie, przyjdzie mi się samemu zmierzyć z tym, co przygotuje mi kat...

22 września. Po tercji

To czekanie doprowadza mnie do szaleństwa! Ale z drugiej strony, jeśli sędziowie mają zatwierdzić wyrok, lepiej, żeby zwlekali z tym jak najdłużej.

Brat Jorge wysłał listy z prośbą o łaskę: do Królowej, do nuncjusza papieskiego na dworze w Toledo oraz do sądu miejskiego w Segowii. Moim zdaniem prośba o łaskę u Królowej nic nie wskóra. Jeśli nie dotarł tam jeszcze brat Torquemada, wkrótce to zrobi, a w każdym razie będzie pierwszy na dworze przed posłańcem z listem od brata Jorgego. I z pewnością we właściwy sposób przekaże całą sprawę Królowej, tak że może nawet zaostrzy ona wyrok. Podobnie zapewne będzie w przypadku nuncjusza papieskiego przebywającego na tym samym dworze. A sąd miejski? Chyba wszystkim nam wiadome, że prawo Kodeksu Siedmiu Części wprowadzone przez Króla Alfonsa X Mądrego

w roku 1265[28] jest okrutne i surowe. Czy powinienem zatem obiecywać sobie cokolwiek po tych listach?...

Brat Armand strasznie się rozzłościł, gdy dowiedział się, że mój obrońca chce wysłać te listy. Odmówił sygnowania ich pieczęcią klasztoru i wezwania posłańca, z którym klasztor współpracuje w przypadkach, gdy trzeba zawieźć jakąś wiadomość. Kazał bratu Jorgemu zrobić to na własną rękę i we własnym zakresie, co brat bibliotekarz uczynił. Idę o zakład, że mistrz mój wysłał w ślad za listami obrońcy swoje własne stanowisko w tej sprawie. Zresztą był wieczorem posłaniec w opactwie. Widziałem, jak wychodził z gabinetu przeora.

Wczoraj po południu Mateo opuścił Santa Cruz. Siedzieliśmy wszyscy w jego celi: ja, Juan, Alejandro i brat Martin. Mateo kończył pakować swoje rzeczy.

– Może zostaniesz jeszcze trochę? – pytał Juan. – Może jeszcze to przemyślisz? – W oczach miał nadzieję, ale nie słyszałem jej w jego głosie.

Mateo w świeckim stroju pochylał się nad niewielkim kuferkim, a na pytanie Juana wyprostował się. Ogarnął wzrokiem całą celę i nas wszystkich.

– Już postanowiłem – powiedział stanowczo, bez cienia żalu czy wahania. – Nie mam tu po co zostawać. Brat Martin to rozumie. Bardzo starałem się zaakceptować reguły panujące w Santa Cruz, dostosować się do absurdalnych zasad wprowadzanych przez brata Armanda, słuchać jego wykładów o Inkwizycji głoszących nienawiść i udawać, że mnie to interesuje, nie zauważać krzywdy, jaką wyrządza się tu nowicjuszom bezkarnie, nie widzieć, że traktują nas jak powietrze. Starałem się. Ale ja przyszedłem tu przecież po coś innego. Chciałem służyć Bogu: modlitwą, miłością, pomocą bliźnim, wiarą i chciałem poświęcić Mu całe moje życie. Ale tutaj uczą wszystkiego, tylko nie Boga. Ile razy brat Armand rozmawiał z nami o Bogu? Ile razy miał na ten temat wykład? Ile razy zapewniał, że w tej kwestii służy nam zawsze pomocą? Czy kiedykolwiek kazał nam zgłębiać naturę Boga? Czy kiedykolwiek polecił nam na ten temat książkę? Traktat? Rozprawę? – Zawiesił głos i popatrzył na nas smutno, przenosząc wzrok po kolei na każdego z nas. – Nigdy. Nigdy tego nie zrobił. Ma mózg przeżarty już przez Inkwizycję.

A jeśli nie myśli akurat o niej, oddaje się pracy w szpitalu. Nie zauważyłem, aby był szczególnie religijny. Czy kiedykolwiek zwrócił wam uwagę, że nie bierzecie udziału w nabożeństwie? Ale o bibliotekę zawsze się wściekał. To mi nie odpowiada. – Mateo zamknął z hukiem kufer, a ja aż podskoczyłem.

– Mateo, nie możesz oceniać całego klasztoru po postawie jednego Armanda! – spróbował swoich sił Alejandro, a brat Martin mu przytaknął.

Mateo popatrzył na nich smutno przez chwilę, jakby się zastanawiał, a potem powiedział:

– Brat Armand trzęsie całym klasztorem i cały klasztor kręci się wokół niego i jego planów tworzonych razem z bratem Torquemadą. Czy i ty, Alejandro, nie poczułeś na własnej skórze, jaką Armand ma władzę i pozycję w klasztorze? Naprawdę trafnie porównujecie go do Archanioła! Bo tak jak Archanioł Gabriel pośród aniołów, tak i brat Armand wśród mnichów Santa Cruz pierwszy jest wśród równych. Czy zatem na pewno z nim równi jesteście? A w dodatku teraz nikt mu się nie sprzeciwi – zakończył.

– Będzie nam ciebie brakowało – przyznałem.

– A mnie was – Mateo odpowiedział natychmiast. – To za wami najbardziej będę tęsknił. – Popatrzył na mnie. – Tak mi przykro, Antonio, że spotkało cię tyle zła i że musiałeś trafić pod patronat brata Armanda. Modlę się codziennie o mądrość dla świeckich sędziów, aby nie zatwierdzili tego ohydneho wyroku. I w tej samej modlitwie błagam Boga, abym jednak mylił się co do brata Armanda i aby odnalazł on w sobie pokłady litości.

– Dziękuję ci. – Głos mi drżał.

Czułem, że ta modlitwa jest daremna...

Odprowadziliśmy we czterech Mateo do klasztornej furty. Przyszedł także brat Alvaro i brat Santiago. Brat Jorge pożegnał nas z daleka.

Uściskom i żalom nie było końca. Nie chcieliśmy Mateo puszczać z opactwa. Dla mnie był symbolem cichego, ale stanowczego oporu wobec Archanioła. Ja nigdy bym się nie zdobył na taką odwagę i taki wewnętrzny spokój, jak on. Podziwiam go za to!

Brat Armand nie przyszedł się pożegnać. Nie ogłosił też publicznie o odejściu Mateo. A zatem z pewnością zabolowały go słowa nowicjusza: śmiałe i prawdziwe.

W końcu brat José otworzył furtę i Mateo, trzymając w ręku mały swój kufer, przekroczył wolnym krokiem progi Santa Cruz. Odwrócił się jeszcze zza murów i przez otwarte na oścież skrzydło furki posłał nam jedno krzepiące spojrzenie, a jego twarz rozjaśnił ledwie dostrzegalny uśmiech. Potem poszedł drogą w stronę miasta.

Mnie zaś jego odejście przygnębiło. Upatrywałem w nim zwiastuna własnego odejścia i nadciągających nieuchronnie ciężkich, jak mi się wydawało, zmian: w Santa Cruz, w moim życiu, w Hiszpanii...

23 września

Dziś mija ósmy dzień od wydania wyroku w mojej sprawie. A decyzji świeckiego sądu wciąż nie ma...

24 września

Nie poszedłem dziś na jutrznię i na poranną mszę. Nie dlatego, abym zasnął czy się rozchorował. Doszedłem do wniosku, że Bóg w swym miłosierdziu wybaczy mi ten grzech, a chciałem sprawdzić, czy brat Armand zauważy w ogóle moją nieobecność, w co powątpiewałem. Poza tym, skoro chcą mnie relegować z zakonu, i to bez względu na decyzję świeckich sędziów, dlaczego mam gorliwie uczestniczyć w życiu klasztornym? Lada moment opuszczę te mury.

I dokąd wówczas pójdę? Mój ojciec zabije mnie na samym progu domu, gdy mnie zobaczy w drzwiach, a w najlepszym wypadku każe pójść precz. Przed siebie. Ślepy i bezbronny, sam, bez niczyjej ręki, na której mógłbym się wesprzeć i na której mógłbym polegać – co ze sobą zrobię?

Pukanie do drzwi mojej celi, bardzo stanowcze pukanie, zmusiło mnie do porzucenia mych przemyśleń. Zanim jeszcze otworzyły się

drzwi, wiedziałem, że to brat Armand. Nie myliłem się. Wszedł pewnie do mojego pokoju, ale drzwi pozostawił otwarte.

– Nie było cię dziś na porannych modlitwach i na mszy – stwierdził sucho. – Źle się czujesz?

Zaskoczyło mnie, że o tym pomyślał!

– Nie, ojcie – przyznałem.

– W takim razie nie rób tego nigdy więcej – zagroził tym swoim spokojnym tonem, za którym czaiła się nieoznajmiona kara.

Postąpiłem o krok w jego stronę.

– I tak mnie wydalicie z klasztoru – powiedziałem z dużo większą goryczą w głosie, niż zamierzałem. – Po co więc te całe ceregiele i udawanie, że jestem jednym z was?

– Jeszcze nie podpisałem decyzji o relegowaniu cię z klasztoru, a więc nadal jesteś jednym z nas – lodowato odparował Archanioł z miną skostniałą jak oblodzony kamień. – A będziesz uczestniczył w modlitwach, ponieważ sobie tego życzę – dodał. – I nie sprzeciwiaj mi się, Antonio, bo cię ukarzę jak wiesz, że potrafisz. Pamiętaj, że póki co nadal jestem twoim patronem i czy ci się to podoba czy nie, winienesz mi posłuszeństwo. – Znów groźba czaiła się za jego ciemnoniebieskim spojrzeniem.

– Tak, ojcie – wymamrotałem przestraszony i zły na siebie za własną głupotę i za to, że człowiek ten wciąż tak bardzo mnie przeraża. Archanioł zaś uśmiechnął się sztywno i oszczędnie.

– Cieszę się zatem, że się rozumiemy – podsumował. – A na śniadanie do refektarza przyjdiesz? Czy nie będziesz także jadł z nami wspólnych posiłków, skoro to robota na darmo, bo i tak cię relegują z klasztoru? – dodał złośliwie i wyszedł na korytarz.

Język ma ostry jak brzytwa! – pomyślałem z pogardą. Poczulem wstyd. Dopiero teraz zobaczyłem, że nie idąc na jutrznię, głupio postąpiłem. Bardzo głupio. A Archanioł co prawda upomniał się o moją obecność na modlitwie, ale nie z szacunku do Boga, ile dla własnego widzimi się. Mateo miał rację!

– Antonio! Widzę cię za pięć minut w refektarzu! – rozkazał brat Armand, po czym poszedł korytarzem do wyjścia z segmentu, pozostawiając otwarte drzwi do mojej celi.

Później. Przed nieszporem

Do Santa Cruz przybył dziś po południu jakiś świecki człowiek z niewielką paczuszką dla brata Armada. Archanioł przechadzał się akurat po dziedzińcu wokół fontanny, rozmawiając z bratem Ricardo, który wyjątkowo oderwał się od ksiąg i przygotowań do wyjazdu na uniwersytet. Ja zaś z Juanem spacerowaliśmy w alejce tuż obok naszego segmentu.

Posłaniec był chłopcem może dwunastoletnim, schludnie ubranym. Ukłonił się przed Archaniołem bardzo nisko, a potem ucałował jego dłoń. Gdy wręczał mu paczkę zawiniętą w szary papier i przewiązaną sznurkiem, powiedział:

– Mistrz przesyła zamówioną pasyjkę. Drugą wykona w przyszłym tygodniu.

Chłopiec był więc uczniem w jakimś warsztacie mistrzowskim. Terminował, ucząc się sztuki swego mistrza.

– Bardzo dobrze. – Archanioł wziął do ręki pakunek, a ponieważ posłaniec zamierzał odejść, odezwał się do niego: – Zaczekaj chwilę, synu.

Brat Armand rozwiązał szybko sznurek i rozdarł papier. Zobaczyłem na jego twarzy zadowolenie, zaś twarz stojącego obok niego brata Ricardo wyrażała zachwyt. Archanioł wziął do ręki przedmiot znajdujący się w paczce i mogłem nareszcie zobaczyć, że był to krzyż niewielkich rozmiarów, wielkości może niecałych dwudziestu centymetrów, na podstawce. I byłaby to z pewnością zwyczajna pasyjka, jakich wiele w klasztorze i w swoim życiu widziałem, gdyby nie fakt, że krzyż był sękaty jak nieociosany kij drewniany i miał jasnozielony kolor. W pierwszej chwili mnie to zaskoczyło, ale potem wydało mi się, że już widziałem gdzieś taki krzyż...

Brat Armand obejrzał z uśmiechem pasyjkę ze wszystkich stron, a potem powiedział:

– Przepiękne wykonanie. Powiedz swemu mistrzowi, że jest doskonały.

– Dziękuję, ojcze. – Chłopiec skłonił się jeszcze niżej, po czym opuścił klasztor.

Podczas gdy Archanioł rozkoszował oczy widokiem zielonego krzyża, a brat Ricardo z miłością ośmielił się dotknąć jego sękatych ramion, ja naraz przypomniałem sobie, gdzie widziałem ów zielony symbol: w gabinecie przeora, będąc tam któregoś razu, na stole zobaczyłem szkice godła czy też jakiegoś emblematu Inkwizycji, gdzie w środku podwójnego owalu znajdował się taki właśnie sękaty, zielony krzyż. Prawdopodobnie przyszły symbol Świętej Inkwizycji w Hiszpanii. A teraz Archanioł trzymał w ręku małą jego statuetkę odlaną z brązu. Więc system już ruszył...

Za jakieś dwie godziny do klasztoru przybył inny świecki człowiek, bez żadnych pakunków, a więc pewnie z listami, ale dokładnie nie wiem, gdyż poszedł prosto do gabinetu przeora i rozmawiał z Archaniołem. Zresztą bardzo krótko, bo w ciągu pięciu minut opuścił klasztor. Mam nadzieję, że to nie goniec z miejskiego sądu...

Brat Armand przestał już ponoć interesować się szpitalem, a jego obowiązki przejęli w całości Juan i brat Alvaro. A nawet częściej w zastępstwie mego mistrza przychodzi brat Constantino. Archanioł zajął się zaś w całości sprawami opactwa i budowaniem Nowej Inkwizycji. Studiuje, jak twierdzi brat Santiago, księgi prawnicze i akta wszystkich procesów o herezję. Wypożyczył je z biblioteki, zaś brat Oscar i brat Ricardo zanieśli mu je do celi i do gabinetu przeora. Brat Oscar wyjeżdża do Salamanki, studiować prawo i teologię. Wczoraj przyszła zgoda. A więc i jego szykują na inkwizytora w przyszłości. Zresztą Oscar, choć po swojemu małomówny, jest przeszczęśliwy. Jada razem z bratem Ricardem. Kto wie, może i bratu Oscarowi Archanioł szykuje taką karierę, jak bratu Ricardo? Może także odkryje w nim talent?

Santa Cruz niebawem opustoszeje: Juan wyjeżdża na studia medyczne, Alejandro prawnicze, brat Oscar i brat Ricardo do Salamanki, Mateo już odszedł, brata Torquemady pewnie więcej nie zobaczymy, brata Manuela wykluczono spośród braci przez trąd, mnie relegują. Ośmiu spośród naszego zgromadzenia! I to zaledwie w przeciągu czterech miesięcy! Pewnie niebawem zaczną się nominacje na

inkwizytorów i kilku mnichów wyjedzie do świętych trybunałów, walczyć z herezją. *Padre* Torquemada i Królowa z pewnością ściągają brata Armanda do Toledo. Santa Cruz już nigdy nie będzie takie samo... Może gdybym teraz przybył do klasztoru, nie skończyłoby się to dla mnie w taki sposób? Z pewnością zjawią się inni nowicjusze, chętni służyć Bogu w modlitwie i pomocy bliźnim. A staną się narzędziami systemu strachu. I wreszcie pojmuję zamysł Torquemady: aby uczynić z Santa Cruz kuźnię. Kuźnię przyszłych wielkich sędziów-inkwizytorów...

Później. Po nieszporych

Ledwie słyszalny przez huk wiatru głos brata Constantino wzywał nas na modlitwę wieczorną. Od południa niebo było granatowe i w oddali widzieliśmy błyskawice, co pojawiały się jedna za drugą. Cichy pomruk grzmotów stawał się z każdą chwilą głośniejszy, w miarę jak burza zbliżała się do opactwa napędzana silnym wiatrem. Stawiając mu opór z wielką siłą, z trudem docieraliśmy do kościoła. A że na dworze było ciemno od gęstniejących chmur, wewnątrz także tonęło w półmroku przy palących się tylko na ołtarzu świecach. Ale w trakcie modlitwy półmrok rozświetlał co chwila blask błyskawic, gdy burza stała nad Segowią, a nasz śpiew zagłuszał ryk grzmotów, od których drżały witraże w oknach i lichtarze na ołtarzu. Bracia spoglądali po sobie niepewnie, bo czegoś takiego chyba jeszcze w życiu nie widzieli, ja w każdym razie na pewno nie, widowisko zaś rozgrywające się tuż nad naszymi głowami, którego efekty w postaci błyskawic i grzmotów mogliśmy oglądać i słuchać, widowisko to budziło grozę!

Brat Armand poprowadził nieszpory, a wchodząc na ołtarz, położył na nim złożoną na pół kartkę. A ponieważ nauczyłem się w Santa Cruz zwracać uwagę na szczegóły, ta pojedyncza kartka nie dawała mi spokoju przez całe nabożeństwo. Blask błyskawic co chwila oświetlał ją upiornie białym światłem, a wówczas ostro zarysowywały się jej krawędzie, a nawet faktura grubego, nieco chropawego papieru. Bez wątplenia zawierała ważną informację, skoro brat Armand przyniósł

kartkę na modlitwę i właśnie to mnie przerażało. Że ta kartka nosiła w środku decyzję sądu miejskiego w mojej sprawie. I tak, jak te błyskawice rozdzierały ciemne niebo, a grzmoty szarpały ciszę, tak i mnie strach tarł serce niemal do bólu. Boże przenajświętszy...

To była straszna burza! Krążyła gdzieś nad opactwem, a od jej błyskawic siekających wokół raz po raz w kościele robiło się widno jak w dzień. Grzmoty zagłuszały wszelkie nasze próby przekrzyknięcia burzy śpiewem. Ja nie słyszałem własnego głosu, za to w środku czułem złowrogi pomruk burzy. Nie spadła ani jedna kropla deszczu, dlatego ta nawałnica wydawała się tak dziwna, jakby nie była dziełem natury, ale straszliwym gniewem samego Boga, który z jakiegoś powodu złościł się na brata Armanda i Santa Cruz. Serce podchodziło mi do gardła i dygotałem wraz z każdym hukem, co wibrował w duszy nienazwanym, nieco zabobonnym lękiem.

Aż nagle zrobiła się cisza. Zupełna, absolutna, jeszcze bardziej nienaturalna cisza. Pojawiła się nieoczekiwanie, jakby Bóg nagle zamknął niebo dla błyskawic i grzmotów. Ustał także wiatr, bo nie słysząc było jego gwizdania w szczelinach witraży. Ale niebo pozostało granatowe, a w kościele panował mrok.

Dokończyliśmy modlitwę w zupełnych prawie ciemnościach, bo brat Armand nie chciał przerywać nabożeństwa, abyśmy zapalali nasze lampki oliwne. Archanioł powiedział, że to oko burzy i że grzmoty za chwilę wrócą, więc powinniśmy się skupić na modlitwie.

Kiedy skończyliśmy nabożeństwo, brat Armand poprosił, żebyśmy pozostali na swoich miejscach, gdyż chce nam coś przekazać. Poczułem, jak gorący strach zaciska się w moich trzewiach palącym skurczem...

– Drodzy bracia! Jak wiecie, w sprawie Antonia sąd koleżeński wydał wyrok. Wiem, że wielu z was się z nim nie zgadza, dlatego też poddaliśmy wyrok osądowi niezależnych sędziów z miejskiego trybunału. Dziś po południu nadeszła decyzja w tej sprawie. – Brat Armand wziął do ręki kartkę leżącą cały czas na ołtarzu i otworzył ją. – Sąd Miejski w Segowii w całości zaakceptował nasz wyrok i zatwierdził go jako słuszny i sprawiedliwy. Zatem, jeśli melibyście jeszcze jakieś wątpliwości, decyzja sędziów świeckich powinna w całości je rozwiązać. – Uniósł trzymaną w dłoni kartkę.

Poczułem, że brakuje mi tchu. I serce uderzało mi z całą mocą. Nie ma ratunku!... Przez kościół przetoczył się szmer, ale zaraz ucichł, bo Archanioł ponownie zabrał głos:

– Zdecydowałem, że wykonanie wyroku nastąpi jutro, przed nabożeństwem na Anioł Pański, tu, w Santa Cruz, na głównym dziedzińcu. Wydałem już stosowne zarządzenia i posłałem po kata. Swoją obecność na egzekucji potwierdzili także sędziowie miejscy. Zarządzam obowiązkową obecność na tej egzekucji dla wszystkich w tym klasztorze. – Powiódł wzrokiem po milczących braciach i nowicjuszach. – Bracie Jorge, nadeszła także odpowiedź od sędziów miejskich na twoją prośbę o ulaskawienie Antonia. Odmowna. Pismo jest w moim gabinecie. Możesz się z nim zapoznać w każdej chwili. Oczywiście ty także, Antonio. – Spojrzał na mnie chłodno i oficjalnie. – Zrozumcie, drodzy bracia, że wydanie tego wyroku ani mnie, ani pozostałym sędziom nie przyszło łatwo. Ale Pismo Święte uczy nas, że gdzie jest grzech, zbrodnia, zły uczynek, tam jest też i kara. Antonio postąpił bardzo źle, dlatego zostanie ukarany, jak nakazuje prawo. Biorąc pod uwagę ohydę jego postępuku, orzeczona kara i tak jest łagodna, bo zazwyczaj w takich przypadkach orzeka się karę śmierci. A ponieważ Antonio postąpił niegodnie, zostanie także relegowany z zakonu dominikanów z zakazem wstąpienia do niego kiedykolwiek w przyszłości. – Archanioł zrobił krótką pauzę, a potem kontynuował: – Wiedźcie także, drodzy bracia, że ze swojej strony wybaczyłem Antoniowi ten postępek i żadnej do niego urazy nie chowam. – W tym momencie usłyszeliśmy grzmot tak głośny, że wszyscy, jak jeden mąż, skuliliśmy się.

Miałem wrażenie, że huk rozedrze mi ciało i duszę na pół. Upiorna poświata błyskawicy przez chwilę rozjaśniała wnętrze kościoła. Brat Armand ruchem dłoni nakazał nam się rozejść, co też mnisi w popłochu czynili. Błyskawice pojawiały się jedna za drugą i chyba każdy chciał szybko znaleźć się w swojej celi, by tę nawałnicę przeczekać. I wtedy usłyszeliśmy pojedyncze, drobne na początku krople deszczu. Dzwoniły szkiełka witraży targane wiatrem. Kilka chwil potem deszcz zrobił się rześisty, a krople wielkie i głośno rozbijały się o dachówki kościoła, a w opustoszałej nawie ten dźwięk brzmiał ogłuszająco.

Usiedli obok mnie Alejandro i Juan, ale ja chciałem zostać sam, więc poprosiłem, aby dali mi parę chwil. Bez słowa wyszli więc na zewnątrz. Zostałem w swojej ławce, nie mogąc ciągle uwierzyć w to, co oznajmił brat Armand. Wiedziałem, że to już koniec, że wszystko, co mogło mnie jeszcze ocalić, przepadło. Ale w tej chwili jutrzejsza egzekucja wydawała mi się po prostu niemożliwa. Niemożliwe, że to wszystko skończy się tak szybko...

Umysł mój rozpaczliwie szukał ratunku, gdy jako ostatni wychodziłem z kościoła w ciemną noc. Strumienie deszczu tworzyły zwartą kurtynę i smagały mnie po policzkach, szyi i ramionach. W jednej chwili byłem cały mokry. I nadal błyskawice rozdzierały chmury, ale przez zasłonę z kropli deszczu niewiele mogłem zobaczyć. Kuląc się pod hukiem grzmotów i mrużąc oczy od oślepiających, białych błysków, a także zamykając powieki przed deszczem, szedłem wolno i niemal na oślep, wyciągając przed siebie ręce, jakbym chciał nimi odgarnąć ciemności i strugi wody. Wiatr rozwiewał mokre i ciężkie przez to poły mojego szkaplerza i sprawiał, że trząsałem się z zimna. A może ze strachu. Idąc na oślep, nie wiem do końca, jak znalazłem się za prezbiterium kościoła, pośród lasu łuków przyporowych i przypór oraz sterczących z nich pinakli. W ciemności zataczałem się od jednej kolumny do drugiej, nie mogąc wydostać się z tej płataniny. Światło błyskawic padało na wykrzywione w potwornych grymasach twarze maskaronów zwieszających się nade mną z przegubów przyporowych łuków. Rozchlapwały się na nich krople deszczu, a w girlandach światła i ciemności pojawiających się na przemian gargulce zdawały się ożywać i poruszać. Były przerażające i naraz zdały mi się zwiastunami piekła, które jutro mnie czekało.

Roztrzęsiony ze strachu i zimna i przemoczony do suchej nitki błądziłem pomiędzy przyporami, a czas zdawał się wiecznością. Nie wiedziałem nawet, w którą stronę idę. W końcu jednak zmęczony i skołowany dotarłem do alejki różanej i ślizgając się co chwila na mokrych, wyświechtanych chochlakach, pobiegłem do naszego segmentu.

Nawałnica trwała w najlepsze, gdy wchodziłem po schodach, a w pokoju brata Armanda paliły się świece, bo żółta poświata padała na

kamienne stopnie. Wszedłem do korytarza ociekający wodą i zziębnięty, ale miałem udać się prosto do mojej celi, stanąłem pod drzwiami pokoju Archanioła. Myślałem o jutrzejszej egzekucji i o tym, jak daleko obaj, ja i mój mistrz, zabrnęliśmy w naszej niechęci do siebie nawzajem i czy była jeszcze szansa naprawić to, co zepsuliśmy. Czy była jeszcze wola po temu?

Niewiele myśląc, drżącą dłoń wyciągnąłem w kierunku drewnianych, ciemnych drzwi celi brata Armanda. W blasku małej, oliwnej lampki wiszącej w korytarzu widziałem, jak wciąż mokra od deszczu i śmiertelnie blada moja dłoń drży, i prawie czułem przez skórę palców lite, twarde drewno drzwi. Oddychałem szybko, a serce biło mi tak głośno, że nawet nie słyszałem grzmotów, co z wolna cichły, bo nawałnica zdawała się chyba wreszcie od nas oddalać. A może tak mi się tylko wydawało?

Bąłem się. Bąłem się Archanioła i mojej z nim rozmowy. Ale wiedziałem też, że muszę tam wejść. To była ostatnia, dość wątpliwa, ale jednak deska ratunku. Jeśli cokolwiek na świecie mogło mnie uratować, to tylko decyzja brata Armanda o zastosowaniu łaski. Przewyciężając więc zimno i strach, wzięwszy głęboki wdech, zmusiłem swoją białą jak papier dłoń, aby zapukała do drzwi celi brata Armanda. Stukanie to odbiło się ogłuszającym echem w mojej głowie, a po chwili usłyszałem cichy głos mego mistrza:

– Proszę!

Zimny dotyk klamki zdawał się ostrzegać mnie przed wejściem do środka, a ciężkość jej nacisku utwierdzała mą intuicję w przekonaniu, że źle robię. Ale rozum kazał iść naprzód. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Musiałem spróbować raz jeszcze...

Brat Armand siedział przy biurku pochylony nad stosem jakichś starych dokumentów. Sądząc po pożółkłych stronicach, powyginanych i mocno zniszczonych na krawędziach kartach oraz po ich objętości, mogły to być akta jakiegoś dawnego procesu o herezję. Na biurku zaś, obok akt, stał ów sękaty, zielony krzyż, który przyniesiono do Santa Cruz dziś po południu. Oto gabinet inkwizytora – pomyślałem.

Cela była słabo oświetlona: lampka oliwna na biurku i jeden duży świecznik w kącie obok biurka. Ale to słabe i jednak ciepłe światło oraz

półmrok dodawały mi odwagi, a tej chwili – niemal mistycznej atmosfery. Kryłem za nimi swój strach i wstyd i całą dumę, jaką jeszcze w sobie nosiłem, chociaż przy bracie Armandzie nie ośmieliłbym się jej okazać. Już nie.

Złamał mnie. Złamał zupełnie i sprawił, że dziś jestem tylko pokornym cieniem dawnego Antonia. A moja dusza gotowa jest uciec się do wszelkich błagań, byle tylko darował mi tę karę. Nienawidzę go i boję się go jednocześnie.

Mistrz odwrócił się od biurka, gdy wszedłem.

– Antonio? – zapytał ze zdziwieniem, a więc się mnie nie spodziewał. – Jak ty wyglądasz? Coś się stało?

Byłem zmoknięty, przygarbiony i z pewnością blady. Dygotałem na całym ciele i kulilem się z zimna i ze strachu. Musiałem przedstawiać opłakany widok. Stałem tak pod drzwiami dość długą chwilę i nie mogłem wydusić z siebie ani słowa. Nic, co mógłbym powiedzieć, nie przychodziło mi do głowy, Archanioł także się nie odzywał. Patrzył tylko na mnie, ale nic z tego spojrzenia nie mogłem wyczytać.

– Mistrzu, przyszedłem... – zdołałem wymamrotać, ale głos uwiązł mi w gardle.

– Tak? – Brat Armand bawił się piórem, które trzymał w dłoni, gdy wszedłem.

Odetchnąłem głęboko.

– Przyszedłem, by jeszcze raz prosić cię, ojcze... Prosić, abys darował mi karę – powiedziałem cicho i najbardziej pokornie, jak tylko umiałem.

Brat Armand odłożył pióro na biurko.

– Antonio, moja decyzja w tym przedmiocie się nie zmieniła – powiedział spokojnie, a nawet ze smutkiem.

– Ojcze, błagam... – Wyciągnąłem do niego ręce.

– Nie zaczynaj od nowa, Antonio. – Archanioł wstał z krzesła i podszedł dwa kroki bliżej.

Dzieliła nas odległość niewiele większa od metra.

– Ojcze, przysięgam ci na wszystko, że to nie ja podpaliłem dzwonnice. – Padłem przed nim na kolana. – Przysięgam na rany Chrystusa, że to nie ja. – Łzy ciekły mi po policzkach. – Błagam cię,

odwołać tę karę. Uwierz mi, że to nie ja. – Złożyłem ręce jak do modlitwy.

Ale brat Armand stał nieruchomo i wyraz twarzy także miał niewzruszony.

– Antonio, nie mam wątpliwości co do twojej winy – powiedział łagodnie, ale stanowczo. – Sędziowie miejscy też jej nie mieli. Tracisz tylko czas, przychodząc tutaj.

Pochyliłem ramiona i płakałem.

– Ojcie, przysięgam ci na moje życie i na wszystko, co mi na tym świecie drogie, że nie chciałem cię zabić. – Łkałem, ale już nie ośmieliłem się nań spojrzeć. – Nienawidziłem cię, to prawda. Okłamywałem. Podśluchiwałem. A nawet przedrzeźniałem. Ale nigdy nie podniósłbym na ciebie ręki!

– Nie przekonujesz mnie, Antonio – odpowiedział mistrz sucho i chłodno.

Padłem mu do stóp, trzymając czoło przy samej podłodze.

– Co mam uczynić, żebyś mi uwierzył, ojcie? – zapytałem. – Zrobię, co tylko zechcesz, ale nie każ mnie oślepić! – Chwyciłem dłonią jego stopę obutą w skórzany sandał i przysunąłem do niej policzek. – Błagam, ojcie, mam dopiero czternaście lat! Nie oślepiaj mnie, proszę... – Moje gorące łzy kapały na jego palce. – Powiedz, co mam zrobić, a uczynię to. Błagam, okaż mi litość. Możesz to zrobić. Jestem za młody, by żyć w ciemnościach. – Przytuliłem zimny jeszcze i mokry policzek do stopy brata Armanda i szlochałem głośno.

– Może na początek powiedz mi prawdę, Antonio – odpowiedział mistrz zimno.

– Ojcie, powiedziałem ci prawdę. Ale jeśli chcesz, mogę się przyznać i wziąć na siebie winę. Powiem, co zechcesz, tylko okaż mi łaskę. Błagam... – Zacisnąłem powieki z całych sił i skuliłem się na podłodze.

Brat Armand cofnął się o krok, a moja głowa opadła twardo na deski podłogi jego celi. Poczułem na mokrym od deszczu i łez policzku drobne ziarenka piasku, które przyklejały mi się do skóry.

– Nie – powiedział twardo Archanioł.

– Ojcie, miej litość nade mną... – łkałem. – Przepraszam cię za

wszystko, co złego wyrządziłem. Proszę, nie sądź mnie jak inkwizytor, ale jak człowiek. – Było mi już wszystko jedno, co sobie pomyśli. – Widziałem, że na procesie się wahałeś. Czy twoje serce naprawdę mówi ci, że chciałem cię zabić? Nie wierzę w to. – Uniosłem głowę, aby nań spojrzeć, ale lodowata jego twarz od razu pozbawiła mnie złudzeń. – To już lepiej mnie zabij – powiedziałem z rezygnacją, kładąc na powrót twarz na podłodze. – Zrób ze mną, co zechcesz, tylko mnie nie oślepiaj...

Leżałem rozdygotany u jego stóp. Piekły mnie oczy od łez i policzki z emocji. Nie było już we mnie wstydu. Dziś ukorzyłem się przed bratem Armandem całkowicie. I tak samo bez reszty zdany byłem na jego łaskę.

– Nie, Antonio – odpowiedział po chwili. – Nie będzie żadnej łaski. Powtarzam ci, że tracisz czas.

– Ojczy... – spróbowałem raz jeszcze, ale brat Armand mi przerwał.

– Nie będę tego dłużej słuchał. – Był poirytowany. – Wstań, Antonio, i wyjdź z mojej celi – rozkazał chłodno.

Słyszałem, że usiadł na powrót przy biurku. Zatem i ja podniosłem się na kolana. Brat Armand przyglądał mi się, jak wstaję. Spojrzałem na niego dłuższą chwilę, ale nic już nie powiedziałem.

Wstałem z kolan i odwróciłem się. Wolnym krokiem podszedłem do drzwi jego celi. Czułem na plecach zimny oddech nieodwołalnego... Dygotałem.

– Jak to się stanie? – zapytałem, nie odwracając się w jego stronę.

– Jeszcze nie rozmawiałem o tym z katem – przyznał Archanioł, a ja oparłem się plecami o drzwi. – Są dwie możliwości: albo kat wypali ci źrenice rozżarzoną żelazną, albo wyłupi ci oczy ostrym, haczykowatym narzędziem. Osobiście byłbym za tym pierwszym rozwiązaniem, bo nie wda się zakażenie i rany nie będą się paprać. – Mówił o tym tak, jakby to było pielienienie grządek i wyrywanie chwastów.

Nawet nie zmrużył oczu, kiedy opisywał metody kata, nie zająknął się, ani nie zawahał. Krótko, zwięźle i bardzo rzeczowo przedstawił mi, co mnie jutro spotka. Brat Armand nie musi czekać na nominację Królowej! On już jest inkwizytorem! – pomyślałem.

– Chcesz zdecydować, w jaki sposób kat ma to zrobić? – zapytał łagodnie mistrz.

Skinąłem w odpowiedzi głową. Co za łaska! Zrobiło mi się gorąco na samą myśl. Ale doszedłem do wniosku, że mistrz, jako lekarz, doradził mi wypalenie ze względów medycznych i na pewno zrobił to zgodnie z najlepszą swą wiedzą. Niech więc będzie, jak mówi.

– Niech będzie wypalenie żelazem – powiedziałem cicho.

– Dobrze, Antonio. Przekażę jutro katu twoją prośbę – zapewnił mnie Archanioł bez cienia litości, po czym jakby nigdy nic wrócił do swojej lektury.

Ja zaś w milczeniu opuściłem cicho jego celę.

A więc to już koniec! – pomyślałem. Zgasły wszelkie nadzieje i wszelkie drzwi się przede mną zamknęły. Jutro mnie oślepią. Oślepią... Ogarnęło mnie przerażenie, gdy spróbowałem sobie wyobrazić, jak to się stanie: jak mnie zwiążą albo raczej przywiążą do czegoś i jak kat podejdzie z żelaznym prętem, którego koniec jarzyć się będzie na czerwono. I przyłoży go do najdelikatniejszej skóry na mojej twarzy – do powiek. Zakręciło mi się w głowie na myśl o bólu i całym późniejszym cierpieniu, które będzie przede mną. I o latach spędzonych w ciemności...

Pchnąłem drzwi mojej celi i wszedłem do środka.

25 września. Rankiem

Prawdopodobnie jest to ostatni wpis, jakiego dokonuję własnoręcznie.

Wczoraj wieczorem przebrałem się w suchą kutę, a potem przyszli Juan i Alejandro, aby dotrzymać mi towarzystwa, gdyż spać w taką noc było niepodobieństwem. Poszliśmy do kościoła, aby się pomodlić. Ja chyba modliłem się o cud – nie wiem, bo co chwila przed oczami pojawiał mi się kat z rozżarzonym żelazem.

Nawałnica minęła zupełnie i chmury odsłoniły rozgwieżdżone, cudne niebo, którego do ponad tygodnia nie było widać. Zapamiętałem obraz tych gwiazd, ale bałem się z nimi żegnać. Bałem się dopuścić do

siebie myśl, że to naprawdę stanie się za kilkanaście godzin.

Resztę nocy przesiedzieliśmy w mojej celi, w większości w milczeniu. Przyszedł do nas brat Alvaro i brat Jorge, który zaoferował mi spowiedź i komunię świętą, ale odmówiłem. Byłby to dla mnie ostateczny znak, a ja – i muszę to przyznać – łudziłem się ostatkiem sił, resztkami, strzępkami nadziei, mimo że rozum podpowiadał mi, że to daremne.

Przyszedł do nas na krótko także brat Santiago i brat Martin, który wręczył mi małą fiolkę z jakimś proszkiem w środku.

– To cyjanek – szepnął mi do ucha. – Trucizna. Gdybyś jednak zdecydował, że wolisz śmierć.

Schowałem fiolkę do kieszeni kuty.

– Samobójstwo to ciężki grzech i prowadzi do potępienia – dodał brat aptekarz. – Ale czasem znajdujemy się w takich sytuacjach, że lepiej jest mieć ten wybór. To nas uspokaja.

– Dziękuję, ojcze. – Uśmiechnąłem się blado, ale wiedziałem też, że nie skorzystam z tej pomocy.

Bałem się egzekucji, ale chciałem żyć. Jakiegokolwiek będzie to życie po oślepieniu, w wiecznych ciemnościach, ale będzie życiem.

Brat Jorge siedział z nami do samego prawie końca. Nie poszliśmy na jutrznię ani na poranną mszę, z czego brat Jorge rozgrzeszył mnie od razu. Ja, Juan, Alejandro, brat Alvaro, brat Santiago, brat Martin i brat Jorge – wszyscy czekaliśmy w mojej celi. Ciekaw byłem, co pomyśli sobie Archanioł, gdy zobaczy, że wszystkich nas nie ma, i czy przyjdzie do mnie, żeby na mnie nakrzyczeć jak ostatnio, ale nie. Brat Armand po mszy poszedł prosto do gabinetu przeora. Około godziny dziesiątej wyszedł także brat Jorge, aby – jak stwierdził – załatwić coś z bratem José. My zaś liczyliśmy minuty...

30 września. Segowia

W dniu egzekucji przed południem poszliśmy wszyscy na dziedziniec. Dzień był przepiękny, a niebo najbardziej błękitne, jakie w życiu widziałem. A może takim mi się wydawało, bo mieli mnie

oślepić? Nie wiem. Brat Jorge przyszedł mnie uścisnąć i pożegnać się ze mną, bo na egzekucję przyjść nie zamierzał.

– Ale przecież brat Armand zarządził obecność obowiązkową dla wszystkich... – powiedziałem, a brat Jorge uśmiechnął się pobłaźliwie.

– I co mi zrobi, jak nie przyjdę? – zapytał. – Zarządzi chłostę? Wie, że nie ma takiej możliwości. Nie ma nade mną władzy, a ja nie będę oglądał tej egzekucji, aby jemu zrobić przyjemność, Antonio. – Jeszcze raz mnie uścisnął. – Przecierp to w imię Chrystusa, tak jak On cierpiał za nas na krzyżu. I pamiętaj, Antonio, że los się kiedyś odwróci. Pan Bóg nie jest zbyt szybko, za to sprawiedliwy jest zawsze. Zobaczysz, że nim twoja i Armanda drogi dobiegną końca, jeszcze raz się spotkacie. – Pochylił się i dodał szeptem: – Klątwa działa. Chociaż Armand w nią nie wierzy, ona działa i wypełni się wszystko, co przepowiedział mu brat Domingo. Życzę ci, Antonio, abyś dowiedział się kiedyś o tym. I pamiętaj – brat Jorge wyprostował się – nie ma lepszego oręża w walce ze złem, jak dobro. Gdybyś kiedykolwiek miał możliwość ukarania Armanda za krzywdy, które ci wyrządził, pamiętaj, że na zemstę będzie przygotowany, a największą dlań karą będzie twoje przebaczenie. – Ucałował mnie w czoło jak ojciec i dodał: – Bóg z tobą, Antonio. – Po tych słowach brat Jorge odszedł w stronę swojej celi.

Jego słowa działały krzepiąco i dodawały otuchy, choć strach był niezawodny. Przebiegał mi po plecach lodowatym dreszczem i zmuszał mnie, abym drżał przed tym, co za chwilę mi uczynią.

Oprócz naszej małej grupki przyjaciół nikogo więcej na dziedzińcu nie było, ale i godzina była wczesna, a ja i tak nie miałem co ze sobą zrobić w celi, więc wolałem czekać na dziedzińcu. Dziękowałem Bogu, że moi przyjaciele byli w tej chwili ze mną, bo odwracali, przynajmniej częściowo, moje myśli od tej potwornej kaźni.

– Mamy dla ciebie niespodziankę – Alejandro szepnął mi do ucha i wskazał na filary obok segmentu, który zajmował wraz z bratem Jorge.

Spojrzałem. W cieniu pomiędzy kolumnami i pędami róż stał brat Manuel. Jakże się ucieszyłem na jego widok!

– Wszedł do opactwa, gdy brat Jorge odwrócił uwagę brata José – poinformował mnie Juan. – Ale to nie wszystko.

Nie słuchałem już dalej, tylko podbiegłem do brata Manuela

i serdecznie go uściskałem.

– Musiałem się z tobą zobaczyć, Antonio – powiedział mój trędowaty przyjaciel. – I pamiętaj, że jestem zawsze z tobą. I Bóg także jest po twojej stronie. Muszę zostać tutaj, w cieniu, żeby mnie brat Armand nie wyszedził i nie wygonił. Mam jeszcze coś do zrobienia – zakończył tajemniczo.

Pokiwałem głową, chociaż nie bardzo wiedziałem, co brat Manuel może mieć do zrobienia w opactwie i w dodatku w tajemnicy przed Archaniołem.

– Cieszę się, że mogłem się z tobą zobaczyć, ojcie. – Uśmiechnąłem się i wróciłem na dziedziniec.

Za jakiś czas mnisi zaczęli się powoli schodzić. Dał się słyszeć dzwonek do furty i brat José wpuścił na teren opactwa kata odzianego w czarną opończę i jego dwóch pomocników, którzy także mieli zasłonięte twarze. Serce się we mnie ścisnęło na ich widok...

Rozglądałem się wśród braci, kto przyszedł, ale poza bratem Jorge i, rzecz jasna, bratem Domingo, a także poza bratem Armandem wszyscy już się zgromadzili. Było jeszcze wcześniej i pewnie dlatego Archanioł nie przychodził, bo nie mogłem uwierzyć, aby odpuścił sobie taką manifestację swej władzy!

Wielu braci podchodziło do mnie i mi współczuło, wielu starało się dodać mi otuchy, niektórzy się ze mną pożegnali. Byli też tacy, jak brat Ricardo czy brat Constantino, którzy stali nieco dalej i obojętnie przyglądali się temu, co się stanie.

Po kilkunastu minutach ponownie usłyszeliśmy dzwonek do furty i brat José przyprowadził na Wielki Dziedziniec trzech sędziów miejscowego trybunału, którzy zatwierdzili wyrok koleżeńskiego sądu. Jednym z nich był sędzia Manfred de la Coruña. Dwóch pozostałych widziałem pierwszy raz w życiu. Byli to starsi mężczyźni, jeden dość otyły i ciężko oddychający, drugi szczuplejszy i nieco wyższy. Na twarzach wszystkich trzech malowała się obojętność, a usta dwóch starszych sędziów wykrzywione były w utrwalonym przez lata grymasie wiecznego niezadowolenia i niechęci.

Weszli na dziedziniec, jakby byli u siebie: pewnie i dumnie. Powiedziałbym nawet, że arogancko. Wyrazili rozczarowanie, że nie

przygotowano dla nich miejsc siedzących, więc brat José wraz Jesusem i Camilo poszli po krzesła do refektarza.

– Co za bezczelność! – skomentował szeptem ich zachowanie Alejandro.

– Cierpliwości, bracie – dodał Juan. – Wszystko zgodnie z planem. – Uśmiechnął się tajemniczo.

Spojrzałem na nich pytająco, ale Juan przyłożył palec do ust, abym nic nie mówił. Coś we dwóch z Alejandrem przygotowali, ale zbyt bałem się tej egzekucji, aby się zastanawiać, co zrobią.

A bałem się potwornie! Zwłaszcza przybycie świeckich sędziów mną potrzęsęło. To był ostatni znak, że stanie się nieodwołalne, że nic mnie nie uratuje, chyba tylko Boska interwencja, ale na nią wołałem nie liczyć. Trzęsły mi się kolana, trzęsły mi się dłonie i cały dygotałem ze strachu, którego nie sposób było przemóc. Alejandro i Juan obejmowali mnie za ramiona w tym przedłużającym się oczekiwaniu. Brat Armand miał dać znak do rozpoczęcia egzekucji, ale nie przychodził.

Słyszałem, że kat na trawie obok rozłożył płachtę, a na niej swoje narzędzia, które zabrzęczały złowrogo, ale nie śmiałem na to patrzeć. Posłał też swego pomocnika po coś do kuchni klasztornej. Jak miemam, aby rozgrzać żelazo na palenisku. Brat Gregorio poszedł razem z nim.

I gdy tak staliśmy w tym potwornym napięciu, wydarzyło się coś niesamowitego. Idąc alejką róż pomiędzy kolumnami, brat Manuel przyszedł do nas na dziedziniec, ku zaskoczeniu prawie wszystkich. Zrobił to tak znienacka i tak naturalnie, że mnisi na jego widok po prostu zaniemówili. Miał na sobie wypraną, ale poplamioną kutę, w której chodził w leprozorium. Wszedł pomiędzy braci, którzy rozstępowali się przed nim, jakby sama śmierć szła w poplamionej kucie przez Santa Cruz. A brat Manuel się uśmiechał i szedł wolno, z godnością, aż stanął przed trzema świeckimi sędziami. Zapanowała absolutna cisza wśród zgromadzonych, a brat Manuel zwrócił się do sędziów:

– Umiłowani bracia nasi! Pozwólcie, że w imieniu naszego zgromadzenia powitam was w Santa Cruz! To zaszczyt dla nas gościć w naszych skromnych murach tak zacnych panów. Pozwólcie, że złożę wam pocałunek miłości, jak nakazuje tradycja naszego zakonu. Niech będzie on dla was znakiem błogosławieństwa na dalszą drogę życia. – To

mówiąc, brat Manuel podszedł do pierwszego z sędziów i pocałował go w usta.

Był to cokolwiek długi pocałunek i widziałem, że bracia spoglądali po sobie z przerażeniem. Ale nikt się nie odezwał. Juan i Alejandro mieli miny niewiniątek, a więc wszystko to ukartowali!

– Pokój z tobą, mój bracie – powiedział brat Manuel do pierwszego z sędziów.

Następnie podszedł do drugiego i także złożył mu na ustach długi pocałunek.

– Pokój z tobą, mój bracie.

Potem to samo powtórzył z trzecim sędzią, z Manfredem de la Coruña. Stał jeszcze raz przed nimi i uklonił się nisko i pokornie.

– Masz poplamioną kutę, bracie – zauważył z przekąsem otyły sędzia. – Bardziej niż inni. Czy pracujesz, ojczy, w chlewie? – Roześmiał się, a po chwili śmiali się już wszyscy trzej sędziowie.

Brat Manuel z pokorną miną zczekał, aż skończą się śmiać, a potem odpowiedział:

– Nie. W leprozorium. A te plamy to ropa z nacieków i ran trędowatych, którymi się opiekuję. Niestety plam nie da się sprać. Ja również jestem trędowaty. – Uśmiechnął się nieznacznie, a na twarzach sędziów w miarę jak mówił malowało się coraz większe przerażenie. – Dzisiaj jestem tylko narzędziem w ręku Boga, drodzy bracia. Mój pocałunek to zapłata Pana naszego za wasz sprawiedliwy wyrok. – Brat Manuel uśmiechał się niewinnie jak dziecko.

Sędziowie spojrzeli po sobie wystraszeni. Zaczęli wycierać usta dłońmi i chustkami, które powymowali z kieszeni. Pluli i parskali na trawę, a widok ten był naprawdę przezabawny! Juan i Alejandro uśmiechali się delikatnie.

Jeden z sędziów rzucił się w stronę fontanny i obmył sobie twarz, usilnie pocierając ją dłońmi, jakby chciał zderzeć sobie skórę. Dwaj pozostali sędziowie także podbiegli do fontanny.

– To bezcelowe! – krzyknął za nimi brat Manuel. – Trąd jest już w was! Choćbyście nie wiem ile i jak się teraz myli!

Sędziowie mimo słów brata Manuela dokończyli mycie twarzy, a potem rozzłoszczeni przeszli ostentacyjnie przez środek dziedzińca

i skierowali się ku wyjściu, dokładnie w chwili, gdy nadszedł brat José i dwaj nowicjusze z krzesłami.

– Tak jak wam w tej chwili załamał się cały świat, tak załamał się on dla Antonia, kiedy zatwierdziliście wyrok sądu koleżeńskiego – powiedział do sędziów brat Manuel. – Zapamiętajcie, co teraz czujecie, żebyście wiedzieli, jak wielki grzech was obciąża i z czego się macie spowiadać przed Bogiem, gdy kiedyś przed Nim staniecie – dodał, a sędziowie podeszli do furty klasztornej. – Do zobaczenia, umiłowani bracia! – krzyknął jeszcze brat Manuel, nie przestając się uśmiechać. – Spotkamy się już niedługo! W piekle, jakim jest leprozorium!

Usłyszeliśmy jeszcze szcęk otwieranej furty, a potem jej trzask, gdy sędziowie opuścili opactwo. Brat José rzucił na ziemię trzymane w rękach krzesło i podbiegł do brata Manuela.

– Kto cię tu wpuścił? – krzyknął.

– Nie tym tonem, bracie José – odparł spokojnie brat Manuel. – Ja także się cieszę, że cię widzę.

– Wygoniłeś sędziów? – Brat furtian nie dowierzał własnym oczom.

W tym momencie przyszedł brat Armand, a mnie na jego widok zabrakło tchu.

– Nie ośmieliłbym się, bracie José – odpowiedział brat Manuel. – Otrzymali tylko zapłatę za swoje uczynki. Ciebie również, bracie Armandzie, ucałowałbym na powitanie, ale Bóg ma co do twojej osoby chyba inne plany – zwrócił się do mojego mistrza.

– Musisz opuścić nasz klasztor, bracie Manuelu – powiedział Archanioł spokojnie i bez cienia złości, ale bardzo stanowczo.

– Oczywiście. – Nasz trędowaty brat uklonił się przed pełniącym obowiązki przeora moim patronem. – Będę się za ciebie modlił, Antonio – powiedział do mnie, po czym ruszył pomiędzy mnichami ku wyjściu.

Pospieszył za nim brat José, aby dopilnować, jak sądzę, że brat Manuel na pewno wyjdzie na zewnątrz.

– Co tu zaszło? – zapytał zdziwiony Archanioł, a brat Ricardo opowiedział mu przebieg zajścia.

– I nie przerwaliście tego? – Brat Armand był zaskoczony.

– Nie – odpowiedział brat Ricardo. – Większość bała się, że brat

Manuel zarazi także ich.

– A pozostali? – Archanioł spojrział na mnie i moich przyjaciół.

– Uważali, że sędziom się należało – dodał brat Ricardo.

Brat Armand uśmiechnął się wyraźnie rozbawiony i pokręcił z niedowierzaniem głową. Chyba wcale nie przejmował się losem зараżonych trądem urzędników miejskich, którzy z pewnością złożą skargę do biskupa, a może także i wyżej, na to, co ich spotkało w Santa Cruz. Podszedł do kata i powiedział mu coś na ucho, a ten skinął głową i spakował płachtę z narzędziami. Posłał też drugiego pomocnika do kuchni. Domyślałem się, że brat Armand przekazał katu, jak kara ma być wykonana.

– Dobrze. Zaczynamy! – ogłosił Archanioł, wychodząc na środek.

W rękę trzymał złożoną na pół kartkę, tekstem do środka. Ogień rozszedł się po moich trzewiach, a na krtani zacisnął się lęk, co odbiera zdolność mówienia i możliwości oddychania.

– Wszyscy wiecie, dlaczego się tu spotkaliśmy – mówił dalej mój mistrz. – Więc nie będę się powtarzał. Antonio wybrał sposób wykonania kary poprzez wypalenie źrenic i jego prośba zostanie spełniona. Jest mi przykro, że taka egzekucja odbywa się w naszym opactwie, które nigdy nie było widownią czegoś podobnego. Ale gdzie jest zbrodnia, tam musi być i kara. Wiedźcie, bracia, że ja ubolewam nad tym szczególnie, gdyż skazany jest moim uczniem, którego kochałem jak brata. Wszyscy jednak byliście świadkami, że nie chciałem jego krwi. Dlatego też zwracam się do kata, aby okazał litość, a wykonując wyrok, baczył, aby jak najmniejsze cierpienia sprawić naszemu bratu, Antoniowi – zakończył.

Kątem oka widziałem, że wracają z kuchni dwaj pomocnicy kata oraz *padre* Gregorio. Oddychałem szybko. Kierowany ludzkim odruchem, podszedłem do brata Armanda, ukląknę przed nim i spuściłem głowę.

– Ojczy, przebacz wszystko, co złego uczyniłem – powiedziałem.

– Przebaczam ci, mój synu. – Patron podniósł za brodę moją twarz, abym na niego spojrział. – Przebaczam ci i nie chowam urazy. – Uśmiechnął się. – W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego twoje grzechy niech będą ci odpuszczone! – Uczynił dłonią znak krzyża nad moją

głową.

Wstałem z kolan. Brat Armand skinął na kata. Odwróciłem się w jego stronę, a on gestem pokazał mi, abym podszedł bliżej. Jeden z jego pomocników trzymał w ręku dwa rozpalone pręty żelazne. Miałem nadzieję, że zrobią to jednocześnie na obu oczach...

Boże mój, któryś mnie stworzył, zmiłuj się nade mną i nad moją duszą! – modliłem się. – Błagam, pomóż mi to przetrwać. I spraw, abym kiedyś wybaczył to wszystko bratu Armandowi.

Nie. Nie przestałem go szczerze nienawidzić. Ale jako chrześcijanin wiedziałem, że muszę mu to wybaczyć, jeśli chcę być zbawiony. Nie wiedziałem jeszcze, jak będzie to trudne...

Płynąca w skroniach krew i mocne uderzenia serca oszałamiały mnie tak, że ledwie mogłem się ruszyć. Podszedłem wolno do kata, a on uklęknął przede mną.

– Wybacz mi – poprosił, jak zwykli robić kaci przed publicznymi egzekucjami.

– Wybaczam – odpowiedziałem cicho.

Kat wstał.

– Zrobię to najszybciej, jak potrafię – zapewnił mnie. – Dlatego użyję dwóch prętów naraz, abyś czuł ból tylko raz.

Skinąłem głową, ale dygotałem ze strachu, a myśl o wypaleniu obu źrenic naraz wcale nie dodawała mi otuchy. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałem! I zaledwie przeczuwałem cierpienia, które mnie czekały.

Kat kazał mi się położyć na trawie, co też wolno uczyniłem. Leżałem na plecach, a jeden z jego pomocników chwycił moje ręce, pociągnął je za głowę i uklęknął na moich ramionach w rozkroku, unieruchamiając mi jednocześnie głowę pomiędzy swoimi udami. Drugi z pomocników, oddawszy katu oba pręty, uklęknął w ten sam sposób na moich łydkach, blokując je, abym się nie poruszył.

Oddychałem szybko i płytko, a serce uderzało mi w zawrotnym tempie. Strach ścisnął mi je z całych sił i czułem się jak zwierzę w potrzasku, które naraz zdaje sobie sprawę, że jest w pułapce i nie ujdzie z życiem. Tak i ja dopiero w tej chwili straciłem ostatnią nadzieję, że brat Armand okaże mi łaskę. Byłem bezradny. Bezwolny. Całkowicie oddany oprawcom: katu i Archaniołowi.

Mój wzrok padł na chwilę na brata Celestino i pomyślałem sobie, jaką dziś wzmiankę uczyni on w Kronice Santa Cruz? A przede wszystkim, jakie namaluje do niej iluminacje?... Dotąd wszystkie były piękne i pogodne. Jakie będą tym razem?...

Kat stanął nade mną, trzymając oba pręty w dwóch dłoniach, rozpalonymi końcami zwrócone do siebie. Po chwili uklęknął. Spojrzałem przerażony ponad jego głową na braci dominikanów, których oglądałem ostatni raz. W pierwszym rzędzie stał Archanioł. Na całe moje życie w ciemnościach zapamiętam jego twarz w tamtej chwili: obojętną, skostniałą, zimną, z zaciśniętymi ustami, z chłodnym spojrzeniem mówiącym, że nie zależy mu na nikim poza nim samym i że darmo liczyłem na litość i łaskę. A potem ostatni raz spojrzałem na błękitne niebo, które przecięła beztroska jaskółka...

Pomocnik kata, który klęczał za moją głową, chwycił moją twarz w swoje dłonie. Wydałem z siebie cichy jęk i odruchowo zacisnąłem powieki, gdy ujrzałem dwa rozżarzone pręty, ale pomocnik kata kciukami i palcami wskazującymi na siłę je rozchylił. Czułem już gorąco na skórze twarzy, a potem cały obraz wypełniło żelazo rozgrzane do czerwoności...

Chyba krzyknąłem, by tego nie robił, ale nie jestem pewien, bo potem wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Kat przyłożył obie rozpalone, żelazne końcówki do moich źrenic. Najgorszy ból, jak w życiu czułem, szarpnął moim ciałem: syczący, piekący tak bardzo, że miałem wrażenie, że żelazo przepali mi także kości oczodołów. Krzyknąłem ze wszystkich sił i szarpnąłem głową, ale pomocnicy kata byli dobrze wyszkoleni w swym fachu i nie puścili mnie.

Ból był straszny i poczułem go w całej głowie, jakby kat oblał mi żelazem cały mózg, nie tylko oczy. Najpierw kłujący, potem piekący, aż na końcu czułem tylko ogień. I zapach palonej skóry, bo kat przypalił mi także powieki. Na szczęście tak, jak obiecał, nie trwało to długo i dość szybko cofnął żelazo z mych oczodołów. Ból jednak nie ustąpił, choć znacznie zelżał, zaś pomocnicy uwolnili moje ręce i nogi dopiero po kilku chwilach.

Ale ja leżałem nadal na trawie. Nie chciałem wstać. Czternastoletni chłopiec, który tu przybył prawie pięć miesięcy temu, Antonio, trochę

niesforny i może za bardzo beztroski – ten chłopiec już nie żył. W ciągu kilku chwil tej kaźni stałem się starcem. Wydoroślałem, spowaźniałem i zestarzałem się w okamgnieniu. Za sprawą jednego człowieka: jego urażonej dumy, uprzedzeń i okrucieństwa. Moje całe dotychczasowe życie umarło tu, na dziedzińcu Santa Cruz. Teraz zaczynam nowe życie: w ciemnościach świata.

Nie wstawałem z przyjemnie miękkiej trawy. Wiedziałem, że w tej chwili wszyscy na mnie patrzą, że Archanioł na mnie patrzy i napawa się swoim triumfem. A ja czułem się obnażony, nagi zupełnie i upokorzony. W pewnym momencie nawet się ucieszyłem, że nie widzę, bo nie umiałbym spojrzeć mu po tym wszystkim w oczy. To cierpienie, ten strach i ból to zbyt wiele jak na czternastoletniego chłopca, który miałby mu to wszystko wybaczyć. Nie. W tej chwili, leżąc na trawie, wiedziałem już, że przebaczenie jest niemożliwe.

– Już po wszystkim, Antonio – odezwał się Archanioł, jakby nie rozumiał, co się stało i dlaczego nie wstaję.

Ból w oczodołach, piekący i suchy, zagłuszył zupełnie gniew, który w sobie poczułem na dźwięk jego głosu. Z wolna podniosłem się z trawy, zdezorientowany w ciemnościach, które mnie otaczały. Dotknąłem spoconymi z niedawnego strachu dłońmi pustych oczodołów, ale ślady były zbyt bolesne, aby je dokładniej zbadać.

Czyjeś ręce chwyciły mnie pod ramię i objęły mocno.

– Antonio, to ja, Juan – usłyszałem przy uchu jego głos i wydawało mi się, że mówił przez łzy.

Było ciemno. Strasznie, zupełnie, całkowicie ciemno, a ja nie miałem pojęcia, w którą stronę mam iść ani tak naprawdę dokąd mam iść. Ani jeden promień słońca nie przedzierał się przez kurtynę spalonych powiek i źrenic i nie wiedziałem, gdzie jest północ, a gdzie południe. Nawet nie miałem pewności, czy bracia nadal stoją na dziedzińcu, bo nikt się nie odzywał. Być może przerażał ich mój widok? Może cała ta egzekucja? A może okrucieństwo ich nowego pasterza – pełniącego obowiązki przeora brata Armanda Castellano de Corell? A może po prostu sobie poszli?

– Antonio Gabriel de Garcia! – usłyszałem oficjalny głos mego patrona. – Wiedz, że z tą chwilą jesteś relegowany z klasztoru Santa

Cruz la Real w Segowii i z zakonu dominikanów.

Odwróciłem się w stronę, z której dobiegał głos, i przed oczami wyobraźni pojawiła mi się zapamiętana twarz Archanioła, którą widziałem ponad głową klęczącego nade mną kata i ponad dwoma rozpalonymi prętami żelaza. Uczułem, że ktoś drugi chwycił mnie pod ramię z drugiej strony.

– Alejandro, to ty? – zapytałem cicho.

– Tak, to ja – szepnął.

– To jest decyzja o wydaleniu cię z naszych szeregów – mówił dalej Archanioł. – Wyciągnij rękę, Antonio – polecił.

Wyciągnąłem dłoń gdzieś przed siebie na oślep, a potem poczułem, że włożono mi w nią kartkę. Była złożona na pół, więc domyślałem się, że to ta sama, z którą brat Armand przyszedł na egzekucję. Zacisnąłem palce na chropawym papierze. Chciałem jeszcze coś powiedzieć do Archanioła, ale zrezygnowałem. W tamtej chwili życzyłem mu cierpienia. Niewyobrażalnego cierpienia. Nie. Nie życzyłem mu śmierci, bo umarli już nie czują. A ja chciałem, żeby czuł...

Potem zaś wsparty na ramionach Juana i Alejandra i przez nich prowadzony ruszyłem wolno ku furcie klasztornej, jak mi się zdawało. Z pewnością szedł przed nami brat José, aby dopełnić formalności przy wyjściu. Słyszałem czyjeś kroki, a potem zgrzyt zawiasów, gdy otwierał nam furkę.

– Żegnaj, Antonio – powiedział ze smutkiem w głosie.

– Żegnaj, José. – Odwróciłem głowę, skąd usłyszałem jego słowa.

Wyszliśmy poza mury klasztoru. Chwila ta była niemal mistyczna, jakbym przekraczał znienawidzone bramy piekła i wchodził w inny świat. Ale świat ten wcale nie będzie lepszy.

Usłyszałem zgrzyt ryglowanego zamka w klasztornej furcie, a potem cichnące kroki brata José wracającego na dziedziniec. Odwróciłem się jeszcze raz w stronę opactwa i podszedłem do murów. Po omacku znalazłem ornamenty portalu wejściowego i dotknąłem płaskorzeźb, które zdobiły furkę klasztoru. Były gładkie, chłodne i przyjemne w dotyku. Przypomniałem sobie, jak całkiem niedawno stałem przed tą furką z rodzicami i podziwiałem portal oraz niezwykłą, koronkową wręcz robotę rzemieślników. Czy gdybym wtedy wiedział,

co mnie czeka za murami, ośmieliłbym się sprzeciwić ojcu?

– Chodźmy do szpitala, Antonio – usłyszałem głos brata Alvaro, który widocznie nam towarzyszył. – Trzeba opatrzyć te oparzenia.

– Nie chcę. – Pokręciłem głową. – Jeszcze brat Armand przyjdzie. Nie chcę się z nim znowu spotkać.

– Nie przyjdzie – zapewnił mnie brat Alvaro. – Od kilku dni w ogóle nie przychodzi do szpitala, a dziś ma sporo pracy. Teraz zaś rozlicza się z katem. Możesz być pewien, że do nas nie przyjdzie.

W szpitalu Juan i brat Alvaro z wielkim wyczuciem posmarowali mi wypalone oczodoły jakąś tłustą maścią. Zapewne tą samą, którą Archanioł kiedyś smarował oparzenia brata Francisco, gdy zdarzył się wypadek w kuchni, a także swoje, gdy poparzył się, uciekając z płonącej dzwonnicy. Potem Juan i jego dawny patron założyli mi opatrunek z bandażu, które okręcili wokół mojej głowy.

A następnie we cztery poszliśmy pieszo ulicami Segowii do mego rodzinnego domu. Ale chociaż znałem na pamięć miejsca, którymi szliśmy, w ciemnościach ulice zdawały się bezsensowną płataniną, w której szedłem bezwolnie, całkowicie bezradny. Gdyby nie przyjaciele, nie wiem doprawdy, co by się ze mną stało.

Nasz służący wpuścił nas do środka. Pierwsza nadbiegła matka, która od razu chwyciła mnie w ramiona. Płakała głośno nad moim losem, gdy brat Alvaro w wielkim skrócie tłumaczył jej, co się stało. Przyjemnie było znów czuć jej ciepło. A już zupełnie niezwykłym było przypomnieć sobie, jak to jest być kochanym. Bezwarunkowo. Przypomnieć sobie, jak to jest, gdy ktoś, miast być soplem lodu, potrafi okazywać uczucia. Żałowałem, że nie mogłem jej zobaczyć, zaś moje wypalone oczodoły niezdolne były do łez.

Potem nadszedł ojciec. Usłyszałem jego wolny, nigdzie się niespieszący, charakterystyczny krok. Długo stał przede mną w milczeniu i czułem na twarzy jego płytki oddech. Był więc zdenerwowany.

– Odejdź, moja droga – polecił mojej matce, która ociągając się, odeszła. – Antonio, co ma oznaczać twoja w moim domu obecność? – zapytał mnie tonem lodowatym, pod którym czaił się gniew.

Bez słowa wyciągnąłem przed siebie kartkę, którą przed moim

odejściem z Santa Cruz wręczył mi brat Armand. Poczulem, że ktoś, chyba ojciec, wziął ją ode mnie i zapadło milczenie, w trakcie którego czytał ją, jak się domyślałem.

– A więc to tak! – zagrzemiał nagle, gdy zapoznał się z treścią dokumentu, i w tym momencie pomyślałem, że przecież ja także nie wiem, co jest napisane na tej kartce. – Twój przełożony pisze, że popełniłeś przestępstwo, że chciałeś go zabić, podpaliłeś dzwonnice i za to zostałeś oślepiiony i relegowany z klasztoru! Potrafisz to jakoś wytłumaczyć?!

– Szanowny panie, jeśli mogę – wtrącił się brat Alvaro – to wszystko kłamstwo, a Antonio jest niewinny. Padł ofiarą ohydnej intrygi i ślepej zemsty, ale nic złego nie zrobił. Ma pan na to moje słowo jako dominikanina.

– Mam gdzieś twoje słowo, braciszku! – krzyknął mój ojciec, aż się skuliłem. – List podpisał czcigodny ojciec Armand Castellano de Corell, którego w Segowii wszyscy cenią jako wielkiego uczonego. Poniżej widnieje pieczęć przeora klasztoru Santa Cruz i podpis czcigodnego ojca Tomása de Torquemady. Obaj piszą, że odbył się sąd koleżeński i świecki proces, w którym Antonio został skazany, a wyrok jest prawomocny. Więc, ojcze, nie próbuj bronić mego zakłamanego syna, bo nie przystoi dominikaninowi fałszywe świadectwo. – Ojciec rzucił mi listem w twarz.

– Bóg mi świadkiem, że moimi słowami nie daję fałszywego świadectwa – odpowiedział brat Alvaro nieco urażony, ale nadal spokojny. – Złość zaślepia ci oczy, mój synu! Pomodlę się za ciebie i twoją rodzinę.

Pomyślałem, że list ten przeor musiał podpisać przed swoim wyjazdem do Toledo, kiedy jeszcze nie było oficjalnego zatwierdzenia wyroku przez sąd miejski. Ale oni z Archaniołem musieli znać werdykt sędziów, skoro przygotowali pismo, w którym wskazują, że sąd miejski zatwierdził wyrok sądu koleżeńskiego i że wyrok jest prawomocny. Skąd wiedzieli? Czy aż tak byli pewni swego? Czy wpłynęli w jakiś sposób na sędziów miejskiego trybunału? Czy może przygotowali tę kartkę wcześniej, tak na wszelki wypadek, gdyby jednak sędziowie podzielili wyrok kapturowego sądu?

– Taki wstyd! – grzmiał mój ojciec. – Wstyd dla całej rodziny! Złamałeś przysięgę, którą złożyłem Bogu dawno temu! Przez ciebie stałem się krzywoprzysięzcą! Nie wiem, czy Bóg mi to wybaczy! – Słyszałem, że chodził po naszym wielkim holu. – Jesteś kłamcą i mordercą, Antonio! – warknął w moją stronę. – Idź precz! Od dziś nie jesteś moim synem!

Tego obawiałem się najbardziej...

– Ojcie, proszę, nie odtrącaj mnie – błagałem. – To wszystko kłamstwa, co napisali. Proszę, musisz mi uwierzyć!

Juan i Alejandro także stanęli w mojej obronie i brat Alvaro, ale mój ojciec był nieugięty.

– Wynoś się z mojego domu! – krzyknął do mnie.

– Ojcie, błagam... – Wyciągnąłem do niego rękę, na oślep. – Przecież wiesz, że nie zrobiłbym tego, o co mnie posądzają.

– Nie znam cię, Antonio – powiedział sucho ojciec. – Bądź tak łaskaw i opuść mój dom, natychmiast!

Słyszałem, że otworzono ciężkie, drewniane drzwi wejściowe. Podeszliśmy do progu.

– Ojcie, wiesz, że nie mam dokąd pójść... – Odwróciłem się w stronę holu w ostatnim, desperackim przyływie nadziei.

– Nic mnie to nie obchodzi! – usłyszałem odpowiedź ojca. – Wynoś się z mojego domu!

Zeszliśmy po szerokich, jak pamiętałem, schodach i przez ogród ruszyliśmy do furty. W powietrzu unosił się zapach kwiatów, o które zawsze dbała moja matka, zapach jakże inny od wszechobecnej woni kwitnących róż w Santa Cruz!

– Prawdziwy katolik – skomentował Alejandro z sarkazmem. – Nie ma co!

– Co teraz? – zapytał Juan.

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem dokąd pójść. Na myśl przyszedł mi jakiś przytułek, ale wzdrygnąłem się na samo wyobrażenie takiego miejsca. Potem pomyślałem o leprozorium brata Manuela...

Byliśmy już pod furtką, której zawiasy cicho zapiszczały, gdy któryś z przyjaciół ją otworzył, gdy usłyszałem głos matki:

– Antonio! Antonio, zaczekaj! – Podbiegła do nas, jak sądziłem po

krokach na alejce. – Wybacz ojcu, wiesz, jaki jest porywczy. Przejdzie mu gniew i przyjmie cię z powrotem. Porozmawiam z nim. Tymczasem zatrzymaj się u brata – dodała. – Silvio miesiąc temu się ożenił. Kupili z żoną piękny dom po drugiej stronie Segowii. Tu jest adres. – Zaszleściła kartka, którą matka zapewne podała któremuś z braci dominikanów. – Twój ojciec cię kocha, Antonio, tylko czasem bywa trudny.

Uśmiechnąłem się blado w stronę, z której słyszałem jej głos.

– Dziękuję, mamó – powiedziałem cicho.

– Bóg z wami! – dodała szybko. – Odwiedzę cię jutro u Silvia. –

Uścisnęła mnie szybko i odeszła z powrotem nerwowym krokiem.

Ruszyliśmy do domu mego brata, a ja po drodze myślałem o tym, jak to jest możliwe, kochać swoje dziecko i wyganiać je z domu? Wiem, że matce wstyd było za mego ojca i dlatego go tłumaczyła: przed braćmi i mymi przyjaciółmi, przede mną i przed samą sobą. Ale żadne jej zapewnienia nie zmyją złego wrażenia, jakie z pewnością swoim zachowaniem wywołał u Juana, Alejandra i brata Alvaro mój ociec. Ani też nie przekonają mnie o jego do mnie wielkiej miłości... Swym zimnym i oschłym zachowaniem przypominał mi Archanioła i o ile pamiętam sprzed wyjazdu do Santa Cruz, zawsze taki był. Nigdy nikomu nie okazywał uczuć, zawsze trzymał nas, dzieci, w dyscyplinie i raczej nas karmił, niżli rozpieszczał. A teraz wyrzucił mnie z domu. Powątpiewałem w to, aby kiedykolwiek odwiedził mnie u Silvia, jeśli tam zamieszkał. To przykre napisać tak o własnym ojcu, ale w tamtej chwili właśnie tak czułem.

Mój brat przyjął mnie z otwartymi ramionami, zaś jego żona, Chiara, zajęła się troskliwie moimi ranami i strojem. Od pięciu dni znajduję w ich domu prawdziwy spokój, miłość i wytchnienie. I dopiero teraz rozumiem, jak bardzo moją duszę okaleczył pobyt w Santa Cruz! Przy tych ranach wypalone oczodoły są niczym.

Juan i Alejandro przychodzą codziennie, aby mnie odwiedzić, ku niezadowoleniu brata Armanda. Wczoraj ponoć zrobił im o to awanturę, ale lekceważą go tym bardziej, że jutro obaj wyjeżdżają na studia. Będzie mi ich brakowało. Także i teraz Juan jest ze mną i spisuje moje słowa, które dyktuję mu do dziennika, gdyż sam nie mogę już tego

zrobić. Odwiedza mnie matka, a raz nawet przyszedł Mateo, czym zrobił mi prawdziwą niespodziankę.

Brat mój oddał mi do dyspozycji osobistego służącego, bardzo zaufanego człowieka, a wiedząc, że lubię pisać, także skrybę. Juan przyniósł z opactwa mój dziennik. Bałem się, że wpadnie w ręce Archanioła, ale brat Jorge zapobiegliwie zabezpieczył go jeszcze przed moją egzekucją, gdy wszyscy staliśmy na dziedzińcu. Ucieszyłem się z dziennika. Nie będę mógł go nadal prowadzić, ale nie o to chodzi. To jedyna moja pamiątka z Santa Cruz. Zapis prawdziwych wydarzeń, jedyne moje świadectwo. Pokazałem dziennik Silvio. Chciałem, żeby znał całą prawdę, nie zamierzałem się wybielać. Ku mej radości ani Silvio, ani Chiara nie uwierzyli w żadne słowo z listu brata Armanda i przeora. Silvio podarł go przy mnie na kawałki, a resztki spalił. Zapewnił mnie także, że mogę z nimi mieszkać na zawsze.

Chiara wczoraj oznajmiła, że spodziewa się dziecka, co potwierdził także tutejszy lekarz. To bardzo szczęśliwa wiadomość, od jakich odwyłem w klasztorze. Oboje bardzo się cieszą.

Moje oczodoły goją się ładnie, jak przewidywał Archanioł, ale rany na duszy nigdy się nie zabliznią. Chłód i okrucieństwo, jakich doznałem w opactwie, na zawsze poharatały mi serce i duszę. I wiem także, że nigdy nie zapomnę tego, co przeżyłem w Santa Cruz...

25 marca anno Domini 1483

Otwieram raz jeszcze pamiętnik, po blisko pięciu latach, by dodać parę słów o tym, co dzieje się w Kastylii i całej Hiszpanii. A dzieje się wiele i warto o tym wspomnieć z obowiązku rzetelnego kronikarza.

Tak, jak brat Armand i *padre* Torquemada planowali, trybunały sądowe Świętej Inkwizycji ruszyły około rok po proklamacji przez Królów Katolickich bulli papieskiej z pierwszego września 1478 roku. Tak, jak obaj chcieli, oderwano Inkwizycję w Hiszpanii od Watykanu. Papież nie był zadowolony, ale jakoś to ścierpiał. Dopiero jednak dwa lata po ustanowieniu Inkwizycji dała się zauważyć działalność świętych trybunałów, a zaczęło się od aresztowań. Nagłych, niezapowiedzianych.

Pierwszy stos zapłonął w lutym 1481 roku, w Sewilli. Chyba szóstego, jeśli się nie mylę. Dotarły do Segowii wieści o tym.

Zgodnie z planem Archanioła i życzeniem Torquemady głównym trybunałem w kraju jest święty trybunał sewilski, a jego siedziba znajduje się w zamku San Jorge w dzielnicy Triana. Od jakiegoś czasu docierają do nas słuchy, że trybunał pracuje już pełną mocą... A brat Tomás de Torquemada jest Inkwizytorem Generalnym Królestwa.

Po naszym ostatnim spotkaniu Juan i Alejandro wyjechali na studia, a wraz z nimi także brat Ricardo i brat Oscar. Od czasu do czasu odwiedzał mnie brat Alvaro, brat Santiago i brat Martin. Raz jeden przyszedł *padre* Jorge, opowiedzieć, co się stało po moim odejściu z klasztoru. Na jego listy zawierające prośbę o ułaskawienie mnie nuncjusz papieski odpowiedział odmownie. Królowa zaś przychyliła się do naszego wniosku i poleciła wstrzymać wykonanie wyroku! Jej list dotarł jednak do Santa Cruz tydzień po egzekucji, drugiego października...

Archanioł niedługo sprawował funkcję przeora w Santa Cruz. W grudniu został zastąpiony nowo przysłanym z Madrytu ojcem Mauricio de la Luna, który jest przeorem po dziś dzień. Podobno nie lubią się obaj z bratem Armandem i nie cieszy się on już w opactwie takimi łaskami jak za Torquemady.

Brat Pedro de la Fuente został mianowany inkwizytorem i wyjechał orzekać w Świętym Trybunale w Cordobie. Zaskakująca ponoć była ta nominacja, tym bardziej że nikt się jej nie spodziewał.

Kilka dni temu był u mnie Juan, który wrócił z Salamanki z dyplomem lekarza i objął już pracę w Szpitalu Świętego Krzyża. Brat Armand dotrzymał danej mu obietnicy i oddał Juanowi kierownictwo szpitala. Sam usunął się w cień. I tylko ja i on wiemy, jak bardzo żał mu jest medycyny i pacjentów. Alejandro został w Palencji na kolejne dwa lata, aby doktoryzować się z prawa kanonicznego.

Mateo zaś ożenił się w rok od opuszczenia Santa Cruz! Jest już ojcem i odwiedza mnie czasem z całą rodziną. Zaprzyjaźniliśmy się. Wiem, że jest szczęśliwy i nie żałuje swojej decyzji o porzuceniu zakonu.

Jakże ucieszyłem się z dzisiejszych odwiedzin Juana! On także nie

krył radości, gdy na długo padliśmy sobie w objęcia po ponad czteroletniej rozłące. Długo siedzieliśmy na werandzie domu mego brata i rozmawialiśmy do późnej nocy.

– Przedwczoraj do Santa Cruz przyjechał *padre* Torquemada – mówił Juan. – Z listami nominacyjnymi na inkwizytorów. Dla Archanioła i brata Martina. Królowa zgodziła się, aby brat Armand został inkwizytorem pomimo młodego wieku. Ale wiadomo było, że Archanioł zostanie sędzią i wyjedzie z Inkwizytorem Generalnym. Nas najbardziej zaskoczyła nominacja brata Martina, którą ten przyjął! Torquemada wczoraj ogłosił z ambony naszego klasztornego kościółka, że jutro wszyscy trzej wyjeżdżają do Sewilli. Armand ma zostać od razu przewodniczącym Świętego Trybunału w Valladolid oraz członkiem Rady Najwyższej, która ma siedzibę w Trianie. Brat Martin będzie zaś orzekał w Ávili, jak tylko proklamują tam święty trybunał, co ma nastąpić lada dzień. Nie wiem, czy to prawda, ale do Ávili mają również ściągnąć z Cordoby brata Pedra. Ale szczegółów tej decyzji nie znam.

– To Archanioł z pewnością się cieszy – powiedziałem.

– Jeszcze jak! – zapewnił mnie Juan. – Gdy tylko przyjechał do klasztoru Wielki Inkwizytor, Armand od razu stał się bardziej śmiały. Dziś w klasztorze wielkie pakowanie i szykowanie się do podróży.

Skinąłem głową.

– A brat Constantino nie dostał nominacji? – zapytałem, bo przecież tak na nią czekał i tak było to dlań ważne.

Zresztą nawet Archanioł nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Juan długo nic nie odpowiadał.

– Wydarzyła się tragedia w klasztorze... – powiedział niepewnie. – Nie wiem, co mam o tym myśleć, a nikt nie chce o tym rozmawiać i wszyscy snujemy jedynie domysły, a to rodzi plotki i podejrzenia. – Juan zrobił dłuższą przerwę. – Brat Constantino powiesił się wczoraj w swojej celi. Jego ciało znaleziono dziś rano, gdy przeor zaniepokoił się, że nie zadzwonił na jutrznię. Wisiał z sufitu na cingulum. Był już zimny, zatem musiał zrobić to w nocy.

– Boże... – pomyślałem na głos. – Wiadomo, dlaczego to zrobił? – Coś mi podpowiadało, że ta śmierć miała jakiś związek z bratem Armandem.

– Nie. Nikt nic nie wie, a przeor zabronił o tym mówić, bo dla opactwa nie jest to coś, czym można się chwalić – odpowiedział Juan poważnie. – Samobójstwo u mnicha? Przecież potępił tym samym na wieki swoją duszę! Musiał mieć naprawdę ważny powód, żeby targnąć się na własne życie!

– Może zrobił to dlatego, że Torquemada nie powołał go na inkwizytora? – zastanawiałem się głośno. – Z pewnością był rozczarowany.

– To Królowa i Król podpisują nominacje, nie Generalny Inkwizytor – powiedział Juan. – Mówi się, że brat Constantino bardzo liczył, że będzie inkwizytorem. Ale żeby aż tak? Nie. Moim zdaniem wydarzyło się coś innego. Może miał jakieś problemy? W rodzinie? Albo ze zdrowiem?

– A mnie się wydaje, że Archaniołowi zazdrościł – upierałem się. – A widząc, że go jednak nie doścignie i że przeor hołubi tylko brata Armanda, nie mógł tak dalej żyć.

– Powiem ci coś jeszcze, Antonio – Juan przerwał mi tok myśli. – Ale to informacje niepotwierdzone. Słyszałem od brata Camilo, że Constantino zostawił list pożegnalny, w którym miał ponoć wyjaśnić motywy swojego postępuku, ale Archanioł zabrał list i nikomu nie pokazał – Juan mówił konspiracyjnym tonem, jakby powierzał mi tajemnicę największej wagi.

– A skąd Camilo wie takie rzeczy? – zapytałem, nie dowierzając, chociaż znając mego dawnego patrona, było to do niego podobne, zwłaszcza jeśli list zawierał informacje dla niego niewygodne.

– Brat Camilo i brat Armand weszli jako pierwsi do celi brata Constantino dziś rano – odpowiedział Juan. – To oni znaleźli ciało. Brat Camilo wybiegł przerażony, ale zanim to zrobił, zauważył na nocnej szafce zmarłego złożony na pół jakiś papier. Gdy wrócił za chwilę, kartki już nie było, a więc prawie na pewno zabrał ją brat Armand. Gdy na miejsce przybył przeor i kilku innych mnichów, Archanioł powiedział, że nie jest mu wiadome, dlaczego brat Constantino się zabił. Ciało pozostawiono w celi, nie zabrano go do kościoła. Przeor nie wyraził zgody, aby odbyło się nabożeństwo i msza żałobna, bo samobójcom się one nie należą. Ich dusze i tak są już potępione. Brat

Constantino zostanie zatem pogrzebany bez sakramentów za murami klasztoru, pod północną ścianą. Jutro po zmroku, aby nikt nie widział.

Tak oto – pomyślałem – kończy brat Constantino Veliger de Vargas... Miał ambicję zawojować świat i Inkwizycję. Skończył samotnie w swojej celi, odtrącony przez wszystkich. Będzie leżał w anonimowym grobie, bez krzyża nad mogiłą i nikt, może oprócz mnie, nie zmówi za nim modlitwy *Requiem aeternam*...

– Jutro Armand wyjeżdża na zawsze z Santa Cruz – powiedział po dłuższej chwili Juan. – Wielu się cieszy. Wielu też odetchnie z ulgą, zwłaszcza młodzi nowicjusze, których teraz mamy w klasztorze szesnastu. Ale poza tobą Archanioł nikogo nie dostał już pod patronat i nad nikim nie znęcał się już jak nad tobą i Alejandrem – dokończył gorzko. – Z nowości mogę ci jeszcze powiedzieć, że mamy piękną, murowaną dzwonnice, dużo wyższą niż tamta drewniana, a na szczycie jest mały pokoik, gdyby któryś z mnichów potrzebował samotni do rozmyślań. Nie wiem, kto teraz będzie się opiekował kościołem po śmierci brata Constantino, bo decyzje jeszcze nie zapadły, ale chodzą słuchy, że będzie to brat Camilo. Przeor wspomniał coś o ojcu de Llorente na to stanowisko, ale Torquemada miał oznajmić, że co do brata Jorgego, który nadal jest naszym bibliotekarzem, ma inne plany. Podobno chce go uczynić inkwizytorem.

– On nigdy się na to nie zgodzi – zaprzeczyłem. – To niemożliwe.

– No, nie wiem, Antonio... – Juan się zawahał. – Chodzą słuchy, że niebawem ma ruszyć święty trybunał w Segowii. Wybrano już nawet siedzibę: w podziemiach alkazaru. Królowa oddała też Torquemadzie do dyspozycji niższe piętra zamku. Prawdopodobnie Wielki Inkwizytor już zbiera odpowiednich ludzi do tego trybunału, a brata Jorgego uczyni zapewne przewodniczącym. Ojciec de Llorente to świetny prawnik. Ktoś taki przyda się Inkwizycji.

Nie chciało mi się wierzyć, aby brat Jorge, ten wyciszony, mądry i wyważony człowiek, który Torquemady i Armanda nie lubił, chciał zostać inkwizytorem. To musiały być plotki...

– A brat Manuel? – zapytałem. – Masz o nim wieści?

– Wczoraj u niego byłem – przyznał Juan. – Objawy postępują: w prawej ręce nie ma już czucia zupełnie, w lewej tylko w małym palcu.

Wystąpiły także przykurcze. Leprozorium opiekują się teraz siostry i ja z bratem Alvaro. Archanioł cofnął zakaz ogłoszony przez Torquemadę, zabraniający kontaktowania się z bratem Manuelem i świadczenia pomocy lekarskiej w leprozorium. Zrobił to zaraz po twoim odejściu i dzięki Bogu, że tak się stało! Inaczej nie wiem, jak trędowaci daliby sobie radę. Jak dałby sobie radę brat Manuel. Jest teraz jednym z pacjentów. Kazał cię pozdrowić. Ubolewał, że ze względu na swoją chorobę nie mógł cię odwiedzić. Ma zakaz wstępu do miasta, jak wszyscy trędowaci.

Uśmiechnąłem się ciepło na myśl o bracie Manuelu... Był kiedyś pełnym życia, uśmiechniętym mnichem, szczerym i serdecznym przyjacielem. Teraz zjada go potworna choroba, której sama tylko nazwa sieje przerażenie... Niezmiennie od tysięcy lat!

Późnym wieczorem Juan pożegnał się i wrócił do Santa Cruz. Obiecał przyjść pojutrze. Długo potem myślałem o bracie Armandzie i jego nominacji na inkwizytora. Dziś są jego trzydzieste szóste urodziny. *Padre* Torquemada dotrzymał danej mu kiedyś obietnicy i oto spełnia się wielkie marzenie mego dawnego mistrza. Obawiam się, że Segowia niebawem usłyszy o jego poczynaniach w Świętym Trybunale w Valladolid...

Za tydzień wraz z Silvio i jego rodziną wyjeżdżam do Saragossy, by zamieszkać tam na stałe. Chiara urodziła pierwszego syna, któremu dali na imię Antonio, na moją cześć. Teraz znów spodziewa się dziecka, ale chce, by rozwiązanie nastąpiło w Saragossie. Silvio poróżnił się z ojcem, który od czasu relegowania mnie z klasztoru ani razu mnie nie odwiedził i przez pięć blisko lat nie był w domu Silvia i Chiary tylko dlatego, że udzielili mi dachu nad głową. Matce nie udało się przekonać ojca i trwa on w swym uporze i w swym domu, twierdząc wobec wszystkich wokół, że nigdy nie miał syna o imieniu Antonio. Modlę się za niego, aby kiedyś mi wybaczył i zrozumiał swój błąd.

Postanowiłem zabrać ze sobą do Saragossy brata Manuela. Silvio był z początku przeciwny ze względu na błogosławiony stan Chiary, ale ponieważ kupił dla mnie na własność mały dom w Saragossie, stojący po przeciwnej stronie ulicy niż ten, w którym oni będą mieszkać, a ja przyrzekłem, że brat Manuel pozostanie tylko w moich pomieszczeniach,

zgodził się. Pojedziemy za nimi oddzielnym powozem z zasłoniętymi firankami, aby ludzie nie zaatakowali nas z powodu choroby mojego przyjaciela. Otwiera się przede mną nowy rozdział życia i nareszcie całkowicie odcinam się od przeszłości i Santa Cruz. Z nową nadzieją upatruję swojej przyszłości w Saragossie i liczę dni do naszej podróży.

Do ostatniej chwili czekałem, czy brat Armand odwiedzi mnie przed swoim wyjazdem do Sewilli. Nie przyszedł. Ani zaraz po egzekucji, ani w ciągu tych wszystkich lat. I teraz także stoję na werandzie w wigilię jego wyjazdu i nasłuchuję w ciszy nocnej, czy kto nie idzie drogą i czy nie zatrzymuje się pod bramą domu mojego brata. Sam nie wiem, czy chciałbym go spotkać, ale skądś żyje we mnie jeszcze nadzieja. Że może przyjdzie. Może zrozumiał. Może nie jest tak zły, jak o nim myślę. Brat Armand Castellano de Corell. Archanioł... Ale w pogrążonym w ciemności moim świecie zalega tylko cisza...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

4 lutego 2013 roku, Warszawa

PRZYPISY

[1] *padre* – z hiszp. ojciec, ksiądz, rodzic; słowo etymologicznie pochodzi z łaciny, gdzie *pater* znaczy ojciec (przyp. aut.).

[2] Joanna d’Arc – Dziewica Orleańska, święta Kościoła Katolickiego, urodzona 6 stycznia 1412 roku w Domrémy-la-Pucelle we Francji, zmarła 30 maja 1431 roku w Rouen. W czasie wojny stuletniej Joanna stanęła na czele wojsk francuskich i przewodziła żołnierzom w kilku bitwach. Skutecznie ruszyła na odsiecz Orleanu i dzięki jej strategii i charyzmie miasto oswobodzono spod oblężenia Anglików. Poprowadziła też wojska francuskie do kilku innych zwycięstw. Joanna twierdziła, że objawił jej się Archanioł Michał, święta Katarzyna i święta Małgorzata, którzy przekazali jej wolę Boga, który chce, aby wyswobodziła Francję z rąk Anglików. Jej zwycięstwa w wojnie stuletniej umożliwiły Karolowi VII, pretendentowi do tronu, koronację na króla Francji. Przez cały czas Joanna utrzymywała, że posłał ją Bóg. Została schwytana przez Burgundczyków i przekazana Anglikom, którzy postawili ją przed sądem Świętej Inkwizycji. Jej słowa zostały uznane za herezję i Joannę skazano na spalenie na stosie. Wyrok wykonano 30 maja 1431 roku w Rouen. Trybunałowi przewodniczył biskup Pierre Cauchon. W chwili śmierci Joanna miała 19 lat. 24 lata później papież Kalikst III wszczął proces rewizyjny, a sąd kościelny uniewinnił Joannę i uznał męczennicą za wiarę. Joanna d’Arc jest do dziś uważana za bohaterkę narodową i patronkę Francji. W 1909 roku została beatyfikowana, a w 1920 roku kanonizowana. Jest dziś czczona w Kościele Katolickim jako patronka Francji, męczenników, ludzi wyśmiewanych za swą pobożność, jeńców, więźniów, ludzi walczących o niepodległość, żołnierzy i patriotów (przyp. aut.).

[3] Leprozorium – od łac. *lepra* – trąd; były to miejsca odosobnienia trędowatych. Pierwsze powstawały już w IV wieku n.e., ale najwięcej leprozoriów w Europie utworzono w średniowieczu, bo wówczas trąd był na tym kontynencie najbardziej rozpowszechniony. Początkowo służyły wyłącznie odizolowaniu chorych od zdrowej części

społeczeństwa. Dopiero pod koniec XIX wieku zaczęto podejmować pierwsze, nieudane próby leczenia trądu. Wiele leprozoriów w rzeczywistości było koloniami dla trędowatych, miejscem, gdzie spędzali nierzadko całe życie, jeśli zachorowali jako dzieci lub młodzież. Jeszcze na początku ubiegłego stulecia istniały duże leprozoria w Stanach Zjednoczonych, a izolacja w nich chorych była przymusowa. Przykładowo było to leprozorium w Carville w stanie Luizjana (obecnie mieści się tam muzeum) czy osada dla trędowatych Kalaupapa na hawajskiej wyspie Mołokai (ta osada istnieje do dziś i jest nadal zamieszkała przez osoby, które spędziły tam większość życia jako trędowaci, a obecnie są już wyleczone). Leprozoria istnieją do dzisiaj w krajach, gdzie nadal panuje trąd, np. w Indiach, w wielu krajach Afryki, ale obecnie pełnią funkcje ośrodków leczenia trądu, szpitali, często także miejsc rehabilitacji chorych na trąd oraz osób już wyleczonych, natomiast nie są to tylko miejsca odosobnienia (przyp. aut).

[4] Apsyda – z gr. łuk, zakrzywienie; jest to element architektury sakralnej stanowiący niszę na zamknięciu chóru, najczęściej nawy głównej (apsyda główna), ale także na zamknięciu naw bocznych i nawy poprzecznej, czyli transeptu (apsydy boczne). Apsyda zbudowana jest zazwyczaj na planie półkola, rzadziej półelipsy, zaś w gotyku najchętniej stosowano apsydy na planie wieloboków. Apsyda najczęściej jest otwarta od strony wnętrza kościoła, a w architekturze gotyckiej umieszczano w niej wysokie okna, czego najlepszym przykładem jest kaplica Sainte-Chapelle w Paryżu. [Źródło: Wilfried Koch, *Style w architekturze*, Warszawa 1996, str. 427] (przyp. aut.).

[5] Pinakiel – inaczej fiala, z gr. *phiale* – naczynie; jest to typowy element architektoniczny gotyku o kształcie wieżyczki lub iglicy wieńczącej przyporę. Wieżyczka ta miała kształt ostrosłupa lub rzadziej stożka, była dość wysoka, smukła i bardzo bogato ornamentowana. Poza niewątpliwymi walorami dekoracyjnymi, pinakiel przede wszystkim miał za zadanie dociążyć przyporę, na której był osadzony, a przez to był elementem całego systemu dźwigającego gotyckie sklepienie

krzyżowo-żebrowe. [Źródło: Wilfried Koch, *Style w architekturze*, Warszawa 1996, str. 468] (przyp. aut.).

[6] Przypora – element architektoniczny całego systemu przyporowego, najczęściej stosowany w architekturze gotyckiej. Przypora ma kształt kolumny i ma za zadanie dźwigać ciężar sklepienia. W architekturze sakralnej gotyku ściany wielonawowych katedr przestały pełnić funkcję nośną z uwagi na dużą liczbę wysokich okien, które w nich umieszczano. Dlatego niezbędne stało się zastosowanie całego systemu przypór zewnętrznych, stojących obok ścian, które łączono ze ścianą za pomocą łuków. W miarę, jak styl gotycki się rozwijał, w katedrach dążono do jak największej liczby okien, a więc i większa liczba przypór stojących na zewnątrz musiała dźwigać sklepienie. Nierzadko otaczają one katedry szerokim, kilkustopniowym wieńcem przypór o różnej wysokości w zależności od tego, sklepienie której nawy podtrzymują. Aby jeszcze bardziej zapewnić stabilność, na przegubie łuku i przypory stawiano pinakle, które swoim ciężarem stabilizowały przyporę. [Źródło: Wilfried Koch, *Style w architekturze*, Warszawa 1996, str. 471] (przyp. aut.).

[7] Mowa jest o chininie, łac. *Chininum*, alkaloidzie znajdującym się w korze drzewa chinowego, zwanego też „chinowcem lekarskim”, rośliny pochodzącej z rodziny marzanowatych, rosnącej w Andach w Ameryce Południowej. Chinina była pierwszym lekiem przeciwko malarii, ma również działanie przeciwgorączkowe i przeciwzapalne. Chininę pierwsi zastosowali Inkowie, macerując wodą tłuczoną korę drzewa, którą następnie podawali chorym na febrę. Hiszpańscy konkwistadorzy, a przede wszystkim przybywający z nimi do Ameryki Południowej jezuicki misjonarze odkryli działanie chininy i przywieźli ją ze sobą do Europy około 1632 roku. W tym samym roku została pierwszy raz zastosowana w sposób udokumentowany w leczeniu malarii w miejscowości pod Madrytem. Jednakże istnieją nieudokumentowane doniesienia, że kora drzewa chinowego była stosowana już wcześniej we Francji, właśnie w okolicach miasta Chinon. W jaki sposób kora chinowca znalazła się w tym kraju, nie wiadomo

(przyp. aut.).

[8] Archiwolta – z wł. przedni łuk; element architektoniczny stosowany we wszystkich stylach w postaci łuku wieńczącego portal nad drzwiami; w stylu gotyckim miał kształt ostrego łuku i był wielokrotnie powtarzany: każdy łuk nieco mniejszy i osadzony głębiej od poprzedniego. Archiwolty były bogato ornamentowane, zwłaszcza w gotyku umieszczano na nich rzeźby świętych lub sceny biblijne. Nierzadko cały portal z licznymi archiwoltami miał własną tematykę, czyli wszystkie rzeźby i płaskorzeźby na nim umieszczone dotyczyły jakiegoś fragmentu np. z ewangelii. Przykładem niech będzie Puerta de la Asunción w Katedrze w Sewilli (gotyk) lub Portico da Gloria w Sanktuarium Santiago de Compostela (styl romański). [Źródło: Wilfried Koch, *Style w architekturze*, Warszawa 1996, str. 428] (przyp. aut.).

[9] *Primus inter pares* – łac. pierwszy wśród równych (przyp. aut.).

[10] *Racz mnie wybawić, o Boże; Panie, pospiesz mi na pomoc! Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu, jak była na początku, teraz i zawsze i na wieki wieków. Amen. Alleluja.* Tymi słowami rozpoczynają się Nieszpory w Kościele Katolickim. Pierwsze dwa wersy pochodzą z Psalmu Dawida nr 70 (69); Ps 70, 1–2 (przyp. aut.).

[11] Trąd – łac. *lepra*, od greckiego *lépein* = „łuszczyć się”, znany także jako choroba Hansena, jest to zakaźna choroba nerwów i skóry, która towarzyszy ludzkości od jej zarania. Trąd podróżował wraz z rozprzestrzenianiem się *homo sapiens*, natomiast uważa się, że rdzennie pochodzi ze wschodniej Afryki. O trądzie wspomina już Stary Testament, a także staroindyjskie Wedy i egipskie papiirusy, zaś najstarsze wzmianki o trądzie pochodzą z trzeciego tysiąclecia p.n.e. Najstarszy przypadek trądu na świecie, który został udokumentowany znaleziskiem, pochodzi sprzed 4 000 lat p.n.e. Na stanowisku archeologicznym Balathal w Radżastanie w Indiach znaleziono szkielet mężczyzny w średnim wieku, na którym archeolodzy z Indii i USA

znaleźli deformacje charakterystyczne dla trądu. W średniowieczu uznano trąd za karę za grzechy cielesne (panowało przekonanie, że chorzy byli nienasyconie seksualnie i za to Bóg zesłał na nich karę), a osoby nią dotknięte były wyrzucane poza nawias społeczeństwa, najczęściej wyganiane z miasta. Traktowano je jak zmarłych i pozbawiano większości praw, współmałżonek stawał się wdowcem lub wdową, zaś dzieci półsierotami i mogły dziedziczyć po dotkniętym trądem rodzicu. Chorych nierzadko przymusowo umieszczano w leprozoriach, które były koloniami dla trędowatych, gdzie należało ich izolować od zdrowej części społeczeństwa. Z uwagi na olbrzymią w średniowieczu liczbę chorych leprozoria były przepełnione, zaś wielu trędowatych błąkało się po ulicach i miastach. Do czasu wynalezienia skutecznej terapii istniały leprozoria, gdzie izolowano chorych na całe życie. Jednym z najśłynniejszych była kolonia trędowatych Kalaupapa na hawajskiej wyspie Molokai, założona w 1860 roku. Odizolowanie chorych na Molokai zniesiono w 1969 roku. Mimo że pacjenci znajdujący się tam wówczas mogli opuścić wyspę, większość pozostała w kolonii, bo nierzadko przywieziono ich na Molokai kilkadziesiąt lat wcześniej, jako małe dzieci, i nie znali innego życia, jak tylko wśród trędowatych. W chwili obecnej organizowane są wycieczki na Molokai, m.in. także do osady Kalaupapa i miasta St. Damien. Istnieje tam również Kalaupapa National Historical Park. Ostatnie leprozorium w Europie zamknięto w 1957 roku na greckiej wyspie Spinalonga w pobliżu Krety. Dziś mieści się tam muzeum. Trąd wywołuje bakteria *Mycobacterium leprae* (prątek trądu), odkryta w 1873 roku przez norweskiego mikrobiologa Armauera Hansena, który pracując w szpitalu Świętego Jerzego w Bergen, wyizolował prątek trądu (mieści się tam teraz Muzeum Trądu). Choroba przenosi się na kilka sposobów: drogą kropelkową przy dłuższym kontakcie z chorym, przez błony śluzowe, przez wydzielinę z owrzodzeń. Jednak badania nad trądem i historia rozprzestrzeniania się trądu wskazują, że nie jest to choroba wysoce zakaźna i potrzebny jest długotrwały kontakt z osobą chorą, by się zarazić, a i to nie jest częste. Odpowiada za to sama budowa bakterii, która jest bardzo nietrwała i gnie szybko po opuszczeniu organizmu gospodarza. Co ciekawe, trąd nie posiada charakterystycznego okresu

wylęgania, od zarażenia do wystąpienia pierwszych objawów mija od około 9 miesięcy do nawet 30 lat. Nie wiadomo, co jest tego przyczyną. Trąd ma kilka postaci, ale najbardziej charakterystyczne są dwie postaci, tzw. biegunowe: lepromatyczna i tuberkuloidowa. Obie mają związek z odpowiedzią immunologiczną organizmu gospodarza, do którego wtargnął prątek trądu. W postaci lepromatycznej odpowiedź organizmu jest silna, a ilość bakterii we krwi duża i łatwo można je obserwować. Występują liczne zmiany skórne w postaci guzków, blaszek, nacieczeń i grudek. Najczęściej umiejscowione są na twarzy, uszach, nadgarstkach, łokciach i kolanach, ale nie tylko. Dochodzi do zajęcia nerwów, ale nie jest to objaw dominujący. Zmiany skórne postępują coraz dalej w głąb tkanek, co prowadzi do zniszczenia okolicznych mięśni, chrząstek, nerwów, czasem i kości. W postaci tuberkuloidowej pierwszym objawem jest plama trądowa (do dziś nie jest znany ani mechanizm jej powstawania, ani powód, dla którego się pojawia) – jest to dość tajemniczy pierwszy zwiastun tej postaci trądu. U osób o jasnej karnacji plama ma kolor miedzi, u osób z karnacją ciemniejszą jest to jasna plama w porównaniu do otaczającej ją zdrowej skóry. Rzadziej jest to większa liczba plam. (Stary Testament wspomina o plamach trądowych w Drugiej Księdze Królewskiej, gdzie nazywa trąd „białym jak śnieg”, co prawdopodobnie nawiązuje do jaśniejszego koloru plamy/plam trądowych u osób z ciemną karnacją zamieszkujących wówczas tereny dzisiejszego Bliskiego Wschodu.) Brzegi plamy trądowej są wyraźne, zaś sama plama niekiedy łączy się z niedoczulicą skóry w tym miejscu. Po kilku tygodniach plama znika. W tej postaci trądu dochodzi do zajęcia nerwów obwodowych przez prątki trądu, które uszkadzają osłonki mielinowe nerwów, a tym samym odbierają nerwom możliwość odżywiania się i z czasem zagłodzone nerwy obumierają. Najczęściej zajmowane są nerwy: strzałkowy, łokciowy i uszny. W wyniku obumierania nerwów i zaniku czucia w miejscach zajętych zanikają mięśnie, zwłaszcza dotyczy to rąk i stóp. Chorzy miewają przykurcze. Wszystko to sprzyja powstawaniu urazów, oparzeń, niedokrwienia, ran, które ropieją. W tej postaci chorzy mają charakterystycznie zniekształcone kończyny. Trąd bardzo długo, bo aż do lat czterdziestych XX wieku, pozostawał chorobą nieuleczalną. Po raz pierwszy

nowoczesny lek o nazwie Dapson, czyli sulfon (firmy Ayerst, USA) został zastosowany w 1946 roku w Indiach. Jednak istotną jego wadą jest powstawanie szybkiej oporności bakterii na lek w przypadku jego nieregularnego lub niedokładnego stosowania przez pacjentów lub przerwania terapii, co w krajach biedniejszych często się zdarza. Dlatego poszukiwano nowego leku. W 1965 roku odkryto rifampicynę, antybiotyk przeciwpłatkowy (do dziś jest najsilniejszym lekiem do walki z trądem). Od roku 1981 Światowa Organizacja Zdrowia zaleca leczenie trądu systemem MDT = Multidrug Therapy, czyli wielolekowym. Ma to wyeliminować lekooporność oraz możliwość przetrwania bakterii w organizmie człowieka po zakończeniu leczenia. Stosuje się: dapson lub pokrewny mu acedapson, rifampicynę i klofazyminę (u mężczyzn także talidomid). Niektóre źródła podają także protionamid i etionamid. W przypadku postaci lepromatycznej trądu leczenie trwa 24 miesiące, zaś w postaci tuberkuloidowej – 6 miesięcy. Dawki leków: rifampicyna 600 mg przyjmowana była raz w miesiącu pod kontrolą lekarza, dapson 100 mg i klofazymina 300 mg przyjmowane były samodzielnie przez chorego raz dziennie. Obecnie stosuje się opracowaną w Hamburgu nowoczesną tabletkę, która łączy wszystkie te leki w jednym. Leczenie trądu kosztuje dziś około 24 PLN przy postaci lepromatycznej i około 6 PLN przy postaci tuberkuloidowej, a mimo to trąd nadal szerzy się na świecie, głównie w Indiach i Afryce. Co roku WHO notuje blisko ćwierć miliona nowych zachorowań na trąd. Źródło: Z. Dziubek [red.], *Choroby zakaźne i pasożytnicze*, Wyd. IV, Wydawnictwo Lekarskie PZWL, Warszawa 2012, str. 204–208 (przyp. aut.).

[12] W 1449 roku w Toledo doszło do wybuchu antyżydowskiego powstania. Prawdopodobnie przyczyną zamieszek było nałożenie nowych, wysokich podatków. Tłum katolików (tak zwanych starych chrześcijan) zaatakował najpierw dom poborcy podatkowego, a następnie doszło do pogromu w dzielnicy żydowskich konwertytów. Przywódca tego powstania i jego prawnik wydali tak zwaną ustawę-wyrok (*Sentencia-Estatuto*), zgodnie z którą od tej chwili konwertyci nie mogli piastować żadnego urzędu państwowego z racji swego żydowskiego pochodzenia. I chociaż powstanie zostało stłumione

przez władzę królewską, a papież Mikołaj V w swej bulli *Humani generis inimicus* (*Wróg rodzaju ludzkiego*) potępił przywódców powstania, wielu starych chrześcijan nie dało się przekonać o równości praw dla konwertytów. Przez długie lata ustawa-wyrok funkcjonowała w zbiorowej świadomości, a głoszone przez nią idee były podłożem dalszych pogromów ochrzczonej ludności żydowskiej (przyp. aut.).

[13] Azulejos – z arab. *azulaj* – mały kamyk; są to ceramiczne płytki z gliny, najczęściej kwadratowe, pokryte kolorowym szkliwieniem, bardzo trwałe. Azulejos wykorzystuje się jako element dekoracyjny. Pierwsi tę sztukę opanowali Arabowie i to oni przynieśli ją ze sobą na Półwysep Iberyjski, gdzie bardzo szybko się rozpowszechniła w XIII wieku, szczególnie w Andaluzji. Początkowo szkliwienie było w kolorach białym i niebieskim, z czasem rozpowszechniły się azulejos wielobarwne. Mozaiki z azulejos były bardzo piękne, zdobiły ściany i posadzki arabskich pałaców i nierzadko składały się z wielu tysięcy elementów. Sztuka wykładania całych ścian szkliwionymi płytkami wywodzi się z Persji. Azulejos popularne są do dzisiaj jako element dekoracyjny fasad budynków i mozaik w ich wnętrzach oraz na patiach andaluzyjskich domów. Andaluzja do dziś słynie z wyrobu azulejos, a przez stulecia najpiękniejsze płytki były wytwarzane w pracowniach ceramicznych w Sewilli w dzielnicy Triana. I do dziś sztuka ozdabiania budynków płytkami azulejos jest wciąż żywa i chętnie stosowana, szczególnie w Sewilli, a najpiękniejszym tego przykładem jest tamtejszy Plaza de España (Plac Hiszpański), który jest wyłożony ceramicznymi płytkami i można tam znaleźć jedne z najpiękniejszych mozaik azulejos w Sewilli (przyp. aut.).

[14] *Spiritus movens* – łac., zwrot oznacza głównego inspiratora czegoś, siłę napędową, potocznie: prowodyr, główna sprężyna (przyp. aut.).

[15] Tyfus plamisty – łac. *Typhus exanthematicus*, w Polsce nazywany także dudem plamistym lub obecnie dudem wysypkowym epidemicznym, jest to zakaźna, groźna choroba, wywoływana przez

bakterię *Rickettsia prowazekii*. Tyfus plamisty był w przeszłości przyczyną ciężkich epidemii i śmierci tysięcy ludzi. Wrotami zakażenia są powłoki skórne i drogi oddechowe, zaś chorobę przenoszą wszy ludzkie, które są dla bakterii żywicielem pośrednim (niektóre źródła podają, że może to być każda wesz ludzka, inne, że tylko ludzka wesz odzieżowa). Stąd tyfus plamisty występuje w miejscach o obniżonym standardzie higieny, w dużych skupiskach ludzkich, w warunkach, które sprzyjają rozprzestrzenianiu się wszawicy. Największe epidemie tyfusu plamistego wybuchały najczęściej podczas wojen, klęsk żywiołowych lub naturalnych katastrof. Wesz po wypiciu zakażonej krwi staje się zakaźna po 5 dniach. Riketsje są wydalane przez wszy wraz z kałem oraz wymiocinami. Zakażenie człowieka następuje poprzez ugryzienie przez zakażoną wesz, roztarcie na skórze podczas drapania kału wszy lub jej samej, a nawet poprzez wdychanie powietrza, w którym znajdują się drobinki kurzu zanieczyszczonego odchodami zakażonych wszy. Co ciekawe, bakterie znajdujące się na ubraniu w kale wszy odzieżowych nie giną szybko, zachowując zdolność zakażenia nawet przez 2–3 tygodnie. Okres inkubacji bakterii w ciele człowieka wynosi 8–12 dni, niekiedy 6–15 dni i już w tym czasie osoba zarażona czuje się ogólnie źle. Po okresie wylęgania pojawia się nagle wysoka gorączka, dreszcze i bóle mięśni, a objawem charakterystycznym jest silny ból głowy, utrzymujący się całą dobę. Gorączka rośnie do 41 stopni Celsjusza, pojawia się obrzęk twarzy i jej zaczerwienienie, przekrwienie spojówek. Wysypka plamista, zazwyczaj krwotoczna, od której tyfus bierze swą nazwę, pojawia się w okolicach od 4. do 7. dnia choroby, najpierw na tułowiu i w pachwinach, potem rozprzestrzenia się na całe ciało. Pojawiają się także zaburzenia świadomości – pobudzenie ruchowe lub całkowita apatia, stany splątania. W badaniach stwierdza się wysięki zastoinowe w mózgu, wątrobie i płucach. Riketsje uszkodzają układ krwionośny, co na początku objawia się spowolnieniem tętna, potem jego przyspieszeniem i niemiarowością. Dochodzi do uszkodzenia tkanki glejowej mózgu, uszkodzenia nerek, wątroba ulega powiększeniu. Powikłaniem riketsjozy jest często zapalenie płuc lub surowicze zapalenie opon mózgowych, zapalenie ucha środkowego, a nawet sucha zgorzel palców lub płatków usznych. Przed wynalezieniem

antybiotyków tyfus plamisty często kończył się śmiercią. Dzisiaj w leczeniu tej choroby stosuje się tetracykliny o przedłużonym działaniu, np. doksycyklinę. Ważne jest także uzupełnianie płynów. Szczep bakterii odpowiedzialny za tyfus plamisty i podobne mu dury (np. gorączkę plamistą Gór Skalistych, Gorączkę Q) odkrył amerykański badacz Howard Taylor Ricketts, od którego nazwiska bierze się nazwa całej rodziny bakterii wywołujących choroby określane ogólnie jako riketsjozy. Ricketts badał gorączkę plamistą Gór Skalistych i gorączkę okopową, a w trakcie badań zaraził się tyfusem plamistym i zmarł. Rodzaj riketsji wywołujący konkretnie tyfus plamisty: *Rickettsia prowazekii*, został odkryty w 1916 roku przez Henrique da Rocha Lima, a nazwany „prowazekii” na cześć jego zmarłego na tyfus kolegi, Stanisława von Provaszka, który zmarł w szpitalu więziennym w Niemczech podczas epidemii tyfusu w 1915 roku. Obaj prowadzili badania nad tą chorobą. Podczas I wojny światowej, gdy epidemie tyfusu plamistego zbierały straszne żniwo, prowadzone były intensywne badania nad samą chorobą i nad szczepionką. Jednak bakterie *Rickettsia prowazekii* nie namnażają się na pożywkach organicznych, a jedynie wewnątrz żywych komórek i naukowcy nie wiedzieli, jak hodować je dla celów laboratoryjnych, by w ogóle myśleć o szczepionce. Dopiero polski biolog, Rudolf Weigl odkrył, że aby skutecznie namnożyć bakterie, można je hodować w ciałach wszy, więc wykorzystał wszy odzieżowe jako zwierzęta laboratoryjne (jako szalki Petriego) i w latach 20. XX wieku opracował szczepionkę, która okazała się wysoce skuteczna. Była stosowana podczas II wojny światowej, głównie przez armię niemiecką, ale nielegalnie produkowana poza wiedzą nazistów, trafiała także do ludności cywilnej, w tym do warszawskiego getta, gdzie warunki sanitarne były katastrofalne, a w lecie 1941 roku wybuchła epidemia tyfusu plamistego. (Źródła: Z. Dziubek [red.], *Choroby zakaźne i pasożytnicze*, Wyd. IV, Wydawnictwo Lekarskie PZWL, Warszawa 2012, str. 216–219; Patrick R. Murray, Ken. S. Rosenthal, Michael A. Pfaller, *Mikrobiologia*, Wyd. Elsevier Urban & Partner, Wrocław 2013, str. 413–419) (przyp. aut.).

[16] Sytuacja taka w praktyce miała miejsce do roku 1479, gdy

Ferdynand odziedziczył Królestwo Aragonii i możliwe stało się zjednoczenie Aragonii z Kastylią i ujednoczenie pozycji Izabeli i Ferdynanda jako współrządzących. Od tej pory oboje mieli jednakową pozycję, jednak imię Ferdynanda było wymieniane jako pierwsze w dokumentach urzędowych, przed imieniem Izabeli. Odwrotnie wymieniano tytuły, zaczynając od kastylijskich (przyp. aut.).

[17] Mowa jest o księciu Juanie, drugim dziecku Izabeli Kastylijskiej i Ferdynanda Aragońskiego. Książę Juan urodził się 28 czerwca 1478 roku w Sewilli i jako następca tronu otrzymał tytuł Księcia Asturii. Jako jedyny syn pary królewskiej przeżył dzieciństwo. W roku 1497 poślubił w Burgos Księżniczkę Małgorzatę Austriaczkę, córkę cesarza Maksymiliana I Habsburga. Nie doczekał się tronu. Sześć miesięcy później zmarł w Salamance, w wieku 19 lat. Uważa się, że chorował na gruźlicę. Księżniczka Małgorzata była wówczas w ciąży, ale dziecko urodziło się martwe. Książę Juan był ukochanym dzieckiem Królowej Izabeli, która po jego śmierci i po śmierci swego wnuka, bo dziecko, które urodziła Małgorzata, było płci męskiej, nie przestała nosić żałoby do końca swego życia. Bardzo przeżyła śmierć syna, ale na zewnątrz w stosunku do obcych nie okazywała tego. Często przytacza się jej pozornie chłodne słowa, które wypowiedziała zaraz po tym, jak dowiedziała się o śmierci syna: *Bóg dał mi go, Bóg mi go odebrał. Chwała Jego imieniu*. Po śmierci Izabeli i Ferdynanda na tron Hiszpanii wstąpiła ich córka, Joanna, zwana Szaloną, której mężem był Filip I Piękny Habsburg. Zaś najmłodsze z dzieci Królowej, księżniczkę Katarzynę Aragońską, poślubiono Arturowi z dynastii Tudorów, Księciu Walii, następcy tronu Anglii. Po jego tajemniczej śmierci w ciągu zaledwie pół roku od ślubu Katarzynę wydano za mąż za jego młodszego brata, Henryka, nowego następcę tronu Anglii. Henryk został królem i panował jako Henryk VIII Tudor (przyp. aut.).

[18] Mowa jest tu o Bazylice Świętego Piotra w Rzymie (przyp. aut.).

[19] Armand w 1478 roku nie może wiedzieć, że suchoty, czyli

gruźlicę, wywołuje bakteria, *mycobacterium tuberculosis*, należąca do tej samej rodziny, co bakteria wywołująca trąd (*mycobacterium leprae*), zaś obie choroby to tzw. mykobakteriozy. Stąd w obu chorobach, jakkolwiek bardzo się różniących, występują pewne podobieństwa, jak choćby brak gorączki i przewlekłość choroby. Najważniejsze lekarstwo na trąd, rifampicyna, zostanie wynaleziona dopiero w 1965 roku. Stosuje się ją również w leczeniu gruźlicy jako lek pierwszego rzutu (przyp. aut.).

[20] *Auto da fé* – zwrot jest w języku portugalskim, ale etymologicznie i ideologicznie pochodzi z łaciny i oznacza akt wiary – *actus fidei* (łac. *actus* – akt, *fides* – wiara). W czasach Inkwizycji (nie tylko hiszpańskiej) terminem tym określano publiczne ceremonie wykonania wyroków i ukarania heretyków, najczęściej poprzez spalenie na stosie, żywcem lub po uprzednim uduszeniu. Zdarzało się także palenie wizerunku heretyka, jeśli jego samego Inkwizycja nie zdołała ująć i osądzić. Uroczystości *auto da fé* miały bardzo oficjalną oprawę i ściśle określony ceremoniał (przyp. aut.).

[21] *Requiem aeternam...* – modlitwa za zmarłych: „Wieczny odpoczynek...” (przyp. aut.).

[22] „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego” (przyp. aut.).

[23] „Ojcze nasz, któryś jest w Niebie...” (przyp. aut.).

[24] Pierwszy List Świętego Jana (1J 3,15) (przyp. aut.).

[25] W rzeczywistości papież Sykstus VI wydał tę bullę 1 listopada 1478 roku (przyp. aut.).

[26] Starorzymska zasada procesowa mówiła, że „nikt nie jest sędzią we własnej sprawie” (przyp. aut.).

[27] Ewangelia według świętego Łukasza 6, 37–38 oraz Ewangelia według świętego Mateusza 7, 1–2 (przyp. aut.).

[28] *Siete Partidas* – Kodeks Siedmiu Części, zgromadzony w siedmiu księgach kompleksowy zbiór przepisów prawa karnego, cywilnego, przepisów obu procedur, a nawet wskazówek moralnych i politycznych, ustanowiony przez Króla Kastylii Alfonsa X Mądryego w 1265 roku, z racji swych miejscami radykalnych rozwiązań, zatwierdzony oficjalnie przez Kortezy dopiero w 1348 roku (przyp. aut.).

PUBLIKACJĘ KSIĄŻKI WSPARŁ BANK SPÓŁDZIELCZY W PRZYSUSZE



Historia Banku Spółdzielczego w Przysusze sięga roku 1910, czyli liczymy sobie 105 lat. Prowadzimy działalność w szeroko pojętych obszarach rolniczych. Posiadamy znaczące kapitały i potrafimy obsłużyć klientów w 15 placówkach organizacyjnych. Działalność Banku jest konkurencyjna wobec innych banków działających na naszym terenie, wobec czego jesteśmy głównie bankiem pierwszego wyboru i bankiem najbardziej przyjaznym dla lokalnego biznesu. Świadczy to również o tym, że Bank cieszy się dobrą reputacją i zdobył na rynku renomę partnera godnego zaufania. Należy podnieść, że jesteśmy również bankiem nowoczesnym, chociaż z tradycjami i posiadamy oczekiwane przez naszych klientów produkty, również w nowoczesnym informatycznym wydaniu.

Szczycimy się tym, że Bank ze swej misji spółdzielczej szeroko wspiera różnego rodzaju inicjatywy społeczne, kulturalne i wychowawcze.

Szanujemy bardzo naszych klientów, o czym świadczy chociażby otrzymanie szeregu prestiżowych nagród i wyróżnień: I miejsce w konkursie „Najlepsza Instytucja Finansowa” organizowanym przez Magazyn „Rzeczpospolita” oraz ogólnopolski certyfikat „Rzetelni w Biznesie”.

Czarna legenda Tom I. *Archanioł*
Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-7942-933-2

© Anna Burzyńska i Novae Res s.c. 2015

Wydawnictwo i autorka dziękują za wsparcie publikacji firmie Hydromega oraz Bankowi Spółdzielczemu w Przysusze.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Paulina Klas
KOREKTA: Bartłomiej Kuczkowski
OKŁADKA: Krystian Żelazo
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: *InkPad.pl*

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: *sekretariat@novaeres.pl*,
http://novaeres.pl

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej *zaczytani.pl*.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



